

Wilbur Smith

Assegai

Dziewiątego stycznia roku tysiąc dziewięćset szóstego przypadała czwarta rocznica koronacji Edwarda VII, króla Wielkiej Brytanii i Irlandii oraz dominiów brytyjskich, a także cesarza Indii. Całkiem przypadkiem był to również dzień dziewiętnastych urodzin jednego z lojalnych poddanych Jego Wysokości, podporucznika Leona Courtneya z kompanii C, trzeciego batalionu pierwszego regimentu Królewskich Strzelców Afrykańskich, powszechnie zwanych KSA. Leon spędził urodziny, polując na buntowników z plemienia Nandi, na krawędzi Wielkich Rowów Afrykańskich, w odległym interiorze klejnotu imperium, jakim była Brytyjska Afryka Wschodnia.

Nandi byli wojowniczym ludem, który często występował przeciwko obcej władzy. Od chwili gdy dziesięć lat temu słynny wróżbita i czarownik ogłosił, że wielki czarny wąż przesunie się po ziemiach plemienia, wzniecając ogień i dym, przynosząc śmierć i niedolę całemu ludowi, nieprzerwanie dochodziło do walk. Kiedy brytyjskie władze kolonialne rozpoczęły budowę torów kolejowych łączących port w Mombasie nad Oceanem Indyjskim z leżącym niemal sześćset mil w głębi lądu Jeziorem Wiktorii, Nandi uznali, że przerażające proroctwo zaczyna się spełniać, i ogień buntu zapłonął ze zdwojoną siłą. Walki wzmo-

ły się, gdy kolej dotarła do Nairobi, a następnie ruszyła na zachód, ku wielkiej dolinie i ziemiom Nandi nad Jeziorem Wiktorii.

Kiedy pułkownik Penrod Ballantyne, oficer dowodzący regimentem KSA, otrzymał depezę od gubernatora kolonii, informującą, że plemię ponownie powstało i napada na wysunięte posterunki brytyjskie wzdłuż planowanego szlaku kolei żelaznej, rzekł z rezygnacją:

- Cóż, znowu trzeba dać im tęgiego łupnia.

Po tych słowach wydał rozkaz wymarszu trzeciemu batalionowi stacjonującemu w koszarach w Nairobi.

Gdyby Leon Courtney miał wybór, spędziłby ten dzień zupełnie inaczej. Niedawno poznał młodą damę, której mąż został rozszarpany przez lwa na terenie plantacji kawy w Ngong Hills, kilka mil od nowej stolicy kolonii, Nairobi. Ponieważ Leon był znakomitym jeźdźcem i graczem polo, zaproszono go do drużyny jej męża. Choć młodszy oficer nie mógł sobie pozwolić na utrzymanie kilku koni, jeden z zamożniejszych członków klubu zgodził się go finansować. Jako członek drużyny Leon cieszył się pewnymi względami wdowy, a przynajmniej tak mu się wydawało. Po upływie stosownego czasu, kiedy kobieta otrząsnęła się z szoku po bolesnej stracie, przyjechał na plantację, aby złożyć jej kondolencje i wyrazić uszanowanie. Z radością stwierdził, że zdołała dojść do siebie po śmierci męża. Nawet w żałobie wydawała się Leonowi bardziej zachwycająca niż inne kobiety, które znał.

Kiedy Verity O'Hearne, bo tak nazywała się owa dama, ujrzała przystojnego młodzieńca w galowym mundurze, miękkim kapeluszu ze znakiem lwa będącym godłem regimentu, z tabliczką z kości słoniowej na piersi i w wypolerowanych butach do konnej jazdy, dostrzegła w jego urodziwych rysach i szczerym spojrzeniu niewinność i zapał, które przemówiły do jej kobiecych uczuć, początkowo bardziej przypominających instynkt macierzyński. Na szerokiej, zacienionej werandzie poczęstowała go herbatą i kanapkami posmarowanymi pastą

10

anchois marki Gentleman's Relish. Początkowo Leon był onieśmielony i czuł się niezręcznie w jej towarzystwie, ona jednak okazała mu życzliwość, zręcznie prowadząc rozmowę i pozwalając mu się rozluźnić. Mówiła z miękkim irlandzkim akcentem, który go oczarował. Godzina minęła jak z bicza strzelił. Gdy wstał, aby się pożegnać, podeszła do niego, stanęła na schodach werandy i podała mu dłoń.

- Jeśli będzie pan w okolicy, proszę wstąpić do mnie ponownie, poruczniku Courtney. Czasami samotność bardzo mi doskwiera. - Jej głos był niski i melodyjny, a mała dłoń jedwabiście gładka.

Leon, jako najmłodszy oficer w batalionie, miał rozliczne obowiązki, toteż minęły niemal dwa tygodnie, zanim skorzystał z zaproszenia. Tym razem po podaniu herbaty i kanapek zaprosiła go do domu, aby pokazać sztucery myśliwskie męża, które zamierzała sprzedać.

— Niestety mąż pozostawił mi niewiele środków do życia, więc muszę znaleźć kupca, który byłby nimi zainteresowany. Miałam nadzieję, że pan, jako wojskowy, podpowie mi, jaką wartość przedstawiają.

— Z radością udzielę pani wszelkiej pomocy, pani O'Hearne.

— Bardzo uprzejmie z pana strony. Czuję, że jest pan moim przyjacielem i mogę panu całkowicie zaufać.

Nie potrafił znaleźć słów, aby odpowiedzieć. Zamiast mówić, spojrział służalczo w duże, błękitne oczy, zniewolony jej urokiem.

- Mogę zwracać się do pana Leonie? - spytała i zaczęła płakać, zanim zdążył przytaknąć. - Leonie, czuję się taka

opuszczona i samotna - westchnęła, padając mu w ramiona.

Przytulił ją do piersi, sądząc, że tylko tak zdoła ją pocieszyć. Była lekka jak lalka. Złożyła uroczą główkę na jego ramieniu, lecz kiedy próbował odtworzyć dalsze wydarzenia, wszystko zamazywało się w ekstazie. Nie pamiętał, jak dotarli do sypialni. Runęli na wielkie mosiężne łoża, gdzie na wypchanym pierzem materacu młoda wdowa dała mu przedsmak raju, na zawsze zmieniając jego dotychczasowe życie.

11

Dziś, wiele miesięcy później, prowadził oddział siedmiu aska-ri - żołnierzy rekrutujących się z miejscowych plemion - i nie myślał o swoich żołnierskich obowiązkach, lecz o pięknej Verity O'Hearne. Szli tyralierą, z bagnietami zatknętymi na karabinach, przez gęstą plantację bananów otaczającą budynek komendantury w Niombi w skwarze panującym na obszarze ryftu.

Nagle idący z lewej strony sierżant Manyoro mlasnął znacząco. Leon w jednej chwili przeniósł się z buduaru Verity do terażniejszości i zastygł, słysząc ciche ostrzeżenie. Pozwolił, aby jego myśli odpłynęły i na chwilę zapomniał o swoich obowiązkach. Teraz wszystkie mięśnie napięły się jak rybacka żyłka wciągana przez wielkiego marlina w błękitną toń kanału Pemba. Uniósł rękę, dając żołnierzom sygnał, aby stanęli. Tyraliera askari zamarła.

Manyoro był morani Masajów, jednym z najważniejszych członków plemienia. Miał ponad sześć stóp wzrostu, był szczupły i poruszał się z gracją toreadora. Ubrany w mundur khaki oraz fez z frędzelkami i piórami, wydawał się ucieleśnieniem afrykańskiego wojownika. Czując na sobie wzrok Leona, uniósł brodę.

Leon podążył za jego wzrokiem i ujrzał sępy. Wysoko nad dachami borny, placówki rządowej w Niombi zataczały kręgi dwa ptaki.

- Niech to szlag - mruknął cicho. Nie spodziewał się kłopotów. Główne walki toczyły się siedemdziesiąt mil na zachód, a posterunek rządowy znajdował się poza granicami obszaru tradycyjnie należącego do Nandi. Byli na terytorium Masajów. Leon otrzymał polecenie wzmocnienia kilkoma ludźmi miejscowej borny na wypadek, gdyby starcia przeniosły się poza granice ziem Nandi. Wszystko na to wskazywało.

Dowódcą okręgu Niombi był Hugh Turvey. Leon poznał Hugh i jego żonę na balu w Klubie Osadników w Nairobi podczas ostatnich świąt Bożego Narodzenia. Turvey był zaledwie cztery lub pięć lat starszy od niego, a odpowiadał za obszar wielkości Szkocji. Zdążył wyrobić sobie opinię człowieka, na

12

którym można polegać, który nie pozwoliłby, aby jego bomę zaskoczyła banda zbuntowanych dzikusów. Niestety ptaki krążące nad domostwami stanowiły zły omen, były posłańcami śmierci.

Skinął ręką, aby askari załadowali karabiny. Zamki szczęknięty i pociski kalibru .303 znalazły się w komorze długo-lufowych lee-enfieldów. Jego ludzie rozproszyli się i ruszyli ostrożnie na kolejny znak.

Tylko dwa ptaki, pomyślał. Może się zabłąkały. Byłoby ich więcej, gdyby... Nagle usłyszał nad głową trzepot ciężkich skrzydeł. Zza liści bananowców wzbił się w niebo kolejny sęp. Ciało Leona przeszedł zimny dreszcz. Jeśli ptaki siedziały na ziemi, musiały na niej leżeć zwłoki.

Ponownie dał znak, aby stanęli. Wskazał palcem Manyoro i ruszył przed siebie. Masaj podążył jego śladem. Chociaż posuwał się cicho i bezszelestnie, spłoszył kolejnych ogromnych padlinożerców. Ptaki wzbijały się w powietrze pojedynczo i grupami, bijąc przy tym głośno skrzydłami, aby po chwili połączyć się z gromadą zataczającą kręgi nad budynkami.

Leon wyszedł zaa ostatniego bananowca i stanął ponownie, na krawędzi placu apelowego. Pobielane ściany borny lśniły w słońcu. Drzwi wejściowe stały otworem. Na werandzie i spieczonym glinianym klepisku walały się połamane meble i dokumenty. Borna została splądrowana.

Hugh Turvey i jego żona, Helen, leżeli rozciągnięci na ziemi. Obok nagich ciał dostrzegł zwłoki pięcioletniej dziewczynki. Otrzymała cios w pierś assegai - włócznią o szerokim ostrzu używaną przez plemię Nandi. Rozległa rana sprawiła, że małe ciało wykrwawiło się i w jasnych promieniach białało jak sól. Dorośli zostali ukrzyżowani. W rękach i stopach tkwiły ostre drewniane paliki, które wbito w glinę.

Widać Nandi nauczyli się czegoś od misjonarzy, pomyślał z goryczą. Rozejrzał się powoli po placu, szukając śladów obecności nieprzyjaciela. Kiedy doszedł do wniosku, że Nandi odeszli, ruszył ostrożnie przez pobojowisko. Zauważył, że ciało

13

Hugh zostało w okrutny sposób pozbawione męskości, a Helen odcięto piersi. Sępy rozszarpały rany. Szczęki obojga zabitych zostały rozwarłe za pomocą drewnianych kołków. Pochylił się, aby przyjrzeć się temu z bliska.

— Czemu otworzyli im usta? - spytał w języku kisuahili,
gdy sierżant stanął obok.

— Utopili ich - odparł cicho Manyoro. Dopiero wtedy
spozstrzegł, że na glinie pod głowami zabitych widnieje plama
po wyschniętym płynie. Chwilę później zauważył, że zalepiono
im nozdrza gliną. Zmusili ich do oddychania przez usta.

— Utopieni? - Potrząsnął głową, niczego nie rozumiejąc.

Nagle poczuł ostrą woń moczu. - Nie!

— Tak - odrzekł Manyoro. - Nandi postępują tak z jeńcami. Oddają mocz do otwartych ust, aż pojmani utoną. Nandi to nie ludzie, to pawiany. - Masaj nie krył pogardy i wrogości.

— Chciałbym znaleźć tych, którzy to zrobili - mruknął Leon, czując, jak odraza ustępuje miejsca gniewowi.

— Znajdziemy ich. Nie odeszli daleko.

Leon odwrócił wzrok od przyprawiającej o mdłości jatki, kierując oczy na krawędź uskołu tysięcy stóp ponad nimi. Uniósł miękki kapelusz i otarł pot z czoła wierzchem dłoni, w której trzymał służbowego webleya. Z wyraźnym wysiłkiem opanował emocje i ponownie spojrzął na ziemię.

- Najpierw ich pochowamy - powiedział Manyoro. - Nie możemy zostawić ciała sępom.

Ostrożnie przeszukali zabudowania. Były opustoszałe. Ani śladu urzędników rządowych, którzy uciekli w popłochu na pierwszy sygnał nadciągających kłopotów. Później Leon wysłał Manyoro i trzech askari, aby dokładnie sprawdzili plantację bananów i zabezpieczyli zewnętrzne granice borny.

W tym czasie udał się do mieszkania Turveyów - małej chatki za głównym budynkiem placówki. Ono także zostało dokładnie przetrząśnięte, choć Leonowi udało się znaleźć w szafie plik papierów, które przeoczyli napastnicy. Wetknął je pod pachę i wyszedł na zewnątrz. Wyciągnął paliki, którymi przybito

14

Turveyów, a następnie usunął kołki rozwierające usta. Zauważył zakrwawione wargi i kilka wyłamanych zębów. Umoczył chusteczkę w wodzie z menażki, ocierając twarze zmarłych z krwi i moczu. Próbował ułożyć ramiona wzdłuż tułowia, lecz stężenie pośmiertne to uniemożliwiło. Później owinął ciała w prześcieradła.

Ostatnie deszcze sprawiły, że ziemia na plantacji bananowców była miękka i wilgotna. Kiedy wraz z kilkoma askari objął straż, aby zapobiec nieoczekiwanemu atakowi, czterej pozostali żołnierze wykopali szpadlami rodzinny grób.

Na krawędzi ryftu, poniżej linii nieba, stali trzej mężczyźni wsparci na dzidach. Ukryli się za małymi krzakami, balansując na jednej nodze niczym odpoczywające bociany. W dole rozciągała się szeroka równina Wielkiego Rowu Wschodniego z brązowymi połaciami trawy poprzecinanymi ciernistymi krzewami, buszem i drzewami akacjowymi. Chociaż ogromny obszar sprawiał wrażenie jałowego,

znajdowały się na nim urodzajne pastwiska cenione przez Masajów, którzy przepędzali nimi swoje długorogie, garbate bydło. Po wybuchu ostatniego buntu przenieśli stada na południe, w bezpieczniejsze miejsce. Nandi cieszyli się sławą złodziei krów.

Tę część doliny pozostawiono dzikiej zwierzynie, której stada ciągnęły się aż po horyzont. Z dużej odległości widać było szare obłoki pyłu, który wzbijały stada zebr umykających płochliwie przed niewidocznym zagrożeniem. Gnu i bawoły przypominały ciemniejsze plamy na złocistym krajobrazie. Wysokie szyje żyraf sterczały wysoko niczym słupy telegraficzne ponad płaskimi wierzchołkami akacji, a antylopy mieniły się jak ulotne kremowe plamki, tańczące i lśniąco w skwarze dnia. Tu i ówdzie pomiędzy mniejszymi zwierzętami kroczyły dostojnie olbrzymy przypominające czarną wulkaniczną skałę, niczym ogromne transatlantyki przedzierające się przez ławice sardynek. Były to ogromne gruboskórne słonie i nosorożce.

15

Widok ten, pierwotny i wzbudzający zachwyt, trzem obserwującym go wojownikom wydawał się pospolity. Skupili uwagę na małej grupce budynków leżących poniżej. Budynki rządowej borny otaczał krąg zieleni, a u stóp muru okalającego plac płynęło źródło.

Najstarszy z trójki nosił kilt z lamparcich ogonów i nakrycie głowy z tego samego czarnego, nakrapianego złotymi plamami futra. Był to uroczysty strój czarownika plemienia Nandi. Mężczyzna zwał się Arap Samoei i od dziesięciu lat stał na czele powstania przeciw białym najeźdźcom i ich piekielnym machinom, które groziły zbezczeszczeniem świętych ziem należących do jego ludu. Ciało i twarz Nandi zdołały barwy wojenne. Obszar wokół oczu pomalowali czerwoną ochrą. Pasy tego samego koloru zdołały nosy i policzki. Nagie piersi pokrywało wapno palone, tworząc wzór jak na upierzeniu perlicy sępiej. Kilty sporządzono ze skór gazeli, a pióropusze - z futra małą i żenet.

— Mzungu i jego masajskie psy wpadli w pułapkę - zawy
rokował Arap Samoei. - Miałem nadzieję, że będzie ich więcej,
lecz siedmiu Masajów i jeden mzungu to i tak dobra zdobycz.

— Co robią? - zapytał stojący obok wódz Nandi, osłaniając
oczy i spoglądając w dół stromej zbocza.

— Kopiają dół, aby pochować białe ścierwo, które pozo
stawiliśmy - odrzekł Samoei.

— Mamy wymierzyć w nich nasze dzidy? - spytał trzeci
z wojowników.

— Tak - odpowiedział czarownik. - Mzungu zostawcie mnie. Chcę osobiście odciąć mu jaja. Przyrządzę z nich potężną miksturę. - Mówiąc to, dotknął rękojeści pangi zwisającej u pasa z lamparciej skóry. Był to krótki nóż o ciężkim ostrzu, ulubiona krótka broń Nandi. - Chcę słyszeć, jak kwiczy niczym guziec w paszczy lamparta, gdy będę go pozbawiał męskości. Im głośniej będzie wył, tym silniejsze otrzymamy lekarstwo. - Odwrócił się i podszedł do wierzchołka góry, aby wyjrzeć na otwartą przestrzeń, która się za nim rozciągała.

16

W niskiej trawie cierpliwie przykucnęli wojownicy, jeden szereg za drugim. Kiedy Samoei uniósł zaciśniętą pięść, czekający na sygnał impi skoczyli na równe nogi, nie wydając żadnego dźwięku, który mógłby ostrzec tropioną zwierzynę.

— Owoce dojrzały! - zawołał Samoei.

— Trzeba je ścinać! - odkrzyknęli chórem wojownicy.

— Do żniw!

Grób był gotowy i czekał, by złożono w nim nieboszczyków. Leon skinął Manyoro, który wydał ciche polecenie swoim ludziom. Dwaj z nich wskoczyli do dołu, a pozostali podali im owinięte w prześcieradła zwłoki. Ułożyli obok siebie dwa dziwaczne kształty, a pomiędzy nimi mniejszy. Żałosna mała grupka, którą na wieki zjednoczyła śmierć.

Leon ściągnął kapelusz i przyklęknął nad krawędzią. Manyoro nakazał gromadce swoich, aby stanęli za nim na pochyłości. Porucznik zaczął recytować słowa modlitwy. Choć askari nie rozumieli wypowiedzianych słów, wiedzieli, jakie miały znaczenie, słyszeli bowiem, jak biali wypowiadali je nad wieloma grobami.

- Bo Twoje jest królestwo, potęga i chwała na wieki.

Amen! - Leon skończył modlitwę i zaczął się podnosić, lecz zanim zdążył się wyprostować, upalne afrykańskie powietrze przeszył ogłuszający jazgot i wycie. Sięgnął do rękojeści rewol

weru spoczywającego w kaburze przy pasie i szybko rozejrzał

się wokół siebie.

Z gęstwiny bananowców wyskakiwali lśniący od potu tubylcy. Nandi nadciągali ze wszystkich stron, tańcząc, podskakując i groźnie wymachując dzidami. Promienie słońca lśniły w ostrzach włóczni \pang. Napastnicy uderzali drewnianym pałkami w tarcze pokryte niewyprawioną skórą, podskakując wysoko i biegnąc w kierunku małej gromadki żołnierzy.

- Do mnie! - krzyknął Leon. - Wszyscy do mnie!

Ładuj broń!

17

Askari zareagowali z wyuczoną dokładnością, w mgnieniu oka formując zwarty krąg, z karabinami gotowymi do strzału i bagnietami skierowanymi na zewnątrz. Leon szybko ocenił sytuację i stwierdził, że jego oddział został niemal całkowicie otoczony, tylko do głównego budynku borny prowadziło wąskie przejście. Nandi musieli się rozdzielić, aby ich okrążyć, dzięki czemu w ich szeregach powstał wąski korytarz.

- Ognia! - zawołał Leon. Odgłos wystrzału zagłuszyły

krzyki i walenie pałkami o tarcze. Zauważył, że upadł tylko

jeden Nandi, wódz noszący ozdobę ze skóry gerezy. Głowa

odskoczyła mu do tyłu, trafiona ciężką ołowianą kulą, i eks

plodowała w chmurze krwi. Leon wiedział, kto oddał strzał.

Manyoro miał wyjątkowo celne oko.

Impet ataku osłabł, gdy wódz runął na ziemię, lecz wściekły okrzyk stojącego z tyłu czarownika spowodował, że napastnicy pokonali obawy i ponownie ruszyli. Leon pomyślał, że czarownik jest przypuszczalnie niesławnym przywódcą powstania, samym Arapem Samoei. Oddał w jego kierunku dwa strzały, lecz dzieliło ich ponad pięćdziesiąt kroków, a mający krótką lufę webley był celny na niewielkie odległości. Żadna z kul go nie trafiła.

— Za mną! - krzyknął ponownie. - W zwartym szy

ku! - Ruszył pędem przez wąską szczelinę w szeregach Nandi,

kierując się w stronę głównego budynku. Mała gromadka postaci

w mundurach khaki niemal zdołała się przebić, lecz Nandi

zaatakowali ponownie, odcinając im drogę. Zaczęła się walka wręcz.

— Wziąć ich na bagnety! - wrzasnął, strzelając z webleya w wykrzywioną twarz napastnika, który stanął mu na drodze. Manyoro zatopił długi błyszczący bagnet w piersi Nandi i przez skoczył przez ciało, wyciągając ostrze. Leon biegł tuż za nim. Zanim przedarli się przez atakujących i dotarli na stopnie werandy, zabili trzech kolejnych ciosami bagnetów i strzałami z pistoletu. Z całego oddziału pozostali tylko oni dwaj. Inni leżeli na ziemi, podziurawieni dzidami.

18

Leon, sadząc po trzy stopnie, wpadł do głównego pomieszczenia przed otwarte drzwi. Manyoro zatrasnął je za nim. Podbiegli do okien i zaczęli strzelać do napastników. Ogień był tak skuteczny, że po kilku chwilach stopnie zatarasowały ciała zabitych. Pozostali czmychnęli w popłochu, rozbiegając się po plantacji.

Porucznik stanął w oknie, przeładowując pistolet i obserwując uciekających.

- Ile macie amunicji, sierżancie?! - zawołał w kierunku

Manyoro opartego o ścianę przy drugim oknie.

Rękaw tuniki Manyoro rozcięta panga, lecz krwi leciało niewiele i Manyoro zignorował ranę.

— Zostały mi tylko dwie kule, bwana - odparł. - Naboje są tam. - Wskazał za okno na bandolierzy zabitych askari leżących na placu apelowym w otoczeniu półnagich Nandi, których ze sobą zabrali w zaświaty.

— Musimy po nie pójść, zanim Nandi się przegrupują - powiedział Leon.

Manyoro zatrasnął zamek karabinu i oparł broń o parapet.

Leon wsunął pistolet do kabury i zamarł w drzwiach. Stali ramię przy ramieniu, zbierając siły. Manyoro spojrział na niego, a Leon odpowiedział uśmiechem. Cieszył się, że ma przy sobie wysokiego Masaja. Byli nierozłączni od czasu, gdy Leon przyjechał z Anglii i wstąpił do regimentu. Chociaż przebywał w Afryce niewiele dłużej niż rok, już łączyła go z Manyoro silna więź.

— Jesteście gotowi, sierżancie? - zapytał.

— Tak, bwanal

— Naprzód, strzelcy! - wydał okrzyk wojenny regimentu

i skoczył przez drzwi. Wypadli na dziedziniec równocześnie.

Stopnie były śliskie od krwi i zagrodzone ciałami, więc porucz

nik przeskoczył niski murek i ruszył pędem przed siebie.

Podbiegł do najbliższego martwego askari i przyklęknął. Po

spiesznie zarzucił na ramię ciężki pas z nabojami, a następnie

skoczył na równe nogi i ruszył do następnego trupa. Zanim do

19

niego dotarł, ze skraju plantacji bananów dobiegł gniewny szmer. Zignorował go i pochylił się nad kolejnym żołnierzem. Podniósł wzrok dopiero wówczas, gdy zarzucił na ramię drugi bandolier. Ruszył pędem na widok Nandi, którzy ponownie wyskoczyli na plac.

- Szybko do środka! - krzyknął do Manyoro, podobnie jak on obwieszono pasami z amunicją. Leon zatrzymał się, aby chwycić karabin zabitego askari, i popędził w kierunku werandy. Gdy dotarł na miejsce, obejrzał się przez ramię. Manyoro był kilka stóp za nim. Od pierwszych wojowników Nandi, biegnących szybko w ich stronę, dzieliła go odległość pięćdziesięciu kroków. - Ledwo zdążymy - mruknął do siebie, lecz w tej samej chwili spostrzegł, że jeden z napastników zdejmuje z ramienia ciężki łuk używany do polowań na słonie. Poczul zimny dreszcz na plecach. Nandi byli świetnymi łucznikami. - Cholera, biegnij! - krzyknął do Manyoro, widząc, że Nandi sięga po długą strzałę i przyciąga ciężką do policzka. Strzała poszybowała w powietrze. - Uważaj! - wrzasnął, lecz nadaremnie. Mógł jedynie obserwować, jak pocisk mknie w kierunku nieosłoniętych pleców Manyoro. - Boże, błagam - jęknął cicho. - Błagam. - Przez chwilę myślał, że stromo opadająca strzała przeleci obok, lecz później zrozumiał, że trafi w cel. Cofnął się w stronę Manyoro i zamarł w bezruchu, bezradnie obserwując bieg zdarzeń. Manyoro zasłaniał mu widok, ale usłyszał charakterystyczny odgłos towarzyszący przebijaniu ciała przez żelazo i ujrzał, jak sierżant pada na ziemię. Grot zarył się głęboko w tylnej części uda. Manyoro próbował zrobić kolejny krok, lecz przeszkodziła mu w tym rana. Leon ściągnął bandolier z ramienia i przerzucił go wraz z karabinem przez murek do wnętrza borny, a następnie ruszył pędem po towarzysza. Manyoro kuśtykał

w jego stronę na zdrowej nodze, powłócząc drugą. Drzewce strzały drgało w powietrzu. Leon wzdrygnął się, słysząc świst kolejnego pocisku, który przeleciał w odległości dłoni od jego ucha, by uderzyć w ścianę werandy.

20

Chwycił sierżanta pod pachę, a następnie popędzili w kierunku zabudowań. Zdumiało go, że Masaj, choć bardzo wysoki, jest niezwykle lekki. Leon ważył ze dwadzieścia funtów więcej. Dobiegł do murku i przerzucił przez niego Manyoro, pozwalając, by Masaj osunął się bezwładnie po drugiej stronie. Gdy sam przeskakiwał przeszkodę, usłyszał świst strzał, lecz je zignorował. Ujął sierżanta pod pachy i wciągnął do chaty.

Opuścił Manyoro na podłogę i sięgnął po karabin, który zabrał zabitemu askari. Odwrócił się do drzwi, załadował broń i powalił trupem wdrapującego się na murek Nandi. Szybko przeładował i oddał kolejny strzał. Kiedy magazynek był pusty, zatrzasnął drzwi. Chociaż wykonano je z ciężkich mahoniowych desek, a framuga była mocno osadzona w grubych ścianach, zadrżały, gdy z drugiej strony naparli na nie wojownicy Nandi. Leon wyciągnął pistolet i strzelił dwukrotnie, mierząc między deski. Z werandy doleciał jęk bólu. Czekał na kolejny atak, lecz usłyszał jedynie ciche szepty i tupot stóp. Nagle pomalowana barwami wojennymi twarz mignęła w oknie. Leon wycelował, lecz zanim nacisnął spust, za jego plecami rozległ się strzał. Głowa Nandi zniknęła.

Odwrócił się i zobaczył, że Manyoro podpełzł do karabinu, ustawionego obok drugiego okna. Oparł się na parapecie i stanął na zdrowej nodze. Kiedy strzelił ponownie, Leon usłyszał głuchy odgłos kuli przeszywającej ciało i kolejny Nandi osunął się na werandę.

— Morani! Dzielny wojownik! - pochwalił. Słyszając te

słowa, Manyoro wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Nie zrzucaj na mnie całej roboty, bwana. Stań przy

tamtym oknie!

Leon wetknął rewolwer do kabury, podniósł karabin i załadował broń. Dwa magazynki, dziesięć strzałów. Lee-enfield świetnie leżał w dłoniach i był bardzo lubiany przez żołnierzy.

Zaczął strzelać przez okno. Razem z Manyoro zasypali plac apelowy gradem pocisków, zmuszając Nandi do ukrycia się za drzewami. Manyoro oparł się o ścianę i powoli osunął na

21

podłogą, wyciągając nogi przed siebie. Ułożył ranne udo tak, by drzewce strzały nie dotykało desek.

Leon spojrział na plac i upewniwszy się, że nie został na nim żaden Nandi, odszedł od okna, zbliżając się do sierżanta. Przyklęknął i ostrożnie ujął drzewce. Manyoro się wykrzywił. Porucznik pociągnął drzewce, lecz żelazny grot nawet nie drgnął. Chociaż Manyoro milczał, na jego twarzy pojawił się pot, który po chwili zaczął kapać na bluzę.

- Nie mogę jej wyciągnąć. Odłamię drzewce i przewiążę ranę - wyjaśnił.

Manyoro patrzył na niego dłuższą chwilę, a następnie uśmiechnął się, odsłaniając duże, równe białe zęby. W małżowinach uszu przedziurawionych w dzieciństwie tkwiły wykonane z kości słoniowej krążki; ozdoba ta nadawała jego twarzy szelmowski, figlarny wygląd.

- Naprzód, strzelcy! - powiedział Manyoro, małpując ulubioną minę Leona, która w obecnych okolicznościach była tak groteskowa, że porucznik zachichotał, jednocześnie odłamując drzewce powyżej krwawiącej rany. Manyoro zamknął oczy, lecz nawet nie jęknął.

Leon znalazł opatrunek w chlebaku zabranym askari i zabandażował ranę. Następnie odchylił się, aby ocenić swoje dzieło. Odpiął manierkę od pasa, odkręcił i pociągnął spory łyk, a później podał ją Manyoro. Masaj się zawahał. Askari nie pili wody z manierek oficerów. Leon wcisnął mu ją do rąk.

- Cholera, pij - powiedział. - To rozkaz!

Manyoro odchylił głowę i uniósł naczynie. Wlał wodę do ust, nie dotykając gwintu wargami. Grdyka poruszyła się, gdy pociągnął trzy łyki. Mocno zakręcił manierkę i oddał Leonowi.

- Słodka jak miód - rzekł z zadowoleniem.

— Wyjdziemy, gdy tylko zapadnie zmrok - powiedział Leon.

Manyoro zastanowił się nad jego słowami.

— Dokąd chcesz pójść?

- Tam, skąd przyszliśmy - odrzekł porucznik, podkreślając liczbę mnogą. - Musimy dotrzeć do torów kolejowych.

22

Sierżant zachichotał.

, Co cię tak rozbawiło, morani? - spytał Leon.

, To prawie dwa dni drogi - przypomniał mu Masaj, potrząsając z rozbawieniem głową. Dotknął wymownie obandażowanej nogi. - Pójdiesz sam, bwana.

— Myślisz, że cię zostawię, Manyoro? Wiesz, że byłoby to rażące pogwałcenie... - Przerwał, widząc ruch za oknem.

Podniósł karabin i oddał trzy strzały w kierunku placu. Kula musiała dosięgnąć celu, ponieważ usłyszał odgłos uderzenia, po którym nastąpił jęk bólu i ryk gniewu. - Pawiany! Pawiani pomiot! - warknął. Wypowiedzenie tej zniewagi w języku kisuahili sprawiło mu przyjemność. Położył karabin na kolanach i załadował. - Będę cię niósł - rzekł, nie podnosząc wzroku.

— Przez dwa dni, bwana? Mając na karku całe plemię Nandi? - zapytał z szelmowskim uśmiechem. - Czy to właśnie chciałeś powiedzieć?

— Czy mądry i dowcipny sierżant ma lepszy plan? - spytał zaczepnie Leon.

— Dwa dni! - rzekł z podziwem Manyoro. - Powinienem być nazwać cię "koniem".

— Przemów, mędrco. Oświeć mnie - powiedział po chwili milczenia Leon.

— Nie jesteśmy na ziemiach Nandi - odrzekł po chwili milczenia Manyoro. - To pastwiska mojego ludu. Te parszywe kundle weszły na terytorium Masajów.

Leon skinął głową, chociaż na jego mapach wojskowych nie zaznaczono tych granic, nie wspomniano o nich również w rozkazach. Przełożeni Leona przypuszczalnie nie znali dokładnej mapy ziem plemiennych, lecz Leon odbył z Manyoro wiele pieszych patrolów przed wybuchem ostatniego powstania.

— Wiem, już mi to tłumaczyłeś. Przedstaw lepszy plan,
Manyoro.

— Jeśli wyruszysz w stronę torów kolejowych...

- Jeśli wyruszymy w tamtą stronę.

Manyoro lekko skinął głową na znak zgody.

23

- Jeśli wyruszymy w stronę torów, wejdziemy na ziemie
Nandi, a wówczas nabiorą śmiałości i będą nas dręczyć jak
stado hien. Gdy jednak skierujemy się ku dolinie... - wskazał
brodą na południe - ...zapuścimy się głębiej na terytorium
Masajów. Jeśli Nandi zaczną nas ścigać, każdy krok napełni
lakiem ich wnętrzości. Nie odważą się długo iść naszym
śladem.

Leon zastanowił się chwilą i pokręcił głową.

— Na południe stąd rozciągają się pustkowia. Musisz
trafić do lekarza, w przeciwnym razie wda się gangrena
i stracisz nogą.

— Na południe stąd, w odległości niecałego dnia marszu,
leży manyatta mojej matki - wyjaśnił Manyoro.

Leon spojrział na niego ze zdumieniem. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że Manyoro może mieć
rodziców.

— Nie usłyszałeś, co powiedziałem - rzekł, gdy otrząsnął
się z szoku. - Potrzebujesz opieki lekarskiej, kogoś, kto
wyciągnie tę strzałę.

— Moja matka jest najlepszym lekarzem w kraju Masajów.

Jej mądrość znają wszyscy od oceanu po wielkie jeziora. Ocaliła życie setek naszych morani, ugodzonych dzidą i strzałą lub poranionych przez lwa. Ma leki, o których nie śniło się nawet waszym białym lekarzom w Nairobi. - Manyoro oparł się plecami o ścianę. Jego skóra poszarzała, a woń potu nabrała zjełtzej woni. Patrzyli na siebie przez chwilę.

— Dobrze. - Leon skinął głową. - Ruszymy na południe, w głąb doliny. Opuścimy borną o zmierzchu, przed wschodem księżyca.

Manyoro podniósł głowę, wdychając parne powietrze jak pies tropiący zwierzyną, który wyczuł daleką woń.

— Nie, bwana. Jeśli mamy wyruszyć, musimy zrobić to teraz. Czujesz to co ja?

— Dym - szepnął Leon. - Te świny chcą nas wykurzyć. - Wyrztał przez okno. Plac przed borną był pusty, lecz wiedzieli, że nieprzyjaciół nie zaatakują ponownie z tam-

24

tej strony. W tylnej ścianie budynku nie było okien. Nadejdą z tamtej strony. Przyjrzał się liściom najbliższego bananowca, szeleszczącym na lekkim wietrze. - Wieje ze wschodu - szepnął. - To dobrze. - Spojrzał na Manyoro. - Zabierzemy niewiele, trzeba będzie zostawić karabiny i bandolierę. Weźmiemy bagnety i po manierce wody. Nic więcej. - Mówiąc to, sięgnął po chlebaki, które zabrali zabitym. Związał trzy paski, tworząc pętlę, którą przełożył przez głowę i zarzucił na prawe ramię tak, że koniec zwiisał poniżej lewego biodra. Następnie przelał wodę zabitych do manierki swojej i Manyoro. - Wypijemy to, czego nie zdołamy zabrać.

Wykończyli resztkę zapasów wody.

- Wstawajcie, sierżancie. - Wsunął rękę pod pachę Manyoro i pomógł mu wstać. Sierżant balansował na zdrowej koźczyźnie, przywiązując do pasa manierkę i bagnety. Nagle usłyszeli głośnie uderzenie na krytym strzechą dachu. - Pochodnie! - krzyknął Leon. - Weszli od tyłu na dach. Rzucają płonące główne na

słomę. - Usłyszeli kolejny stuk i pokój wypełniła silna woń dymu. - Pora ruszać - mruknął, gdy smuga ciemnego dymu zaczęła wpływać przez okno, a następnie przesunęła się w poprzek placu, ku linii drzew. Usłyszeli dalekie monotonne śpiewy i radosne okrzyki Nandi, gdy dym stał się tak gęsty, że sięgali wzrokiem nie dalej niż na odległość wyciągniętego ramienia. Trzask płomieni przerodził się w głośny huk, który stłumił głosy Nandi. Dym był gorący i duszący. Leon oderwał rękaw koszuli i podał go Manyoro. - Zasłoń twarz! - polecił, zakrywając chusteczką nos i usta. Później pomógł Manyoro wyjść przez otwór okienny i ruszył za nim.

Manyoro pochylił się do przodu i skoczył przed siebie. Przywarli do muru. Leon rozglądał się wokół, gdy przesuwali się w róg werandy. Zeskoczyli na drugą stronę i przystanęli na chwilę, aby rozejrzeć się w gęstych obłokach dymu. Wokół wirowały iskry, parząc odsłoniętą skórę nóg i ramion. Pobiegli przed siebie tak szybko, jak tylko Manyoro mógł kuśtykać na jednej nodze. Leon wyczuł za plecami lekki wietrzyk. Krztusili

25

się dymem, a oczy piekły ich i łzawiły. Tłumili kaszel, zasłaniając usta tkaniną. Nagle nieoczekiwanie znaleźli się wśród drzew.

Dym nie przestawał gęstnieć. Szli przed siebie z bagnetami w rękach, bo wróg w każdej chwili mógł zaatakować. Leon zauważył, że Manyoro opada z sił. Wędrowali w szaleńczym tempie, którego nie mógł wytrzymać ranny Manyoro. Teraz opierał się całym ciężarem na ramieniu Leona.

— Nie możemy stawać, dopóki się nie oddalimy - szepnął.

— Mogę biec na jednej nodze tak szybko, jak ty na dwóch - wy sapnął Manyoro.

— Chcesz się założyć o sto szylingów, samochwale? -

Zanim sierżant zdążył odpowiedzieć, Leon chwycił go ostrze gawczo za ramię. Stanęli, nasłuchując i próbując przeniknąć wzrokiem dym. Dziwny odgłos rozległ się ponownie. Przed nimi ktoś zakrztusił się dymem. Leon zdjął dłoń z ramienia

Manyoro i szepnął bezgłośnie: - Poczekaj tu.

Przykucnął i ruszył przed siebie z bagnetem w dłoni. Nigdy wcześniej nie zakłuł człowieka, lecz w szkole ich tego uczoneo. Nagle wyrosła przed nim ludzka postać. Leon skoczył i uderzył rękojeścią bagnetu w bok głowy z taką siłą, że tamten upadł na kolana. Zaciśnął ramię wokół szyi Nandi, aby go uciszyć. Okazało się, że wojownik wysmarował ciało oliwą z palmy. Był śliski jak ryba i stawiał gwałtowny opór. Prawie

udało mu się wywinąć, lecz Leon wbił mu bagnet pod żebra. Był zdumiony, jak łatwo stał przeszły ciało.

Nandi zdwoił wysiłki, próbując krzyknąć, lecz Leon trzymał go za gardło, tłumiąc wszelkie odgłosy. Gwałtowna szamotanina umierającego sprawiła, że ostrze poruszało się w piersi. Leon obracał nim i wbijał stał coraz głębiej. Nagle ciało Nandi konwulsyjnie drgnęło i z ust trysnęła mu ciemna krew. Leon poczuł na twarzy drobne kropelki, a ramiona miał całe uwalane na czerwono. Nandi drgnął ostatni raz i zwiotczał.

Leon trzymał go jeszcze chwilę, aby upewnić się, że nie żyje, a następnie odepchnął i wrócił chwiejnym krokiem do Manyoro.

26

Chodź - wychrypiał. Ponownie ruszyli naprzód. Manyo-

ro szedł wsparty na jego ramieniu, potykając się i kołysząc.

Nagle ziemia się osunęła i obaj zaczęli spadać po stromym, błotnistym zboczu, aż wylądowali na brzegu płytkiego strumienia. Dym nieco osłabł. Z uczuciem ulgi porucznik zauważył, że posuwają się we właściwym kierunku. Dotarli do płynącego na południe strumienia, który miał źródło przy bomie.

Leon przyklęknął w wodzie i obmył twarz, chłodząc podrażnione oczy i zmywając z rąk krew Nandi. Zaczął chciwie pić. Zakrztusił się i wypluł ostatni łyk, krtań podrażnił mu dym. Usłyszał dolatujące z oddali głosy. Odczekał kilka minut, aby odzyskać siły i upewnić się, że nikt nie idzie ich śladem, a następnie przeszedł na płyciznę, gdzie przykucnął Manyoro.

- Pokaż. - Usiadł obok sierżanta, kładąc jego nogę na swoich kolanach. Opatrunek był uwalany wodą i błotem. Porucznik rozwinął bandaż i stwierdził, że wysiłek związany z ucieczką jedynie powiększył ranę. Udo Manyoro bardzo spuchło, a ciało wokół rany, z której sterczało złamane drzewce, było sine i zaognione. Z rany płynęła krew. - Śliczna - mruknął, delikatnie obmacując kończynę powyżej kolana. Manyoro nie zaprotestował, choć jego źrenice rozszerzyły się z bólu, gdy Leon dotknął czegoś pod skórą. - Co my tu mamy? - Gwizdnął cicho. W mięśniu uda Manyoro, powyżej kolana, tuż pod skórą tkwiło obce ciało. Zbadał je palcem, wywołując grymas bólu na twarzy sierżanta. - To czubek strzały - rzekł po angielsku, a następnie dodał w języku kisuahili: - Strzała przeszła niemal na wylot. - Niewyobrażalne cierpienie malujące się na twarzy Manyoro sparaliżowało Leona. Spojrzał w niebo. Wieczorny wiatr rozproszył dym, odsłaniając zachodnią krawędź skarpy oświetloną ognistoczerwonymi promieniami zachodzącego słońca. - Udało nam się wymknąć. Wkrótce zapadnie zmrok - powiedział, me patrząc w oczy Manyoro. - Możesz odpocząć, dopóki się nie ściemni. Będziesz potrzebował sił. Czeka nas druga noc. - Oczy nadal go piekły od dymu. Mocno zacisnął

27

powieki, lecz po chwili je otworzył. Usłyszał głosy nadciągające od strony borny.

- Znaleźli nasze ślady - wyszeptał Manyoro. Przykucnęli przy brzegu strumienia. Nandi nawoływali się cicho wśród bananowców niczym tropiciele podążający za krwawym tropem.

Leon zrozumiał, że jego optymizm był nieuzasadniony. Prześladowcy szli za śladami jego butów. Zwiększony ciężar sprawiał, że podeszwy odciskały się wyraźnie w miękkiej ziemi.

Nad strumieniem nie mieli się gdzie ukryć, więc wyciągnął bagnet zza pasa i położył się tuż przy brzegu. Gdyby tropiciele spojrzeli w dół i ich zauważyli, byłby wystarczająco blisko, aby się na nich rzucić. Gdyby Nandi nie było wielu, uciszyłby ich, zanim wzniesiliby alarm i ściągnęli im na kark pozostałych.

Głosy przybliżyły się jeszcze bardziej. Leon miał wrażenie, że prześladowcy dotarli do brzegu strumienia. Zebrał siły, lecz w tej samej chwili od strony borny dały się słyszeć krzyki.

Tropiciele wrócili pośpiesznie tam, skąd przybyli.

Ruszył wzdłuż brzegu do Manyoro.

— To ostatnia chukka * w tej rozgrywce - powiedział, poprawiając mu opatrunek.

— Czemu wrócili?

— Myślę, że znaleźli tego, którego zabiłem. Nie sądzę, aby zbyt późno to pościg. Wrócą niebawem.

Podniósł Manyoro, obejmując go prawym ramieniem, i na wpół poniósł, na wpół pociągnął na przeciwległy brzeg strumienia.

Chwila odpoczynku przy strumieniu nie poprawiła stanu Manyoro. Brak ruchu sprawił, że mięśnie wokół rany zesztwniały. Kiedy Masaj próbował się oprzeć na rannej nodze, ta zadrżała i byłby upadł, gdyby Leon go nie podtrzymał.

- Od tej pory możesz nazywać mnie koniem - rzekł,
biorąc go na plecy. Manyoro jęknął z bólu, gdy ranna noga
zakotłowała się i ugięła w kolanie, ale po chwili zacisnął zęby

* Część meczu polo.

28

i nie wydał więcej żadnego dźwięku. Leon dopasował pas tak, by Manyoro mógł się na nim oprzeć, wysuwając nogi na zewnątrz jak małpa siedząca na słupie. Leon ujął je niczym rączki taczki, aby zapobiec niepotrzebnemu ruchowi rannej kończyny, i ruszył do podnóża skarpy. Kiedy znaleźli się w buszu zasłona dymu, która ich wcześniej otaczała, zamieniła się w jasnoszare pasma. Słońce stało nisko, balansując na wierzchołku skarpy niczym ognista kula. Ciemności zaczęły gęstnieć.

Piętnaście minut - wyszeptał chrapliwie. - Tylko tyle

potrzebujemy. - Dotarli do krzaków rosnących wzdłuż podnóża skarpy. Zarośla były gęste i dostarczały im pewnej osłony. Pofałdowany obszar zapewniał dodatkową ochronę, gdyż nie można było daleko sięgnąć wzrokiem. Mając instynkt i wzrok myśliwego, Leon wykorzystywał ukształtowanie terenu, tak by chroniło ich przed przepatrującymi okolicę Nandi. Wydawało się, że umknęli pościgowi, lecz było jeszcze zbyt wcześnie, aby zyskać pewność. Osunął się na kolana, a następnie delikatnie przekręcił na bok, aby oszczędzić Manyoro zbędnych wstrząsów. Przez jakiś czas żaden z nich się nie poruszył ani nie wypowiedział słowa. Później Leon powoli usiadł i poluzował pas, aby Manyoro mógł wyprostować ranną nogę. Odkręcił manierkę i podał towarzyszowi. Kiedy się napili, wstał i rozprostował mięśnie. Wszystkie ścięgna oraz mięśnie nóg i grzbietu błagały o odpoczynek. - To zaledwie początek - rzekł ponuro. - Odpocznijemy dopiero jutro rano.

Zaniknął oczy, lecz otworzył je ponownie, czując bolesny skurcz łydki. Usiadł, energicznie masując nogę.

Manyoro dotknął jego ramienia.

— Podziwiam cię, bwana. Jesteś człowiekiem z żelaza, nie
jesteś też głupi. Wielką głupotą byłoby, gdybyśmy tu obaj
zginęli. Zostaw mi pistolet i idź. Zostanę i zabiję Nandi, którzy
nadejdą.

— Ty skomlący sukinsynu! - warknął Leon. - Biadolisz
jak baba! Jeszcze nie zaczęliśmy na dobre, a ty już chcesz
skapitulować. Włóż mi na plecy, zanim splunę na miejsce,

w którym leżysz. - Wiedział, że jego gniew jest przesadzony, lecz wszystko go bolało, a poza tym się bał.

Tym razem Manyoro potrzebował więcej czasu, aby usadowić się w pętli. Po przejściu stu kroków Leon poczuł, że nogi odmawiają mu posłuszeństwa. I kto jest skomlącym sukinsynem, Courtney? - pomyślał. Z trudem zapanował nad bólem i po chwili poczuł, jak nogi odzyskują siłę. Szedł wolno, zmuszając się do ciągłego ruchu. Jeszcze jeden krok. Tylko jeden. A teraz kolejny. I jeszcze jeden.

Wiedział, że gdyby się zatrzymał, aby odpocząć, nigdy by się nie podniósł, toteż szedł, aż na niebie ukazał się księżyc stojący wysoko ponad wschodnią ścianą ryftu. Obserwował, jak dostojnie sunie po niebie księżyc, który wyznaczał upływ kolejnych godzin równie wyraźnie jak dźwięk dzwonka. Leon wiedział, że żyje, bo czuł gorączkę ogarniającą jego spocone ciało.

Kiedy księżyc zaczął zachodzić za wysoką czarną ścianę zachodniej skarpy znajdującej się po ich prawej stronie, pod drzewami ukazały się dziwaczne cienie. Umysł zaczął płatać mu figle. Raz usłyszał ryk lwa w wysokiej trawie. Wyciągnął webleya z kabury, lecz zanim zdążył wycelować, lew zamienił się w kopiec termitów. Zachichotał niepewnie.

- Głupcze! Następnym razem ujrzysz elfy i gnomy - powiedział na głos.

Włókł się z rewolwerem w dłoni, obserwując, jak zjawy ukazują się przed nim i znikają. Kiedy księżyc zawisł w połowie nieboskłonu, opuściły go resztki sił jak woda przeciekająca przez palce złożonych dłoni. Zatoczył się i omal nie upadł. Z ogromnym wysiłkiem zapanował nad nogami i odzyskał równowagę. Stał w szerokim rozkroku, zwiesiwszy głowę. Był u kresu wytrzymałości i zdawał sobie z tego sprawę.

Poczuł, że Manyoro poruszył się na jego plecach, a później nieoczekiwanie zaczął śpiewać. Początkowo nie mógł rozpoznać słów, ponieważ głos Masaja był świszczący, cichy jak poranny wiatr w trawach sawanny. Później otępiały zmęczeniem umysł

powtórzył jak echo słowa Pieśni lwa. Leon słabo znał język niaa, którym posługiwali się Masajowie. Manyoro nauczył go kilku słów. Była to mowa skomplikowana, pełna subtelnych odcieni, niepodobna do innych, lecz Manyoro był cierpliwym nauczycielem, a Leon miał talent do języków.

Młodzi masajscy mor ani uczyli się Pieśni lwa przed obrzędem obrzezania. Poddawani inicjacji, wykonywali taniec na sztywnych nogach, kołysząc się w powietrzu tak lekko jak stado ptaków unoszące się do lotu. Ubrani w czerwone, przypominające togę shuki, rozpościerali poły niczym skrzydła.

Jesteśmy młodymi lwami.

Ziemia drży, gdy ryczymy.

Dzidy to nasze kły.

Włócznie to nasze pazury.

Strzeżcie się nas, dzikie zwierzęta.

Strzeż się nas, nieznajomy.

Odwróćcie oczy od naszych twarzy, kobiety.

Jesteśmy braćmi, których napętnia duma lwa.

Jesteśmy młodymi lwami.

Jesteśmy Masajami.

Masajowie nucili tę pieśń, gdy wyprawiali się po cudze bydło i kobiety pomniejszych plemion. Intonowali ją, kiedy aby dowieść swojego męstwa, szli polować na lwy, uzbrojeni jedynie w assegai. Jej słowa dodawały im odwagi do walki. Pieśń lwa była wojennym zawołaniem Masajów. Manyoro ponownie zaczął śpiewać, a Leon przyłączył się do niego, mrużąc pod nosem, kiedy nie pamiętał słów. Masaj ścisnął jego ramię i szepnął:

- Śpiewaj! Jesteś jednym z nas. Masz serce lwa i siłę wielkiego czarnego konia. Masz odwagę i serce Masaj a. Śpiewaj!

Wlekli się na południe. Nogi Leona poruszały się w takt hipnotyzującej pieśni. Myśli dziko wirowały, płacząc rzeczywistość z fantazją. Poczul, że siedzący mu na plecach Masaj stracił

31

przytomność. Potknął się, lecz w tej samej chwili zauważył, że nie jest sam. Z ciemności wyłoniły się kochane, dobrze znane twarze. Ujrzał ojca i czterech braci, zachęcających go, aby szedł dalej. Kiedy podszedł, cofnęli się, a głosy osłabły. Każdy powolny, ciężki krok odbijał się echem we wnętrzu czaszki. Bywało, że nie słyszał nic prócz głuchego dudnienia. Kiedy indziej otaczały go miriady krzyjących i zawodzących głosów, słyszał muzykę bębnów i skrzypiec. Próbował zignorować kakofonię dźwięków, która pchała go na granicę obłądka.

- Zostawcie mnie! - krzyknął, by odpędzić zjawy. - Pozwólcie przejść! - Widma odplynęły, a on szedł dalej, aż nad szczytem urwiska ukazała się krawędź tarczy wschodzącego słońca. Nagle nogi się pod nim ugięły i upadł, jakby ktoś trafił go w głowę.

Obudził się, czując na plecach żar słońca, lecz gdy próbował się podnieść, dostał zawrotów głowy. Nie pamiętał, gdzie jest ani jak się tu znalazł. Słuch i powonienie płatały mu figle - zdawało mu się, że czuje zapach bydła, słyszy, jak uderzają kopytami twardą ziemię i muczą żałośnie. Później do jego uszu doleciały donośne nawoływania dzieci. Kiedy jedno z nich się roześmiało, zrozumiał, że dźwięk jest zbyt

wyraźny, aby był urojeniem. Odsunął Manyoro i wolno podniósł się na łokciu. Rozejrzał się wokół zapuchniętymi oczami, mrużąc powieki od słońca i pyłu.

Ujrzał przed sobą duże stado bydła różnej maści, z garbem i rozłożystymi rogami. Zwierzęta przechodziły obok miejsca, w którym leżeli. Także dzieci były realne - trzech nagich chłopców trzymających kije, którymi zapędzali bydło do wodopoju. Zauważył, że są obrzezani, zatem byli starsi, niż początkowo sądził. Przepuszczalnie mieli od trzynastu do piętnastu lat. Nawoływali się w języku maa, lecz nie mógł zrozumieć ani słowa. Usiadł z trudem. Najwyższy chłopiec zauważył ruch i zamarł. Skonsternowany, spojrzął na Leona, gotów rzucić się do ucieczki, lecz zapanował nad lękiem, tak jak każdy Masaj, który niebawem miał zostać morani.

32

. Kim jesteś? - spytał, wykonując groźny gest kijem,

choć głos mu się łamał i drżał. Leon rozumiał proste słowa i wyzwanie.

- Jestem przyjacielem - odrzekł chrapliwie. - Jestem

przyjacielem i potrzebuję pomocy.

Pozostali usłyszeli dziwny głos i przystanęli, aby przyjrzeć się twarzy, która wyłoniła się z trawy.

Najstarszy i najodważniejszy z chłopców zrobił kilka kroków w stronę Leona, a następnie przystanął, aby spojrzeć na niego poważnie. Zadał inne pytanie w języku maa, lecz Leon nie rozumiał, o co chodzi.

Zamiast odpowiedzi, posadził Manyoro obok siebie.

- Brat! - powiedział. - Ten człowiek jest waszym

bratem!

Chłopak podszedł kilkoma szybkimi krokami i obejrzał Manyoro, a następnie odwrócił się do towarzyszy, wydając polecenia i szerokim gestem posyłając ich na sawannę. Leon rozumiał tylko jedno słowo: "Manyoro".

Młodszy chłopcy popędzili w kierunku grupki szałasów znajdujących się w odległości pół mili. Ogrodzone cierniami domy były kryte strzechą i utrzymane w tradycyjnym stylu Masajów. Była to manyatta, wioska Masajów. Pobliską zagrodę, do której na noc zapędzano bydło, otaczała palisada. Starszy z chłopców podszedł do Leona i przykucnął.

— Manyoro! - powiedział z podziwem i zdumieniem,

wskazując na Masaja.

— Tak, Manyoro - przytaknął Leon, poruszając chwiejnie

głową.

Chłopak coś wykrzyknął i zaczął mówić z wyraźnym podnieceniem. Z potoku słów Leon zrozumiał jedynie słowo "wuj". Zamknął oczy i położył się na wznak, zasłaniając oczy ramieniem przed jaskrawymi promieniami słońca.

- Zmęczony... - wymamrotał. - Bardzo zmęczony.

Stracił przytomność, a gdy się ocknął, zobaczył, że otacza

ich mała gromadka wieśniaków. Nie miał wątpliwości, że to Masajowie. Mężczyźni byli wysocy. W przedziurawionych

małżowinach usznych dostrzegł duże zdobione dyski i rzeźbione tabakierki z kości. Nie nosili bielizny pod długimi, czerwonymi szatami, dumnie i ostentacyjnie odsłaniając genitalia. Kobiety były wysokie jak na swoją płeć. Miały gładko wygolone głowy i liczne, bogato zdobione naszyjniki dyndające na obnażonych piersiach. Skąpe, ozdobione paciorkami spódniczki ledwie osłaniały przyrodzenie.

Patrzyli ciekawie, jak Leon się podnosi. Młodsze kobiety zachichotały, szturchając się łokciami na widok dziwnego stworzenia. Pomyślał, że nigdy wcześniej nie widziały białego człowieka.

- Manyoro! - zawołał, aby zwrócić ich uwagę. Wskazał

na towarzysza i zapytał: - Mama? Mama Manyoro? - Spoj

rzeli na niego z podziwem.

Najmłodsza i najładniejsza z dziewcząt zrozumiała, co próbuje powiedzieć.

- Lusima! - krzyknęła, wskazując na wschód w kierunku

odległego, błękitnego pasa nieba nad krawędzią urwiska. -

Lusima Mama!

Odgadł, że tak nazywa się matka Manyoro. Na szczęście się zrozumieli. Leon udał, że podnosi rannego, i wskazał wschód.

- Zabierzcie Manyoro do Lusimy. - Po chwili zadowo

lenia nastąpił moment konsternacji.

Piękna dziewczyna ponownie odgadła, o co mu chodzi. Tupnęła i powiedziała coś gniewnie do mężczyzn. Kiedy się zawahali, rzuciła się z pięściami na budzących trwożą wojowników. Pociągnęła nawet jednego za wymyślną fryzurę. W końcu odpowiedzieli na jej ponaglenia pełnym wstydu rechotem. Dwóch pobiegło do wioski i wróciło z długą, grubą tyczką, do której przymocowali hamak wykonany ze

skórzanych szat związanych rogami. W ten sposób powstała mushila, nosze. Po chwili umieścili na nich nieprzytomnego Manyoro. Czterech mężczyzn podniosło nosze i ruszyło truchtem na wschód, zostawiając Leona w pyłe. Śpiew mężczyzn i zawodzenie kobiet ustały.

34

Courtney zamknął oczy, próbując wykrzesać z siebie dość sił aby wstać i podążyć za nimi. Kiedy ponownie otworzył oczy, odkrył, że nie jest sam. Obok stali w szeregu trzech nadzy chłopcy, którzy go znaleźli, i patrzyli na niego poważnie. Najstarszy powiedział coś i wykonał rozkazujący gest. Leon dźwignął się posłusznie na kolana, a następnie stanął. Chłopak podszedł i pociągnął go rozkazująco za rękę.

.- Lusima - powiedział.

Jego przyjaciel ujął drugą dłoń Leona.

— Lusima - powtórzył, ciągnąc go do przodu.

— Dobrze. Nie ma, widać, innego wyboru - przytaknął. -

Niech będzie Lusima. - Dotknął palcem piersi najstarszego chłopca. - Jak się nazywasz? Jak ci na imię? - spytał w języku maa. Było to jedno ze zdań, których nauczył go Manyoro.

— Loikot! - odrzekł dumnie chłopak.

— Loikocie, zaprowadź mnie do Lusimy Mamy. Pokaż mi drogę.

Ruszył między nimi, kuśtykając ku dalekim błękitnym wzgórzom w ślad za mężczyznami niosącymi nosze z Manyoro.

Kiedy ruszyli na południe, Leon dostrzegł samotną górę wyrastającą pośrodku szerokiej równiny. Początkowo wydawała się fragmentem wschodniego urwiska, stosunkowo niewielkim na ogromnych połaciach rozległego płaskowyżu, gdy jednak podeszli bliżej, zorientował się, że wznosi się samotnie. Odstąpiła przed nimi swój majestatyczny ogrom skrywany wcześniej przez dzielącą ich odległość. Góra była wyższa i bardziej stroma od wznoszącej się za nią ściany ryftu. Niższe zbocza porastały dostojne gaje akacyjne z listowiem rozpiętym niczym parasol, wyżej ustępowały miejsca gęstemu lasowi, a wierzchołek przypuszczalnie znajdował się ponad warstwą obłoków, otoczony nagą szarą skałą niczym wałem opasującym twierdzę. Kiedy zbliżyli się do tego masywnego naturalnego bastionu, Leon zauważył, że wierzchołek porasta wielki las. Źródłem

wilgoci były przypuszczalnie obłoki otaczające górę. Nawet z tej odległości widział, że rozłożyste górne konary są przystrojone pnącym powojnikiem i kwiatami storczyków. Gęste listowie najwyższych drzew zdobiły kwiaty o żywych barwach przypominających ślubne bukiety. Orły i inne ptaki drapieżne gnieździły się na urwiskach poniżej wierzchołka i żeglowały na szeroko rozpostartych skrzydłach po błękitnym niebie.

Po południu dotarli do podnóża góry. Masajowie i Manyoro znacznie ich wyprzedzili - dostrzegł ich w połowie ścieżki wijącej się po stromym zboczu. Leon zdołał pokonać jedynie dwieście stóp ścieżki. Usiadł w cieniu akacji, gdyż nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Rozwiązał sznurówki. Kiedy zdjął obuwie, jęknął z bólu. Wetniane skarpety zeszywniały od czarnej zaschniętej krwi. Zdjął je ostrożnie i spojrzał z przerażeniem na swoje stopy. Wraz z tkaniną zeszyły całe płaty skóry. Pięty przypominały krwawe rany. Podeszwy pokrywały liczne postrzępione pęcherze, a palce wyglądały tak, jakby zostały przeżute przez szakale. Trzej mali Masajowie otoczyli go półkolem, oglądając rany i naradzając się z wyraźnym zadowoleniem.

Loikot ponownie objął komendę, wydając szczekliwe polecenia. Dwaj pozostali ruszyli truchtem do buszu. W zielono-szarych krzakach rosnących pod akacjami pasło się małe stado długorogich krów Masajów. Po kilku minutach wrócili, niosąc w dłoniach wilgotny nawóz. Kiedy zrozumiał, że chcą zrobić mu okład, dał jasno do zrozumienia, że nie da się zastraszyć Loikotowi. Chłopcy nie dawali za wygraną, nagabując go, gdy dał na pasy rękawy koszuli, aby obwiązać nimi krwawiące stopy. Związał buty sznurówkami i zawiesił na szyi. Loikot zaofiarował mu swój kij pasterski, a Leon przyjął go i pokuśtykał w górę. Z każdym krokiem zbocze stawało się coraz bardziej strome. Poczuł, że ponownie zaczyna słabnąć. Loikot odwrócił się do swoich towarzyszy, wydając kolejną serię surowych poleceń, po których pobiegli ścieżką.

Loikot i Leon wolno podążyli za nimi. Zabandażowane nogi pozostawiały krwawe ślady na kamieniach. Ponownie przysiadł

na skale, spoglądając na wierzchołek znajdujący się poza zasięgiem jego sił. Loikot przycupnął obok i zaczął opowiadać długą, skomplikowaną historię. Chociaż Anglik rozumiał tylko kilka słów, chłopak okazał się zręcznym aktorem: skoczył na równe nogi, udając walkę. Leon odgadł, że opowiada, jak obronił trzodę ojca przed lwami wałęsającymi się po okolicy. Opowieść składała się z mroźnego krew w żyłach pomrukiwania, podskakiwania i dźgania kijem powietrza. Po ostatnich przejściach przedstawienie młodego Masaja było miło odmianą. Leon omal zapomniał o chorych stopach i śmiał się na widok groteskowych gestów chłopaka. Było prawie ciemno, gdy usłyszeli głosy na ścieżce. Na okrzyk Loikota odpowiedziało sześciu odzianych w peleryny morani, zbliżających się truchtem w ich stronę. Nieśli ze

sobą mushilę, na której wcześniej leżał Ma-nyoro. Kiedy Leon wspiął się na nosze, unieśli tyczki, układając je na ramionach. Po chwili ruszyli w górę stromą ścieżką.

Gdy mijali krawędź urwiska, podążając w kierunku płaskiego wierzchołka góry, Leon dostrzegł blask ognisk płonących pod gigantycznymi drzewami. Masajowie zanieśli go szybko do dużej zagrody dla bydła wzniesionej z pali i ciernistych gałęzi. Na okrągłym placu stało ponad dwadzieścia krytych strzechą domostw skupionych wokół rozłożystego figowca. Chatki wykonano z większym kunsztem niż te, które widział, gdy patrolował ziemie Masajów. Bydło w zagrodzie było duże i zdrowe - jego skóra lśniła w blasku ognia, a rogi wydawały się ogromne.

Od ogniska wstało kilku mężczyzn i kobiet, aby przyjrzeć się obcemu. Shuki mężczyzn były znakomitej jakości, a bogate klejnoty i ozdoby kobiet zostały misternie wykonane z najkosztowniejszych paciorków i kości słoniowej. Nie miał wątpliwości, że to zamożna wspólnota. Zgromadzili się wokół jego noszy, śmiejąc się i wykrzykując pytania. Wiele kobiet wyciągało ręce, aby dotknąć jego twarzy i pociągnąć za postrzępiony mundur. Kobiety Masajów na ogół nie kryły swojej słabości do płci przeciwnej.

37

Nagle rozkrzyczany tłum ucichł. Od strony chat nadchodziła dostojna kobieca postać. Wieśniacy rozstąpili się, aby mogła podejść do noszy. Za nią podążyły dwie służki z pochodniami oświetlającymi złocistym blaskiem postać wysokiej matrony. Wieśniacy pochylili się jak trawa na wietrze i wydali cichy pomruk wyrażający szacunek i cześć, gdy przesuwała się między nimi.

— Lusima! - szeptali, cicho klaszcząc w dłonie i odwra-
cając oczy od jej olśniewającego oblicza. Leon podniósł się na
noszach i powstał, aby ją powitać. Staneła i posłała mu hip-
notyzujące spojrzenie czarnych oczu.

— Witam cię, Lusimo - powiedział. Milczała przez dłuższą
chwilę. Była niemal tak wysoka jak on. Jej skóra miała barwę
przydymionego miodu. W blasku pochodni wydawała się lśnią-
ca i gładka. Jeśli rzeczywiście była matką Manyoro, musiała
mieć dobrze ponad pięćdziesiątkę, choć wyglądała na dwadzieś-
cia lat młodszą. Obnażone piersi były twarde i krągłe, a pokryty
tatuazem brzuch nie był pomarszczony ani obwisły. Pięknie
rzeźbione rysy twarzy, typowe dla ludów znad Nilu, wywierały

uderzające wrażenie, a ciemne oczy były tak przenikliwe, że bez trudu sięgały ukrytych zakamarków jego duszy.

— Ndio. - Skinęła głową. -Tak, jestem Lusima. Czekałam na ciebie. Widziałam, jak razem z Manyoro podążacie nocą z Niombi.

Leon był rad, że mówi w kisuahili zamiast w narzeczu maa. Łatwiej się porozumieją. Z drugiej strony jej słowa nie miały najmniejszego sensu. Skąd mogła wiedzieć, że przybyli z Niombi? Może Manyoro odzyskał przytomność i jej powiedział.

- Manyoro nie przemówił ani słowa od czasu, gdy go przynieśli. Nadal przebywa daleko w krainie cieni - rzekła Lusima.

Zaniemówił. Udzieliła odpowiedzi na pytanie, którego nie zadał, jakby usłyszała słowa.

- Byłam z wami, aby was strzec - dodała, a Leon uwierzył jej wbrew zdrowemu rozsądkowi. - Dzięki temu, co zrobiesz,

38

stałeś się moim synem. - Podała mu dłoń. Jej ręka była chłodna i twarda jak kość. - Chodź, obejrzę twoje stopy.

Gdzie Manyoro? - spytał. - Powiedziałaś, że żyje?

Czy wyjdzie z tego?

Został uderzony, w jego krwi mieszkają diabły. Czeka nas ciężka walka, a jej wynik nie jest pewny.

Muszę go zobaczyć - nalegał.

- Zaprowadzę cię. Teraz śpi, aby zebrać siły na próbę, która go czeka. Nie mogę usunąć strzały, dopóki nie nadejdzie dzień. Wówczas będę potrzebowała silnego mężczyzny. Tym czasem musisz odpocząć. Prawie opadłeś z sił, a musisz je

szybko odzyskać.

Zaprowadziła go do jednej z chat. Wszedł niskimi drzwiami do mrocznego, wypełnionego dymem wnętrza. Lusima wskazała mu stertę małych skór pod przeciwległą ścianą. Podeszedł i opadł na jedną z nich. Uklęka przed nim i odwinęła postrzępiony materiał ze stóp. W tym czasie służki przygotowały napar z ziół w czarnym żelaznym kotle wspartym na trzech nogach, który stał nad ogniem płonącym pośrodku domu. Leon domyślił się, że były brankami wziętymi z innego plemienia, niewolnicami. Masajowie zabierali wszystko, co chcieli, było i kobiety, a członkowie mniejszych plemion nie ośmielili im się sprzeciwić.

Kiedy napar był gotów, dziewczęta przysunęły kociołek do postania Leona. Lusima sprawdziła temperaturę i dodała odrobinę chłodnego, cuchnącego płynu z tykwy. Następnie ujęła jego stopy i po kolei zanurzyła w miksturze.

Musiał się opanować, by nie krzyknąć z bólu. Płyn wydawał się wrzący, a zioła nadawały mu ostrą, żrącą moc. Trzy kobiety uważnie obserwowały jego reakcję, a widząc obojętny wyraz twarzy i stoickie milczenie, wymieniły pełne aprobaty spojrzenia. Lusima wyjęła jego stopy i owinęła pasami płótna.

- Musisz się posilić i iść spać - powiedziała, dając znak

jednej z dziewcząt, która sięgnęła po tykwę i przyklękła z szacunkiem, podając mu ją w dwóch rękach. Poczł woń jadła. Była to typowa strawa Masajów, lecz nie ośmielił się

39

odmówić. Gdyby to uczynił, obraziłby gospodynię. Przygotował się na najgorsze i przytknął miskę do ust.
- Jest świeża - zapewniła go Lusima. - Własnoręcznie ja przygotowałam. Przywróci ci siły i sprawi, że stopy szybko się zagoją.

Wziął odrobinę do ust i poczuł, że robi mu się niedobrze. Potrawa była ciepła. Świeża krowia krew zmieszana z mlekiem przybrała postać śliskiej galarety, która przylgnęła do jego krtani. Pił, dopóki nie opróżnił tykwy. Później pochylił się i głośno czknął. Niewolnice wydały radosny okrzyk i nawet Lusima się uśmiechnęła.

- Diabły opuściły twój brzuch - wyjaśniła z zadowoleniem. - Teraz musisz się przespać.

Położyła go na skórze i przykryła inną. Zamknął powieki.

Kiedy ponownie otworzył oczy, poranne promienie słońca wpadały przez drzwi do wnętrza chaty. Loikot czekał obok, siedząc w kucki i opierając się o framugę. Skoczył na równe nogi, kiedy Leon się poruszył. Szybko wszedł do środka i o coś zapytał, wskazując jego stopy.

- Za wcześniej, aby coś powiedzieć - odrzekł porucznik.

Chociaż bolały go wszystkie mięśnie, myślał trzeźwo. Usiadł i rozwinął bandaże. Ze zdumieniem stwierdził, że opuchlizna i stan zapalny zmalły. - Wężowy olejek doktor Lusimy - rzekł do siebie z uśmiechem. Był w dobrym humorze, dopóki nie przypomniał sobie o Manyoro.

Szybko owinął stopy i pokuśtykał do dużego glinianego dzbana z wodą stojącego na zewnątrz przy drzwiach. Podarł resztę koszuli i obmył płótnem pył oraz zaschły pot pokrywający twarz i włosy. Kiedy się wyprostował, spostrzegł, że połowa kobiet z wioski, młodych i starych, usiadła wokół niego i z zainteresowaniem obserwuje każdy jego ruch.

- Drogie panie - oznajmił. - Zamierzam się wysikać.

Nie zostałyście zaproszone na to widowisko. - Oparł się na ramieniu Loikota i ruszył w stronę zagrody dla bydła.

40

Gdy wrócił, Lusima już na niego czekała.

- Chodź - rozkazała. - Pora zacząć. - Mówiąc to, zaprowadziła go do sąsiedniej chaty. We wnętrzu panował mrok, lecz po chwili oczy przywykły do ciemności. Powietrze wypełniał dym i delikatna mdła woń rozkładającego się ciała. Manyoro leżał na brzuchu na skórze rozciągniętej przy ogniu. Leon podszedł do niego i zadrżał ze strachu. Przyjaciel wyglądał jak nieboszczyk. Jego skóra utraciła dawny blask. Była matowa niczym sadza pokrywająca spód kotła zawieszzonego nad ogniem. Masaj przekręcił głowę - miał zapadnięte oczy. Przy pominały mętne kamienie z dna rzeki. Noga była silnie opuchnięta. Chatę wypełniał smród żółtej ropy wypływającej z rany,

w której tkwił kawałek ułamanej strzały.

Kiedy Lusima klasnęła w dłonie, wokół niej stanęło czterech mężczyzn. Dźwignęli nosze z Manyoro i wynieśli go na zewnątrz, do zagrody dla bydła. Postawili rannego pod rosnącym pośrodku wysokim drzewem mukuyu. Kiedy umieścili go w cieniu, Lusima zdjęła szatę i stanęła nad nim z odsłoniętymi piersiami.

- Grot strzały nie może wyjść tą samą stroną, którą wszedł - powiedziała cicho do Leona. - Rana cuchnie.

Czujesz to. Mimo to usunięcie strzały nie będzie łatwe.

Jedna z niewolnic podała jej mały nóż z rękojeścią z kości nosorożca. Druga przyniosła gliniane naczynie na rzemieniach, w którym były płonące węgle, i zaczęła nim poruszać nad głową, aby podsycić ogień. Kiedy węgle się rozjarzyły, postawiła naczynie przed swoją panią. Lusima włożyła ostrze w płomień i wolno obracała, aż metal rozgrzał się do czerwoności. Później włożyła nóż do innego naczynia z płynem pachnącym podobnie jak ten, którym opatrzyła stopy Leona. Ciecz zabulgotała i zaczęła parować, gdy metal stygł.

Pochyliła się nad synem z nożem w ręku. Czterej morani, którzy wynieśli go z chaty, uklękli obok - dwaj w nogach, dwaj w głowie Manyoro.

- Pokażę ci, co zrobisz - powiedziała cicho Lusima,

41

spoglądając na Leona, a następnie szczegółowo wyjaśniła, na czym ma polegać jego rola. - Chociaż jesteś najsilniejszy

hH ł tj jj it Zadzior utkwiał

tn wymagało nałej twojej siły

nas,

głęboko w ciele. - Popatrzyła mu w oczy. - Rozumiesz, synu?

- Tak, mamo.

Lusima otworzyła skórzaną torbę wiszącą u biodra i wyciągnęła motek cienkiego, białego sznurka.

- Użyjesz tej linki. - Wręczyła mu motek. - Zrobiłam

ją z jelit lamparta. Jest bardzo mocna. Nic nie dorówna jej wytrzymałością. - Ponownie sięgnęła do torby i wyjęła kawałek grubej skóry słonia. Delikatnie rozwarła usta Manyoro, wsunęła skórę pomiędzy szczęki i przymocowała do głowy katgutem ze skóry impali. - Dzięki temu nie połamię zębów, gdy ból stanie się nie do zniesienia - wyjaśniła.

Leon skinął głową, choć wiedział, że knebel założyła głównie dlatego, by nie słyszeć okrzyków bólu i wyzwisk rzucanych pod jej adresem.

- Przekręćcie go na plecy - poleciała czterem morani. -

Delikatnie. - Kiedy obracali Manyoro, pilnowała, by grot strzały nie dotknął skóry, na której leżał ranny. Później wsunęła pod nogę dwa kawałki drewna, by nie dotykała ziemi. -

Przytrzymajcie go - rozkazała mężczyznom.

Pochyliła się nad opuchniętą nogą i położyła na niej dłoń. Ostrożnie zbadała przednią część uda Manyoro, próbując wymacać miejsce, w którym pod rozpaloną, opuchniętą skórą utknął grot. Wojownik drgnął niespokojnie, gdy jej palce wyczuły czubek. Zbliżyła nóż, nucąc zaklęcia. Kiedy Manyoro podchwycił monotony refren, jego ciało rozluźniło się i rozległo się ciche pochrapywanie.

Nagle, nie przerywając pieśni, wbiła czubek noża w ciało syna. Manyoro zeszywniał, napinając wszystkie mięśnie. Ostrze zgrzytnęło o metalowy grot i z otwartej rany wypłynęła ropa. Lusima odłożyła nóż i mocno ucisnęła brzegi rozcięcia. Ostry koniec strzały wyszedł na zewnątrz, odsłaniając pierwsze zadziory.

42

Podczas ostatniej kampanii Leon widział broń Nandi, więc nie był zdumiony tym, że grot ma nietypowy kształt. Wykuto go z kawałka żelaza grubości małego palca Lusimy. Tak by wniknął głęboko w ogromne cielsko słonia. Nie miał pojedynczego zadzioru jak strzały, których średniowieczni angielscy łucznicy używali do walki z ciężkozbrojną jazdą francuską. Strzała była zakończona szeregiem cienkich zadziorów, które z łatwością przenikały ciało. Ostry kąt nachylenia wielu zadziorów powodował, że grotu nie można było wyciągnąć tą samą drogą, którą wszedł.

- Obwiąż go szybko! - szepnęła do Leona.

Założył przygotowaną wcześniej pętlę z katguta poniżej pierwszych zadziorów.

— Mam - oznajmił, zaciskając węzeł.

— Trzymajcie go mocno - ostrzegła morani. - Nie po
zwólcie, aby się poruszył lub przekręcił, bo zadziory przetną
sznurek.

Mężczyźni z całych sił trzymali leżącego na wznak Masaja.

- Ciągnij - przynagliła Leona. - Ciągnij z całej siły,
synu. Wyciągnij to diabelstwo.

Leon trzykrotnie owinął koniec linki wokół nadgarstka i mocno pociągnął. Lusima znów zaczęła nucić
plemienną pieśń, gdy napinał sznurek, bacząc, aby nie szarpnąć za mocno ani nie zahaczyć o ostre
krawędzie zadziorów. Stopniowo zaczął zwiększać siłę, lecz grot strzały ani drgnął. Owinął koniec linki
wokół drugiego nadgarstka i ustawił ręce pod odpowiednim kątem. Pociągnął mocno, ignorując ostry ból
wywołany przez sznurek wcinający się w ciało. Pod podartą koszulą ukazały się napięte mięśnie. Na szyi
wystąpiły żyły, twarz poczerwieniała z wysiłku.

- Ciągnij - szepnęła Lusima. - Niech Mkuba Mkuba,
największy z bogów, obdarzy siłą twoje ramiona.

Manyoro zaczął się szarpać tak gwałtownie, że czwórka morani utrzymała go z największym trudem.
Mimo knebla wydał przenikliwy okrzyk bólu. Dziko wytrzeszczone, nabiegłe

43

krwią oczy wyglądały tak, jakby za chwilę miały wyskoczyć z oczodołów. Strzała uniosła się w rozdartym,
spuchniętym ciele, lecz zadziory nadal w nim tkwiły.

- Ciągnij - przynagliła Leona. - Twoja siła przewyższa
siłę lwa. Masz siłę M'bogo, wielkiego byka bawołu.

Grot drgnął. Z cichym odgłosem ukazał się drugi rząd cieniutkich zadziorów, a po nim trzeci. Z rany
wystawały dwa cale ciemnego metalu. Leon odpoczął chwilę, a następnie zebrał siły do ostatniej próby.
Zacisnął zęby i pociągnął ponownie. Z ciała wysunął się opornie kolejny kawałek żelaza, a po chwili na
zewnątrz wypłynęła na wpół zakrzepła czarna krew i purpurowa ropa. Smród był tak obrzydliwy, że
nawet Lusima z trudem łapała powietrze. Najwyraźniej płyny zwilżyły drzewce, gdyż strzała wysunęła się
z rany jak martwy płód w przerażającej chwili narodzin.

Leon cofnął się, ciężko dysząc, z przerażeniem spoglądając na zniszczenia, które spowodował. Rana
zionęła niczym otwarte czarne usta, z rozdartego ciała wypływała krew i drzazgi. Manyoro przegryzł

skórę słonia i rozciął sobie wargi zębami. Po brodzie spływała mu świeża krew. Nadal gwałtownie się szamotał i morani musieli użyć całej siły, by go utrzymać.

— Trzymaj nogę nieruchomo, M'bogo - powiedziała do Leona. Jedna z dziewcząt podała jej długi cienki róg koziołka skalnego, przypominający prymitywny lejek. Kiedy Lusima wsunęła czubek głęboko w ranę, Manyoro zaczął się szarpać ze zdwojoną siłą. Druga z dziewcząt przysunęła jej tykwę do warg. Znachorka nabrała do ust płynu, który się w niej znajdował. Kiedy kilka kropel spłynęło po brodzie, Leon wyczuł szczypiącą woń. Lusima przyłożyła wargi do drugiego końca rogu i wtłoczyła substancję do środka. Powtórzyła tę czynność parokrotnie. Spieniony płyn wypłynął z otwartej rany, wyplukując zepsutą krew i inne substancje.

— Obróćcie go - poleciała morani.

Mimo oporu Manyoro położyli go na brzuchu, a Leon przycisnął przyjaciela do ziemi całym swoim ciężarem. Lusima

44

wsunęła czubek rogu w ranę wlotową, a następnie wtłoczyła więcej naparu do wnętrza zaropiałej rany.

- Wystarczy - rzekła w końcu. - Usunęłam całą truciznę - Odłożyła róg, opatrzyła ranę suchymi ziołami i przy mocowała opatrunek długimi pasami płótna.

Manyoro stopniowo przestawał się szamotać, aż w końcu pogrążył się w śpiączce przypominającej śmierć.

- Skończone. Nie mogę zrobić nic więcej - powiedziała. - Teraz wszystko zależy od wyniku starcia bogów jego przodków z mrocznymi demonami. Za trzy dni będziemy znali

rozstrzygnięcie. Zanieście go do chaty. - Spojrzała na Leona. -

Musimy czuwać przy nim na zmianę, dodawać mu sił w walce.

Przez następne dni dusza Manyoro unosiła się w próżni. Czasami był pogrążony w tak głęboki śnie, że Leon musiał przykładać ucho do jego piersi, aby sprawdzić, czy oddycha. Innym razem dyszał, szarpał się i krzyczał, pocąc się i zgrzytając zębami w gorączce. Lusima i Leon czuwali przy nim, przytrzymując go, gdy zachodziła obawa, że miotany konwulsjami może wyrządzić sobie krzywdę. Bezsenne noce dłużyły się bez końca. Siedząc przy małym ognisku, wiedli ciche rozmowy.

— Odnoszę wrażenie, że nie urodziłeś się na dalekiej wyspie za morzem jak większość twoich towarzyszy, lecz pochodzisz z serca Afryki - powiedziała mu kiedyś Lusima. Leona prze stała dziwić przenikliwość jej spostrzeżeń. Kiedy nie odpowie dział, mówiła dalej. - Narodziłeś się hen na północy, nad brzegami wielkiej rzeki.

— Masz rację - przytaknął. - Przyszedłem na świat w Ka irze, nad brzegami Nilu.

— Należysz do tej ziemi i nigdy jej nie opuścisz.

— Nawet o tym nie myślałem - odparł.

Ujęła jego rękę, zamknęła oczy i milczała przez chwilę.

- Widzę twoją matkę - rzekła. - To mądra kobieta.

Jesteście sobie bardzo bliscy. Nie chciała, abyś ją opuścił.

45

W oczach Leona pojawił się żal.

— Widzę również twojego ojca. Odszedłeś z jego powodu.

— Traktował mnie jak dziecko, próbował zmusić do robienia rzeczy, których nie chciałem. Odmówiłem. Często się kłóciliśmy, a to matkę smuciło.

— Jakie miał plany wobec ciebie? - spytała, ale w taki sposób, jakby znała odpowiedź.

— Ojciec jest chciwy. Dla niego pieniądze są ważniejsze od żony i dzieci. To twardy człowiek, nie lubimy się. Szanuję go, choć nie podziwiam. Chciał, abym pracował razem z nim, robił to, co on. Nie byłem zainteresowany.

— Uciekłeś z domu?

— Nie uciekłem. Odszedłem.

— Czego szukałeś? - zapytała.

Spojrzał na nią w zamyśleniu.

— Szczerze mówiąc, sam nie wiem, Lusimo Mamo.

— Jeszcze tego nie odkryłeś?

Potrząsnął niepewnie głową. Później przypomniał sobie Ve-rity O'Hearne.

- Może kogoś poznałem - odparł.

— Nie, nie jest to kobieta, o której myślisz. Jest jedną z wielu.

— Skąd ją znasz? - spytał, zanim zdążył się powstrzymać, a po chwili sam udzielił sobie odpowiedzi: - Oczywiście, byłeś tam. Wiesz o wielu sprawach.

Zachichotała i oboje pogrążyli się w serdecznym, pełnym zrozumienia milczeniu. Czuł, że łączy ich dziwna, niezwykle bliska więź, jakby była jego prawdziwą matką.

— Nie podoba mi się życie, które obecnie prowadzę - rzekł w końcu. Chociaż wcześniej się nad tym nie zastanawiał, wiedział, że to prawda.

— Ponieważ jesteś żołnierzem, nie możesz podążać za gło

sem serca. Musisz wykonywać rozkazy starszych.

— Widzę, że rozumiesz - powiedział. - Nie podoba mi się, że muszę tropić i zabijać ludzi, których nie znam.

46

— Chciałbyś, abym wskazała ci drogę, M'bogo?

— Ufam ci, potrzebuję twoich wskazówek.

Milczała tak długo, że już miał zamiar przemówić. Nagle jej gałki oczne tak się odwróciły, że w blasku ognia widać było jedynie białka. Skulona, kotłowała się rytmicznie. Po chwili przemówiła, lecz jej głos przybrał niskie, monotonne brzmienie.

— Widzę dwóch mężczyzn. Żaden nie jest twoim ojcem, lecz każdy będzie dla ciebie znaczył więcej od niego - oznajmiła. - Widzę również drogę. Będziesz musiał podążać drogą wielkiego siwego męża, który nie jest człowiekiem. - Odetchnęła z astmatycznym świstem. - Naucz się sekretów dzikich zwierząt, a ludzie zaczną cię cenić za wiedzę i zrozumienie. Będziesz przebywał w otoczeniu potężnych ludzi sprawujących władzę, a oni potraktują cię jak równego sobie. Widzę wiele kobiet i jedną, która kryje wiele. Przybędzie do ciebie na obłokach i podobnie jak one, ukáže ci liczne oblicza. - Przerwała, wydając chrapliwy głos z głębi krtani. Leon z drżeniem zrozumiał, że próbuje przepowiedzieć mu przyszłość. W końcu drgnęła gwałtownie i zamrugała. Gałki oczne powróciły do dawnej pozycji. Spojrzał w ciemne źrenice, gdy utkwiała wzrok w jego twarzy. - Zapamiętaj, co ci powiedziałam, synu - rzekła cicho. - Wkrótce będziesz musiał dokonać wyboru.

— Nie zrozumiałem twoich słów.

— We właściwym czasie staną się jasne - zapewniła. -

Jeśli będę ci potrzebna, zawsze mnie tu znajdziesz. Chociaż

nie jestem twoją matką, stałam się ważniejsza od niej.

— Mówisz zagadkami, Mamo - odpowiedział, a Lusima

uśmiechnęła się do niego tajemniczo.

Rankiem Manyoro odzyskał przytomność, był jednak bardzo słaby i majaczył. Próbował się podnieść, lecz nie miał siły.

- Co się stało? - spytał, patrząc na nich zamglonym wzrokiem. Po chwili rozpoznał Lusimę. - Czy to ty, matko? Gdzie jestem? Myślałem, że to sen. Śniłem...

47

- Jesteś bezpieczny w mojej manyatcie na górze Lonso-

nyo - wyjaśniła. - Wyjęliśmy strzałę Nandi z twojej nogi.

- Strzałę? Ach tak, przypominam sobie... Nandi!

Niewolnica podała mu miseczkę z krwią wołu i mlekiem.

Wypił chciwie, wylewając odrobinę na piersi. Opadł na posłanie, dysząc ciężko. Po chwili dostrzegł Leona, siedzącego w kucki w mrocznej izbie.

— Bwana! - Tym razem zdołał usiąść. - Ciągłe jesteś

ze mną?

— Tak - odpowiedział Leon, podchodząc do niego.

— Jak długo tu jesteśmy? Ile dni minęło od czasu, gdy

opuściliśmy Niombi?

— Siedem.

— Przełożeni w Nairobi pomyślą, że nie żyjesz lub zdezer-

rowałeś. - Chwyć koszulę Leona, potrząsając nią ze wzburze-

niem. - Musisz zameldować się w kwaterze głównej, bwana.

Nie powinieneś zaniedbywać obowiązków z mojego powodu.

— Wrócimy do Nairobi, gdy odzyskasz siły.

— Nie, bwana. Musisz wyruszyć natychmiast. Wiem, że major nie jest twoim przyjacielem. Narobi ci kłopotów. Powinieneś jeszcze dziś wyruszyć w drogę. Dołączę do ciebie, gdy będę mógł.

— Manyoro ma rację - wtrąciła Lusima. - Musisz wrócić do swojego dowódcy w Nairobi. - Leon stracił rachubę czasu i teraz, zaszokowany i zawstydzony, zdał sobie sprawę, że od trzech tygodni nie miał kontaktu z dowództwem batalionu. - Loikot odprowadzi cię do torów. Świetnie zna te ziemie. Pójdziesz razem z nim - oświadczyła Lusima.

— Dobrze - przytaknął, wstając. Nie musiał przygotowywać się do podróży. Nie miał broni ani bagażu. Na grzbiecie wisiał mu jedynie postrzępiony mundur khaki.

Lusima dała mu shukę Masajów.

- To najlepsza ochrona, jaką mogę ci dać. Będzie cię osłaniała przed słońcem i chłodem. Nandi lękają się czerwonej shuki. Uciekają przed nią nawet lwy.

48

— Nawet lwy? - Leon stłumił śmiech.

— Sam się przekonasz - odpowiedziała z uśmiechem.

Wyruszyli z Loikotem w ciągu godziny od podjęcia decyzji.

W czasie ostatniej pory deszczowej chłopak pasał bydło ojca na północy, w okolicy torów kolejowych, i świetnie znał tę ziemię.

Stopy Leona zagoiły się na tyle, że mógł włożyć buty. Ostrożnie kuśtykając, podążył za młodym Masajem w stronę wielkiej równiny rozpościerającej się w dole. U podnóża góry przystanął, aby mocniej zawiązać sznurówki. Kiedy się wyprostował, ujrzał postać Lusimy stojącej na krawędzi urwiska. Pomachał ręką na pożegnanie, lecz kobieta nie odwzajemniła jego gestu. Odwróciła się i zniknęła mu z oczu.

Przyspieszył kroku, by nadążyć za Loikotem. Chłopak sadił przed siebie długimi, płynnymi krokami typowymi dla swojego ludu. Idąc, wygłaszał uwagi na temat wszystkiego, co zwróciło jego uwagę. Nie pominął niczego, co spostrzegły jego młode jasne oczy, zdolne wypatrzeć ulotny szary kształt byka kudu pasącego się w gęstych ciernistych zaroślach trzysta jardów dalej.

Na równinie, którą przemierzali, roiło się od przeróżnych zwierząt. Loikot ignorował stada małych antylop śmigających obok nich, wygłaszając uwagi na temat wszystkiego, co miało znaczenie. Leon, obdarzony talentem do języków, zaczął powoli rozumieć, o czym chłopak trajkocze.

Opuszczając górę Lonsonyo, nie zabrali prowiantu, więc Leon był ciekaw, jak sobie poradzą. Niepotrzebnie się martwił. Loikot potrafił im zapewnić osobiście różnorodne pożywienie, od małych ptaków i jajek, przez szarańczę i inne owady, po dzikie owoce i korzenie. Zabił kijem frankolina, który z trzepotem skrzydeł wzbił się spod jego stóp, i przez pół mili ścigał veldem dużego warana nilowego, aby w końcu go zatłuc. Mięso jaszczurki przypominało smakiem kurczaka i wystarczyło im

49

na trzy dni, chociaż do tego czasu padlinę obsiadły roje opalizujących niebieskich muszek i wylęgły się tłuste białe larwy. Co noc spali przy małym ognisku, przykryci shukami chroniącymi przed zimnem. Wyruszyli wczesnym rankiem, kiedy Gwiazda Poranna stała jeszcze wysoko na niebie. Trzeciego dnia, kiedy słońce znajdowało się poniżej linii horyzontu, Loikot stanął jak wryty, wskazując w stronę akacji oddalonej zaledwie

0 pięćdziesiąt jardów.

— Witaj, zabójco bydła! Pozdrawiam cię! - zawołał.

— Co zobaczyłeś? - spytał Leon.

— Nie widzisz? Otwórz oczy, M'bogo - odrzekł, wskazując

kijem. Dopiero wówczas Leon dostrzegł dwie małe czarne kępki

w brązowej trawie dzielącej ich od drzewa. Jedna z nich

poruszyła się i jego oczom ukazał się ogromny lew przyczajony

w wysokiej trawie, obserwujący ich złymi żółtymi ślepiami.

Kępki okazały się czarnymi koniuszkami jego okrągłych oczu.

- Dobry Boże! - zawołał, cofając się o krok.

Loikot się roześmiał.

- On wie, że jestem Masajem. Ucieknie, jeśli mu rozka

zę. - Mówiąc to, groźnie potrząsnął kijem. - Hej, staruszk!

Dzień mojej próby wkrótce nadejdzie. Wówczas się spotkamy

1 zobaczymy, który z nas jest lepszy. - Miał na myśli rytualną

próbę odwagi Masajów. Przed zaliczeniem do grona mężczyzn

i zyskaniem prawa oparcia dzidy o drzwi dziewczyny, która

wpadła mu w oko, młody morani musiał stanąć twarzą w twarz

z lwem i zabić go assegai o szerokim ostrzu. - Drzyj na mój

widok, złodzieju bydła. Lękaj się, bo przyniosę ci śmierć! -

Loikot uniósł kij, dzierżąc go jak dzidę, i ruszył w kierunku

lwa gibkim, tanecznym krokiem. Leon ze zdumieniem ujrzał,

że zwierzę szybko wstało, ryknęło groźnie i czmychnęło w tra

wę. - Widziałeś, M'bogo? - zapał dumnie Loikot. - Wi

działeś? Simba się mnie boi! Widziałeś, jak ucieka? Wie, że

jestem morani. Wie, że jestem Masajem.

- Ty zwariowany nicponiu! - wyszeptał, rozluźniając

palce zaciśnięte w pięść. - Zobaczysz, że nas pożre. -

50

Roześmiał się z ulgą, wspominając słowa Lusimy. Pomyślał, że Masajowie od pokoleń niestrudzenie polowali na lwy, co musiało wryć się głęboko w psychikę tych drapieżników, które zaczęły uważać wysoką postać odzianą w czerwoną pelerynę za śmiertelne niebezpieczeństwo.

Loikot skoczył, obrócił się wokół własnej osi na znak zwycięstwa i ruszył na północ. Kiedy szli, kontynuował swoje nauki. Nie zwalniając kroku, wskazał duży trop i wyjaśnił, jakie zwierzę go pozostawiło. Leon był zdumiony rozległością jego wiedzy na temat dzicy i zamieszkującej ją zwierzyny.

Oczywiście łatwo było odgadnąć, skąd chłopak ją zdobył - gdy tylko nauczył się chodzić, pilnował trzód swojego plemienia. Manyoro powiedział mu, że nawet najmniejsi pastuszkowie potrafią całymi dniami tropić zaginione zwierzę w najtrudniejszym terenie. W pewnym momencie Loikot przystanął i końcem kija wskazał duży niewyraźny okrągły ślad. Gleba była w tym miejscu spieczona słońcem, pokryta kawałkami łupku i krzemienia. Leon nigdy nie wypatrzyłby tropu samca słonia, ale Loikot umiał odczytać najdrobniejszy szczegół.

- Znam go - powiedział. - Często go widywałem. Ma taaakie długie kły... - Mówiąc to, narysował kreskę na piasku, a następnie, po trzech długich krokach, nakreślił kolejną. - To wielki siwy wódz swojego plemienia.

Lusima użyła podobnego określenia.

"Podążaj za wielkim siwym mężem, który nie jest człowiekiem". Wówczas te słowa go zdumiały, lecz teraz wiedział, że mówiła o słoniu. Rozmyślał o przepowiedni, gdy szli na pomoc. Zawsze fascynowało go polowanie na dziką zwierzynę. Przeczytał wszystkie książki napisane przez wielkich myśliwych, które ojciec miał w bibliotece. Z zapartym tchem śledził przygody Bakera, Selousa, Gordona-Cumminga, Cornwallisa Har-risa i pozostałych. Pragnienie przygody było jednym z powodów, dla których zaciągnął się do KSA, chociaż ojciec chciał, by podjął pracę w jego firmie, a każdy rodzaj działalności niezwiązany z gromadzeniem pieniędzy uważał za "obijanie

51

się". Leon słyszał, że wyżsi oficerowie zachęcali młodszych do takich męskich zajęć jak polowanie. Kapitan Cornwallis Harris otrzymał roczną przepustkę z indyjskiego regimentu, aby wybrać się w podróż do Afryki Południowej i zapolować na niezbadanych pustkowiach. Leon pragnął naśladować swoich bohaterów, lecz do tej pory przeżył same rozczarowania.

Od czasu wstąpienia do KSA dostał tylko kilka dni przepustki, by zapolować na dziką zwierzynę. Major Snell, jego dowódca, bez namysłu odrzucał wszystkie prośby.

- Jeśli wstępując do wojska, sądziłeś, że będziesz uczestniczył we wspaniałym safari, byłeś w wielkim błędzie, Courtney - mawiał. - Wracaj do swoich obowiązków. Nie chcę więcej słyszeć takich bredni. - W rezultacie udało mu się upolować jedynie kilka małych antylop - gazeli Granta i Thomsona (nazywanych też tomi) - które zabił podczas patrolu, aby nakarmić swoich askari. Serce w nim zadrżało,

gdy ujrzał wspaniałe zwierzęta. Marzył o tym, aby móc na nie

zapolować.

Był ciekaw, czy wypowiadając słowa "podążaj za wielkim siwym mężem", Lusima dawała do zrozumienia, że powinien zostać myśliwym szukającym kości słoniowej. Interesująca perspektywa. Począł stąpać radośnie za Loikotem, przekonany, że życie jest dobre i obiecujące. Wykazał się odwagą podczas pierwszej akcji. Manyoro przeżył. Otwierały się przed nim perspektywy nowej kariery. Jakby tego było mało, w Nairobi czekała na niego Verity O'Heerne. Tak, życie było dobre. Bardzo dobre.

Po pięciu dniach od opuszczenia góry Lonsonyo Loikot skierował się na wschód, ku ścianie ryftu i lasom porastającym wyżyny. Gdy weszli na wzgórze, spojrzeli w dół na płytką dolinę rozciągającą się za ich plecami. W oddali coś błysnęło w wieczornych promieniach słońca. Leon przetarł oczy.

- Tak, M'bogo - rzekł Loikot. - To wasz żelazny wąż.

Ponad wierzchołkami drzew ujrzał kłęby dymu buchające

z komina parowozu. Z oddali doleciał ponury świst pary.

52

- Tu cię zostawię. W takim miejscu nawet ty nie zabłądzisz - oznajmił wyniośle Loikot. - Muszę wracać do swoich krów.

Leon patrzył z zalem, jak chłopak odchodzi, gdyż towarzystwo tego energicznego pastuszka sprawiło mu wielką przyjemność. Po chwili porucznik Courtney zaczął schodzić ze wzgórza.

Maszynista oparty o boczne okienko kabiny dostrzegł w oddali wysoką postać stojącą przy torach. Po shuce barwy ochry od razu odgadł, że to Masaj. Dopiero gdy pociąg się zbliżył, nieznajomy rozpostarł szatę i maszynista stwierdził, że to biały mężczyzna w postrzępionych resztkach munduru khaki. Pociągnął dźwignię hamulca. Koła zapisać na stalowych szynach i maszyna stanęła w obłokach pary.

Major Frederick Snell, oficer dowodzący trzecim batalionem pierwszego regimentu Królewskich Strzelców Afrykańskich, nie oderwał oczu od czytanego dokumentu, kiedy porucznik Leon Courtney wszedł pod eskortą do jego gabinetu w kwaterze głównej jednostki.

Snell był stosunkowo stary jak na swój stopień. Bez szczególnych sukcesów uczestniczył w walkach z Mahdim w Sudanie i wojnie burskiej w Afryce Południowej. Niebawem miał przejść na emeryturę i obawiał się tej chwili. Wojskowa emerytura pozwoliłaby mu na wynajęcie skromnego mieszkania w Brighton lub Bournemouth, które do końca życia stałoby się domem dla niego i jego czterdziestoletniej żony. Maggie Snell spędziła całe życie w kwaterach wojskowych w tropikach, co sprawiło, że jej skóra stała się brązowa, usposobienie zgorzkniałe, a język cięty.

Major był człowiekiem niewielkiego wzrostu. Niegdyś jas-norude włosy posiwiały i wypadły,

pozostawiając po sobie jedynie rzadki biały pas wokół tysej czaszki. Usta miał szerokie,

53

lecz wargi cienkie. Błękitne wyłupiaste, okrągłe oczy uzasadniały przydomek, który mu nadano - "Freddie Żaba".

Wsunął fajkę między zęby i zaciągnął się, wydając gul-goczący odgłos. Skończył czytać i zmarszczył czoło. Nie podnosząc wzroku, wyjął fajkę z ust i postukał nią o ścianę, pozostawiając żółte plamy nikotyny na pobielonej powierzchni. Wsunął ją ponownie do ust i powrócił do studiowania pierwszej strony dokumentu. Przeczytał ją ponownie z namysłem, a następnie odłożył starannie na biurko i podniósł głowę.

- Więzień! Baczność! - warknął starszy sierżant M'fefe dowodzący pododdziałem. Leon stuknął obcasami o cementową podłogę i wyprostował się.

Snell spojrzał na niego z niesmakiem. Leon został aresztowany trzy dni temu, kiedy stanął przed bramą kwatery głównej batalionu. Od tego czasu na rozkaz majora Snella przetrzymywano go w karczerze. Nie mógł się ogolić ani zmienić munduru. Strzępy, które pozostały z jego ubrania, lepiły się z brudu i cuchnęły. Mimo to w jego obecności Snell czuł się mały. Na odsłoniętych ramionach i nogach widać było ślady skaleczeń spowodowanych przez ciernie. Jednak nawet w łachmanach Leon Courtney pozostał wysoki i potężnie zbudowany, promieniujący aurą naiwnej pewności siebie. Małżonka Snella, która rzadko wyrażała aprobatę dla czegokolwiek lub kogokolwiek, zauważyła kiedyś nostalgicznie, że młody Courtney jest niezwykle przystojny. "Zawróci tu niejednej w głowie, mówię ci", oznajmiła mężowi.

Major pomyślał z gorzką ironią, że porucznik na jakiś czas będzie musiał zapomnieć o sercowych podbojach. Już on tego dopilnuje.

— Cóż, Courtney, tym razem przeszedłeś samego siebie - rzekł w końcu, uderzając dłonią w plik leżących na stole dokumentów. - Ze zdumieniem przeczytałem twój raport.

— Tak jest! - odparł Leon.

— Trudno dać temu wiarę. - Major Snell pokręcił głową. - Nawet jak na ciebie wydarzenia, które opisałeś, wydają

54

się niewiarygodne. - Westchnął, lecz mimo ganiącego wyrazu twarzy rozpierało go szczęście. W końcu ten przemądrzały smarkacz przeholował. Pragnął dłużej rozkoszować się tą chwilą. Czekał na nią niemal cały rok. - Jestem ciekaw, co powie twój wuj, kiedy przeczyta tę zdumiewającą relację.

Wuj Leona, pułkownik Penrod Ballantyne, był dowódcą regimentu. Choć wiele lat młodszy od Snella, zdążył znacznie go przewyższyć zasługami. Snell wiedział, że zanim zmuszą go do przejścia na emeryturę, Ballantyne zostanie awansowany na generała i obejmie dowództwo nad pełną dywizją w jakiejś przyjemnej części imperium. Oczywiście, wkrótce potem otrzyma tytuł szlachecki.

Generał sir Penrod Ballantyne! Dobrze sobie, pomyślał. Nienawidził tego człowieka i jego przeklętego kuzyna, który przed nim stał. Trudził się całe życie, a ludzie pokroju Ballantyne'a prześcigali go bez trudu. Cóż, niewiele mogą zrobić staremu kundlowi, pomyślał ponuro, lecz ze szczeniakiem inna sprawa.

Podrapał się w głowę ustnikiem fajki.

— Powiedzcie mi, Courtney, czy rozumiecie, dlaczego zaraz po przybyciu kazałem was wsadzić do paki?

— Panie majorze! - odkrzyknął Leon, wpatrując się w ścianę nad jego głową.

— Na wypadek gdyby wasza odpowiedź miała oznaczać "Nie rozumiem, panie majorze", omówię wydarzenia, które opisaliście w swoim raporcie, wskazując punkty, które wzbudziły moje podejrzenia. Macie jakieś zastrzeżenia?

— Nie, panie majorze!

— Dziękuję, poruczniku. Szesnastego lipca wyruszyliście wraz z oddziałem siedmiu ludzi do kwatery dowódcy regionu w Niombi, aby chronić tamtejszą placówkę przed atakami zbuntowanych Nandi. Czy tak?

— Tak, panie majorze!

— Zgodnie z rozkazem opuściliście koszary szesnastego, lecz dotarliście do Niombi dopiero dwanaście dni później, choć drogę do Mashi przebyliście koleją. Do Niombi pozostało wam

nie więcej niż sto dwadzieścia mil marszu. Wynika z tego, że pokonywaliście codziennie około dziesięciu mil. - Snell podniósł wzrok znad raportu. - Trudno to określić forsownym marszem. Zgodzicie się, poruczniku?

— Wyjaśniłem powód w raporcie. - Leon ciągle stał na baczność, wpatrując się w zabrudzoną nikotyną ścianę nad głową majora.

— No tak! Natknęliście się na ślady dużej grupy wojowników Nandi, a następnie w niezgłębionej mądrości postanowiliście zlekceważyć rozkazy, podążyć ich tropem i nawiązać walkę, zamiast udać się do Niombi. Czy dobrze was zrozumiąłem?

— Tak jest panie majorze!

— Wyjaśnijcie mi, poruczniku, skąd wiedzieliście, że są to ślady pozostawione przez wojowników, a nie myśliwych z innego plemienia lub uciekinierów opuszczających teren walk.

— Mój sierżant zapewnił, że to ślady wojowników Nandi.

— Przyznaliście mu rację?

— Tak jest. Sierżant Manyoro jest znakomitym tropicielem.

— Zatem spędziliście sześć kolejnych dni na tropieniu mitycznych buntowników?

— Oddział zmierzał wprost do stacji misyjnej w Nakuru.

Wszystko wskazywało, że mają zamiar zaatakować i zniszczyć osadę. Sądziłem, że moim obowiązkiem jest temu zapobiec.

— Waszym obowiązkiem jest wykonywanie rozkazów. Na

wet gdyby było tak, jak mówicie, nie udało się wam ich dopaść.

— Nandi odkryli, że podążamy ich tropem, i rozdzielili się na mniejsze grupki, ginąc w buszu. Wówczas zawróciliśmy i udaliśmy się do Niombi.

— Zgodnie z rozkazem?

— Tak jest, panie majorze.

— Oczywiście, sierżant Manyoro nie może potwierdzić waszej wersji wydarzeń. Mam jedynie wasze słowo - ciągnął Snell.

— Tak jest, panie majorze!

56

- Przejdźmy dalej. - Major spojrział na raport. - Przerwaliście pościg i w końcu ruszyliście do Niombi.

Tak jest, panie majorze!

- Po dotarciu do borney stwierdziliście, że w czasie gdy wałęsaliście się po okolicy, dowódca rejonu i jego rodzina zostali brutalnie zamordowani. Zaraz po tym odkryciu okazało się, że lekkomyślnie wprowadziliście swój oddział w zasadzkę zastawioną przez Nandi. Podkuliliście ogon pod siebie i uciekliście, zostawiając własnych żołnierzy na pastwę wroga.

-- Zaprzeczam! - Leon nie potrafił ukryć wściekłości.

— To niesubordynacja, poruczniku. - Snell wypowiedział

to słowo z lubością, smakując je w ustach niczym wyborne bordo.

— Przepraszam, panie majorze. Nie miałem takiego zamiaru.

— Zapewniam was, Courtney, że właśnie tak to zostanie odczytane, chociaż nie zgadzacie się ze mną w sprawie oceny wydarzeń w Niombi. Czy macie świadka, który potwierdziłby waszą wersję?

— Sierżanta Manyoro.

— Oczywiście, zapomniałem, że opuściliście Niombi, niosąc sierżanta na plecach, że wyprzedziliście buntowników i dotarliście z nim na południe, w głąb ziem Masajów. - Snell uśmiechnął się szyderczo, nie kryjąc zadowolenia. - Odaliliście się od Nairobi, a następnie pozostawiliście go z jego matką. Dobre sobie! - Major zachichotał. - Jakież to wzruszające! - Zapalił fajkę i wydmuchnął kłąb dymu. - Oddział ratunkowy, który wiele dni później dotarł do borney w Niombi, ustalił, iż wszystkie ciała naszych ludzi zostały tak okaleczone, że nie sposób ich było zidentyfikować. Szczególnie tych, którym obcięto głowy. Zostali niemal w całości pożarci przez sępy i hieny. Sądzę, że wasz sierżant pozostał wśród nich zamiast z matką, jak twierdzicie. Przypuszczam, że po opuszczeniu miejsca walki czmychnęliście na pustkowie i tam doszliście do równowagi, następnie wróciliście do Nairobi z tą bajeczką.

— Nie, panie majorze. - Leon trząśł się z gniewu, zaciskając pięści tak mocno, aż pobiełały mu knykcie.

— Od początku okazywaliście pogardę dla wojskowej dyscypliny i przełożonych. Od obowiązków młodszego oficera większe zainteresowanie budziły w was takie błahe zajęcia, jak gra w polo i polowania na dziką zwierzynę. Bez wątpienia uważacie, że żołnierskie zajęcia są poniżej waszej godności. Co więcej, pogwałciliście obowiązujące zasady przyzwoitości. Odgrywaliście rolę lubieżnego Lothario, doprowadzając do wściekłości przyzwoitych obywateli kolonii.

— Majorze, nie wiem, czym uzasadnia pan te zarzuty.

— Czym uzasadniam? Chcecie dowodów? Oto one. Pewnie nie wiecie, że podczas waszego pobytu w kraju Masajów gubernator kolonii uznał za stosowne odesłać do Anglii pewną młodą wdowę, aby ją przed wami chronić. Cała społeczność Nairobi jest oburzona pańskim zachowaniem. Jesteś, pan, nikczemnym draniem niemającym szacunku dla niczego i nikogo.

— Odesłał?! - Twarz Leona pobladła pod warstwą brudu. - Odesłali Verity do domu?

— Znacie zatem tożsamość tej nieszczęsnej istoty! Tak, pani Verity O'Hearne wróciła do Anglii. Wyjechała tydzień temu. - Snell przerwał, pozwalając, aby Leon oswoił się z tą wiadomością. Był dumny, że sam powiadomił gubernatora

o odrażającym romansie. Zawsze uważał Verity O'Hearne za

niesamowicie atrakcyjną kobietę. Po śmierci jej męża fantazjował, że pocieszy biedną niewiastę, opiekując się nią w żałobie. Spoglądał na nią łaskawie z oddali, gdy siadywała na trawniku przed Klubem Osadników, pijąc herbatę z jego żoną

1 innymi członkiniami Instytutu Kobiet. Była taka młoda, uroczyza i wesoła, a siedząca obok Maggie Snell taka stara, brzydka i zrzedliwa. Poczul się zdruzgotany, gdy doszły go słuchy o jej romansie z jednym z młodszych oficerów. Później wpadł we wściekłość. Cnota i reputacja Verity O'Hearne były zagrożone. Musiał ją chronić, więc poszedł do gubernatora. - Cóż, Courtney, nie chciałbym rozwijać tego tematu. Sprawa zostanie

rozstrzygnięta przez sąd wojskowy. Wasze papiery zostały przekazane kapitanowi Robertsowi z drugiego batalionu. Zgodził się wystąpić w roli oskarżyciela. - Eddy Roberts był jednym z pupilków Snella. - Będziesz, pan, sądzony za dezercję, tchórzostwo, zaniedbanie obowiązków i niewykonanie rozkazów. Podporucznik Sampson z naszego batalionu zgodził się wystąpić w roli waszego obrońcy. Wiem, że się przyjaźnicie, więc nie oczekuję sprzeciwu. Trudno było znaleźć trzeciego, aby uzupełnić skład. Oczywiście, nie mogę należeć do składu sędziowskiego, ponieważ będę musiał zeznawać w trakcie procesu, a większość oficerów jest w polu i walczy z rebeliantami. Na szczęście do portu w Mombasie zawinął liniowiec z grupą żołnierzy z Indii, płynących na przepustkę do Sout-hampton. Poprosiłem pułkownika i dwóch kapitanów, aby przyjechali pociągiem z Mombasy do Nairobi i uzupełnili skład sędziowski. Zameldują się dziś wieczorem o osiemnastej. W piątek muszą wrócić do Mombasy, aby kontynuować podróż, więc rozprawa musi się odbyć jutro rano. Natychmiast wyślę porucznika Sampsona do waszej kwatery, aby mógł z wami pomówić i przygotować linię obrony. Jesteście w żałobnym stanie, Courtney. Czuję to z daleka. Idźcie do siebie, umyćcie się i stawcie jutro rano przed sądem, aby wysłuchać aktu oskarżenia.

— Proszę o rozmowę z pułkownikiem Ballantyne'em, panie majorze. Potrzebuję więcej czasu, aby przygotować linię obrony.

— Niestety, pułkownika nie ma w Nairobi. Dowodzi akcją odwetową pierwszego batalionu za masakrę dokonaną przez

Nandi. Chce wygasić wszystkie ogniska oporu. Nie sądzę, aby w ciągu najbliższych tygodni wrócił do Nairobi. Jestem pewien, że po powrocie przychyli się do waszej prośby. - Snell uśmiechnął się chłodno. - To wszystko. Wyprowadzić więźnia!

— Straż! Bacność! - warknął starszy sierżant M'fefe. -

W tył zwrot! Naprzód marsz! Prawa, lewa, prawa... - Leon znalazł się na placu apelowym oświetlonym silnymi promieniami słońca. Strażnicy odprowadzili go szybkim krokiem do

—

kwater oficerskich. Wszystko działo się tak szybko, że trudno mu było zebrać myśli.

Leon zajmował jednoizbowy, kryty strzechą domek o okrągłych ścianach z cegły mułowej, stojący pośrodku rzędu identycznych chat. W każdej mieszkał nieżonaty oficer. Kiedy dotarli do drzwi, starszy sierżant M'fefe zasalutował energicznie i rzekł niezgrabnie w języku kisuahili:

- Przykro mi z powodu tego, co się stało, poruczniku.

Wiem, że nie jest pan tchórzem.

W ciągu dwudziestopięcioletniej służby nigdy nie kazano mu aresztować i trzymać pod strażą bezpośredniego przełożonego. Czuł się zawstydzony i upokorzony.

Chociaż większość członków kompanii przyjmowała wiwatami jego zwycięstwa w krykieta i polo, a kiedy oddawali mu honory, na ich twarzach zawsze pojawiał się skrzący radością afrykański uśmiech, nie wiedział, że cieszy się taką popularnością wśród prostych żołnierzy, więc słowa sierżanta dodały mu otuchy.

— Po pana wyjeździe do jednostki przyszła jakaś dama.

Kazała coś panu przekazać, bwana - rzekł pospiesznie, aby ukryć zakłopotanie. - Poprosiła, abym tego dopilnował. Położyłem pakunek w pokoju przy łóżku.

— Dziękuję, sierżancie. - Leon był równie zakłopotany jak on. Odwrócił się i wszedł do skromnie urządzonej izby.

Znajdowało się w niej żelazne łóżko z moskitierą zawieszoną

u krokwi, półka i szafa wykonana ze starej skrzyni. W pomieszczeniu panowała niezwykła czystość i porządek. Niedawno pobielono ściany, a podłoga lśniła od pszczelego wosku. Jego nieliczne rzeczy osobiste zostały z geometryczną precyzją ułożone na półce zawieszanej nad łóżkiem. Pod nieobecność Leona służący Izmael był równie skrupulatny jak zwykle. Jedyną rzeczą, która wydawała się nie na miejscu, była długa skórzana walizka oparta o ścianę.

Podszedł do łóżka i usiadł. Czuł, że jest bliski rozpaczy. Spadło na niego jednocześnie tyle nieszczęść. Machinalnie

60

sięgnął po walizkę przyniesioną przez M'fefe i położył ją na kolanach. Choć wykonana z drogiej skóry, była sfatygowana wskutek licznych podróży, pokryta nalepkami z nazwami parowców i opatrzona trzema solidnymi mosiężnymi zamkami. Klucze przymocowano rzemieniem do rączki. Otworzył wieko i spojrzał ze zdumieniem na jej zawartość. W wyłożonych zielonym sukniem wgłębieniach spoczywały części ciężkiego sztucera, stempel, oliwiarka i inne akcesoria. Na wewnętrznej stronie wieka widniała duża ozdobna tabliczka z nazwą fabryki, która go wyprodukowała:

HOLLAND & HOLLAND

Fabryka karabinów, sztucerów i pistoletów

oraz innej broni palnej ładowanej odtylcowo.

98 New Bond Street. Londyn W.

Leon złożył sztucer z nabożną czcią i przesunął dłonią po naoliwionej, jedwabiście gładkiej kolbie z polerowanego orzecha. Podniósł sztucer i wycelował w małego gekona, który zastygł bez ruchu na przeciwległej ścianie. Kolba pasowała idealnie do ramienia, a lufa ułożyła się na linii wzroku. Nieruchoma głowa jaszczurki znalazła się w wyżłobieniu muszki w kształcie litery "V".

- Nie żyjesz - oznajmił gekonowi i zaśmiał się po raz pierwszy od czasu powrotu do koszar. Opuścił broń i odczytał napis wyryty na lufie. H&H Royal .470 Nitro Express. Jego wzrok przykuła złota owalna tabliczka wpuszczona w kolbę. Wryto na niej inicjały pierwszego właściciela: PO'H. - Patrick O'Hearne - mruknął do siebie. Wspaniała broń należała do zmarłego męża Verity. Pod tabliczką producenta do wieka z zielonego sukna przyczepiono liścik. Starannie odłożył sztucer na poduszkę w głowie łóżka i sięgnął po

pismo. Rozerwał pieczęć kciukiem i wyjął dwie kartki papieru. Na pierwszej znajdował się rachunek wystawiony dwudziestego dziewiątego sierpnia tysiąc dziewięćset dziewiątego roku.

61

Do wszystkich zainteresowanych.

Niniejszym oświadczam, że sprzedałam sztucer H&H .470 numer seryjny 1863 porucznikowi Leonowi Court-neyowi, otrzymując w zamian zapłatę wysokości dwudziestu pięciu gwinei. Podpisano: Verity Abigail O 'Hearne.

Sporządzając ten dokument, Verity przekazała mu sztucer w taki sposób, aby nikt nie mógł zakwestionować, że jest jego własnością. Złożył rachunek i wsunął go do koperty. Otworzył drugą kartkę. Liścik był pozbawiony daty, pismo niestaranne i krzywe, w przeciwieństwie do tego, którym sporządzono rachunek. Na kartce widniały dwa kleksy. Najwyraźniej Verity napisała go w stanie silnego wzruszenia.

Najdroższy Leonie,

Kiedy przeczytasz te słowa, będę w drodze do Irlandii. Nie chciałam wyjechać, lecz nie dano mi wyboru. W głębi serca wiem, że człowiek, który wydał mi to polecenie, miał rację i zrobił to dla mojego dobra. W przyszłym roku skończę trzydzieści lat, a Ty masz zaledwie dziewiętnaście i jesteś młodszym oficerem. Bez wątpienia kiedyś zostaniesz sławnym generałem, odznaczonym wieloma orderami i otoczonym chwałą, ja jednak będę wówczas starą kobietą. Muszę wyjechać. Ten dar jest dowodem gorących uczuć, jakimi Cię darzę. Żyj dalej i zapomnij o mnie. Życzę Ci, abyś znalazł szczęście gdzie indziej. Zachowam Cię w mojej pamięci tak, jak trzymałam Cię w swoich ramionach.

List podpisano literą "V". Kiedy czytał jej słowa, obraz zamazał mu się przed oczyma i zaczął dyszeć.

Zanim dotarł do ostatniej linijki, usłyszał delikatne pukanie do drzwi.

— Kto tam? - spytał.

— To ja, efendi.

62

Poczekaj chwilę, Izmaelu.

Szybko otarł oczy wierzchem dłoni, wsunął list pod poduszkę i zapakował sztucer do futerału.

- Wejdz, umiłowany proroka! - zawołał, wsuwając sztucer pod łóżko.

Izmael, żarliwy członek nadmorskiego ludu Suahili, wszedł do środka z cynkową balią na głowie.

— Witaj w domu, efendi. Przynosisz słońce mojemu ser

cu. - Mówiąc to, postawił balię na środku podłogi, a następnie zaczął ją napełniać wiadrami parującej wody, którą nagrzał na kominku za chatą. Kiedy woda wystarczająco ostygła, Izmael owinął ręcznikiem kark Leona, a następnie z grzebieniem i nożyczkami stanął za nim, obcinając zapiekłe od pyłu i słońca włosy. Pracował zręcznie, a gdy skończył, cofnął się i z zadowoleniem skinął głową. Następnie sięgnął po pędzel i kubek z pianą. Pokrył zarosłe szczeciną policzki spienionym mydłem, naostrzył długą brzytwę i podał ją swojemu panu. Trzymał małe ręczne lusterko, podczas gdy Leon starannie golił policzki i wycierał resztki mydła ręcznikiem.

— Jak wyglądam? - spytał.

— Twoja uroda oślepiłaby rajskie hurysy, efendi - odrzekł poważnie Izmael, sprawdzając palcem wodę. - Kąpiel gotowa.

Leon ściągnął cuchnące łachmany i rzucił pod ścianę. Wszedł do balii, pogrążając się w wodzie z westchnieniem rozkoszy. Ledwie się w niej mieścił, toteż musiał podciągnąć nogi pod brodę. Izmael wyniósł na zewnątrz podartą odzież, trzymając ją z dala od siebie. Przez otwarte drzwi bez pukania wszedł do środka Bobby Sampson.

- Piękna rzecz dostarcza nieustannej radości - powiedział z nieco innym uśmiechem. Bobby, rosły, niezgrabny, lecz przyjaźnie nastawiony młodzieniec, był zaledwie rok starszy od Leona. Tych dwóch najmłodszych oficerów w regimencie połączył węzeł przyjaźni, u której podstawy leży instynkt przetrwania. Przypieczętowali swoją przyjaźń wspólnym zakupem rozklekotanego osobowego vauxhalla, którego nabyli od indyj-

skiego hodowcy kawy za trzysta funtów i dziesięć szylingów - niemal całe ich oszczędności. Pracując nocami, po służbie, zdołali mu niemal przywrócić dawną świetność.

Bobby podszedł do łóżka i opadł na materac, układając dłonie pod głowę. Założył nogę na nogę i zaczął obserwować gekona, który wspinał się na krokiew i zawisł wprost nad nim.

— Wygląda na to, że wpakowałeś się w niezłe gównno, stary.

Wiesz, że Freddy Żaba oskarża cię o wszelkie możliwe przestępstwa i wykroczenia. Tak się składa, że mam przy sobie akt oskarżenia. - Sięgnął do dużej wewnętrznej kieszeni munduru i wyciągnął zwinięty plik papierów. Pomachał nimi w kierunku Leona. - Znalazłem całkiem pikantne szczegóły. Jestem pod wrażeniem twojego zepsucia. Kłopot w tym, że dostałem rozkaz, aby cię bronić. I co? Co?

— Na Boga, przestań w kółko powtarzać "co". Doprowadzasz mnie do szaleństwa.

Bobby zrobił skruszoną minę.

— Wybacz, stary. Prawda jest taka, że nie mam zielonego pojęcia, co robić.

— Jesteś idiotą, Bobby.

— Nic na to nie poradzę, taką już mam naturę. Mama upuściła mnie na głowę, nie wiedziałeś? Wróćmy do tematu.

Wiesz, co powinienem zrobić?

— Oczarować sędziów mądrością i erudycją. - Leon był coraz bardziej rozbawiony, gdy obserwował, jak obdarzony przenikliwym umysłem Bobby udaje głupka.

— Aktualnie odczuwam pewien deficyt wspomnianych przy
miotów - przyznał Bobby. - Co robimy?

Leon wstał z balii, rozbryzgując mydliny na podłogę. Przyjaciel rzucił mu nad głowę zwinięty ręcznik, który Izmael zostawił w nogach łóżka.

- Zaczniemy od wspólnego przeczytania aktu oskarże
nia - zasugerował Leon, wycierając ciało.

Twarz Bobby'ego pojaśniała.

64

Wspaniały pomysł. Zawsze wiedziałem, że jesteś ge
niuszem.

Leon naciągnął spodnie khaki.

- Trochę mało tu miejsca - powiedział. - Przesuń swój
tłusty zadek.

Bobby usiadł, przybierając poważną minę i robiąc miejsce przyjacielowi, który usadowił się obok niego. Wspólnie pochylili się nad aktem oskarżenia.

Kiedy we wnętrzu chaty zrobiło się ciemno, Izmael przyniósł lampę i zawiesił ją na haku. Zaczęli studiować dokumenty w słabym żółtawym świetle. W końcu Bobby przetarł oczy i ziewnął, a następnie wyciągnął zegarek i energicznie go nakręcił.

— Minęła północ, a jutro o dziewiątej musimy stawić się
w sądzie. Starczy na dziś. Nawiasem mówiąc, wiesz, jakie
według mnie masz szansę na niewinnienie?

— Nieszczególnie - odparł Leon.

— Gdybyś zaproponował mi zakład jeden do tysiąca, nie
postawiłbym nędznych dwóch pensów. Jeśli udałoby się spro
wadzić sierżanta, twoja relacja stałaby się bardziej wiarygodna.

— Mała szansa, że zdąży przybyć jutro przed dziewiątą.

Manyoro został na szczycie góry w kraju Masajów. Setki

mil stąd.

Rozprawa odbywała się w kantynie oficerskiej zamienionej w salę sądową. Trzej sędziowie zasiedli na podium za wysokim stołem. Poniżej ustawiono dwa stoły dla obrońcy i oskarżyciela. W małej izbie było gorąco. Na werandzie wirował monotonnie duży wiatrak przymocowany do sznurka, który ginął w otworze na suficie, za pośrednictwem kilku bloczków łącząc się z wiatrakiem zawieszonym nad wysokim sądem. Łopaty wiatraka wirowały jednostajnie, poruszając ciepłe powietrze i tworząc iluzję chłodu.

Leon, siedzący obok Bobby'ego Sampsona za stołem obroń-

65

cy, przypatrywał się twarzom mężczyzn wchodzących w skład zespołu orzekającego. Za tchórzostwo, dezercję i zaniedbanie obowiązków oraz odmowę wykonania rozkazu mógł grozić pluton egzekucyjny. Poczul, jak po ramionach przechodzą mu ciarki. Oficerowie, których miał przed sobą, mieli zdecydować

o jego życiu lub śmierci.

- Patrz im w oczy i mów głośno - szepnął Bobby, zastygając wargami notatnikiem. - Stary zawsze mi to powtarzał.

Nie wszyscy sędziowie sprawiali wrażenie ludzkich i współczujących. Najstarszy rangą był pułkownik korpusu indyjskiego, który przybył do Nairobi pociągiem z Mombasy. Wyglądało na to, że kiepsko zniósł podróż. Krzywił się, jakby cierpiał na niestrawność. Miał na sobie krzykliwy mundur jedenastego regimentu Bengalskich Lansjerów, ulubionej formacji księcia Walii. Na jego piersi Leon dostrzegł dwa rzędy baretek. Jego wysokie buty do jazdy lśniły, a chwost jedwabnego turbana opadał na ramię. Twarz miał poczerwieniałą od słońca i whisky, oczy ogniste niczym u lamparta, a czubki wąsów, spiczaste

1 nawoskowane.

— Przypomina ludożercę - zauważył cicho Bobby, podążając za wzrokiem Leona. - To jego będziemy musieli przekonać, a zapewniam cię, że nie będzie to łatwe.

— Panowie, możemy zaczynać? - huknął przewodniczący, zwracając chłodne, lekko zaczerwienione oczy na Eddy'ego Robertsa zasiadającego za stołem oskarżyciela.

— Tak, panie pułkowniku - odrzekł Roberts, wstając

z uszanowaniem. Był pupilkiem Snella i właśnie dlatego został wybrany do tej roli.

Przewodniczący spojrział na obrońcę.

— Jesteście gotowi? - spytał. Bobby skoczył na równe nogi tak energicznie, że zrzucił starannie ułożone kartki na podłogę.

— Przepraszam, panie pułkowniku.

— Jesteście gotowi? - powtórzył pułkownik Wallace do nośnym głosem, który w zamkniętym pomieszczeniu grzmiał jak syrena.

66

- Tak, jestem gotów. - Bobby spojrział na niego, przyciskając kartki do piersi i rumieniąc się.

- Nie mamy tygodnia na tę sprawę. Do rzeczy, młodzieńcze.

Adiutant pełniący funkcję sekretarza sądowego odczytał listę zarzutów, a następnie Eddy Roberts wstał, by przedstawić stanowisko oskarżenia. Był rozluźniony, mówił wyraźnie i przekonywająco. Sędziowie z uwagą wysłuchali jego wystąpienia.

- Niech mnie szlag, Eddy jest naprawdę niezły. Nie sądzisz? - zauważył nerwowo Bobby.

Po krótkim wstępie Eddy powołał na pierwszego świadka majora Snella. Przedstawił mu akt oskarżenia, prosząc, by potwierdził każdy jego szczegół, a następnie zapytał o przebieg służby oskarżonego i o to, jak wykonywał swoje obowiązki do czasu, gdy wysłano go do Niombi w celu ochrony tamtejszej borny. Snell był zbyt sprytny, aby wygłosić jednostronną opinię i zdradzić swoje uprzedzenia wobec Leona. Mimo to przedstawił fachową, chłodną ocenę w taki sposób, aby zabrzmiała jak potępienie.

— Porucznik Courtney jest zręcznym graczem polo. Jego pasją są polowania na grubą zwierzynę. Zajęcia te pochłaniają znaczną część jego czasu, który mógłby wykorzystać na uży-

teczniejsze zajęcia.

— Jaki styl życia prowadzi? Czy wie pan o jakichś skandalach towarzyskich związanych z jego osobą?

Bobby skoczył na równe nogi.

— Sprzeciw, Wysoki Sądzie! - zawołał. - Pytanie oskarżyciela nawiązuje do przypuszczeń i plotek. Prywatne życie mojego klienta nie ma związku z oskarżeniami, które mu postawiono.

— Co wy na to? - Pułkownik Wallace spojrzął przenikliwie na Eddy'ego Robertsa.

— Uważam, że prawość i charakter oskarżonego mają bezpośredni związek ze sprawą.

— Odrzucam sprzeciw. Świadek może odpowiedzieć na pytanie.

— Spytałem... - Eddy uśmiechnął się, że zagląda do notatek - czy

67

słyszał pan o jakimś skandalu towarzyskim związanym z osobą oskarżonego.

Snell tylko na to czekał.

- W rzeczy samej, niedawno wydarzył się pewien nie szczęśliwy incydent. Oskarżony uwiódł młodą damę, wdowę. Jego zachowanie było tak skandaliczne, że naraziło na szwank honor regimentu i wywołało zgorszenie miejscowej społeczności. Gubernator kolonii, sir Charles Eliot, musiał osobiście dopilnować, aby owa dama wróciła do kraju.

Trzej sędziowie spojrzeli złowrogo na Leona. Chociaż od śmierci królowej minęło kilka lat, a obyczaje jej syna, następcy tronu, można było uznać za swobodne, stare pokolenie nadal obstawało przy surowych

wiktoriańskich zasadach.

Bobby zapisał coś w notatniku, a następnie pokazał kartkę Leonowi. "Nie będę przepytawał Snella w tej sprawie. Zgadzasz się?".

Leon niechętnie skinął głową.

Po dłuższej przerwie, która miała na celu skłonienie sędziów do zapamiętania tego faktu, Eddy Roberts podniósł grubą książkę leżącą na biurku.

— Poznaje pan tę księgę, majorze Snell?

— Oczywiście, to księga rozkazów batalionu.

Eddy otworzył księgę na zaznaczonej stronie i odczytał fragment, w którym rozkazano Leonowi wyruszyć na czele oddziału do Niombi, gdzie miał ochraniać tamtejszą borną. Kiedy skończył, zapytał:

— Majorze Snell, czy wydał pan oskarżonemu taki rozkaz?

— Tak.

Eddy ponownie odczytał treść rozkazu: "Jak najszybciej dotrzeć do...". Spojrzał na Snella.

— "Jak najszybciej dotrzeć do" - powtórzył. - Czy do

kładnie takie były pańskie rozkazy?

— Tak.

— Oskarżonemu zajęło to osiem dni. Czy pańskim zdaniem

starał się tam dotrzeć ,jak najszybciej"?

68

- Nie.

.- Oskarżony jako powód opóźnienia podał, że w drodze do Niombi natknął się na ślady buntowników i uznał za swój obowiązek podążenie ich tropem. Czy pan się z tym zgadza?

— Skądże! Miał jak najszybciej dotrzeć do Niombi, aby ochraniać znajdujące się tam osoby. Taki otrzymał rozkaz.

— Czy oskarżony mógł dojść do wniosku, że były to ślady buntowników Nandi?

— Nie. Mam wątpliwości, czy ślady te zostały pozostawione przez ludzi. Zważywszy na fakt, że porucznik Courtney ma słabość do shikari, polowań, za bardziej prawdopodobne uważam, że zostawiło je jakieś zwierzę, na przykład samiec słoń, co podsyciło ciekawość porucznika.

— Sprzeciw, Wysoki Sądzie! - zakwilił Bobby. - To domysł świadka.

Zanim sędzia zdążył interweniować, Eddy uciął krótko:

- Wycofuję pytanie. - Był rad, że udało mu się zasiać ziarno wątpliwości w umysłach sędziów. Zwrócił się do Snella, aby omówić kolejne fragmenty raportu Leona. - Oskarżony twierdzi, że większość jego ludzi została zabita, a sierżant odniósł poważną ranę, że walczył dzielnie z przeważającymi siłami wroga i opuścił borną w Niombi dopiero wówczas, gdy została podpalona przez buntowników. - Trzepnął palcami w kartkę raportu. - Wówczas wziął na plecy rannego Manyoro i pod osłoną dymu wyniósł na zewnątrz. Czy pana zdaniem brzmi to wiarygodnie?

Snell uśmiechnął się porozumiewawczo.

— Sierżant Manyoro to duży mężczyzna. Ma ponad sześć stóp wzrostu.

— Tu jest jego karta zdrowia. Sierżant ma dokładnie sześć stóp trzy i pół cala. Bez butów. To potężny mężczyzna. Zgadza się pan?

— Absolutnie. - Snell skinął głową. - Oskarżony utrzy

muje, że niósł go trzydzieści mil i nie został schwytany przez buntowników. - Potrząsnął głową. - Wątpię, by nawet tak

69

silny człowiek, jak porucznik Courtney, był zdolny do takiego wyczynu.

— Co pana zdaniem stało się z sierżantem?

— Uważam, że oskarżony pozostawił go w Niombi razem z resztą oddziału, aby samotnie rzucić się do ucieczki.

— Sprzeciw! - krzyknął Bobby, skacząc na równe nogi. - To przypuszczenia!

— Sprzeciw podtrzymany. Sekretarz wykreślił to pytanie i odpowiedź świadka - odrzekł pułkownik w turbanie, spoglądając z dezaprobatą na Leona.

Eddy Roberts zajrzał do swoich notatek.

— Wiemy, że oddział, który wyruszył z misją ratunkową, nie odnalazł ciała sierżanta. Jak pan to wyjaśni?

— Muszę was poprawić, poruczniku Roberts. Nie udało się zidentyfikować ciała sierżanta. To co innego. Znalaziono zwłoki w zgliszczach domu, lecz były zwęglone i niemożliwe do rozpoznania. Pozostałe ciała zostały pozbawione głów przez buntowników lub tak okaleczone przez sępy i hieny, że nie można ich było zidentyfikować. Ciało sierżanta Manyoro mogło się wśród nich znajdować.

— Sprzeciw, to domysły świadka - rzekł znużonym głosem Bobby.

— Podtrzymuję sprzeciw. Proszę trzymać się faktów, ma jorze.

Snell i jego ulubieniec spojrzeli na siebie, nie kryjąc zadowolenia.

— Jeśli sierżant Manyoro rzeczywiście uciekł z Niombi z pomocą oskarżonego, domyśla się pan, gdzie może obecnie przebywać? - spytał rzeczowym tonem Roberts.

— Nie potrafię powiedzieć.

— Może w rodzinnej manyatcie U matki, jak oskarżony zeznał w swoim raporcie?

— Uważam, że jest to wysoce nieprawdopodobne - odparł Snell. - Wątpię, czy jeszcze kiedykolwiek ujrzemy sierżanta.

W tym momencie sędziowie ogłosili przerwę na lunch, aby

70

spożyć zimną pieczeń z perliczki i wypić lampkę szampana na szerokiej werandzie kantyny oficerskiej, a kiedy wrócili, Eddy Roberts kontynuował przesłuchiwanie Snella aż do wczesnego popołudnia, kiedy oznajmił przewodniczącemu:

— Nie mam więcej pytań. Świadek jest wolny. - Był zadowolony z siebie i wcale tego nie ukrywał.

— Chcecie przepytac świadka, poruczniku? - zapytał przewodniczący, spoglądając na kieszonkowy zegarek. - Chciałbym zakończyć rozprawę najpóźniej do jutra wieczór. W piątek wieczorem nasz statek odpływa z Mombasy - oznajmił z taką miną, jakby wyrok już zapadł.

Bobby próbował zachwiać pewnością siebie Snella, lecz miał tak mało argumentów, że major odparował jego atak pobłażliwym, protekcyjnym tonem, jakby rozmawiał z dzieckiem. Raz lub dwa wymienił porozumiewawcze spojrzenie z sędziami.

W końcu pułkownik ponownie wyciągnął złoty zegarek i ogłosił:

— Panowie, na dziś wystarczy. Spotkamy się jutro o dziewiątej - powiedział, prowadząc pozostałych członków składu sędziowskiego do baru na tyłach kantyny.

— Obawiam się, że kiepsko się spisałem - wyznał z żalem Bobby, kiedy wyszli na werandę. - Wszystko zależy od twoich jutrzejszych zeznań.

Izmael przyniósł im obiad i dwie butelki piwa z kuchennej przybudówki przylegającej do tylnej części chaty Leona. Ponieważ w izbie nie było krzesel, usiedli na klepisku, bez apetytu spożywali posiłek i omawiali strategię na kolejny dzień.

— Jestem ciekaw, czy damy z Nairobi uznają, że jesteś dziarski i przystojny, gdy staniesz przy ścianie z opaską na oczach - rzekł Bobby.

— Zmiataj stąd, ponuraku - polecił Leon. - Muszę się zdrzemnąć. - Jednak sen nie przychodził. Leon rzucał się niespokojnie na łóżku i pocił do wczesnych godzin rannych.

71

W końcu usiadł, zapalił lampę i wstał, aby pójść w bieliznie do latryny znajdującej się na końcu rzędu chat. Kiedy wyszedł na zewnątrz, omal nie wpadł na małą grupkę mężczyzn siedzących na zewnątrz. Spojrzał na nich przerażony, wysoko unosząc lampę.

- Kim jesteście? - spytał głośno. Przyjrzał się im uważnie i stwierdził, że było to pięciu mężów ubranych w masajskie shuki barwy ochry.

Jeden z nich podniósł się na jego widok.

— Pilnujemy cię, M'bogo - powiedział, odsłaniając kolczyki z kości słoniowej, które lśniły w świetle lampy niemal

tak jasno jak jego zęby.

— Manyoro! Co tu, u diabła, robisz? - niemal krzyknął, czując, jak narasta w nim radość i ulga.

— Przysłała mnie Lusima Mama. Powiedziała, że mnie potrzebujesz.

— Czemu trwało to tak długo? - spytał Leon, obejmując przyjaciela.

— Przybyłem jak najszybciej dzięki pomocy moich braci. - Wskazał siedzących za nim mężczyzn. - Po dwóch dniach marszu z góry Lonsonyo dotarliśmy do bocznic w Naro Moru. Maszynista pozwolił nam usiąść na dachu i przywiózł do Nairobi najszybciej, jak się dało.

— Mama miała słuszność. Bardzo potrzebuję twojej pomocy, bracie.

— Lusima Mama nigdy się nie myli - odparł beznamiętnym tonem Manyoro. - W jakich tarapatach się znalazłeś? Ponownie wyruszamy na wojnę?

— Tak - odparł Leon. - Na wielką wojnę! - Piątka Masajów uśmiechnęła się z nadzieją.

Obudzony ich głosami Izmael przywłókł się chwiejnym krokiem z szałasów za domkiem, aby sprawdzić, co się dzieje.

- Czy ci niewierni Masajowie cię niepokoją, efendi? Mam ich przegonić? - Służący nie rozpoznał sierżanta Manyoro ubranego w strój plemienny.

- Nie, Izmaelu. Pobiegnij ile sił w nogach do porucznika Bobby'ego i powiedz, żeby przyszedł tu czym prędzej. Stał się cud. Nasze modlitwy zostały wysłuchane.

, - Allah jest wielki! Jego dobroć przekracza wszelkie pojmowanie! - zaintonował Izmael, a następnie dostojnym truchtem ruszył do chatki Bobby'ego.

- Wzywam na świadka sierżanta Manyoro - oznajmił

Bobby Sampson donośnym, pewnym głosem.

W kantynie oficerskiej zapanowała cisza. Sędziowie podnieśli wzrok znad notatek, spoglądając z ciekawością na Manyoro, który wkuśtykał, wspierając się na prymitywnych kulach. Sierżant miał na sobie najlepszy mundur i owijacze na łydkach, choć nie włożył butów. Godło regimentu na czerwonym fezie i wypolerowana klamra pasa lśniły niczym gwiazdy. Za nim wmaszerował starszy sierżant M'fefe, bezskutecznie próbując ukryć uśmiech. Zatrzymali się przed wysokim stołem i zamasyście zsalutowali sędziom.

— Starszy sierżant będzie tłumaczył z języka kisuahili dla

tych, którzy nie znają tego narzecza - wyjaśnił Bob

by. - Sierżancie, proszę poprosić świadka o podanie nazwiska

i stopnia.

— Sierżant Manyoro z kompanii C trzeciego batalionu

pierwszego regimentu Królewskich Strzelców Afrykańskich -

oznajmił dumnie Manyoro.

Na twarzy majora Snella pojawił się wyraz konsternacji. Dopiero teraz rozpoznał Manyoro. Leon słyszał kilkakrotnie, jak powtarzał w barze przy trzeciej lub czwartej szklaneczce whisky: "Jak dla mnie, wszystkie te pieprzone czarnuchy wyglądają tak samo". Obelżywe uwagi tego rodzaju były typowe dla apodyktycznej i pogardliwej postawy majora. Żaden z oficerów nie użyłby takiego określenia wobec swoich podkomendnych.

Dobrze się przyjrzyj temu pieprzonemu czarnuchowi, Froggy, pomyślał z radością Leon.

73

- Wysoki Sądzie, czy świadek może zeznawać na siedzą

co? - spytał przewodniczącego Bobby. - Strzała Nandi trafiła

go w nogę. Jak panowie widzą, rana jeszcze się nie zagoiła.

Wszyscy zebrani spojrzeli na udo Manyoro owinięte czystym bandażem przez chirurga regimentu. Przez białą tkaninę widać było świeżą plamę krwi.

- Oczywiście - przytaknął przewodniczący. - Niech ktoś poda mu krzesło.

Oficerowie pochylili się w milczącym oczekiwaniu, a major Snell i Eddy Roberts zaczęli szeptać niespokojnie.

— Sierżancie, czy ten człowiek jest dowódcą waszego oddziału? - spytał Bobby, wskazując siedzącego obok Leona.

— Bwana porucznik to mój oficer.

— Czy wraz z nim i jego oddziałem udaliście się do borny w Niombi?

— Tak, bwana porucznik.

— Sierżancie Manyoro, nie musicie ciągle powtarzać "bwa na porucznik" - zaprotestował Bobby płynnym kisuahili.

- Ndio, bwana porucznik - przytaknął Manyoro. Bobby przeszedł na angielski, aby sędziowie mogli zrozumieć, o co chodzi.

— Czy podczas marszu natrafiliście na podejrzane ślady?

— Tak, odkryliśmy ślad pozostawiony przez oddział złożony z dwudziestu sześciu wojowników Nandi. Weszli na teren Wielkiego Rowu Wschodniego od strony Gelai Lumbwa.

— Dwudziestu sześciu? Jesteście pewni?

— Tak, bwana porucznik. - Manyoro wydawał się urażony tak oczywistym pytaniem.

— Skąd wiedzieliście, że to oddział wojowników?

— Nie było wśród nich kobiet i dzieci.

- Skąd wiedzieliście, że byli to Nandi, a nie Masajowie?
- Ich stopy są mniejsze od naszych. Te psy chodzą inaczej niż my.
- Jak to?
- To karły, robią małe kroki. Nie stawiają najpierw pięty

74

i nie odpychają się palcami jak prawdziwi wojownicy. Człapią jak brzemienne pawiany.

- Jesteście pewni, że była to grupa wojowników Nandi?
 - Tylko głupiec lub dzieciak by temu zaprzeczył.
 - W jakim kierunku zmierzali?
 - Do stacji misyjnej w Nakuru.
 - Czy pomyśleliście, że mają zamiar zaatakować misję?
 - Nie sądziłem, aby mieli zamiar napić się piwa z misjo narzami - odparł wyniośle Manyoro, a gdy starszy sierżant przetłumaczył jego słowa, przewodniczący składu sędziów skiego zachichotał. Pozostali uśmiechnęli się i skinęli głowami.
- Eddy wyraźnie spochmurniał.

— Powiedzieliście to waszemu porucznikowi? Przedyskutowaliście to z nim?

— Oczywiście.

- Czy wydał wam rozkaz, aby ruszyć za nimi?

Manyoro skinął głową.

— Szliśmy ich śladem przez dwa dni, aż zorientowali się, że są tropieni.

— W jaki sposób?

— Busz stał się rzadki. Nawet Nandi mają oczy w głowie - wyjaśnił cierpliwie Manyoro.

— Czy dowódca wydał wówczas rozkaz przerwania pościgu i wyruszenia do Niombi? Wiecie, dlaczego nie nawiązał walki z przeciwnikiem?

— Dwudziestu sześciu Nandi rozpieczętowało się w dwudziestu sześciu kierunkach. Mój porucznik nie jest głupcem. Wiedział, że gdybyśmy szybko biegli i mieli szczęście, moglibyśmy złapać jednego. Wiedział też, że ich przestraszyliśmy i że nie pójdą do Nakuru. Mój bwana ocalił misję przed atakiem i nie chciał tracić więcej czasu.

— Przecież straciliście prawie cztery dni?

— Ndio, bwana porucznik.

— Jaką sytuację zastaliście po dotarciu do Niombi?

— Inny oddział Nandi napadł borną. Zamordowali kome-

75

danta, jego żonę i dziecko. Zabili dziewczynkę dzidą, a mężczyznę i kobietę utopili, oddając im mocz do ust.

Sędziowie pochylili się, słuchając z zapartym tchem, jak z pomocą Bobby'ego Manyoro opisuje zasadzkę Nandi i rozpaczliwą walkę, która się rozegrała. Manyoro beznamiętnie opowiedział, jak wycięto w pień cały oddział oraz jak on i Leon przedarli się do borny i odparli napastników.

— Czy podczas walki wasz porucznik zachowywał się jak mężczyzna?

— Bił się jak wojownik.

— Ilu nieprzyjaciół powalił?

— Widziałem, jak zabił ośmiu Nandi, mogło być ich jednak więcej. Miałem pełne ręce roboty.

— Później zostaliście ranni. Opowiedzcie, jak to się stało.

— Kończyła się amunicja, więc wyszliśmy, aby zabrać ją zabitym askari, którzy leżeli na placu.

— Porucznik Courtney poszedł z wami?

— Ruszył przodem.

— Co się później stało?

— Jeden z tych psów, Nandi, trafił mnie strzałą. Dostałem tutaj. - Manyoro podciągnął szorty khaki, odsłaniając zabandażowaną nogę.

— Mogliście biec z taką raną?

— Nie.

— Jak zdołaliście uciec?

— Kiedy bwana Courtney zobaczył, że upadłem, wrócił po mnie. Wniósł mnie do borny.

— Jesteście dużym mężczyzną, jakim sposobem tego dokonał?

— Jestem dużym mężczyzną, bo jestem Masajem. Bwana Courtney to silny człowiek. Masajowie zwą go bawołem.

— Co się później stało?

Manyoro opisał ze szczegółami, jak się bronili, dopóki Nandi nie podłożyli ognia, zmuszając ich do wycofania się pod osłonę dymu w kierunku plantacji bananów.

— Co się wówczas stało?

— Kiedy dotarliśmy na polanę za plantacją, poprosiłem, aby bwana dał mi rewolwer i poszedł sam.

— Zamierzaliście się zabić, ponieważ byliście unieruchomieni i nie chcieliście, by schwytali was Nandi, a następnie utopili jak komendanta i jego żonę?

— Wolałbym zabić się sam, niż zginąć z rąk Nandi, wcześniej jednak zabrałbym ze sobą kilku łotrów - przytaknął Manyoro.

— Czy wasz oficer odmówił pozostawienia was?

— Chciał zanieść mnie na plecach do torów kolejowych.

Powiedziałem mu, że to cztery dni marszu w głąb terytorium Nandi. Że roi się tam od zbrojnych oddziałów. Poinformowałem go, że manyatta mojej matki leży niecałe trzydzieści mil dalej, głęboko na ziemiach Masajów, i że te parszywe kundle, Nandi, nie ośmielą się pójść za nami. Powiedziałem, że jeśli upiera się, by mnie zabrać, powinniśmy iść w tamtą stronę.

— Zrobił, jak mu poradziście?

— Tak.

— Trzydzieści mil? Dźwigał was na plecach trzydzieści mil?

— Może nawet trochę dalej. To silny mężczyzna.

— Czemu nie zostawił was i nie wrócił natychmiast do Nairobi, kiedy dotarliście do wioski waszej matki?

— Jego stopy były w strasznym stanie po marszu z Niombi.

Moja matka jest znaną uzdrowicielką, ma wielką moc. Wyleczyła mu stopy swoimi lekami. Bwana Courtney opuścił wioskę, gdy tylko mógł chodzić.

Bobby przerwał i spojrzął na trzech sędziów, a następnie spytał:

- Sierzancie Manyoro, co pan czuje do porucznika Courtneya?

Manyoro odpowiedział ze spokojną godnością:

— Bwana i ja jesteśmy braćmi, płynie w nas krew wojowników.

— Dziękuję wam, sierzancie. Nie mam więcej pytań.

77

Salę przeszedł szmer podziwu. Pułkownik Wallace podniósł głowę:

- Kapitanie Roberts, chcecie zadać jakieś pytania temu człowiekowi?

Eddy naradził się pośpiesznie z majorem Snellem, a następnie wstał z ociąganiem.

— Nie, panie pułkowniku. Nie mam żadnych pytań.

— Macie innych świadków? Chcecie powołać na świadka waszego klienta, porucznika Sampson? - spytał pułkownik

Wallace, wyciągając zegarek i spoglądając na niego znacząco.

— Skoro Wysoki Sąd nalega, powołam porucznika Courtneya.

Prawie skończyłem i nie zabiorę Wysokiemu Sądowi wiele czasu.

— Z radością to słyszę. Proszę kontynuować.

Kiedy Leon wstał, Bobby podał mu plik kartek i zapytał:

- Poruczniku Courtney, czy to wasz oficjalny raport z wyprawy do Niombi, który przekazaliście przełożonemu?

Leon przejrzał dokument.

— Tak, to mój raport.

— Czy jest w nim coś, co chcielibyście odwołać? A może pragnęlibyście coś dodać?

— Nie.

— Czy potwierdza pan pod przysięgą, że raport ten jest prawdziwy w każdym szczególe?

— Tak.

Bobby odebrał mu kartki i położył raport na stole przed sędziami.

— Chciałbym, aby dołączyć go do dowodów w sprawie.

— Już to uczyniono - odrzekł cierpko pułkownik. - Wszyscy się z nim zapoznaliśmy. Proszę zadać pytania świadkowi i skończmy z tym wreszcie.

— Obrona nie ma więcej pytań, Wysoki Sądzie.

— Doskonale. - Pułkownik sprawiał wrażenie mile za skoczonego. Nie spodziewał się, że wystąpienie Bobby'ego będzie tak krótkie. Spojrzał z grymasem niezadowolenia na Eddy'ego. - Chcecie zadać jakieś pytania świadkowi?

78

— Nie, panie pułkowniku. Nie mam pytań do oskarżonego.

— Doskonale. - Wallace uśmiechnął się po raz pierwszy. - Świadek może usiąść. Oskarżyciel wygłosi teraz mowę

końcową.

Eddy podniósł się, udając pewność siebie, której mu wyraźnie brakowało.

- Chciałbym zwrócić uwagę Wysokiego Sądu na raport oskarżonego oraz zeznania sierżanta Manyoro. Oba źródła potwierdzają, że oskarżony rozmyślnie zignorował rozkaz i nie wyruszył bezzwłocznie do placówki w Niombi, tylko ścigał oddział Nandi rzekomo zdążający w kierunku misji w Nakuru. Oskarżony przyznał się do winy polegającej na odmowie wykonania rozkazu dowódcy w obliczu wroga. Nie ma co do tego żadnych wątpliwości.

Roberts przerwał na chwilę, by zebrać myśli, a następnie wziął głęboki oddech, jakby miał zamiar dać nurka w lodowatą wodę.

— Co do słuźalczego potwierdzenia późniejszego postępowania oskarżonego, dostarczonego przez sierżanta Manyoro, chciałbym zwrócić uwagę Wysokiego Sądu na dziecinne, emocjonalne twierdzenie, jakoby on i oskarżony są "braćmi i płynię w nich krew wojowników". - Pułkownik Wallace zmarszczył brwi, a pozostali sędziowie poruszyli się nerwowo na krzesłach.

Eddy nie spodziewał się takiej reakcji, więc szybko dodał: - Uważam, że świadek został urobiony przez obronę i że jest całkowicie uległy oskarżonemu.

— Kapitanie Roberts, sugeruje pan, że świadek sam postrzelił się z łuku, aby ukryć tchórzostwo swojego dowódcy? - spytał pułkownik Wallace.

Obecni na sali wybuchli śmiechem, a Eddy usiadł niepyszny.

— Cisza, panowie! - upomniał zebranych adiutant.

— Nie macie nic do dodania, kapitanie? Skończyliście? -

zapytał Wallace.

— Tak, Wysoki Sądzie.

— Poruczniku Sampson, chcecie się ustosunkować do tego zarzutu?

79

Bobby wstał.

— Odrzucamy nie tylko treść zarzutu, lecz czujemy się urażeni znieważeniem sierżanta Manyoro przez oskarżyciela, który podał w wątpliwość jego uczciwość. Jesteśmy pewni, że Wysoki Sąd przyjmie zeznania prawdomównego, dzielnego i lojalnego żołnierza. Jego pełna poświęcenia służba i szacunek, który okazuje oficerom, to fundament armii brytyjskiej. -

Spojrzał na każdego z sędziów i zakończył: - Panowie, obrona nie ma nic więcej do dodania.

— Sąd ogłasza przerwę w celu uzgodnienia werdyktu. -

Wallace powstał i półgłosem oznajmił dwóm pozostałym: -

Panowie, wygląda na to, że zdążymy na statek.

— Fundament armii brytyjskiej - szepnął Eddy'emu Leon, gdy wychodzili z sali. - Mistrzowskie posunięcie.

— Prawda, że zgrabnie powiedziane?

— Postawić ci piwo?

— Nie obrażę się.

Godzinę później pułkownik Wallace zasiadł za wysokim stołem, układając przed sobą papiery. Głośno odchrząknął i rozpoczął:

- Zanim ogłoszę wyrok, chciałbym oznajmić, że sędziowie są pod dużym wrażeniem postawy i zeznań sierżanta Manyoro. Uznaliśmy go za wiarygodnego, prawdomównego, lojalnego i dzielnego żołnierza. - Bobby rozpromienił się, słysząc, że pułkownik zacytował jego słowa. - Proszę o dołączenie tej opinii do akt służby sierżanta Manyoro.

Wallace obrócił się na krześle i spojrzął na Leona.

- Oto werdykt sądu. Uznaliśmy, że oskarżony nie jest winny tchórzostwa, niewykonania rozkazu i dezercji. - Przy stole obrony dał się słyszeć szmer ulgi. Bobby trącił ukradkiem kolano Leona, a Wallace kontynuował surowym tonem: - Chociaż sąd rozumie i podziela pragnienie oskarżonego nawiązania walki z nieprzyjacielem, co należy do tradycji armii

80

brytyjskiej, uznajemy, że podejmując pościg i nie wykonując rozkazu niezwłocznego wyruszenia do placówki w Niombi, dopuścił się pogwałcenia prawa wojennego, które nakazuje absolutne posłuszeństwo dowódcy. Nie mamy wyboru i musimy uznać go za winnego niewykonania pisemnego rozkazu wyższego oficera.

Bobby i Leon spoglądali z konsternacją na pułkownika, a Snell skrzyżował ręce na piersi, wykrzywiając usta w szerokim uśmiechu.

- Ogłoszę teraz wyrok. Oskarżony, proszę wstać. - Leon stanął na baczność, stukając obcasami i wbijając wzrok w ścianę nad głową Wallace'a. - Notatka o niesubordynacji zostanie wpisana do akt oskarżonego. Po zakończeniu rozprawy oskarżony zostanie uwolniony i bezzwłocznie przystąpi do pełnienia służby, mając wszelkie prawa i obowiązki przysługujące jego

stopniowi. Boże, chroń króla! Ogłaszam zakończenie rozpra

wy. - Wallace powstał, skłonił się zebrany i na czele pozo

stałych sędziów ruszył w kierunku baru. - Pora na naparsteczek

przed odjazdem. Zamówię whisky, a wy?

Kiedy Leon i Bobby ruszyli do drzwi, sala sądowa powróciła do dawnej roli kantyny oficerskiej. Podeszli do stołu, przy którym siedział Snell. Major wstał, wkładając czapkę i zmuszając ich, by zaszalutowali. Jasnobłękitne wybałuszone oczy i zaciśnięte wargi nadawały mu raczej wygląd jadowitej ropuchy niż żaby. Leon oddał honory po dłuższej chwili.

— Jutro rano będę miał dla was nowe rozkazy, Courtney.

Proszę stawić się u mnie punktualnie o ósmej - warknął.

— Wątpię, czy zyskałeś sobie w majorze dozgonnego przyja

ciela - mruknął Bobby, kiedy szli placem apelowym spieczonym

stońcem. - Nie przestanie uprzykrzać ci życia. Pewnie wyśle cię

gdzieś daleko na pieszy patrol, nad jezioro Natron lub w inne

miejsce zapomniane przez Boga. Nie będziemy cię oglądać przez

miesiąc, w każdym razie przynajmniej lepiej poznasz kraj.

Askari Leona skupili się wokół niego, składając gratulacje.

- Jambo, bwana. Witamy z powrotem.

81

- Zostało ci na szczęście kilku przyjaciół - pocieszył go Bobby. - Będę mógł używać naszego gruchota, gdy znajdziesz się w dziczy?

Kilka miesięcy później dwaj jeźdźcy jechali strzemię w strzemię brzegiem rzeki Athi. Z tyłu podążali służący, prowadząc luzaki. Jeźdźcy mieli na głowach miękkie kapelusze z szerokim rondem. Luźno trzymali lejce. Przed nimi aż po horyzont rozciągała się szeroka równina Athi, na której pasły się stada zebr, strusie, impale i antylopy gnu. Para żyraf spojrzęła na nich z góry wielkimi czarnymi oczami, gdy mijali je w odległości nie większej od stu kroków.

— Dłużej tego nie zniosę - powiedział Leon, zwracając

się do wuja, którego darzył ogromną sympatią. - Będę musiał

prosić o przeniesienie do innego regimentu.

— Wątpię, by ktokolwiek chciał cię przyjąć. Masz dużą plamę w aktach - odrzekł pułkownik Penrod Ballantyne do wodzący pierwszym regimentem Królewskich Strzelców Afrykańskich. - Co byś powiedział na Indie? Mógłbym szepnąć o tobie słówko kilku przyjaciołom, którzy służyli ze mną w Afryce Południowej - sondował Penrod.

— Dziękuję, ale nie opuszczę Afryki. Człowiek, który urodził się nad brzegiem Nilu, nigdy nie zdoła zerwać więzów łączących go z tą ziemią.

Penrod skinął głową. Oczekiwał takiej odpowiedzi. Wyciągnął z górnej kieszeni munduru srebrną papierośnicę i wsunął do ust papierosa, a następnie poczęstował Leona.

- Dziękuję. Nie palę. - Zanim pułkownik zatrzasnął wieczko, Leon zdążył przeczytać napis wyryty na wewnętrznej stronie: "Ukochanemu Twopence'owi z okazji pięćdziesiątych urodzin, kochająca Saffron". Ciotka Saffron miała ekscentryczne poczucie humoru. Początkowo zwracała się do męża Penny, lecz po wielu latach małżeństwa uznała, że jego wartość uległa podwojeniu i ochrzciła go mianem Twopence'a.

82

- Jeśli nikt mnie nie zechce, będę musiał złożyć rezygnację. Straciłem niemal trzy lata, włączając się po pustkowiu. Major Snell zadbał, abym niczego nie osiągnął. Dłużej tego nie zniosę.

Penrod zadumał się nad jego słowami, lecz zanim zdążył odpowiedzieć, jego uwagę zwrócił ruch przy brzegu. Z gęstych nadrzecznych zarośli wyłonił się guziec. Zakrzywione białe kły niemal stykały się nad komicznie brzydkim łbem ozdobionym czarnymi zgrubieniami, którym zwierzę zawdzięczało nazwę.

Sztywny ogon sterczał w górę niczym linijka.

- Naprzód! - krzyknął Penrod, spinając klacz piętami. -

Huzia!

Leon ruszył za nim, pochylając się na karku konika do gry w polo i chwytając silniej drugą myśliwską dzidę.

- To ogromne zwierzę! Spójrz na kły! Na niego, wuju!

Klacz Penroda biegła lekko, błyskawicznie zbliżając się do

zdobyczy, a gniady wałach Leona sadził tuż za nią. Guziec usłyszał tętent, przystanął i obejrzał się. Ze zdumieniem spojrzął na pędzące konie, a następnie wykonał obrót i puścił się przed siebie, wzbijając obłoki kurzu uderzeniami małych ostrych kopyt. Nie mógł jednak prześcignąć klaczy pułkownika.

Penrod wychylił się w siodle, mierząc dzidą w wyłysiałą skórę pomiędzy wystającymi łopatkami zwierzęcia.

— Dźgnij go, Twopence! - W ferworze pościgu Leon użył określenia zarezerwowanego wyłącznie dla ciotki, lecz Penrod najwyraźniej tego nie usłyszał. Czubek dzidy sięgał niemal kłębu zwierzęcia. W ostatniej chwili guziec zmienił kierunek i czmychnął pod nogami klaczy. Nawet wierzchowiec pułkownika, nauczony biec zwinnie za podskakującą piłką polo, nie mógł przewidzieć tego manewru i minął zdobycz. Dzida musnęła twardą skórę dzika, nie raniąc go jednak. Penrod ściągnął lejce, ostro skręcając konia. Podniecona pościgiem klacz wierzgnęła i zagryzła wędzidło, łypiąc dziko ślepiami.

— Wykonaj zwrot, złotko! Ostry zwrot i naprzód! - zawołał Penrod, spinając klacz ostrogami. Wierzchowiec wykonał obrót, szykując się do kolejnego natarcia, lecz Leon przeciął im tor.

Jego wałach biegł tuż za guźcem. Kiedy się zrównali, zwierzę wykonało skręt, zawróciło i rozpaczliwie przyspieszyło. Zatoczyli koło. Penrod śmiał się, wykrzykując rady. - Dopędź go! Uważaj na kły! Byłby cię trafił! - Guziec znalazł się po lewej stronie Leona i niemal dopadł zarośli, z których się wyłonił, lecz porucznik stanął w strzemiionach, zręcznie przerzucił dzidę do drugiej ręki i wbił mu ostrze między łopatki. Stał przeszłyła serce. Leon pozostawił dzidę w ciele zdychającego zwierzęcia, by nie urazić nadgarstka, kiedy wałach przeskakiwał nad zdobyczą. Jasną stal i drzewce pokryła posoka. Guziec kwiknął i ugiął przednie nogi. Zwierzę upadło na ryj, przewróciło się na bok, trzykrotnie wierzgnęło tylnymi nogami i wyzionęło ducha.

— Dobra robota! Piękne trofeum! - zawołał Penrod, za trzymując klacz obok Leona. Roześmiali się, ciężko dysząc. - Jak mnie nazwałś przed minutą?

— Przepraszam, wuju. Wymknęło mi się pod wpływem chwili.

— Uważaj, co mówisz, ty zuchwały smarkaczu. Nic dziwnego, że podpadłeś Żabie Snellowi. W głębi serca go rozumiem i popieram.

— Chce się pić od tej roboty. Co, wuju, powiesz na filiżankę herbaty? - Leon gładko zmienił temat.

Izmael zauważył, że ruszyli za zwierzyną, więc zatrzymał wóz w cieniu i rozpałił ognisko.

- Też mi przeprosiny! Twopence! Ach, to nowe pokolenie - mruknął pod nosem Penrod.

Kiedy zsiadli z koni, woda w czajniku już się gotowała.

— Trzy łyżeczki cukru i odrobinę imbiru, Izmaelu - polecił Penrod, siadając w cieniu na jednym z obozowych krzesel z grubego płótna.

— Nie spodobałoby się to waszej szanownej i wielce czci godnej małżonce, efendi.

— Moja szanowna i wielce czcigodna małżonka bawi w Ka

irze. Nie będzie brała udziału w podwieczorku - przypomniał

84

Ballantyne, sięgając po talerzyk z biszkoptami, który ustawił przed nim Izmael. Zjadł z przyjemnością, popił herbatą i wygładził wąsy. - Skoro nie wyjedziesz do Indii, co masz zamiar robić po przejściu do cywila?

— Moje miejsce jest w Afryce - odparł Leon, popijając herbatę. - Pomyślałem, że mógłbym się zająć polowaniem na słonie - rzekł w zamyśleniu.

— Polowaniem na słonie? - powtórzył z niedowierzaniem

Penrod. - A cóż to za zawód? Chcesz żyć jak Selous i Bell?

— Zawsze mnie to fascynowało, od czasu gdy przeczytałem książki o ich przygodach.

— Romantyczne bzdury! Spóźniłeś się trzydzieści lat. Selous i Bell mieli dla siebie całą Afrykę. Jechali, dokąd chcieli, i robili to, na co mieli ochotę. Żyjemy w nowoczesnych czasach. Sytuacja uległa zmianie. Wszędzie są teraz drogi i linie kolejowe. Żaden afrykański kraj nie daje dziś nieograniczonej licencji na zabijanie tych olbrzymich zwierząt. Stare dobre czasy minęły. Tak czy owak było to twarde, ciężkie życie, pełne niebezpieczeństw i samotności. Wieczne wałęsanie się po pustkowiu w pojedynkę bez nikogo, z kim można by po mówić w ludzkim języku. Wybij to sobie z głowy.

Leon poczuł się przygnębiony tymi słowami. Utkwił wzrok w filiżance, gdy Penrod wyjął papierośnicę i zapalił kolejnego papierosa.

— Nie wiem, co będę robił - rzekł w końcu.

— Uszy do góry, chłopcze. - Pułkownik przybrał życzliw

szy ton. - Chcesz zostać myśliwym? Cóż, kilku ludzi całkiem nieźle sobie radzi w tym fachu. Najmują się w charakterze przewodników turystom, którzy przyjeżdżają do Afryki na safari. Bogaczom z Europy i Ameryki, członkom rodzin królewskich, arystokratom i milionerom, którzy gotowi są zapłacić fortunę za ustrzelenie jednego czy dwóch słoni. W naszych czasach polowanie na grubego zwierza to ulubiona rozrywka śmietanki towarzyskiej.

— Biali myśliwi? Jak Tarlton i Cunninghame? - Twarz

85

Leona pojaśniała. - To musi być cudowne życie! - Po chwili ponownie spochmurniała. - Jak zacząć? Nie mam pieniędzy, a nie poproszę ojca o pomoc. Wyśmiałyby mnie. Nie mam żadnych kontaktów. Czemu książęta i magnaci przemysłowi mieliby przyjeżdżać z Europy, aby ze mną polować?

— Przedstawię cię pewnemu człowiekowi. Może zdoła ci pomóc.

— Kiedy?

— Jutro. Ma bazę wypadową niedaleko Nairobi.

— Major Snell dał mi rozkaz wyruszenia z patrolem do jeziora Turkana. Mam zbadać teren i zbudować fort.

— Turkana?! - prychnął Penrod. - Na cóż nam fort w tej okolicy?

— Bawi się moim kosztem. Kiedy przesyłam mu raporty, o które prosi, odsyła je z kąśliwymi uwagami na marginesie.

— Zamienię z nim słówko. Poproszę, aby zwolnił cię na krótko, mówiąc, że masz do wykonania specjalne zadanie.

— Dziękuję, wuju. Bardzo dziękuję.

Wyjechali przez bramę jednostki i ruszyli główną ulicą Nairobi. Chociaż był wczesny rano, na gościńcu panował zgiełk i tłok jak w miasteczku ogarniętym gorączką złota. Sir Charles, gubernator kolonii, zachęcał osadników ze starego kraju, aby przyjeżdżali i zapuszczali tu korzenie, za symboliczną zapłatę oddając tysiące akrów ziemi. Przybysze tłumnie napływali. Drogę niemal zatarasowały wysokie wozy ze skromnym dobytkiem i żałośnie wyglądającymi rodzinami wyruszającymi w podróż, by objąć w posiadanie parcele na pustkowiu. Ich śladem podążali indyjscy, goańscy i żydowscy handlarze oraz sklepikarze. Wykonane z cegły mułowej sklepy wznosiły się wzdłuż drogi, a ręcznie malowane szyldy informowały, że można w nich kupić wszystko od szampana i dynamitu po kilofy, szpadle i naboje do dubeltówki.

Penrod i Leon przeciskali się między wozami zaprzężonymi

86

w woły i osły. Przed hotelem Norfolk pułkownik zatrzymał konia, aby pozdrowić niewielkiego człowieka w tropikalnym hełmie, który przysiadł jak elf w amerykańskim zaprzężonym w dwie zebry Burchella.

- Dzień dobry panu - zsalutował.

Mężczyzna poprawił okulary w stalowej oprawce umieszczone na czubku nosa.

— Witam, pułkowniku. Miło cię widzieć. Dokąd to?

— Z wizytą do Percy'ego Phillipa.

— Stary poczciwy Percy. - Pokiwał głową. - Mój wielki

przyjaciel. Polowaliśmy razem przez rok, po moim przyjeździe

z Anglii. Spędziliśmy ze sobą sześć miesięcy, dotarliśmy na

północ, do Sudanu. Wytropił dla mnie dwa ogromne słonie.

Uroczy człowiek. Nauczył mnie wszystkiego, co wiem o po

lowaniu na grubego zwierza.

— A wiesz niemało. Trofea, które zdobyłeś, polując sztu-

cerem pięćsetsiedemdziesiątkąsiódemką, są niemal tak legen-

darne jak jego.

— Jesteś niezwykle uprzejmy, choć wyczuwam nutę prze-

sady w twojej pochwie. - Spojrzał na Leona jasnymi, przenik

liwymi oczami. - Kim jest ten młodzieniec? - spytał.

— Pozwól, że przedstawię ci siostrzeńca mojej żony. Porucz

nik Leon Courtney, a to, chłopcze, lord Delamere.

— Czuję się zaszczycony, mogąc pana poznać, lordzie.

— Słyszałem o panu. - Oczy Delamere'a błysnęły z roz

bawienia.

Najwyraźniej nie wyznawał równie surowych zasad, jak pozostali członkowie lokalnej śmietanki towarzyskiej. Domyślając się, że następna uwaga będzie dotyczyła Verity O'Hearne, Leon dodał pośpiesznie:

— Cóż za wspaniałe zwierzęta.

— Sam je schwytałem i wyuczyłem. - Delamere rzucił

mu ponownie przenikliwe spojrzenie i zwrócił się do Ballan-

tyne'a. Pomyślał, że wie, dlaczego tak zawrócił w głowie młodej

Verity i dlaczego wszystkie stare kwoki zaniósł się zazdrosnym

87

gdakaniem. Młodzieniec był odpowiedzią na modlitwy dziewczyny.

Dotknął pejczem krawędzi hełmu.

— Życzę miłego dnia, pułkownik. Proszę przekazać Per-

cy'emu wyrazy uszanowania. - Smagnął zebry pejczem i od

jechał.

— Lord Delamere był kiedyś wielkim shikari, a teraz stał

się namiętym opiekunem dzikiej zwierzyny - wyjaśnił Pen-

rod. - Ma ponad sto tysięcy akrów ziemi w Soysambu, po

zachodniej stronie Wielkiego Rowu Wschodniego, którą za

mienił w rezerwat. Dzierżawi swoje rodzinne majątki w Anglii, przeznaczając na rezerwat każdy grosz. Wszyscy wielcy myśliwi tacy są. Kiedy zmęczy ich zabijanie, stają się żarliwymi obrońcami swojej niedawnej zdobyczy. - Wyjechali z miasta i ruszyli wzdłuż Ngong Hills, aż ich oczom ukazało się rozległe obozowisko. Namioty, chatki z trawy i małe domki wznosiły się beładnie pod drzewami.

— To obóz Percy'ego, Tandala. - W języku suahili tandala oznaczała kudu wielkie. - Przywozi klientów pociągiem z wybrzeża i wyrusza stąd na safari pieszo, konno lub wozami zaprzężonymi w woły. - Jechali wzniesieniem, zanim jednak dotarli do głównego obozowiska, natknęli się na szałas, w których preparowano i konserwowano myśliwskie trofea. Na górnych gałęziach drzew przysiadły sępy i marabuty. Smród suszących się skór i łbów upolowanej zwierzyny był przytłaczający.

Ściągnęli lejce, obserwując dwóch starców z plemienia Ndo-robot, oprawiających toporkami świeżą czaszkę słonia. Odrąbali kawałki kości, by odsłonić korzenie ciosów. Kiedy patrzyli, jeden z mężczyzn wyjął zęb z kanału. Chude nogi staruszków zachwiały się pod jego ciężarem. Bezskutecznie próbowali ułożyć potężny cios na płótnie zawieszonym na haku wagi. Leon zeskoczył z siodła i uwolnił ich od ciężaru, a następnie bez trudu ułożył trofeum na płótnie. Waga kości słoniowej sprawiła, że wskazówka wykonała pół obrotu.

- Dziękujemy za pomoc, młodzieńcze.

Leon się odwrócił. Tuż za nim stał wysoki mężczyzna o rysach rzymskiego patrycjusza. Krótka, starannie przycięta broda była poprzetykana siwizną, a jasnoniebieskie oczy przepęłniał spokój. Courtney nie miał wątpliwości, kto to taki. Wiedział, że w języku suahili Percy'ego Phillipsa nazywano Bwana Samawati, "Mężem o oczach barwy nieba".

— Witaj, Percy! - zawołał Penrod, potwierdzając jego

przypuszczenia. Pułkownik podjechał do nich i zsiadł z konia.

— Penrod! Świetnie wyglądasz. - Uścisnęli sobie dłonie.

— Ty również, Percy. Od ostatniego razu prawie się nie postarzałeś.

— Pewnie chcesz mnie prosić o przysługę. Czy to siostrzeniec twojej żony? - spytał, nie czekając na odpowiedź. -

Co sądzisz o tym kle, młodzieńcze?

— Wspaniały. Nigdy wcześniej takiego nie widziałem.

— Sto dwadzieścia dwa funty. - Percy odczytał wagę i uśmiechnął się. - Największy kiel, jaki udało mi się zdobyć od wielu lat. Mało już takich zwierząt. - Skinął głową z zadowoleniem. - Zbyt dobry, jak na żalostnego południowca, który go ustrzelił. Bezczelny drań. Skarżył się, że został źle obsłużony za nędznych pięćset funtów. Nie chciał zapłacić po zakończeniu safari. Musiałem odbyć z nim poważną rozmowę. - Delikatnie dmuchnął na zranione knykcie prawej pięści, a następnie zwrócił się do Penroda. - Kazałem kucharzowi upiec dla ciebie imbirowe ciasteczka. Wiem, że za nimi przepadasz. - Wziął pułkownika pod ramię i lekko utykając, zaprowadził do dużego namiotu pośrodku obozu, który pełnił funkcję kantyny.

— Jak zranił się pan w nogę? - spytał Leon, podążając za nimi.

Percy się roześmiał.

- Nadepnął na nią wielki stary bawół. Trzydzieści lat temu,

kiedy byłem jeszcze żółtodziobem. Nigdy nie zapomnę tej lekcji.

89

Percy i Penrod usadowili się na składanych krzesłach pod połą namiotu kantyny, przekazując sobie najświeższe nowinki

O wspólnych znajomych i zapoznając się z aktualną sytuacją w kolonii. W tym czasie Leon rozglądał się ciekawie po obozie.

Mimo pozornie przypadkowego układu obozowisko zorganizowano w praktyczny i wygodny sposób. Ziemię starannie zamieciono, a wszystkie chatki były w dobrym stanie. Na granicy obozu, u podnóża wzniesienia, dostrzegł mały, pobielany, kryty strzechą bungalow - najwyraźniej domostwo Percy'ego. Tylko jedna rzecz odcinała się na tle ładu i porządku, który wokół panował, czego Leon nie omieszkał zauważyć.

Za chatką stał vauxhall, podobny do tego, który był własnością Leona i Bobby'ego. Pojazd znajdował się w opłakanym stanie - brakowało jednego z przednich kół, szyba pękła

1 zmatowiała od brudu, otwartą maskę podparto kłodą drewna, a wymontowany silnik ustawiono na prymitywnym stole warsztatowym w cieniu pobliskiego drzewa. Ktoś zaczął go naprawiać, by nieoczekiwanie zrezygnować. Części silnika wałały się wokół lub leżały na siedzeniu kierowcy. Stadko kur uznało karoserię za grzędę, brudząc ją białymi odchodami, które niemal całkowicie pokryły lakier.

- Twój wuj wspomniał, że chciałbyś zostać myśliwym.

Czy to prawda?

Leon spojrział na Percy'ego, kiedy uświadomił sobie, że pytanie jest adresowane do niego.

— Tak, proszę pana. - Percy przyglądał srebrzystą brodę i przyjrzał się Leonowi w zamyśleniu. Spodobało się mu, że mężczyzna nie odwrócił wzroku. Uprzejmy i pełen szacunku, a jednocześnie pewny siebie, pomyślał. - Czy udało ci się upolować słonia?

— Nie, proszę pana.

— A lwa?

— Nie, proszę pana.

— Może nosorożca? Bawołu? Lamparta?

— Obawiam się, że nie.

90

— Na co polowałeś?

— Ustrzeliłem kilka tomi i zebr Granta do kotła, ale mogę się nauczyć. Właśnie w tym celu do pana przyjechałem.

— Przynajmniej jesteś uczciwy. Co potrafisz, jeśli nigdy nie polowałeś na grubego zwierza? Wymień powód, dla którego powinienem zaproponować ci robotę.

— Jestem świetnym jeźdźcem.

— Masz na myśli konie czy kobiety?

Leon się zarumienił. Otworzył usta, by po chwili je zamknąć.

— Tak, młodzieńcze. Plotki szybko się rozchodzą. Posłuchaj mnie uważnie. Wielu klientów przyjeżdża na safari razem z rodziną. Z żoną i córkami. Skąd mam wiedzieć, że nie będziesz

próbował ich uwieść przy pierwszej okazji?

— To, co pan słyszał, nie jest prawdą. Nie jestem takim człowiekiem.

— Będziesz chodził z zapiętym rozporkiem - mruknął

Percy. - Co jeszcze potrafisz prócz jeżdżenia konno?

- Umiem to naprawić. - Wskazał wrak samochodu.

Percy natychmiast się ożywił.

— Mam ten sam model - kontynuował Leon. - Był w podobnym stanie jak pański, gdy go kupiłem. Poskładałem go i teraz chodzi jak szwajcarski zegarek.

— Naprawdę? Te przeklęte automobile są dla mnie całkowitą zagadką. W porządku, co jeszcze potrafisz prócz jeżdżenia wierzchem i naprawiania automobilów? To na początek. Co jeszcze? Umiesz strzelać?

— Tak.

— Leon zdobył puchar gubernatora w zawodach strzeleckich zorganizowanych przez dowództwo regimentu na początku tego roku - potwierdził Penrod.

— Jeśli chcesz być myśliwym, będziesz potrzebował sztucera. Nie mówię tu o małym enfieldzie, którego używają wojskowi. Rurka do strzelania ziarnkami grochu na niewiele się przyda, gdy staniesz oko w oko z rozwścieczonym bawołem.

Masz prawdziwy sztucer?

— Tak.

— Jaki?

— Holland & Holland Royal czterysta siedemdziesiąt Nitro Express.

Percy wybałuszył oczy.

— Znakomity. - Skinął głową. - To rewelacyjna broń.

Do tej pory nie udało się skonstruować lepszej. Będziesz potrzebował tropiciela. Znasz jakiego dobrego?

— Tak. - W pierwszej chwili pomyślał o Manyoro, lecz później przyszedł mu do głowy Loikot. - Właściwie mam dwóch.

Percy spojrział na lśniącego złotozielonego nektarnika, który przysiadł na gałęzi nad namiotem. Podjął decyzję.

— Masz szczęście. Tak się składa, że będę potrzebował pomocy. Na początku przyszłego roku poprowadzę wielkie safari. Mój klient jest niezwykle ważną osobą.

— Ciekaw jestem, czy ten twój klient nie nazywa się przy padkiem Theodore Roosevelt i nie jest byłym prezydentem Stanów Zjednoczonych? - spytał niewinnie Penrod.

Percy nie krył zdumienia.

— Jak, u licha, się tego domyśliłeś, Penrodzie? - zapytał. - Nikt nie powinien o tym wiedzieć.

— Amerykański Departament Stanu przesłał wiadomość telegraficzną marszałkowi lordowi Kitchenerowi do Londynu. Chcieli o ciebie zapytać, zanim prezydent cię wynajmie. Podczas wojny służyłem pod Kitchenerem w Afryce Południowej, więc zatelegrafował do mnie - przyznał Penrod.

Percy wybuchnął śmiechem.

- Chytry z ciebie lis, Ballantyne. A ja, głupi, myślałem, że wizyta Teddy'ego Roosevelta to tajemnica państwowa. Najwyraźniej dobrze mnie zarekomendowałeś. Wygląda na to, że mam wobec ciebie jeszcze większy dług. - Zwrócił się do Leona. - Powiem ci, co zrobimy. Pozwolę ci się wykazać. Najpierw chcę, abyś naprawił tę kupę złomu. - Wskazał głową rozebrany automobil. - Udowodnij, że jesteś taki dobry, jak powiadasz. Rozumiemy się?

92

— Tak jest.

— Kiedy się z tym uporasz, weźmiesz swój słynny sztucer i dwóch jeszcze słynniejszych tropicieli i upolujesz słonia. Nie zatrudnię myśliwego, który w życiu nie był na prawdziwych łowach. Na dowód przyniesiesz mi ciosy.

— Tak jest - Leon się uśmiechnął.

— Czy masz dość pieniędzy, aby wykupić licencję myśliwską? Będziesz musiał wyłożyć dziesięć funtów.

— Nie, proszę pana.

— Pożyczę ci - zaproponował Percy - lecz kość słoniowa będzie moja.

— Jeśli pożyczysz mi pan pieniądze, będzie pan mógł wziąć jeden cios. Chciałbym zatrzymać drugi.

Percy zachichotał. Chłopak umie walczyć o swoje. Nie jest popychadłem. Zaczął go lubić.

— Jeśli mnie pan przyjmie, ile zarobię?

— Ile ci zapłacę? Wyświadczam przysługę twojemu wujowi.

To ty powinieneś mi zapłacić.

— Co pan powie na pięć szylingów dziennie? - zaproponował Leon.

— Co powiesz na jednego? - spytał Percy.

— A dwa?

— Umiesz się targować. - Percy ponuro potrząsnął głową, lecz wyciągnął dłoń na znak zgody.

Leon uścisnął ją energicznie.

- Nie będzie pan żałował. Obiecuję.

— Odmieniłeś moje życie, wuju, nigdy nie zdołam ci się odwdziżyć za przysługę, którą mi wyświadczyłeś. - Leon był w euforycznym nastroju, gdy wracali do Nairobi z Ngong Hills.

— Nie zaprzątaj sobie tym głowy. Nie myśl, że zrobiłem to, ponieważ jestem kochającym wujem.

— Źle cię osądziłem.

93

- Powiem ci, jak mi odpłacisz. Po pierwsze, nie przyjmę twojej rezygnacji. Zamiast tego przeniosę cię do rezerwy, a następnie oddeleguję do pracy w wywiadzie wojskowym. Będziesz pod moimi bezpośrednimi rozkazami.

Na twarzy Leona pojawiło się rozczarowanie. Jeszcze przed chwilą czuł się wolnym człowiekiem. Teraz znalazł się ponownie w duszącym uścisku armii.

— Wuju... - zaczął ostrożnie.

— Nadchodzą trudne czasy. Cesarz Wilhelm w ciągu ostatnich dziesięciu lat podwoił armię. Nie jest on mężem stanu ani dyplomata. To wojskowy z instynktu i wykszolenia. Całe życie uczył się prowadzenia wojny. Wszyscy jego doradcy to wojskowi. Ma wielkie ambicje, śni mu się imperium. Chociaż ma rozległe kolonie w Afryce, nie wystarczają mu. Powiadam ci, będziemy z nim mieli kłopoty. Pomyśl tylko, od południa graniczymy z Niemiecką Afryką Wschodnią. Mają port w Dar es-Salaam. Mogą tam szybko wysłać okręt wojenny. W Arushy już stacjonuje pełny regiment askari, którym dowodzą oficerowie regularnej armii niemieckiej. Ich dowódca, von Lettow Vorbeck, to twardy człowiek, przebiegły stary oficer. Wystarczy dziesięć dni marszu, aby stanął u bram Nairobi. Wspomniałem o tym w Ministerstwie Wojny w Londynie, lecz mają tam inne zmartwienia. Nie chcą wydawać pieniędzy na wzmacnianie odległego zakątka imperium.

— Jestem zaszokowany. Nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Niemcy mieszkający w Afryce zawsze odnosili się do nas przyjaźnie. Wiele ich łączy z osadnikami z Nairobi. Mają podobne problemy.

— To prawda, są wśród nich porządni ludzie. Osobiście lubię von Lettowa Vorbecka, lecz rozkazy idą z Berlina.

— Kajzer to wnuk królowej Wiktorii. Obecny król jest jego wujem. Kajzer otrzymał tytuł honorowego admirała królewskiej

floty. Nie mogę uwierzyć, że moglibyśmy wypowiedzieć mu wojnę - zaprotestował Leon.

— Zaufaj instynktowi starego konia. - Penrod uśmiechnął

94

się z zadumą. - Niezależnie od tego, co się wydarzy, nie dam się zaskoczyć. Zamierzam bacznie obserwować naszych uroczych południowych sąsiadów.

— Na czym ma polegać moja rola?

— W chwili obecnej nasza granica z Niemiecką Afryką Wschodnią stoi otworem. Można ją swobodnie przekraczać w jedną i drugą stronę. Masajowie i inne plemiona wypasają stada na północy i południu, nie zważając na granice wytyczone przez naszych geodetów. Chcę, abyś potajemnie stworzył siatkę informatorów, miejscowych, którzy regularnie przekraczają granicę Niemieckiej Afryki Wschodniej. Nawet Percy Phillips nie powinien wiedzieć, czym się zajmujesz. Masz dobrą przykrywkę. Jako myśliwy swobodnie przekroczysz granicę. Będziesz podlegał bezpośrednio mnie. Chcę, abyś był moimi oczami na granicy.

— Jeśli ludzie zaczną pytać, odpowiem, że zasłyszałem informacje od moich tropicieli i śledzę ruchy dzikiej zwierzyny, szczególnie samców słoni, aby wiedzieć, gdzie się znajdują, by doprowadzić do nich klientów - zasugerował Leon. Pomyślał, że nowa misja może się okazać ekscytująca i dostarczyć mu ogromnej przyjemności.

Penrod skinął głową.

- To powinno zadowolić Percy'ego i innych. Nie wspominaj o moim udziale, w przeciwnym razie dowiedzą się o tym wszyscy w klubie, gdy następnym razem wypije kilka drinków.

Percy nie potrafi utrzymać języka za zębami.

Minęło kilka miesięcy. Leon spędzał niemal każdą wolną chwilę przy samochodzie Percy'ego, umazany po łokcie czarnym smarem. Nie docenił wyzwania i rozmiarów uszkodzeń, gdy podejmował się jego naprawy. W Nairobi można było kupić niewiele części zamiennych, więc Leon był zmuszony rozmontować pojazd, który nabył razem z Bobbym. Przyjaciel stanowczo się temu sprzeciwiał, lecz w końcu zgodził się odstąpić

95

swój udział Leonowi za piętnaście gwinei, płatnych w ratach - po gwinei miesięcznie. Leon natychmiast wymontował przednie koło, gaźnik i inne części, aby zawieźć je do obozu Tandala.

Pracował przy silniku dziesiąty dzień, kiedy pewnego dnia po przebudzeniu odkrył, że sierżant Manyoro siedzi w kucki przed jego namiotem. Nie miał na sobie munduru khaki, lecz fez i shukę barwy ochry. W rękę trzymał dzidę używaną do polowań na lwy.

- spytał Leon. - Dlaczego

- odpowiedział zwyczajnie.

— Przyszedłem - oznajmił.

— Przecież widzę - odparł Leon, z trudem ukrywając

zadowolenie. - Czemu nie jesteś w koszarach? Rozstrzelają cię za dezercję.

— Mam dokument. - Manyoro wyciągnął spod shuki w miętą kopertę. Leon otworzył ją i szybko przeczytał. Manyoro został z honorami zwolniony z KSA z przyczyn zdrowotnych.

Chociaż rana nogi się zagoiła, utykał, co czyniło go niezdatnym do służby wojskowej.

— Czemu do mnie przyszedłeś? -

nie wróciłeś do swojej manyatty!

— Jestem twoim człowiekiem -

— Nie będę mógł ci zapłacić.

— Nie proszę o to - odrzekł Manyoro. - Co chcesz, abym robił?

— Najpierw doprowadzimy do użytku to enchini. - Przez chwilę wpatrywali się w żalony wrak pojazdu. Manyoro umiał ocenić jego stan, ponieważ naprawiał już z Leonem vauxhala. - A później upolujemy słonia - dodał.

— Łatwiej będzie upolować słonia, niż naprawić ten ru pieć - zauważył Manyoro.

Po niemal trzech tygodniach Leon z rezygnacją zasiadł za kółkiem, a Manyoro stanął na baczność przed maską. Leon niemal stracił wiarę w powodzenie czynności wielokrotnie powtarzanych w ciągu ostatnich trzech dni. Pierwszego dnia Percy Phillips i cały personel obozu, z kucharzem i dwoma

96

starymi preparatorami zwierząt, otoczyli ich kołem, bacznie obserwując, co się dzieje. Stopniowo tracili zainteresowanie i wykruszali się, aż pozostali jedynie starszycy, którzy siedzieli w kucki i z zapartym tchem obserwowali każdy ruch.

— Opóźniam zapłon! - Leon zaczął zaklinać bóstwa silnika spalinowego.

— Opuśnia sapłon! - zanucili jak echo dwaj starcy, wczuwając się w swoją rolę. Byli bezbłędni.

Leon przesunął lewarek zapłonu z lewej strony kierownicy, ustawiając go w pozycji pionowej.

- Przepustnica otwarta.

Tym razem preparatorzy musieli użyć wszystkich sił.

— Psiepuśnica owata. - Na nic więcej nie potrafili się

zdobyć.

— Zaciągam hamulec ręczny! - Leon pociągnął wajchę. - Bogata mieszanka! - Przekręcił gałką, ustawiając pionowo wskazówkę. - Włączam ssanie. - Leon wyskoczył z pojazdu, podbiegł do maski i pociągnął dźwignię ssania, by po chwili wrócić za kierownicę. - Manyoro, zalej gaźnik! - Manyoro dwukrotnie szarpnął korbę. - Wystarczy! - ostrzegł go Leon. - Gaśnie! - Wyskoczył ponownie, podbiegł do maski i pociągnął dźwignię ssania, szybko powracając na miejsce. - Zakręć jeszcze dwa razy! - Manyoro znowu zakręcił. - Gaźnik zalany! Uruchamiam! - Leon ustawił pokrętło na pozycję "akumulator" i spojrzął w niebo. - Manyoro, jeszcze raz. - Masaj splunął w dłonie, chwycił korbę i szarpnął.

Usłyszeli huk przypominający wystrzał armaty i z rury wydechowej buchnął kłęb niebieskiego dymu. Korba szarpnęła, zwalając Manyoro z nóg. Dwaj preparatorzy cofnęli się w trwodze. Nie oczekiwali czegoś równie widowiskowego. Zawyli z przerażenia i czmychnęli w zarośla za obozem. Z pokrytego strzechą domku Percy'ego, stojącego na granicy obozu u podnóża wzniesienia, doleciało siarczyste przekleństwo. Myśliwy wyszedł na werandę w spodniach od pizamy. Miał potarganą

97

brodę i zaspane oczy. Z konsternacją spojrzął na rozpromienionego z dumy Leona, który siedział za kierownicą vauxhalla. Silnik zaterkotał, drgnął i strzelił gaźnik, a następnie zaczął głośno pracować.

- Pozwól, że się ubiorę. Zawieziesz mnie do klubu. Kupię ci tyle piwa, ile zdołasz wypić. Później będziesz mógł poszukać swojego stonia. Nie wracaj bez ciosów.

Stanął u stóp znajomej góry Lonsonyo, zsuwając kapelusz na tył głowy i przekładając ciężki sztucer z jednej ręki do drugiej. Spojrzął na wierzchołek góry. Trzeba było jego bystrych młodych oczu, by na tle nieba dostrzec samotną postać.

— Oczekuje nas! - krzyknął zdumiony. - Skąd wiedziała,

że nadchodzimy?

— Lusima Mama wie wszystko - przypomniał mu Manyoro, zaczynając wspinaczkę stromą ścieżką prowadzącą na szczyt. Niósł manierki, płócienny chlebak, lekkiego lee-enfielda .303 Leona oraz cztery bandolierki z amunicją. Leon podążał za nim, a Izmael zamykał pochód, z połamami długiej białej kanzy łopoczącymi wokół tydek. Na głowie dźwigał ogromną pakę. Zanim opuścili obozowisko Tandala, Leon zważył ładunek. Okazało się, że sprzęty kuchenne Izmaela - garnki i patelnie, sól oraz okryta tajemnicą mieszanka przypraw - ważyły sześćdziesiąt dwa funty. Od czasu gdy wyruszyli z bocznic kolejowej w Naro Moru, jadal jak książęta dzięki delikatnemu mięsu młodych tami dostarczanemu codziennie przez Leona i umiejętnościom kulinarnym Izmaela.

Kiedy dotarli na szczyt, Lusima już na nich czekała w cieniu olbrzymiej, kwitnącej melii. Podniosła się, by ich przywitać, wysoka i dostojna niczym królowa.

— Kiedy widzę moich synów, moje oczy się radują.

— Przyszliśmy, abys pobłogosławiła naszą broń i doradziła w sprawie polowania - rzekł Manyoro, klękając przed matką.

Następnego ranka cała wioska zgromadziła się wokół figowca

98

stojącego pośrodku zagrody dla bydła, aby przypatrywać się obrzędowi pobłogosławienia broni. Leon i Manyoro przysiedli razem z nimi. Izmael odmówił udziału w pogańskim rytuale, ostentacyjnie pobrzękując garnkami nad ogniem za najbliższą chatą. Dwa karabiny Leona położono obok siebie na wygarbowanej lwiej skórze. Przy nich spoczywały dwie tykwy z krowim mlekiem i krwią oraz gliniane miseczki z solą, tabaką i szklanymi paciorkami. Na koniec w niskich drzwiach chaty ukazała się postać Lusimy. Masajowie zaczęli klaskać i śpiewać na jej cześć.

- Lusima jest wielką czarną krową, która żywi nas mlekiem swoich wymion. Jest wszechwiedząca, to matka naszego ple mienia.

Lusima miała na sobie uroczysty strój ceremonialny. Jej czoło zdobiła przepaska z kości słoniowej przedstawiająca postacie mitycznych zwierząt. Shuka była przystrojona grubą warstwą lśniących paciorków i muszelek kauri. Na piersiach zwisały ciężkie zwoje naszyjnika. Skóra lśniła od oliwy i czerwonej ochry. Błyszczała w promieniach słońca, niosąc packę na muchy wykonaną z ogona żyrafy. Kroczyła dumnie, okrążając broń i dary ofiarne.

- Niech zdobycz nie umknie wojownikowi, który będzie was nosił - zaintonowała, posypując karabiny szczyptą tabaki. - Niech krew bucha obficie z ran, które zadacie. - Zanurzyła packę w tykwach, skrapiając broń krwią i mlekiem. Następnie podeszła do Leona i pomazała jego czoło i ramiona. - Obdarzcie go siłą i wytrwałością w tropieniu zdobyczy. Niech jego oczy staną się jasne, niech wypatrzą zwierzynę z daleka. Oby żadne stworzenie nie zdołało się oprzeć jego mocy. Oby najpotężniejszy słoń padł na głos jego sztucera bunduki.

Widzowie rytmicznie klaskali, gdy Lusima kontynuowała swoje zaklęcia.

- Niech się stanie królem wśród myśliwych. Obdarzcie go mocą wielkiego łowcy.

99

Zaczęła tańczyć w wąskim kręgu, wirując coraz szybciej, aż pot i czerwona ochra zaczęły płynąć strumykami pomiędzy obnażonymi piersiami. Kiedy padła na lwiej skórze u stóp Leona, gałki jej oczu się obróciły, a w kącikach ust ukazała się piana. Jej ciało zaczęło dygotać, a nogi spazmatycznie wierzgały. Zacisnęła zęby, wydając chrapliwe gardłowe dźwięki.

— Duch wstąpił w jej ciało - szepnął Manyoro. - Zaraz

zacznie przemawiać jego głosem. Spytaj ją.

— Lusimo, wybranko Wielkiego Ducha, twój syn pragnie znaleźć wodza stoni. Gdzie przebywa? Wskaż nam drogę do wielkiego samca.

Lusima przewróciła oczami i zaczęła ciężko dyszeć, aby w końcu przemówić przez zaciśnięte zęby chrapliwym, nienaturalnym głosem:

— Podążajcie z wiatrem, wsłuchujcie się w głos słodkiego śpiewaka. On wskaże wam drogę. - Westchnęła głęboko i usiadła. Gdy jej spojrzenie znowu stało się przytomne, popatrzyła na Leona, jakby widziała go po raz pierwszy.

— To wszystko? - spytał.

— Nie będzie nic więcej - odpowiedziała.

— Nie zrozumiałem - nie poddawał się. - Kim jest słodki śpiewak?

— Przekazałam ci całe przesłanie - odparła. - Jeśli bo gowie ci pobłogosławią, zrozumiesz we właściwym czasie.

Od dnia, w którym Leon przybył na górę, Loikot chodził za nim w dyskretnej odległości. Teraz, gdy zasiadł przy ognisku ze starszyzną plemienia, chłopak ukrył się w cieniu tuż za nim, uważnie przysłuchując się rozmowie i przesuwał wzrok na każdego, kto zabrał głos.

- Chcę wiedzieć o wszystkich ruchach ludzi i zwierząt na ziemiach Masajów, aż po Wielkie Rowy Afrykański, aż po krainę za wielkimi górami Kilimandżaro i Meru. Zbierajcie i przesyłajcie mi informacje najszybciej, jak to możliwe.

100

Starsi wioski wysłuchali jego prośby, a następnie rozpoczęli ożywioną naradę. Leon nie znał języka maa na tyle dobrze, by śledzić przebieg gorączkowej debaty, w której argumenty zderzały się z kontrargumentami.

— Ziemię Masajów zamieszkuje wiele ludów - przetłu

maczył mu szeptem Manyoro. - Chcesz wiedzieć o każdym z nich? - spytał jeden ze starców.

— Nie potrzebuję informacji o Masajach. Donoście mi jedynie o obcych, o białych, a szczególnie o Bulą Matari. - Tak nazywano Niemców. Imię to znaczyło "kruszący skałę", bo pierwsi niemieccy osadnicy byli geologami, którzy odślaniali kilofami formacje minerałów. - Chcę wiedzieć o ruchach Bulą Matari i ich askari. Chcę wiedzieć, gdzie wznoszą mury lub kopią wielkie doły na swoje bunduki mkuba, wielkie strzelby.

Chociaż dyskusja trwała do późna, niczego nie postanowiono. W końcu samozwańczy rzecznik plemienia, bezzębny starzec, zamknął obrady słowami:

- Zastanowimy się. - Na te słowa zebrani powstali i rozeszli się do swoich chat.

Kiedy odeszli, z ciemności za plecami Leona rozległ się cichy głos:

— Będą się naradzać i naradzać. Nie usłyszysz niczego prócz szmeru ich głosów. Lepiej słuchać szumu wiatru w wierzchołkach drzew.

— Powinieneś okazywać więcej szacunku starszym, Loikocie - zganił go Manyoro.

- Jestem morani, wiem, komu okazywać szacunek.

Leon zrozumiał jego słowa i zachichotał.

— Wyjdź z ciemności, mój znakomity wojowniku i przyjacieli. Niech ujrzę twoje dzielne oblicze. - Loikot podszedł do ogniska i usiadł między nimi.

— Kiedy wędrowaliśmy do torów, pokazałeś mi ślady wielkiego słońca.

— Pamiętam - odparł Loikot.

— Widziałeś go od tamtej pory?

101

— W porze pełni księżyca przechadzał się wśród drzew w pobliżu miejsca, gdzie rozłożyłem się obozem razem z braćmi.

— Gdzie to było?

— Paśliśmy bydlę niedaleko dymiącej góry bogów, pełne trzy dni drogi stąd.

— Od tamtej pory mocno padało - zauważył Manyoro. -

Ślady się zatarły. Na dodatek od ostatniej pełni księżyca minęło wiele dni. Samiec mógł dojść do jeziora Manyara na południu.

— Czy jest lepsze miejsce na rozpoczęcie łowów od tego, które wskazał Loikot? - spytał Leon.

— Powinniśmy posłuchać rady Lusimy i podążać za wiatrem - przypomniał Manyoro.

Następnego ranka, gdy zeszli w dolinę, wiał lekki wietrzyk ze wschodu. Delikatny i ciepły, sunął pomiędzy ścianami ryftu przez sawannę Masajów. W górze szybowały obłoki przypominające flotyllę wielkich galeonów z żaglami lśniącymi w słońcu. Kiedy dotarli na dno doliny, skręcili i podążyli za wiatrem, przemierzając rzadki las szybkim, miarowym truchtem. Manyoro i Loikot pełnili funkcję straży przedniej, odczytując liczne ślady dzikiej zwierzyny odcisnięte na ziemi, przystając i pokazując Leonowi te, które wymagały szczególnej uwagi, a następnie wybiegając do przodu. Daleko w tyle włókł się Izmael, przygnieciony ogromnym ciężarem.

Wiatr wiejący im w plecy powodował, że pasące się zwierzęta wyczuwały zapach człowieka i podnosiły głowy. Później rozbiegały się, pozwalając, aby przeszli obok w bezpiecznej odległości.

Tego dnia trzykrotnie natknęli się na ślady słonia. Drzewa poranione przez olbrzyma białeły i krwawiły żywicą w miejscu, gdzie zwierzę oderwało duże konary. Chmary much wirowały nad masywnymi kopcami świeżego nawozu. Dwaj tropiciele nie zwrócili większej uwagi na ten ślad.

- To dwa młode samce - oznajmił Manyoro. - Nie takich szukamy.

Ruszyli dalej, aż Loikot natrafił na kolejny trop.

102

- Jedna stara słońca - zawyrokował. - Tak stara, że poduszki nóg omal się wytarły.

Po godzinie Manyoro znalazł świeży ślad.

- Przechodziło tędy stado pięciu karmiących samic. Za trzema podążały młode.

Tuż przed południem Loikot, który szedł na czele, stanął nagle i wskazał ogromny szary kształt wśród rosnących w oddali akacji. Coś się poruszyło i Leon spostrzegł leniwe falowanie ogromnych uszu. Serce zabiło mu mocniej, gdy skręcili i zaczęli iść pod wiatr, aby podejść do zwierzęcia. Po rozmiarach cielska odgadli, że był to potężny samiec. Pał się w niskich krzakach, odwrócony tyłem, więc nie mogli dostrzec jego ciosów. Wiał pomyślny wiatr, dlatego zdołali podejść tak blisko, że Leon mógł policzyć poskręcane włoski na ogonie i dostrzec kolonię czerwonych kleszczy zwisających niczym kiście dojrziałych winogron z jego pomarszczonego odbytu. Manyoro dał znak, aby się przyszykował. Leon zdjął z ramienia potężny dwulufowy sztucer, kładąc kciuk na bezpieczniku. Czekali, aż zwierzę się odwróci i ukaże ciosy.

Leon, który nigdy wcześniej nie podszedł tak blisko słońca, był pod wrażeniem jego ogromnego cielska, które wydawało się przesłaniać połowę nieba. Miał wrażenie, jakby stał pod szarym skalnym urwiskiem. Nagle byk odwrócił się w ich stronę i wybałuszył ślepie. Patrzył mu prosto w oczy z odległości kilkunastu kroków. Gęste rzęsy otaczały małe kaprawe załzawione ślepie. Po policzkach spływały łzy, pozostawiając czarne smugi. Stał tak blisko, że Leon widział światło odbijające się w źrenicach przypominających dwa ogromne paciorki polerowanego bursztynu. Powoli uniósł sztucer, lecz Manyoro chwycił go za ramię, dając znak, by nie strzelał.

Jeden z ciosów był odłamany przy wardze, a drugi poszczerbiony i zniszczony tak bardzo, że przypominał stępiony kikut. Leon wiedział, że Percy Phillips wyśmiałby go, gdyby wrócił z takim trofeum do Tandali. Mimo to samiec szykował się do ataku i niewykluczone, że trzeba go będzie zastrzelić. Od kilku

103

tygodni Percy siadywał z nim wieczorami przy lampie, wygłaszając kazania na temat umiejętności niezbędnych do zabicia ogromnej bestii jednym strzałem. Wspólnie studiowali jego autobiografię

zatytułowaną Monsunowe chmury nad Afryką. Percy poświęcił cały rozdział opisowi miejsca, w które należy celować, ilustrując to własnymi przygodami z polowań na afrykańską dziką zwierzynę.

"Bardzo trudno zabić słonia. Pamiętaj, że mózg zwierzęcia to niewielki cel. Musisz dokładnie wiedzieć, gdzie się znajduje, niezależnie od tego, skąd mierzysz. Jeśli odwróci łeb, cel się przesunie. Jeśli ustawi się przodem, odwróci się bokiem lub stanie ukośnie, sytuacja ulegnie zmianie. Musisz przeniknąć fałdy szarej skóry, aby dostrzec ważne narządy ukryte głęboko we wnętrzu jego masywnego łba i cielska".

Ze strachem zrozumiał, że nie ma przed sobą książkowej ryciny, lecz stworzenie, które może go zmiażdżyć, skruszyć każdą kość jego ciała jednym uderzeniem trąby, i że dzielą ich zaledwie dwa duże kroki. Gdyby samiec ruszył na niego, musiałby go zastrzelić. W głowie pobrzmiwały mu słowa Percy'ego: "Gdy skieruje głowę w twoją stronę, wyceluj w linię biegnącą między ślepiami i opuszczaj sztucer, aż ujrzysz górny fałd trąby. Jeśli będzie bardzo blisko lub uniesie głowę, musisz mierzyć nieco niżej. Wielu nowicjuszy zginęło, ponieważ celowało zbyt wysoko i kula przeszła ponad wierzchołkiem mózgu".

Leon wpatrywał się uporczywie w łeb zwierzęcia. Boczne bruzdy, żłobiące grubą skórę między bursztynowymi ślepiami, były głębokie. Nie miał pojęcia, co się pod nimi znajduje. Czyżby samiec był za blisko? Czy powinien celować w drugą lub trzecią bruzdę, zamiast w pierwszą? Nie miał pewności.

Nagle zwierzę potrząsnęło głową tak gwałtownie, że uszy trzepnęły o barki, wznosząc obłok pyłu z zaschniętego błota pokrywającego jego cielsko. Leon przyłożył sztucer do ramienia, lecz bestia odwróciła się i ruszyła powłóczącym truchtem, znikając między srebrzystymi akacjami.

Pod Leonem ugięły się nogi, a trzymające sztucer dłonie

104

zadrżały. Poczuł, że brak mu doświadczenia. Wiedział, dlaczego Percy go wysłał, aby zaprawił się w boju. Nie była to umiejętność, której można się wyuczyć, czytając książki lub słuchając wielogodzinnych nauk. Chodziło o sprawdzian ze sztucerem w ręku, kiedy błąd oznaczał śmierć. Manyoro podszedł i podał mu manierkę. Dopiero wówczas zdał sobie sprawę, że w ustach i krtani zaschnęło mu na wiór, a język opuchł z pragnienia. Pociągnął trzy głębokie łyki, zanim zauważył, że Masaj przypatruje się jego twarzy. Opuścił manierkę i uśmiechnął się bez przekonania. - Nawet najodważniejszych za pierwszym razem ogarnia lęk - powiedział Manyoro. - Mimo to nie uciekłeś.

Zatrzymali się w samo południe, znalazłszy schronienie pod rozłożystymi gałęziami akacji; czekali, aż nadejdzie Izmael, by przyrządzić posiłek. Pozostał pół mili za nimi, a jego postać migotała w skwarze panującym na równinie. Loikot przykucnął przed Leonem, marszcząc brwi, co oznaczało, że ma coś ważnego do powiedzenia i musi z nim odbyć męską rozmowę.

— M'bogo, powiem ci najprawdziwszą prawdę - zaczął.

— Słucham cię, Loikocie. Mów, a cię wysłucham - zapewnił Leon i przybrał poważny wyraz twarzy, aby go zachęcić.

— Twoja rozmowa ze starcami dwa dni temu nie miała najmniejszego sensu. Od piwa mózg im stwardniał jak tapioka.

Dawno zapomnieli, jak się tropi zwierzynę. Całymi dniami paplają z żonami. Ich wzrok nie sięga poza ściany manyatty.

Potrafią jedynie liczyć bydło i napełniać brzuch.

— Tak to bywa ze starcami - odrzekł Leon, zdając sobie boleśnie sprawę, że w oczach Loikota sam się niemal do nich zalicza.

— Jeśli chcesz wiedzieć, co się dzieje w świecie, musisz spytać nas.

— Jakich "nas", Loikocie?

— Strażników bydła, chungadzi. Kiedy starcy siedzą w stońcu, popijając piwo, i rozprawiają o mężnych czynach z prze-

105

szłości, chungadzi przemierzają ziemię, pilnując krów. Widzimy wszystko i słyszymy o wszystkim.

— Skąd wiesz, co słyszają i widzą inni chungadzi, których dzielą od ciebie całe dni marszu, Loikocie?

— To moi bracia noża. Wielu z nas zostało obrzezanych w tym samym roku. Razem przechodziliśmy obrzęd inicjacji.

— Czy możesz się dowiedzieć, co widzieli wczoraj chungadzi strzegący bydła na równinach za Kilimandżaro? Dzieli cię od nich dziesięć dni marszu.

— To możliwe - przytaknął Loikot. - Rozmawiamy

ze sobą.

Leon pokręcił głową z niedowierzaniem.

- Dziś o zachodzie słońca pomówię z moimi braćmi, a ty

będziesz słuchał - zaproponował Loikot, lecz zanim Leon

zdążył zadać kolejne pytanie, z oddali dobiegł przeraźliwy

krzyk. Leon i Manyoro chwycili broń i skoczyli na równe nogi,

patrząc w kierunku dalekiej sylwetki Izmaela. Kucharz pędził

ku nim ile sił w nogach, przytrzymując obiema rękami pakunek

na głowie. Tuż za nim biegł potężny samiec strusia. Dopędzał

go szybko na długich różowawych nogach. Nawet z oddali

widać było wspaniałe godowe upierzenie. Ciało strusia miało

barwę czarnego onyksu, a puch na ogonie i końce skrzydeł

lśniły bielą. Wszystkie pióra ptak nastroszył z wściekłości.

Nogi i dziób płonęły szkarłatem przybieranym w porze godowej.

Struś był gotów zabić, aby bronić swojego rewiru przed odzia

nym w białą szatę intruzem.

Leon ruszył z odsieczą na czele dwóch Masajów. Wrzeszczeli i machali rękami, aby odstraszyć ptaka, lecz ten ich zignorował i nadal bezlitośnie ścigał Izmaela. Kiedy znalazł się w odległości ciosu, wyciągnął długą szyję i dziobnął pakunek tak silnie, że Izmael runął na ziemię w obłokach kurzu. Pakunek otworzył się i na piasek wysypały się z brzękiem garnki i naczynia stołowe. Struś wskoczył mu na plecy, kopiąc go i drapiąc. Opuścił głowę, by dziobnąć go w ramiona i nogi. Izmael pisnął przeraźliwie, gdy krew trysnęła z zadanych ran.

106

Zwinny jak zając Loikot przegonił starszych mężczyzn, wykrzykując wyzwanie strusiovi. Ptak zeskoczył z rozciągniętego na ziemi Izmaela i ruszył groźnie w stronę Loikota. Rozpostarł krótkie skrzydła i rozpoczął groźny taniec, unosząc wysoko nogi, groźnie opuszczając głowę i rzucając gniewne wyzwanie.

Loikot rozłożył poły szaty niczym skrzydła, a następnie zaczął naśladować strusi taniec, wykonując podobne wysokie kroki i rytualne skłony głowy. Ptak i chłopiec zaczęli krążyć wokół siebie.

Struś, któremu rzucono wyzwanie w jego rewirze, był tak rozwścieczony i urażony, że uczucia wzięły górę nad instynktem przetrwania. Ruszył do ataku, wyciągając głowę na całą długość szyi. Próbował uderzyć dziobem w twarz Loikota, lecz ten dokładnie wiedział, jak postąpić. Leon pomyślał, że chłopak robił to wielokrotnie. Bez lęku skoczył na spotkanie ogromnego ptaka, chwytając obiema rękami szyję tuż za głowę, a następnie oplatając ją nogami i przygniatając do ziemi swoim ciężarem. Struś stracił równowagę i nie mógł unieść głowy. Szamotał się, zataczając kręgi i próbując utrzymać się na nogach. Leon podbiegł z uniesionym sztucerem. Okrążył szamoczących się, by oddać strzał.

— Nie! Efendi, nie! Nie strzelaj! - krzyknął Izmael. -

Zostaw mi tego syna wielkiego szejtana. - Kucharz zaczął

macać dłońmi wśród rozrzuconych przyborów kuchennych.

W końcu trącił nogą lśniący nóż, chwycił go do ręki i podbiegł do szamoczącej się grupki, trzymając broń en garde.

— Wykręć mu łeb! - zawołał do Loikota. Kiedy gardło ptaka zostało odsłonięte, Izmael z wprawą rzeźnika przeciął je i jednym ruchem przerwał kręgi szyjne. - Puść go! - rozkazał Loikotowi, który wypuścił ptaka. Odskoczyli od jego wierzgających nóg zakończonych ostrymi pazurami. Kiedy struś się podniósł, z rozciętej tętnicy szyjnej strzeliła wysoka struga krwi. Zwierzę straciło poczucie kierunku i chwiejąc się, zaczęło zataczać kręgi. Długie nogi utraciły siłę, a szyja zwisała jak łodyga zwiędłego kwiatu. Upadł, choć rozpaczliwie próbował wstać, lecz jasna krew tętnicza nie przestawała wypływać na spieczoną słońcem ziemię.

107

- Allah jest wielki! - zawył Izmael, skacząc na jeszcze żywą zdobycz. - Nie ma boga prócz Allaha! - Zręcznie

rozplatał brzuch zwierzęcia i wyciął wątrobę. - Zabiłem to stworzenie własnym nożem, poświęciłem jego śmierć mojemu Bogu. Utoczyłem jego krew. Jego mięso jest halal *. - Uniósł strusią wątrobę. - Oto najwyborniej sze mięso całego stworzenia. Wątroba strusia wykrojona z żywego ptaka.

Zjedli kebaby z wątrobą i tłuszczem strusia przyrządzone na węglach rozpalonych pod akacją nadgryzioną przez wielbłąda. Kiedy napełnili brzuchy, zdrzemnęli się godzinę w cieniu. Obudził ich lekki wietrzyk, który zerwał się ponownie po południowej przerwie i wiał jednostajnie na szerokim stepie. Zarzucili na ramiona broń i pakunki i ruszyli z wiatrem, aż słońce znalazło się o szerokość dłoni nad horyzontem.

- Musimy wejść na wzgórze - oznajmił Loikot, wskazując wulkaniczną skałę na trasie ich wędrówki, lśniąca czernonawo w promieniach zachodzącego słońca. Chłopak wspiął się przed nimi na wierzchołek i spojrzał w dolinę.

Na południe od nich w oddali majaczyły trzy ogromne szaroniebieskie formacje skalne. - To Loomassin, góra bogów - rzekł Loikot, wskazując zachodni szczyt, gdy Leon stanął obok niego. Następnie zwrócił się na wschód, ku dwóm większym góróm. - A to Meru i Kilimandżaro, dom obłoków.

Wyrastają na ziemi, którą Bulą Matari nazywają swoją, choć należała do mojego ludu od zarania czasu. - Szczyty znajdowały się w odległości ponad stu mil od nich, w głębi obszaru Niemieckiej Afryki Wschodniej.

Leon patrzył w niemym zachwycie na promienie słońca odbijające się od śniegowej czapy pokrywającej szczyt Kilimandżaro, a po chwili skupił wzrok na wysokim kłębie dymu buchającym z krateru wulkanicznego Loomassin. Ciekawe, czy na świecie jest coś równie pięknego, pomyślał.

* Oznacza to, że zwierzę zostało zabite zgodnie z rytuałem, a mięso nadaje się do spożycia.

- Będę rozmawiał z moimi braćmi chungadzi. Słuchaj! -
oznajmił Loikot. Wziął głęboki oddech, złożył dłonie w tubę
i wydał wysokie śpiewne zawodzenie, które zdumiało Leona.
Dźwięk był tak donośny i przenikliwy, że instynktownie zasłonił
uszy. Loikot zawołał trzykrotnie, a następnie usiadł obok Leona,
owijając ramiona shuką. - Za rzeką jest manyatta. - Wskazał
ciemną linię wyznaczającą koryto rzeki.

Leon ocenił, że dzieli ją od nich kilka mil.

— Usłyszysz z takiej odległości?

— Zobaczysz - odrzekł Loikot. - Wiatr osłabł, a powietrze
jest chłodne i nieruchome. Mój okrzyk dotarł do nich, doleciał
jeszcze dalej. - Czekali. W dole przez ciernisty busz prze-
dzierało się małe stado kudu. Samiec z grzywiastym podgardlem
i rozłożystymi zakręconymi rogami prowadził trzy zwinne szare
samice. Sylwetki zwierząt bezszelestnie znikających w zaroś-
lach wydawały się eteryczne jak smugi dymu.

- Nadal sądzisz, że cię usłyszeli? - spytał Leon.

Chłopak nie odpowiedział, żując w milczeniu korzeń krzewu
tinga, którego Masajowie używają do bielenia zębów. Po chwili wypluł miazgę i spojrzał triumfująco na
Leona.

- Usłyszeli - odparł. - Muszą się wspiąć wysoko, aby
odpowiedzieć.

Izmael rozpałił ognisko u stóp pagórka i zaparzył herbatę w małym czajniku poczerniałym od węgla. Leon
obserwował go i czuł, że mu sucho w gardle.

- Posłuchaj! - przerwał milczenie Loikot, odrzucając

pelerynę i skacząc na równe nogi.

Do uszy Leona doleciał dźwięk od strony rzeki - słabe echo wcześniejszego zawołania Loikota. Chłopak uniósł głowę, aby je dosłyszeć, a następnie złożył dłoń w trąbkę i wydał przenikliwy śpiewny krzyk pobrzmiwający echem w dolinie. Zamilkł, nasłuchując odpowiedzi. Pokrzykiwanie trwało aż do zapadnięcia zmroku.

- To już koniec. Rozmawialiśmy - oznajmił wreszcie
i szedł na dół, do miejsca gdzie Izmael rozłożył nocne obo-

109

zowisko. Podał Leonowi duży emaliowany kubek z herbatą i kucnął przy ognisku. Kiedy jedli kolację złożoną ze strusich steków i twardych placków kukurydzianych, Loikot powtórzył wiadomości, które otrzymał podczas długiej rozmowy z chun-gadzi zza rzeki.

— Dwie noce temu lew zabił jedną z krów. Okazałego
czarnego samca ze wspinałymi rogami. Rankiem morani poszli
z dzidami śladem tego lwa i otoczyli go. Zaatakował Singidiego,
upatrzawszy go sobie na ofiarę. Singidi zabił samca jednym
ciosem, zyskując w ten sposób wielką chwałę. Teraz może
oprzeć dzidę o drzwi każdej dziewczyny w kraju Masajów. -
Loikot zadumał się chwilę. - Pewnego dnia i ja tego dokonam.
Dziewczęta przestaną się ze mnie naśmiewać i przezywać
dzieciuchem - rzekł z tęsknotą.

— Niech się spełnią twoje małe, gorące marzenia - odrzekł
po angielsku Leon, a następnie przemówił w języku maa. -
Co jeszcze słyszałeś? - Loikot przez kilka minut wyliczał
nowiny. Mówił o narodzinach, ślubach i zaginionym bydle oraz
podobnych sprawach. - Czy spytałeś o białych, którzy wędrują
przez ziemie Masajów? Żołnierzy Bulą Matari i ich askarf!

— Niemiecki komendant z Arushy odbywa patrol z sześcioma askari. W dolinie nie ma więcej żołnierzy.

— A inni biali?

— Dwaj niemieccy myśliwi z żonami i wozami rozłożyli się obozem na wzgórzach Meto. Zabili wiele bawołów i zaszyszyli ich mięso.

Wzgórza Meto rozciągały się w odległości co najmniej osiemdziesięciu mil od nich. Leon był zdumiony ilością informacji, którą chłopak zdobył o tym wielkim obszarze. Słyszał relacje starych myśliwych o poczcie pantoflowej Masajów, lecz nie dawał im wiary. Sieć łączności musiała pokrywać całą ziemię Masajów. Uśmiechnął się, patrząc w kubek. Wuj Penrod miał swoje oczy na granicy.

- A słonie? Spytałeś braci, czy widzieli wielkiego samca w okolicy?

110

— Jest tu wiele słoni, głównie samice i młode. O tej porze roku samce przebywają w górach lub na skarpie, w kraterach Ngorongoro i Empakaai. Wiedzą o tym wszyscy.

— W dolinie nie ma żadnego samca?

— Chungadzi widzieli jednego w pobliżu Namanga. Potężnego byka. Było to dawno temu. Od tego czasu nikt go nie oglądał. Sądzą, że mógł wyruszyć na pustynię Niri, gdzie nie ma pastwisk dla bydła, dlatego nie było tam nikogo z naszych.

— Musimy podążać za wiatrem - wtrącił się Manyoro.

— Może zaśpiewasz nam słodkim głosem - zasugerował

Leon.

Leon zbudził się przed wschodem słońca i usiadł za pnem dużego drzewa rosnącego w oddali. Jego towarzysze spali. Podciągnął nogawki i przykucnął, próbując wyczuć wiatr. Tego ranka jedynym wiatrem

jest ruch powietrza wywołany przeze mnie, pomyślał. Otaczające go pustkowie było nieruchome i pogrążone w ciszy. Liście na gałęziach ponad jego głową zwisały w bladym świetle zwiastującym nadejście poranka. Kiedy wrócił do obozu, zauważył, że Izmael postawił już kociołek na ogniu, a dwaj Masajowie zaczynają się budzić. Przykucnął przy ogniu, aby poczuć jego ciepło. Nadal panował poranny chłód.

— Nie ma wiatru - oznajmił Manyoro.

— Może pojawi się wraz ze wschodem słońca.

— Mimo to powinniśmy wyruszyć? W którą stronę? Przecież

nie wiemy, dokąd pójść. - Masaj wzruszył ramionami. -

Doprowadził nas tu wiatr mojej matki. Musimy poczekać, aż

ponownie się pojawi.

Leona ogarnęło zniecierpliwienie i frustracja. Długo rozmyślał nad znaczeniem bełkotu Lusimy. Za oczami czuł tępy ból. Nocą zimno nie dawało mu spać, a gdy zdrzemnął się chwilę, prześladowały go koszarne obrazy ukrzyżowanego Hugh Turveya i jego żony. Izmael podał mu kubek kawy, lecz

111

nawet ona nie przyniosła ukojenia. W zaroślach nieopodal ogniska rozległo się melodyjne wołanie rudzika witającego świt. W oddali zaryczał lew, a po chwili odpowiedział mu drugi i trzeci. Ponownie zapadła cisza.

Kiedy dopijał drugi kubek kawy, napój zaczął działać. Miał zamiar powiedzieć coś Manyoro, gdy rozległ się głośny dźwięk przypominający grzechot, tak jakby ktoś potrząsnął energicznie pudełkiem z małymi kamyczkami. Podnieśli wzrok z zaciekawieniem. Miodowód zapraszał ich, aby podążyli za nim do gniazda dzikich pszczół. Ptak oczekiwał, że ludzie, którzy znajdują pasiekę, podzielą się z nim łupem, zabierając miód i pozostawiając mu wosk z larwami. Była to dwustronna umowa obowiązująca od wieków, skrupulatnie przestrzegana przez ludzi i ptaki. Powiadano, że gdyby ktokolwiek odmówił oddania miodowodowi jego części, ptak następnym razem zaprowadziłby go do jadowitego węża lub lwa ludojada. Mógłby go oszukać jedynie chciwy głupiec.

Leon wstał i spojrzał na żółto-brązowego ptaszka siedzącego na wierzchołku drzewa i rozpoczynającego swoje przedstawienie. Jego skrzydła furkotały, gdy je składał i rozkładał.

— Miód! - zawołał łakomie Manyoro. Żaden Afrykanin

nie zdołałby się oprzeć takiemu zaproszeniu.

— Miód! Słodki miód! - zawtórował Loikot.

Resztki bólu głowy cudownie zniknęły. Leon chwycił sztucer i zawołał:

- Chodźmy za nim!

Miodowód spostrzegł, że wstali, i wzbił się z gałęzi, radośnie brzęcząc i klekocząc.

Przez godzinę Leon podążał wytrwale za ptakiem. Chociaż nic nie powiedział pozostałym, nie mógł się uwolnić od dręczącej myśli, że miodowód był słodkim śpiewakiem, o którym wspomniała Lusima Mama. Ponieważ wątpliwości były silniejsze od wiary, na wszelki wypadek przygotował się na rozczarowanie. Manyoro zanucił ptakowi pieśń, a podskakujący u boku Leona Loikot po chwili przyłączył się do niego.

112

Zaprowadź nas do gniazda małych pszczół, A będziesz ucztował nad złocistym woskiem. Czujesz wyborny słodki smak tłustych larw? Leć, mały przyjacielu! Leć żywo, a my podążymy twoim śladem.

Mały ptak pomknął przez las, przelatując z drzewa na drzewo, świergocząc i tańcząc w górnych gałęziach, dopóki go nie znaleźli, a później zniknął ponownie. Przed południem dotarli do wyschłego koryta rzeki. Las rosnący po obu stronach był gęstszy, a drzewa wyższe, gdyż korzenie sięgały do podziemnej wody. Wreszcie miodowód usiadł na wierzchołku najwyższego drzewa i czekał, aż nadejdą. Kiedy Manyoro go zobaczył, zawołał z rozkoszą, wskazując pień.

- Jest tam!

Leon dostrzegł pszczoły latające wokół gniazda, w promieniach słońca przypominające wirujące złote drobinki. Na trzech czwartych wysokości pień rozdzielał się na dwa olbrzymie konary, a w miejscu rozwidlenia znajdowała się wąska, pionowa szczelina. Z otworu wypływał cienki strumień żywicy, który zastygał na korze i przybierał formę półprzezroczystych kuleczek. Przez otwór wlatywały do środka roje owadów, a pragnące wydostać się na zewnątrz wychodziły na krawędź szczeliny i odlatywały z bzyzieniem. Patrząc na gniazdo dzikich pszczół, z nostalgią przypomniał sobie, jak pragnął Verity O'Hearne. Pomyślał o niej pierwszy raz od wielu dni.

Jego towarzysze zdjęli pakunki, przygotowując się do wyjęcia plastrów. Manyoro odciął kawałek kory z pnia innego drzewa i zwinął ją w tubę, a następnie przewiązał kawałkiem łyka. Z innego kawałka zrobił coś na kształt rączki. W tym czasie Izmael rozpałił małe ognisko i podsycił płomień suchymi gałązkami. Loikot owinął poły shuki wokół pasa, odsłaniając nogi i dolną część ciała. Podszedł do drzewa i obmacał korę, objął pień i spojrzał na gniazdo - szykował się do wspinaczki.

113

Izmael dorzucił do ognia kawałki zielonego drewna i zaczął dmuchać, aż w niebo wzbiły się gęste kłęby

gryzącego białego dymu. Szerokim ostrzem pangi Manyoro zgarnął węgle do tuby z kory i podał ją Loikotowi, który przerzucił rączkę przez ramię i zatknął pangę za zwojami shuki. Splunął w dłoń i uśmiechnął się do Leona.

- Patrz uważnie, M'bogo. Nikt nie wspina się tak dobrze jak ja.

- Nie będę zaskoczony, jeśli usłyszę, że jesteś bratem pawianów - odpowiedział Leon. Loikot roześmiał się i zaczął wchodzić po pniu. Wykorzystując oprócz dłoni podeszwy stóp, zręcznie dotarł do miejsca, w którym konary się rozdzielały. Stanąwszy w rozwidleniu, wyprostował się, otoczony rojem rozwścieczonych pszczoł. Zdjął z ramienia tubę z kory i dmuchnął w jej koniec niczym w trąbę. Z drugiej strony wystrzelił kłąb dymu. Kiedy obłok go otoczył, pszczoły się rozproszyły.

Loikot wyciągnął kilka żądeł z nóg i ramion, a następnie sięgnął po pangę i balansując na krawędzi, wsunął grube ostrze w szczelinę między stopami. Kilkakrotnie wydmuchnął kłęby dymu, wzbijając w powietrze białe kawałeczki drewna, a następnie zajrzał przez powiększony otwór.

- Czuję słodycz! - krzyknął w kierunku zadartych głów.

Sięgnął do gniazda, wy dobył duży gruby plaster i pokazał

mi. - Dzięki zręczności Loikota najecie się dziś do syta. - Odpowiedzieli śmiechem.

- Dobra robota, mały pawianie! - zawołał Leon.

Loikot wyciągnął jeszcze pięć plastrów. Każda z sześciokątnych komórek była wypełniona po brzegi ciemnobrązowym miodem i zapieczętowana woskową powłoką. Loikot zawinął je starannie w połę swojej shuki.

- Nie zabieraj wszystkiego - przestrzegł go Manyoro. -

Zostaw połowę naszym skrzydlatym przyjaciołom, aby nie zginęli z głodu. - Loikot wiedział o tym od małego, więc nie raczył odpowiedzieć. Był morani i mędrce m znającym podania ludowe. Rzucił tubę z węglami i pangę pod drzewo, a następnie

ześlizgnął się po pniu. Lekko zeskoczył, gdy znalazł się w odległości sześciu stóp od ziemi.

Usiedli w kręgu i rozdzielili plastry. W gałęziach nad ich głowami radośnie podskakiwał miodowód, przypominając

o swojej obecności i części, która mu się należy. Manyoro

ostrożnie odłamał brzegi plastrów, gdzie znajdowały się białe

larwy pszczoł, a następnie ułożył je na dużym zielonym liściu.

Spojrzał na ptaka wiszącego nad ich głowami.

- Chodź, mały bracie! Zasłużyłeś na nagrodę!

Podniósł liść z larwami, układając go ostrożnie w przejściu między pobliskimi zaroślami. Kiedy się oddalił, ptaszek odważnie usiadł na ziemi, aby wziąć udział w uczcie.

Po uczynieniu zadość obyczajowi przystąpili do skosztowania łupu. Zasedli wokół sterty złocistych plastrów, łamiąc je na kawałki, wsuwając do ust i mrucząc z rozkoszą. Wysysali miód z komórek, wypylowali wosk i oblizywali lepkie palce.

Leon nigdy nie jadł ciemnego, przydymionego miodu otrzymanego z nektaru kwiatów akacji. Kleista substancja oblepiła mu język i gardło taką słodyczą, że zaczął dyszeć, a oczy zaszyły łzami. Zaciśnął powieki. Bogaty ciężki bukiet naturalnej wonności zaszumił mu w głowie tak, że omal nie stracił przytomności. Język zaczął mrowieć. Leon przetknął ślinę

i wziął głęboki oddech, jakby wypił kieliszek szkockiej whisky.

Wystarczyła mu połowa plastra. Słodycz go zemdlila. Od-

chylił się na piętach i przez chwilę obserwował pozostałych. W końcu wstał, nie przerywając im obżarstwa. Nie zauważyli, że się oddalił. Podniósł sztucer i wolnym krokiem ruszył w busz, tam gdzie przypuszczalnie znajdowało się koryto rzeki. Z każdym krokiem roślinność stawała się coraz gęstsza. W końcu przedarł się przez ostatnią zasłonę gałęzi i spostrzegł, że stoi na brzegu. Skarpa została wycięta przez wzbierającą wodę, miała sześć stóp wysokości i opadała ku szerokiemu na sto kroków łożysku rzeki utworzonemu z białego piasku, na którym widać było ślady pazurów i kopyt zwierząt wykorzystujących suche koryto jako gościniec.

Na przeciwległym brzegu rósł duży figowiec z korzeniami odsłoniętymi przez wodę. Korzenie wiły się niczym kopułowate węże, a gałęzie sięgające ponad koryto były pełne małych żółtych fig. Skubiące owoce stadko treronów wbiło się do lotu, wystraszone nagłym pojawieniem się Leona. Zatrzepotały w ciszy i poszybowały ponad wyschniętym korytem.

Poniżej rozłożystych gałęzi figowca Leon dostrzegł kopce białego piasku. Obok nich piętrzyły się odchody słonia, co wzbudziło jego czujność. Uniósł sztucer i zeskoczył ze skarpy. Miękki piasek zamortyzował uderzenie, sprawiając, że ugrzązł po kostki. Szybko odzyskał równowagę i ruszył w poprzek koryta. Kiedy dotarł do kopców, zrozumiał, że zwierzęta kopają w poszukiwaniu wody. Słonie wyrzucały przednimi nogami suchy piasek, aż dotarły do twardszego wilgotnego podłoża. Później trąbami przekopały się do podziemnego zbiornika wody. Zauważył wyraźne ślady w miejscu, gdzie stały nad otworami, sącząc wodę. Wciągały wodę trąbą do gąbczastej jamy we wnętrzu masywnej czaszki, a gdy ją napełniły, unosiły głowę, wsuwały czubek trąby do gardła i wpompowywały wodę do żołądka.

W ziemi było osiem otworów, z których piły. Leon podszedł do każdego, aby zbadać ślady pozostawione przez spragnione zwierzęta. Wyszkolony przez trzech wytrawnych znawców tego fachu - Percy'ego Phillipsa, Manyoro i Loikota - znał się wystarczająco na buszu, aby je właściwie odczytać. Kształt i wielkość odcisków pozostawionych w pobliżu pierwszych czterech otworów wskazywały na samice.

Przy piątym dostrzegł ślady tylko jednego zwierzęcia. Były tak duże, że wystarczyło jedno spojrzenie, aby zamarł w pół kroku. Odetchnął głęboko, a następnie podbiegł i uklęknął obok śladów przednich nóg głęboko odcisniętych nad krawędzią otworu, gdzie zwierzę musiało stać godzinami i sączyć wodę.

Spojrzał na nie z niedowierzaniem. Były ogromne. Bez wątplenia pozostawił je potężny samiec. Podeszwy stóp były wygładzone, co wskazywało, że słoń jest stary. Jeden z odcisków

116

rozlał się w miękkim piasku, co oznaczało, że samiec niedawno odszedł, a wzruszona ziemia nie miała czasu stwardnieć. Może zwierzę się wystraszyło, słysząc dźwięki towarzyszące wybieraniu miodu przez Loikota.

Przyłożył lufę sztucera, aby ocenić jego rozmiary, i cicho gwizdnał. Lufa miała dwie stopy długości, a odcisk był od niej krótszy zaledwie dwa cale. Używając wzoru Percy'ego Phillipsa, ocenił, że samiec osiągnął w kłębie ponad dwanaście stóp, co czyniło go gigantem wśród gigantów.

Zerwał się i przebiegł na drugi brzeg. Wspiął się na skarpe i ruszył przez zarośla do miejsca, w którym jego towarzysze pochylali się nad ostatnimi plastrami.

- Lusima Mama i jej słodki śpiewak wskazali nam dro

gę! - zawołał. - Znalazłem ślady ogromnego samca w wy

schniętym korycie rzeki!

Tropiciele sięgnęli po broń i pobiegli za nim, a Izmael zgarnął resztki jedzenia do garnków, zanim włożył swoją pakę na głowę i podążył ich śladem.

- M'bogo, to samiec, którego ślady ci pokazałem, gdy wędrowaliśmy do torów! - wykrzyknął Loikot, tańcząc z podniecenia na widok tropu. - Poznaję go. To wielki wódz wszystkich słoni.

Manyoro potrząsnął głową.

— Jest tak stary, że musi szykować się na śmierć. Jego ciosy są połamane i zniszczone.

— Nie! Nie! - zaprzeczył gwałtownie Loikot. - Widziałem je na własne oczy! Są tak długie jak ty, Manyoro. Grubsze niż twoja głowa. - Mówiąc to, zatoczył krąg rękami.

Manyoro się roześmiał.

- Mój mały Loikocie, zostałeś tak dotkliwie pokąsany przez pszczoły, że napełniły twoją głowę czerwiami. Poproszę matkę, aby przygotowała miksturę, która uwolni twe wnętrzności i oczyści oczy.

Loikot zamilkł, rzucając mu gniewne spojrzenie.

- Może to nie słoń, lecz ty sam stałeś się stary i zniedołęż-

117

niały. Powinniśmy byli zostawić cię na górze Lonsonyo, abyś w spokoju popijał piwo ze swymi zniedołężniałymi towarzyszami. - Wy będziecie wymieniać komplementy, a słoń nam ucieknie - przerwał Leon. - Chodźmy po śladach, aby na własne oczy zobaczyć jego ciosy i rozstrzygnąć debatę, zamiast stać i gadać beczynnienie.

Kiedy wyszli po śladach z koryta rzeki i przedostali się na otwartą sawannę, stało się jasne, że samiec przeląkł się dźwięku topora i ich pokrzykiwań, gdy wyjmowali gniazdo pszczoł.

— Pędzi co sił w nogach - powiedział Manyoro, wskazując długość kroków stawianych przez zwierzę. Po tych słowach ruszył długim, kołyszącym chodem, tak że tylko biegiem mogli dotrzymać mu kroku. Wiedzieli, że mógłby tak biec od świtu do zmierzchu, nie zatrzymując się na odpoczynek.

— Idzie na wschód. Zmierza w stronę pustyni Niri, wyschłej ziemi, gdzie nie ma ludzi. Tylko on zna miejsca, w których można się dokopać do wody - oznajmił Manyoro po upływie godziny. - Jeśli utrzyma tempo, jutro o zachodzie słońca dotrze do krawędzi doliny i wkroczy w głąb pustyni.

— Nie słuchaj go, M'bogo - poradził Loikot. - Starcy to ponuracy. Potrafią wyczuć zapach gnoju w wonności kwiatu kigelii.

Po kolejnej godzinie przystanęli, aby napić się wody z manierek.

— Samiec nie zboczył z obranego kursu - zauważył Manyoro. - Nie przystanął też ani razu, aby coś zjeść. Nawet nie zwolnił kroku. Wyprzedza nas o wiele godzin.

— Ten starzec potrafi wyczuć woń gnoju nie tylko w kwiecie kigelii, lecz także w pąku między udami najpiękniejszej młodej dziewczyny - zachichotał Loikot, spoglądając na Leona. - Nie zważaj na niego, M'bogo. Idź za mną, a przed zachodem słońca pokażę ci ciosy, które wprawiają w zdumienie twoje oczy i napętniają serce radością.

Ślady wiodły na wprost, nie zbaczając ani razu. Po godzinie nawet Loikot zaczął słabnąć. Kiedy przystanęli na chwilę, aby napić się wody i odpocząć w cieniu, milczeli i powoli ogarniało ich zwątpienie. Chociaż gnali od koryta wyschłej rzeki, wiedzieli, że od ogromnego samca dzieli ich kawał drogi. Leon zakręcił manierkę i wstał. Pozostali ruszyli za nim bez słowa. Kontynuowali pościg.

Wczesnym popołudniem stanęli ponownie, aby odpocząć.

— Gdyby była z nami moja matka, wypowiedziałaby za klęcie. Byk przystanąłby i zaczął jeść - powiedział Manyoro. - Niestety jest daleko stąd.

— Może nas strzeże, jest przecież wielkim czarownikiem - rzekł pogodnie Loikot. - Może usłyszysz, gdy do niej zawołam. - Mówiąc to, skoczył na równe nogi i zaczął podskakiwać w pochwalnym tańcu, wyrzucając wysoko w powietrze swoje długie, chude nogi. - Usłysz moje wołanie, wielka czarna krowo! Usłysz, jak wołam do ciebie! - Leon uśmiechnął się i nawet Manyoro się rozpogodził, rytmicznie klaszcząc w dłonie.

— Usłysz go, matko! Wysłuchaj naszego małego pawiana!

— Wysłuchaj mnie, matko szczepu! Pokazałaś nam ślady jego stóp, nie pozwól, aby uciekł. Spowolnij jego wielkie nogi. Napełnij głodem wielki brzuch. Spraw, aby stanął i zaczął jeść.

— Wystarczy tej magii na dziś. To pewne, że samiec nie zdoła nam umknąć - przerwał im Leon. - Ruszajmy, Manyoro. W drogę.

Ślady prowadziły nieprzerwanie naprzód. Samiec poruszał się tak szybko, że gdy pokonywał połacie suchej ziemi, wzbijał tumany kurzu każdym uderzeniem długich nóg. Kiedy Leon spojrzął na słońce, zaczął tracić nadzieję. Do końca dnia pozostała nie więcej niż godzina. Nie dogonią zwierzęcia przed zmrokiem, a wtedy ciemność ukryje ślady i zmusi ich do przerwania pościgu. Podejmą go o świcie, ale wówczas słoń może być przed nimi nawet pięćdziesiąt mil.

Gapił się w niebo, więc wpadł na Manyoro, który stanął

119

raptownie. Spojrzał na niego i dał mu znak ręką, nakazując milczenie. Uśmiechnęli się, a ich oczy błysnęły entuzjazmem. Poczuli świeży przyptyw sił i zapomnieli o zmęczeniu. Ma-nyoro wymownym, wdzięcznym gestem pokazał mu zmieniony ślad.

Leon pojął, że zdarzył się cud. Samiec zwolnił, a jego kroki stały się krótsze. Zboczył ze szlaku prowadzącego ku wschodniej ścianie doliny. Manyoro wskazał gaj drzew orzechowych ngong rosnący na prawo, w odległości ćwierci mili od nich. Wierzchołki orzechowców ngong były okrągłe, wyższe i bardziej zielone od wierzchołków innych drzew w pobliżu. Masaj pochylił się w stronę Leona i szepnął mu do ucha:

- O tej porze roku dojrzewają owoce. Poczuj orzechy i nie mógł się oprzeć. Znajdziemy go w gaju. - Podniósł garść ziemi, przesiewając ją między palcami. - Nadal nie ma wiatru. Możemy ruszyć w jego stronę. - Obejrzał się na Izmaela, dając mu znak, aby został w tyle. Izmael złożył pakunek u stóp i z wyrazem wdzięczności na twarzy usiadł na ziemi.

Dwaj Masajowie ruszyli przodem, przeskakując od jednego krzaka do następnego i bacznie obserwując drzewa przed uczynieniem następnego kroku. Dotarli do najbliższego drzewa ngong. Ziemia wokół była zasłana opadłymi orzechami, lecz gałęzie w górze nadal ugięły się pod ciężarem dojrzałych owoców. Samiec stał tutaj długi czas, zrywając twarde owoce koniuszkiem trąby, a następnie wsuwając je do paszczy. Ruszyli dalej. Podążali za ogromnymi śladami do następnego drzewa, pod którym zwierzę żerowało, by po jakimś czasie ponownie ruszyć przed siebie. Tym razem skierowali się w stronę płytkiego zagłębienia, znad którego wystawały jedynie czubki drzew. Podpełzli do krawędzi i spojrzeli w dół.

W tej samej chwili spostrzegli ogromne czarne cielsko. Zwierzę stało w odległości stu kroków od nich, w cieniu jednego z największych orzechowców, zwrócone bokiem w ich stronę. Słoń kołysało się delikatnie, przestępując z nogi na nogę i leniwie

120

poruszając uszami. Przerzucił nonszalancko trąbę przez zakrzywiony cios, który był widoczny z miejsca, gdzie się znajdowali. Drugi zasłaniało masywne cielsko. Leon wpatrywał się w cios, jakby nie mógł uwierzyć własnym oczom. Olbrzymia długość i średnica sprawiały, że rozmiarami przypominał marmurową kolumnę greckiej świątyni.

— Jaki mamy wiatr? - szepnął bezgłośnie do Manyo-

ro. - Z której strony wieje? - Manyoro uniósł w górę kolejną

garść ziemi i przecedził między palcami. Kiedy otrzepał dłonie, zrzucając pył na nogi, wykonał gest wymowniejszy od słów.

— Nie ma wiatru. Cisza.

Leon otworzył sztucer i po kolei wyjął z zamka masywne pociski. Zbadał je w poszukiwaniu wad, wytarł o koszulę i ponownie wsunął na miejsce. Zamknął sztucer i przyłożył kolbę do ramienia. Skinął na Manyoro i zaczęli się skradać. Leon objął prowadzenie. Zbliżył się do samca pod kątem, aż pień drzewa przesłonił mu widok, a następnie ruszył wprost na słońca.

Pień zasłaniał mu łeb zwierzęcia, lecz jego cielsko wystawało z jednej, a krzywy cios z drugiej strony. Promień słońca przedarł się przez zasłonę liści nad głową samca, padając na kość słoniową niczym światła ramp. Kiedy Leon podkraść się bliżej, w brzuchu olbrzyma głośno zabulgotało. Szedł nieprzerwanie w kierunku zdobyczy, z przesadną ostrożnością stawiając każdy krok. Trzymał ciężki sztucer przy piersi w pozycji gotowej do strzału.

Sztucer marki Holland był bronią krótkiego zasięgu. Leon oddał kilka próbnych strzałów przed opuszczeniem obozu Tandala i stwierdził, że bliźniacze lufy zostały wykonane w taki sposób, aby pociski trafiły w jeden punkt z odległości trzydziestu jardów. Przy strzale z większego dystansu rozchodziły się i nie sposób było przewidzieć, w jakiej odległości od siebie uderzą. Aby oddać celny strzał, musiał podejść bliżej. Chciał dotrzeć do pnia orzechowca i wystrzelić zza niego. Był tak blisko, że widział bąkojadę siedzącą na pomarszczonej skórze

121

olbrzyma. Pięć lub sześć smukłych żółtych ptaszków balansowało ogonami, badając ostrymi czerwonymi dziobami fałdy skóry w poszukiwaniu kleszczy, larw much i innych pasożytów. Jeden z ptaków wszedł słoniowi do ucha i samiec machnął nim głośno, aby odpędzić intruza od wrażliwych części wewnętrznych. Inny ptak zawisł do góry nogami pod brzuchem zwierzęcia, w okolicach krocza, dziobiąc energicznie fałdy szarej skóry. Nagle ptaki spostrzegły podkradającego się Leona i przeleciały na grzbiet, stając na nim rzędem i patrząc błyszczącymi oczami na przybysza.

Manyoro próbował ostrzec Leona przed tym, co za chwilę nastąpi, lecz nie ośmielił się wydać głosu, a ten był tak zaabsorbowany podkradaniem się, że nie spostrzegł rozpaczliwych znaków dawanych ręką za jego plecami. Nadal dzieliło go kilkanaście kroków od pnia orzechowca ngong, kiedy stado bąkojadów przycupniętych na grzbiecie olbrzyma zerwało się do ucieczki, wydając przeraźliwy ostrzegawczy świergot. Samiec zrozumiał ostrzeżenie, bo ptaki były nie tylko jego czyścicielami, lecz i strażnikami.

Otrząsnął się z sennej zadumy i skoczył przed siebie, w dwanaście kroków nabierając pełnej prędkości. Nie miał pojęcia, skąd nadciąga niebezpieczeństwo, lecz ufał ptakom i najzwyczajniej popędził w stronę, w którą był zwrócony. Uciekał pod kątem trzydziestu stopni od Leona, który na chwilę zamarł w bezruchu, zdumiony prędkością i zwinnością potężnego zwierzęcia. Później ruszył w pogoń, pragnąc

znaleźć się przed samcem, zanim ten zdąży się oddalić. Po chwili zaczął się zbliżać, aż dzieliło go od zwierzęcia trzydzieści jardów. Bacznie obserwował łeb olbrzyma. Szerokie, podobne do żagli uszy odchyliły się do tyłu, odsłaniając długą, pionową szczelinę ucha. Z każdym krokiem głowa kiwała się gwałtownie i kołysała na boki. Bąkody skrzeczały przeraźliwie, a dwaj Masajowie biegnący za Leonem wydawali niezrozumiałe okrzyki. Wokół panował harmider i zamieszanie. Stary samiec zaczął się oddalać. Jeszcze kilka kroków, a znalazłby się poza zasięgiem strzału.

122

Leon stanął w miejscu, skupiając całą uwagę na długiej szparze ucha pośrodku kiwającej się i falującej głowy. Skoncentrowany, przyłożył sztucer do ramienia i wycelował, ledwie widząc muszkę. Czas i ruch zamarły w surrealistycznie nierzeczywistej chwili. Jego wzrok był przenikliwy niczym diamentowe wiertło. Sięgnął wzrokiem poza poruszającą się ścianę skóry i rozłożyste uszy. Oczyma duszy dostrzegł mózg zwierzęcia. Było to niezwykle doznanie, które Percy Phillips nazywał "okiem myśliwego". Oko myśliwego było zdolne przeniknąć skórę i kości, aby określić dokładne położenie mózgu. Narząd ten był wielkości piłki i leżał nieznacznie poniżej linii ucha.

Sztucer huknął i mimo promieni słońca Leon dostrzegł język ognia buchający z luf. Był zdumiony. Nie wiedział nawet, kiedy nacisnął spust. Ledwie poczuł uderzenie kolby, nadal wyraźnie widział. Kula utkwiała pięć centymetrów poniżej otworu usznego, dokładnie tam, gdzie powinna. Samiec mrugnął. Rozległ się trzask pękającej kości przypominający odgłos uderzenia siekiery w pień twardego drzewa. Dzięki "oku myśliwego", nowemu darowi, który otrzymał, Leon wyobraził sobie, jak pocisk przenika kości i tkankę, a następnie rozdziera mózg.

Samiec odrzucił łeb do tyłu, unosząc w niebo ogromne ciosy. Chwilę później ciężko opadł na przednie nogi. Siła uderzenia wzbijała w niebo obłok pyłu i sprawiła, że ziemia zadrżała. Słoń zastygł w przykłęku, jakby czekał, aż dosiędzie go kornak, opierając łeb na ciosach i otwierając szeroko niewidzące ślepie. Machnął raz ogonem i znieruchomiał. W głowie Leona pobrzmiwało echo wystrzału, choć wokół panowała cisza.

"Martwy słoń może cię zabić - przypomniał sobie ostrzeżenie Percy'ego Phillipsa. - Nigdy nie zapomnij go dobić". Uniósł sztucer i wycelował w brudną biegnącą pod pachą zwierzęcia. Ponownie rozległ się grzmot wystrzału. Olbrzym zadrżał, gdy druga kula przeszła mu serce.

123

Leon podszedł wolno i wyciągnął dłoń, aby koniuszkiem palców dotknąć otwartych bursztynowych oczu. Nie mrugnęły. Poczuł, że nogi się pod nim uginają i mięknią jak gotowane spaghetti. Opadł na ziemię, opierając się o bok zwierzęcia i zamykając oczy. Nie czuł niczego. W środku miał pustkę. Nie przepełniała go radość zwycięstwa ani uniesienie, żal ani smutek z powodu śmierci tak wspaniałego zwierzęcia. Wszystko to miało nadejść później. Teraz ogarnęła go jedynie przejmująca pustka, jakby przed chwilą

kochał się z piękną kobietą.

Leon wysłał Manyoro i Loikota do odległej wioski poza granicami ziem Masajów, aby sprowadzili tragarzy, którzy zaniósł kość słoniową do torów. Ludzie ci musieli pochodzić z innego ludu, bo morani Masajów nie zajmowali się tak przyziemnymi zajęciami. Leon i Izmael biwakowali pięć dni w stosownej odległości od rozkładających się zwłok, których brzuch wzdął się od gazu. Pilnowali ciosów, a jednocześnie czekali, aż obłuzują się w kanałach zębowych.

Noce były pełne dzikiego wrzasku, gdyż wokół martwego cielska zaczęli się gromadzić padlinożercy. Szakale skowyczały, a gromady hien wydawały upiorny chichot, skomlać i kłócić się między sobą. Trzeciej nocy pojawiły się lwy, dodając do kakofonii dźwięków swoje królewskie porykiwania. Izmael spędzał noce na górnych konarach jednego z drzew ngong, recytując wersety Koranu w języku kisuahili i prosząc Allaha o ochronę przed demonami.

Szóstego dnia Masajowie wrócili, prowadząc grupkę tragarzy z plemienia Luo, których Manyoro najął za dziesięć szylingów.

— Dziesięć szylingów dziennie dla każdego? - Leon był zdumiony taką rozrzutnością. Miał niewiele więcej.

— Nie, bwana, dziesięć szylingów dla wszystkich.

— Dziesięć szylingów dziennie dla całej szóstki? - spytał tylko nieco udobruchany.

124

— Nie, bwana, dziesięć szylingów za dostarczenie ciosów do pociągu, niezależnie od tego, ile dni im to zabierze.

— Manyoro, twoja matka powinna być z ciebie dumna - oznajmił z ulgą Leon. - W każdym razie ja jestem. - Po

tych słowach zaprowadził tragarzy do resztek padliny. Jedynie ogromne kości i skóra nie zostały oderwane i pożarte przez padlinożerców. Łeb zwierzęcia nadal opierał się na dwóch ciosach. Leon założył linę z kory na jeden z ciosów, a tragarze Luo zaintonowali pieśń, ciągnąc za koniec. Korzeń ciosu tkwią

cy głęboko w czaszce wyślizgnął się z kanału, stawiając nie wielki opór. Niemal połowa była ukryta, dlatego dopiero teraz mogli ujrzeć jego prawdziwe rozmiary. Kiedy ułożyli oba ciosy na zielonych liściach, Leon zdumiał się ich długością i piękną symetrią. Ponownie zmierzył je, korzystając z lufy sztucera.

Dłuższy miał szerokość dłoni mężczyzny i długość ponad jedenastu stóp, krótszy osiągnął dokładnie jedenaście stóp.

Pod kierunkiem Manyoro Luo odcięli dwa długie konary akacji i do każdego przywiązali słoniowy cios. Zrzucili tyczki na ramiona i ruszyli dwójkami w stronę torów, a pozostali podążyli ich śladem, gotowi w każdej chwili zastąpić zmęczonych towarzyszy.

Leon nie był już upoważniony do darmowych przejazdów, które przysługiwały wojskowym, więc przystanęli na stromym odcinku, gdzie tory wspinały się na urwisko z płaskiego dna ryftu. Czekali na nocny pociąg z okolic Jeziora Wiktorii. Na tym odcinku nawet skład ciągnięty przez dwie lokomotywy włócił się pod górę w ślimaczym tempie. W ciemnościach podbiegli do jednego z wagonów towarowych, uchwycili się stalowej drabinki i wspięli na dach. Wciągnęli ciosy. Leon rzucił dowódcy tragarzy płócienną sakiewkę z monetami, a ci podziękowali i pożegnali się, by po chwili zniknąć w ciemnościach za budką strażnika. Lokomotywy wjechały dzielnie na wierzchołek urwiska. Wagon, na którym siedzieli, był załadowany kosztami suszonych ryb z jeziora, lecz gdy pociąg nabrał prędkości, wiatr rozwiął smród.

125

Nadal panował mrok, gdy spuścili ciosy i bagaże, a następnie zeskoczyli z wagonu, kiedy pociąg począł zwalniać, aby w obłokach pary wjechać na stację w Nairobi.

Percy Phillips jadł śniadanie w namiocie kantyny, gdy dowlekli się do Tandali, uginając pod ciężarem kości słoniowej.

— Na mą duszę! - wybełkotał znad filiżanki kawy i skoczył

na równe nogi, przewracając krzesło. - Są moje, prawda?

— Jeden - odrzekł spokojnie Leon. - Drugi należy do mnie.

— Zanieście je na wagę - polecił Percy.

Cały personel obozu podreptał za nimi do namiotu preparatorów. Otoczyli wagę, obserwując, jak Leon umieszcza na szali mniejszy z ciosów.

- Sto dwadzieścia osiem funtów - oznajmił obojętnie

Percy. - Dajcie drugi!

Leon ułożył na płótnie następny, a Percy zamrugał z niedowierzania.

- Sto trzydzieści osiem - powiedział lekko łamiącym się głosem. Był to największy cios, jaki kiedykolwiek przyniesiono do obozu, uznał jednak, że nie ma powodu, by mówić o tym młodzikowi. Po co ma mieć o sobie przesadne wyobrażenie, pomyślał, gładząc brodę. - Przywiąż oba do skrzyni samochodu - poleciał Manyoro. W końcu spojrzął na Leona i za mrugał. - W porządku, młodzieńcze. Możesz mnie zawieźć do klubu. Postawię ci jednego.

Kiedy automobil podskakiwał i terkotał na drodze, Percy musiał podnieść głos, by przekrzyczeć klekoczący silnik.

— Dobra! Opowiadaj! Zaczynaj od początku. Nie pomijaj niczego. Ile razy musiałeś strzelić, aby go powalić?

— To nie jest początek - przypomniał mu Leon.

— Możemy od tego zacząć. Będziemy się cofać od tej chwili.

Ile razy strzeliłeś?

— Oddałem jeden strzał w mózg. Później przypomniałem sobie pańską radę i dobiłem go, kiedy leżał.

126

Percy skinął głową z aprobatą.

- A teraz opowiedz mi o całej reszcie. - Percy był pod dużym wrażeniem opowieści Leona, który przedstawił zdarzenia tak, by stały się fascynujące nawet dla niego, choć przecież on

przeżył to setki razy. Jednym z głównych obowiązków białego myśliwego było zabawianie klientów. Chcieli czegoś więcej niż ustrzelenia kilku zwierząt - płacili fortunę za udział w niezapomnianej przygodzie, pragnęli uciec na chwilę od wygodnego miejskiego życia, powrócić do początków wraz z kimś, komu ufali i kogo podziwiali. Percy znał kilku znakomitych myśliwych, dla których nie stanowiły tajemnicę dzikie ostępy i zwyczajne zwierząt, lecz brakowało im uroku osobistego i empatii. Byli posępni i małowówni. Doskonale rozumieli zaczarowane pustkowia, lecz nie umieli wyjaśnić tego innym. Klient nigdy do nich nie wracał. Ich nazwiska nie były powtarzane w europejskich pałacach i ekskluzywnych klubach Londynu, Nowego Jorku i Berlina. Nikt nie zabiegał o ich usługi.

Młodzieniec, który siedział za kierownicą, z pewnością nie należał do tej grupy. Był chętny i pełen entuzjazmu. Uprzejmy, czarujący i taktowny. Potrafił się wystawić. Miał ekscentryczne, ironiczne poczucie humoru. Był przystojny i lubiany. Percy uśmiechnął się do siebie. Na czarta, nawet ja go lubię, doszedł do wniosku.

Kiedy dojechali do klubu, Percy kazał mu zaparkować przed głównym wejściem, a następnie wprowadził do baru, w którym siedziało kilku stałych bywalców, w większości utrzymujących się z renty wypłacanej przez rodziny w Anglii.

- Panowie! - ogłosił zebranym Percy. - Chcę, abyście poznali mojego nowego ucznia, a później zaproszę was na zewnątrz, aby pokazać parę ciosów. Parę prawdziwych ciosów!

Kiedy wyszli przed dom, wieści już się rozeszły, bo wokół samochodu utworzyło się małe zbiegowisko. Percy zaprosił wszystkich do baru.

Gdy do środka wszedł Hugh Delamere, powłóczęgą nogą zranioną wiele lat temu przez lwa, w barze panował zgiełk.

Jego lordowska mość lubił taką atmosferę. Podobnie jak wielu uczniów angielskich szkół publicznych dla chłopców, Delamere lubił hałaśliwe zabawy z niszczeniem mebli i innych sprzętów włącznie. Tego wieczoru towarzyszył mu pułkownik Penrod Ballantyne. Pogratulowali Leonowi udanej zdobyczy, a Delamere nalał mu szklaneczkę taliskera ze swoich prywatnych zapasów trzymany pod barem. Później zaprosił Penroda i Leona do zabawy polegającej na ściganiu się po dużej sali bez dotykania podłogi. W pewnym momencie półki za barem nie wytrzymały ciężaru jego lordowskiej mości i runęły, tłukąc butelki. Kiedy przed północą jeden z członków klubu wszedł do baru, aby się poskarżyć na hałas, lord zamknął go na całą noc w piwniczce z winami.

Kilka godzin później wniesiono Percy'ego nogami do przodu do sali bilardowej i ułożono na stole pokrytym zielonym suknem. Leon zdołał dotrzeć do samochodu i resztę nocy przespał na przednim siedzeniu.

Obudził się z potwornym bólem głowy.

- Dzień dobry, efendi - powitał go Izmael, stając obok samochodu z kubkiem gorącej czarnej kawy. - Niech twój dzień pachnie jaśminem. - Napój ożywił Leona na tyle, że zawołał Manyoro. Wspólnymi siłami uruchomili pojazd i pojechali główną ulicą do biura Kompanii Handlowej Jeziora Wiktorii. Spod szyldu firmy przebijał inny napis sporządzony na osobiste polecenie jego ekscelencji gubernatora. Mimo pojedynczej warstwy farby, która go miała zakrywać, Leon odczytał: "Dostawca luksusowych, rzadkich i kosztownych przedmiotów z mianowania Jego Wysokości Króla Anglii". Nieocenzurowany tekst głosił dalej: "Handel złotem, diamentami, rzeźbami z kości słoniowej, bibelotami i wszelkiego rodzaju płodami rolnymi. Rozmaite towary na sprzedaż. Właściciel wielmożny Goolam Vilab-dži".

Handlarz pospieszył na spotkanie Leona, wchodzącego frontowymi drzwiami z mniejszym ciosem. Goolam Vilab-dži był zadbanym małym człowieczkiem o promiennym uśmiechu.

128

— A niech mnie! Poruczniku Courtney, wasza wizyta to wielki zaszczyt dla mnie i moich skromnych progów.

— Dzień dobry, panie Vilab-dži. Nie jestem już porucznikiem - wyjaśnił Leon, kładąc cios na ładzie.

— Nadal pozostał pan jednak największym graczem w polo w Afryce. Słyszałem, że stałeś się, pan, sławnym shikari. Co więcej, widzę, że przyniosłeś na to dowód. - Mówiąc to,

zawołał panią Vilab-dzi, która przebywała na zapleczu, i po prosił, aby przyniosła kawę i słodycze. Później między uginającymi się od towarów regałami zaprowadził Leona do swojej małej klitki. Niemal całą ścianę zajmowała półka z książkami, na której stały dwadzieścia dwa tomy Complete Oxford Dictionary, cała Encyclopaedia Britannica, Burke's Peerage and Gentry oraz kilka innych ksiąg z historii angielskiej monarchii, dziejów ludu Anglii i jego języka. Pan Vilab-dzi był żarliwym anglofilem, rojalistą i orędownikiem języka angielskiego.

— Proszę łaskawie spocząć.

Pani Vilab-dzi wbiegła do środka z tacą. Była pulchniejsza od męża i równie przyjazna jak on. Kiedy napełniła filiżanki gęstym czarnym naparem, mąż dał znak, by wyszła, i zwrócił się do Leona:

— Z czym pan przychodzi, sahib!

— Chcę panu sprzedać ten cios.

Vilab-dzi milczał tak długo, że Leon zaczął się niepokoić.

- Żałuję, lecz nie będę mógł go kupić, sahib.

Leon był zdumiony.

— Czemu, u licha? - spytał. - Przecież handluje pan kością słoniową, prawda?

— Czy opowiadałem ci, sahib, że kiedyś byłem stajennym, jak to w Indiach mówimy, sycę, w stajniach maharadzy Koch Biharu? Jestem zapalonym kibicem i znawcą królewskiej gry polo, znam się też na ludziach, którzy w nią grają.

— Jaki to ma związek z odmową? - zapytał Leon.

Vilab-dzi się roześmiał.

— Żartowałem, sahib. Nie! Odmówiłem, ponieważ gdybym

go kupić, zostałby wysłany do Anglii, gdzie przerobiono by go na klawisze do fortepianu i śliczne kolorowe bile, a wówczas byś mnie pan znienawidził. Pewnego dnia, gdy będziesz starym człowiekiem, sięgniesz pamięcią wstecz, pomyślisz o swoim trofeum i zaklniesz: "Do diabła z tym nędznym łotrem i bezwstydnym draniem, wielmożnym Goolamem Vilab-dzi!".

— Jeśli go nie kupisz, już teraz rzucę na twą głowę sto

tysięcy przekleństw - ostrzegł Leon. - Panie Vilab-dzi,

potrzebuję pieniędzy. Natychmiast!

— Pieniądze! Pieniądze są jak fale na powierzchni oceanu.

Przyptywają i odpływają, a takiego ciosu nie zobaczysz już nigdy w życiu.

— W obecnej chwili moja pomyślna fala skryła się za horyzontem.

— W takim razie, sahib, musisz wymyślić podstęp, jak mawiamy w Koch Biharze, chytry fortel, który pozwoli za spokojić twoje zachcianki. - Pogrążył się w zadumie, a po chwili dotknął palcem skroni. - Eureka! Znalazłem! Zostawisz mi cios jako zabezpieczenie pożyczki, której ci udzielę. Rocznie będziesz mi płacił dwadzieścia procent odsetek od kredytu.

Pewnego dnia, kiedy staniesz się najślawniejszym i najbardziej podziwianym shikari w Afryce, przyjdiesz do mnie i powiesz:

"Drogi i zaufany przyjacielu, wielmożny Goolamie Vilab-dzi, przybyłem, aby spłacić swój dług". Wówczas zwrócę ci ten piękny cios i pozostaniemy przyjaciółmi do śmierci.

— Mój drogi i zaufany przyjacielu, wielmożny Goolamie Vilab-dzi, cisnę na twą głowę dziesięć tysięcy błogosła

wieństw. - Leon się roześmiał. - Ile możesz mi pożyczyć?

— Doszły mnie słuchy, że owa kość waży sto dwadzieścia osiem funtów.

— Na Boga, jak się tego dowiedziałeś?

— Wie o tym każdy człowiek w Nairobi - odrzekł pan

Vilab-dzi, chytrze przechylając głowę. - Licząc po piętnaście szylingów za funt, mogę ci wypłacić dziewięćdziesiąt funtów szterlingów w złotych suwerenach.

130

Leon zamrugał. Nigdy nie miał w ręku takich pieniędzy.

Zanim opuścił sklep Goolama Vilab-dzi, zrobił pierwsze zakupy. Na jednej z półek za ladą dostrzegł rząd żółto-czer-wonych pudełek z charakterystycznym wizerunkiem lwa - znakiem handlowym firmy Kynoch, najlepszego producenta amunicji w Wielkiej Brytanii. Kiedy przyjrzał się im uważnie, z zadowoleniem odkrył napis: "Naboje do sztucera H&H .470 Royal Nitro Express. Masa 500 granów. Lite". Z dziesięciu nabojów, które otrzymał w darze od Verity O'Hearne, zostały mu jedynie trzy. Oddał pięć strzałów, aby wypróbować broń, a dwoma powalił ogromnego samca.

— Ile chcecie za te naboje, panie Vilab-dzi? - spytał

z niepokojem i przełknął ślinę, gdy usłyszał odpowiedź.

— Dla pana, sahib, mam wyjątkową, najlepszą cenę! -

Vilab-dzi spojrział w sufit, jakby szukał natchnienia u Kali,

Ganeśa i innych hinduskich bóstw. Następnie popatrzył na

Leona i rzekł: - Dla pana, sahib, policzę pięć szylingów

za kulę.

Na półce stało dziesięć pudełek po pięć nabojów. Leon dokonał szybkich obliczeń i poczuł, że ogarnia go groza. Dwadzieścia funtów i dziesięć szylingów! Dotknął ciężkiego wybrzuszenia w kieszeni spodni. Nie stać cię na to, pomyślał. Z drugiej strony jaki zawodowy myśliwy wyrusza na łowy z trzema pociskami w pasie? Z ociąganiem sięgnął do kieszeni, wyciągając płócienny mieszek, który przed chwilą otrzymał.

Zgodnie z ostrzeżeniem pana Vilab-dzi pomyslna fala nadpłynęła, by natychmiast zacząć się cofać.

Manyoro i Izmael nadal czekali przed sklepem. Leon wypłacił im należne wynagrodzenie.

— Co zrobisz z pieniędzmi? - spytał Manyoro.

— Kupię trzy krowy. Cóż innego mam zrobić, bwana! -

Manyoro potrząsnął głową, słysząc tak głupie pytanie. Dla

Masajów krowy stanowiły prawdziwe bogactwo.

— A ty, Izmaelu?

— Prześlę pieniądze moim żonom w Mombasie, efendi. -

131

Izmael miał sześć żon, a niewiasty te były żarłoczne niczym szarańcza.

Leon pojechał do koszar Królewskich Strzelców Afrykańskich razem z Izmaelem i Manyoro. Odnalazł Bobby'ego Samp-sona w kantine oficerskiej, pochylonego nad kuflem piwa. Twarz przyjaciela rozpromieniła się na jego widok. Uradował się jeszcze bardziej, gdy Leon zwrócił mu dwanaście gwinei, które był winien za vauxhalla, i postawił następną kolejkę.

Po opuszczeniu koszar pojechali do zagród z bydłem na obrzeżach miasta.

— Manyoro, chciałbym, abyś posłał ode mnie krowę w podziękowanie Lusimie Mamie za pomoc w łowach.

— Tak jak nakazuje obyczaj, bwana - zgodził się Manyoro.

— Nikt nie zna się lepiej na bydło od ciebie.

— To prawda, bwana.

— Kiedy wybierzesz sobie krowy, znajdź jedną dla Lusimy

Mamy i umów cenę z handlarzem. - Krowa kosztowała Leona

kolejnych piętnaście funtów, jako że Manyoro wybrał najlepsze

zwierzę w zagrodzie.

Zanim Masaj wyruszył na górę Lonsonyo, Leon dał mu płócienną sakwę ze srebrnymi szylingami.

- To dla Loikota. Jeśli nadal będzie rozmawiał z przyjaciółmi i przynosił mi wieści, dostanie więcej. Powiedz mu, aby

oszczędzał pieniądze, a już wkrótce kupi sobie wspaniałą krowę.

A teraz idź i wracaj szybko, Manyoro. Bwana Samawati ma

dla nas mnóstwo roboty.

Pędząc zwierzęta przed sobą, Manyoro ruszył pokrytym koleinami szlakiem, który wiódł do ryftu.

Dotarłszy do pierwszego zakrętu, odwrócił się i zawołał:

- Czekaj na mnie, bracie! Będę z powrotem za dziesięć dni!

Leon wrócił do klubu, aby odebrać Percy'ego Phillipsa. Znalazł

go spoczywającego w jednym z foteli na szerokiej werandzie wychodzącej na spieczoną słońcem trawę.

Myśliwy był w podłym nastroju. Oczy nabiegły mu krwią, brodę miał potarganą, a twarz pomarszczoną jak myśliwska bluza khaki, w której przespał noc.

132

— Gdzie się, u diabła, podziewałeś? - mruknął, spoglądając

na Leona i nie czekając na odpowiedź, ruszył w kierunku

automobilu, który terkotał, krztusił się i strzelał sinym dymem

z rury wydechowej. Twarz mu się rozpogodziła, gdy ujrzał

cios, na którym siedział Izmael. - Bogu dzięki, ciągle go

mam. Co się stało z drugim?

— Sprzedaliśmy go temu niewiernemu Goolamowi Vilab-

-dzi, efendi. - Izmael miał nawyk tytułować swoich przeło-

żonych po królewsku, używając liczby mnogiej.

— To łotr! Idę o zakład, że cię wykiwał - rzekł Percy,

wspinając się na przednie siedzenie. Nie odezwał się więcej

ani słowem, aż zaczęli się telepać ostatnim, najgorszym od

cinkiem drogi prowadzącej do obozu Tandala. - Wczoraj

wieczorem udało mi się zamienić kilka słów z twoim wujem,

Penrodem. Otrzymał niedawno telegram z Departamentu Stanu.

Za dwa miesiące były prezydent Stanów Zjednoczonych i jego świta przyplłyną do Mombasy na pokładzie luksusowego niemieckiego parowca Admirał, aby odbyć wielkie safari.

Kiedy zaparkowali samochód przed namiotem kantyny, Percy rozkazał, aby podano herbatę. Dwa kubki naparu przywróciły mu dobre samopoczucie i humor.

— Weź notes i ołówek - polecił Leonowi.

— Nie mam ani jednego, ani drugiego.

— W przyszłości będą to najważniejsze elementy twojego wyposażenia. Mam kilka zapasowych w bibliotece. Zwrócisz mi, gdy następnym razem pojedziesz do miasta. - Posłał po nie służącego i już wkrótce Leon siedział z ołówkiem nad kartką papieru.

— Najpierw wyjaśnię ci ogólnie, jak będzie wyglądało safari.

Oprócz prezydenta przyjedzie jego syn, młodzieniec w twoim wieku, oraz goście Teddy'ego, sir Alfred Pease, lord Cranworth i Frederic Selous.

— Selous?! - wykrzyknął Leon. - Ten człowiek to afrykańska legenda. Wychowałem się na jego książkach. Musi być bardzo stary.

133

- Skądże! - zachnął się Percy. - Założę się, że ma nie więcej niż sześćdziesiąt pięć lat.

Leon miał zamiar powiedzieć, że sześćdziesiąt pięć lat to podeszły wiek, lecz ugryzł się w język, widząc złowrogie spojrzenie Percy'ego. Zrozumiał, że dla Percy'ego Phillipsa jest to bardzo drażliwy temat, i wycofał się chyłkiem z pola minowego, na którym jeszcze przed chwilą mógł polec.

- Rzeczywiście, całkiem młody - rzucił pospiesznie.

Percy skinął głową i mówił dalej.

— Oprócz mnie prezydent wynajął pięciu innych białych myśliwych. Znam z ich grona Judda, Cunninghame'a i Tarltona. Wszyscy są znakomici. Domyślam się, że wezmą ze sobą uczniów. Ze słów Penroda wnioskuję, że będzie im towarzyszyło ponad dwudziestu przyrodników i wypychaczy zwierząt z Instytutu Smithsona, muzeum, które zgodziło się pokryć część kosztów safari. Spytałem Penroda o dziennikarzy i innych ludzi mediów, lecz odpowiedział, że prezydent zakazał ich obecności. Po dwóch kadencjach ceni sobie prywatność.

— Nie będzie żadnych pismaków? - spytał Leon, podnosząc wzrok znad notatnika.

— Tym się nie martw. Żaden znany człowiek nie może się opędzić od tych karaluchów. American Associated Press przyśle ich tu całe mnóstwo, lecz wezmą udział w oddzielnym safari. Będą podążali w niewielkiej odległości za nami, przekazując przy każdej okazji doniesienia do Nowego Jorku. Niech ich zaraza!

— A zatem w naszym safari weźmie udział ponad trzydziestu ludzi.

— Zaiste - przytaknął sarkastycznie Percy. - Ze wstępnych ustaleń poczynionych w Nowym Jorku wynika, że przywiozą około dziewięćdziesięciu sześciu ton ładunku. Resztę trzeba będzie kupić na miejscu. W tym pięć ton soli do zakonserwowania okazów i trofeów, a także paszę dla koni. Ładunek nadejdzie z Ameryki przed całą grupą, co pozwoli nam spro

wadzić go z wybrzeża i podzielić na sześćdziesięciofuntowe paki dla tragarzy.

134

— Ile koni będą potrzebować? - spytał z zaciekawieniem Leon.

— Planują polować z wierzchowców. Prezydent chce, by przygotowano co najmniej trzydzieści - odparł Percy. - Ponieważ znasz się na koniach, uczyniłem to jednym z twoich obowiązków. Zatrudnisz stajennych, aby się nimi zajęli. - Przerwał na chwilę. - Oczywiście, będziesz również odpowiedzialny za dwa samochody. Chcę ich używać do uzupełniania zapasów i dowożenia świeżej żywności do obozu prezydenta.

— Dwa automobile? Ma pan tylko jeden.

— Na czas safari pożyczę drugi od ciebie. Dopilnuj, aby oba były na chodzie. - Percy nie wspomniał o zapłacie za używanie jego pojazdu ani o pokryciu kosztu napraw.

— Lord Delamere oddał nam do dyspozycji swojego kucharza z hotelu Norfolk. W sumie będzie ich czterech lub pięciu. Twojego służącego, Izmaela, oddelegujemy do pracy w obozowej kuchni. A tak, Cunninghame wynajmie setkę tragarzy, aby nieśli nasze bagaże i prowiant. Powiedziałem mu, że znasz biegle kisuahili i chętnie mu pomożesz.

— Czy wspomniał pan, że chętnie mu pomogę podczas

polowania? - spytał niewinnie Leon.

Percy uniósł siwą krzaczastą brew.

— Doprawdy? Zważywszy na twoje bogate doświadczenie, jestem pewien, że prezydent będzie zaszczycony, mogąc wziąć cię na przewodnika. Będziesz miał wiele innych ważnych obowiązków, młodzieńcze, które nie pozwolą ci się nudzić. - Leon poczuł się lekko zirytowany tą formą zwracania się do niego, lecz pomyślał, że Percy właśnie dlatego tak często jej używa.

— Ma pan absolutną rację. Nie powinienem być o tym myśleć - odparł, uśmiechając się ujmująco do Percy'ego.

Stary myśliwy z trudnością powstrzymał uśmiech. Coraz bardziej lubił tego młodzieńca, który bez kwękania wykonywał powierzoną mu robotę. Ustąpił.

135

- Będzie ponad tysiąc gąb do wykarmienia. Zgodnie z prawem kolonii bawoły są uważane za szkodniki. Można odstrzelić dowolną liczbę sztuk. Jednym z twoich obowiązków będzie zapewnienie uczestnikom safari świeżego mięsa. Będziesz polował, ile dusza zapragnie. Obiecuję.

Dwa miesiące i sześć dni później niemiecki liniowiec pasażerski SS Admirał wpłynął do laguny Kilindini, buchając kłębami pary. Kilindini była głęboką zatoką pełniącą funkcję portu Mombasy. Statek lśnił od kolorowego takielunku i chorągiewek. Na głównym maszcie powiewała flaga Stanów Zjednoczonych, a na fokmaszcie czarne orły niemieckiego cesarza. Na przednim pokładzie łopotał Gwiazdzisty Sztandar i flaga z napisem "Boże, chroń króla". Na plaży roіto się od gapiów i rządowych dygnitarzy na czele z gubernatorem prowincji i dowódcą wojsk Jego Królewskiej Wysokości stacjonujących w Brytyjskiej Afryce Wschodniej. Wszyscy mieli galowe stroje, kapelusze z piórami i szable u pasa.

Na głębokiej wodzie roіto się od barek i łodzi czekających, by przewieźć pasażerów na plażę. Były prezydent, pułkownik Teddy Roosevelt, i jego syn pierwsi zeszli do oczekujących łodzi. Kiedy znakomici goście zajęli miejsca na ławkach, a wioślarze skierowali łódź do brzegu, ciemne deszczowe chmury wiszące nad laguną otwały swoje wrota, a niebo przeszyły widły błyskawicy. Zaczął padać rzęsy deszcz. Roosevelt stanął na plaży, przeniesiony nad płycznę przez muskularnych półnagich tragarzy. Jego kurtka myśliwska była przemoczona do suchej nitki, a on sam ryczał ze śmiechu. Marzył o takiej

przygodzie.

Gubernator pospieszył mu na spotkanie, jedną ręką przytrzymując na głowie kapelusz ze strusimi piórami, a drugą próbując odsunąć szablę pałętającą się między nogami. Oddał prywatny pociąg do dyspozycji prezydenta i jego świty. Kiedy tylko wszyscy bezpiecznie wylądowali na brzegu, chmury się rozstały i nad lekko wzburzonymi wodami laguny ukazało

136

się jasne słońce. Wielki tłum odśpiewał chórem For HesA Jolly Good Fellow. Grubiutki, uśmiechnięty Teddy Roosevelt stał w wejściu do pierwszego wagonu, pozdrawiając witających, gdy zawiadowca głośno gwizdnął i pociąg ruszył, rozpoczynając podróż do Nairobi w głębi kraju.

Po przejechaniu stu mil pociąg zatrzymał się na boczniczy w Voi, na skraju wysuniętej najbardziej na południe równiny pomiędzy rzekami Tsawo i Athi. W miejscu tym ponad przednim zgarniaczem lokomotywy zamontowano drewniany podest jako platformę widokową. Prezydent i Frederic Selous wspięli się i usiedli na ławce. Selous był najślawniejszym z afrykańskich myśliwych, autorem wielu książek przygodowych i podróżniczych oraz przyrodnikiem, który poświęcił całe życie badaniu zwierząt wielkiego Czarnego Łądu i opiekowaniu się nimi. Słynny z siły i determinacji, zasłużył sobie na powiedzenie: "Gdy inni padają, Selous idzie dalej". Odznaczał się silną budową ciała, wzrok miał spokojny i bystry, a wyraz twarzy łagodny i uduchowiony. Selous i Roosevelt, choć różnili się od siebie wyglądem, byli pokrewnymi duszami, oczarowanymi pięknem dzikich przestrzeni.

Kiedy pociąg sunął w obłokach pary równinami Tsawo wypełnionymi po horyzont stadami antylop, dwaj wielcy mężczyźni pochyliłi się ku sobie i rozmawiali o otaczających ich zewsząd cudach. Wczesnym rankiem, gdy pociąg wtoczył się dostojnie na stację w Nairobi, przybyszów witało całe miasto, pragnące choć raz rzucić okiem na prezydenta.

Dla rozrywki znakomitego gościa przez kilka dni organizowano przyjęcia, bale i imprezy sportowe, między innymi wyścig koni i mecz polo. Po tygodniu, gdy Roosevelt wypełnił swoje towarzyskie obowiązki, można było rozpocząć safari. Ponownie wyruszyli pociągiem w kierunku odległej boczniczy w buszu porastającym równinę Kapiti. Gdy przybyli na miejsce, wyszła im naprzeciw obsługa safari przypominająca małą armię.

Następnego ranka rozpoczęli marsz, a prezydent i jego syn wraz z Selousem jechali na czele kolumny. Za nimi w lekkich powiewach wiatru łopotała flaga Stanów Zjednoczonych nie-

137

siona przez umundurowanych askari. Dalej kroczyła orkiestra KSA, wygrywając hymn południowych stanów. Reszta liczącego dwa tysiące ludzi orszaku ciągnęła za nimi na długości dwóch mil.

Leon Courtney nie jechał w tym tłumie. Przez sześć tygodni organizował składy z prowiantem na planowanym szlaku safari.

Percy Phillips z oporami zgodził się dać Leonowi pomocnika. Ten w pierwszej chwili się przeraził, słysząc, kogo mu upatrzoneo.

— Hennie du Rand? - zaprotestował. - Znam go. To

Afrykaner, Bur z Afryki Południowej. Walczył przeciw nam podczas ostatniej wojny. Jego komandem dowodził Koos de la Rey. Bóg jeden wie, ilu Anglików zabił.

— Wojna burska skończyła się dawno temu - przypomniał

mu Percy. - Może i ma trudny charakter, lecz w gruncie rzeczy to porządny gość. Świetnie zna busz, jak większość Burów.

Zastrzelił więcej słoni i bawołów niż jakikolwiek człowiek, którego znam. Zna się też doskonale na samochodach. Pomoże ci utrzymywać pojazdy na chodzie i może prowadzić jeden z nich.

Musisz też ustrzelić wystarczającą liczbę bawołów, by zapewnić nam świeże mięso, dlatego przyda ci się pomoc. Nie znam nikogo lepszego niż on. Jeśli będziesz słuchał uważnie, wiele się od niego nauczysz. Największą zaletą Henniego jest wszakże to, że zarobi na swoją strawę i kilka szylingów dziennie, które mu wypłacę.

— Ale... - zaczął Leon.

— Żadnych ale. Hennie będzie twoim pomocnikiem. Lepiej

oswój się z tą myślą, młodzieńcze.

Wystarczyło kilka tygodni, aby Leon zorientował się, że Hennie jest nie tylko niestrudzonym pracownikiem, lecz zna się lepiej na mechanice i buszu od niego, a na dodatek chętnie dzieli się swoją wiedzą. Du Rand umiał też utrzymywać dobre stosunki z ludźmi. Przez całe życie mieszkał wśród afrykańskich plemion, dlatego znał ich sposób myślenia i obyczaje. Do Afrykanów odnosił się z szacunkiem i humorem. Nawet Ma-

nyoro i Izmael go polubili. Leon odkrył, że jest świetnym towarzyszem przy wieczornym ognisku i znakomitym gawędziarzem. Hennie miał ponad czterdzieści lat, był chudy i żylasty. Miał siwą brodę oraz twarz i ramiona poczerńiałe od słońca. Mówił z silnym afrykanerskim akcentem.

- Tak, moja młoda psaciel - powiedział Leonowi, gdy zaskoczyli stado bawołów u podnóża góry i zabili osiem młodych tłustych jałówek ośmioma strzałami. - Tak, mój młody przyjacielu. Chyba uda nam się zrobić z ciebie myśliwego.

Z pomocą Manyoro i czterech innych odarli ze skóry, wypatroszyli i poćwiartowali zdobycz, a następnie wrzucili mięso na dwa samochody i wyładowali pół mili od głównego obozowiska prezydenckiego safari. Percy nie pozwalał, by samochody podjeżdżały bliżej, aby prezydentowi i Selousowi nie przeszkadzał terkot silników. Z obozu wyszła ku nim grupa tragarzy, by odebrać mięso.

Kiedy zostali sami, zaparkowali starszego vauxhalla pod rozłożystym mahoniowcem, a następnie wyciągnęli klocek i narzędzia. Później unieśli tył pojazdu i wyjęli dyferencjał, który wydawał niepokojące zgrzyty. Zaczęli rozbierać go na części, układając poszczególne elementy na postrzępionym kawałku plandeki. Podnieśli głowy, gdy usłyszeli tętent kopyt. Jeździec okazał się młodym mężczyzną w bryczesach i szerokim kapeluszu. Zsiadł z konia, przywiązał zwierzę do drzewa i podszedł do nich.

- Witajcie. Co robicie? - spytał z wyraźnym amerykańskim akcentem.

Zanim odpowiedział, Leon zlustrował go od stóp po głowę. Nieznajomy miał na nogach drogie buty, a jego bluza khaki była uprana i odprasowana. Miał sympatyczną twarz, choć nie można jej było nazwać uderzająco piękną. Zdjął kapelusz, odślaniając nieokreślonej barwy mysie włosy, i uśmiechnął się przyjaźnie. Leona uderzyło, że obaj byli niemal w tym samym wieku. Tamten miał nie więcej niż dwadzieścia dwa lata.

— Mamy kłopoty z tym starym gratem - wyjaśnił, na co tamten się uśmiechnął.

— Macie kłopoty z tym starym gratem - powtórzył. -

Dobry Boże, uwielbiam ten wasz angielski akcent. Mógłbym całymi dniami słuchać, jak mówicie.

- Jaki akcent? - odparł Leon, naśladując intonację tam

tego. - Nie mówię z akcentem. To ty masz zabawny ak

cent. - Wybuchli śmiechem.

Nieznajomy wyciągnął rękę.

- Jestem Kermit. - Leon spojrział na swoją usmoloną

dłoń. - Nie przejmuj się - zapewnił go tamten. - Lubię

grzebać przy samochodach. W domu mam cadillaca.

Leon otarł dłoń o spodnie i ucisnął wyciągniętą prawicę.

— Leon, a ten obdartus to Hennie.

— Mogę chwilę z wami posiedzieć?

— Jeśli jesteś słynnym mechanikiem, możesz nawet pomóc.

Mógłbyś wykręcić zębatkę i wałek? Masz klucz.

Przez kilka minut pracowali w milczeniu. Leon i Hennie dyskretnie obserwowali nowego.

— So ty wyprafias? - zapytał półgłosem Hennie.

— Co to za język? Co powiedział Hennie?

— To język Afrykanerów, afrykańska wersja holenderskiego.

Spytał, co zamierzasz zrobić.

— To co wy, kolego.

Przez chwilę pracowali w milczeniu.

- Przyjechałeś razem z wielkim cyrkiem Barnuma i Bai-

leya? - spytał w końcu Leon.

Kermit roześmiał się wyraźnie uradowany.

— Taak, zgadłeś.

— Czym się zajmujesz? Jesteś z Instytutu Smithsona?

— W pewnym sensie. Głównie siedzę i słucham starców rozprawiających o wspaniałych czasach swojej młodości - odparł Kermit.

— Musisz się nieźle bawić.

— Czy to wy ustrzeliliście bawoły, które dziś rano przywieziono do obozu?

— Zaopatrywanie obozu w mięso należy do naszych obowiązków.

140

- Musicie mieć nieźły ubaw. Czy następnym razem mógłbym się do was przyłączyć?

Leon i Hennie spojrzeli na siebie.

- Jaki masz sztucer? - spytał ostrożnie Leon.

Kermit podszedł do konia i wyciągnął broń z futerału zawieszzonego przy siodle. Wrócił i podał sztucer Leonowi, który przeładował, by sprawdzić, czy komora jest pusta, a następnie przyłożył do ramienia winchestera .405.

— Słyszałem, że to dobra broń na bawoły, choć ma duży odrzut. Wali w bark jak Bob Fitzsimmons - powiedział. -

Potrafisz z tego strzelać?

— Tak sądzę. - Kermit wsunął broń do futerału. - Nazwijam ją "potężnym lekiem".

— W porządku. Spotkamy się tu pojutrze, o czwartej rano.

— Moglibyście przyjechać po mnie do głównego obozu?

— To zabronione - odparł Leon. - Jako przedstawiciele niższych form życia nie możemy przeszkadzać wielkim i moż

nym tego świata.

Kiedy zjawili się na miejscu o czwartej rano z tropicielami i garbarzami, było ciemno, lecz Kermit już na nich czekał. Leon był pod dużym wrażeniem. Sądził, że tamten się wycofa. Przez godzinę dzielącą ich od świtu podążali tropem dzikiej zwierzyny. Manyoro biegł przodem, ostrzegając przez pniakami i dołami. Było zimno i Kermit drżał pod plandeką, która osłaniała ich od wiatru. Kiedy ślady doprowadziły do łożyska wyschniętej rzeki, stanowiącej nieprzebytą przeszkodę dla samochodu, zaparkowali pod drzewem i wysiedli. Wyciągnęli karabiny, a Kermit spojrzał krytycznie na sztucer Leona.

— Widzę, że niejedno przeżył.

— Nie da się ukryć - przytaknął Leon. Percy pożyczył mu
wysłużonego jeffreysa .404 ze swojego arsenału, ponieważ
amunicja do niego była czterokrotnie tańsza i bardziej dostępna
od naboju do hollanda .470. Chociaż broń ta wyglądała nie
najlepiej i Leon nie był z niej dumny, charakteryzowały ją
jednak celność i niezawodność.

141

— Potrafisz z tego strzelać? - spytał Kermit z lekką drwiną.

— Kiedy mam dobry dzień.

— Miejmy nadzieję, że taki nas czeka - przekomarzał się

Kermit.

— Przekonamy się.

— Dokąd idziemy?

— Wczoraj późnym wieczorem Manyoro wyśledził duże
stado przechodzące tą drogą. Zaprowadzi nas do niego.

Zeszli do wyschniętego koryta i minęli dużą zieloną sadzawkę, w której stała jeszcze woda po porze deszczowej. Brzegi bajora były zryte kopytami zwierząt, między innymi bawołów, które przychodziły tu pić. Weszli na przeciwległy brzeg, gdzie kwitły akacje, a polanę porastała świeża zielona trawa.

Rozpoczął się piękny świt. Powietrze było rześkie i chłodne. Zaczęli się budzić mieszkańcy buszu. Mężczyźni przystanęli na polanie, obserwując stado pawianów polujących na owady i szukających

korzeni. Grupę prowadził młody samiec, czujnie wypatrujący niebezpieczeństwa. Za nim, wysoko unosząc ogony, szły samice z młodymi. Odślaniały nagie różowe pośladki i zewnętrzne narządy płciowe, komunikując swoją dojrzałość i gotowość do współżycia. Niektóre niosły młode uczezione ich grzbietu niczym dżokeje. Starsze figlowały i uganiały się hałaśliwie po polanie. Rolę tylnej straży odgrywały dwa duże samce, paradujące dumnie, gotowe stawić czoło każdemu niebezpieczeństwu, które odkryłyby młodsze podążające na szpicy. Małe stadko buszboków, delikatnie zbudowanych antylop o spiralnych rogach i kremowych paskach na bokach, podążało za małą watahą, wykorzystując czujne pawiany w charakterze wartowników i obserwatorów wypatrujących lampartów i innych drapieżników.

Kiedy mijający ich korowód przystanął, Manyoro wskazał czubkiem dzidy mokrą ziemię po drugiej stronie sadzawki stratowaną wielkimi kopytami.

— Ślady naszego stada.

— Ile sztuk, Manyoro?

142

— Dwieście, może trzysta.

— Kiedy?

Manyoro zatoczył niewielki łuk na porannym niebie.

— Niecałą godzinę temu. - Leon przetłumaczył jego słowa Kermitowi. - Żerują w gęstych zaroślach nieopodal wzgórz, tam gdzie się kładą, aby odpocząć w skwarze południa. Pamiętaj, co ci powiedziałem. Strzelamy wyłącznie do trzy- i czteroletnich samic.

— Czemu nie możemy zapolować na duże samce? - spytał niechętnie Kermit.

— Ich mięso jest tak twarde jak opony samochodowe i smakuje znacznie gorzej od nich. Nie tknąłby go nawet głodny Ndorobo. - Kermit skinął głową, wyraźnie rozczarowany.

Leon przeniósł wzrok na Manyoro.

- Prowadź po śladach.

Gdy przeszli ponad milę, zarośla zgęstniały. Wkrótce stały się tak gęste, że widzieli zaledwie kilka jardów przed sobą. Nagle Manyoro uniósł dłoń. Stanęli, bacznie nasłuchując. Z przodu doleciał trzask gałązek pękających pod kopytami dużych zwierząt przedzierających się krzakami. Usłyszeli smutne porykiwanie odstawionego od piersi cielaka, trącającego wymię matki w poszukiwaniu pokarmu.

Leon pochylił się w stronę Kermita i szepnął:

- Tam! Tam są! Nie strzelaj pierwszy. Musimy zbliżyć się na wystarczającą odległość, aby trafić w mózg. Nie celuj w tułów. Nie chcemy marnować mięsa, poza tym nie wysłoby nam na zdrowie tropienie rannego bawołu w takiej gęstwi nie. - Skinął głową i Manyoro ruszył przed siebie.

Dotarli do miejsca, w którym krzaki się przerzedziły, wypalone podczas pożaru buszu w poprzedniej porze suchej. Roślinność była na tyle niska, że odsłaniała setki czarnych bawolich grzbietów, kryła jednak resztę ciała. Stado żerowało, więc łby ginęły w trawie. Nagle jedno ze zwierząt uniosło głowę i spojrzało na nich. Podstawa rogów łączyła się na łbie, tworząc zaokrąglony hełm, a czubki wyginały się ku dołowi,

143

nadając zwierzęciu żaloszny wygląd. Zamarli bez ruchu, a przeżuwające ostrą trawę zwierzę najwyraźniej nie zorientowało się, że są ludźmi. Po chwili bawół parsknął i opuścił łeb, by kontynuować żerowanie.

— Manyoro, za gęsto tutaj - szepnął Leon. - Poczekajmy, aż zmienią miejsce. Wygląda na to, że nie zamierzają od poczywać. Pewnie wrócą do rzeki, którą przeszliśmy rano. Myślę, że pójdą do sadzawki, aby się napić.

— Ndio, bwana. Zatoczyły koło. Rzeka przepływa obok małego wzgórza. - Mówiąc to, Manyoro wskazał skaliste wzniesienie w odległości ponad mili od nich.

- Wyprzedzimy stado i przyczaimy się nad sadzawką.

Manyoro ruszył truchtem, wolno okrążając poruszające się

stado. Biegli za nim pochyleni, a gdy się oddalili, ruszyli pędem w stronę rzeki. Dotarli do wyschniętego koryta, przekroczyli szerokie, piaszczyste dno i zajęli stanowiska wśród drzew rosnących na

przeciwnym brzegu.

Nie musieli długo czekać, żeby na skarpie pojawił się bawół przewodnik, prowadząc za sobą stado. Prychając i rycząc z pragnienia, zwierzęta weszły do sadzawki. Kiedy pierwsze bawoły stanęły po brzuch w wodzie, opuściły łby i zaczęły łapczywie pić. Czyniły tak wielki zgiełk, że Leon mógł zbliżyć głowę do ucha Kermita i szepnąć:

— Wybierz krowę z boku stada, stojącą najbliżej ciebie. Są trzydzieści jardów od nas. Celuj w głowę. Jeśli chybisz, strzel powtórnie.

— Nie chybię - szepnął Kermit, unosząc winchestera. Leon z zaniepokojeniem spostrzegł, że Amerykanin drży. Muszka jego karabinu dygotała.

Nerwowe podniecenie! Leon bez trudu rozpoznał objawy niekontrolowanego podekscytowania, często ogarniającego nowicjuszy, którzy po raz pierwszy stają oko w oko z groźną zwierzyną. Otworzył usta, aby zabronić mu strzelać, lecz winchester wypalił, a lufa podskoczyła. Pocisk musnął garb potężnego byka stojącego na brzegu sadzawki i trafił w zad ukrytą

144

za nim krowę. Mocne szarpnięcie winchestera wytrąciło Kermita z równowagi, tak że przez chwilę stracił bawoły z oczu. Zanim znowu spojrzął na stado, Leon oddał dwa szybkie strzały i płynnie przeładował jeffreysa bez odrywania kolby od ramienia. Pierwsza kula trafiła rannego byka poniżej guzowatego wybrzuszenia hełmu. Zwierzę odrzuciło bezwładnie głowę i osunęło się martwe na ziemię. Drugi pocisk dosięgnął krowy, próbującej zerwać się do biegu. Utknął u podstawy czaszki w miejscu, gdzie łączyła się z kręgosłupem. Zwierzę zaryło pyskiem w biały piasek i zamarło nieruchomo.

Hennie, stojący na lewo od Leona, pracował z szybkością karabinu maszynowego, strzelając w kłębiące się panicznie stado. Każdy strzał powalał na ziemię jedno zwierzę. Kermit otrząsnął się z szoku wywołanego uderzeniem kolby winchestera i spostrzegł, że byk oraz stojąca za nim krowa leżą martwe na ziemi.

- Juchu! - krzyknął niczym kowboj. - Powaliłem dwa jednym strzałem.

Uniósł karabin, aby oddać kolejny strzał, lecz Leon krzyknął:

— Wystarczy! Nie strzelaj. - Kermit najwyraźniej go nie

usłyszał, bo wypalił ponownie. Leon odwrócił się, aby dobić ranione zwierzę, lecz tym razem jego towarzysz trafił w głowę, powalając kolejnego rosnącego samca.

— Dość tego! - krzyknął. - Wstrzymać ogień! - Skie rował w dół lufę karabinu, który Kermit ponownie unosił do strzału. Stado ruszyło pędem w kierunku przeciwległego brzegu i zniknęło w buszu, pozostawiając w sadzawce dziewięć zabi tych bawołów.

— A niech to! - wysapał Kermit, drżąc z podniecenia. - Nigdy czegoś takiego nie przeżyłem. Położyłem trzy bawoły dwoma strzałami! Musiałem pobić jakiś rekord.

Leon był rozbawiony tym dziecinny wybuchem entuzjazmu. Nie mógł powiedzieć, co naprawdę się stało, i zepsuć mu frajdy. Zamiast wyprowadzić go z błędu, zaczął się śmiać razem z nim.

145

- Dobra robota, Kermit! - zawołał, uderzając go w ramię. - Nieźle strzały. Nigdy wcześniej nie widziałem czegoś takiego. - Mężczyzna uśmiechnął się do niego uszczęśliwiony. Leon ani przez chwilę nie przeczuwał, że to niewinne kłamstwo na zawsze zmieni jego życie.

Kiedy skończono oprawiać zdobycz, zaczął zapadać zmierzch. Zamiast ryzykować nocną jazdę po śladach zwierzyny, szlakiem usianym pniakami starych drzew i dołami wykopanymi przez mrówniki, gdyż mogło się to zakończyć uszkodzeniem zawieszenia, rozłożyli się obozem na brzegu rzeki. Na obiad Izmael przyrządził świeży bawoli ozór. Po posiłku usiedli przy ognisku, sącząc kawę i wsłuchując się w wycie hien, zwabionych wonią krwi i wnętrzości bawołów, zawodzących i pokrzykujących w ciemnym buszu wokół obozowiska. Hennie sięgnął do chlebaka po manierkę, wyciągnął korek i podał Kermitowi. Ten przysunął ją do ogniska i uważnie obejrzał jasnobrazowy płyn, który wypełniał ją do połowy.

— Prezydent nie pozwala na picie mocnych trunków w obozie. Dawno nie miałem nic porządnego w ustach. Cóż to za trucizna? - spytał ciekawie.

— Moja ciotka z Małmesbury wyrabiają z brzoskwiń. Zwie

się mampoyer. Ta tutaj sprawi, że wypadną ci włosy na piersi,
a twoja kapiszonówka napełni się grubym śrutem.

Kermit pociągnął spory łyk.

— Jak to nazwałeś? Mam...? - zapytał, wybałuszając
oczy. - Ja nazwałbym to stuprocentowym samogonem. -

Otarł usta wierzchem dłoni i podał manierkę Leonowi. -

Pociągnij łyk, współniku! - Kermit był nadal w euforycznym
nastroju, a Leon cieszył się, że wcześniej nie wyprowadził go
z błędu. Manierka dwukrotnie zatoczyła koło, zanim ujrzeli
dno i wpadli w wylewny nastrój.

— Jesteś z Afryki Południowej, prawda, Hennie? Co robiłeś
w czasie wojny? - spytał Kermit.

146

Hennie pomyślał chwilę, zanim odpowiedział.

— Walczyłem.

— W Stanach dużo o tym czytałem. Gazety pisały, że
przypominało to naszą wojnę secesyjną. Podobno toczono tu
zaciekle walki.

— Dla niektórych było to straszne przeżycie.

— Podobno zostaliście w to wplątani.

— Walczyłem pod de la Reyem.

— Czytałem o nim - rzekł Kermit. - Był najślawniejszym

burskim dowódcą. Opowiedz nam o nim.

Mampoer rozwiązał język małowóznego Bura, który zaczął barwnie opisywać walkę trzydziestu tysięcy burskich farmerów, którzy omal nie pokonali największej potęgi wojskowej tamtych czasów.

— Nigdy nie zmusiliby nas do kapitulacji, gdyby ten krwawy rzeźnik Kitchener nie wyruszył na kobiety i dzieci, które zostawiliśmy w domu. Spalił nasze farmy i wybił bydło. Spędził wszystkie kobiety i dzieci do obozów koncentracyjnych, a później kazał wrzucać do jedzenia haczyki na ryby, by wykrwawili się na śmierć. - Po jego zniszczonych brązowych policzkach spłynęła łza. Otarł ją i przeprosił łamiącym się głosem: - Wybaczcie! Przepraszam. Mampoer przywołała wszystkie złe wspomnienia. Moja żona, Annetjie, zmarła w obozie. - Wstał. - Pójdę już spać. Dobrej nocy. - Podniósł zrolowany pled i odszedł w mrok. Przez chwilę Kermit i Leon siedzieli ponuro w milczeniu.

— To nie były haczyki na ryby - rzekł cicho Leon. -

Zmarli na dyfteryt. Hennie nie rozumie, że nie zrobiliśmy tego celowo. Kobiety Burów zawsze żyły na szerokich trawiastych obszarach. Stłoczone razem nie wiedziały, jak utrzymać higienę. Nie miały pojęcia o zachowaniu porządku w obozach, które zamieniły się w siedliska zarazy. - Westchnął. - Po wojnie rząd brytyjski zaczął wypłacać rekompensaty. Wpompowano w ten kraj miliony funtów, aby odbudować gospodarkę. W ubiegłym roku pozwolono na przeprowadzenie wolnych

wyborów. Obecnie rządzą dwaj generałowie Burów - Louis Botha i Jannie Smuts. Żaden zwycięzca nie potraktował z taką wspinałomyślnością i wielkodusznością pokonanych.

- Rozumiem uczucia Henniego - odrzekł Kermit. - Na południu Stanów mieszka wielu ludzi, którzy mimo upływu czterdziestu lat nie zapomnieli i nie przebaczyli.

Następnego ranka Hennie zachowywał się tak, jakby wieczornej rozmowy po prostu nie było. Po wypiciu kawy i posileniu się resztkami zimnego ozora wsiedli do samochodów, a tropiciele i garbarze załadowali bawole mięso na muły. Kermit pochlebstwami skłonił Leona, by pozwolił mu prowadzić, a Hennie ruszył za nimi.

Także tego dnia Kermit był radosny i beztroski. Leon uznał go za miłego towarzysza. Wiele ich łączyło. Obaj byli pasjonatami koni, samochodów i polowań, mieli więc o czym rozmawiać. Chociaż Kermit nie rozwijał tematu, dał do zrozumienia, że jego ojciec to bogaty i wpływowy człowiek, który zdominował jego życie.

— Mój ojciec jest taki sam - wyznał Leon.

— Co zrobisz?

— Powiedziałem: "Tato, szanuję cię, lecz nie potrafię żyć zgodnie z twoimi zasadami". Później wyprowadziłem się z domu i wstąpiłem do wojska. Było to cztery lata temu. Od tego czasu więcej się nie widzieliśmy.

— Sukinkocie! Musiałeś mieć sporo odwagi. Zawsze o tym marzyłem, lecz nigdy nie zdecydowałem się na taki krok.

Leon odkrył, że im lepiej poznaje Kermita, tym bardziej go lubi. A co tam, pomyślał, facet strzela jak wariat, lecz w końcu nikt nie jest doskonały. W trakcie rozmowy wyszło na jaw, że Kermit jest zapalonym przyrodnikiem i ornitologiem. Może pracować w Instytucie Smithsona, pomyślał Leon i kazał mu zatrzymać samochód za każdym razem, gdy spostrzegł interesujący okaz owada, ptaka lub innego małego zwierzęcia,

148

aby mu je pokazać. Hennie wyprzedził ich i zniknął na horyzoncie.

Byli niedaleko miejsca, w którym Kermit zostawił swojego konia, zaledwie kilka mil od obozowiska prezydenta, kiedy z zarośli wybiegło na drogę dwóch białych mężczyzn. Mieli na sobie strój do safari, lecz żaden nie nosił broni. Zamiast niej jeden trzymał kamerę.

- A niech mnie! Przedstawiciele czwartej władzy - mruk
nął Kermit. - Nie można się od nich uwolnić. - Zatrzymał
samochód. - Musimy być dla nich mili i uprzejmi, w przeciwnym razie nieźle nas urządzią.

Wyższy z nieznanym podbiegł do kierowcy.

— Wybaczcie, panowie - rzekł, uśmiechając się przymilnie. - Mógłbym przerwać wam miłą przejażdżkę i zadać kilka pytań? Bieriecie udział w safari prezydenta Roosevelta?

— Jak mniemam, pan Andrew Fagan z Associated Press, by sparafrazować słowa nieodżałowanego doktora Davida Livingstone'a - odparł Kermit, odsuwając kapelusz na tył głowy i odwzajemniając uśmiech.

Dziennikarz cofnął się z wrażenia, a następnie przysunął jeszcze bliżej.

— Pan Roosevelt junior! - wykrzyknął. - Proszę wybaczyć. Nie rozpoznałem pana w tym dziwnym stroju. - Nie mógł oderwać wzroku od brudnego, poplamionego krwią ubrania Kermita.

— Co pan powiedział? - spytał Leon.

Kermit wyglądał na zakłopotanego, lecz Fagan pospieszył z odpowiedzią.

- Nie wie pan, z kim jedzie? To Kermit Roosevelt, syn prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Leon spojrzał oskarżycielsko na nowego przyjaciela.

— Nie powiedziałeś mi!

— Nie pytałeś.

— Mogłeś wspomnieć - upierał się Leon.

— Wtedy wszystko by się zmieniło. Zawsze tak jest.

149

— Kim jest pana młody przyjaciel, panie Roosevelt? -
spytał Andrew Fagan, wyciągając notatnik z kieszeni spodni.

— To mój myśliwy, pan Leon Courtney.

— Wygląda na bardzo młodego - zauważył z powątpie
waniem Fagan.

— Nie trzeba mieć długiej brody, aby być jednym z naj
większych myśliwych Afryki - odparł Kermit.

— Jednym z największych myśliwych Afryki?! - Fagan
zapisał coś w kajeciku. - Jak się pisze pańskie nazwisko,
panie Courtney? Przez jedno czy dwa "e"?

— Przez jedno. - Leon poczuł się nieco niezręcznie i spoj
rzył na Kermita. - Widzę, w coś mnie wpakował.

— Domyślam się, że wracacie z polowania. - Fagan wska
zał łeb bawołu leżący na skrzyni. - Kto upolował to zwierzę?

— Pan Roosevelt.

— Co to za gatunek?

— Bawół afrykański. Syncerus caffer.

— Dobry Boże, jest ogromny! Możemy zrobić kilka zdjęć?

Niech pan się zgodzi, panie Roosevelt.

— Pod warunkiem że dostaniemy odbitki. Proszę o jedną dla mnie i drugą dla Leona.

— Oczywiście, pokażcie waszą broń. Niech każdy stanie po jednej stronie głowy. - Fotograf rozłożył statyw i ustawił myśliwych. Kermit sprawiał wrażenie opanowanego i nie przejmował się tym, w przeciwieństwie do Leona, który czuł się tak, jakby stanął naprzeciw plutonu egzekucyjnego. Lampa błyskowa eksplodowała, posyłając w niebo obłok dymu ku przerażeniu preparatorów i obozowego personelu jadącego na skrzyni.

— W porządku! Doskonale! Czy możemy zrobić zdjęcie z tym Masajem w czerwonej szacie? Powiedzcie mu, aby uniósł dzidę. Znakomicie. Właśnie tak. Kim on jest? To wódz?

— Jest królem Masajów.

— Żartujecie?! Poproście, aby zrobił groźną minę.

— Ten wariat mówi, że się ubrałeś jak baba-powiedział Leon w języku maa, a Manyoro rzucił mordercze spojrzenie fotografowi.

—

150

- Cudownie! Na Boga, cudownie!

Mogli wyruszyć dalej dopiero po półgodzinie.

— Często miewasz takie przygody? - spytał Leon.

— Można się przyzwyczaić. Trzeba traktować ich uprzejmie, w przeciwnym razie cię obsmarują.

— Nadal uważam, że powinieneś być mi powiedzieć, iż

twój ojciec jest sakramenckim prezydentem.

— Możemy wybrać się znów na polowanie? Dali mi na myśliwego jakiegoś starca. Mellowa. Cały czas prawi mi kazania, jakbym był uczniakiem. Próbuje mnie zniechęcić do strzelania.

Leon się zastanowił.

— Za dwa dni główny obóz zostanie przeniesiony w górę rzeki Ewaso Ng'iro. Będę musiał przeprowadzić na drugą stronę namioty i ciężki sprzęt. Chętnie wybiorę się z tobą na polowanie, jeśli szef mi pozwoli. Nie jesteś taki zły, chociaż masz kiepski akcent.

— Twój szef?

— Starszy gość, Percy Phillips, ale lepiej powstrzymaj się od uwag na temat jego wieku.

— Znam go. Często jada z ojcem i panem Selousem. Spróbuję to załatwić. Nie sądzę, abym potrzebował więcej usług pana Mellowa.

Los sprzyjał Kermitowi. Dwie noce po przeniesieniu obozowiska na południowy brzeg Ewaso Ng'iro szef kuchni wypożyczony przez lorda Delamere'a przygotował uroczysty obiad z okazji Święta Dziękczynienia. Ponieważ nie było indyka, prezydent osobiście ustrzelił ogromnego dropia. Kucharz upiekł go i przyrządził nadzienie z przyprawionej ziołami wątroby bawołu.

Następnego dnia połowa ludzi w obozie dostała ostrej biegunki - wątroba najwyraźniej zepsuła się pod wpływem gorąca. Nawet Roosevelt, choć miał żelazne zdrowie, cierpiał na przykrą dolegliwość. Frank Mellow, którego wyznaczono na myśliwego Kermita, należał do najcięższych chorych i obozowy lekarz musiał go odesłać do szpitala w Nairobi.

151

Kermit, który nie jadł nadzienia, wykorzystał nadarzącą się okazję i wyprosił nowego myśliwego u ojca. Roosevelt, z powodu niedyspozycji spoczywający pod długą werandą namiotu, stawiał słaby opór i Kermit mógł się udać do Percy'ego Phillipsa niczym posłaniec z prezydenckim rozkazem. Tego wieczoru Percy wezwał Leona do swojego namiotu.

— Nie miałem pojęcia, co knujesz. Kolejna cholerna nie spodzianka. Kermit Roosevelt chce, abyś zastąpił Franka Melowa jako myśliwy. Przekonał ojca, aby się zgodził. Nie spytali mnie o zdanie. Musiałem się zgodzić. - Spojrzał gniewnie na Leona. - Masz jeszcze mleko pod nosem. Nie polowałeś na lwa, lamparta i nosorożca. Wspomniałem o tym prezydentowi, lecz był chory i nie chciał słuchać. Kermit Roosevelt to zważony, lekkomyślny młody nicpoń jak ty. Jeśli coś mu się stanie, obaj będziemy skończeni. Nigdy nie zjawią się już inni klienci, a wówczas obiecuję, że cię uduszę własnymi rękami. Zrozumiałeś?

— Tak, proszę pana. Zrozumiałem.

— W porządku, możesz iść. Nie mogę ci zabronić.

— Dziękuję. - Leon zaczął się wycofywać, lecz Percy go zatrzymał.

— Leonie!

Odwrócił się zdumiony. Percy nigdy wcześniej nie zwracał się do niego po imieniu. Jeszcze bardziej zdziwiło go to, że Percy się uśmiecha.

- To twoja wielka szansa. Więcej takiej nie dostaniesz.

Jeśli zachowasz się roztropnie i szczęście ci dopisze, znajdziesz się na drodze prowadzącej na szczyt. Powodzenia.

Następnego dnia Leon i Kermit wyruszyli na łowy, nie szukali żadnej konkretnej zwierzyny, gotowi zapolować na to, co spotkają.

- Jeśli napotkamy lwa, wielkiego czarnogrzywego starego samca, spełnią się moje marzenia. Nawet ojciec nie upolował takiego.

— Będziesz musiał poczekać, aż opuścimy ziemie Masajów - powiedział Leon. - Ten kraj jest bardzo niegościnnie dla wielkich czarnogrzywych samców.

— Czemu? - spytał zaintrygowany Kermit.

— Każdy młody morani marzy o zabiciu lwa, aby dowieść w ten sposób swojej męskości. Wszyscy morani obrzezani tego samego roku wyruszają na wyprawę. Kiedy wytropią lwa, osaczają go. Zwierzę, widząc, że nie ma ucieczki, wybiera jednego z wojowników i atakuje go. Morani musi stawić mu czoło, mając do dyspozycji jedynie tarczę i assegai. Po zabiciu zwierzęcia może sporządzić wojenne przybranie głowy z jego skóry i nosić je z dumą. Może też wybrać za żonę dowolną dziewczynę z plemienia. Obyczaj ten nieco przeźrebił lwy.

— Wolałbym dziewczynę od ozdoby ze skóry. - Kermit się zaśmiał. - Podziwiam ich odwagę. To wspaniali wojownicy.

Spójrz tylko na Manyoro. Porusza się z gracją lamparta.

Manyoro biegł truchtem przed końmi. Nagle Masaj przystanął i oparł się na dzidzie, czekając najeźdźców. Wskazał na otwartą przestrzeń i ogromny ciemny kształt tuż przy kępie krzaków. Zwierzę było w odległości niemal mili od nich, a jego postać drżała w gorącym powietrzu.

— Nosorożec. Wygląda na ogromnego samca. - Leon wyjął z torby przy siodle lornetkę Zeissa, którą otrzymał do Percy'ego po awansie z pomocnika na pełnoprawnego myśliwego. Wyregulował ostrość i przyjrzał się dalekiemu kształtowi. - Po twierdzam. To nosorożec. Największy, jakiego w życiu widziałem. Ma niewiarygodnie wielki róg!

— Większy od tego, którego ojciec ustrzelił pięć dni temu.

— Znacznie większy.

— Chcę go mieć! - zawołał gwałtownie Kermit.

— Ja też - przytaknął Leon. - Zajdziemy go od zawietrznej i podkradniemy się w zaroślach. Powinniśmy podejść go na tyle blisko, abys mógł oddać celny strzał z odległości trzydziestu lub czterdziestu jardów.

153

-

— Papłasz jak Frank Mellow. Mam się skradać na czworakach czy pełznąć na brzuchu jak wąż? Dość mam tego gadania! - Kermit drżał z podniecenia na myśl o polowaniu. - Pokażę ci, jak myśliwi z Dzikiego Zachodu polowali na bizona. Za mną, współniku. - Mówiąc to, spiął klacz piętami i ruszył galopem przez równinę wprost na stojące w oddali zwierzę.

— Kermit, poczekaj! - krzyknął za nim Leon. - Nie bądź głupi! - Ale ten nawet się nie obejrzał. Wyciągnął karabin z futerału pod kolanem i uniósł wysoko nad głowę. - Percy miał rację. Jesteś szalonym, lekkomyślnym nicponiem - białolił Leon, spinając swojego wierzchowca do galopu.

Nosorożec usłyszał tętent kopyt, lecz wzrok miał tak słaby, że początkowo nie mógł zlokalizować Kermita. Spoglądał gniewnie na boki, ryjąc ziemię nogami, groźnie sapiąc i wybałuszając krótkowzroczne świńskie oczka.

- Juchu! - zawył Kermit niczym kowboj.

Naprowadzony przez dźwięk, nosorożec skupił spojrzenie

na koniu i jeźdźcu i nieoczekiwanie rzucił się do ataku. Kermit stanął wysoko w strzemionach, uniósł karabin i oddał strzał z galopującego wierzchowca. Pierwsza kula poszybowała wysoko nad grzbietem zwierzęcia, podnosząc obłok pyłu dwieście jardów dalej. Kermit szybko przeładował i strzelił ponownie. Leon usłyszał odgłos kuli uderzającej w mięsiste cielsko, nie mógł jednak stwierdzić, gdzie trafiła. Nosorożec nawet nie mrugnął, biegł ile sił w nogach na spotkanie konia.

Kermit ponownie chybił. Tym razem kula uderzyła o ziemię między przednimi nogami zwierzęcia. Młody Roosevelt wypalił jeszcze raz. Po charakterystycznym odgłosie Leon odgadł, że kula zagłębiła się w obwisłej skórze nosorożca. Samiec wierzgnął z bólu, unosząc róg. Kiedy się zbliżył do konia, opuścił łeb, próbując go dźgnąć.

Kermit był jednak zbyt szybki, aby mu się to udało. Niczym zręczny gracz polo zawrócił konia, zmuszając go do przecięcia linii ataku. Jeździec i nosorożec przemknęli obok siebie, zmierzając w przeciwnych kierunkach. Chociaż zwierzę dźgnęło

154

rogiem, czubek przeszedł o dłoń od kolana Amerykanina. W tej samej chwili Kermit pochylił się w siodle i wypalił, niemal dotykając muszką szarej skóry między wystającymi łopatkami nosorożca. Zwierzę zgarbiło się i przysiadło. Wykonało zwrot, by ruszyć za koniem, lecz jego oddech stał się szybki i urywany. Z otwartego pyska kapwały krople krwi. Kermit ściągnął wodze, przeładował i oddał dwa kolejne strzały. Wielkie cielsko zadrżało konwulsyjnie i zwolniło. Łeb samca opadł nisko i nosorożec zaczął kołysać się nierówno z boku na bok.

Nadjeżdżający galopem Leon był przerażony brutalnością tego widowiska. To, co ujrzał, było sprzeczne z jego wyobrażeniem sprawiedliwej walki i humanitarnego zabijania. Do tej chwili nie mógł zapobiec rzezi, gdyż obawiał się, że trafi Kermita lub jego wierzchowca, teraz jednak miał czyste pole do strzału. Ranny nosorożec stał w odległości nie większej niż trzydzieści kroków. Kermit jechał z boku, przeładowując winchestera. Leon raptownie zatrzymał konia, tak że ten przysiadł na zadzie. Zeskoczył na ziemię, jednocześnie unosząc hollanda. Wymierzył w punkt, gdzie kręgosłup nosorożca łączył się z czaszką. Kula przecięła kość niczym ostrze katowskiego topora.

Kermit podjechał do martwego zwierzęcia i zsiadł z konia. Twarz miał poczerwieniałą z wrażenia, oczy mu błyszczały.

- Dzięki za pomoc, współniku! - roześmiał się. - Na

Boga! Jakież to było emocjonujące! Jak ci się podoba polowanie

w stylu Dzikiego Zachodu? Wspaniała zabawa, co?! - Kermit

nie okazał najmniejszego żalu ani poczucia winy z powodu

tego, co się stało.

Leon musiał wziąć głęboki oddech, aby się opanować.

- Muszę przyznać, że było to naprawdę szalone, choć nie
uznałbym tego za wspaniałą zabawę - odparł spokojnym
głosem. - Zgubiłem kapelusz. - Zawrócił konia i odjechał,
aby go poszukać.

Co mam z nim zrobić? - pomyślał. Przemówić mu do słuchu? Powiedzieć, aby znalazł sobie innego
myśliwego?

155

Zobaczył kapelusz leżący na ziemi, podniósł i otrzepał o nogę. Nasunął go na głowę. Bądź rozsądny,
Courtney! Jeśli zrezygnujesz, będziesz skończony. Pozostanie ci wrócić do Egiptu i podjąć pracę u ojca.

Zawrócił i ruszył wolnym kłusem do Kermita pochylonego nad nosorożcem i gładzącego długi czarny róg.
Mężczyzna spojrział z z troskaniem na zsiadającego z konia Leona.

— Coś cię gnębi? - spytał cicho.

— Nie wiem, jak się poczuje prezydent, gdy ujrzy ten róg.

Cholera, musi mieć z pięć stóp długości. Mam nadzieję, że nie
zzielenieje z zazdrości - odpowiedział, starając się, aby jego
uśmiech wypadł naturalnie.

Kermit wyraźnie się rozluźnił.

- Będzie mu do twarzy w tym kolorze. Nie mogę się
doczekać, aby to zobaczyć.

Leon spojrział na słońce.

- Późno już. Tego wieczoru nie zdołamy wrócić do głów
nego obozu. Zanocujemy tutaj.

Izmael podążył za nimi na mule, wiodąc juczne zwierzę obciążone garnkami i innym sprzętem
kuchennym. Kiedy się zjawił, przystąpił do rozbijania prowizorycznego obozowiska.

Przed zapadnięciem zmroku podał im obiad. Oparci o siodła pochylili się nad emaliowanymi naczyniami

balansującymi na kolanach, zjadając się ryżem i duszonym mięsem tomi.

- Izmaelu, jesteś czarodziejem - oznajmił Kermit z pełnymi ustami. - W Nowym Jorku jadałem gorsze żarcie.

Powiedz mu to, dobrze?

Izmael poważnie przyjął komplement.

Leon opróżnił talerz do czysta, wkładając do ust ostatnią łyżkę stawy. Nadal przeżuając, sięgnął do torby przy siodle i wyciągnął butelkę.

— Słodowa whisky Bunnahabhain - oznajmił, pokazując etykietę.

— Skąd ją, u licha, wytrzasnąłeś?! - Kermit roześmiał się uszczęśliwiony.

156

— Powinniśmy podziękować Percy'emu, chociaż ten pewnie nie wie o swojej hojności.

— Dobry Boże, Courtney, to ty jesteś prawdziwym czarodziejem.

Leon nalał kapkę do emaliowanych kubków. Pociągnęli z przyjemnością.

— Wyobraź sobie, że jestem dobrą wróżką i mógłbym spełnić każde twoje życzenie - zasugerował Leon. - O co byś poprosił?

— Oprócz pięknej i chętnej dziewczyny?

— Oprócz niej.

Zachichotali, po czym Kermit zamyślił się chwilę.

— Jak duży był słoń, którego ojciec ustrzelił kilka dni temu?

— Jego ciosy ważyły dziewięćdziesiąt cztery i dziewięć

dziesiąt osiem funtów. Trochę zabrakło do magicznej setki.

— Chciałbym upolować większego.

— Tak bardzo ci zależy, aby go prześcignąć? To jakieś zawody czy co?

— Ojcu udawało się wszystko, czego się tknął. Do czorta!

Był bohaterem wojennym, gubernatorem, myśliwym i sportowcem, zanim stuknęła mu czterdziestka. Później został najmłodszym i najlepszym prezydentem, jakiego miały Stany Zjednoczone. Szanuje zwycięzców i gardzi tymi, którzy przygrywają. - Pociągnął tyk. - Z tego, co mi powiedziałeś, twój jest podobny. Powinieneś mnie zrozumieć.

— Myślisz, że ojciec tobą gardzi?

— Nie. Kocha mnie, lecz nie szanuje. Pragnę jego szacunku bardziej niż czegokolwiek innego.

- Dzisiaj upolowałeś większego nosorożca niż on.

Spojrzeni na ogromne cielsko i róg błyszczący w płomieniach ogniska.

- To na początek. - Kermit skinął głową. - O ile znam ojca, większe wrażenie zrobi na nim upolowany słoń lub lew.

Znajdź mi jednego, dobra wróżko.

Manyoro siedział przy drugim ognisku razem z Izmaelem.

157

— Chodź do nas, bracie. - Leon skinął na niego. - Musimy omówić coś ważnego. - Masaj podszedł i przykucnął przy

ognisku obok nich. - Trzeba znaleźć wielkiego słonia dla tego
bwana.

— Nadaliśmy mu imię w języku suahili - odparł Manyoro. - Bwana Popoo Hima.

Leon wybuchnął śmiechem.

— Powiedział coś zabawnego? - spytał Kermit.

— Spotkał cię zaszczyt - oznajmił Leon. - Manyoro cię szanuje. Nadał ci imię w języku suahili.

— Jakie?

— Bwana Popoo Hima.

— Brzmi podejrzenie - odrzekł Kermit, wietrząc podstęp.

— Znaczy ono Pan Szybka Kula.

— Bwana Popoo Hima! Hej! Powiedz, że mi się podo
ba! - Kermit był uradowany. - Czemu tak mnie nazwali?

— Byli pod wrażeniem twojego stylu polowania. - Leon zwrócił się do Manyoro. - Bwana Popoo Hima chce ubić wielkiego słonia.

— Jak każdy biały. Musimy pojechać na górę Lonsonyo, poradzić się matki.

— Kermit, Manyoro powiedział, że powinniśmy udać się po radę do znachorki Masajów, która mieszka na szczycie góry.

Powie nam, gdzie znaleźć twojego słonia.

— Wierzysz w takie rzeczy? - spytał Kermit.

— Tak.

— Ja również. - Kermit skinął poważnie głową. - Na

wzgórzach leżących po północnej stronie naszego rancza w Da kocie mieszka stara indiańska szamanka. Nigdy nie wyszedłem na polowanie bez zasięgnięcia jej rady. Każdy prawdziwy myśliwy jest odrobinę przesądny, nawet mój ojciec, choć to największy pragmatyk, jakiego spotkałem.

— Warto się uśmiechnąć do pani Fortuny - przytaknął Leon. - Kobieta, o której ci powiedziałem, jest bliźniaczą siostrą tamtej. Jest również moją przybraną matką.

158

— W takim razie możemy jej zaufać. Kiedy wyruszymy?

— Jesteśmy ponad dwadzieścia mil od głównego obozu.

Stracimy kilka dni, jeśli odwieziemy przedtem łeb nosorożca.

Ukryjemy go tu, a Manyoro dostarczy go później do obozu.

W ten sposób będziemy mogli wyruszyć bez zwłoki.

— To daleko stąd?

— Dwa dni drogi, jeśli się pospieszymy.

Następnego ranka wciągnęli głowę nosorożca na wysoki mahoniowiec i umieścili ją w rozwidleniu między gałęziami, gdzie nie sięgną jej hieny i inni padlinożercy. Później wyruszyli na wschód i rozłożyli się obozem dopiero po zapadnięciu tak głębokich ciemności, że nie było widać niczego wokół. Leon bał się, że któryś koń może złamać nogę w dole wygrzebanym przez mrównika. Obudził się w środku nocy, nasłuchując dźwięku, który go zaniepokoił. Jeden z koni parsknął i poruszył się niespokojnie.

Pomyślał, że to lwy podkradają się do koni. Odrzucił pled, sięgnął po sztucer i wstał. Wówczas ujrzał obcą postać siedzącą przy tłącym się ognisku. Mężczyzna był owinięty shuką barwy ochry.

— Kim jesteś? - spytał.

— To ja, Loikot. Przybyłem.

Kiedy się wyprostował, Leon rozpoznał go od razu, chociaż był o kilka cali wyższy niż wówczas, gdy się rozstali sześć miesięcy temu. Jego głos zmienił barwę, przybierając bardziej męskie brzmienie.

— Jak nas odnalazłeś, Loikocie?

— Lusima Mama powiedziała mi, gdzie was szukać. Wysłała mnie, aby was powitać.

Ich głosy zbudziły Kermita.

— Co się stało? Kim jest ten chudy dzieciak? - spytał, sennie przecierając oczy.

— To posłaniec od damy, którą mamy zamiar odwiedzić.

Przystąpiła go, aby nas odnalazł i zaprowadził na górę.

— Skąd wiedziała, że wyruszyliśmy? Do ostatniej nocy sami nie mieliśmy o tym pojęcia.

|

|

159

- Obudź się, bwana Popoo Hima. Pomyśl tylko, ta kobieta jest czarownikiem, wie o wszystkim. Nie chciałbyś grać z nią w pokera.

Późnym rankiem następnego dnia ujrzeli płaski szczyt Lon-sonyo rysujący się na tle sennego sinego horyzontu, lecz u podnóża góry stanęli dopiero po południu. Było już ciemno, gdy zajechali do manyatty i zsiadli z koni przed chatką Lusimy. Usłyszała konie i stanęła w drzwiach tak, że blask ogniska oświetlał jej wysoką postać. Była naga, jeśli nie liczyć sznurka paciorków wokół bioder. Niedawno natarła skórę tłuszczem i ochrą i teraz błyszczała.

Leon podszedł i przyklęknął na jedno kolano.

— Pobłogosław mnie, matko - poprosił.

— Masz moje błogosławieństwo, synu - odrzekła, dotykając jego czoła. - Otacza cię również moja macierzyńska miłość.

— Przyprowadziłem mojego towarzysza. - Leon powstał, puszczając przodem Kermita. - W języku suahili jego imię brzmi bwana Popoo Hima.

— Zatem to jest ów księżę, syn wielkiego białego króla. - Lusima przyjrzała się z bliska twarzy Kermita. - Choć przy pomina gałązkę potężnego drzewa, nigdy nie wyrośnie ponad pień, w którym tkwi. W każdym lesie jest drzewo wyższe od pozostałych, jest też orzeł szybujący wyżej innych ptaków. - Uśmiechnęła się życzliwie do Kermita. - Wie o tym w głębi serca, dlatego czuje się mały i nieszczęśliwy.

Nawet Leon był zdumiony przenikliwością jej spostrzeżeń.

— Rozpaczliwie pragnie zyskać szacunek ojca - powie dział.

— Przychodzi, abym pomogła mu znaleźć słonia. - Skinęła głową. - Rano pobłogosławię jego bunduki i wskażę drogę prawdziwego myśliwego. Kazałam zabić młode kozłą dla ciebie i tego mzungu, który nie pije mleka i krwi, gdyż woli gotowane mięso.

160

Około południa następnego dnia zebrali się wokół drzewa narad pośrodku zagrody dla bydła. "Potężny lek" spoczywał na wyprawionej lwiej skórze. Naoliwiony metal błyszczał na niebiesko w promieniach słońca, a drewniane części lśniły. Dary ofiarne w postaci świeżego krowiego mleka i krwi, soli, tabaki i paciorków ułożono obok. Leon i Kermit przykucnęli u głowy lwiej skóry, a Manyoro i Loikot stanęli za nimi.

Z chatki wyłoniła się dostojnie Lusima w odświętnym stroju. Podeszła do drzewa narad królewskim krokiem, mając za plecami dwie niewolnice. Mężczyźni zaczęli klaskać w dłonie, wychwalając Lusimę:

- Jesteś wielką czarną krową, która żywi nas mlekiem swoich wymion. Jesteś tą, która wszystko widzi, matką naszego plemienia. Jesteś mędrce, który wie o wszystkich rzeczach na ziemi. Módl się za nami, Lusimo Mamo.

Przykucnęła przed mężczyznami, zadając rytualne pytania:

— Po co przybyliście na górę? Czego ode mnie chcecie?

— Prosimy, abyś pobłogosławiła naszą broń - odparł Leon. - Błagamy, abyś wskazała nam ścieżkę, którą podąża przez busz wielki szary mąż.

Lusima podniosła się, skrapiając karabin krwią i mlekiem, a następnie posypując tabaką i solą.

- Uczyń tę broń nieustraszoną niczym oko łowcy, aby położyła trupem wszystko, na co spojrzy. Niech jego popoo leci prosto niczym pszczoła do ula.

Następnie podeszła do Kermita i miotłką z ogona żyrafy pokropiła krwią i mlekiem jego schyloną w pokłonie głowę.

- Zwierzyna nigdy ci nie umknie, masz bowiem serce myśliwego. Spraw, aby nieomylnie podążał za zdobyczą. Niech nie ukryje się przed jego okiem.

Leon tłumaczył szeptem jej słowa, zdanie po zdaniu. Masa-jowie klaskali, powtarzając refren jej modlitwy:

- Niech się stanie, jak powiada wielka czarna krowa.

Lusima rozpoczęła taniec, wirując w wąskim kręgu. Prze bierała bosymi stopami jak młoda dziewczyna, aż pot zmieszał

161

się z oliwą i ochrą, powodując, że poczęła lśnić jak drogocenny bursztyn. W końcu opadła na skórę lwa, a jej twarz wykrzywiła się w grymasie. Zagryzła wargi, aż po policzkach zaczęła płynąć krew. Ciałem

wstrząsnęło konwulsyjne drżenie, oddech stał się świszczący i chrapliwy. Na wargach pojawiła się piana zmieszana z krwią.

- Myśliwy wyruszy w kierunku domu - rzekła chrapliwym, grubym głosem niczym mężczyzna. - Mądry myśliwy będzie nasłuchiwał popiskiwanie małego czarnego ptaszka o poranku - zaskrzeczała. - Jeśli poczeka na szczycie wzgórza, zostanie po trzykroć pobłogosławiony. - Wypuściła powietrze i otrząsnęła się jak spaniel, który wygramoliwszy się z wody, stanął na brzegu rzeki.

— Zagadkowo zabrzmiały słowa twojej matki - zauważył

oschle Kermit, jedząc pieczonego jeżozwierza, którego podano na obiad. Mięso było delikatne i soczyste jak mięso prosięcia, którego przyrządził Izmael. - Powiedziała, abym zrezygnował i wracał do domu? Tak uważasz?

— Czy indiańska szamanka nie nauczyła cię, że w przypadku takiej wyroczni należy badać każde słowo, analizując wszystkie możliwe związki? Nie można odczytywać tego dosłownie. Dam ci przykład. Kiedy ostatnim razem poprosiłem o pomoc, Lusima kazała mi iść za słodkim śpiewakiem. Okazało się, że chodzi o miodowoda.

— Musi być w niej coś z ornitologa, tym razem zamiast miodowoda mamy czarne ptaki.

— Zacznijmy od początku. Kazała ci wracać do domu czy podążać w stronę domu?

— W stronę domu! Mój dom jest w Nowym Jorku, w Stanach Zjednoczonych.

— A zatem powinniśmy wyruszyć na północny wschód.

— Skoro nie ma innych sugestii, zrobimy tak - zgodził się Kermit.

Leon wyciągnął wojskowy kompas, który zwędził, gdy opuszczał KSA, i wyruszyli. Pierwszą noc spędzili pod małym skalistym pagórkiem. Tuż przed świtem sączyli kawę, oczekując wschodu słońca. Nagle Loikot przechylił głowę i dał znak, aby zamilkli. Przestali rozmawiać, nasłuchując w ciszy. Dźwięk był tak słaby, że dało się go słyszeć jedynie z przerwami, kiedy poranny wietrzyk nieco osłabł lub wiał z odpowiedniego kierunku.

— Co to takiego, Loikocie?

— Słyszę nawoływanie chungadzi. - Wstał i podniósł dzidę. - Muszę wejść na wzgórze, aby lepiej słyszeć. - Po wiedziawszy to, zniknął w ciemnościach, oni zaś wśluchiwali się w dalekie dźwięki.

— Nie przypomina to ludzkich głosów - powiedział Kermit. - Bardziej szczebiot wróbli.

— A może małych czarnych ptaków? - spytał Leon. -

Małych czarnych ptaków Lusimy Mamy?

Roześmiali się.

- Zgadłeś. Loikot będzie miał dla nas wieści, gdy zejdzie ze wzgórza.

Ustyszeli jego nawoływanie, bliższe i wyraźniejsze od innych głosów. Pasterze wymieniali nowiny za pomocą poczty pantoflowej Masajów, aż słońce stanęło wysoko nad horyzontem. Kiedy wiatr i skwar uniemożliwiły dalszą rozmowę, zapanowała cisza. Po chwili wrócił pęczniejący z dumy Loikot. Było jasne, że nie przemówi, dopóki ktoś go nie poprosi.

Leon spełnił jego życzenie.

— Loikocie, powiedz, o czym rozmawiałeś ze swoimi braćmi noża obrzezania?

— O safari z dziesięcioma tysiącami tragarzy i wieloma wazungu, którzy rozłożyli się obozem nad Ewaso Ng'iro, i mnóstwie zwierząt, które położył trupem biały władca kraju zwanego

Emelika.

— O czym jeszcze mówiliście?

— O chorobie czerwonej wody, która dotknęła bydło nie daleko Arushy. Padło dziesięć sztuk.

163

— Czy rozmawialiście o słońiach na obszarze Wielkiego Rowu Wschodniego?

— Tak. - Loikot skinął głową. - Wszyscy byli zgodni, że o tej porze roku do doliny schodzą wielkie samce. W ostatnich dniach chungadzi widzieli dużo słońi na obszarze pomiędzy Maralal i Kamnoru. Trzy potężne sztuki podążały na wschód. Były ogromne. - W końcu jego twarz się rozpuściła, a głos stał się nagły. - Jeśli mamy je upolować, M'bogo, musimy ruszyć szybko na północ, aby przeciąć im drogę, zanim dotrą do Samburulandu i Turkana.

Manyoro i Loikot ruszyli przed końmi, stawiając długie sprężyste kroki, które zwali "chciwymi pozeraczami ziemi". Dwaj jeźdźcy podążali za nimi truchtem, a kolumnę zamykał Izmael na mule, prowadzący juczne zwierzę obciążone garnkami, rondlami i przyborami kuchennymi.

Kermita rozpierała typowa dla niego energia.

- Dobry koń pod siodłem, sztucer w dłoni i nadzieja na ustrzelenie zwierzyny! Synu strzelby, oto życie godne męża czynny.

- Nie wyobrażam sobie nic lepszego - przytaknął Leon.

Nagle Kermit ściągnął lejce i osłonił oczy kapeluszem, spoglądając na szarą plamę w ciernistych zaroślach.

— Duży samiec kudu - powiedział. - Większy od tego, którego znalazł mi Mellow.

— Chcesz upolować kolejne kudu czy olbrzymiego słonia? Zdecyduj się, kolego. Nie możemy mieć jednego i drugiego.

— Czemu? - zdziwił się Kermit.

— Potężny samiec z twoim imieniem wypalonym na boku może czekać za następnym wzgórzem. Jeśli usłyszy strzał, zacznie uciekać i zatrzyma się dopiero na drugim brzegu Nilu.

— Popsujabawa! Jesteś taki sam jak ten przeklęty Frank Mellow. - Kermit spał konia, zmuszając go do cwału, by dopędzić Masajów, którzy znacznie ich wyprzedzili.

Po południu za płaskim horyzontem ukazały się niskie wzgórza przypominające knykie zaciśniętej pięści. Tej nocy roz-

164

łożyli obóz pod najwyższym z nich. Przed świtem wypili kawę przy ognisku, a następnie pozostawili Izmaela z końmi, aby zwinął obozowisko i zapakował rzeczy na muła, a sami wspięli się na szczyt wzgórza. Kiedy dotarli na wierzchołek, Loikot zaintonował pieśń, obracając się ku dolinie. W odpowiedzi niemal natychmiast rozległo się podobne, dalekie wołanie. Rozmawiali jakiś czas, zanim Loikot zwrócił się do Leona i oznajmił:

— Człowiek, z którym rozmawiałem, nie jest Masajem.

Znajdujemy się niedaleko granicy oddzielającej naszą ziemię od ziemi Samburu - wyjaśnił. - On jest półkrwi Samburu, pochodzi ze spokrewnionego z nami plemienia. Posługują się językiem maa, lecz czynią to nieco inaczej od nas. Śmiesznie gadają. O tak! - Loikot przewrócił oczami, wydając idiotyczny ryk niczym obłąkany osioł. Manyoro uznał to za śmieszne

i zaczął chodzić w kółko chwiejnym krokiem, uderzając się w policzki i naśladować sposób, w jaki plemię Samburu włada językiem maa.

— Czy po tej błazenadzie przekażecie nam wiadomości, które otrzymaliście od waszych kuzynów Samburu?

— Ten osioł Samburu powiedział, że gdy wieczorem prowadzili bydło do manyatty, widzieli trzy duże byki - odrzekł Loikot, nadal dysząc i czkając z rozbawienia. - Powiedział, że każdy z nich miał długie białe ciosy.

— W którą stronę zmierzały? - spytał niecierpliwie Leon.

— Szły przez dolinę do miejsca, w którym się znajduje my. - Leon szybko przetłumaczył wiadomość Kermitowi, obserwując, jak w jego oczach pojawia się blask. - Gdybym pozwolił ci wczoraj zastrzelić tego kudu, zaprzepaściłbyś szansę ich upolowania.

— Kajam się pełen wstydu i żalu. W przyszłości obiecuję słuchać tego, który wie wszystko. - Kermit zasalutował szyderczo.

— Idź do diabła, Roosevelcie! - Leon uśmiechnął się szeroko. - Wyślę Manyoro i Loikota w dolinę, aby sprawdzili,

165

czy nocą nie przeszły obok nas. Jest pełnia księżycy, więc wątpię, aby wędrowały nocą. Założę się, że po zapadnięciu zmroku odpoczywały. Niedawno wyruszyły. - Obserwowali, jak dwaj Masajowie schodzą ze wzgórza i znikają wśród drzew porastających dolinę.

— Do tej pory słuchaliśmy rady Lusimy Mamy o małych

ptaszkach kwilących o świcie. Jaka była jej następna rada? -

spytał nagle Kermit.

— Powiedziała, że myśliwy, który zaczeka na szczycie

wzgórza, będzie po trzykroć błogosławiony. Jesteśmy na szczy

cie. Zobaczmy, gdzie są nasze trzy błogosławieństwa.

Kiedy ognista tarcza wypłynęła ponad horyzont, Leon zdjął z ramienia lornetkę i usiadł na ziemi, opierając się o pień drzewa. Wolno lustrował dolinę rozciągającą się u ich stóp. Po godzinie dostrzegł Manyoro i Loikota wracających na wzgórze. Szli leniwym krokiem i rozmawiali. Odłożył lornetkę.

- Nie spieszą się, a to oznacza, że nie mieli szczęścia.

Samce tędy nie przechodziły. Ale może to się zmieni.

Dwaj Masajowie wdrapali się na wierzchołek i przycupnęli obok nich. Leon spojrzał pytająco na Manyoro, lecz ten pokręcił głową.

- Hapana. Nic. - Wyjął tabakierkę i poczęstował Loikota, zanim zbliżył szczyptę do nosa. Wciągnęli tabakę i kichnęli, zamykając oczy, a następnie zaczęli cicho szeptać między sobą, aby ich głosy nie niosły się po dolinie. Kermit wyciągnął się na kamienistej ziemi, nasunął na oczy rondo kapelusza i po kilku minutach zaczął cicho chrapać. Leon śledził ruch w dołynie, co jakiś czas opuszczając lornetkę, aby dać oczom odpocząć i przetrzeć soczewki potą koszuli.

W ciągu wieków kilka wielkich okrągłych głazów oderwało się od zbocza i stoczyło na dno doliny. Niektóre przypominały grzbiet słonia. Kilka razy zadrżało mu serce na widok szarego kształtu, lecz po chwili zdał sobie sprawę, że to skała, a nie cielsko ogromnego zwierzęcia.

166

— Jak długo będziemy czekali? - spytał cicho Leon, opuszczając lornetkę.

— Dopóki słońce tutaj nie dotrze. - Masaj wskazał punkt zenitu. - Jeśli nie pojawią się do tej pory, będzie to oznaczało, że skręcimy w inną stronę. Wówczas powinniśmy pojechać do manyatty Samburu, gdzie widziano je wczoraj.

— Co powiedział Manyoro? - zapytał Kermit, unosząc rondo kapelusza. Usiadł, kiedy Leon przetłumaczył mu słowa Masaja. - Zaczynam się nudzić - oznajmił. - Ta zabawa to ciągły pościg i oczekiwanie.

Leon nie odpowiedział. Uniósł lornetkę i zaczął ponownie przeczesać dolinę.

W odległości pół mili od nich rosły zielone drzewa, na które wcześniej nie zwrócił uwagi. Po barwie i gęstości listowia poznał, że to gaj drzew zwanych małpią jagodą. Jego owoce miały fioletową barwę, kwaśny smak i przyciągały różne dzikie zwierzęta, małe i duże. Pośrodku gaju leżał jeden z ogromnych głazów, którego wierzchołek wystawał ponad czubek drzew. Przyjrzał się mu uważnie i już miał przesunąć lornetkę, gdy zamarł z wrażenia. Można było odnieść wrażenie, że skała zmieniła kształt i urosła. Wpatrywał się w nią tak uporczywie, aż zaczęły go boleć oczy. Znowu zmieniła wygląd. Wstrzymał oddech. Za skałą stał słoń, na pół zasłonięty przez głaz. Widać było jedynie jego zad i kawałek wygiętego grzbietu. To, że zwierzę tam dotarło, nie zwracając ich uwagi, było kolejnym dowodem, jak cicho i niepostrzeżenie potrafiły się poruszać te olbrzymy. Poczul skurcz w piersi i zaczął szybko dyszeć. Tylko jeden, a zatem nie jest to stado, którego szukaliśmy, pomyślał. Może to zabłąkana samica albo młody samiec. Przygotował się na rozczarowanie.

Ponownie zamrugał, widząc kolejny ruch. Przez zasłonę liści małpiej jagody przedarł się łeb drugiego zwierzęcia. Leon wstrzymał oddech. Samiec o ogromnej głowie, dumnie wysuniętym czole i uszach rozłożonych niczym żagle szkunera. Trąba kołysała się między parą długich, wygiętych ciosów. Kość była gruba i jasna.

167

— Manyoro! - szepnął dramatycznie.

— Widzę go, M'bogo.

Leon podniósł wzrok i zauważył, że dwaj Masajowie podnieśli się z ziemi i z zapartym tchem wpatrywali w gaj małych jagód.

— Ile? - spytał.

— Trzy - odparł Loikot. - Jeden ukrył się za skałą. Drugi stoi przodem do nas, trzeci jest pomiędzy nimi, ukryty wśród drzew. Widzę jedynie nogi.

Kermit usiadł cicho, zaalarmowany pełnymi napięcia głosami.

— Co się dzieje? Coście zobaczyli?

— Nic wielkiego - odparł Leon drżącym głosem. - To tylko jeden samiec z ciosami ważącymi po sto funtów. No, może dwa lub trzy. Pewnie jesteś zbyt znudzony, aby popatrzeć.

Kermit zerwał się na równe nogi, przecierając zaspane oczy.

- Gdzie? No, gdzie?

Leon wskazał kierunek, a wtedy Kermit je zobaczył.

— Rzeczywiście... - wybełkotał. - Walnij mnie w głowę!

Potrząśnij, abym się obudził! To nie może być prawda, co?

Powiedz mi, że nie śnię, że te ciosy są prawdziwe.

— Wiesz co, kolego? Mnie również wydają się rzeczywiste.

— Łap sztucer! Ruszajmy za nimi - powiedział Kermit

łamiącym się głosem.

— Doskonały plan, panie Roosevelt. Nie dostrzegam w nim żadnych wad. - Kiedy patrzyli, trzy słonie wynurzyły się z gaju małych jagód i ruszyły ku nim doliną. Podążyły w zwartej grupie szerokim szlakiem wydeptanym przez zwierzynę, przebiegającym w niewielkiej odległości od wzgórza, na którym stali.

— Na ile słoni mam licencję? - spytał Kermit. - Trzy?
— Przecież wiesz. Chcesz zabić wszystkie trzy? Chciwy
jesteś.
— Który ma największe ciosy? - Zaczął wsuwać naboje
do magazynka winchestera.

—
168

- Trudno ocenić z takiej odległości. Wszystkie są potężne.
Będziemy musieli podejść znacznie bliżej, aby wybrać naj
większego. Lepiej się pospieszmy. Idą szybko.

Zbiegli na dół, strącając luźne kamienie. Drzewa i nierówności zbocza zasłaniały im widok. Stracili słonie z
oczu. Kiedy dotarli na dół, Leon wysunął się na czoło. Skręcił w lewo i ruszył wzdłuż podstawy wzgórza,
biegnąc ile sił w nogach, aby znaleźć się w miejscu, w którym mogli zagrozić zwierzętom drogę. Kermit
deptał mu po piętach, a dwaj Masajowie podążali dwa kroki dalej. Leon zauważył, że szlak przecina płytki
rów biegnący od zbocza wzniesienia. Musiał zostać wypłukany przez wodę spływającą podczas burzy.
Zanim do niego dotarli, niemal równocześnie wydarzyło się kilka rzeczy. Leon zauważył, że idący
przodem samiec wynurzył się z drzew po drugiej stronie rowu w odległości czterystu lub pięciuset
jardów od nich. Tuż za nim kroczyły dwa pozostałe.

Chwilę później z lewej strony doleciało odbite od wzgórza echo ostrzegawczego krzyku pawianiego
wartownika. Wypatrzył ludzi w dolinie poniżej swojego punktu obserwacyjnego. Wołaniu zawtórował
wrzaskliwy chór. Wybuchł przeraźliwy zgiełk. Trzy słonie stanęły jak wryte. Zbiły się w ciasną gromadkę,
kołysząc niepewnie i unosząc trąby, aby wyczuć niebezpieczeństwo. Poruszały głowami z boku na bok,
szeroko rozpościerając uszy.

- Nie ruszaj się! - ostrzegł Leon. - Wyczują najdrob
niejszy ruch. - Zamarł, bacznie je obserwując. Serce waliło
mu z podniecenia i szaleńczego biegu ze wzgórza. Wszystkie
zwierzęta miały ciosy o wadze co najmniej stu funtów.
W którą stronę powinniśmy się udać? Podjął decyzję.

- Musimy dotrzeć do rowu, zanim nas wypatrzą - wysa-

pał, ruszając przed siebie. Dotarli do rowu niezauważeni przez żadne ze zwierząt i schowali się za stromym zboczem. Nie oczekiwanie znaleźli się w samym środku stada impali skubiących liście z niskich gałęzi krzewów porastających korytarz wyschniętego potoku. Gazele rzuciły się w popłochu do ucieczki,

skacząc i parszcząc ze strachu. Dopadły przeciwległej krawędzi rowu i wbiegły na górę po stromym zboczu. Pojawiły się przed trzema słońmi.

Przewodnik zauważył, że biegną ku nim, odwrócił się i ruszył w kierunku stromego wzgórza. Dwa inne podążyły jego śladem.

Leon wyjrzał zza krawędzi i zobaczył, co się dzieje.

- Przeklęte impale! - mruknął. Słonie pędziły w kierunku pierwszej pochyłości u podstawy wzgórza, zmierzając na ukos w kierunku szczytu. - Kermit, za mną! Szybko! - krzyknął jak oszalały. - Jeśli nie zdążymy przeciąć im drogi, zanim dotrą na szczyt, nie ujrzymy ich nigdy więcej!

Przebiegli wąski pas ziemi i dotarli do podstawy wzgórza. Byli dwieście jardów za słońmi. Leon ruszył na górę, sadząc

długimi krokami i przeskakując mniejsze głazy, które znalazły się na jego drodze.

Słonie nie mogły pokonać od czoła stromego zbocza, zaczęły więc biec zakosami. W tym czasie Leon i Kermit kontynuowali wspinaczkę na wprost, przecinając krętą ścieżkę słońmi i z każdym krokiem zbliżając się do ogromnych zwierząt.

— Nie dam rady - wysapał Kermit. - Mam już dość.

— Dalej, kolego! - Leon wyciągnął rękę i chwycił go za nadgarstek. - Szybko! Prawie dotarliśmy na miejsce! - za

wołał, ciągnąc go w górę. - Wyprzedziliśmy je. Jeszcze tylko

kawałek.

Kiedy wdrapali się na wierzchołek wzgórza, Kermit oparł się o pień drzewa. Koszula przemokła mu od potu, klatka piersiowa ciężko falowała, oddech stał się płytki i świszczący. Nogi mu dygotały, jakby dostał porażenia. Leon spojrzął w dół. Samiec prowadzący stado był sto stóp niżej. Sadził szybko zakosami. Oceniał, że zwierzęta przebiegną w odległości niecałych trzydziestu jardów od miejsca, w którym się znajdowali, nieświadome ich obecności.

- Przygotuj się, kolego. Usiądź na ziemi, abyś oddał pewny

strzał. Szybko. Za kilka sekund tu dotrą - szepnął Kermito-

170

wi - Będziesz miał tylko jedną szansę. Celuj w przewodnika. Mierz poniżej kłębu, w serce. Nie próbuj trafić w mózg.

Nagle prowadzący stado samiec dostrzegł postacie przykucnięte na tle nieba, stanął i niepewnie poruszył trąbą. Zawrócił i chciał popędzić w dół, lecz Manyoro i Loikot zaszli go od tyłu. Wrzeszczeli i machali rękami, próbując zagnać zwierzęta na czekających myśliwych.

Samiec ponownie się zawahał, kołyszając głową z boku na bok. Towarzysze naparli na niego od tyłu. Dwa Masajowie pędzili ku nim, wyjąc jak demony i machając shukami. Myśliwi przyczajeni na krawędzi zamarli bez ruchu, w całkowitym milczeniu. Przewodnik uznał ich za mniejsze zagrożenie. Wykonał kolejny zwrot i ruszył w górę zbocza, w stronę Leona i Kermita. Dwa inne pobiegły jego śladem.

Nadchodzą. Przygotuj się - rzekł cicho Leon.

Kermit usiadł na ziemi, opierając łokcie na kolanach. Nadal dyszał, choć tym razem z przerażenia. Leon zauważył, że lufa jego winchestera drży. Lękał się, że przyjaciel zechce popisać się celnością strzału, lecz chwila prawdy nadeszła. Wciągnął oddech i wysapał:

- Teraz, Kermit! Ognia!

Uniósł hollanda, gotów strzelić, gdyby Kermit spuścił broń, co wydawało się pewne. Winchester wypalił, podskakując w dłoniach Amerykanina. Leon spojrzął i opuścił broń. Kula trafiła samca nie w kłąb, lecz ucho. Zwierzę osunęło się na kolana, zabite w jednej chwili. Podskoczył, gdy winchester huknął ponownie. Drugi byk idący za przewodnikiem osunął się na ziemię bez życia, trafiony w mózg. Ciało zwierząt nabrały rozpędu, z hukiem tocząc się w dół, wywołując lawinę pyłu i kamieni, która omal nie zmiotła Manyoro i Loikota. Masajowie odskoczyli w ostatniej chwili, przepuszczając zsuwające się martwe cielska.

Trzeci samiec stał na otwartym zboczu poniżej szczytu, osaczony przez dwie grupki ludzi. Manyoro

zerwał się na nogi i zaczął biec ku niemu, krzycząc i machając szuką, podczas

171

gdy Leon i Kermit zagrodzili mu drogę ucieczki. Bestia zwróciła się ku nim i ruszyła do wściekłego ataku. Samiec odchylił uszy i zaczął biec, rycząc z wściekłości.

- Zastrzel go! - krzyknął Leon. - Zrób to po raz trzeci!

Powal go! - Uniósł hollanda, lecz zanim zdążył wystrzelić, winchester po raz kolejny zagrzemiał. Słoń znajdował się poniżej Kermita, lecz był zwrócony na wprost niego, więc punkt, w który mierzył, wydawał się znajdować nieco za wysoko.

Mimo to wycelował bezbłędnie i trafił. Ostatni samiec odrzucił trąbę i zginął tak szybko i bezboleśnie jak jego towarzysze.

Podobnie jak dwa pierwsze słonie zsunął się ze zbocza, za trzymując kilkaset stóp poniżej, na pniu jednego z większych drzew rosnących u podstawy wzgórza. Od pierwszego do ostatniego strzału upłynęły nie więcej niż dwie minuty. Leon ani razu nie pociągnął za spust.

Huk odbił się echem od wzgórz po drugiej stronie doliny i ucichł. Równinę ogarnęła wielka cisza. Zamilkł śpiew ptaków, ustało nawoływanie małp. Cała przyroda wstrzymała oddech, bacznie nastuchując.

W końcu Leon odezwał się szeptem:

- Kiedy mówię "celuj w głowę", ty mierzysz w tułów. Gdy mówię "w tułów", celujesz w głowę. Kiedy masz łatwy strzał, partaczysz. Kiedy musisz dokonać niemożliwego, trafiasz w dziesiątkę. Do diabła, co z tobą, Roosevelt? Nie wiem, po co ci jestem potrzebny.

Kermit nie zareagował. Siedział, wpatrując się w leżący na kolanach karabin. Po skamieniałej twarzy spływały strużki potu.

- Bóg mnie kocha - szepnął. - Nigdy tak dobrze nie strzelałem. - Uniósł głowę i spojrzał w dół na trzy ogromne cielska. Powoli podniósł się z ziemi i podszedł do najbliższego słonia. Zatrzymał się, z szacunkiem opierając dłoń na jednym z długich, lśniących ciosów. - Nie mogę uwierzyć w to, co się stało. "Potężny lek" sam wypalił. Czułem się tak, jakbym opuścił własne ciało i z odległości obserwował bieg wyda-

172

rzeń. - Uniósł winchestera do warg niczym kielich mszalny i ucałował niebieskawy metal zamka. - "Potężny leku", Lu-sima Mama naprawdę rzuciła na ciebie czar!

Musieli poczekać sześć dni, aby wyjąć ciosy z rozkładającego się ciała. Do tego czasu Manyoro sprowadził tragarzy z pobliskich wiosek Samburu, aby zanieśli je do głównego obozowiska nad rzeką Ewaso Ng'iro. W drodze powrotnej zeszli ze szlaku po ukrytą głowę nosorożca. Gdy zbliżali się do obozu, długi korowód tragarzy niósł imponujące myśliwskie trofea. Od rzeki dzieliło ich jeszcze kilka mil, kiedy dostrzegli małą grupkę jeźdźców pędzących od strony obozu.

- Założę się, że to mój ojczulek. Pewnie chce się dowiedzieć, co porabiałem - powiedział Kermit, uśmiechając się z nadzieją.

Stanęli, aby powitać zbliżających się jeźdźców. Leon wyciągnął lornetkę i przyjrzał się im uważnie.

— Słuchaj, to nie twój stary. - Przypatrywał się tamtym chwilę dłużej. - To ten reporter z kamerzystą. Skąd, u diabła, wiedział, gdzie nas szukać?

— Pewnie ma informatorów w obozie. Ci ludzie mają oczy

jak sępy - skomentował Kermit. - Niczego nie przegapią.

Tak czy owak trzeba z nimi pomówić.

Andrew Fagan podjechał ku nim, uchylając kapelusza.

- Dobry wieczór, panie Roosevelt! - zawołał. - Czy wasi ludzie niosą ciosy słońca? Nie wiedziałem, że są tak potężne. Wprost gigantyczne. Widzę, że miał pan niezwykle udane safari. Proszę przyjąć szczere gratulacje. Mogę przyjrzeć się z bliska pańskim trofeom?

Leon kazał tragarzom ułożyć ciosy na ziemi. Fagan zsiadł z konia, by je obejrzeć; po chwili wydawał okrzyki pełne zdumienia i zachwytu.

- Z przyjemnością wysłucham pana opowieści, panie

Roosevelt - powiedział. - Oczywiście, jeśli ma pan wolną

173

chwilę. Będę też niezmiernie wdzięczny obu panom, jeśli zgodzą się pozować do kilku fotografii. Moich czytelników z pewnością zafascynują pańskie przygody. Jak pan wie, sprzedaję moje artykuły do niemal wszystkich gazet cywilizowanego świata, od Moskwy po Manhattan. - Godzinę później Fagan i jego fotograf skończyli. Dziennikarz pospiesznie zapisał pół notatnika, a fotograf wykonał kilkadziesiąt zdjęć myśliwych i ich trofeów. Fagan chciał jak najprędzej zasiąść przy maszynie do pisania. Miał zamiar posłać umyślnego do urzędu telegraficznego w Nairobi z kopią reportażu i poleceniem, aby przesłano go pilnie do jego wydawcy w Nowym Jorku. Kiedy wymienili uścisk dłoni, Kermit spytał nieoczekiwanie:

— Miał pan okazję poznać mojego ojca?

— Nie, proszę pana - odparł Fagan. - Nie poznałem

prezydenta, choć należę do jego najbardziej oddanych zwolenników.

— Proszę przyjść jutro do głównego obozowiska - powie

dział Kermit. - Przedstawię pana.

Fagan osłupiał. Odjechał, nie przestając dziękować Kermitowi.

— Co ci przyszło do głowy, przyjacielu? - spytał Leon. -

Myślałem, że nienawidzisz przedstawicieli czwartej władzy.

— Masz rację, lecz wolę mieć w nich przyjaciół niż wrogów.

Pewnego dnia Fagan może mi się przydać. Teraz będzie moim dłużnikiem.

Dotarli do głównego obozu późnym popołudniem. Nikt ich nie oczekiwał. Prezydent był ogólnie dobrego zdrowia, toteż szybko doszedł do siebie po skutkach wydanego kilka dni temu obiadu z okazji Święta Dziękczynienia. Siedział teraz pod drzewem rosnącym nieopodal namiotu, czytając oprawny w skórę Klub Pickwicka Dickensa - jedną ze swoich ulubionych książek. Z niezadowoleniem powitał zgiełk wywołany przybyciem syna. Cały personel obozu, niemal tysiąc mężczyzn, pospieszył ze wszystkich stron, aby powitać myśliwych wracających z polowania. Otoczyli ich, wyciągając szyje, aby przyjrzeć się ciosom i głowie nosorożca.

174

Teddy Roosevelt odłożył książkę, poprawił okulary w stalowej oprawce, wstał z krzesła, wsunął koszulę w spodnie i ruszył, aby sprawdzić przyczynę tak wielkiego zamieszania. Tłum rozstał się z szacunkiem, pozwalając mu przejść. Kermit zeskoczył z siodła, by powitać ojca. Serdecznie uściśli sobie dłonie.

- Nie było cię prawie trzy tygodnie, chłopcze - rzekł prezydent, ujmując syna pod ramię. - Zacząłem się niepokoić.

Lepiej pokaż staruszkowi, co przywiozłeś. - Podeszedł do miejsca, w którym tragarze rozłożyli ładunek. Leon, który nadal siedział w siodle, był wystarczająco blisko prezydenta, aby widzieć jego twarz ponad głowami tłumu. Obserwował najdrobniejszy grymas Roosevelta i zmarszczkę.

Widział, jak łagodne, pełne wyższości zainteresowanie zmienia się w zdumienie towarzyszące liczeniu ciosów. Po chwili zdumienie ustąpiło miejsca konsternacji, gdy prezydent ujrzał wielkość trofeów. Puścił ramię Kermita i przeszedł wolno wzdłuż rozłożonej zdobyczy. Choć był zwrócony plecami do syna, Leon ujrzał, jak konsternacja przeradza się w zawiść i wściekłość. Zrozumiał, że Roosevelt musiał ostro rywalizować, aby sięgnąć po najwyższy urząd. Przywykł do tego, że przewyższa każdego we wszystkim, jest pierwszy i najważniejszy w każdym gronie. Teraz musiał pogodzić się z faktem, że jego dokonania zostały przyćmione myśliwskimi osiągnięciami syna.

Przystanął z rękami założonymi na plecach, zagryzając koniuszek wąsów i marszcząc czoło. Nagle jego oblicze się rozpozogodziło. Odwrócił się w stronę Kermita. Leon był pełen podziwu dla wielkiego opanowania prezydenta.

- Wspaniałe! - powiedział Roosevelt. - Te ciosy prze
wyższają wszystkie, które zdobyliśmy do tej pory i które
przypuszczalnie uda się nam zdobyć do końca wyprawy. -
Ponownie uściśnął dłoń Kermitowi. - Jestem z ciebie dumny,
naprawdę dumny. Ile strzałów musiałeś oddać, aby powalić te
kolosy?

175

- Lepiej spytaj o to mojego myśliwego, ojczu.
Nie wypuszczając ręki syna, prezydent spojrzął na Leona.
— Ile razy wystrzelił, panie Courtney? Dziesięć, dwadzieś
cia? A może więcej? Proszę, nich pan nam powie.
— Pański syn powalił trzy samce trzema kulami - odparł
Leon. - Oddał trzy doskonałe strzały w mózg.

Roosevelt zaniemówił, wpatrując się w Kermita, a następnie otoczył go muskularnymi ramionami i gwałtownie przycisnął do piersi.

- To niesamowite, Kermit. Nigdy nie byłem tak z ciebie
dumny.

Leon widział twarz Kermita ponad ramieniem prezydenta. Promieniała. Teraz to Leon zaczął doświadczać mieszanych uczuć. Z jednej strony radował się z przyjacielem, z drugiej poczuł rozgoryczenie. Czy ojciec wypowie kiedyś takie słowa pod moim adresem? - pomyślał. Nie, nigdy tego nie uczyni.

W końcu prezydent zwolnił uścisk i odsunął Kermita na odległość wyciągniętych ramion. Uszczęśliwiony spojrzął mu w oczy, przechylając głowę.

- Niech mnie szlag, jeśli nie spłodziłem czempiona -
powiedział. - Chcę, abys opowiedział mi o wszystkim podczas

kolacji. Nos podpowiada mi, że wcześniej przyda ci się kąpiel.

Idź i doprowadź się do porządku. - Później spojrzął na Leo

na. - Będę rad, jeśli się pan do nas przyłączy, panie Courtney.

Powiedzmy o siódmej trzydzieści.

Kiedy Leon golił brzytwą ciemny gęsty zarost, Izmael napełnił po brzegi balię z galwanizowanego żelaza gorącą wodą pachnącą dymem. Po kąpeli ciało Leona błyszczało zaróżowione. Izmael podał mu duży ręcznik, który przedtem ogrzał nad ogniem. Położył nieskazitelnie odprasowany strój khaki na łóżku, ustawiając na ziemi parę wysokich butów wypolerowanych na glanc.

Nieco później, uczesawszy i natarłszy pomadą włosy, Leon wyruszył do kantyny wielkością przypominającej namiot cyrkowy. Przybył pół godziny wcześniej, aby nie spóźnić się na

176

obiad wydany przez prezydenta. Kiedy mijał namiot Percy'ego Phillipsa, usłyszał znajomy głos:

- Leonie, mógłbyś zajść do mnie na minutkę?

Odsunął poję namiotu i ujrzał Percy'ego siedzącego ze

szklaneczką w ręku. Myśliwy wskazał mu puste krzesło naprzeciw siebie.

- Klapnij sobie. Prezydent zabrania podawania alkoholu.

Nie poczęstuje cię dziś wieczór niczym mocniejszym niż sok

żurawinowy. - Wykrzywił usta z lekkim niesmakiem. - Lepiej

dodaj sobie animuszu - rzekł, wskazując butelkę stojącą na

stoliku obok krzesła.

Leon nalał sobie na dwa palce słodowej whisky Bunnahabhain i dolał przegotowanej wody ochłodzonej w porowatych płóciennych workach. Skosztował.

— Prawdziwy eliksir! Mógłbym się uzależnić.

— Nie stać cię na to. Przynajmniej na razie. - Percy

wyciągnął szklankę. - Dolej mi, póki jeszcze tu jesteś. -

Kiedy szklanka była pełna, uniósł ją w stronę Leona. - Błoc

kiem po oczach! - zawołał.

— Naprzód, strzelcy! - odpowiedział Leon. Pociągnęli tyk, rozkoszując się wonnym trunkiem.

— Nawiasem mówiąc, czy pogratulowałem ci ostatnich wyczynów? - spytał Percy.

— Nie przypominam sobie.

— Niech mnie szlag, gotów bym przysiąc, że to zrobiłem.

Zestarzałem się. - Mrugnął oczami, które lśniły jasnym błękitem na pomarszczonej, spieczonej słońcem twarzy. - Dobrze, w takim razie posłuchaj, bo więcej tego nie powtórzę. Zasłużyłeś dzisiaj na ostrogi. Jestem z ciebie cholernie dumny.

— Dziękuję panu. - Leon był bardziej wzruszony, niż sądził.

— Daruj sobie tego "pana". Mów mi Percy.

— Dziękuję panu.

— Percy, mów mi po prostu "Percy".

— Dziękuję, po prostu Percy.

177

Popijali przez chwilę w miłej atmosferze.

— Za miesiąc skończę sześćdziesiąt pięć lat, podejrzewam, że wiesz o tym - zaczął stary myśliwy.

— Nie miałem pojęcia.

— Akurat! Pewnie myślałeś, że przekroczyłem dziewięćdziesiątkę. - Leon otworzył usta, aby grzecznie zaprotestować,

lecz Percy machnął ręką, by go uciszyć. - Pewnie nie jest to właściwa pora, by poruszać ten temat, lecz coraz bardziej słabnę.

Stare nogi nie są takie jak kiedyś. Dzisiaj każda przebyta mila zamienia się w pięć. Dwa dni temu nie trafiłem kozła tomi ze stu jardów. Potrzebuję pomocy. Myślałem, by wziąć współlnika.

Młodsze współlnika. Właściwie bardzo młodego.

Leon skinął głową z zaciekawieniem, pragnąc dowiedzieć się czegoś więcej.

Percy wyciągnął z kieszeni srebrny zegarek myśliwski i otworzył wygrawerowane wieczko. Przyjrzał się wskazówkom, zamknął, opróżnił szklanekę i wstał.

- Lepiej, by prezydent Stanów Zjednoczonych nie musiał czekać na nas z obiadem. Lubi zjeść. Szkoda, że nie ma podobnego sentymentu do wina. Mimo to nie wątpię, że zdolamy przetrwać.

W wielkim namiocie zebrało się dziesięć osób. Frederic Selous i Kermit zajęli honorowe miejsca po obu stronach prezydenta. Leon został posadzony po drugiej stronie stołu, na krześle najbardziej oddalonym od gospodarza. Teddy Roosevelt był urodzonym gawędziarzem. Miał barwny język i encyklopedyczną wiedzę, przenikliwy intelekt i zaraźliwy entuzjazm, co czyniło jego urok nieodpartym. Goście jak zakłęci podążali za nim od tematu do tematu - od polityki i religii do ornitologii i filozofii, od medycyny tropikalnej do antropologii. Leon zapomniał o steku z orykosa, pozwalając, by wystygł na talerzu, jak urzeczony słuchał oceny napiętej sytuacji w Europie. Penrod Ballantyne rozprawiał o tym, gdy siadywali przy ognisku podczas wypraw na dzikie świnie na trawiastych obszarach sawanny, więc Leon doskonale znał ten temat.

178

Nagle prezydent zwrócił się do niego.

- Co pan o tym sądzi, panie Courtney?

Leon poczuł przerażenie, widząc, że wszyscy patrzą na niego z oczekiwaniem. Początkowo miał ochotę uchylić się od odpowiedzi, powiadając, że nie jest tym zainteresowany i że nie czuje się na siłach wyrazić opinii, lecz natychmiast wziął się w garść.

- Proszę wybaczyć, że przedstawię sytuację z brytyjskiego

punktu widzenia. Uważam, że zagrożeniem są imperialne ambicje Niemiec i Austrii. Groźne są również mnożące się jak grzyby po deszczu dwustronne traktaty międzynarodowe zawierane przez różne europejskie kraje. Choć sojusze te są skomplikowane, wszystkie mają na celu zapewnienie obrony i wsparcia w razie wybuchu zbrojnego konfliktu z państwem trzecim. Może to wywołać efekt domina, jeśli słabsza strona stanie do konfrontacji ze swoim sąsiadem i będzie się domagała interwencji silniejszego sojusznika.

Roosevelt zamrugął. Nie spodziewał się tak rzeczowej odpowiedzi.

— Może pan podać jakieś przykłady - burknął.

— Uważamy, że Imperium Brytyjskie zdoła się ostać jedynie dzięki potężnej Marynarce Królewskiej. Cesarz Wilhelm Drugi nie kryje, że pragnie, aby flota niemiecka stała się największa na świecie. To dla nas poważne zagrożenie. Byliśmy zmuszeni zawrzeć traktaty z innymi europejskimi państwami, takimi jak Belgia, Francja i Serbia. Niemcy mają umowy z Austrią i Turcją, która jest krajem muzułmańskim. Kiedy w tysiąc dziewięćset piątym roku doszło do zatargu między Marokiem i Francją, która jest naszym nowym strategicznym partnerem, kryzys objął całą Afrykę Północną. Z powodu sojuszu zawartego z Turcją musiały interweniować Niemcy i wystąpiły przeciwko Francji. Francja jest naszym sojusznikiem, więc stanęliśmy w jej obronie. Efekt domina. Jedynie zręczne negocjacje dyplomatyczne i ogromne szczęście zapobiegły wybuchowi wojny.

Leon zauważył, że zebrani patrzą na niego z szacunkiem, co zachęciło go do kontynuowania.

179

- Sądzę, że świat znalazł się na krawędzi przepaści - rzekł, czyniąc przeproszający gest. - Jesteśmy trybikami ogromnej maszyny, wie pan o tym, panie prezydencie. Już niedługo wszyscy to sobie uświadomią.

Roosevelt skrzyżował ręce na piersi.

— Widzę, że masz głowę na karku, młodzieńcze. Wpadnij do nas jutro na obiad. Chciałbym poznać twoją opinię na temat konfliktów rasowych w Afryce. Teraz mamy ważniejsze sprawy. Syn lubi z panem polować. Powiedział mi, że planujecie kolejne wyprawy.

— Jestem rad, że Kermit nadal chce ze mną polować, panie prezydencie. To wspaniały kompan.

— Na co chcecie zapolować?

— Mój tropiciel odkrył leże ogromnego krokodyla. Czy taki okaz interesowałby Instytut Smithsona?

— Oczywiście, ale ustrzelenie go nie powinno wam zająć wiele czasu, jeśli wiecie, gdzie ma gniazdo. Co zamierzacie później?

— Kermit chce ruszyć na lwa.

— Zuchwały diabeł! - Roosevelt uderzył syna żartobliwie w ramię. - Nie wystarczy mu, że pokonał mnie w polowaniu na słonia i nosorożca, chce odnieść trzy zwycięstwa z rzę

du! - Zebrani zawtórowali mu śmiechem, a Teddy Roosevelt ciągnął: - Słuchaj, synu! Chcesz na to postawić dziesięć dolców? - Kiedy uścisnęli dłonie, by przypieczętować zakład, prezydent dodał: - Skoro mowa o polowaniu na lwy, mamy wśród nas najlepszego eksperta w tej dziedzinie. - Mówiąc to, zwrócił się do przystojnego siwobrodego mężczyzny siedzącego z drugiej strony. - Selous, mógłbyś nam udzielić kilku cennych rad w tej kwestii? Interesują mnie szczególnie sygnały ostrzegawcze, które lew przesyła myśliwemu przed rzuceniem się do ataku.

— Pułkowniku, mam wielki respekt i podziw dla lwów - odrzekł Selous, odkładając nóż i widelec. - Oprócz królewskiej postaci obdarzone są niezwykłą siłą. Lew potrafi przesadzić

180

sześciostopowe ogrodzenie z jałówką w pysku. Jego szczęki są tak potężne, że kruszą najgrubsze kości niczym miękką kredę. Jest szybki niczym śmierć. Kiedy rzuca się do ataku, mknie z prędkością czterdziestu mil na godzinę.

Przez niemal godzinę Selous opowiadał o lwach spokojnym autorytatywnym tonem, dopóki prezydent mu nie przerwał.

- Dziękuję. Chciałbym wyruszyć wcześniej rano, pozwolą panowie, że udam się spać.

Leon ruszył razem z Percym w kierunku namiotów.

- Zaimponowałeś mi swoją polityczną przenikliwością, Leonie, choć wyczuwam głos twojego wuja w tym, co nam dzisiaj powiedziałeś. Myślę, że także Teddy Roosevelt był pod wrażeniem. Udało ci się postawić pewnie obie stopy na drabinie

wiodącej do sukcesu. Oczywiście, dopóki jego syn nie zostanie pokąsany przez lwy. Pamiętaj o radach Frederica Selousa. To diabelnie niebezpieczne bestie. Kiedy lew kładzie uszy po sobie i unosi ogon, lepiej, abyś był gotowy do oddania strzału. -

Doszli do namiotu Percy'ego. - Dobranoc - rzekł myśliwy, unosząc połę, wchodząc do środka i pozwalając, by opadła.

Leon i Kermit leżeli obok siebie na brzegu rzeki, ukryci za cienką zasłoną trzcin, którą Manyoro i Loikot zbudowali poprzedniego popołudnia. Od świtu czekali na krokodyla, którego wytropił Manyoro. W trzcinie były małe otwory, przez które obserwowali sadzawkę zieloną od glonów. Od przeciwległego brzegu dzieliło ich dwieście jardów. Brzeg porastał gęsty las wysokich mahoniowców, których gałęzie oplatały wijące się niczym serpentyna liany i zwisające gniazda jasnożółtych wik-laczy. Samce wisały do góry nogami pod gniazdami, które zbudowały. Poruszały skrzydełkami i świergotały z podnieceniem, by zwabić samiczkę i skłonić ją, żeby zamieszkała w wybudowanym domku. Obserwowanie groteskowych zachowań ptaków bawiło Leona, choć Kermit zaczął się niecierpliwie wiercić.

181

Manyoro ukrył się na szczycie wysokiego brzegu, nad szlakiem zwierzyny biegnącym przez trzciną do wodopoju. Wokół sadzawki było kilka miejsc stwarzających łatwy dostęp do wody. Myśliwi zaczęli się w kryjówce jeszcze w nocy. O świcie Manyoro pokazał Leonowi miejsce, w którym krokodyl ukrył się nad brzegiem rzeki, zagrzebując się w warstwie miękkiego mułu. Wił się i tarzał, aż zamienił muł w maź przypominającą owsiankę, a następnie zastygł nieruchomo, pozwalając, by grząski osad pokrył łeb i grzbiet. Zdradzał go tylko regularny, przypominający gęstą siatkę wzór na mule oblepiającym pokryty łuską grzbiet. Leon z trudem dostrzegł kształt jego głowy i dwie wypukłości czaszki, w których znajdowały się ślepia.

On i Manyoro potrzebowali dużo czasu, aby pokazać Kermitowi niewyraźny kształt wielkiego cielska. Kiedy w końcu go spostrzegł, z typową dla siebie porywcznością postanowił strzelić w niewyraźny zarys łba. Na szczęście Leon zdołał go przekonać, że nawet kula z winchestera pobłogosławionego przez Lusimę nie zdoła uczynić krzywdy krokodylowi zanurzonemu na trzy stopy w wodzie.

Dochodziło południe. W skwarze dnia do wodopoju przyszło stado zebra i antylop. Wybrały inne miejsce, z daleka od przyczajonego w mule krokodyla. Kermit z każdą minutą coraz bardziej się niecierpliwił. Leon pomyślał, że za chwilę się zbuntuje i zacznie strzelać.

Szczęście mu jednak sprzyjało. Z lewej strony zauważył ruch. Dotknął ramienia Kermita i wskazał brodą małą grupkę zebra Grevy'ego wynurzających się lasu i schodzących niepewnie szlakiem do wodopoju. Kermit zadrżał niespokojnie.

- Może w końcu coś się wydarzy - mruknął, dotykając łóża "potężnego leku".

Zebry Grevy'ego to najwięksi przedstawiciele rodziny konio-watych, rozmiarami przewyższają nawet perszerona. Nie bez powodu nazywano je cesarskimi. Ogier prowadzący stado miał pięć stóp w kłębie i ważył zapewne około tysiąca funtów. Gromadka poruszała się z największą ostrożnością, jak wszyst-

182

kie zwierzęta padające łupem drapieżników, świadome, że te tnogą się czaić w pobliżu. Zebry zrobiły kilka kroków i przystanęły, wypatrując oznak niebezpieczeństwa, a następnie posunęły się kawałek dalej.

Kermit z rosnącym podnieceniem obserwował, jak się zbliżają. "Potężny lek" leżał przed nim gotowy do strzału, dla stabilności oparty na sakwie. W końcu prowadzący stado ogier wkroczył ostrożnie na ścieżkę przetartą kopytami tysięcy spragnionych zwierząt, które były tu przed nim, i zszedł na brzeg. Stanął nad wodą i ponownie zlustrował okolicę. W końcu podjął brzemiennej w skutki decyzję: opuścił głowę i zanurzył w wodzie aksamitny czarny pysk. Kiedy zaczął pić, podążyła za nim reszta stada, przepychając się, by jak najszybciej dotrzeć do wody.

Właśnie na tę chwilę tak cierpliwie czekał krokodyl. Odepchnął się ogonem i wystrzelił z mułu, wzbijając obłok kropel. Mężczyźni ukryci na brzegu cofnęli się instynktownie, zaszokowani rozmiarami ogromnego gada oraz szybkością i gwałtownością ataku.

- Dobry Boże, musi mieć ze dwadzieścia stóp długości! - wykrztusił Kermit.

Ogier był ciężki, lecz przyczajona bestia ważyła cztery lub pięć razy więcej. Mimo tej różnicy kopyta zebra stały na twardym gruncie, a właśnie w nogach tkwiła cała siła tego zwierzęcia. Z kolei łapy krokodyla są małe, wygięte i słabe. Jego głównym atutem jest ogon. W zabawie polegającej na przeciąganiu liny zebra miałyby nad krokodylem przewagę. Gad musiał wciągnąć ogiera na głębszą wodę, gdzie kopyta nie znalazłyby oparcia. Tam zyskałby ogromną przewagę właśnie dzięki swojemu ogonowi.

Gad nie próbował chwycić ogiera szczękami i wciągnąć do wody, lecz zamachnął się łbem niczym maczugą. Uderzenie było tak szybkie, że ledwie zdążyli je zarejestrować. Przerazający, pokryty grubą skórą łeb grzmotnął zebrowi w bok głowy, krusząc kości i ją ogłuszając. Ogier przewrócił się na bok

183

i wpadł do wody, konwulsyjnie wierzgając. Szarpał głową z boku na bok, pogrążając się w topieli.

Krokodyl skoczył do przodu, chwytając go szczękami i wciągając na głębinę. Zaczął wirować wokół własnej osi, tak że woda się wzburzyła, i ukreślił ogierowi łeb. Zdezorientowana ofiara szybko się topiła. Gad obracał się, dopóki pasiaste ciało zebry nie zastygło bez życia, a następnie zwolnił uścisk i odpłynął.

Zamarł na powierzchni, w odległości dwudziestu jardów od brzegu, obserwując, czy zebra daje jakieś oznaki życia. Niemal całe jej ciało było zanurzone. Z wody wystawała jedynie tylna noga, która sterczała ku niebu. Krokodyl był teraz zwrócony bokiem do myśliwych, nad powierzchnię wystawały jedynie wierzchołek grzbietu i górna połowa głowy. Pysk wydawał się jeszcze bardziej przerażający, wykrzywiony w nieruchomym, sardonicznym uśmiechu.

Kermit leżał na brzuchu, przyciskając do ramienia kolbę winchestera opartego na sakwie i nie odrywając policzka od łoża karabinu. Zamknął lewe oko, mrużąc prawe za celownikiem.

— Celuj w kącik uśmiechu - szepnął Leon, pochylając się

ku niemu. - Tuż nad powierzchnią wody, poniżej ślepie. -

Winchester wypalił, zanim Leon zdążył zamknąć usta. Dostrzegł

przez lornetkę słaby plusk kuli, która przeszła powierzchnię

wody tuż pod małym, okrutnym ślepiem, aby utkwąć w łbie

zwierzęcia.

— Doskonale! - krzyknął Leon, skacząc na równe nogi.

— Piga! - zaintonował Manyoro. - Trafił go!

— Ngwenya kufa! Krokodyl nie żyje! - Loikot zaniósł się

śmiechem, skacząc i wykonując dziki taniec. Krokodyl wynu

rzył się, konwulsyjnie uderzając o powierzchnię wody. Kłapnął

paszczą, a następnie skoczył ponownie, runął w dół z donośnym

pluskiem i zakreślił wokół własnej osi, wzbudzając ogonem

duże fale, które uderzały o brzeg.

— Ngwenya kufa! - zawołali stojący na brzegu mężczyźni,

gdy śmiertelne drgawki krokodyla się nasiliły.

Nagle ogromne cielsko zamarło. Ogon wygiął się i zeszywniał. Krokodyl przez chwilę leżał nieruchomo na powierzchni, a następnie zaczął tonąć, znikając w zielonkawej toni.

— Stracimy go! - zawołał niespokojnie Kermit, ściągnając buty.

— Co ty wyprawiasz? - chwycił go Leon.

— Wyciągnę gada.

Szarpał się, lecz Leon zatrzymał go bez trudu.

— Posłuchaj, idioto, w wodzie może czekać babcia tego kolegi.

— Stracimy krokodyla! Muszę go wyciągnąć!

— Nie rób tego! Manyoro i Loikot zaczekają tu do jutra, aż jego cielsko napęcznieje od gazu i wypłynie na powierzchnię.

Wtedy wrócimy i wyciągniemy go linami.

Kermit nieco się uspokoił.

— Popłynię w dół strumienia.

— Rzeka wyschła. To sadzawka bez ujścia. Twój krokodyl nie ucieknie.

Późnym popołudniem siedzieli pod połą namiotu Leona, popijając herbatę i bez końca wspominając szczegóły polowania, kiedy od obozu doleciały gwar i szmer podniecenia zapowiadające powrót prezydenta.

- Chodźmy! - powiedział Kermit, wstając z miejsca. -

Zobaczymy, co upolował mój staruszek. - Ruszył przed siebie,

aby po chwili zawrócić. - Ani słowa o krokodylu. Nie uwierzy,

dopóki go nie zobaczy.

Teddy Roosevelt wjechał do obozu. Podeszli, aby go powitać, gdy zsiadł z konia i podał lejce stajennemu. Uśmiechnął się na widok Kermita, a w jego źrenicach ukrytych za szklami okularów mignął błysk triumfu.

— Witaj, ojcze! - zawołał Kermit. - Miałeś dobry dzień?

— Całkiem niezły. Upolowałem lwa.

Kermit zmarkotniał.

185

— Lwa?

— Tak. - Prezydent skinął głową, nie przestając się uśmiechać. Wskazał kciukiem za siebie. Kermit dostrzegł tragarzy wśród drzew. Nieśli brązowe cielsko zwisające z tyczek, które oparli na ramionach. Złożyli ciężar obok namiotu wypychacza zwierząt. Po chwili wyszli z niego trzej badacze z Instytutu Smithsoniana, aby obejrzeć zdobycz. Rozcięli powrozy, którymi przywiązano potężne łapy do tyczek i rozłożyli lwa na ziemi, aby go sfotografować i wykonać pomiary.

Kermit uśmiechnął się z ulgą. Nawet on, który nie znał się na lwach, wiedział, że była to młoda samica.

— Słuchaj, tato! - zachichotał, zwracając się do ojca. -

Jeśli nazywasz to lwem, ja mogę się tytułować prezydentem Stanów Zjednoczonych. Ta lwica to jeszcze dziecko.

— Masz rację, synu - przytaknął ociec, uśmiechając się przebiegle. - Biedna mała. Musiałem ją zastrzelić. Nie pozwoliłaby nam podejść do ciała swojego partnera. Zażarcie go broniła. Będzie ją można wystawić jako członka stada w gablocie ekspozycji afrykańskiej muzeum. Co o tym sądzisz? - spytał George'a Lemmona, szefa grupy badawczej.

— Będzie to dla nas zaszczyt, panie prezydencie. Wspaniały okaz. Ma piękną skórę, nie miała jeszcze młodych, a zęby są

w doskonałym stanie.

Prezydent spojrział przez ramię i rzucił z zadowoleniem:

— No, wreszcie przynieśli samca. - Z lasu wyłoniła się kolejna grupa tragarzy, uginając się pod ciężarem ogromnego cielska.

— Boże jedyny! Cóż za wspaniały okaz! - Frederic Selous wyszedł z namiotu w koszuli z podwiniętymi rękawami, niosąc szkicownik. - Trzeba dopilnować, by ostrożnie się z nim obchodzili. Na nic się zda uszkodzona lub otarta skóra.

Ciało lwa poruszało się w rytm kroków tragarzy, którzy opuścili je ostrożnie na ziemię obok lwicy. Sammy Edwards, szef zespołu wypychaczy, rozciągnął je delikatnie na ziemi i zmierzył taśmą od czubka czarnego jak onyks nosa po czarny pędzel na końcu ogona.

186

- Dziewięć stóp jeden cal - oznajmił, podnosząc głowę i spoglądając na prezydenta. - To największa sztuka, jaką widziałem.

Po obiedzie Kermit zajrzał do namiotu Leona. Przyniósł ze sobą srebrną piersiówkę Jacka Daniela. Przykręcili lampę, usiedli na płóciennych krzesłach pod moskitierą i zaczęli się naradzać przyciszonym głosem.

- Andrew Fagan był gościem honorowym tego wieczoru - oznajmił Kermit. Odpowiadając na zaproszenie Kermita, Fagan przybył po południu do obozu. - Ojciec go polubił.

Staruszek łaknie nowych słuchaczy.

Po chwili milczenia kontynuował:

- Nie mam mu tego za złe. Jak każdy z nas, cieszy się ze zdobytych trofeów. Radzi sobie, jakby był o połowę młodszy.

Nie byłś na obiedzie, dlatego powiem, że przesadził z oceną

swojego wyczynu. Nie przechwalał się ani nie triumfował, lecz niewiele brakowało. Nie muszę chyba dodawać, że Fagan wziął to za dobrą monetę.

Leon wpatrywał się w bursztynowy płyn mieniący się w szklance, pomrukując na znak zgody.

— Wiem, że to wspaniały lew, naprawdę piękny okaz. Z drugiej strony to niemożliwe, by nikt nie upolował większego, nie sądzisz? - spytał niecierpliwie Kermit.

— Masz rację. To ogromny lew, lecz jego grzywa była raczej kusa. Nie większa od boa ze strusich piór - przytaknął Leon.

Kermit wybuchnął śmiechem, lecz natychmiast się opanował, zasłaniając usta dłonią, chociaż znajdowali się w odległości stu jardów od prezydenckiego namiotu. - Wielki człowiek życzył sobie, by po zapaleniu świateł w obozie panowała absolutna cisza.

— Boa ze strusich piór - powtórzył z rozbawieniem Kermit, by po chwili dodać kobiecym falsetem: - Pójdziemy na balet, kochanie? - Przez chwilę chichotali, a następnie pociągnęli tyk jacka danielsa.

187

— Czasami nienawidzę ojca - powiedział Kermit. - Czy to oznacza, że jestem zły?

— Nie, oznacza, że jesteś człowiekiem.

— Powiedz mi szczerze, Leonie, co sądzisz o tym lwie?

— Możemy upolować większego.

— Naprawdę? Naprawdę tak uważasz?

— Lew twojego ojca nie ma ciemnej sierści na swoim boa.

Ani jednego pasemka. - Na wspomnienie boa Kermit zaśmiał się ponownie. Jack Daniels rozgrzał go od wewnątrz i poprawił mu nastrój.

Kiedy opanował rozbawienie, Leon powtórzył:

— Możemy upolować większego. Wytropić większe zwierzę o czarnym futrze. Manyoro i Loikot są Masajami. Z wielkimi kotami łączy ich wyjątkowa więź pokrewieństwa. Powiedzieli, że zdołamy upolować większego, a ja im wierzę.

— Jak się do tego zabierzemy? - spytał Kermit, wpatrując się poważnie w jego oczy.

— Utworzymy lotną brygadę i wyruszymy przed główną grupą poza ziemie Masajów, gdzie od tysiąca lat nie polowali morani. Będziemy się posuwać znacznie szybciej od głównej kolumny, którą spowalniają tragarze. Wystarczy kilka dni, abyśmy wyprzedzili ich o co najmniej sto mil. Wiesz, kiedy prezydent ma zamiar wyruszyć na północ?

— Ojciec oznajmił przy obiedzie, że planuje zostać tu jeszcze jakiś czas. Kilka dni temu miejscowi przewodnicy zaprowadzili jego i Selousa na duże mokradła rozciągające się około dwudziestu mil na wschód stąd. W okolicy pan Selous wytropił ślady samca sitatungi, były jednak większe od pozostawionych przez okaz, który spotkał w tysiąc osiemset osiemdziesiątym pierwszym roku w delcie rzeki Okavango. Nazwano ją Limnotragus selousi od jego nazwiska. Przekonał ojca, że może to

być nieznaną podgatunek. Okazja odkrycia nowego gatunku nieznanego nauce to dla ojca nieodparta pokusa. Marzy o tym, aby nadano mu nazwę *Limnotragus roosevelti*. Poświęciłby pierworodnego, by dopiąć celu. - Uśmiechnął się. - Oczywiście-

188

cie, ten pierworodny to ja! Myślę, że zostanie tu, dopóki nie znajdzie tego kozła lub upewni się, że nie istnieje.

— Potrafię go zrozumieć. Co wiesz o sitatungach?

— Niewiele - odparł Kermit.

— To fascynujące stworzenie, bardzo rzadkie i nieuchwytnie.

Jedyna wodna antylopa na świecie. Ma długie kopyta, które rozplaszczają się na ziemi. Z trudem chodzi, lecz w głębokim mule i wodzie jest zwinna niczym sum. Kiedy coś ją przestraszy, zanurza się w wodzie i może całymi godzinami pozostawać ukryta, wysuwając jedynie czubek nozdrzy ponad powierzchnię.

— Chciałbym taką upolować - rozmarzył się Kermit.

— Nie możemy mieć wszystkiego, kolego. Wybieraj, lew albo sitatunga. - Leon nie czekał na odpowiedź. - Plany prezydenta są nam na rękę. Zostawimy ich i wyjedziemy pojutrze. Myślisz, że w tej flasce została jeszcze kropelka?

Nie wolno jej zmarnować, prawda?

!

Kolejny dzień upłynął na pospiesznym kompletowaniu ludzi i sprzętu lotnej brygady. Wybrali sześć

kuców i trzy juczne muły. Następnie, rozradowani niczym uczniacy uciekający spod kurateli dyrektora, wyruszyli na pomoc.

Późnym popołudniem trzeciego dnia, gdy jechali brzegiem małej rzeki, usłyszeli wołanie tropicieli idących sto jardów przed nimi. Masajowie żywo gestykulowali, pokazując szybko poruszający się koci kształt, który wypadł z zarośli i pędził przez płaski obszar zalewowy w stronę gęstego lasu.

— Co to takiego? - spytał Kermit, stając w strzemionach i osłaniając oczy kapeluszem.

— Lampart - wyjaśnił Leon. - Wielki.

— Nie ma cętek - zdziwił się Kermit.

— Nie widać z daleka.

— Mogę za nim ruszyć?

— Huk wystrzału nie przestraszy żadnego wielkiego kota - zapewnił go Leon. - Inaczej jest ze słoniami. Lwy

189

odznaczają się kocią ciekawością. Kilka strzałów może je nawet zwabić. - Kermit nie potrzebował większej zachęty. Z dzikim kowbojskim okrzykiem nasunął kapelusz na głowę i ruszył w szaleńczym galopie, wyciągając sztucer z futerału i wymachując nim nad głową.

— Ludzie, to znowu my! - zaśmiał się Leon. - Kolejny niespodziewany, starannie zaplanowany atak Pana Szybkiej Kuli. - Spiął konia do galopu i ruszył za przyjacielem. -

Lampart zauważył ruch i stanął, a następnie przysiadł. Obejrzał się za siebie ze zdumieniem, by po chwili zrozumieć, w jakim niebezpieczeństwie się znalazł. Zerwał się błyskawicznie i po pędził przed siebie, wyciągając się coraz bardziej z każdym skokiem, długi, kształtny i pełen gracji.

— Juchu! Za nim! - zawył Kermit. Nawet Leon uległ

podnieceni towarzyszącemu gonitwie na oślep.

— Hola! Z drogi! - wydał dawny okrzyk towarzyszący polowaniu na lisy i przywarł do karku kuca, zmuszając go do galopu i trzymając lejce oburącz. Pęd wiatru smagającego twarz upajał. Zapominając o wszystkim, zaczęli szaleńczy pościg.

Widząc, że koń Leona jest tuż za nim, Kermit uderzył wierzchowca po karku kapeluszem, spinając go do jeszcze szybszego biegu.

- Szybciej! - przynaglił. - Szybciej, maleńka! Nie daj się wyprzedzić! - W tej samej chwili koń wpadł w jamę surykatek. Prawe przednie kopyto wydało odgłos przypominający smagnięcie batem i zapadło się niczym rażone pociskiem. Kermit wyleciał z siodła i uderzył o ziemię barkiem i prawą częścią twarzy. Karabin wypadł mu z ręki i potoczył się jak piłka pod kopyta konia. Leon ściągnął wodze, w ostatniej chwili unikając stratowania przyjaciela. Kuc odpowiedział na ściągnięcie wodzy, uderzenie pejcza i ostrogi, gwałtownie odrzucając głowę. Zawrócili do leżącego na ziemi jeźdźca. Koń Kermita podniósł się, lecz jego przednia noga była złamana ponad pęcina. Kopyto zwisało bezwładnie. Kermit leżał nieruchomo, rozciągnięty na twardej ziemi.

190

Zabił się! Dobry Boże! Co powiem prezydentowi? - zamartwiał się Leon, wyjmując buty ze strzemion. Przerzucił prawą nogę nad karkiem zwierzęcia i zeskoczył na ziemię. Podbiegł do Kermita, lecz gdy się nad nim pochylał, przyjaciel podniósł się z półprzytomnym wyrazem oczu. Lewa część twarzy była otarta, a uszkodzony łuk brwiowy zwisał luźno nad okiem zasypanym piaskiem.

- Cholerny błąd! - wymamrotał, plując krwią i pyłem. -

Wielki błąd!

Leon roześmiał się z ulgą.

- Chcesz powiedzieć, że nie zrobiłeś tego celowo? Myślałem, że zamierzasz mi zaimponować.

Kermit przesunął językiem po zębach.

— Wszystkie całe - oznajmił takim głosem, jakby miał rozszczęp podniebienia.

— Dobrze, że nie zrobiłeś sobie krzywdy. - Leon uklęknął obok, ujmując głowę przyjaciela w dłonie i odwracając z boku na bok, aby zbadać oczy. - Postaraj się nie mrugać, bo piach podrapie ci gałkę oczną.

— Łatwo ci mówić. Może mam jeszcze nie oddychać?

Czekam na kolejne głupie polecenie!

Po chwili zjawił się Izmael na swoim mule i podał Leonowi bukłak z wodą.

- Przytrzymaj mu powiekę, Izmaelu - polecił, a następnie zmył piasek z oka. Podał bukłak Kermitowi. - Oplucz usta i twarz. - Dwaj Masajowie przykucnęli w niewielkiej odległości, przypatrując się im uważnie i prowadząc ożywioną rozmowę. - Przestańcie się gapić, hieny. Lepiej rozstawcie mały namiot i rozłóżcie pled dla Popoo Hima. Trzeba go ułożyć w cieniu.

Kiedy pomagali Kermitowi przejść do namiotu, Leon wyciągnął wielkiego hollanda z kabury przy siodle i zastrzelił okulawionego konia. Zrobił to w sposób chłodny, wręcz kliniczny, chociaż bardzo kochał konie i ten akt miłosierdzia sprawił mu ogromny ból.

— Zdejmij siodło i uprzęż z tego nieszczęsnego stworzenia - poprosił Manyoro, wysuwając pustą mosiężną łuskę i wkładając broń na miejsce. Podeszedł do małego namiotu i stanął u wejścia.

— Gdzie "potężny lek"? - spytał Kermit, próbując się podnieść.

Leon przytrzymał go ręką.

- Poślę Manyoro, aby go znalazł. Manyoro! Przynieś bunduki naszego bwanal - krzyknął. Następnie umieścił palec przed oczyma Kermita. - Obserwuj go - rzekł, wolno przesuwając dłoń z boku na bok. - Dzięki Bogu! - odetchnął z ulgą. - Mimo najszerszych chęci nie udało ci się do prowadzić do wstrząsu mózgu. Zobaczmy miejsce, w którym twoja lewa brew była przytwierdzona do twarzy. - Uważnie obejrzał uszkodzenie. - Trzeba założyć kilka szwów.

Kermit spojrzał na niego z przerażeniem.

— Znasz się na tym?

— Założyłem mnóstwo szwów koniom i psom.

— Nie zaliczam się do jednych ani drugich.

U wejścia do namiotu stanął Manyoro z ponurym wyrazem twarzy. W każdej dłoni trzymał części winchestera.

- Rozleciał się w kawałki - rzekł w języku suahili.

Kermit wyrwał mu karabin.

— Niech to szlag! -jęknął. Kolba pękła poniżej uchwytu, odłamał się też przyrząd celowniczy. Było oczywiste, że karabin nie nadaje się do użytku. Kermit skulił się jak małe dziecko

ko. - Co teraz zrobię? - Spojrzał żałośnie na Leona. -

Zdołasz go naprawić?

— Tak, po powrocie do obozu, gdy będę miał pod ręką narzędzia. Trzeba będzie związać kolbę zieloną skórą z ucha słonia. Kiedy wyschnie, będzie twarda jak stal, lepsza od nowej.

— A celownik?

— Jeśli nie znajdziemy oryginalnego, dorobię go z kawałka metalu i przylutuję.

— Ile czasu to zajmie?

192

- Tydzień lub dwa. - Widząc zmartwienie na twarzy Kermita, postanowił zabawić się dłużej jego kosztem. - No, może trochę krócej. Wszystko zależy od tego, jak szybko uda się nam znaleźć świeżą skórę i jak długo będzie schła. Teraz się nie ruszaj, będę cię zszywał.

Kermit wpadł w takie przygnębienie, że mężnie zniósł prymitywny zabieg przeprowadzony przez Leona. Ten najpierw przemył ranę rozcieńczonym roztworem jodyny, a następnie chwycił igłę i nici. Chociaż operacja była tak bolesna, że nawet najsilniejszego zmusiłaby do płaczu, Kermit wydawał się bardziej przejęty zepsutym "potężnym lekiem" niż własnym cierpieniem.

— Z czego będę polował do tego czasu? - biadolił, kurczowo ściskając karabin.

— Na szczęście zabrałem mojego starego wojskowego enfielda - odparł Leon, zszywając igłą fałdy skóry.

Kermit wykrzywił się z bólu, lecz nie dał się odwieść od tematu.

— To karabin dla dzieciuchów - rzekł wyraźnie urażony.
- Można z niego polować na tomi, impale i ludzi, lecz ma zbyt mały kaliber na lwa!

— Jeśli podejdziesz odpowiednio blisko i wpakujesz kulę w odpowiednie miejsce, wystarczy.

— Odpowiednio blisko? Wiem, co przez to rozumiesz!

Chcesz, abym przytknął mu lufę do cholernego ucha!

— Właśnie! Oczywiście, możesz ruszyć w szaleńczą pogoń i wypalić z odległości pół mili, lecz nie sądzę, aby przyniosło to pożądaną efekt.

Kermit zastanowił się chwilę, nie był jednak przesadnie uszczęśliwiony pomysłem przyjaciela.

— Może byś mi pożyczył swojego wielkiego starego hol-landa?

— Kocham cię jak brata, lecz wolałbym pożyczyć ci na noc młodszą siostrę.

— Masz młodszą siostrę? - spytał Kermit z nagłym ożywieniem. - Ładna z niej dziewczyna?

193

— Nie mam siostry - skłamał Leon, pragnąc uchronić rodzeństwo przed zainteresowaniem Kermita. - I nie pożyczę ci sztucera.

— W takim razie nie chcę twojego żalosego enfielda.

- W porządku, poproszę Manyoro, aby pożyczył ci dzidę.

Manyoro uśmiechnął się, słysząc dźwięk swojego imienia.

Kermit potrząsnął głową, wypowiadając wszystkie słowa w języku suahili, które znał:

— Mazuri sana, Manyoro. Hakuna matatu! W porządku, Manyoro. Nie martw się. - Masaj spojrział na niego z rozczarowaniem, a Kermit odwrócił się do Leona.

— W porządku, koleś. Spróbuję postrzelać z twojego karabinka.

Rano oko Kermita było opuchnięte i zamknięte, a tors pokrywało kilka imponujących siniaków. Na szczęście Amerykanin zranił się w okolicach lewego oka, więc nadal mógł celować. Leon zrobił nacięcie na korze akacji i cofnął się na sześćdziesiąt kroków.

— Z tej odległości znosiś cały cel w górę. Celuj poniżej punktu, w który chcesz trafić - rzekł, podając mu enfielda. Kermit oddał dwa strzały. Kule utkwiły w pniu po obu stronach celu.

— Nieźle jak na początek! - zawołał Kermit, nie kryjąc zadowolenia. Jego humor wyraźnie się poprawił.

— Cholernie dobry strzał nawet jak na takiego wyborowego strzelca jak Popoo Hima - przytaknął Leon. - Zapamiętaj moją radę: nie strzelaj do niczego, co znajduje się za linią horyzontu.

Kermit nie odwzajemnił uprzejmości.

- Chodźmy poszukać lwa - powiedział.

Tej nocy rozbili obóz obok małej sadzawki, w której pozostała woda po ostatniej porze deszczowej. Rozłożyli plecy zaraz po skończeniu wieczery i zasnęli po kilku minutach.

Leon obudził Kermita w środku nocy.

194

— Co się dzieje? Która godzina? - spytał zaspanym głosem.

— Nie przejmuj się godziną. Postuchaj - szepnął Leon.

Kermit rozejrzał się wokół i stwierdził, że dwaj Masajowie

oraz Izmael siedzą przy ognisku. Dorzucali drewno do ognia, a jasne płomienie migotały w ciemności. Ich twarze były napięte i skupione. Nasłuchiwali. Milczenie trwało wiele minut.

- Na co czekają? - zapytał Kermit.

— Cierpliwości. Słuchaj - zganiał go Leon. Nagle w mroku

rozległ się potężny basowy ryk. Unosił się i opadał jak fale

miotane huraganowym wiatrem. Poczuli, że dostają gęsiej skórki

na rękach i szyi. Kermit odrzucił pled i skoczył na równe nogi.

Ryk przycichł, przechodząc w łkające porykiwanie. Cisza, która

zapadła, udzieliła się wszystkim ludziom i zwierzętom.

— Do diabła, co to było? - wykrztusił Kermit.

— Lew. Ogromny dominujący samiec ogłaszający swoje

panowanie - wyjaśnił mu cicho Leon. Manyoro dodał coś

w języku maa, a Loikot zachichotał.

— Co powiedział? - spytał Amerykanin.

— Powiedział, że nawet najdzielniejszy z ludzi dwa razy

w życiu boi się lwa. Pierwszy raz, gdy usłyszy jego ryk, i drugi,

gdy ostatni raz stanie z bestią oko w oko.

— Co do pierwszego, ma słuszność - przytaknął Ker

mit. - To niezwykle dźwięk. Skąd wiesz, że to ogromny

samiec, a nie lwica?

— Po czym odróżniasz Enrica Carusa od damę Nellie

Melby?

— Chodźmy go upolować.

— Znakomity plan, kolego. Ja będę trzymał świeczkę, a ty

oddasz strzał. Łatwa sprawa.

— Co proponujesz?

— Jeśli o mnie chodzi, zamierzam nakryć się kocem i zdrzemnąć odrobinę. Powinieneś zrobić to samo. Czekają nas ciężkie dzień. - Ponownie wyciągnęli się przy ognisku, lecz nie zdążyli zmrużyć oka, gdy nocną ciszę przerwał kolejny gromki ryk.

195

— Posłuchaj go! - szepnął Kermit. - Sukinkot zaprasza nas do zabawy. Jak mogę spać w takim hałasie? - Kiedy porykiwania ucichły, rozległ się inny dźwięk przypominający dalekie echo pierwszego, odległy i stłumiony. Podnieśli się, a Masajowie wydali okrzyk.

— Do diaska, co to było? - zapytał Kermit. - Ryk innego lwa?

— Tak jest - przytaknął Leon.

— Czy to brat tego pierwszego?

— Z pewnością nie. To jego rywal i śmiertelny wróg. - Kermit szykował się do zadania kolejnego pytania, lecz Leon go uciszył. - Pozwól, że zamienię słówko z Masajami. - Zaczęli z ożywieniem rozmawiać w języku maa. W końcu Leon wrócił do Kermita. - Posłuchaj, wyjaśnię ci, co tu się dzieje. Pierwszy lew to starszy dominujący samiec. Jesteśmy na jego terytorium. Przypuszczalnie jest z nim duży harem

samic i młodych. Starzeje się i jego siły słabną. Ten drugi jest młody i silny, w kwiecie wieku, gotów rzucić wyzwanie staremu, aby przejąć jego terytorium i harem. Przekroczył granicę i zbiera się na odwagę, aby stanąć do walki na śmierć i życie.

Stary próbował go przestraszyć.

— Manyoro potrafił tyle wyczytać z kilku ryków?

— Manyoro i Loikot świetnie znają lwi język - wyjaśnił

Leon z poważnym wyrazem twarzy.

— Tej nocy uwierzę we wszystko, co powiesz. Mamy zatem nie jednego, lecz dwa potężne lwy?

— Tak, na dodatek nie odejdą w najbliższym czasie. Stary nie zostawi otwartych drzwi, a młodziak poczuł zapach jego pań. Żaden nie odejdzie.

Po tych słowach nie było mowy, aby ktokolwiek zasnął. Siedzieli przy ognisku, planując polowanie z Masajami i popijając doskonałą kawę Izmaela, dopóki pierwsze promienie słońca nie ozłociły czubków drzew. Zjedli śniadanie złożone ze słynnych omletów Izmaela przyrządzonych ze strusiego jaja, zagryzając je równie słynnymi babeczkami prosto z garnka.

196

Jedno strusie jajo odpowiada dwunastu kurzym, lecz wyjedli wszystko do czysta. Kiedy wycierali resztki tłuszczu z patelni kawałkami babeczek, Izmael i Masajowie przystąpili do zwijania obozu i układania ładunku na mułach. Powietrze było chłodne i przyjemne, gdy wyruszyli na spotkanie tego, co zgotował im nowy dzień.

Milę dalej zaskoczyli liczące kilkaset sztuk stado bawołów, wracające od wodopoju. Leon oddał dwa strzały z lewej, a później prawej lufy hollanda. Rozciąli brzuchy zabitym zwierzętom, aby woń padliny rozniosła się w powiewach gorącego wiatru. Później muły zaprowadziły ich w swoje ulubione miejsce, gdzie ze wszystkich stron otaczała je pusta przestrzeń i gdzie nie było żadnych gęstych zarośli, w których mógłby się ukryć zraniony lew. Kiedy umieścili przynętę, tragarze nacięli naręcza zielonych liści i przykryli padlinę, aby nie dobrały się do niej sępy i hieny. Tak nędzna przeszkoda nie zatrzymałaby jednak dłużej wielkiego lwa.

Później wrócili do rzeki, szukając miejsca, w którym lwy porykiwały ostatniej nocy. Co milę lub dwie Leon zabijał jakiegoś wielkiego ssaka, który wszedł po lufę: żyrafę, nosorożca lub bawołu. O zachodzie słońca padlina pokrywała obszar dziesięciu mil. Takiej przynęty trudno się będzie oprzeć.

Tej nocy również nie dane im było zasnąć - ciszę przerywały gniewne porykiwania dwóch rywali. W pewnym momencie starszy samiec był tak blisko, że zaczęli drzeć pod kocami od władczej siły jego głosu. Tym razem młodszy nie odpowiedział.

— Młody lew znalazł przynętę - wyjaśnił jego milczenie

Manyoro. - Je.

— Nie sądziłem, że lwy żywią się padliną - powiedział

Kermit.

— Oczywiście, lwy są tak leniwe jak domowe kociaki.

Zjedzą wszystko, co im podasz, niezależnie od tego, jak jest zepsute i cuchnące. Wyruszają na łowy dopiero wówczas, gdy naprawdę muszą.

Dwie godziny po północy ucichło porykiwanie starszego samca. W ciemności zaległa cisza.

197

— Teraz i on znalazł przynętę - zauważył Manyoro. -

Jutro upolujemy oba.

— Na ile lwów mam pozwolenie? - spytał Kermit.

— Wystarczy, by cię zadowolić - odrzekł Leon. - Na terenie Brytyjskiej Afryki Wschodniej lwy uważane są za szkodniki. Możesz zabić, ile zechcesz.

— Świetnie! Chcę oba. Pragnę wrócić do obozu i pokazać

—

je ojcu.

- Ja również!

przytaknął ochoczo Leon. - Ja również!

Kiedy było wystarczająco widno, aby tropiciele mogli odczytać ślady, wyruszyli szlakiem przynęty. Wonny niczym chablis ranek był chłodny, więc Kermit miał na sobie grubą kurtkę.

Pierwsze trzy przynęty leżały nietknięte, chociaż wierzchołki pobliskich drzew obsiadły stada zgarbionych, ponurych sępów. Kiedy zbliżyli się do czwartej, Leon zatrzymał konia w odległości kilkuset jardów od miejsca, w którym spoczywała. Wyciągnął lornetkę i uważnie zlustrował gałęzie, które ją zasłaniały.

— Tracisz czas, kolego. Nie ma ich tu - rzekł Kermit.

— Przeciwnie - odparł cicho Leon, nie odrywając oczu od szkieł.

— Co chcesz przez to powiedzieć? - ożywił się jego towarzysz.

— Widzę wielkiego samca.

— Nie gadaj! - zaprotestował Kermit.-Niczego nie widać.

— Spójrz. - Podał mu lornetkę. - Użyj tego.

Kermit wyregulował ostrość i minutę przyglądał się padlinie.

— Nadal nie widzę lwa.

— Zjrzyj między rozsunięte gałęzie. Widać przez nie pasy na grzbiecie zebry...

— Taak! Widzę.

— A teraz spójrz nieco wyżej. Widzisz dwie małe czarne kropeczki z drugiej strony?

—

— Widzę! Przecież to nie lew.

— To koniuszki jego uszu. Leży za zebra i nas obserwuje.

— Na Boga, masz rację! Poruszył uchem! - wykrzyknął

Kermit. - Który to? Starszy czy młodszy?

Leon zaczął się naradzać z Manyoro, a Loikot co chwila wtrącał swoje uczone uwagi. W końcu zwrócił się do Kermita.

— Weź głębszy oddech, kolego. Mam dla ciebie nowinę.

To wielka sztuka. Manyoro nazwał go lwem wszystkich lwów.

— Co robimy? Ruszemy na niego konno?

— Nie, pokradniemy się - odrzekł Leon, zsiadając z konia

i biorąc hollanda. Otworzył sztucer, wyciągając łuski i wsuwając

nowe naboje wyjęte z bandolieru. Kermit poszedł za jego

przykładem i załadował lee-enfielda. Stajenni wzięli od nich

lejce i odprowadzili konie, a następnie położyli na ziemi bukłaki

i przykucnęli, by napić się wody. Chwilę później powstali,

trzymając dzidy używane do polowań na lwy, i zaczęli dźgać

powietrze, wydając krwiożercze okrzyki i wznosząc wysoko

długie, lśniące ostrza.

Kiedy wszyscy myśliwi byli gotowi, Leon udzielił Kermitowi ostatniej rady.

- Pójdiesz pierwszy. Ruszę trzy kroki za tobą, aby nie

zasłaniać ci pola strzału. Idź wolno, równym krokiem, nie kieruj

się jednak wprost na niego. Niech myśli, że chcesz przejść

z prawej strony w odległości dwudziestu kroków od niego. Nie

patrz mu w oczy. Wbij wzrok w ziemię przed sobą. Jeśli

będziesz się gapił, sprowokujesz go do przedwczesnego ataku.

Kiedy znajdziesz się w odległości pięćdziesięciu kroków, wyda

ostrzegawczy ryk. Nie przystawaj. Gdy podejdziesz na trzy
dzieści, podniesie się, by zaatakować. W tym momencie lwy
zwykle ruszają do ataku lub uciekają. Ten jest inny. Obecność
młodszy rzywała sprawia, że jest agresywny i niespokojny.
Krew się w nim gotuje. Zaatakuje. Da ci trzy lub cztery sekundy
i ruszy do ataku. Musisz go trafić, zanim skoczy, w przeciwnym
razie nim mrugniesz, zacznie pędzić w twoją stronę z prędkością
czterdziestu mil na godzinę. Kiedy dam sygnał, strzel poniżej

199

łba, w środek klatki piersiowej. Cielsko lwa jest miękkie. Połóżysz go nawet z enfielda. Pamiętaj, aby
strzelać, dopóki stoi.

— Nie będziesz strzelał, prawda? Nie będziesz?

— Dopóki nie zacznie odgryzać ci głowy, koleś. Na
przód! - Ruszyli w luźnym szyku. Kermit pierwszy, Leon za
nim, dwaj Masajowie z tyłu, maszerując ramię przy ramieniu
z dobytymi assegai.

— Znakomicie - zachęcił go Leon cicho. - Utrzymuj
taką prędkość i kierunek. Świetnie ci idzie. - Kiedy przeszli
kolejnych pięćdziesiąt kroków, Leon zauważył, że lew lekko
uniósł łeb. Zwierzę ukazało sklepienie czaszki, groźnie strosząc
grzywę. Przypominała mały stóg siana i była czarna niczym
Hades. Kermit zawahał się w pół kroku.

— Równo, równo, kolego. Nie zatrzymuj się! - ostrzegł
go Leon. Szli dalej. Widzieli lwie ślepie pod wielką grzywą.

Były zimne, żółte i bezlitosne. Po kolejnych dziesięciu krokach

samiec zaryczał. Wydał niski, głęboki, przerażający dźwięk przypominający odgłos gromu podczas letniej burzy. Kermit przystanął i spojrzał na bestię czającą się do skoku, jednocześnie podnosząc długi karabin. Ten ruch i spojrzenie Kermita sprowokowały lwa.

— Uważaj! Za chwilę zaatakuję! - zawołał ostro Leon, lecz samiec pędził już ku nim, wydając krótkie porykiwania. Czarna grzywa zjeżyła się z wściekłości, długi ogon kołysał się z boku na bok. Zwierzę było ogromne i z każdym susem stawało się coraz większe, gdy skracało odległość, która ich dzieliła. - Strzelaj! - krzyk Leona zagłuszył przenikliwy huk enfieldda. Wycelowany w pośpiechu pocisk przeleciał nad grzbieciem samca, podnosząc obłok pyłu dwieście jardów za nim. Kermit szybko przeładował. Następny strzał był zbyt krótki. Kula zaryła w ziemi przed łapami szarżującego zwierzęcia. Samiec sunął prosto na nich. Pęd sprawił, że jego cielsko przypominało żółtą rozmazaną plamę. Ryczał z furją, wzbijał kurz łapami i bił na boki ogonem.

Dobry Boże, dopadnie go, pomyślał Leon. Uniósł hollanda,

200

skupiając wzrok na wielkiej, okolonej grzywą głowie i szczękach rozwartych w ryku. Ledwie zdawał sobie sprawę, że jego palec zaciska się na cynglu. Zanim pięćsetpięćdziesięciofuntowe cielsko runęło na Kermita z prędkością czterdziestu mil na godzinę, ten oddał ostatni strzał.

Muska lee-enfieldda niemal dotykała wilgotnego czarnego nosa zwierzęcia. Lekka kula przeszła pysk i utkwiała w mózgu. Brunatne cielsko osunęło się bezwładnie na ziemię jak worek plew. Kermit w ostatniej chwili odskoczył, a zwierzę runęło w miejsce, gdzie się przed chwilą znajdował. Kermit stał jak

skamieniały. Ręce mu drżały i z trudem oddychał. Pot mu się perlił na czole.

- Dobij go! - zawołał Leon, lecz pod Kermitem ugięły się nogi i usiadł na ziemi. Leon podbiegł i stanął nad martwym zwierzęciem. Dobił go strzałem w serce z niewielkiej odległości, a następnie podszedł do Kermita siedzącego z głową ukrytą między kolanami. - Nic ci nie jest? - spytał z zatroskaniem w głosie.

Kermit powoli uniósł głowę i spojrzał na niego, jakby się nie znali. Zdezorientowany potrząsnął głową. Leon usiadł obok i otoczył go ramieniem.

- Uspokój się, kolego. Dokonałeś nie lada wyczynu. Stałeś mi na drodze. Nie ulękłeś się. Wytrzymałeś atak i zastrzeliłeś go jak bohater. Gdyby widział to twój ojciec, byłby z ciebie dumny.

Przyjaciel spojrzał na niego przytomniej. Wziął głęboki oddech i spytał chropawym głosem:

— Naprawdę tak sądzisz?

— Niech mnie szlag, jeśli jest inaczej - odparł z przekonaniem Leon.

— Nie strzeliłeś, prawda? - Kermit nadal dyszał jak długo dystansowiec, który próbuje złapać oddech po wyczerpującym biegu.

— Nie strzeliłem. Zabiłeś go bez mojej pomocy - zapewnił przyjaciela.

201

Kermit nie odpowiedział ani słowa, lecz przyglądał się w milczeniu wspaniałemu cielsku. Manyoro i Loikot okrążyli ich ciasnym kołem, podskakując i tańcząc na sztywnych nogach.

- Za chwilę wykonają taniec lwa na twoją cześć - wy

jaśnił Leon.

Manyoro zaczął śpiewać. Jego głos był potężny i czysty.

Jesteśmy młodymi lwami. Ziemia drży, gdy ryczymy. Dzidy to nasze kły. Włócznie to nasze pazury...

Po każdej linijce skakali wysoko z lekkością ptaków wzbijających się do lotu. Loikot zanucił refren. Kiedy pieśń dobiegła końca, nachylili się nad martwym lwem i zanurzyli palce w jego krwi. Później podeszli do Kermita. Manyoro stanął nad nim i pomazał krwią jego czoło.

Jesteś Masajem.

Jesteś morani.

Jesteś wojownikiem o lwim sercu.

Jesteś moim bratem.

Zrobił krok wstecz, przepuszczając Loikota. On również pomazał twarz Kermita, robiąc czerwone paski na policzkach i intonując pieśń:

Jesteś Masajem.

Jesteś morani.

Jesteś wojownikiem o lwim sercu.

Jesteś moim bratem.

Przykucnęli przed nim, rytmicznie klaszcząc w dłonie.

- Czynią cię Masajem, bratem krwi. To najwyższy zaszczyt,

którym cię mogą obdarzyć. Powinieneś to uszanować.

202

- Wy również jesteście moim braćmi - odrzekł Ker-

mit - chociaż dzieli nas wielka woda, zapamiętam was do

końca życia.

Kiedy Leon przetłumaczył jego słowa, Masajowie wydali pomruk zadowolenia.

- Powiedz Popoo Hima, że wyświadczył nam wielki ho

nor - oznajmił Manyoro.

Kermit wstał i podszedł do nieruchomego cielska, klękając przed nim, jakby znajdował się w sanktuarium. Nie dotknął łba zwierzęcia, lecz jego twarz promieniała, gdy przyglądał się majestatycznym rysom. Grzywa wyrastała dwa cale ponad matowymi żółtymi ślepiami i spływała do tyłu czarnymi falami, pokrywającymi czaszkę i kark, masywne barki i pierś i kończąc się dopiero w połowie szerokiego grzbietu.

- Zostaw go w spokoju - powiedział Leonowi Manyo

ro. - Popoo Hima przyjmuje duszę lwa do swojego serca. Tak

powinno być. To zachowanie godne prawdziwego wojownika.

Dopiero po zachodzie słońca Kermit podszedł do małego ogniska, przy którym siedział Leon. Izmael umieścił dwie kłody z każdej strony, tworząc siedzisko, a na trzeciej postawił dwa kubki i butelkę.

— Whisky Bunnahabhain - zauważył Kermit, siadając naprzeciw Leona.

— Trzydziestoletnia - wyjaśnił Leon. - Wyzebrałem ją u Percy'ego na wypadek, gdybyśmy musieli uczcić zwycięstwo.

Niestety, dał mi tylko pół butelki. Powiedział, że jest zbyt dobra dla takiego jak ty. - Nalał trunek do kubków i podał Kermitowi.

— Czuję się inny - rzekł Kermit, pociągając łyk.

— Rozumiem. Dzisiaj przeszedłeś chrzest ogniowy.

— Żebyś wiedział! - odpowiedział żarliwie. - Dokładnie tak, jak powiedziałaś! Doświadczyłem czegoś dziwnego i nie zwykłego. Czuję się, jakbym stał się kimś innym, kimś lepszym, niż byłem. - Przerwał, szukając słów. - Mam wrażenie, jakbym się narodził na nowo. Kiedyś byłem pełen lęku i niepew-

203

ności. Teraz już się nie boję. Wiem, że zdołam stawić czoło światu.

— Rozumiem - przytaknął Leon. - To jak obrzęd inicjacji.

— Przeżyłeś coś takiego? - spytał Kermit.

Leon zmrużył oczy, przypominając sobie blade nagie ciała ukrzyżowane na spieczonej słońcem ziemi, usłyszał dźwięk łuków Nandi i poczuł ciężar dźwiganego na plecach Ma-nyoro.

— Tak... lecz okoliczności były zupełnie inne.

— Opowiedz.

Leon potrząsnął głową.

— O takich sprawach nie należy mówić zbyt wiele. Słowa mogą jedynie skalać i pomniejszyć ich znaczenie.

— Rozumiem, chodzi o coś osobistego...

— Właśnie - odrzekł Leon, unosząc kubek. - Nie trzeba drążyć tego tematu. Obaj wiemy, o co chodzi. Masajowie nazywają takich jak my "braćmi z krwi wojownika".

Milczeli dłuższą chwilę.

— Nie sądzę, abym zdołał zasnąć tej nocy.

— Posiedzę z tobą - odpowiedział Leon.

Niebawem zaczęli omawiać najdrobniejsze szczegóły polowania - pierwszy ryk lwa, ukazanie się samca i błyskawiczny atak. Pomijali milczeniem emocjonalne elementy wydarzenia. Poziom whisky w butelce wolno opadał.

Przed północą usłyszeli odgłosy koni zbliżających się do obozu i ludzi rozmawiających po angielsku.

— Któż to, u licha? - podniósł głowę Kermit.

— Myślę, że wiem. - Leon zachichotał na widok postaci w bryczesach do konnej jazdy i kapeluszu.

— Dobry wieczór, panie Roosevelt. Witam, panie Courtney.

Przejeżdżałem w pobliżu i pomyślałem, że się przywitam.

— Panie Andrew Fagan, mam nadzieję, że nie będzie miał mi pan za złe, jeśli nazwę go cholernym kłamcą. Od dwóch

tygodni podąża pan za nami we dnie i w nocy. Moi tropiciele codziennie widywali wasze ślady.

204

— Niech pan nie przesadza, panie Courtney - zaśmiał się Fagan. - "Podąża" to zbyt mocne określenie, choć muszę przyznać, że interesuje mnie, co zamierzacie, podobnie jak czytelników na całym świecie. - Zdjął kapelusz. - Możemy wpaść na chwilę?

— Obawiam się, że przybyliście za późno - powiedział Kermit. - Jak pan widzi, butelka jest prawie pusta.

— Tak się szczęśliwie składa, że mam jedną w plecaku. - Fagan odwrócił się i zawołał do fotografa. - Carl, poszukałbyś butelczyny jacka danielsa i przyłączył się do kompanii? - Kiedy usiedli przy ognisku i pociągnęli pierwszy łyk, Fagan zapytał: - Wydarzyło się coś interesującego, panowie? Słyszeliśmy strzały dolatujące z waszej strony.

— Opowiedz mu, Leonie! - poprosił z podnieceniem Kermit, nie chcąc wyjść na samochwałą.

— Skoro poruszył pan ten temat, dziś po południu pan Roosevelt zastrzelił lwa, którego szukaliśmy od początku safari.

— Lwa! - zawołał Fagan, rozlewając kilka kropel whisky. - To się nazywa wiadomość! Większego od upolowanego tydzień temu przez prezydenta?

— Będzie pan musiał sam osądzić - odparł Leon.

— Możemy zobaczyć?

— Proszę za mną - rzekł ochoczo Kermit, podnosząc z ogniska płonące polano i prowadząc ich do miejsca, w którym leżało cielsko ubitego zwierzęcia. Uniósł wysoko pochodnię, aby oświetlić okolicę.

— A niech mnie! Toż to istny potwór! - wykrzyknął Fagan, odwracając się do fotografa. - Carl, skocz po aparat. -
Niemał przez godzinę Kermit i Leon pozowali mu razem z trofeum. Dziennikarz nie musiał szczególnie przekonywać Kermita. Niemał oślepli od błysków flesza, zanim wrócili do ogniska, by wypić kolejną szklaneczkę.

— Panie Roosevelt, niech pan opisz, jak pan się czuje po tym, czego dokonał - poprosił Fagan, wyciągając notatnik. Kermit zastanowił się nad odpowiedzią.

205

— Poluje pan, panie Fagan? Byłoby mi to łatwiej wyjaśnić, gdyby był pan myśliwym.

— Nie. Nie poluję, grywam w golfa.

— W porządku. Ten lew był dla mnie jak dla pana trafienie jednym uderzeniem do ostatniego dołka podczas Otwartych Mistrzostw Świata, w decydującym spotkaniu z Williem Andersonem.

— Wspaniałe określenie! Świetnie dobiera pan słowa - pochwalił Fagan, szybko notując. - Proszę mi opowiedzieć

wszystko od początku, z najdrobniejszymi szczegółami, od chwili gdy po raz pierwszy ujrzał pan tę bestię do momentu jej zastrzelenia. - Kermit, nadal podniecony polowaniem i whisky, nie pominął niczego i troszkę wszystko koloryzował. Co chwila zwracał się do Leona, prosząc, aby ten potwierdził najdrobniejsze szczegóły. - Dobrze powiedziałem? Czy tak właśnie było? - Leon popierał go lojalnie, świadomy niepisanej umowy łączącej myśliwego z jego klientem. W końcu, gdy Kermit zakończył opowieść, zamilkli, w milczeniu dumając nad usłyszaną historią. Leon miał zamiar zasugerować, że pora spać, gdy w mroku rozległ się gromki ryk.

— Co to było? - zadrżał niespokojnie Andrew Fagan. -

Na Boga, cóż to takiego?

— To lew, na którego zapolujemy jutro - odparł nonszalancko Kermit.

— Kolejny?! Jutro?

— Tak.

— Mógłbym pójść z wami? - spytał Fagan. Leon otworzył usta, by odmówić, lecz Kermit go uprzedził.

— Jasne, czemu nie? Zapraszam pana.

Wczesnym rankiem garbarze zaczęli oprawiać lwa, posypując wilgotną skórę grubą warstwą soli kamiennej.

- Zaczekajcie tu, gdy skończycie - powiedział Leon. - Poślę Loikota, aby was przyprowadził.

206

Kiedy na wschodzie ukazały się pierwsze promienie słońca, zaczął obserwować linię drzew po drugiej

stronie polany. Gdy na tle porannego nieba mógł rozróżnić pojedyncze liście, oznajmił:

- Jest dość światła! Panowie, na koń!

Wszyscy zajęli miejsca w siodłach i wtedy dał sygnał Ma-nyoro. Ruszyli w zwartej kolumnie za dwoma Masajami podążającymi na czele. Leon przesuwał się stopniowo na tył, aż zrównał się z Faganem.

— Pan Roosevelt był niezwykle łaskawy, pozwalając wam przyłączyć się do polowania - rzekł cicho, lecz zdecydowanie. - Gdyby to ode mnie zależało, odmówiłbym. Jeśli coś pójdzie nie po naszej myśli, ktoś może zostać poważnie zraniony. Proszę trzymać się za nami w bezpiecznej odległości.

— Oczywiście, panie Courtney. Zrobię wszystko, co pan każe.

— Mówiąc o "bezpiecznej odległości", miałem na myśli przynajmniej dwieście jardów. Muszę zapewnić bezpieczeństwo mojemu klientowi. Nie będę mógł zajmować się także wami.

— Rozumiem. Pojedziemy dwieście jardów z tyłu, cicho jak myszki. Nie będzie pan nawet wiedział o naszym istnieniu.

Manyoro zaprowadził ich do kolejnej przynęty, która leżała dwie mile dalej. Kiedy dotarli do wzdętego cielska starej żyrafy, duże stado sępów wzbiło się do lotu, a kilkanaście hien rzuciło się do ucieczki w panice, zarzucając ogon na grzbiet i przenikliwie chichocząc, z wykrzywionymi uśmiechniętymi pyskami umazanymi krwią i wnętrznościami.

— Hapana. - Manyoro wzruszył ramionami. - Nic.

— Wyłożyliśmy jeszcze trzy przynęty, z pewnością znalazł inną. Nie traćmy czasu. Zaprowadź nas do kolejnej, Manyoro - polecił Leon.

Druga padlina leżała pośrodku wypalanej polany, na czarnym rżysku otoczonym z trzech stron zielonymi krzakami, których gęste listowie zwisało aż do ziemi, zapewniając bezpieczne schronienie uciekającym zwierzętom. Leon dopilnował, aby

wokół przynęty pozostawiono szeroki korytarz umożliwiający wejście do środka.

Od razu Leona zaniepokoiło duże stado sępów, które rozsiadły się na gałęziach drzew, oraz mała gromadka hien przyczajona na krawędzi zarośli manioku. Sępy i hieny trzymały się z dala od martwego bawołu leżącego pośrodku polany. Coś musiało je wystraszyć. Chwilę później idący przodem Manyoro stanął i wykonał ostrzegawczy gest równie zrozumiały jak słowo.

- Uważaj, jest tu! - powiedział do Kermita. - Zaczekaj.

Manyoro go wyśledzi. Znajdzie go nam. - Po chwili podjechał

Fagan i jego ludzie. - Zostańcie tutaj - nakazał im Leon. -

Nie zbliżajcie się, dopóki nie dam sygnału. Będziecie mieli stąd dobry widok, lecz musicie się trzymać z daleka, aby nic wam się nie stało. - Obserwowali, jak Manyoro sprawdza kierunek wiatru. Podmuchy były lekkie i ciepłe, choć wiatr wiał od ich strony. Manyoro poruszył głowę i wykonał kolejny gest.

— Lew dobrał się do przynęty, kolego - wyjaśnił Kermitowi Leon. - Ruszajmy. Tak jak wczoraj. Idź spokojnie, nie spiesz się. Tym razem nie patrz mu w oczy.

— W porządku, szefie. - Kermit uśmiechnął się nerwowo, sięgając drżącą ręką po karabin. Leon miał nadzieję, że w trakcie powolnego podejścia przyjaciel zdoła zapanować na nerwami. Zsiedli z koni.

- Sprawdź karabin. Upewnij się, że pocisk jest w komorze. - Kermit wykonał polecenie, a Leon uspokoił się, widząc, że ręce Amerykanina stały się pewniejsze. Dał znak Manyoro, aby zajął pozycję za nimi, i ruszyli wolno przez otwarty wypalony teren. Z każdym krokiem wzbijali małe obłoczki pyłu.

Znajdowali się w odległości dwustu pięćdziesięciu jardów od padliny, gdy lew podniósł się i stanął za bawołem. Był potężny, tak ogromny jak stary samiec zastrzelony poprzedniego dnia. Jego gęsta rudawa grzywa lekko poczerniała na koniuszkach. Piękne zwierzę o lśniącej i błyszczącej skórze nie miało brzydkich blizn. Lew zaryczał, wysuwając białe, lśniące i długie pazury. Młody nieprzewidywalny samiec.

- Nie patrz mu w oczy! - ostrzegł szeptem Leon. - Idź przed siebie, tylko na Boga, nie patrz mu w oczy. Musimy podejść bliżej. Znacznie bliżej.

Kiedy byli w odległości stu pięćdziesięciu jardów od niego, samiec ryknął ponownie, niepewnie wyginając ogon. Odwrócił wielki pokryty grzywą łeb i spojrzał za siebie.

Niech to szlag! Tylko nie to! - zaklął w duchu Leon. Wystraszył się. Nie będzie walczył. Rzucił się do ucieczki.

Samiec spojrzał na nich ponownie i zaryczał trzeci raz, choć jego głos był pozbawiony morderczego brzmienia. Po chwili odwrócił się raptownie i ruszył w kierunku zarośli manioku.

- Zwiewa! - krzyknął Kermit, a następnie wykonał trzy szybkie kroki i stanął w miejscu. Uniósł lee-enfielda.

- Nie! - zawołał Leon. - Nie strzelaj! - Odległość była zbyt duża, a lew poruszał się z ogromną prędkością. Podbiegł, aby powstrzymać przyjaciela, lecz lee-enfield huknął przerażliwie, a lufę poderwało w górę. Długie mięśnie pod lśniącą skórą zwierzęcia poruszały się jak mięśnie znakomitego atlety. Leon zauważył uderzenie kuli. W miejscu trafienia skóra wybrzuszyła się i zmarszczyła jak głęboka spokojna toń sadzawki uderzona kamieniem. Kermit trafił w dolną część tułowia, dwie dłonie za ostatnim zębem.

- Dobry strzał! - jęknął Leon. Lew ryknął boleśnie, lecz

nie zwolnił. Kiedy Leon przyłożył kolbę do ramienia, zwierzę niemal dotarło do zarośli. Chociaż samiec znajdował się poza zasięgiem celnego strzału hollanda, Leon wypalił. Zwierzę było ranne. Moralnym obowiązkiem myśliwego było dobiecie go, niezależnie od tego, jak marne były szanse powodzenia. Wy-

strzelił z pierwszej lufy, ale pocisk wzbudził obłok pyłu pod piersią zwierzęcia. Odgłos drugiej salwy złął się z pierwszym, lecz Leon nie zdążył zauważyć, czy trafił, bo lew czmychnął w zarośla. Obejrzał się szybko na Manyoro, który dotknął lewej nogi. - Ma raną tylną łapę - rzekł gniewnie Leon. - Nie spowolni go to znacznie. - Wyjął puste łuski i przeładował hollanda.

— Nie gap się beczynnienie! - huknął do Kermita. - Załaduj

to cholerstwo!

— Przepraszam - odparł ze wstydem Amerykanin.

— Ja również - rzekł ponuro Leon.

— Ucieknie - bąknął Kermit.

— Rzeczywiście, ucieknie z twoją kulą w brzuchu. - Leon przyspieszył kroku, aby zrównać się z Manyoro. Przykucnęli, pochylili się i naradzali. Po chwili Manyoro wrócił do Loikota i dwóch innych Masajów, aby wspólnie omówić sytuację. Leon usiadł na nagiej ziemi, kładąc hollanda na kolanach. Kermit przykucnął nieopodal, obserwując wyraz jego twarzy. Anglik zignorował jego obecność.

— Co robimy? - spytał w końcu Kermit.

— Czekamy.

— Na co?

— Aż ten nieszczęsny drań się wykrwawi.

— Co wtedy?

— Pójdziemy z Manyoro i wypłoszymy go.

— Idę z wami.

— Nie. Miałeś dość frajdy na jeden dzień.

— Może cię zranić.

— To niewykluczone. - Leon zaśmiał się z goryczą.

— Daj mi jeszcze jedną szansę - poprosił żałośnie Kermit.

Leon odwrócił się, patrząc mu twardo w oczy.

— Czemu?

— Ponieważ to piękne zwierzę umiera powolną, bolesną śmiercią i to ja je zraniłem. Honorowo będzie, jeśli pójdę tam i położę kres jego cierpieniu. Pojmujesz to?

— Tak. - Twarz Leona złagodniała. - Rozumiem i podziwiam cię za to. Pójdziemy razem. Będę zaszczycony, mając cię u swojego boku.

Chciał coś dodać, lecz spojrzał na polanę i na jego twarzy pojawiło się przerażenie. Skoczył na równe nogi.

- Co wyprawia ten idiota?

Andrew Fagan jechał wzdłuż linii zarośli, kierując się ku

210

miejscu, gdzie zniknęło ranne zwierzę. Leon ruszył pędem przed siebie, próbując go wyprzedzić.

- Wracaj, cholerny głupcze! Cofnij się! - wrzasnął z całą siłą. Fagan nawet się nie obejrzał. Jechał wolno, wprost na

rannego lwa. Leon pędził przed siebie, szybko pokonując kolejne jardy. Więcej nie zawołał. Oszczędzał oddech na strasz ną chwilę, która miała nadejść. Był tak blisko, że Fagan musiał go usłyszeć. - Fagan! Uciekaj stąd, idioto! - zawołał, machając sztuczerem nad głową. Tym razem Fagan obejrzał się i pomachał radośnie szpicrutą, lecz nie wstrzymał konia. -

Wracaj natychmiast! - Głos Leona przybrał rozpaczliwy ton.

Fagan zatrzymał konia, a z jego twarzy znikł uśmiech. Zwrócił się w stronę Leona w chwili, gdy z gęstych zarośli wypadł lew, sadząc ku niemu wielkimi susami i rycząc z wściekłości. Pędził w stronę Fagana z nastroszoną grzywą i żółtymi błyszczącymi ślepiami.

Koń odwrócił łeb, a następnie cofnął się gwałtownie, stając na tylnych nogach. Dziennikarz puścił wodze i chwycił się końskiej grzywy. Zwierzę skoczyło do ucieczki, z Faganem kurczowo uczeponym jego szyi. Na krótkim dystansie lew był szybszy od konia i jeźdźca, więc dopadł ich po chwili. Skoczył i zatopił długie, żółte pazury w końskim zadzie.

Rumak zarżał przeraźliwie, próbując uwolnić się ze śmiertelnego uścisku. Fagan stracił równowagę i runął na ziemię jak worek węgla. Stopa utkwiała mu w strzemieniu i koń ciągnął go za sobą, wlokąc pod tylnymi łapami lwa. Zwierzę dziko kwiczało i wierzgało, próbując zrzucić napastnika. Nad głową Fagana świszczwały kopyta. Ponieważ jedna z tylnych łap lwa była złamana, samiec nie miał siły powalić wierzchowca. Śmiertelne zmagania niemal całkowicie zasłonił obłok pyłu unoszący się nad spalonym rżyskiem. Oślepiiony przez piasek Leon nie strzelał, by nie zranić człowieka. Po chwili rzemień strzemienia pękł i Fagan wypętlzył z kłębowiska.

- Do mnie! - ryknął Leon. Tym razem dziennikarz zareagował natychmiast. Wstał, strzemień mu dyndało przy prawym

211

bucie, i zaczął się wlec w jego stronę. Z tyłu koń i lew kłębili się w obłokach kurzu. Wierzchowiec wierzgał tylnymi nogami, zataczając kręgi i ciągnąc za sobą lwa, który z kolei ryczał, trzymając go kurczowo pazurami i próbując wgryźć się zębami w podskakujący zad.

Koń wierzgnął ponownie, tym razem trafiając lwa w pierś. Cios był tak silny, że samiec odleciał do tyłu. Upadł na grzbiet, lecz w tej samej chwili zerwał się na cztery łapy. Koń uciekł w dzikim galopie, a z głębokich ran na zadzie tryskała krew. Drapieżnik ruszył za nim, ale jego uwagę odwróciła postać uciekającego Fagana. Szybko zmienił kierunek i skoczył za dziennikarzem. Fagan obejrzał się za siebie i

jęknął rozpaczliwie.

— Do mnie! - krzyknął Leon, biegnąc ku niemu, lecz lew okazał się szybszy. Leon nadal nie mógł strzelić, ponieważ Fagan znajdował się pomiędzy nim i zwierzęciem. Wiedział, że jeszcze chwila, a będzie po nim.

— Na ziemię! - wrzasnął. - Padnij na ziemię, abym mógł strzelić!

Fagan runął posłusznie na trawę, choć może to same nogi się pod nim ugięły, sparaliżowane przez strach. Dziennikarz zwinął się w kulę niczym pancernik, przyciskając kolana do piersi i osłaniając głowę rękami. Z całych sił zacisnął powieki, a poblądła twarz zastygła w wyrazie śmiertelnego przerażenia. Leon pomyślał, że jest już za późno. Lew pędził przed siebie cicho jak śmierć. W ostatniej chwili rozwarł paszczę i obnażył pazury, wyciągając kark, by wgrzyźć się w bezbronne ciało Fagana.

Leon strzelił z jednej lufy. Kula trafiła w dolną szczękę zwierzęcia. Kawałki białych zębów poleciały jak kości do gry wyrzucone z kubka. Rozpędzony pocisk z ogromną siłą rozorał płowe cielsko od klatki piersiowej do odbytu. Siła strzału cisnęła zwierzęciem do tyłu. Cielsko wykonało salto w powietrzu. Lew stanął, chwiejąc się niepewnie. Zwiesił łeb, z rozwartego pyska kapłała krew. Druga kula trafiła w bark, rozdzierając kości

212

i docierając do serca. Lew osunął się bezwładnie na ziemię, zamykając ślepie. Jego zmiażdżona, zakrwawiona paszcza bezskutecznie chwyciła powietrze.

Leon trzymał między palcami lewej ręki dwa grube miedziane naboje. Szybkim ruchem kciuka i nadgarstka otworzył hollanda, wyrzucił łuski i wsunął do komory nowe naboje niczym szuler dobywający asa z rękawa. Holland powędrował do ramienia. Dla pewności oddał jeszcze jeden strzał w klatkę piersiową zwierzęcia. Zdrowa tylna łapa wierzgnęła spazmatycznie w przedśmiertnym skurczu i zamarła nieruchomo.

- Dziękuję za współpracę, panie Fagan. Może pan już wstać - rzekł uprzejmie Leon. Dziennikarz otworzył oczy i rozejrzał się wokół, jakby oczekiwał, że znajdzie się przed perłowymi bramami raj. Podniósł się, wykrzywiając z bólu.

Jego twarz była biała jak maska kabuki i lśniła od potu. Chociaż całe ciało pokrywał popiół, przód wartych

dwadzieścia dolarów bryczesów był wilgotny. Kiedy dziennikarz zrobił niepewny krok w stronę Leona, w butach mu zachlupotało.

Andrew Fagan, nieustraszony przedstawiciel czwartej władzy, dziekan American Associated Press, członek New York Racquets Club i kapitan drużyny Pennsylvania Golf Club - z handicapem ośmiu uderzeń - przed chwilą posikał się ze strachu.

- Niechże mi pan powie, czyż polowanie nie pobudza bardziej od zaliczenia osiemnastu dołków? - spytał delikatnie

Leon.

W końcu prezydencka wyprawa opuściła brzegi rzeki Ewaso Ng'iro i ruszyła ospale na północny wschód, w głąb dzikiego i pięknego interioru. Kermit i Leon próbowali wykorzystać dni, które im pozostały. Zapuszczali się daleko i polowali ile wlezie, najczęściej z dużym powodzeniem. Kiedy Leon naprawił "potężny lek", Kermit już nigdy nie spudłował. Leon był ciekaw, czy był to skutek czaru Lusimy, czy wynik tego, że zdołał

213

wpoić Kermitowi swój kodeks etyczny, ucząc go zrozumienia i szacunku dla zwierzyny, którą tropili. Prawdziwą magią było jednak nie zakłęcie, lecz to, że Kermit stał się dojrzałym i odpowiedzialnym myśliwym, człowiekiem opanowanym i pewnym siebie. Ich przyjaźń, sprawdzona i wypróbowana, nabrała twardości żelaza.

Cztery miesiące po opuszczeniu Ewaso Ng'iro uczestnicy safari dotarli do Nilu Wiktorii, do miejsca nazywanego Jinja, nieopodal ogromnego zbiornika słodkiej wody, jakim było Jezioro Wiktorii. Tutaj ich drogi się rozchodziły.

Kontrakt Percy'ego Phillipa dobiegał końca w momencie dotarcia do rzeki. Na wschodnim brzegu Nilu ujrzeli inne duże obozowisko - Quentin Grogan czekał, aby przejąć pałeczkę od Percy'ego i poprowadzić prezydenta Roosevelta na północ, przez Ugandę, Sudan i Egipt do Aleksandrii nad Morzem Śródziemnym. Tam uczestnicy safari mieli wsiąść na statek płynący do Nowego Jorku.

Roosevelt wydał pożegnalny lunch nad brzegiem Nilu. Chociaż sam nie pił, pozwolił, aby poczęstowano gości szampanem. Wesołe spotkanie zakończyło się przemową prezydenta. Gospodarz po kolei wspominał gości, bawiąc zebranych śmiesznymi i wzruszającymi anegdotami z ich udziałem. Co chwila śpiewano Hear, Hear! i For Hes a Jolly Good Fellow!

Kiedy przyszła pora na Leona, prezydent przypomniał polowanie na lwa i to, jak uratował Andrew Fagana. Słuchacze wybuchli śmiechem, gdy określił niefortunnego dżentelmena przedstawicielem Piddling Press *. Fagan nie brał udziału w bankiecie, z dalszego udziału w wyprawie zrezygnował zaraz po incydencie z lwem. Wrócił do Nairobi głęboko wstrząśnięty.

- Przypomniałem sobie o czymś. Mało brakowało, a zapomniałbym o naszym zakładzie, Kermit. Pamiętasz? O to, który z nas ustrzeli większego lwa? - prezydent kontynuował przy wtórze salw śmiechu. Siusiającej prasy.

214

— Faktycznie, ojczu, było coś takiego!

— O ile pamiętam, postawiłem pięć dolarów?

— Nie, ojczu, dziesięć!

— Panowie! - Roosevelt zwrócił się do siedzących przy stole. - Ile to było? Pięć czy dziesięć?

— Dziesięć! Niech pan zapłaci, panie prezydencie! - rozległy się gromkie okrzyki. - Zakład to zakład!

Roosevelt westchnął ciężko i sięgnął po portfel. Wyciągnął zielony banknot i podał przez stół Kermitowi.

— Jesteśmy kwita - oznajmił. - Biorę was wszystkich na świadków. - Następnie zwrócił się do gości. - Tylko nieliczni z was wiedzą, że mój syn został honorowym członkiem plemienia Masajów. Ogłosili go nim dwaj tropiciele po tym, jak zastrzelił lwa.

— Bravo! Kermit to porządny gość! - zakrzyknęli biesiadnicy.

Prezydent uniósł dłoń, aby uciszyć zebranych.

- Myślę, że powinienem się odwdziżyć za ten zaszczyt. - Spojrzał na Leona. - Mógłbyś zawołać Manyoro

i Loikota? - Leon uprzedził obu Masajów, że zostaną wezwani przed oblicze bwana Tumbo. W języku suahili prezydenta Roosevelta nazywano Pan Wielki Brzuch.

Manyoro i Loikot czekali za namiotem, więc zjawili się w okamgnieniu. Prezentowali się wspaniale w powłóczystych czerwonych shukach i warkoczykach ozdobionych czerwoną ochrą i tłuszczem. Mieli ze sobą assegai używane do polowań na lwy.

- Leonie, bądź łaskaw przetłumaczyć tym dżentelmenom moje słowa - rzekł prezydent. - Uczyniliście wielki zaszczyt mojemu synowi, bwana Popoo Hima, przyjmując go do swojego plemienia. Teraz ja ogłaszam was obu wojownikami mojego kraju, Ameryki. Oto dokumenty nadające obywatelstwo. Możecie odwiedzić Amerykę, kiedy zechcecie, osobiście was powitam. Jesteście Masajami, a teraz również Amerykanami. -

Po tych słowach zwrócił się do sekretarza, który stał za jego

215

krzesłem, i odebrał z jego rąk zwinięte w rulon i przewiązane tasiemką dokumenty nadające obywatelstwo. Wręczył je każdemu z Masajów i uścisnął im ręce. Manyoro i Loikot spontanicznie odtańczyli wokół stołu taniec lwa. Kermit przyłączył się do nich, skacząc, powłócząc nogami i odgrywając pantomimę. Zebrani klaskali w dłonie i wołali radośnie, a Roosevelt kołysał się na krześle ze śmiechu. Kiedy taniec dobiegł końca, Manyoro i Loikot z godnością opuścili namiot.

Prezydent wstał ponownie.

- Chciałbym teraz przekazać kilka pamiątek przyjaciołom, z którymi tak przyjemnie spędziliśmy czas. - Sekretarz wszedł do namiotu, niosąc stertę szkicowników. Prezydent odebrał je i ruszył wokół stołu, rozdając gościom. Kiedy Leon otworzył swój, znalazł następującą dedykację:

Mojemu dobremu przyjacielowi i Nemrodowi, Leonowi Courtneyowi, na pamiątkę szczęśliwych dni spędzonych z Kermitem i ze mną na elizejskich polach Afryki,

Teddy Roosevelt

Skicownik zawierał kilkanaście odręcznych rysunków. Każdy ilustrował jakieś wydarzenie z minionych

miesiący. Na jednym widać było Kermita zrzuconego przez konia. Poniżej widniał napis: "Syn i dziedzic spadł z konia, budząc wesołość Mocarnego Nemroda obserwującego to przedstawienie". Inna rycina ukazywała Leona dobijającego lwa. Roosevelt opatrzył ją komentarzem: "Ku uciesze wszystkich dzięki Mocarnemu Nemrodowi znany dziennikarz nie stał się lwią strawą. Syn i dziedzic był naocznym świadkiem męstwa Mocarnego Nemroda". Leon był zdumiony, a jednocześnie onieśmielony podarunkiem. Wiedział, że jest bezcenny, ponieważ każda kreska została naszkicowana ręką potężnego człowieka.

Uroczysty lunch szybko dobiegł końca. Pojawiły się łodzie mające przewieźć gości na drugi brzeg rzeki. Leon i Kermit

216

szli w milczeniu obok siebie. Żadnemu nie przychodziły do głowy słowa, które nie brzmiałyby kliwie i banalnie.

— Przekażesz ode mnie podarunek Lusimie, współlniku? -

przerwał milczenie Kermit, gdy zbliżyli się do brzegu. Mówiąc

to, wręczył Leonowi mały zwitek zielonych banknotów. - To

tylko sto dolarów. Wiem, że zasługuje na znacznie więcej.

Powiedz, że dzięki niej moja bunduki strzelała niezwykle celnie.

— To hojny dar. Kupię jej za to dziesięć dorodnych krów.

Masajowie nie pożądamy niczego bardziej od tych zwierząt -

powiedział Leon, gdy podali sobie dłonie na pożegnanie.

— Do zobaczenia, współlniku. Tak Angole mówią, gdy za

bawa była wspaniała.

— Po amerykańsku mówimy "fantastycznie" Żegnaj! Z Bo

giem, bracie! - Leon wyciągnął prawicę do przyjaciela.

Kermit uściskał ją.

— Napiszę.

— Założę się, że powtarzasz to wszystkim dziewczętom.

— Przekonasz się - odparł Kermit i zszedł do czekającej

łodzi. Wpłynęli na szeroki rwący nurt Nilu. Kiedy znaleźli się niemal poza zasięgiem słuchu, Kermit stanął na rufie i zawołał. Leon odgadł słowa zagłuszone przez szum wody.

— Jesteśmy braćmi z krwi wojownika!

Roześmiał się, pomachał kapeluszem i odkrzyknął:

— Naprzód, strzelcy!

- Czas wrócić na ziemię, mój sławny przyjacielu. Zabawa się skończyła. Czeka cię mnóstwo roboty. Po pierwsze, musisz zaopiekować się końmi i zadbać, aby bezpiecznie wróciły do Nairobi. Później zajmiesz się myśliwskimi trofeami, które zostawiliśmy po drodze. Dopilnuj, aby dobrze je wysuszone i zakonserwowano solą, a następnie dostarcz do torów kolei na równinę Kapiti. Trzeba je wysłać do Instytutu Smithsona w Ameryce najszybciej, jak to możliwe, najlepiej wczoraj. Będziesz musiał również dokonać niezbędnych napraw sprzętu

217

i pojazdów, pięciu wozów ciągniętych przez woły i dwóch samochodów. Używaliśmy ich prawie przez rok, niektóre są w opłakanym stanie. Trzeba będzie sprowadzić je do obozu Tandala, aby były gotowe na przyjazd lorda Eastmonta. Planuje to safari od dwóch lat. Oczywiście, Hennie du Rand ci pomoże, choć i z nim będziesz miał pełne ręce roboty. Obawiam się, że nie starczy czasu dla dam z Nairobi.

Percy mrugnął porozumiewawczo.

- Jeśli o mnie chodzi, wracam do stolicy. Odezwała się stara rana zadana przez bawołu. Pali jak ogień i tylko doktor Thomson wie, jak ją uleczyć.

Kilka miesięcy później Leon wyruszył jednym z samochodów do Tandali w towarzystwie Henniego du Randa, który jechał tuż za nim, prowadząc drugi pojazd. Do zmierzchu pokonali odległość blisko dwustu mil, tłukąc się po zakurzonych, pokrytych koleinami drogach. Leon wyłączył silnik, który zaterkotał i zamarł. Zeskoczył na ziemię, zdjął kapelusz i otrzepał go o nogę, a następnie zakaszlał w obłoku pyłu drobnego niczym talk.

— Gdzie się, u czorta, podziewałeś?! - zawołał Percy,

wychodząc ze swojego namiotu. - Uznałem, że nie żyjesz.

Musimy się po męsku rozmówić!

— Gdzie jest ognisko? - spytał Leon. - Jedziemy od

trzeciej rano. Muszę się wykąpać i ogolić, zanim powiem choć słowo. Nie jestem w nastroju, aby wysłuchiwać bredni, nawet od ciebie, Percy.

— Masz ci los! - Stary myśliwy uśmiechnął się szeroko

ko. - Wykąp się, faktycznie tego potrzebujesz. Później zabiorę kilka minut twojego cennego czasu.

Po godzinie Leon wszedł do namiotu kantyny. Percy siedział przy długim stole z drucianymi okularami na czubku nosa. Przed nim piętrzyła się sarta listów, na które nie udzielił odpowiedzi, plik faktur, księgi rachunkowe i inne dokumenty. Palce miał usmolone atramentem.

218

— Wybacz, Percy. Nie powinienem był tak się do ciebie zwracać - rzekł Leon skruszonym głosem.

— Nic się nie stało. - Percy wetknął pióro w kałamarz i wskazał mu krzesło po drugiej stronie stołu. - Taki sławny człowiek jak ty ma czasem prawo do humorów.

— Sarkazm to najniższa forma dowcipu - zachnął się ponownie Leon. - Jestem tu sławnym popychadłem.

— Masz! - Percy przysunął mu gazetę. - Przeczytaj. Ten artykuł podreperuje twoje morale.

Zaskoczony jego słowami, Leon zaczął przeglądać wycinki. Okazało się, że pochodzą z kilkunastu europejskich i północnoamerykańskich gazet i czasopism, od "Los Angeles Times" po berliński "Deutsche Allgemeine Zeitung". Liczba niemieckich artykułów przewyższała angielskie publikacje, co go zdumiało.

Niemiecki wyniesiony ze szkoły wystarczył, aby zdołał odczytać ich ton i przesłanie. W jednym z artykułów napisano: "To największy biały myśliwy w Afryce. Tak przynajmniej twierdzi syn amerykańskiego prezydenta". Poniżej zamieszczono zdjęcie Leona, na którym prezentował się w sposób nader heroiczny i dziarski. Odłożył stronę i sięgnął po następny wycinek ze zdjęciem przedstawiającym, jak wymienia uścisk dłoni z rozpromienionym Teddym Rooseveltem. Nagłówek głosił: "Wolę myśliwego, który ma szczęście, od zręcznego łowcy. Pułkownik Roosevelt składa gratulacje Leonowi Court-neyowi po upolowaniu olbrzymiego lwa ludojada".

Kolejny materiał zawierał zdjęcie Leona z parą długich, zakrzywionych ciosów słonia tworzących łuk nad jego głową. Poniżej umieszczono komentarz: "Największy myśliwy Afryki z rekordową parą słoniowych ciosów". Inne artykuły zdobyły zdjęcia Leona mierzącego ze sztucera do wymyślonej zdobyczy znajdującej się poza kadrem lub galopującego przez sawannę wśród stad dzikiej zwierzyny, zawsze zawadiackiego i czarującego. Kolumny tekstu długie na setki cali. Leon naliczył czterdzieści siedem artykułów. Ostatni ozdobiono nagłówkiem: "Ten człowiek ocalił mi życie. Niechże mi pan powie, czy

219

polowanie nie podnieca bardziej od zaliczenia osiemnastu dołków?". Poniżej dopisano "Andrew Fagan, zastępca redaktora naczelnego, American Associated Press".

Po przejrzaniu wycinków starannie je złożył i oddał Percy'emu, który odsunął je od siebie.

- Zabieraj to. Te artykuły to stek bzdur, niedobrze mi się robi od tych pochlebstw. Możesz je spalić lub oddać swojemu wujowi Penrodowi. To on je zebrał. Skoro o nim mowa, chce cię widzieć, lecz o tym później. Najpierw chcę, abyś przeczytał te listy. Są znacznie bardziej interesujące. - Percy przysunął mu stertę kopert.

Leon przejrzał kartki. Zauważył, że niemal wszystkie napisano na drogim welinie lub ciężkim lnianym papierze z pięknymi nagłówkami. Większość listów skreślono odręcznie. Kilka sporządzono na tańszej papeterii. Równie różnorodny był sposób, w jaki się do niego zwracano: "Herr Courtney, Glucklicher Jager, Nairobi, Afrika" lub "M. Courtney, Chasseur Extraordinaire, Nairobi, Afrique de l'Est", choć zdarzały się też prostsze określenia: "Największy afrykański myśliwy, Nairobi, Afryka".

Leon spojrzał na Percy'ego.

— Co to ma znaczyć?

— To listy od ludzi, którzy przeczytali artykuły Andrew Fagana

i chcą z tobą zapolować. Nieszczęsne, pogrążone w niewiedzy duszyczki. Nie wiedzą, co czynią-wyjaśnił lakonicznie Percy.

— Czemu je otworzyłeś, przecież zaadresowano je do mnie!? - spytał go surowo Leon.

— Sądziłem, że chciałbyś, abym to zrobił. Niektóre mogły wymagać pilnej odpowiedzi - odrzekł Percy z niewinnym uśmiechem i przepaszającym wzruszeniem ramion.

— Dżentelmen nie otwiera poczty adresowanej do innej osoby. - Leon spojrzał mu prosto w oczy.

— Nie jestem dżentelmenem, lecz twoim szefem. Nie za pominaj o tym, chłopcze.

— Mogę to zmienić w jednej chwili - odparł Leon, wyczuwając, że listy, które trzyma w dłoni, dają mu nową pozycję i władzę.

220

— Spokojnie, nie spiesz się tak, Leonie. Masz rację, nie powinienem był otwierać twoich listów. Przepraszam. Było to okrutnie prostackie z mojej strony.

— Drogi Percy, bezwarunkowo przyjmuję twoje szczere przeprosiny.

Milczeli, dopóki Leon nie przejrzał ostatniego z listów.

— Jest wśród nich list niemieckiej księżnej Isabelli von Hoherberg lub jakoś tak - przerwał milczenie Percy.

— Zauważyłem.

— Dołączyła fotografię - dodał usłużnie Percy. - Ow

szem, niczego sobie. Odpowiednia dla mężczyzny w moim wieku. Ale ty też wolisz dojrzałe niewiasty, prawda?

— Zamknij się, Percy. - Leon podniósł wzrok. - Resztę przeczytam później.

— Czy chwila jest stosowna, abyśmy pogadali o mojej propozycji spółki?

— Percy, jestem głęboko wzruszony. Ani przez chwilę nie sądziłem, że mówisz poważnie.

— Jak najbardziej.

— W porządku. Pogadajmy.

Niemal do wieczora omawiali szczegóły nowego finansowego przedsięwzięcia.

— Jeszcze jedno, Leonie. Będziesz musiał płacić za koszty z samochodu do celów prywatnych. Nie zamierzam sponsorować twoich romantycznych wypadów do Nairobi.

— Słusznie, Percy. Jeśli chcesz wprowadzić taki zapis do umowy, ja wprowadzę dwa inne.

Starszy mężczyzna spojrzał na niego podejrzliwie.

— Ciekawe jakie - rzekł, próbując ukryć zaniepokojenie.

— Po pierwsze, nazwa nowej firmy...

— "Phillips and Courtney Safaris", nie ma o czym mówić - Percy uciął pośpiesznie.

— Powinno być w porządku alfabetycznym, Percy. Co powiesz na "Courtney and Phillips Safaris" lub krócej "C & P Safaris"?

— To mój show, powinno być "P & C Safaris" - zaprotes-
tował Percy.

— Już nie, teraz będzie to nasze wspólne przedstawienie.

— Chojrak z ciebie, mały gnojku! Zagrajmy w orła i resz-
kę. - Wyciągnął z kieszeni srebrnego szylinga. - Orzeł czy
reszka?

— Orzeł! - powiedział Leon.

Percy zakręcił monetą i zasłonił dłonią, gdy upadła.

- Jesteś pewny, że chcesz orła?

- Daj spokój, Percy. Spójrzmy, co wypadło.

Stary myśliwy zajrzał pod dłoń i ciężko westchnął.

- Taki los spotyka starego samca, gdy młody lew poczuje
owies - rzekł nieszczęśliwie.

- Lwy nie jedzą owsa. Zobaczmy, co wypadło.

Percy pokazał monetę.

— W porządku, wygrałeś - skapitulował. - Niech będzie
"C & P Safaris". Jaki jest twój drugi warunek?

— Chcę, abyśmy antydatowali umowę spółki od pierwszego
dnia safari Roosevelta. Wypłacisz mi pełny udział za polowania
z Kermitem!

Percy udał, że nie wierzy własnym uszom.

— Przestań, Percy, złamiesz mi serce. - Leon się uśmiech-
nął.

— Bądź rozsądny, Leonie. Prosisz niemal o dwieście funtów.

- Mówiąc dokładnie, o dwieście piętnaście.
- Chcesz wykorzystać starego, schorowanego człowieka?
- Wyglądasz mi na zdrowego i krzepkiego gościa. No to jak, zgoda?
- Nie mam wyboru, ty bezduszny łotrze.
- Mam to uznać za zgodę?

Percy niechętnie skinął głową, a następnie wesoło wyciągnął prawicę. Wymienili uścisk i Percy uśmiechnął się triumfalnie.

- Byłbym się zgodził na trzydzieści procent udziału, gdybyś mnie bardziej przycisnęła, zamiast się zadowolić marnymi dwu dziesiątoma pięcioma procentami.

222

- Przystałbym na dwieście, gdybyś mnie trochę dłużej przetrzymała - odparł Leon z równie chytrym uśmiechem.
 - Witaj na pokładzie, współniku. Myślę, że będzie się nam dobrze układać. Jak mniemam, chcesz, abym natychmiast wyplacił ci te dwieście piętnaście funtów? Nie poczekałbyś tak do końca miesiąca?
 - Jak zawsze masz rację. Chcę pieniędzy natychmiast.
- Jeszcze jedno. Niemal od roku nie miałem czasu dla siebie. Wezmę kilka dni wolnego. Będę potrzebował samochodu. Mam sprawę w Nairobi, może nawet pojedę ciut dalej.
- Przekaż tej damie, kimkolwiek jest, moje najserdeczniejsze pozdrowienia.
 - Percy, powinienem był cię ostrzec, że masz rozpięty

rozporek, przez który wystaje ci rozum.

Dotarwszy do Nairobi, Leon wstąpił najpierw do centrali Kompanii Handlowej Jeziora Wiktorii przy głównej ulicy. Silnik vauxhalla nadal terkotał i strzelał z gaźnika, przygotowując się do ostatecznego zamknięcia, kiedy wielmożny Goolam Vilab-dži wypadł ze sklepu, aby go powitać. Tuż za nim podążała pani Vilab-dži i stadko małych cherubinków o karmelowej cerze, kruczoczarnych włosach i olbrzymich błyszczących czarnych oczach, ubranych w lśniące sari i ćwierkających jak szpaki.

Vilab-dži chwycił dłoń Leona, zanim ten zdążył wysiąść z samochodu, i energicznie potrząsnął.

- Jesteś u nas po tysiącuroć i jeden raz serdecznie witany, czcigodny sahib. Od czasu pana ostatniej wizyty moje oczy nie doznały większej radości. - Mówiąc to, wprowadził Leona do sklepu, nie puszczać jego dłoni. Wolną ręką odgonił gromadkę dzieci. - Zmiatajcie stąd! Dajcie nam spokój! Cóż za nieznośne dzieciaki. Nikczemne małe dzikuski! - zawołał, lecz córki nie zareagowały, odsunęły się jedynie nieco dalej. - Wybacz i zapomnij o nich, sahib\ Cóż można zrobić?

223

Mimo moich usilnych starań pani Vilab-dži wydaje na świat same dziewczynki.

— Wszystkie są niezwykle urodziwe - zauważył z galan

terią Leon. Najmniejsza, zachęcona jego słowami, przebiegła

pod kołyszącą się bezwładnie ojcowską ręką i dotknęła czubków

palców Leona, pomagając ojcu wprowadzić go do środka.

— Niech pan wejdzie! Zapraszamy, sahib. Jest pan tu po

tysiącuroć witany gościem. - Wielmożny Vilab-dži i jego

mały cherubinek zaprowadzili go do kantoru na zapleczu.

Barwne przedstawienia zielonolicy bogini Kali o mnóstwie

ramion oraz wizerunek Ganeszy, bóstwa o głowie słonia, zostały

przesunięte na koniec ściany, aby zrobić miejsce nowemu

nabytkowi. Było to duża złota ramka z drewnianą, bogato

rzeźbioną tabliczką, na której wymalowano złoty liść.

Z najwyższym szacunkiem dedykowane wielmożnemu

sahibowi Leonowi Courtneyowi, słynnemu graczowi polo

i wielkiemu shikari.

Szanowanemu, umiłowanemu przyjacielowi i dobremu

towarzyszowi pułkownika Theodore 'a Roosevelta,

Prezydenta Stanów Zjednoczonych Ameryki,

i wielmożnego Goolama Vilab-dzi.

Za szklaną ramką znajdowało się kilka wycinków z angielskich gazet pochodzących z agencji American Associated Press.

— Cała nasza rodzina żywi nadzieję i prosi bogów, abyś zechciał pan podpisać jedną z owych znakomitych publikacji, by mogła się stać perłą w kolekcji memorabiliów dokumentujących naszą przyjaźń.

— Nic nie sprawiłoby mi większej przyjemności, panie Vilab-dzi - odparł głęboko wzruszony Leon. Dziewczynki otoczyły go ciasnym kołem, gdy podpisywał swoją fotografię: "Mojemu dobremu przyjacielowi i dobroczyńcy, wielmożnemu Goolamowi Vilab-dzi, szczerze oddany, Leon Courtney".

224

- Do końca mych dni będę strzegł tego autografu - rzekł kupiec, wzdychając głęboko. - Jak miemam, chcesz odkupić cios, który dla ciebie przechowuję.

Kiedy Manyoro i Loikot wynosili cios do samochodu, Leon szedł za nimi z dziewczynkami uczepionymi rąk i nogawek spodni. Z najwyższym trudem uwolnił się od nich i usiadł za kierownicą, aby wyruszyć do Muthaiga Country Club, którego ceglane, pokryte różową farbą ściany zastąpiły dawny pobielany Settlers' Club znajdujący się obecnie z dala od ruchliwej głównej ulicy.

Wuj Penrod oczekiwał go w barze dla członków. Kiedy pułkownik podniósł się, by go powitać, Leon zauważył, że nieco przytył, szczególnie w pasie. Od czasu ich ostatniego spotkania ponad rok temu pułkownik z człowieka o krzepkiej budowie ciała zamienił się w korpulentnego osobnika. Na jego wąsach pojawiły się ślady siwizny.

— Zjemy razem lunch? - spytał pułkownik, gdy uścisnęli

sobie dłonie. - Szef kuchni serwuje dzisiaj stek i cynaderki.

Uwielbiam tę potrawę. Nie chcę, aby motłoch dobrał się do tych specjałów przede mną. Porozmawiamy przy posiłku. -

Mówiąc to, zaprowadził Leona do ustronnego stolika na tarasie pod pergolą fioletowych bugenwilli, z dala od innych gości.

Wetknął białą serwetkę za kołnierz i zapytał: - Jak mniemam,

Percy pokazał ci artykuły napisane przez tego jankesa Andrew

Fagana oraz listy sławnych ludzi, które otrzymałeś w odpowiedzi?

— Tak - odparł Leon. - Szczerze mówiąc, wprawiły mnie w pewne zakłopotanie. Ludzie zrobili wokół tego wielkie zamieszanie. Z pewnością nie jestem największym myśliwym Afryki. Kermit Roosevelt raczył sobie zażartować, a Fagan przyjął to poważnie. Szczerze mówiąc, nadal jestem żółto dziobem.

— Nigdy się do tego nie przyznawaj, Leonie. Niech sobie myślą, co chcą. Tak czy inaczej, słyszę, że szybko się uczysz. -

Penrod uśmiechnął się z widocznym zadowoleniem. - Szczerze

225

powiedziawszy, dołożyłem do tego podstępu własne pięć groszy. Było to, jak mniemam, eleganckie i mistrzowskie posunięcie.

— W jaki sposób, wuju? - spytał ze zdumieniem Leon.

— Byłem w Londynie, kiedy ukazał się pierwszy artykuł.

Wpadłem wówczas na świetny pomysł. Zatelegrafowałem do attache wojskowego naszej ambasady w Berlinie, prosząc, aby

podsunął te publikacje przedstawicielom niemieckiej prasy, szczególnie dziennikarzom pism sportowych i łowieckich czy tanych przez wyższą warstwę społeczeństwa. Większość niemieckiej arystokracji, podobnie jak ich angielscy odpowiednicy, to zapaleni miłośnicy sportu i łowiectwa. Ukułem plan, aby zwabić ich na safari w twoim towarzystwie. Dostarczy ci to okazji do gromadzenia różnego rodzaju informacji wywiadowczych, które okażą się bezcenne, gdy przyjdzie nam z nimi walczyć.

— Czemu mieliby mi się zwierzać, wuju?

— Chłopcze, nie sądzę, abyś był całkiem nieświadomy swojego uroku osobistego. Ludzie cię lubią, szczególnie Frauen i mademoiselle. Podczas safari, na łonie matki natury i jej stworzeń, otwierają się nawet najbardziej powściągliwi. Wy zbywają się zahamowań i swobodnie wypowiadają opinie. Nie wspomnę, że atmosfera safari sprzyja rozluźnieniu sznurków damskich gorsetów i reform. Czemu jakaś ważna persona z Niemiec kajzera, na przykład poważny biznesmen zajmujący się produkcją broni lub jedna z jego towarzyszek, miałaby podejrzewać, że taki świeży i niewinny młodzieniec jest nikczemnym szpiegiem? - Penrod skinął palcem na szefa kelnerów, który czekał w pobliżu w powłóczystej sięgającej kostek kanzy. - Malonzi! Byłbyś łaskaw przynieść nam butelkę chateau margaux rocznik tysiąc osiemset siedemdziesiąty dziewięć z mojego prywatnego zapasu?

Malonzi wrócił po chwili, niosąc nieco zakurzoną butelkę bordo w białych rękawiczkach, pełen nabożnej czci, na jaką zasługiwała. Penrod obserwował, jak uroczyście wyjmuje korek, wacha go, a następnie przelewa do karafki lśniący czerwony

226

trunek. Nalał kilka kropel do kryształowego kieliszka. Pułkownik zakręcił naczyniem, wdychając winny bukiet.

- Doskonałe! Myślą, że w nim zagustujesz, Leonie. Hrabia

Millet-Will otrzymał za ten rocznik Premier Grand Cru Class.

Kiedy Leon wyraził uznanie dla tak zacnego trunku, Penrod skinął Malonziemu, aby przyniósł talerze z gorącym stekiem i cynaderkami pokrytymi złocistą skorupką. Zaczął jeść, mówiąc z pełnymi ustami:

— Pozwoliłem sobie przejrzeć twoją korespondencję, szczególnie z Niemiec. Musiałem sprawdzić, jakie ryby schwytaliśmy w sieci. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu?

— Nie, wuju. Możesz przeglądać moje listy.

— Wybrałem sześć, które uznałem za szczególnie godne uwagi, a następnie zatelegrafowałem do wojskowego attache naszej ambasady w Berlinie, prosząc o przesłanie politycznej charakterystyki nadawców.

Leon skinął ostrożnie głową.

— Cztery ze wspomnianych osób to wpływowe postacie w kręgach towarzyskich, politycznych lub wojskowych. Są z pewnością wtajemniczone we wszystkie tajemnice państwowe.

Jeśli nie należą do tajnej rady kajzera, z pewnością są jego powiernikami. Wiedzą o jego zamiarach wobec Europy, a także Wielkiej Brytanii i całego naszego imperium. - Leon ponownie skinął głową, a Penrod ciągnął: - Omówiłem tę sprawę z Per-

cym Phillipsem. Powiedziałem mu, że przede wszystkim jesteś oficerem brytyjskiego wywiadu wojskowego. Zgodził się współ pracować z nami w każdy możliwy sposób.

— Rozumiem.

— Spośród kandydatów wybraliśmy księżną Isabellę Madeleine Hoherberg von Preussen von und zu Hohenzollern. Jest kuzynką kajzera, a jej mąż to nikt inny jak feldmarszałek Walter Augustus von Hoherberg zaliczany do kręgu najwyższego niemieckiego dowództwa.

Leon przybrał minę mającą oznaczać, że to zrobiło na nim wrażenie.

227

— Nawiasem mówiąc, jak tam twój niemiecki, Leonie?

— Kiedyś był na przeciętnym poziomie, lecz obecnie trochę zardzewiał. W szkole uczyłem się niemieckiego i francuskiego, wuju.

— Dowiedziałem się tego z akt. Wygląda na to, że języki należały do twoich głównych przedmiotów. Musisz mieć do nich talent. Percy powiedział mi, że płynnie władasz językami kisuahili i maa. Miałeś wiele kontaktów z osobami mówiącymi po niemiecku?

— Razem z grupką uczniów podczas wakacji wybraliśmy się do Szwarcwaldu. Poznaliśmy kilku miejscowych, z którymi dobrze mi się układało. Pamiętam dziewczynę, Ulrike.

— To najlepszy sposób nauki języka - zauważył Pen-

rod. - W łóżku.

— Przykro mówić, lecz do tego nie doszliśmy.

— Powinienem być się domyślić... taki dobrze wychowany młodzieniec jak ty... - Penrod się uśmiechnął. - Tak czy owak, lepiej, abyś się podszkolił. Od tej pory będziesz spędzał wiele czasu w towarzystwie Niemców. Często pewnie w pościeli, zważywszy na twój pociąg do Fraulein z wyższych warstw społecznych. Czy to może pozostawać w sprzeczności z twoimi wysokimi zasadami etycznymi?

— Spróbuję sobie z tym poradzić, wuju - odrzekł Leon, ledwie ukrywając uśmiech.

— Porządny z ciebie facet! Nie zapominaj, że będziesz to robił dla króla i ojczyzny.

— Któż może odmówić, gdy obowiązek wzywa? - spytał Leon.

— Otóż to! Sam nie ująłbym tego lepiej. Nie obawiaj się, znalazłem ci już nauczyciela. Nazywa się Max Rosenthal.

Zanim wyjechał do Niemieckiej Afryki Wschodniej, pracował jako inżynier w Meerbach Motoren Werke w Wieskirche. Kilka lat po osiedleniu prowadził hotel w Dar es-Salaam. Nadmierna skłonność do koniaku, która się wówczas objawiła, kosztowała go utratę posady. Ma przejściowe okresy pijaństwa. Na trzeźwo

228

jest znakomitym pracownikiem. Przekonałem Percy'ego, by zatrudnił go u siebie do prowadzenia obozów podczas safari, abyś miał okazję podszlifować język.

Kiedy rozstawali się na schodach klubu, Penrod ujął go konspiracyjnie pod ramię i szepnął poważnym tonem:

- Wiem, że nie masz pojęcia o szpiegostwie, więc coś ci poradzę. Niczego nie zapisuj. Nie rób notatek. Zamiast pisać, zapamiętaj i opowiedz mi, gdy się ponownie spotkamy.

Leon poznał Maksą Rosenthala w Tandali. Niemiec okazał się potężnie zbudowanym Bawarczykiem, o wielkich dłoniach i stopach oraz bezceremonialnym i jowialnym stylu bycia. Polubił go od pierwszej chwili.

- Witaj - powiedział, gdy uścisnęli sobie dłonie. - Bę

dziemy razem pracowali. Jestem pewien, że dobrze się poznamy.

Max zachichotał, wprawiając w drżenie spory brzuch.

— Widzę, że znasz niemiecki. To znakomicie.

— Bardzo słabo - poprawił Leon. - Lecz tym mi w tym

pomożesz.

Max niemal natychmiast okazał się bezcennym, uzdolnionym nauczycielem oraz pracowitym, wydajnym robotnikiem. Pomagał Leonowi w wielu prozaicznych pracach, takich jak zorganizowanie obozu i zapewnienie dostaw. Tworzyli znakomitą parę z Hen-niem du Randem, dzięki czemu Leon nie musiał się zajmować sprawami organizacyjnymi i gospodarczymi. Leon postanowił, że będzie rozmawiał z Maksem jedynie po niemiecku, i w rezultacie jego znajomość języka bardzo szybko się poprawiła.

Na tydzień przed przyjazdem lorda Eastmonta Leon otrzymał telegram z Berlina, zawiadamiający, że Isabella Madeleine Hoherberg von Preussen von und zu Hohenzollern postanowiła przybyć do Afryki następnym niemieckim liniowcem, SS Admirał, wypływającym z Bremerhaven. Obowiązki na dworze pozwalały jej spędzić w Afryce zaledwie sześć tygodni. Oczekiwała, że wszystko będzie gotowe na jej przyjazd.

229

Wiadomość ta sprawiła, że obóz Tandala ogarnęła gorączka pracy. Percy biegał po obozie, raczej przeszkadzając, niż pomagając w szaleńczych przygotowaniach do przyjazdu lorda Eastmonta. Mieli prowadzić równocześnie dwa duże safari, czego nie robili nigdy wcześniej. Ratowało ich tylko to, że księżna mogła pozostać w Afryce jedynie sześć tygodni, a lord Eastmont planował przygodę trwającą cztery miesiące. Leon zdołał ugłaskać Percy'ego, mówiąc, że gdy tylko księżna odpłynie do Niemiec, on i jego ludzie pospieszą mu z pomocą i będą do jego dyspozycji do końca wyprawy.

Kiedy księżna wpłynęła do laguny Kilindini na pokładzie SS Admirał, Leon udał się na statek, aby ją powitać. Czekał niemal godzinę, zanim zdecydowała się opuścić swój królewski apartament. W końcu przeszła zejściówką na główny pokład w towarzystwie kapitana i czterech starszych oficerów nadskakujących jej służalczo. Z tyłu podążała reszta świty - osobisty sekretarz i dwie pulchne, urodziwe służące.

Widok księżnej wprawił go w zdumienie. Leon oglądał jej fotografie, lecz mimo to nie był przygotowany na to, co zobaczył. W pierwszej chwili jego uwagę zwrócił wysoki wzrost i szczupła sylwetka Niemki. Choć niemal dorównywała mu wzrostem, w talii mógłby opasać ją dłońmi. Miała mały biust i władcze maniery. Spojrzenie stalowych oczu było przenikliwe jak rapier, a rysy twarzy ostre niczym piła. Miała na sobie elegancko skrojony zielony kostium z lodenu sięgający do kostek. Spod spódnicy wystawały czubki butów z lśniącej drogiej skóry. Zdziwił się, widząc lugera kalibru dziewięć milimetrów zawieszzonego w kaburze u pasa i kapelusz do

safari z szerokim rondem, który trzymała w lewej dłoni. Jej popielatoblond włosy były związane dwoma tasiemkami i upięte na czubku głowy. Leon wiedział od Penroda, że Niemka ma pięćdziesiąt dwa lata, lecz wyglądała na trzydzieści.

- Do usług Waszej Wysokości.

Nie odpowiedziała na jego ukłon, lecz spojrzała tak, jakby puścił wyjątkowo śmierdzącego bąka.

- Jesteś bardzo młody - oznajmiła w końcu lodowatym tonem.

- Przepraszam za tę niefortunną okoliczność, Wasza Wysokość. Mam nadzieję, że z czasem poczynię postępy.

Nie uśmiechnęła się.

- Powiedziałałam, że jesteś młody, a nie zbyt młody - poprawiła, wyciągając rękę na powitanie.

Kiedy ją ujął, okazała się równie chłodna i twarda, jak wyraz jej twarzy. Ucałował powietrze w odległości centymetra od kościstych białych knykci. Siatka maleńkich poprzecznych zmarszczek zdradzała jej wiek.

- Gubernator Brytyjskiej Anglii Wschodniej oddał do dyspozycji Waszej Wysokości prywatny wagon, aby mogła odbyć

nim pani podróż do Nairobi - zakomunikował Leon.

- Ja! Oczekiwałam tego, to ze wszech miar stosowne - przytaknęła.

- Jego Ekscelencja błaga, abyś zechciała, pani, przybyć jako gość honorowy na uroczysty obiad wydany w jego rezydencji. W czasie, który będzie odpowiadał Waszej Wysokości.

- Nie przyjechałam do Afryki, aby biesiadować w towarzystwie urzędników niższej rangi. Przybyłam, aby zabijać zwierzęta. Dużo zwierząt.

Leon skłonił się ponownie.

— Wyruszymy natychmiast, proszę pani. Czy Wasza Wysokość chce polować na jakieś konkretne zwierzęta?

— Na lwy i świnie! - odpowiedziała.

— Co Wasza Wysokość powie na kilka słoni i bawołów?

— Nie! Interesują mnie wyłącznie lwy i świnie o długich

Kłach.

Zanim wyruszyli, księżna osobiście wypróbowała każdego wierzchowca czystej krwi, którego jej przygotował. Jeździła po męsku. Leon obserwował, jak z pogardą przygląda się pierwszemu koniowi, dwukrotnie obchodzi zwierzę, zręcznie

231

wskakuje na siodło i nagina wierzchowca do swojej woli. Zrozumiał, że księżna jest znakomitym jeźdźcem. Szczerze mówiąc, nie dorastała jej do pięt żadna ze znanych mu kobiet.

Wyjechawszy z Tandali, znaleźli się wśród stad dzikiej zwierzyny. Księżna zapomniała o swojej słabości do lwów i świń i stała się znacznie mniej wybredna. Miała piękny mały sztucer, Mannlicher 9.3x74, wyprodukowany przez Josepha Justa z Feriach, ozdobiony złotymi płytkami, na których Wilhelm Röder wyrył sceny przedstawiające flirtujących faunów i nagie nimfy. Kiedy z odległości trzystu jardów trzema kolejnymi strzałami położyła trzy biegnące gazy Granta, nie zsiadając z konia, Leon uznał, że to najlepszy strzelec, z jakim miał w życiu do czynienia.

- Chcę upolować dużo zwierząt - oznajmiła, przeładowując mannlichera i uśmiechając się po raz pierwszy od czasu przybycia do Afryki.

Kiedy zabrał księżnę na górę Lonsonyo, aby poznała Lu-simę, zaskoczył go sposób, w jaki na siebie zareagowały. Mówiąc w przenośni, wygięły grzbiety i zaczęły prychać jak dwie kotki.

— M'bogo, tą kobietą miota wiele głębokich, mrocznych namiętności. Nie przeniknie jej żaden człowiek. Jest jadowita jak mamba. Nie ją ci obiecałam. Miej się na baczności - ostrzegła Leona.

— Co powiedziała ta suka? - warknęła księżna. Wrogość, jaką się wzajemnie darzyły, wręcz iskrzyła.

— Powiedziała, że posiadasz, pani, wielką władzę.

- Powiedz tej wielkiej krowie, aby o tym nie zapomniała.

Podczas obrzędu błogosławienia broni pod drzewem narad

Lusima wyłoniła się z chaty w uroczystym stroju. W odległości dziesięciu kroków od mannlichera leżącego na lwiej skórze zamarła. Jej twarz przybrała barwę wyschłej gliny.

- Co cię zaniepokoiło, Mamo? - spytał szeptem Leon.

232

— W jej bunduki czai się zło. Ta kobieta o białych włosach jest równie wielkim czarownikiem jak ja. Rzuciła na swoją bunduki zaklęcie, które mnie przeraża. - Po tych słowach zawróciła do chatki. - Nie wyjdę, dopóki ta wiedźma nie opuści góry Lonsonyo.

— Lusima zachorowała. Musiała wrócić do chaty, aby od począć - przetłumaczył Leon.

— Ja! Dobrze wiem, co ją niepokoi. - Księżna rzuciła mu uśmiech, wykrzywiając wąskie wargi.

Dwadzieścia dni później, kiedy znaleźli się w krainie, gdzie zdaniem Manyoro i Loikota nie było żadnych lwów, wyruszyli z obozowiska, aby upolować kolejne dziki. Księżna zabiła już ponad pięćdziesiąt sztuk, w tym dwa samce z niewiarygodnie długimi kłami. W odległości pół mili od obozu natknęli się na ogromnego samotnego lwa z czarną grzywą stojącego pośrodku otwartej trawiastej vlei. Bez chwili wahania, nie zsiadając z siodła, uniosła małego mannlichera i z chirurgiczną precyzją wpakowała kulę w mózg zwierzęcia.

Choć dwaj Masajowie powinni wybuchnąć radością na widok takiego wyczynu, odeszli bez słowa, aby obdrzeć zdobycz ze skóry. Leon był zmuszony złożyć gratulacje, które księżna całkiem zignorowała. Usłyszał, jak Loikot mruczy do Manyoro:

— Tego lwa nie powinno tu być. Skąd się, u licha, wziął?

— Wezwała go Nywele Mweupe - odrzekł ponuro Manyoro. Nadali księżnej nowe imię, które w języku suahili znaczyło "Białe Włosa". Manyoro nie łączył go jednak ze zwrotami grzecznościowymi wyrażającymi szacunek, takimi jak mem-sahib lub beibi.

— Głupio mówisz, Manyoro - zbeształ go Leon. - Samiec poczuł woń zabitych dzików. - Wyczuł bunt. Najwidoczniej Lusima zamieniła z nim kilka słów.

— Bwana wie najlepiej - przytaknął z ostentacyjną grzecznością Manyoro, lecz żaden z Masajów nie spojrzał na Leona

233

ani się nie uśmiechnął. Kiedy skończyli zdejmowanie skóry, nie odtanńczyli tańca lwa dla księżnej. Zamiast tego usiedli w oddali i zażyli tabaki. Kiedy Leon wspomniał, że o czymś zapomnieli, Manyoro nie odrzekł ani słowa.

- Jesteśmy zbyt zmęczeni, aby tańczyć - mruknął Loikot.

Gdy zarzucił na ramię lwia skórę i zaczął iść w stronę obozu,

Manyoro powłókł się za nim, przesadnie utykając na nogę, którą trafiła strzała Nandi. Okazywał w ten sposób swój protest i dezaprobatę.

Po powrocie do obozu księżna zeskoczyła z konia i ruszyła do namiotu kantyny, gdzie opadła na płócienne krzesło. Rzuciła pejcz na stół, zdjęła kapelusz i cisnęła go w głęb namiotu.

- Courtney, każ swojemu kucharzowi próżniakowi przy
nieść kawę.

Leon przekazał polecenie do kuchennego namiotu, a kilka minut później Izmael wpadł do kantyny z parującym porcelanowym dzbankiem na srebrnej tacy. Postawił ją na stole, napełnił filiżankę i podał księżnej. Następnie stanął za jej krzesłem, czekając, by pozwoliła mu odejść.

Księżna uniosła filiżankę do ust i pociągnęła łyk. Wykrzywiła twarz z niesmakiem i cisnęła naczynie wraz z zawartością

o przeciwległą ścianę namiotu.

- Masz mnie za maciorę, że mi podajesz takie pomyje?! -

wrzasnęła. Skoczyła na równe nogi, chwytając leżący na stole

pejcz. - Nauczę cię szacunku, dzikusie! - Uniosła rękę, by

uderzyć go pejczem w twarz. Izmael patrzył na nią zdumiony

1 przerażony, nie próbując się bronić.

Leon zerwał się i chwycił ją za nadgarstek, zanim zdążyła wymierzyć uderzenie.

- Wasza Wysokość, wśród moich ludzi nie ma dzikusów.

Jeśli chce pani kontynuować safari, proszę o tym pamiętać. -

Bez trudu przytrzymał szamoczącą się kobietę. - Powinna

pani pójść do swojego namiotu i odpocząć przed obiadem -

ciągnął. - Ogarnęła Waszą Wysokość nadmierna euforia po

upolowaniu lwa.

234

Kiedy ją puścił, wypadła z namiotu jak burza. Nie pojawiła się nawet wówczas, gdy Izmael uderzył w gong, zapowiadając obiad. Leon spożył wieczerzę samotnie. Przed udaniem się na spoczynek dyskretnie sprawdził jej namiot i zauważył, że w środku pali się lampa. Wrócił do siebie i otworzył dziennik safari. Kiedy miał zamiar skreślić słówko o incydencie w kantynie, przypomniał sobie ostrzeżenie Penroda. Zamiast wyrazić swoje uczucia, napisał: "Dzisiaj księżna jeszcze raz dowiodła, że jest znakomitą

amazonką i myśliwym. Z imponującym opanowaniem zabiła potężnego lwa. Im dłużej się jej przyglądam, tym bardziej podziwiam jej umiejętności łowieckie".

Osuszył atrament, włożył dziennik do szuflady przenośnego biurka i przekręcił klucz. Później przez pół godziny czytał książkę wuja Penroda, w której ten opisywał swoje przeżycia z okresu wojny burskiej. Nosiła tytuł Do Pretorii u boku Kitchenera. Odłożył ją, gdy powieki zaczęły mu opadać, rozebrał się i wszedł za moskitierę. Zgasił lampę i ułożył się wygodnie do snu.

Ledwie zamknął oczy i zaczął zasypiać, od strony namiotu księżnej doleciał głośny huk pistoletowego wystrzału. W pierwszej chwili pomyślał, że wdarło się do niego jakieś groźne zwierzę, lew lub lampart. Wygrzebał się zza moskitiery i chwycił potężnego hollanda, który stał w pogotowiu obok łóżka, przygotowany na taką okazję. Wybiegł z namiotu w spodniach od pidżamy i popędził do jej namiotu. Zauważył, że lampa nadal się pali.

- Nic wam się nie stało, Wasza Wysokość?! - zawołał. Kiedy nie otrzymał odpowiedzi, rozsunął połę namiotu i wpadł do środka ze sztucerem gotowym do strzału. Zamarł ze zdumienia. Księżna stała przodem do niego pośrodku namiotu. Srebrzyste włosy spływały kaskadami na ramiona, sięgając talii. Miała na sobie niemal przezroczystą koszulę nocną. Lampa stała za nią, odsłaniając każdy szczegół jej wysokiego, szczupłego ciała. Miała nagie stopy, zdumiewająco kształtne i małe. W jednej ręce trzymała pejcz, w drugiej lugera. W powietrzu

235

czuć było woń prochu. Twarz Niemki wykrzywiła furia, gniewne oczy lśniły jak szlifowane szafiry. Cisnęła pistolet na ogromne łożo zajmujące połowę namiotu.

— Wieprzu! Sądzisz, że pozwolę się tak traktować na oczach

— służby?! -ryknęła, przystępując do niego energicznie i groźnie

— kołyszac pejczem. - Nie jesteś lepszy od tych kreatur, które dla ciebie pracują!

— Wasza Wysokość, proszę się opanować - ostrzegł.

— Jak śmiesz zwracać się do mnie w taki sposób? Jestem księżną z rodu Hohenzollernów, a ty prostakiem z gminu!

Nędznym kundlem! - Jej angielszczyzna była nienaganna.

Uśmiechnęła się lodowato. - Nareszcie! W końcu i ciebie ogarnął gniew, pacholku! Chciałbyś odpowiedzieć, lecz nie masz śmiałości. Jesteś zbyt miękki. Nie masz dość odwagi.

Nienawidzisz mnie, lecz musisz znosić każdą zniewagę.

Cisnęła pejcz do jego stóp.

— Odłóż karabin. Nie zdołasz nim wzmocnić swojej zwiotczałej męskości. Podnieś pejcz! - Leon położył karabin u wejścia do namiotu i podniósł pejcz. Trząś się z wściekłości. Jej zniewagi ubodły go okrutnie, był bliski utraty panowania nad sobą. Nie był pewien, co zrobić z pejczem, lecz ten idealnie leżał mu w dłoni.

— Wszystko w porządku, M'bogo?! Słyszeliśmy strzały.

Coś się stało? - zawołał cicho Manyoro zza poły namiotu.

Księżna cofnęła się kilka kroków.

— Odejdź, Manyoro! Zabierz gapiów. Niech żaden nie waży się wrócić, dopóki nie zawołam - odkrzyknął Leon.

— Ndio, bwana.

Ustyszał ciche kroki wycofujących się ludzi.

- Trzeba było poprosić, aby ci pomogli! - roześmiała się. - Nie masz odwagi sam się ze mną zmierzyć. - Nagle nieoczekiwanie splunęła mu w twarz. Zamierzył się instynktownie, smagając ją w policzek. Cofnęła się, chwytając czerwony ślad i jęcząc żałośnie. - Tak! Zasłużyłam na to! Jesteś taki władczy, gdy się złościysz! - Rzuciła się do jego stóp,

obejmując rękami kolana. Zadrżał z niesmakiem, odrzucając pejcz w kąt namiotu.

— Życzę dobrej nocy, Wasza Wysokość. - Próbował wyjść,

lecz chwyciła go ze zdumiewającą siłą. Kiedy przewrócił się

na łóżko, przygniotła go swoim ciałem. - Zwariowałaś? -

zapytał.

— Tak! - odpowiedziała. - Zwariowałam na twoim

punkcie.

Wypuściła go dopiero godzinę przed świtem. W drodze do łóżka zauważył, że namioty jej pracowników, sekretarza i służących są pogrążone w ciemności mimo krzyków ich pani i przeciągających się do późna hałasów. Wyglądało na to, że wszyscy dawno przywykli do jej ekscesów.

Następnego ranka podczas śniadania zachowywała się tak, jakby do niczego nie doszło. Wrzeszczała na służące, sarkastycznie potraktowała sekretarza i całkiem zignorowała Leona. Nie odpowiedziała nawet na jego uprzejme powitanie, dopóki nie skończyła drugiej filiżanki kawy. Później wstała od stołu i oznajmia:

- Courtney, dzisiaj mam ochotę zapolować na świnie.

Leon zorganizował kilka małych nagonek, które dostarczały księżnej nieustającej przyjemności. Razem z tropicielami osaczyli dziki w gęstych zaroślach, a następnie ustawili księżną na pozycji do strzału, na otwartej przestrzeni za krzakami, aby zagnać zwierzęta w jej stronę. Kiedy dziki wypadały z ukrycia, zaczęła do nich strzelać z mannlichera. Nauczyła Heidi, ładniejszą ze służących, jak ładować broń. Magazynek mieścił sześć naboju, a księżna w jednej chwili zastępowała go pełnym. Otwierała zamek, wysuwała magazynek i odrzucała go za siebie. Heidi chwyciła go w locie i ładowała zwinnymi różowymi palcami, od dzieciństwa nawykłymi do ręcznych robótek. W tym czasie księżna wsuwała pełny do zamka i strzelała bez przerwy. Szybkość ognia niemal dorównywała celności.

W ciągu dwunastu sekund potrafiła oddać dwanaście strzałów. Bywało, że dzik nie chciał współpracować z naganiaczami, czmychając z krzaków w nieoczekiwanym kierunku lub cofając się w ich stronę i nie dając księżnej okazji do strzału. Wówczas jej wysokość wpadała w zimną furję, pomstując na Leona i jego

ludzi lub pogrążając się w lodowatym milczeniu, z którego mogła ją wyrwać jedynie perspektywa zabicia kolejnego zwierzęcia.

Późnym popołudniem Leon i jego naganiacze, wzmocnieni przez Maksa Rosenthala, Izmaela i garbarzy, zdołali dotrzeć do obozu największą białą białą tego safari. Jechali z dwudziestoma trzema dzikami - knurami, maciorami i młodymi - za księżną i jej służką. Tego dnia jej wysokość zdołała upolować dwadzieścia dwie sztuki. Uciekła jedynie chuda stara maciora, czmychając księżnej pod nogami, gdy ta najmniej się tego spodziewała, i powalając ją na ziemię. Niemka usiadła ze spódnicą podwiniętą za kolana i kapeluszem naciągniętym na oczy.

- Ty parszywa mała oszustko! - wrzasnęła, kiedy maciora zniknęła w zaroślach, z ogonem zadartym w górę jak chorągiew.

Tego wieczoru podczas kolacji księżna była miła i wylewna, choć nie do końca. Skłoniła Leona, aby wypił drugą lampkę znakomitego kruga i obrała kiść winogron długimi białymi palcami, wsuwając je między pulchne wargi Heidi.

- Jedz, kochanie! Zasłużyłaś. - Później warknęła na sekretarza i kazała mu odejść od stołu, bo wziął palcami kawałek kotleta z guźca i nie przeprosił za złe maniery. Kiedy skończyła posiłek, wstała i bez słowa poszła do swojego namiotu.

Leon miał za sobą długi, upalny i ciężki dzień, więc liczył na to, że tej nocy zdoła się zdrzemnąć. Właśnie umył zęby i zaczął zapinać pidżamę, gdy do jego uszu doleciał ogłuszający huk.

238

- Za króla i ojczyznę! - jęknął, wlokąc się do jej namiotu.

Zaintrygowała go rozrywka, którą księżna przygotowała na ten wieczór.

Jej wysokość wyciągnęła się ospale na wielkim łożu. Nie była jednak sama. Jej służąca, Heidi, klęczała nago pośrodku namiotu. Na plecach miała miniaturowe siodło i złotą uzdę w ustach. Maleńkie złote dzwoneczki u lejc zadzwoniły, gdy przekręciła głowę i zarżała.

- Twoja klacz cię oczekuje, Courtney - oznajmiła księż

na. - Chcesz się przejechać?

Kiedy wyczerpały jej się pomysły, odesłała Heidi, lecz gdy Leon ruszył za dziewczyną, zatrzymała go.

- Nie powiedziałam, że możesz odejść, Courtney. - Prze

kręciła się na bok i klepnęła materac obok siebie. - Zostań,

a opowiem ci o złych i wspaniałych rzeczach, które robię

z moimi przyjaciółmi w Berlinie.

Materac z gęsiego pierza był cudownie miękki i ciepły. Leon wyciągnął się na nim. Początkowo słuchał bezmyślnie jej anegdot. Były tak pełne przesady, że musiały zostać zmyślane. Bajeczki z rodzaju tych, które czarty szepczą na ucho swoim młodym. Wspominała o czarach i kulcie szatana, obscenicznych i świętokradczych rytuałach.

Później poczuł, że włos mu się jeży na grzbiecie, gdy zaczął sobie uświadamiać, że wymienia czołowych niemieckich arystokratów i wojskowych. Zabawne i skandaliczne nowinki zamieniły się w polityczny dynamit. Co Penrod zrobi z tak wybuchowymi informacjami? Czy uwierzy w choć jedno słowo?

Następnego wieczoru, wypełniając dziennik safari po ciężkim dniu, próbował przypomnieć sobie każde nazwisko wymienione przez księżnę. Zaczął je spisywać na jednej z ostatnich kart. Kiedy skończył, było ich szesnaście. Już miał zamiar zamknąć dziennik w szufladzie, gdy poczuł się nieswojo.

239

1

Przecież nikt oprócz Penroda i mnie tego nie przeczyta. Zaczął szykować się do snu, lecz natrętna myśl nie dawała mu spokoju. W końcu otworzył szufladę i wyciągnął nóż. Otworzył dziennik i ostrożnie wyciął kartę z obciążającymi informacjami. Przytknął papier do lampy i pozwolił, by zamieniła się w popiół, a następnie roztał go stopą i wsunął się do łóżka, oczekując na wezwanie swojej klientki. Tej nocy zasnął spokojnie. Pistolet nie wystrzelił.

Przebudził się, gdy jasne światło poranka wdarło się do namiotu. Po siedmiu godzinach snu czuł się świeży i rześki.

Zanim skończyli śniadanie, Manyoro przysiadł przed wejściem do kantyny, tak by tylko Leon mógł go zobaczyć. Kiedy go spostrzegł, Masaj podniósł się i odszedł. Leon przeprosił pozostałych i ruszył za nim. Manyoro czekał w namiocie dla służby.

— Co się stało, bracie? - spytał Leon.

— Swalu ukąsił wąż.

Swalu był szefem garbarzy.

— Wiesz jaki? - zapytał skonsternowany.

— To była futa, M'bogo.

— Jesteś pewny? - Leon miał nadzieję, że nie była to mamba czarna, najbardziej jadowity z afrykańskich węży.

— Podpełzła do jego łóżka. Ugryzła go trzy razy, zanim pozbawił ją życia swoim nożem. Widziałem tego węża. To futa.

— Żyje jeszcze?

— Tak, M'bogo. Swalu czeka na twoje błogosławieństwo, aby mógł odejść do swych przodków.

— Zaprowadź mnie do niego! Szybko! - Pobiegli do jednej z trzciniowych chatek stojących w obozie. Leon wszedł do środka niskimi drzwiami. Swalu leżał na macie, wokół zgromadzili się trzej garbarze. Obok spoczywało cielsko węża. Miał obciętą głowę, lecz jedno spojrzenie wystarczyło, by potwierdzić przypuszczenia Manyoro. Była to mamba czarna. Nie szczególnie duży okaz, najwyżej cztery stopy długości, lecz

240

jedno ukąszenie wystarczyłoby do zabicia dwudziestu mężczyzn. Swalu został ugryziony trzykrotnie.

Mężczyzna leżał na plecach w samej przepasce biodrowej. Pod głową miał rzeźbioną drewnianą poduszkę. Leon spostrzegł na piersi ślady pod dwóch ukąszeniach. Jeden ślad widniał na policzku. Oczy Masaja były szeroko otwarte, szkliste, bez wyrazu. Z ust i nosa ciekła biała piana.

Leon uklęknął obok i ujął jego dłoń. Była chłodna, lecz palce drżały.

— Odejdź w pokoju, Swalu. - Palce Masaja ledwie wy czuwalnie ścisnęły jego dłoń. Swalu uśmiechnął się słabo i skonał. Leon siedział przy nim chwilę, a następnie pochylił

się i zamknął wytrzeszczone oczy.

— Wykopcie głęboki grób - powiedział pozostałym. -

Przykryjcie ciało skałami, aby nie dostały się do niego hieny.

— Czemu miałyby zabić Swalu? - spytał Manyoro, nie

kierując tego pytania do nikogo konkretnego. Garbarze poru-
szyli się niespokojnie.

— Dość tego! - zachnął się Leon, wstając na nogi. - Futa

tofuta. Nie ma w tym żadnych czarów!

— Skoro bwana tak mówi - przytaknął Manyoro z wy-

uczoną uprzejmością, nie patrząc w oczy Leonowi.

Anglik wstał i wrócił do kantyny. Księżna dopijała właśnie filiżankę kawy.

— Jesteś! W końcu znalazłeś czas, aby zająć się swoimi

klientami! Jestem niezmiernie wdzięczna! - przywitała go

chłodno.

— Wybacz, Wasza Wysokość, pewna drobna sprawa wy-

magała mojej uwagi. Czym mogę służyć?

— Straciłam jeden ze złotych medalionów. Zawierał kosmyk

włosów mojej matki. Ten przedmiot ma dla mnie ogromne

znaczenie.

— Znajdziemy go - zapewnił ją Leon. - Gdzie i kiedy

widziałaś go, pani, ostatni raz?

— Wczoraj, kiedy upolowałam tę świnię battue. Siedziałam

241

pod drzewem, czekając na ciebie i twoich ludzi, aby oprawili zwierzęta. Pamiętam, że dotknęłam go
palcami. Musiałam go tam upuścić.

- Pojadę natychmiast i poszukam. - Leon się skłonił. -

Powiniennem wrócić przed południem. - Machnęła dłonią, gdy ruszył do namiotu, wołając koniuszego, by przyprowadził konia.

Kiedy dotarł z tropicielami w miejsce nagonki, znaleźli wspaniałego cętkowanego lamparta pożywiającego się padliną. Czmychnął na ich widok, znikając w wysokiej trawie. Podeszli tam, gdzie siedziała księżna, i przeszukali całą okolicę.

- Hapana - ogłosił w końcu Manyoro, przyznając się do porażki. - Nic nie ma. - Wrócili do obozu.

Służące księżnej siedziały w kantynie, haftując, popijając kawę i chichocząc.

— Gdzie wasza pani? - spytał Leon. Spojrzały na siebie, zachichotały i wzruszyły ramionami, nie udzielając odpowiedzi.

Zostawił je i ruszył do swojego namiotu. Kiedy rozpostarł poły, spostrzegł, że księżna siedzi na jego łóżku, przenośne biurko jest otwarte, a jego zawartość leży wokół niej. Na kolanach trzymała księgę safari.

— Wasza Wysokość - skłonił się sztywno. - Muszę z za-
lem zawiadomić, że nie znaleźliśmy pani klejnotu.

Dotknęła medalionu zawieszzonego na szyi. Duży diament osadzony w górnym wieczku błysnął w przyćmionym świetle.

— Nieważne - odrzekła. - Jedna ze służących znalazła go pod łóżkiem. Musiałam upuścić.

— Rad to słyszę. - Spojrzał ostentacyjnie na księgę safari. - Czy Wasza Wysokość szuka czegoś konkretnego?

— Nie, nieszczególnie. Zaczęłam się nudzić, więc czytam dla zabicia czasu. Ubawiły mnie te opisy mojej zręczności... - przerwała znacząco i spojrzała mu w oczy. - W polowaniu... - Zamknęła księgę i wstała. - Czym mnie dziś zabawisz,

Courtney? Jaką zwierzynę mi przygotowałeś?

— Wytropiłem dla Waszej Wysokości potężnego lamparta.

— Prowadź do niego!

242

Lampart był w kwiecie wieku, piękny nawet po śmierci. Sierść na grzbiecie przybrała barwę złota i miedzi, podbrzusze było puszyste i kremowe. Pokryta czarnymi cętkami skóra wyglądała tak, jakby bogini łowów, Diana, pozostawiła na niej odciski swoich palców. Wąsy wielkiego kota były sztywne, szklące się bielą, kły i pazury w idealnym stanie. Księżna zabiła go jednym strzałem w serce, gdy spłoszony uciekał od padliny dzika. Kiedy Manyoro i Loikot załadowali zabite zwierzę na muła, Manyoro szepnęła wystarczająco głośno, aby Leon go usłyszał:

- Czy dzisiejszej nocy pośle do nas męża tej futy?

Udał, że nie słyszy jego słów. Manyoro prowadził muła, przesadnie utykając.

Podczas obiadu księżna kazała Leonowi otworzyć butelkę szampana Luis Roederer cristal rocznik 1903. Dwukrotnie dotknęła go czule pod stołem, czego nie czyniła nigdy wcześniej. Ciało zareagowało na zręczne palce wbrew jego woli. Poczucia to, uśmiechnęła się i cofnęła rękę. Później szepnęła coś Heidi, tak by nie mógł usłyszeć. Obie służące zachichotały.

Tej nocy wystrzał z lugera dolatujący z namiotu jej wysokości wezwał Leona, zanim zdążył opisać polowanie na lamparta. Odłożył księgę, czując perwersyjne podniecenie, które tak łatwo potrafiła u niego wywołać.

- Mogłaby zdeprawować świętego Piotra i wszystkie anioły - mruknął, wychodząc z namiotu.

Następnego ranka, kiedy wyruszyli na dziki, podjechała do niego i zaczęła wesoło trajkotać jak młoda dziewczyna. Nagła zmiana jej nastroju wprawiła go w zakłopotanie. Zaczął się zastanawiać, co może zwiastować. Nie musiał długo czekać.

- Uwielbiam polowanie na świnię - powiedziała. - Te dziki są takie zabawne, lecz nie dorównują niemieckim.

243

— Są tu inne świnie, większe i bardziej niebezpieczne --

zaprotestował Leon. - Ogromne leśne dziki żyjące w lasach bambusowych na płaskowyżu Aberdare. Osiągają ciężar tysiąca funtów.

— To nic! - Zbyła jego słowa machnięciem ręki. - Tylko jedno zwierzę budzi we mnie prawdziwy dreszczyk emocji.

— Które? Jakiś rzadki gatunek? - spytał z zaciekawieniem.

— Skądże. - Zaśmiała się lekko. - Na wyspach Polinezji nazywają je "długimi świniami". - Spojrzał na nią z niedowierzaniem. - No, widzę, że w końcu pojąłeś. - Zaśmiała się ponownie. - Upolowałam ich wiele, lecz dreszczyk emocji pozostał. Chcesz, abym ci opowiedziała o moim pierwszym, Courtney?

— Jeśli Wasza Wysokość sobie tego życzy - odparł szorstkim głosem.

— Był młodym leśniczym w jednym z królewskich majątków. Miałam trzynaście lat, ale go pragnęłam. A on kochał swoją żonę. Kiedy byliśmy sami w lesie i polowaliśmy na głuszce, wysłałam go po ptaka, którego ustrzeliłam. Gdy przeszedł dziesięć kroków, strzeliłam mu w nogi z obu luf. Kule rozerwały kości. Nogi dyndały na strzępach mięsa. Wokół było mnóstwo krwi. Usiadłam obok, patrząc, jak się wykrwawia na

śmierć. Błagał o zmiłowanie, nie dla siebie, lecz dla tej swojej
flądry i żałosnego bachora, którego nosiła w łonie. Płakał,
żebrząc, abym sprowadziła lekarza, który by go ocalił. Za
śmiałam się, tak jak kiedyś on. Umierał prawie godzinę. -Na
jej twarzy pojawił się marzycielski wyraz. Po chwili milczenia
spytała niewinnie: - Courtney, nie rozczarujesz mnie jak ten
leśniczy?

— Mam nadzieję, pani.

— Ja również, Courtney. Teraz, gdy już się rozumiemy,
chcę, abys znalazł dwunożne świnię, abym mogła na nie za
polować. Zrobisz to dla mnie?

— Wasza Wysokość, nie spodziewałem się takiej prośby -
odpowiedział drżącym głosem przez zaciśnięte gardło. - Mu-

244

szę pomyśleć. Czy wiesz, że prosisz mnie o popełnienie przestępstwa, za które karze się śmiercią?

- Jestem księżną, ochronię cię przed wymiarem sprawied
liwości. Nigdy nie przesłuchiowano mnie w sprawie śmierci
tego leśniczego i innych. Nie należę do gminu. W moich żyłach
płynie krew pomazańców bożych. Będę twoją tarczą. Nikt nie
zauważy zniknięcia kilku dzikusów. - Pochyliła się w siodle,
gładząc jego muskularne ramię. Z trudem powstrzymał się
przed tym, by ją odepchnąć i uderzyć. Jej głos był niski i uwo

dzicielski. - Dopóki nie zakosztujesz prawdziwych łowów,

nie będziesz wiedział, jakie to przyjemne, Courtney.

Leon odetchnął głęboko, aby się opanować, lecz jego zmysły kipiały od tego popisu nienasyconej żądz i okrucieństwa. Utracił zdolność trzeźwego myślenia. Ogarnęło go niemal przemożne pragnienie zaciśnięcia dłoni na szyi tej kobiety i położenia kresu jej życiu. Po chwili przypomniał sobie, że jego zadanie miało polegać na wydobyciu z niej wszelkich informacji, niezależnie od tego, ile miałyby to kosztować jego lub innych. Później musiał użyć wpływu księżnej, by uzyskać dostęp do innych ludzi jej pokroju i postąpić z nimi podobnie. Była kluczem do wyższej warstwy niemieckiego społeczeństwa - kluczem, który przypadkiem znalazł się w jego rękach. Nie był sędzią i katem, stanowił jedynie mały trybik w ogromnej maszynie brytyjskiego wywiadu wojskowego.

- Safari kończy się za szesnaście dni. Później wrócę do

Niemiec. Jeśli mnie rozczarujesz, będę... bardzo zła. - W jej

głosie zabrzmiała chłodna groźba, która sprawiła, że pomyślał

o losie młodego niemieckiego leśniczego.

Kiedy wrócili do obozu, było jeszcze wcześnie. Księżna poszła do swojego namiotu, aby wziąć kąpiel, a Leon pobiegł do siebie, by skreślić krótki liścik do Penroda w księdze safari.

245

Wuju, mam Ci do przekazania takie wiadomości o mojej nowej znajomej i jej przyjaciółkach z najwyższych kręgów, że posiwiejesz. Teraz jestem jednak w szponach tego potwora. Żąda, abym dla jej rozrywki popełnił niewyobrażalną zbrodnię. Sumienie i prawo zabraniają mi ulec. Jeśli otwarcie odmówię, uzna to za wielką zniewagę. Urwie się dopływ informacji z Niemiec, o które tak zabiegasz. Proszę, abyś szybko obmyślił jakiś dyplomatyczny plan usunięcia jej z Brytyjskiej Afryki Wschodniej, zanim do tego dojdzie.

Wydął kartę z dziennika, złożył ją i wsunął do kieszeni na piersi swojej bluzy safari. Wyszedł z namiotu i udał się do kantyny. Przechodził wystarczająco blisko namiotu jej wysokości, aby usłyszeć, jak ciska

gromy na Heidi, i stłumiony szloch służącej. Przed namiotem służby znalazł Manyoro i Loikota zażywających tabakę. Zamilkli na jego widok.

Rozejrzał się wokół, aby sprawdzić, czy nikt ich nie widzi, a następnie wręczył złożoną kartkę Manyoro.

- Weź Loikota i wyruszcie biegiem do Nairobi. Przekażcie ten list pułkownikowi Ballantyne'owi z dowództwa KSA. Nie ociągajcie się po drodze. Wyruszcie natychmiast. Nie mówcie o tym nikomu prócz mojego wuja.

Wstali bez słowa, sięgając po dzidy wbite w ziemię po obu stronach wejścia do chatki.

Leon chwycił Manyoro za ramiona, aby podkreślić wagę swojego rozkazu.

— Bracie - dodał cicho - biegnij szybko, a tej wiedźmy już wkrótce tu nie będzie.

— Ndio, M'bogo. - Manyoro uśmiechnął się po raz pierwszy od kilku tygodni. Nie utykał, kiedy opuszczał obóz razem z Loikotem, kierując się w stronę Nairobi.

—

- Wysłałem moich tropicieli, aby poczynili przygotowania do łowów na długie świnie - zapewnił księżnę, gdy wezwała

246

;

go do siebie tej nocy. - Znają pewnego Araba, którego łodzie pływają po całym Jeziorze Wiktorii. Handluje on kością słoniową i skórami, lecz potajemnie zajmuje się też innym procederem.

— To ekscytujące. Wiedziałam, że mogą na tobie polegać, Courtney. - Księżna poruszyła się niespokojnie, zakładając nogę na nogę i wiercąc się na płóciennym krześle, jakby chciała się podrapać. - Już sama myśl o tym mnie podnieca. Kiedy wrócą?
— Za pięć, sześć dni. Przed twoim wyjazdem, pani, będziemy

mieli dość czasu, abyś wprowadziła mnie w tę nową rozrywkę.

— Do tego czasu zabawimy się w najlepsze. - Mówiąc to, przechyliła się na krześle, unosząc strój do konnej jazdy i od staniając kolana. - Jestem pewna, że znajdziesz sposób, by mi dogodzić.

—

Kiedy cztery dni później wracali do obozu po całym dniu polowania na świnie, księżna była w ponurym nastroju. Leon zorganizował dla niej cztery nagonki, lecz żadna nie zakończyła się powodzeniem. Za każdym razem zwierzę znieacka wybiegało z krzaków, całkowicie ich zaskakując. Przez cały dzień księżna nie oddała ani jednego strzału do swojej ulubionej zwierzyny. W drodze powrotnej wyładowała furię na grupce pawianów, zestrzeli wuj ąc z wierzchołków drzew pięć sztuk, zanim pozostałe rozbiegły się wśród panicznych okrzyków.

Zbliżając się do obozowiska, Leon ze zdumieniem spostrzegł dwa brązowe wojskowe fordy zaparkowane obok namiotu garbarzy. Kiedy je mijali, kilku askari w mundurach KSA ustawilo się w szeregu, podnosząc broń na ramię i salutując. Leon rozpoznał sierżanta i jego ludzi. Na co dzień pilnowali kwatery głównej regimentu.

- Spocznijcie, sierżancie Miomani - pozdrowił go z ulgą.

Podoficer uśmiechnął się rad, że Leon zapamiętał jego na zwisko, i szybko opuścił dłoń.

- Do nogi broń! Spocznij! Rozejść się! Raz, dwa, trzy!

Wjechali do obozu.

247

— Kim są ci ludzie i co tu robią, Courtney? - zapytała księżna.

— To brytyjscy żołnierze, Wasza Wysokość. Tylko tyle mogę powiedzieć. Nie mam pojęcia, czemu przyjechali - skłamał

bez mrugnięcia okiem. - Pewnie niebawem się dowiemy. -

Pomyślał, że Loikot i Manyoro musieli gnać do Nairobi jak gazy, a Penrod Ballantyne pędził na złamanie karku, by dotrzeć na miejsce dzień wcześniej, niż się Leon spodziewał.

Kiedy zsiadli z koni przed kantyną, Leon zawołał Izmaela, każąc mu przynieść kawę.

- Tylko pamiętaj, aby była gorąca! - krzyknął, a następnie wprowadził nachmurzoną księżną do namiotu.

Penrod podniósł się na jej widok z obozowego krzesła.

— Musisz być zaskoczony moim widokiem - powiedział szybko, uprzedzając Leona. Uścisnął mu prawicę i zwrócił się do księżnej. - Byłbyś łaskaw przedstawić mnie Jej Wysokości?

— Pani, chciałbym ci przedstawić pułkownika Penroda Ballantyne[^] - rzekł bez zastanowienia, lecz po chwili spostrzegł koronę i trzy gwiazdki na epoletach wuja. Widocznie dostał awans po ich ostatnim spotkaniu. - Wybacz, Wasza Wysokość, powinienem był powiedzieć, generała brygady Penroda Ballantyne[^]. Dowódcę wojsk angielskich w Brytyjskiej Afryce Wschodniej - poprawił się. Penrod zsalutował, zrobił trzy kroki w ich stronę i wyciągnął dłoń.

Księżna zignorowała ten gest, chłodno przyglądając się jego twarzy.

- Ach tak! - rzekła, przechodząc obok i siadając na swoim krześle przy stole. - Courtney, powiedz kucharzowi, aby pospieszył się z kawą. Jestem spragniona - powiedziała po niemiecku, a następnie ponownie spojrzała na Penroda. - Czego pan tu szuka? To prywatne safari. Psuje mi pan zabawę -

oznajmiła nienaganną angielszczyznę.

Penrod podszedł do krzesła stojącego po przeciwnej stronie stołu.

- Wasza Wysokość, proszę mi wybaczyć to najście - rzekł,

248

siadając. - Przybywam w imieniu Jego Ekscelencji gubernatora Brytyjskiej Afryki Wschodniej.

- Nie pozwoliłam panu usiąść - przerwała mu księżna.

Penrod podniósł się gwałtownie.

Twarz mu poczerwieniała, lecz głos pozostał opanowany.

— Przepraszam, madame.

— Anglicy są pozbawieni dobrych manier - rzekła, patrząc

w sufit. - Ja, słucham? Czego chce ode mnie ten wasz

gubernator?

— Poinformował mnie o poważnej epidemii wścieklizny, która wybuchła na obszarze Wielkiego Rowu Wschodniego i dziesiątkuje miejscowe plemiona. Otrzymaliśmy informacje, że dotarła do pobliskich wiosek. Wasza Wysokość, grozi pani śmiertelne niebezpieczeństwo. - Wyniosłe spojrzenie księżnej uległo dramatycznej zmianie.

— Wścieklizna na terenie ryftu? A cóż to takiego? - spy

tała, patrząc z przerażeniem na Penroda.

— Niemiecka nazwa to Tollwut, Wasza Wysokość.

— Tollwut? Mein Gott!

— Tak, Wasza Wysokość. Ta jest wyjątkowo ostra i zaraż

liwa. Śmierć jest nieunikniona, nadchodzi w strasznych męczar

niach. Chory wije się w konwulsjach, błaga o wodę, by w końcu utonąć we własnej spienionej ślinie.

— Mein Gott! - powtórzyła cicho.

— Chociaż gubernator nie chciał pozwolić, aby narażała się pani na ryzyko zarażenia, przed podjęciem decyzji zatelegrafował do Berlina. Sekretarz Jego Cesarskiej Wysokości przekazał osobiste polecenie kajzera. Wasza wysokość ma natychmiast przerwać safari i wrócić do Niemiec. Jego Ekscelencja zarezerwował dla pani prywatny apartament na pokładzie włoskiego liniowca Roma. Statek wypłynie z zatoki Kilindini pięć następnego tego miesiąca, by zawinąć do portu w Genui. Stamtąd wasza wysokość wyruszy nocnym ekspresem do Berlina. Przyjechałem, aby towarzyszyć jej w drodze na statek, który za pięć dni wypłynie do zatoki. Musimy się pospieszyć, aby zdążyć.

249

— Kiedy chce pan wyjechać? - spytała księżna, wstając.

— Czy Wasza Wysokość może być gotowa za godzinę?

— Jawohl! - Wybiegła z kantyny, wrzeszcząc na służbę. - Heidi! Brunhilde! Spakujcie walizki! Kufry zostawiamy!

Wyjeżdżamy za godzinę! - Kiedy wyszła, Penrod i Leon spojrzeli na siebie z uśmiechem jak uczniowie, którym przed chwilą udało się splatać niezłego figla.

— Epidemia wścieklizny na obszarze Wielkiego Rowu Wschodniego! Jak wpadłeś na ten pomysł, perfidny Albionie?

— To śmiertelna choroba! - Penrod mrugnął nieznacznie. - Pojawiła się po raz pierwszy w dziejach medycyny!

— Spodobała ci się Jej Wysokość?

— Czarująca - odrzekł. - Cholernie czarująca! Miałem ochotę wziąć ją na kolano i wymierzyć sześć tęgich klapsów.

— Gdybyś to zrobił, na pewno by się w tobie zakochała.

— Lubi to? - Penrod przestał się śmiać. - Musisz mieć interesujące rzeczy do opowiedzenia.

— Tak, włosy staną ci dęba. Uwierz mi. W życiu nie sły-
szałeś czegoś takiego. Lecz nie tutaj i nie teraz.

Penrod skinął głową.

— Szybko się uczysz. Kiedy tylko zapakuję naszą uroczą księżną na statek, wrócę, aby wysłuchać twoich opowieści i postawić ci lunch w Muthaiga Club.

— Z butelką margaux rocznik siedemdziesiąty dziewięty? -
spytał Leon.

— Dwoma, jeśli jesteś prawdziwym mężczyzną! - obiecał

Penrod.

— Równy z ciebie gość, wuju.

— Nie ma o czym mówić, drogi chłopcze.

Księżna wyszła z namiotu na długo przed upływem wyznaczonej godziny, w otoczeniu sekretarza i służących niosących jej płaszcze i jedwabne suknie. Penrod kazał podstawić samochód, który terkotał i strzelał z gaźnika. Leon podał

250

księżnej rękę, pomagając zająć miejsce obok kierowcy. Siadając, przesunęła dłonią po jego pachwinie.

— Przekaż czułe pozdrowienia mojemu wielkiemu przyjacielowi - szepnęła cicho, aby nikt nie mógł usłyszeć.

— Dziękuję, madame. Zwiesił głowę na wieść, że Wasza Wysokość wyjeżdża.

— Zuchwały chłopiec! - Uszczypnęła go tak mocno w słabiznę, że sapnął, a oczy zasły mu łzami. - Nie spoufalaj się! Pamiętaj, gdzie twoje miejsce.

— Wybacz mi, Wasza Wysokość. Jestem zrozpaczony. Po wiedz mi, co mam zrobić ze sprzętem, który zostawiasz. Z meblami, karabinami i szampanem? Mam to wszystko spakować i wysłać do Berlina?

— Nein! Nie chcę tego. Możesz to zatrzymać lub spalić.

— Jesteś bardzo hojna, pani. Czy wrócisz tu jeszcze, aby ze mną zapolować?

— Nigdy! - odrzekła gwałtownie. - Wścieklizna? Nie, dziękuję bardzo!

— Czy przyślesz przyjaciół, aby ze mną zapolowali, księżno?

— Jedynie tych, których szczerze nienawidzę. - Widząc, że spochmurniał, lekko złagodniała. - Nie martw się, Courtney.

Przyjaciele, których nienawidzę, przewyższają tych, których naprawdę lubię. - Odwróciła się do Penroda, który usiadł z tyłu. - Proszę powiedzieć kierowcy, żeby ruszał. Chcę się znaleźć jak najdalej od tego przerażającego miejsca nawiedzono przez wściekliznę.

— Auf Wiedersehen, księżno! - Leon uchylił kapelusza i pomachał. Nie odwróciła się, gdy samochód zaczął podskakiwać na wybojach.

Dwa tygodnie później Penrod przyjechał do Tandali na swoim siwym ogierze. Izmael podał świeżo zaparzoną herbatę lapsang souchong z imbirowymi ciasteczkami, które trzymał

251

dla specjalnych gości. Kiedy wuj Leona się wzmocnił, wyruszyli w liczącą osiem mil drogę do klubu Muthaiga.

— Marzyłem o konnej przejażdżce - powiedział Penrod. - Ostatnio nie mogę się oderwać od biurka. - Spojrzał na Leona. - Widzę, że jesteś w doskonałej formie, chłopcze.

— Księżna próbowała z całych sił ją nadwerżyć. Czy powiedziała ci, że upolowała ponad dwieście dzików, nie wspominając o potężnym lwie i pięknym lamparcie?

— Ta łaskawa pani podczas całej podróży zamieniła ze mną nie więcej niż dwanaście słów. Mam nadzieję, że dowiem się wszystkiego od ciebie. Właśnie dlatego przyjechałem. Po drodze będziemy mogli rozmawiać bez obawy, że ktoś nas podsłucha. - Zatoczył ręką szeroki łuk, wskazując drzewa i niskie zielone wzgórza. - Niewiele tu oczu i uszu. A zatem, Leonie, opowiedz o wszystkim swojemu pobłażliwemu wujowi.

— Lepiej zapnij pasek pod brodą, bo hełm wystrzeli ci w niebo, gdy usłyszysz.

— Zacznij od początku. Niczego nie pomijaj. - Spokojna przejażdżka do klubu Muthaiga zajęła im niemal półtorej godzi

ny. Akurat tyle, by Leon mógł zdać pełny raport. Penrod nie przerywał, chyba że chciał się upewnić co do jakiegoś nazwiska lub poprosić, aby szerzej opisał jakieś wydarzenie. Kilka razy prychnął, robiąc minę wyrażającą skrajną dezaprobatę.

— To wszystko, wuju - zakończył Leon, gdy wjechali na podjazd prowadzący do klubu.

— Wystarczy - odrzekł ponuro Penrod. - Miałbym wątpliwości, gdybym usłyszał to od kogoś innego. Niektóre wiadomości są tak dziwaczne, że nie sposób ich zrozumieć. Osiągnąłeś więcej, niż liczyłem.

— Chcesz, abym opisał to w raporcie, wuju?

— Nie. Gdybyś to zrobił podczas safari, odkryłaby notatki podczas przeszukiwania twojego namiotu. Zapamiętam wszystko, co powiedziałaś. Do końca życia. - Generał milczał, aż dojechali pod drzwi i zatrzymali konie. - Wyjątkowa dama z tej twojej księżniczki, Leonie.

252

I

— Tylko nie mojej. Zapewniam cię. Jeśli o mnie chodzi, mógłbym rzucić ją hienom na pożarcie.

— Chodź, zjedźmy coś. Szef kuchni przygotował dziś szpik i peklowaną wołowinę duszoną z cebulką i ziemniakami. Mam

nadzieję, że twoje makabryczne opowieści nie popsują mi apetytu.

— Nic nie zdoła go zepsuć.

— Miarkuj się, młodzińcze. Okaż szacunek siwym włosom i gwiazdkom na moich epoletach.

— Proszę o wybaczenie, generale. Nie chciałem pana obrazić. Pragnąłem jedynie zasugerować, że jest pan wyrafinowanym znawcą jadła.

Kiedy Penrod przywitał się z większością gości, stając na chwilę przy każdym stoliku, dotarli na taras i usiedli na swoich krzesłach pod krzewem bugenwilli. Malonzi otworzył butelkę i nalał im wina, a następnie podał przystawkę - szpik na grzankach - i wycofał się dyskretnie.

- Pozwól, że wyjaśnię ci, co wydarzyło się w szerokim świecie, gdy ty hasałeś z Jej Wysokością i dzikami po pustkowiu. - Penrod nabrał łyżeczką sporą porcję tłustego szpiku i położył na grzance, rozpoczynając krótkie streszczenie sytuacji panującej w Europie. - Najważniejszą wiadomością jest to, że w ostatnich wyborach do niemieckiego Reichstagu po raz pierwszy w historii zwyciężyli socjaldemokraci. Od wyborów w tysiąc dziewięćset siódmym roku niemal podwoili liczbę mandatów. Szykują się poważne kłopoty. Elita wojskowa rządziła do tej pory Niemcami będzie musiała dokonać czegoś wyjątkowego, by odzyskać władzę. Co byś powiedział na małą przyjemną wojenkę? - Mówiąc to, wsunął grzankę do ust i pogryzł z rozkoszą. - Serbia ma ochotę zaatakować Austrię. Chcesz jeszcze jedną wojenkę? W Turcji wrze. Turcy odrzucili Bułgarów od bram Konstantynopola, ceną było jednak dwadzieścia tysięcy zabitych... - Generał zjadł resztę szpiku, popijając

szklaneczką margaux.

Czekając, aż Malonzi poda duszoną wołowinę z cebulką i ziemniakami, kontynuował opowieść:

253

- A teraz przenieśmy się bliżej domu. Nazbierało się sporo listów. Jest wśród nich kilkanaście z pytaniem o zorganizowanie safari. Odebrałem je z poczty i przejrzałem, aby oszczędzić ci trudu.

- Pozwól, że powtórzę: równy z ciebie gość, wuju!

Penrod przyjął komplement łaskawym skinieniem dłoni.

— Większość to listy od osób pozbawionych większego znaczenia. Wyrzuciłem je. Znalazły się też jednak bardziej obiecujące, z naszego ulubionego kraju. Niemiec. Pierwszy pochodzi od ministra konserwatywnego rządu, drugi od hrabiego Bauera, doradcy cesarskiego kanclerza, Theobalda von Bethmann-Hollwega, a trzeci od jednego z czołowych przemysłowców, największego dostawcy dla armii niemieckiej. Z naszego punktu widzenia najbardziej atrakcyjny jest przemysłowiec. To graf Otto Kurt Thomas von Meerbach, szef zakładów Meerbacha.

— Słyszałem o tej fabryce. - Leon był pod dużym wrażeniem. - Produkują w niej silniki obrotowe Meerbach do aeroplanów. Konkuruje z hrabią Zeppelinem, który zajmuje się

konstruowaniem sterowców. Dzwony piekieł i morze krwi!

Chciałbym poznać tego faceta. Latanie mnie fascynuje, choć do tej pory nie miałem okazji zobaczyć żadnej z tych niewiarogodnych machin latających, nie wspominając o przejażdżce.

Twarz Penroda rozpromieniła się chłopięcym entuzjazmem.

— Jeśli wszystko pójdzie po naszej myśli, niedługo będziesz miał okazję. Z błogosławieństwem Percy'ego pozwoliłem sobie odpowiedzieć telegraficznie Meerbachowi w twoim imieniu.

Przekazałem wszelkie informacje na temat oferty, wolnych terminów i tras. Nie skosztowałaś mięsa? Jest przepyszne. Ach!

Przyszedł też list od twojego kumpla, Kermita Roosevelta.

— Który pozwoliłeś sobie otworzyć, by mi oszczędzić roboty?

— Boże broń, skądże! - Penrod sprawiał wrażenie przerażonego. - Nie ośmieliłbym się. To twoja prywatna korespondencja.

254

— W przeciwieństwie do pozostałych listów, które mają charakter otwarty? - spytał Leon, a jego wuj uśmiechnął się z zadowoleniem.

— Obowiązek, drogi chłopcze. - Nieoczekiwanie zmienił

temat. - Jak rozumiem, teraz, gdy pozbyliśmy się księżnej, popędzisz ile sił w nogach, aby pomóc swojemu wspólnikowi, który bawi na safari z Eastmontem.

— Owszem. Wyruszę jutro rano. Percy poluje na zachodnim brzegu jeziora Manyara, głęboko na terytorium niemieckiej kolonii. Zostawił mi list w Tandali. Pisze, że lord Eastmont chce upolować bawołu o rogach długości co najmniej pięć dziesięciu cali. W rejonie Manyara są największe szanse takiego okazu.

— Percy przedstawił mnie Eastmontowi, gdy ten przejeżdżał przez Nairobi. Zaprosiłem go do klubu na obiad. Byliśmy Percy, ja i dwóch lordów, Eastmont i Delamere.

— Co sądzisz o Eastmontcie, jeśli mogę spytać?

— A możesz, możesz. Sam zamierzałem ci to powiedzieć. Ty i Percy powinniście wiedzieć. Od pierwszej chwili wydał mi się podejrzany. Coś mnie w nim zaniepokoiło. Dopiero gdy Jego Lordowska Mość wyruszył wraz z Percym do Tandali, dawne obrazy powróciły niczym rycząca lawina, wybacz po etycką metaforę.

— Wybaczam. Proszę kontynuować. Zamieniam się w słuch.

— Przypomniałem sobie drobny przykry incydent z okresu kampanii w Afryce Południowej w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym dziewiątym roku. Bertie Cochrane, młody kapitan kawalerii pospolitego ruszenia z regimentu Middlesex, dowodził plutonem zwiadowczym. W okolicy Slang Nek natknęli się na

duży oddział Burów. Kiedy padły pierwsze strzały, Cochrane
Izucił się do ucieczki. Zostawił swojego sierżanta, który pró-
bował stawić czoło Burom, i pobiegł do domu, do mamusi.
Doszło do prawdziwej masakry. Zanim zdążyli się przebić,
piętnastu z dwudziestu ludzi było rannych. Cochrane stanął
przed sądem wojennym za tchórzostwo w obliczu nieprzyja-

255

cią. Uznano go za winnego i wydano z wojska. Gdyby nie wysoko postawieni przyjaciele, przewiązano
by mu przepaską oczy i wpakowano kulkę. Kiedy sobie o tym przypomniałem, wysłałem telegram do
znajomego z Ministerstwa Wojny, aby dodatkowo się upewnić. Cochrane i Eastmont to ten sam
człowiek. Otrzymałem też dodatkowe informacje. Po dyscyplinarnym wydaleniu z wojska młody Bertie
Cochrane poślubił niezwykle zamożną amerykańską dziedziczkę nafciarskiej fortuny. Niecałe dwa lata
później młoda pani Cochrane wypadła z łodzi i utonąła w Krainie Jezior w Cumberland. Cochrane stanął
przed sądem wyjazdowym w Middlesex pod zarzutem zamordowania żony, lecz z braku dowodów został
uniewinniony. Odziedziczył jej fortunę, a dwa lata później, po śmierci wuja, został hrabią Eastmont,
właścicielem posiadłości liczącej ponad dziesięć tysięcy akrów w pobliżu Appleby w hrabstwie
Westmorland. W ten sposób nasz poczciwy Bertie Cochrane został Bertramem, hrabią Eastmont.

— Dobry Boże, czy Percy o tym wie?

— Jeszcze nie, choć mam nadzieję, że przekażesz mu te
informacje.

Dotarł do Tandali w melancholijnym nastroju. Na miejscu czekali na niego Manyoro i Loikot. Wydał im
dyspozycje, uprzedzając, że wyruszą skoro świt, by jak najszybciej dotrzeć do obozu Percy'ego nad
jeziorem Manyara, i poszedł do swojego namiotu, aby przejrzeć korespondencję.

Wśród listów znalazł trzy czułe i zabawne liściki od matki. Każdy liczył ponad dwadzieścia kartek. Choć
oddzielał je od siebie okres miesiąca, dotarły jednocześnie do Nairobi. Dowiedział się, że ojciec, jak
zawsze, ma się dobrze i prosperuje. Ostatnia książka matki, Afrykańskie rozmyślenia, została przyjęta do
druku przez londyńskie wydawnictwo Macmillan. Najstarsza siostra Leona, Penelope, miała poślubić w
maju ukochanego z czasów dzieciństwa. Sześć tygodni temu. Pomyślał,

256

że musi jej przesłać spóźniony prezent ślubny. Odłożył trzy listy matki, by na nie odpowiedzieć, a następnie otworzył kopertę z nowojorskim znaczkiem i czerwoną woskową pieczęcią Kermita na skrzydełku.

Młody Roosevelt dotrzymał słowa. Jego list był barwny i wesoły. Opisywał ostatni miesiąc wielkiego safari, które spędził w górnym biegu Nilu, przechodząc Sudan i Egipt z Quentinem Groganem. "Potężny lek" w dalszym ciągu siał spustoszenie wśród dzikiej zwierzyny. W drodze z Aleksandrii do Nowego Jorku Kermit się zakochał, lecz dziewczyna była już z kimś związana. Najwyraźniej pogodnie przyjął kosza. Następnie opisał uroczyste przyjęcie wydane w domu Andrew Carnegiego, stalowego potentata i multimilionera, który sfinansował wielkie safari prezydenta. Jednym z gości był niemiecki przemysłowiec z Wieskirche w Bawarii, niejaki Otto von Meerbach. Kermit siedział naprzeciw niego i natychmiast przypadli sobie do gustu. Po obiedzie, gdy damy wyszły z sali, pochylili się nad szklaneczką porto i cygarem. Pisał:

Otto to niezwykła postać, niczym z kart mrocznej powieści, z blizną po pojedynku. Dominująca osobowość, człowiek kipiący energią i pewnością siebie. Nawet jeśli go nie lubisz, musisz go podziwiać. Jest właścicielem Meerbach Motoren Werke. Jestem pewny, że słyszałeś o tej fabryce. Chyba kiedyś o niej rozmawialiśmy. To jeden z największych koncernów w Europie, zatrudniający ponad trzydzieści tysięcy pracowników. Produkują silniki obrotowe do aeroplanów i statków powietrznych. Meerbach Motoren Werke wytwarza też samochody i ciężarówki na potrzeby armii niemieckiej i samoloty dla ich sił powietrznych. Najbardziej interesujące jest jednak to, że Otto to zapalony myśliwy. Ma ogromne posiadłości w Bawarii, gdzie poluje na jelenie i dziki. Zimą wydaje sławne bankiety myśliwskie w swoim zamku. Nie jest niczym

257

niezwykłym upolowanie w ciągu jednego dnia ponad dwustu dzików. Zaprosił mnie do siebie, kiedy następnym razem przyjadę do Europy. Był niezwykle zainteresowany, gdy opowiedziałem mu o naszym safari. Wyznał, że od wielu lat marzy o podróży do Afryki. Poprosił o Twój adres, więc mu go dałem. Mam nadzieję, że nie masz mi tego za złe.

A więc to tak Meerbach się o mnie dowiedział, mruknął Leon. Dziękuję, Kermicie. List miał jeszcze kilka kartek.

Żona, a może kochanka Ottona, nie jestem pewny, jakie ich łączą stosunki, jest jedną z najpiękniejszych kobiet, jakie widziałem. Nazywa się Ewa von Wellberg. Jest bardzo wyrafinowana i cicha, lecz, dobry Boże, gdy na mnie spojrzała, serce mi zmiękło jak masło na patelni. Byłbym gotów stanąć z Ottonem do pojedynku o jej względy, choć uchodzi za jednego z najlepszych szermierzy Europy, tak bardzo się w niej zadurzyłem.

Leon się roześmiał. Skłonność do przesady była jedną z cech charakterystycznych Kermita. Na koniec Kermit prosił Leona, by ten szybko odpisał, czym się obecnie zajmuje i co robią liczni przyjaciele, których

zyskał w Brytyjskiej Afryce Wschodniej. Szczególnie interesowali go Manyoro i Loikot. List kończył się pozdrowieniem: "salam i Weidmanns heil (niemieckim pozdrowieniem myśliwskim, którego nauczył go Otto) od twego BKW". Leon potrzebował dłuższej chwili, aby rozszyfrować skrót. Ponownie rozpromienił się uśmiechem.

- Życzę ci wszystkiego najlepszego, Kermicie Rooseveltcie, bracie z krwi wojownika.

Otworzył przenośny sekretarzyk, aby skreślić odpowiedź do matki i Kermita, lecz nim zdążył umoczyć pióro w kałamarzu, Izmael uderzył w gong obiadowy. Jęknął. Chociaż nie doszedł

258

jeszcze do siebie po lunchu z Penrodem, obecność na obiedzie była obowiązkowa.

Wyruszyli do obozu na południowym brzegu jeziora Ma-nyara. Pierwsze dwieście mil wiodło fatalnym, wyboistym szlakiem, który okazał się dla vauxhalla ciężką próbą. Musieli stawać kilkanaście razy, aby naprawić dziury w oponach. Ma-nyoro i Loikot okazali się mistrzami w znajdowaniu i wyciąganiu cierni, które je uszkodziły. Na piaszczystych odcinkach regularnie gotowała się woda w chłodnicy, musieli więc czekać, aż ostygnie, aby ponownie napełnić ją wodą.

Granica oddzielająca Brytyjską i Niemiecką Afrykę Wschodnią nie była oznaczona ani pilnowana. Przy drodze nie zauważyli żadnych znaków prócz nacięć na drzewach i pobladyłych czaszek zwierząt zatkniętych na słupach. Kierując się instynktem i gwiazdami, dotarli w końcu do małego sklepu w buszu nad rzeką Makuyuni prowadzonego przez Hindusa. Percy zostawił u niego parę dobrych koni, aby czekały na ich przybycie.

Leon zaparkował samochód pod figowcem na zapleczu sklepu i osiodłał jednego z koni. Jeszcze pięćdziesiąt mil dzieliło ich od myśliwskiego obozowiska Percy'ego, rozstawionego na wzniesieniu nad brzegiem jeziora.

Leon i jego Masajowie dotarli na miejsce po zmroku następnego dnia. Okazało się, że Percy i jego czcigodny klient nie wrócili jeszcze do obozu. Kucharz Percy'ego podał obiad złożony z przyrządzonego na grillu serca hipopotama, tapioki, puree z dyni i gęstego sosu marki Bisto.

Po posiłku Leon usiadł przy ognisku, obserwując migocące klucze flamingów przesuwane na tle tarczy księżyca. Na przeciwległym brzegu jeziora płonął busz. Płomienie przypominały ognistego węża wijącego się między mrocznymi wzgórzami. Z oddali dolatywała woń dymu. Było po dziesiątej, kiedy usłyszał konie i wyszedł na granicę obozu, by powitać wracających myśliwych.

259

Kiedy obolały Percy zsiadł sztywno z konia, spostrzegł w cieniu Leona. Wyprostował się i uśmiechnął

szeroko.

- Cóż za miły widok! - zawołał. - Przybywasz w samą porę, Leonie. Podejdź do ogniska, a przedstawię cię Jego Lordowskiej Mości. Może nawet uraczymy cię kapką tańskera.

Eastmont okazał się wysokim, tyczkowatym mężczyzną

o wielkich dłoniach i stopach oraz głowie wielkości arbuza.

Drugie, cienkie kończyny nie pasowały do potężnego torsu.

Chociaż Percy miał nieco ponad sześć stóp wzrostu, a jego masajski tropiciel był o cal wyższy, Eastmont górował nad nimi.

Leon pomyślał, że musi mieć z sześć stóp i trzy cale. Kiedy podali sobie ręce, dłoń Leona utonęła w jego dłoni. W migocących płomieniach twarz Eastmonta wydawała się wychudła

i koścista, a jej wyraz - mroczny i ponury. Mówił niewiele, oddając pałeczkę Percy'emu. Kiedy napełnili szklanki, usiadł przy ognisku, słuchając, jak Percy opowiada o dniu łowów.

— Jego Lordowska Mość chciał upolować naprawdę ogromnego bawołu. Dziś udało się nam go wytropić! Samotny stary samiec. Klnę się, że jego hełm ma pięćdziesiąt pięć cali szerokości.

— To niewiarygodne, Percy! Mimo to ci wierzę - zapewnił

Leon. - Pokaż go. Czy twoi ludzie przyniosą go dziś do obozu? A może garbarze zjawią się dopiero jutro?

Zapadła niezręczna cisza. Percy spojrzął na swojego klienta. Wydawało się, że Eastmont ich nie słyszy. Wpatrywał się bez słowa w płomienie.

- No cóż - zaczął Percy, by po chwili przerwać ponownie.

Później z jego ust popłynął potok słów. - Widzisz, jest pewien

mały problem. Łeb bawołu jest przytwierdzony do jego ciała,
a to w dalszym ciągu żyje.

Leon poczuł zimne ciarki na plecach.

- Jest ranny? - spytał ostrożnie.

Percy skinął niechętnie głową.

- Tak - przyznał w końcu. - Myślę, że został poważnie
ranny.

260

— Jak poważnie, Percy? Dostał w komorę czy bebechy?

Poważnie się wykrwawił?

— W tylną nogę - odparł Percy, dodając pośpiesznie: -

Pękła do kości, tak mi się zdaje. Do rana powinien być sztywny.

— A krew, Percy? Stracił dużo krwi?

— Trochę.

— Żylnej czy tętniczej?

— Trudno powiedzieć.

— Percy, łatwo odróżnić krew żylną od tętniczej. Sam mnie
tego uczyłeś, nie pamiętasz? Pierwsza jest ciemna, druga jasna.

Czemu nie zdołałeś jej odróżnić?

— Mało tego było.

— Daleko go tropiliście?

— Aż zapadły ciemności.

— Nie pytam jak długo, lecz jak daleko.

— Dobrych kilka mil.

— Gównno!

— Uprzejma forma merde - próbował zbyć go żartem

Percy.

— Wolę pozostać przy dobrym anglosaskim określeniu -

odrzekł Leon bez uśmiechu.

Milczeli przez kilka dobrych minut.

— Jaki kaliber ma sztucer, którego pan używa? - spytał

Leon, patrząc na Eastmonta.

— Trzy siedem pięć - odparł, nie podnosząc oczu.

A niech to diabli, pomyślał Leon, lecz milczał. Cholerna dubeltówka na ziarnka grochu!

— Zaszły się w gęstych zaroślach, Percy?

— Tak - przytaknął myśliwy. - Ruszymy za nim jutro

o świcie. Jest zeszywniały i obolały. Powinniśmy go odnaleźć

bez trudu.

— Mam lepszy plan. Obaj spędzicie relaksujący dzień

w obozie, a ja go odnajdę i dokończę sprawę - zasugerował

Leon.

— Nie pozwolę na to, ty bezczelny pętaku! - Jego Lordow-

261

ska Mość ryknął jak lew morski w rui. - To mój bawół i ja go dobiję!

— Z całym szacunkiem, panie, zbyt wiele strzelb może

zamienić potencjalnie niebezpieczną sytuację w sytuację za

groźącą życiu. Proszę pozwolić mi go odnaleźć. Zapłacił pan

za to dużo pieniędzy. - Leon uśmiechnął się nieprzekonywa-

jąco, próbując dyplomatycznego podejścia.

— Zapłaciłem dużo pieniędzy, abyś robił to, co ci każe,
młodzieńcze.

Leon zacisnął usta, spojrzął na Percy'ego i pokręcił głową.

- Będzie dobrze - zapewnił przyjaciel. - Jutro go dopad
niemy.

Leon wstał.

- Jak chcesz. O świcie będę gotów do drogi. Życzę dobrej
nocy, panowie. - Eastmont nie odpowiedział, a Leon odwrócił
się do Percy'ego plecami. W świetle ogniska mężczyzna wy
glądał na starego i schorowanego. - Dobranoc, Percy - po
wtórzył delikatnie. - Nie martw się. Mam dobre przeczucie.

Wiem, że go odnajdziemy.

Leon stał na krawędzi urwiska z Manyoro i Loikotem. Słońce jeszcze nie weszło, nad powierzchnią wody wisiła niska mgła. Świt był bezwietrzny, a czysta tafla jeziora szarzała jak polerowana cyna. Lśniące klucze różowych flamingów migotały na niebie, a nieporuszona szara toń cudnie odbijała ich kształt. Widok był przepiękny.

- Bwana Samawati sądzi, że bawół ma złamaną tylną nogę - powiedział Leon, obserwując ptaki. - Może to go trochę spowolni. - Loikot splunął na czarny wulkaniczny piasek, a Manyoro zbadał z uwagą ziemię, biorąc odrobinę na palec. Żaden nie raczył odpowiedzieć na to głupkowane przypuszczenie. Złamana noga nie spowolniłaby rozwścieczonego samca bawołu. - Bwana Mjiguu chce prowadzić. Mówi, że to jego bawół. To on go zastrzeli. - Masajowie, którzy nazwali East-

262

monta "Panem Wielką Stopą", przyjęli te słowa jak wiadomość

0 śmierci drogiego przyjaciela.

- Może trafi go w drugą nogę. To by go spowolniło -
zasugerował Manyoro, a Loikot zachichotał z rozbawienia.

Nawet Leon nie mógł się opanować. Zaczął się śmiać razem z nimi, co trochę poprawiło atmosferę.

Kiedy Percy wyszedł ze swojego namiotu, Leon opuścił Masajów i poszedł go przywitać. Cera Percy'ego była szara jak wody jeziora. Utykał wyraźniej niż wczoraj.

— Witaj, Percy. Dobrze spałeś?

— Ten przeklęty gnat nie dał mi zmrużyć oka.

— Napijmy się kawy w kantynie - poradził. Ruszyli do namiotu. - Widziałem się z wujem Penrodem w Nairobi. Prosił, abym coś ci przekazał.

— Słucham.

— Eastmont został wydalony z armii w Afryce Południowej.

Za tchórzostwo w obliczu nieprzyjaciela. - Percy stanął jak wryty i spojrzał mu w oczy. - W Anglii został oczyszczony z zarzutu utopienia swojej niezwykle bogatej żony. Z braku dowodów.

Percy zamyślił się chwilę, po czym odpowiedział:

— Wiesz co? Nie zaskakuje mnie to ani trochę. Wczoraj wyprowadziłem go na tego bawołu. Staliśmy dwadzieścia jardów od niego. Ani cala dalej. Ze strachu strzelił w tylną nogę.

— Pozwolisz mu prowadzić?

— Słyszałeś, co mówił wczoraj w nocy. Mamy jakiś wybór?

— Chcesz, abym go osłaniał?

— Myślisz, że sam sobie nie poradzę? - Percy spojrzał na niego ponuro.

Leon pożałował przyjaciela.

— Nie, do kroćset! Nadal jesteś super.

— Dzięki, potrzebowałem takiego zapewnienia. Eastmont jest moim klientem i to ja będę go osłaniał, lecz będę wdzięczny, jeśli pójdziesz za mną. - Eastmont ukazał się w wejściu do namiotu

1 powlókł ku nim. Człapał niezgrabnie jak niedźwiedź na łańcuchu.

263

Inie

wiiiii ^jajia, luiuzit p

Ruszamy na naszego bawołu?

- Witam pana, lordzie - przywitał go pogod: naszeo bawołu?

Percy.

Po godzinie jazdy dotarli do miejsca, gdzie wczorajszego wieczoru Percy zrezygnował z podążania krwawym tropem. Miejsce było niesprzyjające - gęste cierniste zarośla rosące nisko przy ziemi. W krzakach nosorożce, słonie i bawoły wydeptały wąskie korytarze.

Tropiciel Percy'ego, który pracował u niego trzydzieści lat, nazywał się Ko'twa. Masaj wskazał stary ślad niemal zatarty przez duże zwierzęta, które przechodziły tędy nocą. Manyoro i Loikot ruszyli przed siebie żwawym truchtem.

Trzej myśliwi podążali konno ich śladem. Gęste zarośla rosły na ziemi miękkiej i piaszczystej, szybko pokonali kilka pierwszych mil. Później podłoże się zmieniło, pojawił się twardy żwir, na którym nie było widać śladów bawolich kopyt. Nieliczne krople krwi zaschły i szczeniały, przez co trudno je było odróżnić od plam na zwędniętych liściach i wyschłych gałązkach pod krzakami. Jeźdźcy trzymali się z tyłu, aby nie przeszkadzać trzem tropicielom w ich niesamowitej pracy. Godzinę później słońce stało wysoko na

niebie, a skwar stał się nieznośny. Wiatr osłabł, w powietrzu zapanowała duchota. Umilkły nawet ptaki i owady. Wokół zaległa złowroga, posępna cisza. Zarośla gęstniały, zamieniając się w zieloną, ciernistą ścianę. Tropiciele przeciskali się wąskimi korytarzami między wystającymi szponami gałęzi. Nawet z siodła widok był poważnie ograniczony.

Leon spiął wierzchowca i podjechał do Percy'ego.

- Robimy za dużo hałasu. Bawół usłyszy nas z odległości mili. Nie chcemy go spłoszyć. Kiedy zacznie uciekać, otworzą mu się rany. Powinniśmy zejść z koni. - Zeskoczyli na ziemię i spętali zwierzęta, nakładając im worki z obrokiem, aby stały spokojnie.

Kiedy pociągnęli łyk wody, Percy udzielił Eastmontowi ostatniej rady:

264

— Kiedy bawół wyjdzie z zarośli... podkreślam, że nie powiedziałem "Jeśli wyjdzie"... uniesie łeb i zacznie się rozglądać. Wyda się panu, że porusza się ospale i nie zmierza w pana stronę. Proszę nie dać się zwieść. Ruszy bardzo szybko, by pana stratować. Wyda się tak ogromny, że nie będzie pan wiedział, w co mierzyć. Pojawi się pokusa, aby strzelić w sam środek jego cielska. Proszę tego nie robić. Tylko jeden strzał może go powstrzymać. Musi pan trafić w mózg. Kiedy uniesie nos, proszę wycelować w czubek. Nos będzie wilgotny i lśniący, co sprawi, że stanie się wyraźnym celem. Proszę strzelać w nos, dopóki nie upadnie. Jeśli nie runie na ziemię i nadal będzie biegł w pana stronę, proszę uskoczyć w lewo. Będę szedł z prawej strony, muszę mieć czyste pole do strzału. Pamiętaj pan, w lewo! Ma pan uskoczyć w lewo. Czy to jasne?

— Nie jestem dzieckiem, Phillips - odrzekł sztywno

lord. - Proszę się tak do mnie nie zwracać.

Rzeczywiście, nie jesteś dzieckiem, pomyślał z goryczą Leon. Jesteś walecznym dżentelmenem, który zostawił swój pluton, by poczciwi starzy Burowie dokonali rzezi. Myślę, że dzięki panu możemy się dziś nieźle zabawić.

- Przepraszam - rzekł Percy. - Możemy ruszać?

Uformowali tyralierę. Eastmont z przodu, Percy tuż za nim,

po prawej, a Leon z tyłu. Sztucery mieli załadowane i zabezpieczone. Leon trzymał między palcami lewej dłoni dwa zapasowe naboje .470, aby móc szybko przeładować. Szli za tropicielami, którzy doskonale wiedzieli, co mają robić. Dla nich to chleb powszedni. Gdy bawół wyłoni się z gęstwiny, mieli oczyścić przedpole, dając Eastmontowi wolne pole do strzału. Szli szybko i bezszelestnie, porozumiewając się językiem znaków.

Słońce zbliżało się do zenitu. Powietrze było gorące niczym oddech piekła. Na plecach pod koszulą Eastmonta pojawiła się strużka potu. Leon dostrzegł kilka kropeł na karku, wypływały spod linii włosów. Słyszał, jak mężczyzna dyszy astmatycznie. Przez godzinę zrobili nie więcej niż dwieście kroków. Napięcie było tak duże, że powietrze niemal trzeszczało.

265

Nagle z zarośli przed nimi doleciał słaby dźwięk przypominający odgłos pękających gałązek. Tropiciele zastygli bez ruchu. Loikot stał na jednej nodze, wyciągając drugą, by zrobić kolejny krok.

- Co to było? - spytał Eastmont. W ciszy jego głos

zabrzmiął jak syrena mgłowa.

Percy chwycił go silnie za ramię, aby się uciszył. Pochylił się do przodu, niemal dotykając wargami ucha Eastmonta.

- Usłyszał nas. Wstał z legowiska. Dotknął gałęzi końcem

rogu. Jest bardzo blisko. Proszę zachować ciszę.

Nikt nie przemówił słowa ani się nie poruszył. Wsłuchiwali się w odgłosy dolatujące z zarośli, nieruchomi jak figury woskowe. Wydawało się, że trwali tak całą wieczność. Później Loikot postawił stopę na ziemi, a Manyoro odwrócił głowę. Uczynił prawą dłonią zgrabny wymowy gest w kierunku Leona. "Bawół ruszył naprzód. Możemy iść", powiedział w języku gestów.

Ruszyli ostrożnie, nie słysząc ani nie widząc niczego. Atmosfera stała się napięta jak stalowa lina naciągnięta do granic wytrzymałości. Leon trzymał kciuk na bezpieczniku hollanda. W jednej chwili mógł unieść broń, wycelować i strzelić. Wtedy go usłyszał - ciche odgłosy przypominające dźwięk kropli

deszczu padających na trawę, słabe jak oddech niemowlęcia. Spojrzał w lewo i zauważył, że bawół zbliża się w ich stronę.

Zwierzę cofnęło się i czekało w zasadzce, ukryte w nieprzeniknionych szarych zaroślach. Bawół przepuścił tropicieli i wyłonił się z gęstwiny, czarny jak węgiel, ogromny niczym granitowa góra. Szerokie wygięte rogi były gładkie i lśniące, szersze od rozciągniętych ramion wysokiego mężczyzny. Ich końce były ostre jak sztylet, a guzy pomiędzy nimi sękaty jak skorupy gigantycznego orzecha włoskiego, masywne niczym monolit obsydianu.

- Percy, masz go po lewej! Atakuje! - zawołał Leon.

Cofnął się o krok, by mieć wolne pole do strzału, lecz zanim zdążył przytknąć sztucer do ramienia, bawół zniknął w gęstych

266

zaroślach. Nie zdołał wycelować. - Percy! Jest twój! Strzelaj! - krzyknął ponownie. Kątem oka dostrzegł, że Percy skoczył w lewo, by znaleźć się na pozycji do strzału. Niestety, chora noga spowolniła jego ruchy. Wziął się w garść, kierując sztucer na szarżującego byka. Leon wiedział, że z takiej odległości Percy odda pewny strzał w mózg. Był starym wytrawnym myśliwym, który nigdy nie zmarnowałby takiej okazji.

Na śmierć zapomnieli o Eastmoncie. Kiedy Percy zaciskał palec na spuście, lord nie wytrzymał napięcia i rzucił się do ucieczki. Cisnął sztucer, odwrócił się i czmychnął z pobladłą twarzą i dzikim spojrzeniem. Wpadł na Percy'ego z całym impetem, jakby go nie zauważył. Percy runął jak długi. Grzmotnął o ziemię plecami i tyłem głowy, wypuszczając sztucer. Eastmont nie patrzył, dokąd pędzi, sunął wprost na Leona. Ścieżka była zbyt wąska, aby dało się uskoczyć. Leon odwrócił sztucer, zasłaniając się kolbą, by w ten sposób powstrzymać siłę uderzenia.

Daremny trud. Eastmont był potężnym mężczyzną i najwyraźniej oszalał ze strachu. Nic nie zdołałoby go zatrzymać. Leon uderzył go kolbą w środek klatki piersiowej. Kolba z orzecha pękła w okolicy uchwytu. Eastmont nawet nie mrugnął. Przeleciał po Leonie jak lawina. Siła uderzenia odrzuciła Courtneya w bok. Eastmont popędził dalej. Leon wylądował na prawym ramieniu z boku ścieżki. Chwytał pęknięty sztucer w lewą rękę i podparł się prawą, spoglądając rozpaczliwie w miejsce, gdzie upadł Percy.

Myśliwy dźwigał się na kolana. Zgubił sztucer i był zamroczony uderzeniem w tył głowy. Tuż za nim z zarośli na wąską ścieżkę wypadł bawół. Opuścił potężny łeb i natarł gwałtownie, wbijając w Percy'ego małe nabiegłe krwią ślepia. Tylna noga zwiślała bezwładnie na pogruchotanej kości, lecz pędził na trzech pozostałych, mroczny i szybki jak letnie tornado.

Leon uniósł pęknięty sztucer. Kolba była strzaskana, lecz i tak miał zamiar oddać strzał, trzymając broń jedną ręką. Wiedział, że pod wpływem siły odrzutu może mu pęknąć nadgarstek.

267

- Percy, na ziemi! - wrzasnął. - Padnij! Daj mi szansę. - Percy stał wyprostowany, blokując pole strzału. Poruszał głową wyraźnie zamroczony, chwiejąc się jak pijany i nieprzytomnie rozglądając dookoła. Leon próbował krzyknąć ponownie, lecz strach zacisnął mu gardło. Patrzył, jak bawół odwrócił głowę, mierząc rogiem niczym sierpem i pokonując ostatnie jarady dzielące go od Percy'ego. Kark miał masywny niczym pień drzewa, potężnie umięśniony. Użył całej skumulowanej energii, by zamachnąć się masywnymi przypominającymi półksiężyc rogami.

Czubek rogu uderzył Percy'ego w krzyż na wysokości nerek. Bawół uniósł wysoko głowę, nadziewając ofiarę na róg jak na pal. Leon nie wierzył własnym oczom, gdy dostrzegł koniec długiego masywnego rogu wyłaniający się z brzucha przyjaciela. Zwierzę potrząsnęło łbem, próbując zrzucić bezwładne ciało. Percy obrócił się, poruszając bezwładnie kończynami, lecz róg nadal tkwił w jego brzuchu. Leon słyszał dźwięk rozrywanej skóry i ciała przypominający odgłos rozdzieranego jedwabiu. Percy zawisł na łbie bawołu, zasłaniając widok. Leon skoczył przed siebie, odbezpieczając broń. Zanim jednak do-pędził zwierzę, bawół opuścił łeb i cisnął Percym o ziemię. Kiedy się uwolnił, przygwoździł go rogowym guzem na łbie, stanął nad nim i począł go deptać. Leon usłyszał, jak zebra przyjaciela pękają niczym suche gałązki.

Przyklęknął na jedno kolano obok barku zwierzęcia i przycisnął obie lufy hollanda do masywnego karku, w miejscu gdzie kręgosłup szyjny łączy się z tułowiem. Myślał, że siła odrzutu złamie mu nadgarstek, lecz ogarnął go taki szal, że ledwie poczuł uderzenie. Sądził, że chybił, lecz bawół zachwiał się i przysiadł na tylnych nogach. Kiedy zwierzę pochylił łeb, w końcu można było oddać strzał w mózg. Leon zerwał się i ponownie ruszył do przodu, uważając, by nie znaleźć się w zasięgu śmiertelnych rogów. Podniósł sztucer i wypalił z drugiej lufy w tył czaszki, za kościstym guzem. Kula rozerwała mózg. Zwierzę runęło do przodu, a następnie przewróciło się

268

na bok. Zdrowa zadnia noga wierzgnęła konwulsyjnie. Bawół wydał długi ryk agonii i zastygł nieruchomo.

Leon odrzucił uszkodzony sztucer, podbiegł do Percy'ego i klęknął obok ciała. Myśliwy leżał na plecach z szeroko rozrzuconymi ramionami jak ukrzyżowany. Miał zamknięte oczy, rana brzucha była potworna, na zewnątrz wysuwały się wnętrzności. Po ciemnej barwie krwi Leon poznał, że Percy krwawi z nerek.

- Percy! - krzyknął. Bał się go dotknąć, nie chcąc zadać

mu jeszcze większego bólu lub zrobić jeszcze większej krzywy

dy. - Percy?!

Wspólnik otworzył oczy i z wysiłkiem skoncentrował wzrok na twarzy Leona. Uśmiechnął się ponuro, z wyraźnym żalem.

— Po raz drugi nie uskokczyłem. Za pierwszym razem straciłem kulasa, a teraz rozprawił się ze mną na dobre.

— Nie gadaj bredni! - przerwał mu Leon ostro. Poczł wilgoć na policzkach. Miał nadzieję, że to tylko pot. - Wróćmy do obozu, kiedy tylko cię opatrę. Wyzdrowiejesz. - Zerwał koszulę i zwinął ją w kulę. - Wiem, że to może boleć, lecz musimy zatamować krew - rzekł, przyciskając tkaninę do brzucha Percy'ego. Weszła bez trudu, bo rana była rozległa i głęboka.

— Nic nie czuję - wyszeptał Percy. - To łatwiejsze, niż sądziłem.

— Zamknij się, staruszk. - Leon nie mógł patrzeć w zasnuwające się mrokiem oczy przyjaciela. - Teraz cię podniosę.

— Nie - poprosił cicho Percy. - Chcę umrzeć tutaj. Jestem gotów, jeśli mi pomożesz.

— Zrobię wszystko - zapewnił go. - Wszystko, co ze chcesz, Percy. Przecież wiesz.

— W takim razie podaj mi dłoń. - Percy chwycił jego rękę i zamknął oczy. - Nigdy nie miałem syna - powiedział ci cho. - Chciałem, lecz się nie doczekałem.

- Nie wiedziałem - odparł Leon.

Percy otworzył oczy.

269

— Myślę, że z braku własnego syna będę musiał zadowolić

się tobą. - Mrugnął porozumiewawczo. Leon próbował odpowiedzieć, lecz wzruszenie ścisnęło mu krtań. Po chwili zdołał wyszeptać:

— Nie jestem wystarczająco dobry, Percy.

— Nikt wcześniej nie płakał z mojego powodu. - W głosie starego myśliwego zabrzmiała nutka zdumienia.

— Gównno!

— Merde - poprawił go Percy.

— Merde - powtórzył jak echo Leon.

— Posłuchaj uważnie. - W głosie przyjaciela pojawił się ponagląjący ton. - Wiedziałem, że to się stanie. Miałem proroczy sen. Zostawiłem coś dla ciebie w starej blaszanej puszcze pod moim łóżkiem w Tandali.

— Kocham cię, Percy. Ty cholerny stary draniu.

— Nikt mi tego wcześniej nie powiedział. - Błysk w jego błękitnych oczach zaczął słabnąć. - Bądź gotów. To się stanie za chwilę. Chwyć moją dłoń, aby pomóc mi przejść. - Zamknął oczy, a następnie szeroko je otworzył. - Weź mnie za rękę, synu! Mocno! -Leon ścisnął jego dłoń, zdumiony siłą, z jaką trzymał go stary człowiek.

— Boże, przebacz mi grzechy. Dobry kochający Boże!

Nadchodzę! - Wydał ostatnie tchnienie, ciało zeszywniało, a dłoń stała się bezwładna. Kiedy Leon wyciągnął rękę i delikatnie zamknął mu powieki, z zarośli wyskoczył Ko'twa, wymachując assegai.

Leon ostrożnie ułożył ręce i nogi przyjaciela, a następnie podniósł go z ziemi, jakby był śpiącym dzieckiem. Ruszył w kierunku koni z głową Percy'ego opartą na ramieniu. Nie uszedł pięćdziesięciu kroków, gdy doleciały go przeraźliwe okrzyki.

- Bwana, chodź szybko! Ko'twa zabije Mjiguu! - Leon
rozpoznał głos Manyoro. Popędził przed siebie, nie wypuszczając ciała Percy'ego. Scena, którą ujrzał za zakrętem wąskiej ścieżki, wprowadziła go w dzikie osłupienie.

270

Eastmont zwinął się na środku ścieżki w pozycji płodowej. Podciągnął kolana do piersi, osłaniając głowę potężnymi dłońmi, a Ko'twa tańczył wokół niego, dżgając go uniesioną assegai. Wrzeszczał nad ciałem rozpostartym na ziemi.

— Ty wieprzu i synu wieprza! Zabiłeś Samawati! Nie jesteś człowiekiem! Zostawiłeś go na śmierć. Był mężem wśród mężów, a ty go zabiłeś, nędzna kreaturo! Teraz ja zabiję ciebie. - Próbował uderzyć assegai w tył głowy leżącego, lecz Manyoro i Loikot chwycili go za ramię, blokując cios.

— Ko'twa! - Głos Leona przypominał huk karabinowego wystrzału. Tropiciel usłyszał go, choć żal odebrał mu rozum. Spojrzał na Leona zaślepiony wściekłością i cierpieniem. - Ko'twa! Twój bwana cię potrzebuje. Chodź, zabierz go do domu. - Mówiąc to, podał mu bezwładne ciało. Ko'twa utkwił w nim spojrzenie. Powoli zaczął odzyskiwać przytomność, a błyski wściekłości w oczach osłabły. Rzucił assegai i wyrwał się trzymającym go Masajom. Podszedł do Leona z zażawioną twarzą. - Nieś go ostrożnie, Ko'twa - rzekł Leon, przez kazuując mu bezwładne ciało. Skinął głową i bez słowa ruszył

do koni.

Po drodze podszedł do leżącego Eastmonta i trącił go czubkiem buta.

- Wstawaj. Wszystko skończone. Jesteś bezpieczny. Mo-
żesz się podnieść. - Eastmont cicho szlochał. - Wstawaj!

Nich cię szlag trafi, ty tchórzliwy draniu! - powtórzył Leon.

Eastmont wyprostował swoją ogromną postać i spojrzał na niego nic nierozumiejącym wzrokiem.

— Co się stało? - spytał niepewnie.

— Rzucił się pan do ucieczki.

— To nie moja wina.

— Wielka to pociecha dla Percy'ego Phillipa i żołnierzy,
których zostawił pan na pewną śmierć w Slang Nek. Albo dla
tej kobiety, którą utopiłeś, pan, w Ullswater.

Lord Eastmont zachowywał się tak, jakby nie rozumiał jego oskarżeń.

271

— Nie chciałem tego - zaskomlił. - Pragnąłem się spraw-
dzić, nic nie poradzę, że znowu nie podołałem. Proszę to
zrozumieć, dobrze?

— Nie. Nie zamierzam. Mam jednak dla pana dobrą radę.

Proszę się więcej do mnie nie zwracać. Nigdy. Nie zdołam się
powstrzymać, jeśli choć raz usłyszę pana skowyt. Pójdę obciąć
ten ogromny groteskowy łeb pańskiego bawołu. - Odwrócił
się i zawołał Manyoro. - Odwieź tego człowieka do obo-
zu. - Odwrócił się i poszedł do miejsca, w którym leżało ciało
zabitego zwierzęcia. Znalazł kawałki sztucera w zaroślach przy

ścieżce, tam gdzie go porzucił. Kiedy wrócił do koni, zauważył, że oczekuje go Ko'twa. Nadal trzymał Percy'ego na rękach.

— Bracie, pozwól mi wziąć Samawati, był mi ojcem -
rzekł, odbierając ciało z rąk pogrążonego w smutku tropiciela
i niosąc je w stronę konia.

Kiedy dotarł do obozowiska nad jeziorem, okazało się, że Max Rosenthal przyjechał z obozu Tandala drugim samochodem. Leon polecił mu, aby spakował i załadował na wóz rzeczy Eastmonta. Kiedy lord dotarł do obozu w asyście Manyoro, był ponury i miał minę winowajcy.

- Odsyłam pana do Nairobi - oznajmił chłodno Leon. - Max wsadzi pana do pociągu w Mombasie i zarezerwuje kajutę na następnym liniowcu odpływającym do Europy. Prześlę panu łeb bawołu i inne trofea, kiedy tylko zostaną zakonserwowane. Może pan być szczęśliwy i dumny, rogi byka mają ponad pięćdziesiąt cali długości. Jestem winien panu pieniądze za przerwane safari. Prześlę je, gdy tylko obliczę kwotę. Teraz proszę wsiąść do samochodu i zniknąć mi z oczu. Muszę pogrzebać człowieka, którego pan zabił.

Wykopali Percy'emu głęboki grób pod starym baobabem na cyplu nad jeziorem. Owinęli go w prześcieradło i złożyli

272

na dnie, a następnie przykryli warstwą największych kamieni, jakie zdołali udźwignąć, by w końcu przysypać wszystko ziemią. Leon stał nad kopcem, gdy Manyoro prowadził swoich w tańcu lwa.

Został jeszcze długo po tym, jak inni wrócili do obozu. Usiadł na obumarłym konarze baobabu i spoglądał na jezioro. Teraz, gdy tarcza słońca stała nisko nad powierzchnią wody, była błękitna jak oczy Percy'ego. W milczeniu ostatni raz pożegnał przyjaciela. Gdyby Percy znajdował się gdzieś w pobliżu, bez słów wiedziałby, o czym myśli.

Patrząc na jezioro, był rad, że znalazł przyjacielowi piękne miejsce na wieczny spoczynek. Pomyślał, że nie miałby nic przeciwko temu, aby jego także pochowano w takiej okolicy. Kiedy w końcu wrócił do obozu, okazało się, że Max i lord Eastmont wyjechali już do Nairobi.

Leon ruszył wyboistym szlakiem do Arushy, najbliższego ośrodka administracyjnego w Niemieckiej Afryce Wschodniej. Stanął przed Amtsrichterem, regionalnym sędzią pokoju i złożył pisemne oświadczenie pod przysięgą o okolicznościach śmierci Percy'ego, a sędzia wydał akt zgonu.

Kiedy kilka dni później dotarł do Tandali, Max Rosenthal i Hennie du Rand niecierpliwie na niego czekali, nie wiedząc, co ich czeka po śmierci Percy'ego. Leon powiedział, że nie może się z nimi rozmówić, dopóki nie zorientuje się w sytuacji firmy.

Wypił dzbanek herbaty, by zmyć kurz osiadły w gardle, ogolił się, wziął kąpiel i włożył świeże ubranie odprasowane przez Izmaela. Zdał sobie sprawę, że celowo odwleka moment udania się do bungalowu Percy'ego. Przyjaciel cenił sobie prywatność. Leon czułby się jak świętokradca, gdyby grzebał w jego rzeczach osobistych. W końcu zebrał się w sobie, powtarzając, że taka była wola zmarłego.

Poszedł na wzniesienie do małego krytego strzechą bun-

273

galowu, który był domem Percy'ego przez ostatnich czterdzieści lat. Nadal wahając się, czy wejść, usiadł na werandzie, wspominając, jak wspólnie żartowali, rozparci na wygodnych krzesłach z drewna tekowego wyłożonych poduszkami uszitymi ze skóry słonia, opierając trzymane w dłoniach szklaneczki z whisky we wgłębieniach oparcia. W końcu podniósł się i poszedł do drzwi. Otworzyły się, gdy je pchnął. Percy nigdy ich nie zamykał.

Wszedł do chłodnego, mrocznego wnętrza. Ściany pierwszego pomieszczenia wypełniały półki z książkami. Księgozbiór Percy'ego liczył setki tytułów. Prawdziwy skarbiec pełen pamiątek z Afryki. Instynktownie poszedł do środkowego regału i wyciągnął Słońce i burzę nad Afryką pióra Percy'ego "Samawati" Phillipsa. Była to jego autobiografia. Leon czytał tę książkę kilka razy. Przekartkował tom, z przyjemnością oglądając ryciny. Po chwili odłożył ją na półkę i poszedł do sypialni przyjaciela. Nigdy wcześniej nie był w tym pomieszczeniu, więc rozejrzał się wokół nieśmiało. Na jednej ze ścian wisiał krucyfiks. Leon uśmiechnął się do siebie. Percy, ty przebiegły stary lisie, zawsze miałem cię za zatwardziałego ateistę, a ty byłeś katolikiem.

W tym przypominającym klasztorną celę pokoju była tylko jedna ozdoba. Stary dagerotyp przedstawiający mężczyznę i kobietę siedzących sztywno na łóżku w najlepszych niedzielnych ubraniach. Kobieta trzymała na kolanach małe dziecko bliżej nieokreślonej płci. Mężczyzna i kobieta byli przypuszczalnie jego rodzicami. Leon pomyślał, że małym dzieckiem musiał być Percy lub jedno z jego rodzeństwa.

Usiadł na krawędzi twardego jak beton materaca. Pościel była stara i wytarta. Sięgnął pod łóżko i spróbował wyciągnąć sfatygowaną metalową puszkę. Nagle natrafił na opór. Przyklęknął na jedno kolano, aby sprawdzić, w co się zaplątała.

- Do kroćset! - wymamrotał. - Co tam wsadziłeś?! - Z dużym trudem wyciągnął ciężki przedmiot. Z zaskoczeniem stwierdził, że ma przed sobą wspaniały cios słonia, drugi od pary dał kiedyś w zastaw wielmożnemu Goolamowi Vilab--dzi. - Sądziłem, że go sprzedałeś, Percy, a tyś go ukrył.

274

Ponownie usiadł na brzegu łóżka, stawiając władczo stopy na ciosie, a następnie otworzył metalową

puszkę. W środku znajdowały się starannie poukładane skarby i ważne dokumenty Percy'ego, od paszportu po wyciągi bankowe i książeczkę czekową, od małych szkatułek na biżuterię, spinki do mankietów i szpilki do kołnierza po stare bilety na parowiec i wyblakłe fotografie. Zauważył też schludny plik dokumentów przewiązany tasiemką. Uśmiechnął się ponownie na widok wycinków gazet z artykułami opisującymi wielkie safari, w których odgrywał tak doniosłą rolę. Na wierzchu spostrzegł złożony dokument zapieczętowany czerwony woskiem, na którym dużymi literami napisano: W RAZIE MOJEJ ŚMIERCI PRZEKAZAĆ DO RĄK WŁASNYCH LEONA COURTNEYA.

Zważył go w dłoni, by w końcu sięgnąć po nóż myśliwski spoczywający w pochwie u pasa. Ostrożnie zerwał woskową pieczęć i rozłożył arkusz grubego szarego papieru. U góry widniał nagłówek: "Testament". Spojrzał na dół kartki. Dokument został podpisany przez Percy'ego oraz dwóch świadków, generała brygady Penroda Ballantyne'a oraz Hugh, trzeciego barona Delamere.

Sporządzony bez zarzutu, pomyślał. Percy nie mógłby znaleźć bardziej wiarygodnych świadków od tych dwóch. Zaczął uważnie czytać spisany odręcznie dokument. Jego przesłanie było proste i wyraźne. Percy zapisywał cały swój majątek wspólnikowi i drogiemu przyjacielowi, Leonowi Ryderowi Courtneyowi.

Potrzebował trochę czasu, aby pojąć szczodrość ostatniego iaru przyjaciela. Musiał przeczytać testament jeszcze trzy razy, by oswoić się z jego treścią. Chociaż nie miał zielonego pojęcia

majątku Percy'ego, jego broń myśliwska i sprzęt safari musiały być warte przynajmniej pięćset funtów, nie wspominając o ciosie, którego używał w charakterze podnóżka. Jednak to nie wartość przekazanego majątku była dla niego najważniejsza, lecz sam dar-wyraz szczerego przywiązania i szacunku Percy'ego.

275

Nie musiał się spieszyć z przejrzaniem pozostałej zawartości puszki, więc siedział przez chwilę, dumając o testamencie. W końcu wyniósł puszkę na werandę, gdzie było więcej światła, i usiadł na ulubionym krześle przyjaciela. Ogrzeję je dla ciebie, stary druhu, mruknął przepraszająco i zaczął przeglądać zawartość pojemnika.

Percy trzymał swoje rzeczy w pedantycznym porządku. Leon otworzył księgę z rachunkami bankowymi i zamrugał ze zdumienia, widząc stan konta wielmożnego Percy'ego Phillipsa w oddziale banku Barclays, Dominion, Colonial and Overseas w Nairobi. W sumie było tego nieco ponad pięć tysięcy funtów szterlingów. Percy uczynił go zamożnym człowiekiem.

Na tym jednak nie koniec. Wśród dokumentów znalazł tytuły własności nieruchomości i ziemi nie tylko w Nairobi i Mom-basie, lecz także w Bristolu, gdzie Percy przyszedł na świat. Leon nie mógł w żaden sposób oszacować ich wartości.

Łatwiejszy do oszacowania był pakiet obligacji wystawionych przez rząd Wielkiej Brytanii, przynoszący pięć procent dochodu rocznie - najbezpieczniejsza i najbardziej wiarygodna inwestycja. Wartość nominalna papierów wynosiła dwanaście i pół tysiąca funtów. Same odsetki dawały ponad sześćset

funtów rocznego zysku. Przyzwoita sumka.

- Percy, nie miałem pojęcia! Jak wszedłeś w ich posiadanie?

Po zapadnięciu zmroku wrócił do pierwszego pokoju i zapalił lampy. Pracował do północy, porządkując papiery i zapoznając się z rachunkami. Kiedy powieki zaczęły mu opadać, poszedł do surowej małej sypialni i wyciągnął się pod moskitierą na łóżku Percy'ego. Twardy materac przywitał jego zmęczone ciało. Był wygodny. Po ostatnich tułaczkach miejsce to wydało mu się domem.

Przebudził się o świcie, słysząc chór drozdów pod oknem. Kiedy zszedł ze wzgórza, okazało się, że Max Rosenthal i Hen-

276

nie du Rand czekają niecierpliwie w namiocie kantynie. Izmael przygotował śniadanie, lecz żaden nie tknął jedzenia.

- Rozluźnijcie się i usiądźcie wygodnie - rzekł Leon,

zajmując miejsce u szczytu stołu. - Nałóżcie sobie jajek

i bekonu, zanim ostygnie, a Izmael wpadnie w szał. - Firma

C and P Safaris będzie działać nadal. Nic się nie zmieni. Macie

robotę, tylko starajcie się jak do tej pory.

Po śniadaniu poszedł do vauxhalla. Kiedy Manyoro uruchomił silnik, razem z Loikotem usiedli z tyłu i cała trójka wyruszyła do miasta. Leon wstąpił najpierw do małego krytego strzechą budynku za rezydencją gubernatora, w którym znajdowało się biuro notarialne. Urzędnik poświadczył akt zgonu Percy'ego i jego testament, a Leon podpisał się w olbrzymiej, oprawionej w skórę księdze.

- Jako wykonawca testamentu pana Phillipsa ma pan trzy

dzieści dni na oszacowanie majątku zmarłego - poinformował

go urzędnik. - Później trzeba będzie uiścić podatek, aby

majątek mógł zostać przekazany spadkobiercom.

Leon był zdumiony.

— Nie rozumiem? Chce pan powiedzieć, że pobieracie

podatek od śmierci?

— Tak, panie Courtney. Podatek spadkowy wynosi dwa i pół

procent.

— To bezczelny rabunek i zdzierstwo! - wykrzyknął. -

Co się stanie, jeśli odmówię zapłaty?

— Państwo przejmie cały majątek, a pan trafi za kratki.

Leon nadal kipiał z wściekłości na taką niesprawiedliwość, gdy wjeżdżał przez bramę koszar KSA. Zaparkował wóz przed kwaterą główną i wbiegł po stopniach, pozdrawiając wartowników. W dyżurce siedział nowy adiutant generała. Ku zdumieniu Leona okazało się, że to nikt inny, jak Bobby Sampson. Miał kapitańskie gwiazdki na epoletach.

- Wygląda na to, że awansowali tu wszystkich. Nawet najniższe formy życia - rzucił w drzwiach.

277

Bobby patrzył na niego chwilę w osłupieniu, a następnie zerwał się zza biurka i radośnie uściskał jego dłoń.

— Leon, witaj, bracie! Piękne zjawiska zawsze cieszą! Nie wiem, co powiedzieć? No co? Co?

— Powiedziałeś już wszystko, Bobby.

— Opowiedz, co robiłeś od naszego ostatniego spotkania - domagał się Bobby.

Przez chwilę rozmawiali z ożywieniem, aż wreszcie Leon powiedział:

— Bobby, muszę się widzieć z generałem.

— Jestem pewny, że generał przyjmie cię z największą przyjemnością. No nie? Poczekaj chwilę, powiem mu, że jesteś. -

Wrócił po kilku minutach, aby wprowadzić Leona do gabinetu.

Generał wstał na jego widok i wyciągnął rękę ponad biurkiem, aby go powitać. Wskazał ręką krzesło naprzeciw siebie.

— Zaskoczyłeś mnie, Leonie. Spodziewałem się ciebie

w Nairobi dopiero za miesiąc. Co się stało?

— Percy nie żyje. - Leon odzyskał głos, gdy wydusił z siebie straszną wiadomość.

Penrod spojrział na niego i zaniemówił. Po chwili wstał zza biurka i podszedł do okna. W milczeniu obserwował plac do musztry, z dłońmi splecionymi na plecach. Milczeli kilka minut, dopóki Penrod nie wrócił na swoje miejsce.

— Opowiedz mi, jak to się stało. - Kiedy Leon skończył,

Penrod rzekł: - Percy to przeczuwał. Przed wyjazdem poprosił, abym poświadczył pewien dokument. Wiesz o nim?

— Tak, wuju. Powiedział mi, gdzie go znaleźć. Już wprawdzie miałem go do rejestru.

Penrod wstał, wkładając czapkę na głowę.

- Pospieszyles się. Słońce nie zaszło jeszcze za reję. Chodź, jesteśmy winni Percy'emu czuwanie przy zwłokach.

W kantynie nie było nikogo oprócz barmana. Kiedy Penrod zamówił dwa drinki, obaj usiedli w cichym kącie zarezerwowanym dla dowódcy i jego gości. Przez jakiś czas rozmawiali o Percym i sposobie, w jaki umarł. W końcu Penrod zapytał:

278

— Co teraz zrobisz?

— Percy wszystko mi zapisał. Będę w dalszym ciągu prowadził firmę, choćby po to, by uczcić jego pamięć.

— Rad to słyszę z powodów, które są ci dobrze znane - ucieszył się Penrod. - Nie zamierzasz zmienić nazwy firmy?

— Już to zrobiłem, wuju. Dzisiejszego ranka zarejestrowałem nową nazwę w urzędzie.

— Courtney Safaris?

— Nie. Phillips and Courtney. P and C Safaris.

— Pozostawiłeś jego nazwisko, a nawet umieściłeś je przed swoim!

— Poprzednia nazwa była wynikiem rzutu monety. Percy chciał, aby firma nazywała się tak, jak obecnie. Chciałem choć trochę mu się odwdziżyć za to, co dla mnie zrobił.

— Słusznie, mój chłopcze. Mam dla ciebie dobrą nowinę. P and C Safaris wystartują na dobre. Księżna Isabella Madeleine Hoherberg von Preussen von und zu Hohenzollern zachwala twoją firmę znajomym. Wygląda na to, że przyjaciel jej rodziny, graf Otto von Meerbach, rozmawiał z nią po powrocie do Niemiec i że poleciła cię bez żadnych zastrzeżeń. Von Meerbach przyjął cenę zaproponowaną przez Percy'ego, którą mu prześlałem. Wpłacił już żądaną zaliczkę na rachunek bankowy. Potwierdził, że razem ze swoją żoną przyjedzie do Brytyjskiej Afryki Wschodniej na początku przyszłego roku. Zamierza odbyć sześciomiesięczne safari.

— Trudno mi się tym cieszyć, teraz gdy nie ma wśród nas Percy'ego - odpowiedział Leon, krzywiąc się i obracając szklankę w dłoni.

— Uśmiechnij się, mój chłopcze. Von Meerbach przywiezie kilka prototypów swoich aeroplanów. Najwyraźniej chce je wypróbować w warunkach tropikalnych. Rzekomo jego latające maszyny mają służyć do przewozu poczty, jednak podczas safari zamierza użyć ich do tropienia zwierzyny. Tak przynajmniej

twierdzi, lecz zważywszy na jego powiązania z niemiecką armią, wątpię, by była to cała prawda. Sądzę, że chce je wykorzystać

279

[

do zbadania sytuacji w głębi kraju, na naszej granicy z Niemiecką Afryką Wschodnią, i zaplanowania przyszłej ofensywy przeciwko nam. Tak czy inaczej może trafi się okazja zrealizowania twojego marzenia o żeglowaniu wśród obłoków, a jednocześnie zgromadzisz dla mnie cenne informacje wywiadowcze. Dopij drinka, muszą wracać do swojego gabinetu. Dam ci kopię potwierdzenia przesłanego przez von Meerbacha. To najdłuższy telegram, jaki w życiu widziałem. Ma dwadzieścia trzy strony. Graf wylicza w nim wszystkie swoje wymagania. Musiał go kosztować fortuną.

Leon stał na plaży w zatoce Kilindini i obserwował, jak niemiecki parowiec handlowy SS Silbervogel rzuca kotwicą na redzie. Podpłynął do jego burty pierwszą lichtugą. Kiedy wspiął się po drabince na pokład rufowy, czekało na niego pięciu pasażerów. Graf Otto von Meerbach wysłał w charakterze awangardy inżyniera i czterech mechaników z Meerbach Moto-ren Werke.

Szef grupy przedstawił się jako Gustaw Kilmer. Był to wyglądający na inteligentnego, muskularny, pięćdziesięciokil-kuletni mężczyzna o wydatnej szczęce i krótko przyciętych stalowoszarych włosach. Dłonie miał brudne od smaru, a czubki paznokci popękane od obsługiwania ciężkich narzędzi. Przed opuszczeniem statku zaprosił Leona na kufel pilsnera do salonu dla pasażerów.

Zasiedli przy stole z metalowymi kubkami z przykrywką w dłoniach. Gustaw opisał ładunek znajdujący się w ładowniach Silbervogla. Cargo składało się z pięćdziesięciu sześciu ogromnych skrzyń, których łączna waga sięgała dwudziestu ośmiu ton. Kolejną tonę ładunku stanowiły oleje i smary. Prócz tego do tylnego pokładu przymocowano linami trzy samochody marki Meerbach przykryte zielonym brezentem. Gustaw wyjaśnił, że dwa z nich to duże ciężarówki, a trzeci to otwarty samochód do polowań, który został zaprojektowany przez

280

samego grafa i wyprodukowany w fabryce w Wieskirche. Na świecie istniał tylko jeden taki pojazd.

Potrzebowali trzech dni, aby przewieźć skrzynie łodziami na brzeg. Max Rosenthal i Hennie du Rand oczekiwali ich na czele dwustu czarnoskórych tragarzy, by przetransportować beczki i skrzynie z łodzi do wagonów kolejowych stojących na bocznicy w Kilindini.

Kiedy wyładowano na brzeg trzy pojazdy i zdjęto ciężką brezentową plandekę, Gustaw sprawdził, czy nie zostały uszkodzone podczas długiej podróży. Leon obserwował z podziwem każdy jego ruch. Ciężarówki były ogromne i solidnie zbudowane, lepszych nie oglądał w życiu. Jedna z nich, cysterna wyposażona w bak o pojemności tysiąca galonów, miała przewozić paliwo do aeroplanów. Między cysterną a kabiną kierowcy znajdowała się sekcja z narzędziami i przenośnym warsztatem. Gustaw zapewnił go, że tymi narzędziami może w dowolnym miejscu naprawić wszystkie trzy pojazdy i samoloty.

Leon był zafascynowany ciężarówkami, lecz prawdziwy podziw wzbudził w nim otwarty samochód do polowań. Nigdy nie widział równie pięknego auta. Pojazd miał obite skórzaną tapicerką siedzenia, barenki i stojak na sztucery, a na dodatek ogromny sześciocylindrowy silnik o mocy stu koni mechanicznych, ukryty pod długą, lśniącą maską. Krótko mówiąc, istny popis inżynierskiego geniuszu.

Z kolei Gustaw był ujęty chłopięcym urokiem Leona, schlebiały mu też nieskrywane zaciekawienie i szczerzy podziw dla jego wynalazków. Zaprosił Leona, aby odbył z nim długą podróż do Nairobi.

Kiedy główny ładunek został załadowany na wagony, Leon polecił Henniemu i Maksowi, aby dostarczyli go do Nairobi. Pociąg ruszył z bocznic w kierunku przybrzeżnych wzgórz, a Gustaw i jego mechanicy wsiedli do meerbachów i uruchomili silniki. Zaprosiwszy Leona do myśliwskiego samochodu, Gustaw wyruszył na czele kolumny. Podróż wydała się Leonowi zbyt krótka, każda mila dostarczała mu prawdziwej rozkoszy.

281

Siedział na skórzanym fotelu, który był wygodniejszy od głębokich foteli w Muthaiga Country Club, i kołysał się na miękkim zawieszeniu meerbacha. Ze zdumieniem obserwował prędkościomierz, gdy Gustaw rozpędził samochód niemal do siedemdziesięciu mil na godzinę na równym i prostym odcinku drogi.

— Jeszcze niedawno spierano się, czy ludzki organizm zdoła wytrzymać taką prędkość - oznajmił z zadowoleniem Gustaw.

— Zapiera dech w piersi - przyznał Leon.

— Chciałbyś poprowadzić? - spytał wspaniałomyślnie

Gustaw.

— Byłbym gotów zabić za coś takiego - przyznał Leon.

Niemiec zachichotał i zrobił mu miejsce za kierownicą.

Wyprzedzili pociąg towarowy, przyjeżdżając do Nairobi niemal pięć godzin przed nim. Czekali na peronie, aby powitać sapiącą, gwizdzącą lokomotywę. Maszynista ustawił wagony na bocznic, gdzie miano je rozładować następnego ranka. Leon wynajął przedsiębiorcę, który dysponował pojazdem wyposażonym

w potężny silnik trakcyjny, aby przewieźć ładunek na miejsce.

Zgodnie z jednym z licznych telegraficznych poleceń nadchodzących z kwatery Meerbacha w Wieskirche Leon zbudował duży otwarty hangar z brezentowym dachem, mający pełnić funkcję warsztatu i magazynu. Umieścił go na dużej działce, którą odziedziczył po Percym. Teren graniczył z boiskiem do gry w polo, które miał zamiar przekształcić w lądowisko dla aeroplanów oczekujących w skrzyniach na zmontowanie.

Był to dla Leona okres wytężonej pracy. W jednym z telegramów graf Otto von Meerbach wyliczał wygody, które należało zapewnić jemu i jego towarzysze. W każdym obozowisku Leon miał przygotować przestronną wygodną kwaterę z luksusowym wyposażeniem. W jednej ze skrzyń znajdowały się łóżka, szafy i pościel. Otrzymał również polecenia dotyczące posiłków. Graf Otto wysłał pełen zestaw naczyń stołowych i sreber oraz parę olbrzymich kandelabrow z litego srebra, każdy o wadze dwudziestu funtów, ozdobionych rzeźbionymi

282

scenami polowania na jelenie i dziki. Piękna porcelanowa zastawa i kryształowe kieliszki były ozdobione złotym liściem i herbem rodu Meerbachów: dłonią okrytą kolczugą dzierzącą miecz ponad wstęgą z napisem "Durabo!". Przetrwam, przetłumaczył łacińskie słowo Leon. Podobny motyw zdobił białe lniane obrusy i serwetki.

Dostarczono również dwieście dwadzieścia skrzyń wyborczego szampana, win i likierów oraz pięćdziesiąt skrzyń delikatesów w puszkach i butelkach - rozmaite sosy i przyprawy, rzadkie zioła, takie jak szafran, oraz foie gras * z Lyonu, szynkę westfalską, wędzone ostrygi, duńskie piklowane śledzie, portugalskie sardynki w oliwie z oliwek, przegrzebki w zalewie i rosyjski kawior z bielugi. Max Rosenthal był oczarowany, gdy ujrzął ten epikurejski ładunek.

Oprócz tego znaleźli sześć dużych kufrów podróżnych z napisem: "Fraulein Ewa von Wellberg. NIE OTWIERAĆ PRZED PRZYJAZDEM WŁAŚCICIELKI". Niestety, największa skrzynia otworzyła się podczas transportu, odsłaniając wspaniałą kolekcję damskich strojów i butów na każdą możliwą okazję. Kiedy Max wezwał Leona na pomoc, nie wiedząc, co robić z uszkodzoną skrzynią, ten ze zdumieniem oglądał wyszukaną bieliznę. Każda część garderoby zapakowana w oddzielną bibułkę budziła jego ogromne zainteresowanie. Kiedy podniósł lekki jak piórko kawałek jedwabiu, poczuł czarującą, erotyczną woń. Przed oczami wyobraźni pojawiły się lubieżne obrazy. Odpędził je surowo, odkładając element garderoby na inne i polecając Maksowi, aby przepakował skrzynię, a następnie naprawił i ponownie zamknął uszkodzone wieko.

W ciągu następnych tygodni zlecał Maksowi i Henniemu mniej istotne sprawy, starając się spędzać jak najwięcej czasu w hangarze sąsiadującym z polem golfowym. Z zapartym tchem obserwował, jak Gustaw i jego ludzie składają dwa aeroplany. Gustaw pracował z niezwykłą dokładnością i starannością. Na

* Frań. pasztet z gęsich wątróbek.

każdej skrzyni znajdowała się informacja o tym, co zawiera, więc rozpakowywali je w odpowiedniej kolejności. Powoli, dzień po dniu, układanka części silnika, przewodów i rozpór, skrzydeł i kadłubów zaczęła przybierać coraz bardziej rozpoznawalny kształt maszyny latającej. Kiedy Gustaw zakończył montowanie aeroplanów, Leon był zdumiony ich wielkością. Kadłub samolotów miał sześćdziesiąt pięć stóp długości, a rozpiętość skrzydeł wynosiła sto dziesięć stóp. Szkielet kadłuba był opięty płótnem wzmocnionym pochodną celulozy, co nadawało mu twardość i wytrzymałość stali. Aeroplan był pomalowany w ekstrawaganckie barwne wzory. Pierwszy pokrywała oszałamiająca szachownica składająca się z jaskrawo-czerwonych i czarnych kwadratów. Na nosie wymalowano imię: Das Schmetterling - Motyl. Drugi zdobily czarne i złote pasy. Graf Otto nazwał go Das Hummel - Trzmiel.

Po złożeniu kadłuba i skrzydeł przystąpiono do montowania silników. Samoloty były wyposażone w dwustupięćdziesięcio-konne siedmiocyldrowe czteremastozaworowe silniki obrotowe Meerbach. Po umieszczeniu każdego na prowizorycznym stanowisku pomiarowym wykonanym z podkładów kolejowych Gustaw przystąpił do próbnego rozruchu. Ryk pracujących silników był taki, że słyszano go w oddalonym o wiele mil klubie Muthaiga. Niebawem do hangaru zbiegły się wszystkie obiboki z Nairobi i krążyły jak muchy nad psią padliną. Ponieważ gapie przeszkadzali im w pracy, Leon polecił Henniemu, aby otoczył hangar siatką z drutu kolczastego trzymającą ludzi na dystans.

Kiedy Gustaw wyregulował silniki, oznajmił, że przystąpi do zamontowania ich na skrzydłach dwóch maszyn. Po kolei podnieśli je na blokach i wyciągach umieszczonych nad skrzydłami. Gustaw wraz z mechanikami ustawił je w obsadzie i przymocował po dwa silniki na każdym skrzydle.

Po trzech tygodniach montaż aeroplanów był zakończony.

- Teraz będziemy musieli je przetestować - oznajmił Gustaw.

— Zamierzasz je pilotować? - spytał Leon, z trudem ukrywając entuzjazm. Czekało go rozczarowanie, bo Gustaw gwałtownie potrząsnął głową.

— Nein! Nie jestem szalony. Tylko graf Otto pilotuje te maszyny. - Widząc smętny wyraz twarzy Leona, próbował go pocieszyć. - Przeprowadzę test naziemny. Możesz mi towarzyszyć.

Wczesnym rankiem Leon wspiął się po drabince do przestronnego kokpitu Motyla. Gustaw, ubrany w długą czarną skórzaną kurtkę, pilotkę i okulary nasunięte na czoło, podążył jego śladem, siadając w fotelu pilota w tylnej części kabiny. Najpierw pokazał Leonowi, jak zapiąć pasy. Leon obserwował, jak za pomocą drążków porusza sterem wysokości i lotkami, a następnie sprawdza orczyk. Zadowolony, dał znak mechanikom na ziemi, by rozpoczęli skomplikowaną procedurę uruchamiania silników. Kiedy wszystkie zaczęły równo pracować, Gustaw poniósł kciuk, a jego pomocnicy usunęli klocki spod kół.

Gustaw poruszył zaworami przepustnicy niczym rejestrkami katedralnych organów i Motyl rozpoczął majestatyczne kołowanie, wytaczając się z hangaru na ostre afrykańskie słońce. Kilkuset gapiów zebranych za siatką wydało radosny okrzyk. Mechanicy Gustawa biegli przy skrzydłach, pomagając kierować maszyną. Drżąc i podskakując, Motyl powoli czterokrotnie okrążył boisko do polo.

Widząc podekscytowanie Leona, Gustaw zawołał, przekrzykując huk silników:

- Chodź, zasiądź za sterami! Zobaczymy, czy dasz sobie radę.

Courtney z radością zajął miejsce w fotelu pilota. Gustaw skinął głową, a on dotknął rękami drążków i sterów, namacał cztery zawory przepustnicy.

- Ja, moje silniki czują, że o nie dbasz i je szanujesz.

Szybko się nauczysz, jak wydobyć z nich to, co najlepsze.

Kiedy wrócili do hangaru, Leon zszedł po drabince na ziemię

285

i poklepał palcami dziób Motyla pokryty czerwono-czarną szachownicą.

- Pewnego dnia usiądę za twoimi sterami, ślicznotko - szepnęła do potężnej maszyny. - Niech mnie szlag, jeśli tego nie uczynię!

Kiedy Gustaw stanął za nim, skorzystał z okazji, by zapytać

0 coś, co od jakiegoś czasu budziło jego ciekawość.

- Do czego służą te haki, Gustawie? - spytał, wskazując szereg uchwytów pod skrzydłami.

- To haki na bomby - odparł prostoprosto Niemiec.

Leon zamrugał, próbując nie okazywać zainteresowania.

— Jasne - odrzekł. - Ile bomb może zabrać taka maszyna?

— Wiele! - oznajmił z dumą Gustaw. - To bardzo mocny samolot. Podam ci dane w jednostkach angielskich, abyś lepiej zrozumiał. Motyl może przewozić dwa tysiące funtów bomb oraz załogę złożoną z pięciu ludzi i pełny bak paliwa. Aeroplan rozwija prędkość stu dziesięciu mil na godzinę i osiąga pułap dziewięciu tysięcy stóp. Może pokonać odległość pięciuset mil

1 wrócić do bazy.

- Zdumiewające!

Niemiecki inżynier pogłodził pokryty krzykliwym wzorem kadłub, jak ojciec pieszczący pierworodnego syna.

- Nie dorówna mu żadna maszyna na świecie - rzekł z dumą.

W południe następnego dnia Penrod Ballantyne przekazał dane techniczne eksperymentalnego aeroplanu Meerbach Mark III do Ministerstwa Wojny w Londynie.

Leon musiał wytyczyć cztery lądowiska na pustkowiu, w oddalonych od siebie miejscach, gdzie zamierzał polować ze swoim klientem. Graf Otto przekazał mu drogą telegraficzną szczegółowe dane, podając długość pasa startowego i jego zorientowanie w stosunku do wiatrów, które zwykle występo-

286

wały na danym terenie. Po znalezieniu odpowiednich miejsc zbadał teren teodolitem i oznaczył palikami pasy startowe. Tymczasem Hennie du Rand najął kilkuset mężczyzn z okolicznych wiosek, aby wykarczowali teren i wyrównali grunt. W niektórych miejscach trzeba było wysadzić w powietrze kopce termitów, w innych zasypać liczne dziury i jamy wykopane przez mrówniki. Po przygotowaniu pasa oznaczyli jego krawędzie liniami z wapna palonego, aby były dobrze widoczne z powietrza. Następnie Leon zatknął jeden z rękawów powietrznych, które otrzymał od Gustawa. Wypełniony wiatrem, powiewał dumnie na prymitywnym drewnianym maszcie.

Kiedy Hennie zajmował się budowaniem pasów startowych, Max Rosenthal przygotowywał rozległe obozowiska, których zorganizowania domagał się graf Otto. Leon musiał poganiać obu, aby zdążyć ze wszystkim na rychły przyjazd gości. Skończyli robotę kilka dni przed zacumowaniem na redzie w zatoce Kilindini liniowca wiozącego grafa Ottona von Meerbacha.

Leon musiał wręczyć łapówkę, aby dostać się na pokład łodzią pilota, która wypłynęła na spotkanie niemieckiego liniowca pasażerskiego SS Admirał, gdy ten zamajaczył na horyzoncie w zatoce Kilindini. Morze było spokojne, więc bez większego trudu przeszli na pokład liniowca. Kiedy Leon stanął na schodach zejściowych, zatrzymał go czwarty oficer. Wystarczyło, że wymienił nazwisko swojego klienta, by oficer błyskawicznie zmienił ton i zaprowadził go na mostek kapitański.

Pamiętając opis Kermita, Leon natychmiast rozpoznał grafa. Mężczyzna stał z boku mostku, paląc cygaro Cohiba i rozmawiając z kapitanem, który wyraźnie mu nadszakiwał. Graf Otto był jedynym pasażerem, któremu pozwolono przebywać na mostku kapitańskim podczas skomplikowanego manewru kotwiczenia ogromnego statku. Leon chwilę mu się przypatrywał, a następnie podszedł, by się przedstawić.

Graf miał na sobie elegancki kremowy strój safari. Był

287

potężnym mężczyzną, twardym jak dąb, dokładnie tak jak napisał Kermit. Można było odnieść wrażenie, że jest zbudowany z samych mięśni, lecz jego wyniosły, dumny sposób bycia zdradzał człowieka posiadającego nieograniczone bogactwo i władzę. Nie był przystojny w potocznym rozumieniu tego słowa. Miał szerokie usta, a od prawego kącika aż do ucha biegła biała blizna po ranie odniesionej w pojedynku, która wywoływała wrażenie, jakby twarz zastygła w krzywym uśmiechu. Jasnozielone oczy spoglądały czujnie i inteligentnie. Na chwilę zdjął panamę, głowę miał kształtną, i porastały ją gęste, krótko przycięte jasnorude włosy.

Twardy, potężny drań, ocenił Leon, zanim do niego podszedł.

— Czy mam zaszczyt z grafem Ottonem von Meerbachem? - spytał z lekkim ukłonem.

— Jawohl, masz pan. Mogę zapytać, kim pan jest?

— Nazywam się Leon Courtney. Będę pańskim myśliwym.

Witam w Brytyjskiej Afryce Wschodniej.

Graf uśmiechnął się z łagodną wyższością, wyciągając prawicę. Leon zauważył, że jest wielka, a jej grzbiet pokrywają złociste piegi i kręcone rude włoski. Na trzecim palcu nosił złoty pierścień z dużym czystej wody diamentem. Leon przygotował się na mocny ucisk dłoni, ale nie aż tak.

— Czekałem na spotkanie z panem, Courtney, od czasu gdy rozmawiałem z Kermitem Rooseveltem i księżną Isabellą von Hohenzollern. - Leon zdołał wytrzymać uścisk nakrapianej piegami dłoni, lecz musiał użyć do tego całej swojej siły. - Oboje mają o panu bardzo dobre zdanie. Liczę, że dostarczy mi pan równie dobrej rozrywki, ja? - powiedział nienaganną angielszczyzną.

— Mam nadzieję, że będzie pan zadowolony. Uzyskałem dla pana zezwolenie na odstrzał różnej zwierzyny. Muszę wiedzieć, co pana szczególnie interesuje. Lwy? Słonie? - Graf Otto puścił w końcu jego dłoń. Krew napłynęła do niej tak gwałtownie i boleśnie, że Leon musiał użyć całej siły woli, by jej nie rozmasować. Dostrzegł iskierkę szacunku w jasnozie-

288

lonych oczach. Wiedział, że tamtemu też zdrętwiała ręka, chociaż nie dał po sobie poznać, że go boli.

— Podobno mówi pan dobrze po niemiecku - odparł graf Otto w swoim ojczystym języku. - Odpowiadając na pańskie pytanie, interesują mnie oba gatunki, szczególnie lwy. Mój ojciec był ambasadorem w Kairze, gdy Kitchener toczył wojnę z Mahdim. Dało mu to okazję do polowań w Abisynii i Sudanie. Mam wiele lwich skór w domku myśliwskim w Szwarzwaldzie. Są stare, niektóre zostały nadgryzione przez mole i robaki. Słyszałem, że miejscowi polują na lwy z dzidami. Czy to prawda?

— Tak. U Masajów i Samburu jest to próba odwagi i męskości, którą przechodzą wszyscy młodzi wojownicy.

— Chciałbym to zobaczyć.

— Zadbam o to.

— Świetnie, chciałbym również zdobyć kilka dużych ciosów słonia. Powiedz mi, Courtney, jakie twoim zdaniem jest najgroźniejsze zwierzę Afryki? Lew czy słoń?

— Stare afrykańskie przysłowie głosi, że najgroźniejszym zwierzęciem jest to, które cię zabije.

— Ja, to rozumiem. Typowo angielskie poczucie humoru - zachichotał. - Powiedz, co sądzisz, Courtney. Które?

Leon, który miał żywo w pamięci obraz wygiętego czarnego rogu sterczącego z brzucha Percy'ego Phillipsa, przestał się śmiać.

— Bawoń - odparł poważnie. - Postawiłbym na rannego bawołu ukrytego w zaroślach.

— Po twojej twarzy widzę, że mówisz z własnego doświadczenia. Angielskie poczucie humoru się skończyło, nieinl - rzekł graf. - W takim razie będziemy polowali na słonie i lwy, a przede wszystkim na bawoły.

— Mam nadzieję, że pan rozumie, iż chociaż uczynię, co w mojej mocy, aby pomóc panu w zdobyciu trofeów myśliwskich, mamy do czynienia z dziką zwierzyną i wiele zależy od szczęścia?

289

— Szczęście zawsze mi sprzyjało - odrzekł graf tak, jakby

stwierdzał fakt, a nie się przechwalał.

— To aż nadto oczywiste nawet dla największego prostaka.

— Nadto oczywiste jest również to, że pan się do nich nie

zalicza, panie Courtney.

Niczym dwaj bokserzy wagi ciężkiej na początku pierwszej rundy spojrzeli sobie w oczy, nie przestając się uśmiechać i markując ciosy, trzymając gardę i próbując się wzajemnie, dokonując szybkiej oceny przeciwnika i nieznacznie zmieniając pozycję, aby wyczuć każde poruszenie naelektryzowanego powietrza.

Nagle nieoczekiwanie poczuł delikatny zapach perfum w gorącym tropikalnym powietrzu. Był lekki i wonny, ten sam czarowny zapach, który odurzył go wcześniej, gdy trzymał w dłoni jedwabny fatałaszek z uszkodzonego kufra. Zauważył, że graf Otto odwrócił wzrok i spojrzał ponad jego ramieniem. Leon odwrócił głowę.

Była tam. Choć od chwili przeczytania listu Kermita czekał na to spotkanie, jej widok go zaskoczył. Serce zatrzepotało gwałtownie jak skrzydła uwięzionego ptaka próbującego się wyrwać z klatki żeber. Oddech stał się krótki i urywany.

Jej uroda po tysiącokroć przewyższała mizerny opis przyjaciela. Kermit miał rację tylko w jednym szczególe. Jej oczy miały intensywną błękitną barwę, a ich zewnętrzne kąciki były lekko uniesione. Szeroko rozstawione oczy przysłaniały długie gęste rzęsy, które zachodziły na siebie, gdy przymykała powieki. Miała szerokie, wysokie czoło i pięknie rzeźbioną linię szczęki. Pełne wargi rozchyłały się delikatnie, gdy się uśmiechała, lekko odsłaniając śnieżnobiałe zęby. Włosy lśniły czernią. Zaczesała je do tyłu, upinając pod modnym, zawadiacko przekrzywionym kapelusikiem, lecz miękkie kosmyki wymykały się niesfornie spod szpilek i spływały lokami na niewielkie różowe uszy. Była wysoka. Sięgała Leonowi niemal do ramienia, lecz mógłby ją objąć w talii obiema dłońmi.

290

Bufiaste rękawy aksamitnego żakietu sięgały do łokci, odsłaniając ręce, które były kształtne i lekko umięśnione niczym u amazonki. Miała piękne dłonie, palce długie i smukłe, o paznokciach perłowej barwy. Dłonie artystki. Spod długiej pełnej sukni wystawały czubki butów do konnej jazdy wykonane z wężowej skóry. Wyobraził sobie, że jej stopa ukryta w drogim obuwiu musi być równie kształtna jak dłonie.

— Ewo, mogę ci przedstawić Herr Courtneya? To myśliwy,

który będzie się nami zajmował podczas tej afrykańskiej przy

gody. Herr Courtney, przedstawiam panu Fraulein von Well-

berg - oznajmił Otto.

— Jestem oczarowany, Fraulein - odparł Leon. Uśmiech
nęła się, podając dłoń zwróconą grzbietem ku górze. Kiedy ją
ujął, była ciepła i twarda. Skłonił się i unióś jej palce tak, że
znalazły się kilka centymetrów od jego warg, a następnie
wypuścił, cofając się o krok. Przelotnie spojrzała mu w oczy.
Próbując przeniknąć głębię jej oczu, zrozumiał, że jej po
zdrowienie było enigmatyczne i miało zmysłowy podtekst.
Odniósł wrażenie, jakby przypatrywał się toni stawu, którego
tajemnej głębi nigdy nie zdoła w przeniknąć.

Kiedy się odwróciła, by zamienić słowo z grafem, Leon poczuł emocje, których nigdy wcześniej nie
doświadczył. Była to dziwna mieszanina euforii i żalu, zwycięstwa i otępiającej bolesnej straty. W ciągu
krótkiej chwili odniósł wrażenie, jakby znalazł coś bezcennego, a jednocześnie to utracił. Kiedy graf Otto
położył dużą piegowatą dłoń na jej talii i przyciągnął do siebie przyjaciółkę, na twarzy Ewy von Wellberg
pojawił się uśmiech. W tej samej chwili Leona zalała fala nienawiści, a w gardle poczuł gorycz
przypominającą smak spalonego strzelniczego prochu.

Otto von Meerbach i jego urocza towarzyszka mieli nie więcej niż dwanaście kufrów podróżnych oraz
kilka skrzyń ze sztucerami, pistoletami i amunicją, więc szybko wyruszyli do

291

Nairobi. Inne rzeczy przyplęły wcześniej na pokładzie SS Silbervogla. Kiedy prywatny bagaż pakowano
na skrzynię wielkiego meerbacha stojącego nieopodal plaży, graf witał swoich pracowników z
Wieskirche, którzy ustawili się w szeregu na jego spotkanie. Traktował ich jak ojciec małe dzieci - witał
każdego po imieniu, dodając kilka osobistych uwag. Niemcy wiercili się jak małe psiaki i szczyrzyli zęby w
uśmiechu, mamrocząc słowa podziękowania, uradowani jego protekcyjnym tonem. Leon zauważył, że
traktowali grafa z wielkim podziwem.

— Proszę przedstawić swoich pomocników - zwrócił się
do Leona, a ten skinął na Henniego i Maksa. Otto von Meerbach
potraktował ich z podobną swobodą i protekcyjnością. Leon
zauważył, że oni również natychmiast poddali się jego urokowi.

Graf umiał postępować z mężczyznami, lecz Leon wiedział, że gdyby któryś wszedł mu w drogę lub go rozczarował, rozprawiłby się z nim bez litości.

— Sehr gut, meine Kinder. Bardzo dobrze, dzieci. A teraz w drogę do Nairobi - rzekł graf. Kiedy mechanicy z fabryki Meerbacha wraz z Henniem, Maksem i Izmaelem wsiedli na skrzynię oczekującej ciężarówki, Gustaw zajął miejsce za kierownicą i potężny pojazd ruszył w drogę do Nairobi.

— Courtney, pojedziesz ze mną w wozie myśliwskim - zarządził von Meerbach. - Fraulein von Wellberg usiądzie obok mnie, a ty zajmiesz miejsce z tyłu. Będziesz pokazywał drogę i opisywał mijane miejsca. - Troskliwie usadził swoją towarzyszkę w fotelu pasażera, przykrył jej nogi moherowym pledem i podał okulary chroniące oczy przed wiatrem. Zadbął nawet o gienzowe rękawiczki osłaniające nieskazitelne dłonie przed słońcem i jedwabną wstążkę zawiązaną pod piękną szyją, aby kapelusz nie został porwany przez wiatr. Na koniec sprawdził trzy sztucery na stojaku za swoim fotelem i usiadł za kółkiem. Poprawił okulary, uruchomił silnik i przyspieszył, by dopędzić ciężarówkę. Prowadził szybko i bez wysiłku. Kiedy przyspieszał na ostrym zakręcie, Ewa kurczowo zaciskała palce

292

na ręczce drzwi, aż białą jej knykcie. Nie okazywała niepokoju, chociaż koła ślizgały się niebezpiecznie na piaszczystej drodze i wóz podskakiwał na wybojach.

Kiedy przejechali przez nadmorskie wzgórza, znaleźli się na szerokiej sawannie pełnej zwierzyny. Mijali

stada gazeli i antylop. Na ich widok Ewa zapomniała o zawrotnej prędkości, z jaką się poruszali. Śmiała się i klaskała, obserwując zwierzęta spłoszone rykiem nadjeżdżającego samochodu.

— Ottonie! - zawołała. - Co to za urocze małe zwierzęta?

Te, które tak rozkosznie skaczą i brykają?

— Courtney, odpowiedz Fraulein! - zawołał graf Otto, próbując przekrzyczeć szum wiatru.

— To gazy Thomsona, Fraulein. Będzie ich pani widziała tysiące w ciągu następnych dni. To najbardziej rozpowszechniony gatunek w tym kraju. Dziwne skoki, na które zwróciła pani uwagę, nazywamy stottingiem. Zwierzęta ostrzegają się w ten sposób przed niebezpieczeństwem!

— Zatrzymaj samochód, Ottonie. Chciałabym je naszkicować.

— Jak sobie życzysz, ślicznotko. - Wzruszył pobłaźliwie ramionami i zjechał na pobocze. Ewa umieściła szkicownik na kolanach. Zaczęła przesuwać węglem po kartce. Leon pochylił się dyskretnie do przodu. Przed jego oczami jakby za sprawą czarów ukazał się doskonały rysunek podskakującej tomi, z wygiętym grzbietem i czterema sztywnymi nogami. Ewa von Wellberg była utalentowaną artystką. Przypomniał sobie o sztalugach oraz pudełkach z pastelami i farbami olejnymi, które przypląnęły w ładowni SS Silbervogla. Wcześniej nie zwrócił na nie większej uwagi, lecz teraz zrozumiał, w jakim celu je sprowadzono.

Ewa jeszcze kilkakrotnie przerywała podróż i szkicowała. W swoim brulionie narysowała orła siedzącego na wierzchołku akacji i samicę geparda stąpającą na długich nogach po spieczonej słońcem sawannie w towarzystwie trzech młodych podążających gęsiego za matką. Chociaż von Meerbach jej dogadzał, szybko się znudził częstymi postojami i opóźnieniem,

które powodowały. Kiedy przystanęli kolejny raz, sięgnął po karabin ze stojaka i zabił pięcioma strzałami pięć gazel przebiegających drogę przed samochodem. Był to niezwykły pokaz jego umiejętności strzeleckich. Chociaż Leon gardził bezsensownym zabijaniem, uprzejmym tonem zapytał:

— Co chce pan zrobić z zabitymi zwierzętami?

— Zostaw je - odrzekł bezceremonialnie graf, odkładając

karabin na stojak.

— Nie chce ich pan obejrzeć? Jedna ze sztuk ma piękne

rogi.

— Nein, powiedział pan, że zobaczymy ich więcej. Zostaw

je, pan, sępom. Chciałem jedynie sprawdzić celność karabinu.

Jedziemy.

Kiedy ruszyli, Leon zauważył, że policzki Ewy pobladyły. Kobieta wydęła wargi. Pomyślał, że wyraża w ten sposób swoją dezaprobatę, i nabrał o niej lepszego zdania.

Graf Otto skoncentrował uwagę na drodze, a Ewa nie spojrzała na Leona od czasu ich spotkania na mostku. Nie zwracała się też do niego, wszystkie uwagi i pytania przekazując za pośrednictwem grafa. Jej postępowanie go zaciekawiło. Może z natury była niezwykle skromna, a może von Meerbach nie chciał, aby rozmawiała z innymi mężczyznami. Później przypomniał sobie, że rozmawiała przyjacielskim tonem z Gustawem, zamieniła również kilka słów z Maksem i Henniem, gdy przedstawił ich nad zatoką Kilindini. Czemu odsuwała się od niego i traktowała go z takim dystansem? Z tylnego siedzenia mógł się ukradkiem przypatrywać jej twarzy. Raz lub dwa poruszyła się nerwowo w fotelu i zapłonęła delikatnym rumieńcem, jakby wiedziała, że wzbudza jego zainteresowanie.

Po południu za zakrętem pokrytej pyłem drogi ujrzeli Gustawa, który czekał na poboczu drogi. Dał im znak ręką, a kiedy graf Otto zatrzymał wóz, podbiegł do kierowcy.

- Przepraszam. Przygotowaliśmy dla pana lunch. - Wska

zał ciężarówkę stojącą wśród drzew akacji w odległości dwustu

jardów od drogi.

- Znakomicie, umieram z głodu - odparł Otto. - Wska

kuj na stopień, podwiozę cię. - Z Gustawem uczepionym

boku samochodu ruszyli wyboistą drogą w kierunku zapa

rkowanej ciężarówki.

Izmael rozpiął markizę pomiędzy czterema drzewami, a w jej cieniu ustawił stół na kozłach i obozowe krzesła. Na stole leżał śnieżnobiały lniany obrus, srebrne sztucce i porcelana. Kiedy zeszywniali wysiedli z samochodu i przeciągali się, Izmael w czerwonym fezie i długiej białej kanzie podchodził po kolei do każdego z nich z miską ciepłej wody, kostką lawendowego mydła i czystym ręcznikiem do rąk przewieszonym przez ramię.

Gdy umyli dłonie, Max zaprosił ich do stołu. Leżały na nim półmiski z krojoną szynką i serem, koszyki pełne ciemnego chleba, gliniane maselniczki i ogromne srebrne półmiski na ryby wypełnione rosyjskim kawiozem z białymi. Graf odkorkował pierwszą z szeregu butelek wina stojących na baczność z boku stołu i napełnił wysokie kieliszki rzeńskim żółtym gewirz-traminerem.

Ewa skubnęła jedzenie, wypita kilka łyków wina i zjadła bułeczkę z łyżką kawioru. W przeciwieństwie do niej Otto opychał się jak łakomczuch. Kiedy posiłek dobiegł końca, w pojedynkę opróżnił dwie butelki gewurztraminera, pozostawiając w żalnym stanie półmisek z kawiozem, szynką i serem. Nie zdradzał żadnych oznak zamroczenia alkoholem, gdy siadał za kierownicą i wyruszał w dalszą drogę do Nairobi, choć jechał znacznie szybciej niż wcześniej, śmiał się bardziej hałaśliwie, a jego poczucie humoru było mniej wyrafinowane.

Mijając grupkę kobiet idących gęsiego poboczem drogi z wiązkami naciętej trawy na głowie, zwolnił, bez żenady przypatrując się ich nagim piersiom. Gdy ruszyli dalej, położył dłoń na kolanie Ewy w zaborczym i poufałym geście. Podniosła jego dłoń i położyła ją na kierownicy

- Droga jest niebezpieczna, Ottonie - zauważyła spokoj

nie. Leon zawrzał z oburzenia, widząc, jak niefrasobliwie ją

295

upokorzył. Chciał jej bronić, lecz czuł, że pod wpływem wina graf może się zachować w sposób nieprzewidywalny i groźny. Opanował się przez wzgląd na nią.

Później zwrócił gniew przeciwko niej. Czemu pozwala się tak traktować? Przecież nie jest dziwką. Po chwili doznał szoku, odkrywając, że właśnie nią była. Była luksusową kurtyzaną, zabawką grafa, oddającą mu swoje ciało w zamian za kilka jarmarcznych błyskotek i zapłatę, którą pobiera się w jej fachu. Chciał nią pogardzić, nienawidzić jej. Później do jego świadomości dotarła inna myśl, która również go zaszokowała. Jeśli ta kobieta była dziwką, on również nią był. Pomyślał o księżnej i innych, którym

sprzedawał siebie i swoje usługi.

Wszyscy próbujemy przeżyć, jak najlepiej potrafimy, usiłował usprawiedliwić siebie i ją. Jeśli Ewa jest dziwką, wszyscy nimi jesteśmy. Z drugiej strony wiedział, że nie ma to większego znaczenia. Było już za późno na nienawiść lub pogardę, ponieważ zakochał się w niej bez pamięci.

Wjechali do obozu Tandala, gdy słońce zaczęło zachodzić. Graf Otto zniknął z Ewą w luksusowej kwaterze, którą dla nich przygotowano. Izmael i trzej pomocnicy kuchenni podali im obiad w prywatnej jadalni. Niemcy pojawili się ponownie dopiero po śniadaniu następnego ranka.

— Guten Tag, Courtney. Dopilnuj, aby natychmiast wysłano te listy. - Graf Otto wręczył mu plik kopert opieczętowych czerwonym woskiem i ozdobionych znakiem dwugłowego orła, godłem niemieckiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych w Berlinie. Listy były adresowane do gubernatora kolonii i wszystkich notabli Nairobi, między innymi lorda Delamere'a i dowódcy wojsk angielskich stacjonujących w Brytyjskiej Afryce Wschodniej, generała brygady Penroda Ballantyne'a. -

To moje listy polecające od rządu kajzera - wyjaśnił. - Trzeba je doręczyć jeszcze dziś, bezzwłocznie, ja!

— Oczywiście. Dopilnuję, aby niezwłocznie je dostarczo-

296

no. - Leon posłał po Maksa Rosenthala i w obecności grafa kazał mu dostarczyć przesyłkę. - Weź jeden z samochodów, Max. Nie wracaj, dopóki nie doręczysz wszystkich.

Po odjeździe Maksa przyłączyła się do nich Ewa. Miała na sobie strój jeździecki. Wyglądała na odświeżoną i wypoczętą. Jej włosy błyszczały w promieniach słońca, a skóra lśniła rozkoszną młodością, która płynęła w żyłach.

Graf Otto przyjrzał się jej z zadowoleniem, a następnie zwrócił do Leona.

- Obejrzymy lotnisko, Courtney. Chcę się przelecieć jedną z maszyn. - W nocy umyto i wypolerowano samochód myśliwski. Wsiedli do niego i graf Otto ruszył przez miasto, kierując się w stronę boiska polo.

Kiedy przybyli na miejsce, Gustaw ustawił już Motyla i Trzmiela na końcu pasa startowego. Von

Meerbach obszedł każdą z maszyn, badając je skrupulatnie, a jednocześnie prowadząc ożywioną rozmowę z Gustawem. Usatysfakcjonowany, wspiął się na każde skrzydło, by sprawdzić naciąg linek i rozpór. Otworzył pokrywę silników, zbadał poziom paliwa i przewody przepustnicy. Odkręcił nakrętki baków i jeszcze raz skontrolował bagnetem ilość benzyny.

Dopiero późnym rankiem wyraził swoje zadowolenie ze stanu maszyn, a następnie wszedł po drabince do kokpitu Trzmiela. Zapinając pilotkę, dał znak Gustawowi, aby uruchomił silniki. Kiedy silniki się rozgrzały i zaczęły równo pracować, pokołował na przeciwległy koniec pasa i obrócił potężną maszynę tak, by ustawić nos zgodnie z kierunkiem wiatru.

Huk maszyny zwabił wszystkich mieszkańców Nairobi, którzy zgromadzili się za siatką w pełnym podniecenia oczekiwaniu. Cztery silniki ryknęły jak lew i Trzmiel potoczył się w kierunku Ewy i Leona stojących przed hangarem. Leon znajdował się kilka kroków za nią, jakby był sługą. Trzmiel szybko nabierał prędkości i wreszcie od ziemi oderwało się tylne koło. Leon wstrzymał oddech, obserwując, jak masywne podwozie zakołysało się lekko nad trawą, a następnie pokonało

297

siłę ciężenia i uniosło się w powietrze. Aeroplan przeleciał zaledwie dwadzieścia stóp ponad ich głowami. Gapię skulili się instynktownie - wszyscy oprócz Ewy.

Kiedy Leon się wyprostował, zauważył, że patrzy na niego ukradkiem. W kącikach ust pojawił się szyderczy uśmiezek.

- Dobry Boże! - zadrwiła. - I to ma być ten nieustra

szony łowca, nieznający strachu pogromca dzikiej zwierzyny.

Po raz drugi od ich spotkania spojrzała mu w oczy i po raz pierwszy zwróciła się do niego bezpośrednio. Zdumiała go zmiana jej postawy, gdy nie było w pobliżu grafa.

- Fraulein, mam nadzieję, że więcej nie zawiodę twoich

oczekiwań - odrzekł z lekkim ukłonem.

Odwróciła się, a następnie osłoniła oczy, obserwując Trzmiela zataczającego koło ponad lotniskiem. Leon rozkoszował się jej uśmiechem, choć ten był raczej szyderczy niż przyjacielski. Podążył za jej wzrokiem i spostrzegł, że Trzmiel schodzi do lądowania.

Graf Otto posadził maszynę i zaczął kołować do hangaru. Tłum gapiów powitał go radosną owacją. Von Meerbach podziękował za wiwaty, machając dłonią w rękawicy. Gustaw pospieszył mu na spotkanie. Dwaj mężczyźni podeszli do Motyla, pogrążeni w rozmowie. Graf pozostawił inżyniera na ziemi, wspiął się do kabiny i uruchomił silniki. Zaczął kołować na koniec pasa, zawrócił i z hukiem ruszył w ich stronę. Leon ponownie nie mógł opanować zdumienia, gdy Motyl oderwał się od ziemi i przeleciał nisko nad

jego głową. Tym razem się nie poruszył, a kiedy spojrzął na Ewę, zauważył, że ponownie mu się przypatruje. Przechyliła głowę, a w jej fioletowych oczach błysnęło złośliwe rozbawienie. Jej głos zagłuszyły krzyki, lecz z ruchu warg zdołał odczytać jedno słowo: "Brawo!". Szyderstwo złagodził kolejny nieznaczny, ukradkowy uśmiech. Odwróciła się, obserwując, jak aeroplan zatacza łuk nad lotniskiem. Von Meerbach wykonał dwa okrążenia, zanim wyrównał do wiatru i posadził maszynę na ziemi. Samolot pokołował na pasie i stanął naprzeciw hangaru.

298

Leon sądził, że Otto wyłączy silniki i wysiądzie, lecz on przyjrzał się zebranym i skinął w kierunku Ewy, dając znak, by podeszła. Ruszyła natychmiast w jego stronę. Gustaw i dwaj mechanicy podbiegli z drabinką. W połowie drogi do Motyla strumień zaśmigłowy oplótł suknię wokół jej nóg. Prąd powietrza zwiął z głowy kapelusz z szerokim rondem, a rozwiane długie czarne włosy oplótły twarz. Roześmiała się, nie przestając biec. Leon złapał przelatujący obok kapelusz.

Kobieta chwyciła drabinkę i lekko wspięła się po szczeblach. Najwyraźniej robiła to już wiele razy. Leon patrzył, jak znika za krawędzią kokpitu. Graf zwrócił głowę w pilotce w jego stronę i zawołał.

- Kto? Ja?

Von Meerbach skinął głową i wezwał go ponownie, tym razem bardziej rozkazującym gestem.

Ruszył pędem, czując podmuch powietrza i serce walące z podniecenia. Wspiął się do kokpitu i podał Ewie kapelusz. Wzięła go, nie odwracając głowy. Może tylko mu się wydawało, że kilka minut temu z niego szydziła? Znalazła gdzieś skórzaną pilotkę i zapięła ją pod brodą, a następnie zasłoniła oczy przyciemnionymi okularami.

— Wciągnij drabinkę! - krzyknął von Meerbach, podkreś

lając komendę gestem ręki. Leon pochylił się, uniósł drabinkę

i przymocował ją do uchwytów na kadłubie. - Dobrze! Usiądź

tutaj! - wskazał ręką miejsce obok siebie. Leon usiadł i zapiął

pas bezpieczeństwa biegnący w poprzek kolan. Graf Otto zwinął

dłonie w trąbkę i ryknął mu do ucha: - Będiesz moim

nawigatorem, y'a?!

— Dokąd polecimy?! - odrzyknął.

— Do najbliższego z obozowisk myśliwskich!

— To ponad sto mil stąd! - zaprotestował.

— Niedaleko! Ja! Polecimy tam! - Otworzył przepustnice i zaczął kołować na koniec pasa, a następnie zatrzymał się, sprawdził zegary i powoli otworzył do końca cztery zawory. Huk silników meerbacha była ogłuszający. Motyl ruszył na-

299

przód, kołysząc się i podskakując na wybojach. Skrzydła kiwały się i huśtały, gdy maszyna nabierała rozpędu. Leon przywarł do krawędzi kokpitu, patrząc przed siebie. Uderzenia wiatru sprawiły, że oczy zaczęły mu łzawić, a serce śpiewało niemal tak głośno, jak silniki. Nagle podskakiwanie i kołysanie gwałtownie ustało. Spojrzał w bok i stwierdził, że oddalają się od ziemi.

— Lecimy! - krzyknął. - Naprawdę lecimy! - W dole ujrzał miasto, lecz rozpoznał je dopiero po kilku chwilach. Z góry wszystko wyglądało zupełnie inaczej. Śledził wijące się węzowo tory, dopóki nie dostrzegł innych punktów orientacyjnych: różowych ścian Muthaiga Country Club, lśniącej blachy falistej pokrywającej dach nowego hotelu Delamere'a i pobielanych ścian rezydencji gubernatora.

— W którą stronę? - Graf Otto musiał go złapać za ramię, aby się otrząsnął.

— Proszę lecieć nad torami! - krzyknął Leon, wskazując na zachód. Obiema dłońmi próbował osłonić oczy przed wiatrem uderzającym w twarz z prędkością stu mil na godzinę. Graf szturchnął go w żebra kościstym palcem, wskazując mały schowek w bocznej części kokpitu. Leon otworzył skrytkę i odnalazł skórzaną pilotkę. Naciągnął ją na głowę i zapiął

pasek pod szyją, a następnie poprawił okulary na oczach. Mógł wreszcie widzieć, a nauszники chroniły bębny przed hukiem pędzącego wiatru.

Kiedy był zajęty poprawianiem pilotki, Ewa wstała z miejsca i przeszła na przód kabiny. Stała, trzymając ręką poręcz biegnącą wokół krawędzi kokpitu. Przypominała kapitana stojącego na dziobie okrętu, gdy tak kołysała się wraz z ruchami Motyla.

Nagle maszyna nieoczekiwanie zanurkowała, aż zrobiło mu się niedobrze. Przeżony, uczeplił się najbliższego uchwytu. Był przekonany, że za chwilę runą z nieba i zginą szybką, gwałtowną śmiercią, rozbijając się o ziemię, lecz Motyl okazał się niezwykły - zamachał skrzydłami, gardząc siłą ciężenia, i łagodnie poszybował na zachód.

300

Ewa stała nadal z przodu kokpitu. Leon zauważył, że zakończony karabińczykiem pas bezpieczeństwa opinający jej talię jest przytwierdzony do stalowego uchwytu w podłodze między jej stopami. To dzięki niemu nie poleciała na bok, kiedy samolot zanurkował.

Otto obsługiwał przyrządy delikatnymi dotknięciami wielkiej, piegowatej dłoni. Uśmiechnął się do Leona, trzymając w kąciku ust niezapalone cygaro Cohiba.

- Turbulencje! - zawołał, przekrzywając wiatr. - Dro

biazg!

Leon był zawstydzony swoją paniczną reakcją. Znał wystarczająco dobrze teorię lotu, aby wiedzieć, że powietrze zachowuje się podobnie jak woda i zdarzają się nieprzewidziane prądy i zawirowania.

- Idź do przodu, Courtney! - krzyknął von Meerbach,

wyciągając rękę. - Idź na przód kokpitu, aby mnie prowa

dzić! - Leon przeszedł ochoczo do przedniej części kabiny.

Ewa zrobiła mu miejsce, nie patrząc w jego stronę. Stanęli ramię przy ramieniu, trzymając się poręczy obiema dłońmi.

Byli tak blisko, że pomimo wiatru poczuł woń jej perfum.

Zwrócony do przodu, spojrzął na nią z ukosa. Pęd powietrza sprawił, że bluzka i długa suknia przylgnęły do ciała, podkreś

lając wszystkie krągłości. Po raz pierwszy mógł ocenić kształt jej długich, smukłych nóg. Przesunął wzrokiem po bliźniaczych wypukłościach pod welwetowym żakiem. Jej piersi były większe, niż początkowo sądził, bardziej krągłe i pełniejsze od piersi Verity O'Hearne. Musiał użyć całej siły woli, by oderwać od nich wzrok i spojrzeć przed siebie.

Zbliżali się od krawędzi ryftu. Dostrzegł błysk stalowych torów w miejscu, gdzie zaczęły opadać skarpy w kierunku wulkanicznego stepu stanowiącego dno doliny. Odwrócił się do grafa i dał znak ręką, aby skręcił dziewięćdziesiąt stopni na południe. Niemiec skinął głową i Motyl przychylił się na skrzydło, wykonując leniwy zwrot w lewo. Siła odśrodkowa pchnęła Ewę na niego. Przez długą, cudowną chwilę czuł ciepły

301

dotyk jej uda. Najwyraźniej była tego nieświadoma, bo się nie odsunęła. Po chwili graf wyrównał lot i kontakt został zerwany.

Ich oczom ukazał się ryft. Z lotu ptaka miejsce to przypominało krainę należącą do Boga i Jego aniołów, a nie zwykłych śmiertelników. Dopiero teraz Leon mógł w pełni docenić ogrom równiny - skaliste wzgórza spieczone słońcem, sawanny barwy lwiej skóry upstrzone ciemnymi potaciami lasu, błękitne palisady wzgórz i gór ciągnących się w oddali.

Nagle poczuł, że pokład zapada się pod ich stopami. Graf Otto obniżył nos Motyla, nurkując w powietrzną otchłań. Urwisko przesunęło się tuż pod nimi, tak blisko, że koła omal nie dotknęły skał. Dno doliny gnało na ich spotkanie. Leon zauważył, iż Ewa zacisnęła dłonie na poręczy tak mocno, że ukazały się zbielełe kostki. Napięcie powodowało, że lekko się zgarbiła. Aby odpłacić jej za niedawną zuchwałość, puścił się poręczy, opierając dłonie na biodrach i poddając lotowi nurkowemu maszyny. Tym razem nie mogła go zignorować - rzuciła mu szybkie spojrzenie, gdy stawiał czoło siłom napierającym na jego ciało. Spojrzała przed siebie i na chwilę oderwała jedną dłoń od poręczy, by natychmiast się jej uchwycić w geście rezygnacji.

Von Meerbach podciągnął nos Motyla nurkującego na spotkanie doliny. Kolana Leona ugięły się pod wpływem siły ciężenia. Ewa ponownie oparła się o niego, by przechylić się w drugą stronę, gdy pilot wyrównał Motyla. Lecieli wzdłuż ściany urwiska ciągnącego się na lewo od nich. Była tak blisko, że lada chwila mogli jej dotknąć końcem skrzydła.

W odległości kilku mil od nich Leon spostrzegł coś, co z daleka wydawało się grupką ogromnych czarnych skarabeuszów. Kiedy Motyl obniżył lot, zrozumiał, że to duże stado bawołów spłoszone hukami aeroplanu. Dał kolejny znak dłonią i Motyl ostro zanurkował, ścigając uciekające stado. Skręt maszyny

ponownie rzucił Ewę na Leona, lecz tym razem rozmyślnie trąciła go biodrem. Przeszedł go elektryzujący dreszcz. Dała mu do zrozumienia, że podobnie jak on jest świadoma fizycznego kontaktu.

302

Przemknęli ponad falującymi grzbietami bawołów tak blisko, że Leon widział każdą grudkę wyschłego błota na ich sierści i równoległe blizny po pazurach lwa biegnące w poprzek boku byka przewodnika.

Lecieli przed siebie, dopóki Ewa nie zaczęła machać ręką, wskazując swoją stronę kadłuba. Von Meerbach skręcił we wskazanym kierunku. W niewielkim oddaleniu stała grupka pięciu ogromnych słoń. Chociaż nie mogła się już wytłumaczyć siłą ciężenia, ponownie trąciła go zuchwale biodrem. Była to podniecająca, choć niebezpieczna gra, którą toczyli pod nosem von Meerbacha. Leon zaśmiał się, nie odwracając głowy, a ona spojrzała na niego dyskretnie spod spuszczonej rzesy, uśmiechając się ukradkiem.

Przelecieli nad uciekającymi słońcami. Leon zauważył, że są to stare samce. Przynajmniej dwa z nich miały ciosy o masie ponad pięćdziesięciu funtów każdy. Trzeci miał tylko jeden, drugi był ułamany przy nasadzie, lecz ten, który pozostał, wydawał się ogromny - w porównaniu z nim ciosy pozostałych samców wyglądały karłowato. Otto obniżył pułap tak, jakby zamierzał wlecieć prosto w stado. Słonie najwyraźniej rozumiały, że nie zdążą prześcignąć Motyla, bo odwróciły się ku nim i stanęły bark przy barku, tworząc zwartą falangę, aby stawić czoło zagrożeniu spadającemu z nieba. Zatrąbiły tak głośno, że ich ryk zagłuszył wycie silników, i ruszyły do ataku, na spotkanie samolotu. Kiedy aeroplan przeleciał ponad nimi, skuliły się i comęty, rozkładając uszy i wyciągając trąby, jakby chciały pochwycić maszynę.

Von Meerbach wzniósł się na wysokość kilkuset stóp i skręcił na południe. Przed ich oczami ukazał się nowy, nieoczekiwany widok. Przelatywali nad ukrytymi dolinami, sekretnymi przesmykami i korytarzami w ścianach rowu. Niektórych nie zaznaczono na mapach topograficznych, które Leon studiował z takim zapałem. Dwie lub trzy doliny były zasilane strumieniami, a na zielonych równinach pasły się stada dużych ssaków, od żyraf po nosorożce. Próbował zapamiętać ich położenie,

303

aby później je zbadać, lecz przesuwali się tak szybko, że było to niemożliwe.

Kiedy wzniesli się wyżej, ich oczom ukazał się ogromny masyw Kilimandżaro mający na horyzoncie w odległości stu mil. Z oddali góra miała siną barwę, a jej wierzchołek okrywał wieniec srebrnych obłoków, przez które przenikały złociste promienie słońca. Graf pomachał skrzydłami samolotu, by zwrócić uwagę Leona. Wskazał górę znajdującą się bliżej nich, w odległości dwudziestu, trzydziestu mil. Płaski wierzchołek sprawiał, że nie można jej było pomylić z żadną inną.

- Góra Lonsonyo! - krzyknął Leon, ale jego wołanie

zagłuszył szum wiatru i huk silników. - Lećmy tam! -
Zaczął dawać energiczne znaki, więc von Meerbach otworzył
do końca przepustnice. Motyl zaczął nabierać wysokości,
lecz płaski wierzchołek Lonsonyo leżał niemal dziesięć tysięcy
stóp nad poziomem morza, sięgając maksymalnego pułapu
maszyny. Początkowo aeroplan wznosił się szybko, lecz
w miarę nabierania wysokości prędkość słabła. Maszyna stała
się tak ociążała, że przelecieli nie więcej niż pięćdziesiąt
stóp nad wierzchołkiem.

Krowy Lusimy pały się na zielonych łąkach wysokiego płaskowyzu. Za nimi Leon dostrzegł chatki i zagrody bydła na terenie manyatty. Dał znak Ottonowi, by skręcił w stronę wioski. Na widok nadlatującego samolotu kozy, kury i nadzy pastuszkowie rozbiegli się w popłochu. Bez trudu odróżnił chatę Lusimy od innych - była największa i najbardziej okazała, położona najbliżej rozłożystych gałęzi drzewa narad. Spostrzegł Lusimę dopiero wtedy, gdy znaleźli się tuż nad nią. Nagle ukazała się w niskich drzwiach i spojrzała na niego. Miała na sobie jedynie skąpą czerwoną przepaskę biodrową oraz barwne bransolety i naszyjniki na kostkach, nadgarstkach i szyi. Spojrzała na Motyla z wyrazem komicznego zdumienia na twarzy.

- Lusimo! - wrzasnął, zdzierając z głowy pilotkę i oku
lary. - Lusimo Mamo! To ja! M'bogo, twój syn! - Zamachał
rękami jak oszalały i wtedy go rozpoznała. Byli tak blisko,

304

że spostrzegł, jak jej twarz się rozpogadza. Pomachała mu. Chwilę później przelecieli nad wioską i obniżyli pułap nad zboczem góry.

Graf Otto ponownie zamachał skrzydłami aeroplanu i dał znak, prosząc Leona, aby wskazał kurs na najbliższy obóz myśliwski. Ponieważ znajdowali się po przeciwnej stronie góry Lonsonyo, Leon kazał mu okrążyć masyw z prawej strony, i polecili nad rozciągającą się w dole równiną. Nigdy nie oglądał tej okolicy. Wcześniej zawsze wchodził na górę od południowej strony.

Ściana była urwista i niezdojta niczym zewnętrzne mury średniowiecznej twierdzy, pokryta mozaiką różnobarwnych porostów. Nagle całkiem nieoczekiwanie przed Motylem wyrosła skalna szczelina, pionowy komin rozdzierający wierzchołek aż po strome rumowisko u podnóża. Ponad krawędzią

urwiska, na wierzchołku komina dostrzegli jasną kaskadę - strumień, który odprowadzał wodę z deszczów padających na wysokim płaskowyżu. Woda opadała falistą mokrą kurtyną na skalną ścianę pokrytą ciemnym mchem. Kiedy mijali wodospad, wiatr skropił ich twarze wilgotną bryzą, która pokryła mgiełką szkła okularów, ochładzając policzki niczym płatki śniegu.

Woda opadała z wysoka do jeziora leżącego u stóp urwiska. Promienie słońca nie docierały do tego mrocznego i tajemniczego parowu odkrytego przez cień, który powodował, że woda wydawała się czarna jak atrament. Jezioro miało tak idealnie okrągły kształt, że równie dobrze mogło zostać zbudowane przez architektów starożytnego Egiptu lub Rzymu. Sycili wzrok wspaniałym widokiem jedynie kilka krótkich sekund. Skalny komin znalazł się tuż za nimi, zasłaniając nieodwołalnie, jak zamknięte masywne drzwi katedry, widok wodospadu.

Kiedy wyłonili się z cienia rzucanego przez górę, słońce zaczęło przybierać czerwoną barwę, gdyż jego promienie przechodziły przez zasłonę kurzu i dymu wiszących nisko nad horyzontem. Leon spojrzął na zalaną czerwonym światłem

305

równinę, szukając myśliwskiego obozowiska. W końcu, daleko przed sobą, dostrzegł przypominający kielbasę srebrzysty kształt powietrznego rękawa powiewającego na maszcie obok pasa. Dał znak von Meerbachowi, by skierował maszynę w tamtą stronę. Wkrótce ich oczom ukazały się płócienne namioty i strzechy domów obozowiska, któremu Leon nadał nazwę "obozu Percy'ego". Tuż za nim stała samotny pagórek. Miał nie więcej niż kilkaset stóp wysokości, lecz był widoczny z odległości wielu mil.

Graf Otto okrążył obozowisko, aby sprawdzić kierunek wiatru i położenie lądowiska. Kiedy zataczali krąg, Leon spojrzął pod skrzydło w ciemną, nieprzenikloną gęstwinę zarośli ciągnącą się przez wiele mil. Pośród krzaków zauważył grupkę ciemnych kształtów. Po rozmiarach rozpoznał, że to bawoły - trzy stare samce. Tylko jedno było pewne - te stare samotniki są agresywne i bardzo niebezpieczne. Kiedy uniosły łby, spoglądając złowrogo na samolot, Leon szybko je ocenił, mruczając pod nosem:

- Nie ma wśród nich ani jednej pięknej głowy. Wszystkie noszą jannułkę. - Było to pogardliwe określenie nawiązujące do żydowskiej czapeczki modlitewnej, którym starzy myśliwi nazywali rogi bawołu tak stare i zniszczone, że pozostała po nich jedynie rogowa mycka na czubku łba.

Von Meerbach posadził Motyla i zatrzymał maszynę na końcu pasa. Ujrzeni obłok kurzu zbliżający się ku nim od strony obozowiska. Po chwili dostrzegli samochód podskakujący na wybojach z Henniem du Randem za kierownicą oraz Manyoro i Loikotem na skrzyni.

— Wybacz, szefie! - powitał go Hennie, kiedy Leon scho
dził po drabince z kokpitu. - Oczekiwaliśmy was dopiero za
kilka tygodni. Zaskoczyłeś nas. - Był wyraźnie zmieszany.

— Jestem równie zaskoczony jak ty. Graf żyje według
własnego kalendarza. Czy w obozie jest jedzenie i alkohol?

— Ja. - Hennie skinął głową. - Max przywiózł spory
zapas z Tandali.

306

— Macie ciepłą wodę na kąpiel? Łóżka gotowe? Papier
toaletowy w latrynie?

— Zaraz się tym zajmiemy - obiecał Hennie.

— W takim razie wszystko będzie dobrze. Zawołaniem rodu
grafa jest "durabo". Przetrwam. Dzisiejszego wieczoru wy
stawimy go na próbę - powiedział Leon i odwrócił się do
von Meerbacha, który zaczął schodzić po drabince. - Jestem
rad, mogąc zakomunikować, że wszystko jest gotowe na pana
przybycie - skłamał niefrasobliwie i poprowadził gości w kie
runku ich kwatery.

Hennie i jego kucharz dokonali istnego cudu improwizacji, przyrządzając całkiem znośny posiłek z
prowiantu, który Max przywiózł z Tandali. Leon czekał na gości w kantynie. Kiedy Ewa weszła do
namiotu, otworzył usta na jej widok. Po raz pierwszy widział piękną kobietę w spódnico-spodniach. Ta
śmiała, awangardowa moda nie dotarła jeszcze do kolonii brytyjskich. Chociaż materiał zasłaniał nogi i
biodra, Courtney potrafił sobie wyobrazić, co się kryje pod elegancką tkaniną. Oderwał oczy od Ewy
dopiero wówczas, gdy za jej plecami stanął graf Otto.

Hennie ochłodził kilka skrzynek lagera Meerbach Eisbock, okładając je płóciennymi buktakami z wodą.
Piwo to zdobyło mnóstwo złotych medali na dorocznym monachijskim Oktober Bierfest. Graf okazał się
największym koneserem własnego trunku, wypił niemal pół galonu piwa, by zaostrzyć sobie apetyt przed
obiadem.

Kiedy w końcu usiadł u szczytu stołu, zastąpił lager burgundem, szlachetnym Romanee Conti rocznik 1896, który osobiście wybrał ze swoich piwnic w Wieskirche. Trunek doskonale pasował do przystawki, na którą składał się pasztet z wątróbek gerenuka, i dania głównego - plastrów piersi dzikiej kaczki podanych z foie gras. Von Meerbach zakończył posiłek kilkoma szklanicami pięćdziesięcioletniego porto i hawańskim cygarem Montecristo.

307

Z przyjemnością zaciągnął się cygarem, wzdychając z zadowoleniem. Rozłożył się na krześle, popuszczając pasa.

— Courtney, widziałeś te bawoły, nad którymi przelatowaliś

my podczas podchodzenia do lądowania, ja!

— Tak.

— Były w gęstych zaroślach, niein!

— Tak, w prawdziwej gęstwinie. Żaden nie jest jednak wart pocisku.

— Czy są groźne?

— Bardzo. Szczególnie gdy są ranne - przytaknął Le

on. - Ale...

Graf przerwał mu niecierpliwym machnięciem dłoni.

- Courtney, musisz wiedzieć, że nie lubię tego słowa. -

Nagle jego nastrój uległ całkowitej zmianie. - Zwykle oznacza

ono, że ktoś szuka wymówki, by okazać nieposłuszeństwo. -

Na jego twarzy pojawił się grymas niezadowolenia, a biała

blizna po pojedynku przybrała różową barwę.

Leon nie wiedział jeszcze, że to zły znak.

— Chciałem jedynie powiedzieć... - ciągnął, nie zważając

na wiszącą w powietrzu burzę.

— Nie obchodzi mnie, co chciałeś powiedzieć, Courtney.

Masz słuchać tego, co ja mówię.

Leon zapłonął rumieńcem, słysząc reprimendę, lecz dostrzegł, że siedząca z boku Ewa wyduła wargi i prawie niedostrzegalnie potrząsnęła głową. Wziął głęboki oddech i z trudem postuchał jej ostrzeżenia.

— Chce pan na nie zapolować?

— Widzisz, Courtney, nie jesteś taki Dummkopf* na jakiego

wyglądasz! - roześmiał się, nagle odzyskując dawny hu

mor. - Tak, chciałbym na nie zapolować. Chciałbym dać ci

okazję dowiedzenia, jak bardzo są groźne, ja!

— Nie zabrałem sztucera z Tandali.

— Nie będziesz go potrzebował. Strzelał będę ja.

Niem. dureń, błazen.

308

— Mam panu towarzyszyć nieuzbrojony?

— Czyżby sos ci zaszkodził, Courtney? Jeśli tak, możesz

jutro zostać w łóżku. W dowolnym miejscu, które uznasz za

najcieplejsze i najbezpieczniejsze.

— Będę u pana boku, gdy wyruszy pan na łowy.

— Jestem rad, że się rozumiemy. To upraszcza sprawę, nie

sądziś? - Zaciągnął się cygarem, aż koniuszek rozjarzył się

czzerwono, a następnie wypuścił idealne kółko dymu w kierunku

twary Leona. Ten przesunął palcem przez środek obłoku, zanim

dym dotarł do niego.

Eva zręcznie przyłączyła się do rozmowy, aby ostudzić emocje.

— Ottonie, co to za piękna góra, nad którą przelecieliśmy

tego popołudnia?

— Opowiedz nam o niej, Courtney - polecił graf.

— To Lonsonyo, święta góra Masajów. Mieszka tam jeden z największych duchowych przywódców tego ludu. Ta kobieta jest jasnowidzem, potrafi ze zdumiewającą dokładnością przepowiadać przyszłość - odpowiedział, nie patrząc na Ewę.

— Och! Ottonie! - wykrzyknęła. - To pewnie ta, która wyszła nam na spotkanie z największej chaty. Jak ma na imię? Jak się nazywa ta prorokini?

— Bawią cię te magiczne brednie, głuptasie? - spytał z pobłażaniem von Meerbach.

— Wiesz, że lubię, gdy przepowiadają mi przyszłość - Uśmiechnęła się zalotnie, powodując, że jego gniew przeminał. - Pamiętasz tę Cygankę w Pradze? Powiedziała, że moje serce należy do silnego, czułego mężczyzny, który zawsze będzie mnie kochał. To jesteś ty!

— Oczywiście, a któż by inny?

— Ottonie, jak ma na imię ta wróżbitka?

Von Meerbach spojrzał na Leona, unosząc rude brwi.

— Lusima. - Leon nauczył się już, jak prowadzić tę grę pełną zawoalowanych pytań i odpowiedzi.

— Dobrze ją znasz? - spytał graf Otto.

309

Leon zaśmiał się cicho.

— Adoptowała mnie, więc znamy się całkiem dobrze.

— Dobre sobie! Jeśli cię adoptowała, nie jest zbyt mądra, choć... - Rozłożył dłonie w geście kapitulacji, widząc spojrzenie Ewy. - Widzę, że nie będę miał spokoju, dopóki nie spełnię twojego kaprysu. W porządku, zaprowadzę cię do tej staruchy na górze, aby postawiła wróżbę.

— Ogromnie ci dziękuję, Ottonie - odpowiedziała, głaszcząc grzbiet jego dłoni. Leon poczuł gorzki zazdrości. - Sam widzisz, że Cyganka w Pradze miała rację. Jesteś dla mnie taki dobry. Kiedy mnie tam zabierzesz? Może po upolowaniu tych bawołów?

— Zobaczymy - odrzekł von Meerbach asekuracyjnie i zmienił temat. - Courtney, będę gotów o świcie. Stado było w odległości zaledwie kilku mil od obozu. Chciałbym tam dotrzeć, zanim słońce stanie wysoko na niebie.

Pogrążony w ciszy świat zamarł w oczekiwaniu na słońce, a powietrze nadal przenikał nocny chłód, gdy graf Otto zatrzymał samochód przed zaroślami za pasem startowym, gdzie Manyoro i Loikot kucali nad kopącym małym ogniskiem z suchych gałązek, ogrzewając dłonie nad językami ognia. Zasypali płomienie piaskiem i wstali, gdy z ciemności wyłonił się Leon.

— Macie mi coś do powiedzenia?

— Po zachodzie księżyca przyszyły do wodopoju w pobliżu obozu. Kiedy dziś rano znaleźliśmy ślady, odkryliśmy ścieżkę, którą podążały do wody. Są niedaleko, w zaroślach. Niedawno słyszeliśmy, jak się poruszają - odparł Manyoro. - Są stare i bardzo brzydkie. Czy Kichwa Muzuru naprawdę chce zastrzelić jednego z nich? - Masajowie nazwali von Meerbacha "Ognistą Głową" z powodu barwy włosów i nieustraszonego

charakteru, który bardzo podziwiali.

— Uparł się, nie zdołałem go od tego odwieść - wyjaśnił

Leon.

310

Manyoro wzruszył z rezygnacją ramionami.

— Jaką bunduki weźmiesz, M'bogo? Twoja wielka strzelba została w Tandali.

— Pójdę dziś bez bunduki. To bez znaczenia, Kichwa Muzuru jest świetnym strzelcem.

Manyoro spojrział na niego nieufnie.

- A co, jeśli ktoś coś spartaczy, M'bogo? Przewróci się

0 dzban piwa? Co wtedy?

— Wtedy rąbnę tym bawołu w oko, Manyoro - odparł

Leon, podnosząc gruby kij, który wyciągnął spod samochodu.

— To nie jest broń. Nie można się tym nawet dobrze po

drapać. Weź to. - Manyoro sięgnął po jedną ze swoich dzied

1 podał Leonowi, kierując ostrze do tyłu. - To prawdziwa broń.

Dzida miała piękny grot długości trzech stóp, zaostrzony z obu stron. Leon sprawdził ostrość włóczni na przedramieniu. Metal zgolił włosy tak idealnie i gładko jak brzytwa.

- Dziękuję, bracie, choć mam nadzieję, że nie będę musiał

jej użyć. Nie zapomnij wziąć swojej, Manyoro, lecz bądź gotów

uciekać, jeśli Kichwa Muzuru spodłuje!

Leon opuścił ich i wrócił do samochodu myśliwskiego. Graf Otto wyciągał właśnie sztucer ze skózanego futerału. Courtneyowi nieco ulżyło na widok dwulufowego sztucera dużego kalibru, pewnie 10,75 milimetra, o sile rażenia aż nadto wystarczającej do położenia trupem bawołu.

— Jesteś gotów się zabawić, Courtney? - spytał von Meer-

bach, gdy Leon podszedł do niego. Niemiec zsunął na tył głowy myśliwski kapelusz z lodenu, w kąciu ust trzymał niezapalone cygaro. Wsuwał naboje w stalowym płaszczu do otwartego magazynka.

— Tak, choć mam nadzieję, że nie planuje pan zbyt wiele tej zabawy.

— Widzę, że się przygotowałeś. - Uśmiechnął się na widok dzidy, którą Leon trzymał w ręku. - Chcesz tym polować na króliki czy bawoły?

— To skuteczna broń, jeśli trafi się nią we właściwe miejsce.

311

— Słuchaj, Courtney, coś ci obiecuję. Jeśli zabijesz tym bawołu, nauczę cię pilotować aeroplan.

— Pańska wspaniałomyślność jest bezgraniczna. - Leon skłonił się nieznacznie. - Byłby pan łaskaw poprosić Fraulein von Wellberg, aby do naszego powrotu pozostała w samo chodzie? Te zwierzęta są nieprzewidywalne. Kiedy padnie pierwszy strzał, wszystko się może zdarzyć.

Von Meerbach wyjął cygaro z ust i powiedział do Ewy:

— Będziesz dzisiaj grzeczną dziewczynką, meine Schatze, i zrobisz to, o co prosi nasz młody przyjaciel?

— Czy kiedyś byłam niegrzeczną dziewczynką, Ottonie? - spytała, lecz jej spojrzenie zadawało kłam słodkiej odpowiedzi.

Wsunął cygaro do ust i podał jej srebrne pudełeczko z zapałkami. Zapaliła jedną i przyłożyła do koniuszka cygara. Wydmuchując dym, graf Otto obserwował oczy Leona. Anglik wiedział, że to dla niego

zorganizował ten mały pokaz władzy i uległości. Mężczyźni nie są aż tak mało spostrzegawczy - Niemiec musiał wyczuć napięcie wiszące w powietrzu i zaznaczył swoje panowanie nad Ewą.

- Uważaj na siebie, Ottonie - powiedziała delikatnie, próbując rozładować atmosferę. - Nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła.

Leon był ciekaw, czy stara się go ochronić przed zazdrosnym gniewem grafa.

- Martw się o bawołu, nie o mnie - zachichotał von Meerbach, opierając sztucer na ramieniu i idąc za Masajami w zarośla. Leon ruszył za nim. Szli naprzód w milczeniu.

W gęstych krzakach bawoły się rozproszyły, aby znaleźć pokarm. Ich ślady biegingy to w jedną, to w drugą stronę. Podążanie jednym tropem mogło być mylące, więc poruszali się wolno, co kilka kroków sprawdzając okolicę. Po niecałych stu krokach usłyszeli trzask łamanych gałązek, po którym rozległo się ciche parsknięcie. Manoro podniósł dłoń, dając znak, aby stanęli i zachowali ciszę. Milczenie trwało minutę, która wydawała się nie mieć końca. Kolejny szelest liści. Coś ciężkiego

312

przedzierało się ku nim przez zarośla. Leon dotknął ramienia von Meerbacha. Graf zdjął sztucer z ramienia, trzymając go na wysokości klatki piersiowej.

Nagle ściana zarośli przed nimi rozstała się i w otworze ukazał się łeb oraz kłęb bawołu. Było to pokryte bliznami, wyniszczone, stare zwierzę. Jeden róg był odłamany, tworząc postrzępiony kikut, a drugi niemal starty od ciąglego ostrzenia o pnie drzew i gniazda termitów. Mizerny kark pokrywały łyse placki. Jedno oko zaszło bielmem, całkowicie niewidome wskutek oftalmii przenoszonej przez muchy. W pierwszej chwili byk ich nie zauważył. Stał, przeżuując trawę. Z kącików pyska zwisały żdźbła i strugi śliny. Potrząsnął łbem, aby odpędzić małe czarne muszki, które obsiadły powiekę niewidzącego oka i piły żółtą ropę, spływającą kropelkami po pysku.

Nieszczęsny stary drań, pomyślał Leon. Kula w łeb byłaby dla niego prawdziwym wybawieniem. Dotknął ramienia Niemca.

- Proszę strzelać - szepnął, przygotowując się na huk wystrzału. Nie mógł się jednak przygotować na to, co miało za chwilę nastąpić.

Otto odwrócił głowę i ryknął dziko:

- Ruszaj! Pokaż, jaki potrafisz być niebezpieczny! -

Mówiąc to, strzelił ponad głową zwierzęcia. Byk cofnął się gwałtownie i odwrócił łeb w ich stronę. Przez chwilę patrzył na nich jednym zdrowym okiem, a następnie parsknął z przerażenia i rzucił się do ucieczki. Zaczął gnać galopem w stronę palisady zarośli. Zanim zniknął, von Meerbach strzelił po nownie.

Leon spostrzegł obłoczek dymu unoszący się z grzbietu zwierzęcia, na lewo od sękatego kręgosłupa rysującego się pod pokrytą bliznami szarą skórą. Patrzył na uciekającego byka, nie mogąc uwierzyć własnym oczom.

— Zranił go pan celowo! - rzucił oskarżycielsko.

— Oczywiście! Powiedziacieś, że zwierzę musi być ranne, aby była dobra zabawa. Teraz jest. Mam zamiar potęchać dwa

313

pozostałe! - Zanim Leon zdążył oprzytomnieć, graf wydał kolejny dziki okrzyk wojenny i ruszył w pogoń za rannym zwierzęciem. Dwaj Masajowie byli równie zdumieni jak Leon. Stali skonsternowani, patrząc za Niemcem.

— Oszalał! - stwierdził Loikot, nie kryjąc podziwu.

— Tak - przytaknął Leon. - Oszalał. Posłuchajcie go.

W zaroślach przed nimi podniosła się wrzawa. Usłyszeli tupot

kopyt, trzask łamanych gałęzi, gniewne i ostrzegawcze parskania, huk wystrzałów, odgłos ciała i kości rozrywanych ciężkimi pociskami. Leon zdał sobie sprawę, że von Meerbach postrzelił wszystkie trzy, lecz nie zabił żadnego. Odwrócił się do Masajów.

— Nic tu po was. Kichwa Muzuru rozbił dzban piwa na sto kawałków. Wracajcie do samochodu - polecił. - Zaopiekujcie się memsahib.

— To wielka głupota, M'bogo. Albo pójdziemy razem, albo

nie ruszymy się wcale.

Usłyszeli kolejny wystrzał i śmiertelny ryk bawołu. Przynajmniej jednego mamy z głowy, pomyślał Leon. Pozostały jeszcze dwa. Nie było czasu ani miejsca na dyskusje.

— W takim razie za mną! - prychnął. Ruszyli biegiem przed siebie. Graf stał na krawędzi małej polany wśród zarośli.

U jego stóp leżało cielsko zabitego bawołu. Tylne łapy samca nadal konwulsyjnie wierzgały w przedśmiertnych drgawkach.

Zwierzę musiało się na niego rzucić, gdy wyszedł z gęstwiny.

Położył je strzałem w mózg.

— Myliłeś się, Courtney. Wcale nie są takie niebezpieczne - zauważył chłodno, wsuwając do komory kolejne naboje.

— Ile pan ranił? - warknął.

— Dwa. Nie martw się. Masz jeszcze szansę. Może nauczę cię pilotażu.

— Ponad wszelką wątpliwość dowiódł pan swojej odwagi.

Proszę oddać mi sztucer i pozwolić dokończyć robotę.

— Nigdy nie posyłam chłopca, by wykonał robotę męża czynny, Courtney. Oprócz tego masz znakomitą dzidę. Na co ci sztucer?

314

— Przez pana ktoś może zginąć.

— Być może, lecz nie będę to ja. - Po tych słowach ruszył ku ścianie zarośli po przeciwnej stronie polany. - Jeden uciekł w tamtą stronę. Wyciągnę drania za ogon.

Próba powstrzymania go była daremna. Leon z zapartym tchem obserwował, jak von Meerbach

dochodzi do przeciwległego końca polany.

Ranny bawół czekał na niego za pierwszą zasłoną liści. Pozwolił mu podejść bliżej, a następnie natarł z odległości pięciu jardów. Ściana zarośli eksplodowała pod wpływem uderzenia. Graf Otto w jednej chwili przyłożył sztucer do ramienia i wypalił z takiej odległości, że lufa omal dotykała wilgotnych nozdrzy zwierzęcia. Kolejny idealny strzał prosto w mózg. Przednie nogi bawołu się ugięły, lecz siła rozpędu była tak duża, że dosięgną! nóg swojego oprawcy niczym czarna lawina. Otto runął w tył, wypuszczając sztucer i padając na plecy. Leon usłyszał świst powietrza wyciskanego z płuc. Niemiec usiadł obolały, oddychając chrapliwie, kiedy Leon rzucił się mu na pomoc.

Był na środku polany, kiedy zza pleców usłyszał ostrzegawczy krzyk Manyoro:

- Po lewej, M'bogo. Nadbiega trzeci.

Spojrzał w lewo i ujrzał przed sobą trzeciego rannego bawołu. Byk opuścił łeb, by rozpruć go jednym z rogów. Leon dostrzegł zaropiałe, niewidzące oko. Było to pierwsze zwierzę, do którego wypalił graf Otto. Odwrócił się ku niemu i zebrał w sobie. Stał na palcach w pozycji doskonałej równowagi, czekając na odpowiednią chwilę. Kiedy zwierzę się zbliżyło, uskoczył w bok. Byk stracił go z pola widzenia, wściekle dźgając powietrze w miejscu, gdzie znajdował się przed chwilą. Gdyby róg nie był ułamany i krótki, przypuszczalnie rozprułby mu brzuch. Chociaż Leon wykonał zręczny unik, postrzępiony czubek lekko zahaczył o koszulę. Wygiął grzbiet, czując, jak ociera się o niego masywne cielsko i ochlapuje mu spodnie krwią.

- Naprzód, toro\ - zawołał von Meerbach. Dźwignął się

315

na nogi, śmiejąc się chrapliwie. - Naprzód, toreadorze! - Sięgnął po sztucer, zanosząc się świszczącym śmiechem.

— Zastrzel go! - wrzasnął Leon, gdy bawół gwałtownie

się zatrzymał się, zapierając przednimi nogami.

— Nein! Chcę zobaczyć, jak władasz tą małą dzidą! -

Opuścił sztucer lufą do ziemi. - Chcesz się nauczyć latać?

W takim razie będziesz musiał użyć dzidy!

Pierwsza kula von Meerbacha zmiażdżyła tylną nogę bawołu na wysokości biodra, więc zwierzę

potrzebowało czasu, by wyhamować po nieudanym ataku. Samiec odwrócił się niezdarnie i ponownie spojrzął na Leona zdrowym okiem. Skoczył do przodu, pędząc na niego pełnym galopem. Pierwszy atak czegoś nauczył Leona. Chwycił dzidę na sposób Masajów, tak by długie ostrze tworzyło przedłużenie ramienia niczym floret. Pozwolił, aby zwierzę podbiegło bliżej. Kiedy było tuż przy nim, gwałtownie uskoczył z linii ataku, chroniąc się w martwym polu. Wielki czarny tułów otarł się o jego nogi, kiedy pochylił się nad barkami bawołu, kierując grot dzidy we wgłębienie między łopatkami zwierzęcia. Nie próbował go dźgnąć. Pozwolił, aby bawół sam się nadział na włócznię. Był zdumiony łatwością, z jaką grot przeszył skórę. Ledwie poczuł szarpnięcie, gdy trzy stopo we ostrze zatopiło się w falującym czarnym cielsku. Wypuścił drzewce, pozwalając, aby zwierzę odbiegło wraz z dzidą, kołyszając i rzucając głową z boku na bok, rozpaczliwie próbując pozbyć się włóczni. Leon zauważył, że gwałtowne ruchy powodują, iż ta pogrąża się jeszcze bardziej w ciele zwierzęcia, przesywając serce i płuca.

Byk stanął ponownie na końcu polany. Nadal kołysał łbem, próbując dostrzec prześladowcę. Zamarł nieruchomo. W końcu go dostrzegł i obrócił się, lecz tym razem jego ruchy było powolne i niepewne. Potykał się, lecz nie przestawał biec. Zanim do niego dotarł, otworzył pysk i wydał długi niski ryk. Z pyska trysnęła krew pochodząca z przebitych płuc. Zwierzę runęło na kolana i przewróciło się na bok.

- Ole! - zakrzyknął graf Otto, lecz tym razem w jego

316

głosie nie było szyderstwa. Kiedy Leon podniósł głowę, dostrzegł szacunek w jego oczach.

Manyoro podszedł wolno do leżącego bawołu. Stanął nad nim i obiema rękami uchwycił drzewce assegai sterzące między łopatkami zwierzęcia. Wyprostował tułów, przechylił się do tyłu i wyciągnął z rany zakrwawione ostrze.

- Chwała ci! Jestem dumny z tego, że jesteś moim bratem - rzekł do Leona.

Kiedy wrócili do obozu, graf zamienił śniadanie w pochwałę swojego męstwa. Usiadł u szczytu stołu i zaczął pożerać szynkę z jajkami, popijając to wszystko kawą hojnie zakrapianą koniakiem. Jednocześnie zabawiał Ewę przesadzonym opisem polowania. Na końcu długiej relacji krótko wspomniał o Leonie.

- Kiedy pozostało tylko jedno zwierzę ślepe na jedno oko,

pozwoliłem Courtneyowi je ubić. Oczywiście, bawół był tak

poważnie ranny, że nie stanowiło to żadnego problemu, choć

muszę przyznać, że położył tego samca w sposób godny wo

jownika.

W tym momencie jego uwagę odwróciło nagłe zamieszanie w pobliżu namiotu. Hennie du Rand wsiadał z garbarzami na skrzynię samochodu. Wszyscy byli uzbrojeni w topory i noże rzeźnicze.

— Co robią ci ludzie, Courtney?

— Zamierzają przywieźć do obozu głowy pańskich ba wołów.

— Po co? Przecież mówił pan, że są bezwartościowe, a ich mięso jest tak stare i tykowane, że nie nadaje się do jedzenia.

— Po uwędzeniu i wysuszeniu tragarze i robotnicy zjedzą je z przyjemnością. W tym kraju ceni się mięso.

Von Meerbach otarł usta serwetką i wstał.

- Pojadę z nimi, aby popatrzeć.

Była to kolejna z typowych nieoczekiwanych decyzji von Meerbacha, lecz mimo to zaskoczyła Leona.

317

— Będę panu towarzyszył.

— Nie ma potrzeby, Courtney. Zostań w obozie i dopilnuj, aby zatankowano Motyla na lot do Nairobi. Pojedzie ze mną

Fraulein von Wellberg. Siedzenie w obozie ją nudzi.

Zrobiłbym wszystko, co w mojej mocy, aby ją zabawić, gdybyś stworzył mi choć cień szansy, pomyślał Leon, lecz nie dał tego po sobie poznać.

- Jak pan sobie życzy - ustąpił.

Hennie był onieśmielony, że tak znakomici goście jadą jego starym samochodem, choć od miejsca, w którym leżała padlina, dzielił ich zaledwie kawałek. Gdy usiadł za kierownicą, graf Otto rozładował atmosferę, częstując go cygarem. Po kilku pociągnięciach Hennie rozluźnił się na tyle, że potrafił udzielić sensownych odpowiedzi na pytania pasażerów, zamiast niezrozumiale bełkotać.

— Słyszałem, że jesteś Afrykanerem, du Rand, ya?

— Nie, proszę pana, jestem Burem.

— To jest jakaś różnica?

— Ja, duża. W żyłach Afrykanerów płynie brytyjska krew.

Moja krew jest czysta. Pochodzę z wybranego Volk.

— Mam wrażenie, że nie przepadasz za Anglikami.

— Lubię niektórych, na przykład mojego szefa, Leona Courtneya. To dobry Sout Piel.

- Sout Piel? A któż to taki?

Hennie spojrział na Ewę.

— To nie temat na rozmowę przy kobietach, niestosowna mowa dla uszu młodej damy.

— Nie martw się, Fraulein von Wellberg nie zna angielskiego. Powiedz mi, co to znaczy.

— "Słony penis".

Graf Otto zaczął się uśmiechać, oczekując dobrego żartu.

— Słony fiut? Możesz to wyjaśnić?

— Ci ludzie stoją jedną nogą w Londynie, a drugą w Kap-

318

sztaście, co powoduje, że słażizna moczy się w Atlantyku - odparł Hennie. Von Meerbach zaśmiał się jowialnie.

- Sout Piel! Ja! A to dobre! - Kiedy przestał chichotać, wrócił do poprzedniego tematu. - A zatem nie lubisz Brytyjczyków? Walczyłeś z nimi podczas ostatniej wojny?

Hennie pomyślał chwilę nad odpowiedzią, ostrożnie kierując starym automobilem po wyboistej drodze.

— Wojna się skończyła - rzekł w końcu bezbarwnym, wymijającym tonem.

— Ja, to była zła wojna. Brytyjczycy spalili wasze farmy, wybili bydło. - Bur nie odpowiedział, lecz jego oczy przygas

ły. - Umieścili wasze kobiety i dzieci w obozach. Wielu ludzi
umarło.

— Ja, to prawda - wyszeptał du Rand. - Wielu umarło.

— Teraz ziemia leży odłogiem, dzieci nie mają co jeść,
a twój Volk zamienił się w brytyjskich niewolników, niein! Czy
właśnie dlatego wyjechałeś? Aby uciec przed wspomnieniami?

Do oczu Henniego napłynęły łzy. Otarł je pokrytym odciskami kciukiem.

- W jakim oddziale służyłeś?

Bur po raz pierwszy spojrział mu w oczy.

— Czy wspominałem, że służyłem w jakimś oddziale?

— Pozwól, że odgadnę - poprosił graf Otto. - Służyłeś
pod Smutsem?

Hennie potrząsną głową z goryczą.

— Jannie Smuts zdradził swój lud. On i Louis Botha przeszli
na stronę Anglików. Sprzedali Brytyjczykom nasze pierwo-
rództwo.

— No tak! - wykrzyknął graf Otto, jak człowiek, który
zna odpowiedź. - Nienawidzisz Smutsa i Bothy! W takim
razie wiem, pod kim służyłeś. Twoim dowódcą musiał być
Koos de la Rey! - zawołał, nie czekając na odpowiedź. -

Powiedz mi, du Rand, jakim człowiekiem był generał Jacobus
Herculaas de la Rey? Słyszałem, że to wspaniały dowódca,

319

lepszy żołnierz niż Louis Botha i Jannie Smuts razem wzięci. Prawda to?

— To niezwykle człowiek - odparł Hennie, patrząc przed siebie. - Był dla nas jak bóg.

— Czy gdyby wybuchła kolejna wojna, poszedłbyś za de la Reyem, Hennie?

— Poszedłbym za nim do bram piekieł.

— A inni z twojego oddziału?

— Oni również, poszlibyśmy wszyscy.

— Chciałbyś spotkać ponownie de la Reya? Uścisnąć mu dłoń?

— To niemożliwe - wymamrotał Hennie.

— U mnie wszystko jest możliwe. Mogę sprawić, że wszystko stanie się możliwe. Nie mów nikomu. Nawet temu Sout Piel, swojemu szefowi, którego tak lubisz. Niech to zostanie między nami. Pewnego dnia zabiorę cię do generała de la Reya.

Ewa zaczęła się niecierpliwie wiercić. Było jej niewygodnie, a rozmowa prowadzona w języku, którego nie rozumiała, szybko ją znudziła. Graf Otto wiedział, że zna jedynie niemiecki i francuski.

Leon zatankował Motyla, korzystając z jednej z pięćdzieściogalonowych beczek przywiezionych potężnym meerba-chem z Nairobi przez Gustawa. Kiedy zajmował się samolotem, posłał Manyoro i Loikota na wierzchołek góry wznoszącej się nad obozowiskiem, aby nawiązali kontakt z innymi Masajami i przynieśli mu nowiny. Raz lub dwa podniósł głowę, wsłuchując się w przenikliwe głosy dolatujące z oddali, nawołujące między wzgórzami. Chungadzi posługiwali się słownymi skrótami, więc mógł rozróżnić kilka dźwięków, lecz nie sposób było odgadnąć sensu tej dziwacznej rozmowy.

Kiedy skończył napełnianie ostatniego z czterech zbiorników Motyla i mył ręce w miednicy przed namiotem, dwaj Masajowie zeszli ze wzgórza. Podeszli do niego i zaczęli opowiadać o rzeczach, które mogły go zainteresować.

320

Masajowie byli zdania, że w następną pełnię księżyca zgodnie ze zwyczajem Lusima będzie przewodniczyć naradzie starszyny masajskich plemion, która zbierze się na górze Lon-sonyo. Złoży też białą krowę w ofierze przodkom. Od rytuałów tych była uzależniona pomyślność całego ludu.

Wspominano też o wyprawie wojennej Nandi. Nandi uprowadzili trzydzieści trzy najlepsze krowy Masajów, lecz szukający pomsty morani dopadli ich nad brzegiem rzeki Tishimi. Odzyskali skradzione bydło i wrzucili ciała złodziei do wody, by krokodyle pożarty dowody przestępstwa. Obecnie komisarz okręgu prowadzi dochodzenie w Narosura, lecz wyglądało na to, że wszyscy okoliczni mieszkańcy cierpią na amnezję. Nikt nie wiedział o skradzionym bydłu i zaginionych wojownikach Nandi.

Mówiono również o lwach, które zeszły na równiny Wielkiego Rowu Wschodniego od strony Keekorok. Były to cztery młode samce. Dostały nauczkę od potężnego dominującego samca. Starszy nie tolerował konkurencji, nie zamierzał dzielić się z nimi haremem. Dwie noce temu młode lwy zaabiły sześć jałówek w manyacie leżącej na zachód od góry Lonsonyo. Wezwano morani, aby przybyli do wioski zwanej Sondjo. Trzeba było się zająć tymi czterema zabójcami bydła, udzielić im krótkiej lekcji dobrych manier.

Leon był rad z tych wiadomości. Graf Otto wyraził ochotę zobaczenia rytualnego polowania, był to więc bardzo sprzyjający zbieg okoliczności. Natychmiast wysłał Manyoro do ma-nyatty Sondjo, w której przebywali łowcy lwów, z darem stu szylingów dla naczelnika wioski i prośbą, aby pozwolił wazungu przypatrywać się polowaniu. Kiedy jego klient wysiadł z samochodu, Leon pospieszył, aby przekazać mu dobrą wiadomość.

- Szybko, Ewo! - zawołał podekscytowany von Meer-bach. - Musimy przebrać się w strój do jazdy i wyruszyć bez zwłoki. Nie chcę przegapić takiego przedstawienia.

Ruszyli galopem i pokonali niemal dwadzieścia mil, zanim zaszło słońce i było zbyt ciemno, aby widzieć drogę. Zatrzymali

321

się i zsiadli z koni. Zjedli zimny obiad i twardo zasnęli. Kiedy obudzili się następnego ranka, słońce już świeciło.

Przed południem, gdy zbliżyli się do wioski Sondjo, doleciał ich dźwięk bębnów i śpiewy. Manyoro wyszedł z wioski i przykucnął przy drodze, czekając na ich przybycie. Wstał i podszedł do koni.

- Wszystko przygotowane, M'bogo. Naczelnik manyatty zgodził się odwlec łowy do waszego przybycia. Musimy się spieszyć. Morani zaczynają się niecierpliwić. Chcą unurzać dzidy we krwi i zyskać sławę.

Wojownicy Masajów zgromadzili się pośrodku zagrody dla bydła. Była to elitarna grupa wybrana przez starszych - najdzielniejsi i najlepsi morani. Pięćdziesięciu męźnych, młodych męźczyzn ubranych w czerwone skórzane kilty ozdobione paciorkami z kości słoniowej i muszlami kauri. Nagie torsy lśniły od warstwy tłuszczu i czerwonej ochry. Na głowach mieli misternie zaplecione warkocze. Szczupli i smukli, twardzi i pięknie umięśnieni, o przystojnych rysach twarzy i jastrzębich, jasnych, drapieźnych oczach, wyrażających pragnienie jak najszybszego rozpoczęcia łowów.

Wszyscy utworzyli pojedynczy szereg, stając ramię przy ramieniu. Na czele znalazł się starszy morani,

doświadczony wojownik noszący u kiltu pięć lwich ogonów, po jednym na każdego Nandi pokonanego w samotnej walce. Na głowie miał ozdobę wykonaną z łba czarnego lwa - kolejny dowód męstwa. W pojedynkę zabił zwierzę swoją assegai. Dał znak, gwiżdżąc w róg bawołu zawieszony na rzemieniu u szyi.

Kilkusetosobowy tłum starców, kobiet i dzieci zebrał się za zewnętrzną palisadą, aby obserwować taniec. Kobiety klaskały w dłonie i zawodziły. Kiedy trzech biali wjechali do manyatty, bębny zaczęły walić w jeszcze bardziej obłąkanym, dzikim rytmie. Uderzenia w puste kłody drewna wprawiły morani w szal wojenny, aż rozpoczęli taniec lwa, śpiewając, skacząc wysoko na sztywnych nogach i rycząc jak lwy, gdy spadali na ziemię.

322

Później, gdy przywódca głośno zadął w róg, zaczęli powoli opuszczać zagrodę, nie przerywając szyku. Stawiając równe kroki, uformowali długiego krętego węża sunącego w dół po trawiastym zboczu w promieniach słońca błyskających w stalowych ostrzach assegai. Na ramionach nieśli długie opięte skórą tarcze barwy czerni i ochry, ozdobione jednym okiem o lśniącej białej źrenicy.

— Czemu mają oko na tarczy, Ottonie? - spytała Ewa.

— Odpowiedz, Courtney.

— Morani twierdzą, że oko prowokuje lwa do ataku. Nie wolno nam pozostać w tyle, gdy to się stanie, a długo nie będziemy musieli czekać.

Jeźdźcy ruszyli za długim, krętym korowodem wojowników.

— Skąd wiedzą, gdzie szukać zdobyczy? - zapytał graf

Otto.

— Wysłali tropiciele, aby je znaleźli - odparł Leon. - Lwy nie odeszły daleko. Zabiły sześć krów i nie pójda, dopóki nie zjedzą całego mięsa.

Manyoro biegł obok konia Leona. Mówił coś, więc ten się pochylił, aby lepiej go słyszeć. Kiedy się wyprostował, poinformował Niemca:

- Manyoro mówi, że zabite krowy leżą w płytkiej niecce za następnym wzniesieniem. - Wskazał przed siebie. - Jeśli

okrążymy ją z prawej strony, będziemy mieli wspaniały widok.
- Zjechali ze ścieżki i zatoczyli szerokie koło, by wyprzedzić oddział morani i zająć pozycję, zanim długi szereg wojowników dotrze do krawędzi i zejdzie do niecki.

Manyoro udzielił im dobrej rady. Z urwiska rozciągał się wspaniały widok na trawiastą dolinę. Martwe krowy leżały na widoku, z brzuchami napęczniałymi od gazu. Niektóre zostały częściowo pożarte, lecz inne wydawały się nietknięte.

Wojownicy zmienili formację. Gdy morani dotarli w wyznaczone miejsce, każdy odwrócił się w przeciwną stronę niż stojący przed nim wojownik. Niczym wyćwiczeni tancerze rozdzielili się na dwie grupy. Bliźniacze szeregi rozwarły się,

323

otaczając trawiastą nieckę. Później, na przenikliwy świst gwizdka, zaczęli zacieśniać szeregi. Manewr został wykonany szybko i bezbłędnie. Nieckę otoczył mur dzid i tarcz.

- Nie widzę lwów - powiedziała Ewa. - Jesteście pewni, że nie uciekły?

Zanim zdążyli odpowiedzieć, ich oczom ukazał się jeden z młodych samców. Leżał, przywierając brzuchem do ziemi, jego futro zlewało się idealnie ze spieczoną słońcem trawą. Chociaż zwierzę było młode, sprawiało wrażenie ogromnego i smukłego. Jego grzywa była krótka i rzadka, ot, meszek rudej sierści. Ryknął w stronę morani, odstawiając długie białe pazury.

Hałas czyniony przez pięćdziesięciu morani zaalarmował pozostałe bestie. Podniosły się ze swoich kryjówek w niskiej trawie i przywarły do ziemi, obserwując krąg tarcz ślepiami przypominającymi topazy. Nerwowo uderzały ogonami o ziemię, prychały i ryczały gwałtownie z lęku i wściekłości. Były młode i nigdy nie widziały czegoś takiego.

Ponownie rozległ się dźwięk rogu i morani zaintonowali pieśń lwa. Później, nie przestając śpiewać, ruszyli przed siebie niczym jeden mąż, powłócząc nogami i wybijając rytm. Zaczęli powoli zacieśniać pętlę wokół czterech lwów jak pyton opasujący zdobycz. Jedno ze zwierząt wykonało krótki pozorowany atak na ścianę tarcz. Morani potrząsnęły nimi, wołając:

- Chodź! Przybywaj! Czekamy, by cię powitać!

Samiec przerwał atak, zatrzymując się na sztywnych łapach.

Spojrzał na wojowników i zawrócił, by przyłączyć się do braci. Lwy zaczęły krążyć niespokojnie, wydając

groźne pomruki i strasząc grzywy, przypuszczając krótkie ataki na ścianę tarcz, by po chwili przerwać i zawrócić.

— Pierwszy zaatakuj ten o rudej grzywie - ocenił graf

Otto. Nim skończył, największy z samców skoczył do ataku, szarżując prosto na tarcze. Najstarszy morani z łbem czarnego lwa na głowie zadął w bawoli róg, a następnie wskazał dzidą mężczyznę stojącego naprzeciw pędzącego lwa.

— Katchikoi! - zawołał jego imię.

324

Wojownik, którego wybrano, skoczył wysoko, uradowany z zaszczytu, a następnie opuścił szereg i ruszył na spotkanie lwa długimi, kołyszącymi się krokami. Towarzysze zagrzewali go do walki dzikim, narastającym zawrotem. Lew ujrzał Masaja i skoczył ku niemu, rycząc przy każdym kroku. Płowe cielsko mknęło nisko przy ziemi, uderzając na boki zakończonym czarnym pędzlem ogonem. Samiec utkwiał błyszczące ślepia w Katchikoi.

Kiedy się zbliżył, morani zmienił pozycję, zmuszając lwa, by zaatakował z prawej strony, gdyż w prawej ręce wojownik trzymał assegai. Później przyklęknął na jedno kolano, chowając się za tarczą i kierując czubek dzidy w pierś lwa. Zwierzę biegło wprost na ostrą stal. Długi srebrny grot zniknął nagle, niczym za sprawą magii, w płowym cielsku. Katchikoi puścił drzewce, pozwalając, aby metal zagłębił się w piersi zwierzęcia. Nie próbował się przeciwstawić sile rozpędu ogromnego cielska, lecz potoczył się w tył, zwinięty za wysuniętą do przodu tarczą. Chociaż assegai przeszło lwie cielsko, siła i wściekłość zwierzęcia nie osłabły. Drapał tarczę przednimi łapami, próbując chwycić ją żółtymi kłami. Ryczał straszliwie, usiłując przegryźć tarczę, ale wysuszona skóra była twarda jak stal, więc zęby nie miały się czego uchwycić.

Prowadzący polowanie dał krótki sygnał rogiem i czterej towarzysze Katchikoi opuścili szereg. Skoczyli naprzód, by po chwili rozdzielić się na dwie grupy. Lew, który skoncentrował całą uwagę na Katchikoi, nie zauważył, że nadchodzą, dopóki go nie otoczyli. Jak na komendę unieśli assegai, zagłębiając długie ostrza w ciele drapieżnika. Zwierzę wydało głośny jęk, który dotarł do jeźdźców na wzniesieniu, a następnie zsunęło się po tarczy. Lew wyprostował się i zamarł nieruchomo.

Katchikoi skoczył na równe nogi, chwycił drzewce assegai, umieścił stopę na piersi zabitego zwierzęcia i wyciągnął ostrze. Uniósł w górę zakrwawioną stal, prowadząc towarzyszy na swoje miejsce w szeregu wojowników. Pozostali powitali ich uniesieniem dzid i okrzykami podziwu. Pierścień morani po-

325

|

"

nownie ruszył do przodu, zamykając się nieuchronnie wokół trzech pozostałych zwierząt. W miarę zaciskania pierścienia tarcze utworzyły zwarty mur, zachodząc na siebie krawędziami.

Pośrodku miotały się jak oszalałe trzy lwy, szukając drogi ucieczki. Atakowały i cofały się z podwiniętymi ogonami. W końcu jeden zebrał się na odwagę i przypuścił desperacki atak. Morani, który wyszedł mu naprzeciw, trafił celnie, lecz gdy cofnął się z lwem na tarczy, pazury uchwyciły się jej krawędzi i odrzuciły tarczę na bok, odsłaniając głowę i nagi tors wojownika. Kiedy pazury śmiertelnie ranionego lwa odsłoniły jego pierś, zwierzę rozwarło paszczę, w której zniknęła cała głowa morani. Lew zaciskał szczęki tak długo, aż zmiażdżył czaszkę wojownika niczym skorupę orzecha. Towarzysze zabitego przygwoździli zwierzę do ziemi w akcie zemsty.

Chwilę później dwa pozostałe zaatakowały pierwszy szereg wojowników niczym fale oceanu uderzające o skałę. Zginęły od uderzeń dzid, rżąc i prychając, rozpaczliwie i bezskutecznie uderzając łapami, gdy w ich cielska wnikała stal.

Bracia obrzezania podnieśli z trawy ciało zabitego morani i ułożyli je na tarczy. Następnie ponieśli je nad głowami do domu, śpiewając pochwalną pieśń. Kiedy mijali obserwatorów na szczycie wzgórza, graf Otto wzniosł zaciśniętą pięć, oddając salut zabitemu. Morani odpowiedzieli na pozdrowienie, potrząsając assegai i wydając dziki okrzyk.

- Ten człowiek zginął jak mężczyzna - oznajmił uroczyście, tonem, którego Leon wcześniej nie słyszał, i pogryzął się w milczeniu. Wszyscy troje byli głęboko poruszeni wzniosłą tragicznością chwili. - To, co dziś ujrzałem, zmieniło moje wyobrażenia o polowaniu - rzekł po chwili graf. - Czy mogę się uważać za prawdziwego myśliwego, jeśli nie stanąłem do walki z tak wspaniałym zwierzęciem jedynie z dzidą w dłoni? - Odwrócił się w siodle i soirzał na Leona. - - To nie

prośba, Courtney. To polecenie. Masz mi znaleźć dorosłego lwa o czarnej sierści. Zapoluję na niego pieszo. Bez sztucera. Będzie tylko on i ja.

Następną noc spędzili w manyatcie Sondjo. Nie spali do późna, wsłuchując się w żałobne bicie bębnow, zawodzenie kobiet i śpiewy wojowników opłakujących poległego morani.

Ruszyli przed brzaskiem. Kiedy pierwsze promienie słońca oświetliły krawędź ryftu, wschodnia część

nieba cudnie rozbłysła złotem i szkarłatem, oślepiając oczy i ogrzewając ciała tak, że zdjęli kurtki i jechali w samych koszulach. Wschód słońca wydawał się stosownym epilogiem polowania na lwy. Poranne światło radowało zmysły i wprawiało ich w pogodny nastrój, ujawniając piękno każdego elementu otoczenia i zwracając uwagę na drobiazgi, których wcześniej nie dostrzegali - lazurowe podbrzusze zimorodka przelatującego nad ścieżką, szybującego wdzięcznie po niebie orła, małą gazelę, która przykłęka pod brzuchem matki, chciwie ciągnąc wymię, tak że mleko spływało jej po szyi. Ich przejazd ogromnymi oczami śledziła owca.

Fraulein von Wellberg uległa nastrojowi chwili. Wskazała przed siebie szpicrutą i zawołała radośnie:

- Och! Ottonie! Widzisz to małe stworzenie sunące po trawie

jak starzec, który zgubił okulary do czytania? Co to takiego?

Chociaż zwróciła się do von Meerbacha, Leon miał poczucie, że dzieli się tą chwilą wyłącznie z nim, więc odpowiedział:

- To ratel, Fraulein. Chociaż sprawia wrażenie nieszkod

liwego, to jedno z najbardziej zajadłych zwierząt Afryki. Jest

nieustraszony i niesłychanie silny. Jego skóra jest tak twarda,

że opiera się użądleniom pszczoł oraz zębom i pazurom znac

nie większych drapieżników. Nawet lwy omijają go z daleka.

Lepiej się do niego nie zbliżać.

Spojrzała na niego, a następnie zwróciła się do grafa, wybuchając uroczym śmiechem.

- Przypomina ciębie. Będę cię nazywała ratlem.

Ciekawe. Ho którego z nas mówi. zamyślił się Leon. Z tą

kobietą nigdy nic nie wiadomo. Zawsze była tajemnicza.

Zanim zdążył sobie odpowiedzieć, spięła konia i stanęła w strzemionach, wskazując południowy horyzont.

— Spójrzcie na tę górę! - Daleki zarys masywu o płaskim

wierzchołku oświetlały promienie wschodzącego słońca. - To

pewnie ta, nad którą przelatywaliśmy. Góra, na której mieszka

prorokini Masajów.

— Tak, Fraulein, to góra Lonsonyo - przytaknął Leon.

- Ottonie, jesteśmy tak blisko! - zawołała.

Zachichotał.

— Wydaje ci się blisko, ponieważ chcesz się na nią udać.

Dla mnie to cały dzień mozolnej jazdy.

— Obiecałeś, że mnie tam zabierzesz! - odparła rozczarowana.

— Nie teraz. Musimy wrócić do Nairobi. Pozwoliliśmy sobie na zwłokę. Czekają mnie ważne sprawy. Nie wyruszyłem na afrykańskie safari wyłącznie dla przyjemności.

— Zapomniałam - odrzekła z grymasem niezadowolenia. - Cały czas robisz interesy.

— Jak inaczej mógłbym sobie na ciebie pozwolić? - spytał rubasznie von Meerbach. Leon musiał się odwrócić, by ukryć gniew wywołany przykrą uwagą. Ewa zachowywała się tak, jakby jej nie usłyszała lub nie wywarła na niej najmniejszego wrażenia. - Może kupię tutaj posiadłość - ciągnął Otto. -

Na nowej, tak bogatej ziemi na pewno jest wiele okazji do zainwestowania.

— Czy zabierzesz mnie na górę Lonsonyo, gdy załatwisz swoje sprawy? - nie dawała za wygraną.

— Łatwo się nie poddajesz. - Von Meerbach potrząsnął głową, udając, że jest zrozpaczony. - Dobrze, zawrzyjmy umowę. Zabiorę cię do tej wieszmy, kiedy zabiję lwa assegai.

Nastrój Fraulein uległ zmianie. Oczy stały się nieprzeniknione, a wyraz twarzy chłodny i zamknięty. Kiedy Leon już sądził, że zdoła dostrzec coś przez zasłonę, stała się ponownie daleka i zagadkowa.

W południe urządzili krótki postój, by dać koniom odpocząć - w gaju dostojnych drzew mahoniowych nad małą porośniętą trzcinami sadzawką zasilaną niemającym nazwy

328

strumieniem. Kiedy po godzinie zaczęli się szykować do drogi, Ewa zawołała poirytowanym głosem:

- Sprzączka się zablokowała! Gdybym spadła z konia,
pociągnąłby mnie za sobą.

Leon podał lejce Loikotowi i ruszył szybko do konia. Odsunęła się, aby mógł sięgnąć do sprzączki i ją obejrzeć. Bok konia zasłaniał ich przed von Meerbachem. Okazało się, że miała słuszność - sprzączka była zablokowana, choć gdy rankiem wyjeżdżali z manyatty Sonjo, wszystko było w porządku. Osobiście to sprawdził. Kiedy dotknęła jego ręki, serce zabiło mu gwałtownie. Musiała zapiąć sprzączkę, aby przez chwilę mogli być sami. Spojrzał na nią kątem oka. Stała tak blisko, że czuł na policzku jej oddech. Choć tego dnia nie użyła perfum, pachniała tak ciepło i słodko jak karmione mlekiem kocię. Przez chwilę wpatrywał się w otchłań błękitnych oczu, próbując przeniknąć zasłonę i ujrzeć kobietę ukrytą za tą uroczą maską.

— Muszę pojechać na tę górę. Czeka mnie tam coś ważne
go - szepnęła cicho. - Otto nigdy mnie tam nie zabierze.

Ty musisz to zrobić - powiedziała z lekkim wahaniem, by po
chwili zmienić ton. - Proszę, Ratelku. - Serdeczna prośba
i nowy przydomek, który mu nadała, sprawiły, że wstrzymał
oddech.

— Co się dzieje, Courtney?! - zawołał czujnie graf Otto,
jakby coś zwęszył.

— To ta sprzączka. Mogło się to źle skończyć dla Frau-
lein - oznajmił Leon, wyciągając nóż i otwierając zapinkę. -
Teraz będzie w porządku - zapewnił ją. Ponieważ grzbiet
klaczy w dalszym ciągu ich zasłaniał, odważył się pogładzić

dłoń leżącą na siodle. Nie cofnęła jej.

— Wsiadaj! Pora ruszać! - zarządził von Meerbach. -

Zmarnowaliśmy dość czasu. Chcę polecieć dziś do Nairobi.

Trzeba za dnia dotrzeć do lądowiska. - Chociaż jechali w szyb

kim tempie, gdy wdrapywali się po drabinie do kokpitu Motyla,

czerwone słońce kładło się na horyzoncie jak zakrwawione

329

ciało morani spoczywające na tarczy. Mimo że Leon nie znał się na pilotażu, wiedział, iż graf Otto zdecydował się na start w niebezpiecznych warunkach. O tej porze roku zachód słońca był bardzo krótki. Za mniej niż godzinę wszystko pogrąży się w ciemności.

Gdy przelecieli ponad ścianą ryftu, wzbili się na wystarczający pułap, aby dojrzeć ostatnie promienie słońca. Ziemia w dole pogrążyła się już w nieprzeniknionym purpurowym cieniu. Nagle słońce zgąsto jak nieoczekiwanie zdmuchnięta świeczka, nie pozostawiając po sobie żadnej poświaty.

Lecieli w zupełnej ciemności, dopóki Leon nie dostrzegł świateł miasta - przypominały robaczki świętojańskie pośrodku niezmiernego czarnego lądu. Kiedy dolatywali do lotniska, boisko do gry w polo spowijał mrok. Graf Otto kilka razy zwiększył obroty, zataczając krąg nad ziemią, a następnie przymknął przepustnice. Nagle na ziemi zapaliły się reflektory dwóch ciężarówek Meerbach, ustawionych na przeciwległych końcach trawiastego pasa. Gustaw Kilmer usłyszał silniki Motyla i pospieszył z pomocą swojemu ukochanemu panu.

Kierowany światłami reflektorów graf posadził Motyla na trawie tak delikatnie, jak noska siada na jajach.

Leon sądził, że nieoczekiwana wizyta w Obozie Percy'ego i polowanie na bawoły oznaczały, że safari rozpoczęło się na dobre. Był jednak w błędzie, sądząc, że graf będzie chciał od razu wyruszyć.

Następnego ranka po powrocie i nocnym lądowaniu graf Otto usiadł przy stole w Tandali i położył przed sobą tuzin listów. Każdy zawierał odpowiedź na oficjalne pismo z Ministerstwa Spraw Zagranicznych w Berlinie, które Max Rosenthal przekazał dygnitarzom przebywającym na terenie Brytyjskiej Afryki Wschodniej.

Niemiec przetłumaczył fragment każdego listu Ewie, która siedziała naprzeciw niego, skubiąc plasterki owoców. Wyglądało

330

na to, że cała śmietanka towarzyska Nairobi jest podekscytowana tym, że może gościć człowieka tak znakomitego, jak graf Otto von Meerbach. Jak każde miasto położone na rubieży imperium, Nairobi nie potrzebowało szczególnego powodu do zorganizowania bankietu, a przyjazd von Meerbacha był najlepszą okazją od trzech lat, które upłynęły od otwarcia klubu Muthaiga. Każdy list zawierał serdeczne zaproszenie.

Gubernator kolonii wydawał na jego cześć uroczyste przyjęcie w swojej rezydencji. Lord Delamere organizował bal w nowo oddanym do użytku hotelu Norfolk, aby powitać jego i Fraulein von Wellberg na terytorium Brytyjskiej Afryki Wschodniej. Komitet Muthaiga w wyniku głosowania zdecydował przyznać grafowi Ottonowi honorowe członkostwo i nie chcąc pozostawać w tyle, także wydawał oficjalny bal. Również dowódca wojsk angielskich w Afryce Wschodniej - generał Penrod Ballantyne - przesłał zaproszenie na uroczysty bankiet w kantine oficerskiej regimentu. Z kolei lord Charlie Warboys zapraszał von Meerbacha i jego towarzyszkę do swojej liczącej pięć tysięcy akrów posiadłości na krawędzi Wielkiego Rowu Wschodniego na trwające cztery dni przyjęcie połączone z polowaniem na dziki. Club Polo Nairobi przeprowadził głosowanie i nadał grafowi pełne członkostwo oraz poprosił, aby zagrał w ich pierwszej drużynie przeciw Królewskim Strzelcom Afrykańskim w pierwszą sobotę nadchodzącego miesiąca.

Von Meerbach był wniebowzięty z powodu furory, którą wywołało jego przybycie. Słuchając, jak omawia z Ewą każde zaproszenie, Leon zrozumiał, że ich wyjazd z Nairobi odsunie się w bliżej nieokreśloną przyszłość. Niemiec przyjął każde z zaproszeń, w odpowiedzi wydając własne uroczyste obiady w hotelu Norfolk, Muthaiga Country Club i obozie Tandala. Leon dopiero teraz zrozumiał, dlaczego SS Silbervogel przywiózł tyle prowiantu i trunków.

Jednak mistrzowskim popisem gościnności, który poruszył każde serce w kolonii i zyskał von Meerbachowi miano równego gościa, był piknik, który postanowił zorganizować. Zaprosił

331

wszystkich mieszkańców miasta na przyjęcie zorganizowane pod gołym niebem, na boisku do gry w polo. Podczas imprezy goście honorowi, tacy jak gubernator kolonii, Delamere, War-boys i generał brygady Ballantyne zostali zaproszeni do odbycia krótkiego lotu nad miastem w jednym z aeroplanów. Później, dzięki czarowi Ewy, zgodził się zabrać na pokład każdego chłopca i dziewczynkę pomiędzy szóstym a dwunastym rokiem życia. Wszystkie dzieci miały odbyć darmową przejażdżkę samolotem.

Obywatele kolonii oniemieli z zachwytu. Panie postanowiły zamienić piknik w afrykański odpowiednik Ascot. Zwykłe przyjęcie na świeżym powietrzu przeistoczyło się w iście królewskie wydarzenie. Warboys dał trzy młode woły, aby upiec je na rożnie nad gorącymi węglami. Każda członkini Instytutu Kobiet zajęła się wypiekami ciasteczek i placków. Lord Delamere wziął na siebie dostarczenie piwa - wysłał pilny telegram do browaru w Mombasie i otrzymał zapewnienie, że w ciągu kilku dni do miasta nadejdzie duża

dostawa. Kiedy wiadomość o zaproszeniu dotarła w głąb kolonii, osadnicy zaczęli szykować wozy, aby wraz z rodzinami wyruszyć do Nairobi.

Ponieważ w całym mieście były tylko cztery krawcowe, szybko zarezerwowano wszystkie terminy. Fryzjerzy obsługujący klientów pod gołym niebem przy głównej ulicy mieli pełne ręce roboty, przycinając brody i fryzury. W szkołach rozeszła się wieść, że każde dziecko, które odbędzie lot, otrzyma od grafa prezent pamiątkowy w postaci małego modelu Motyla.

Leon pogrążył się w wirze gorączkowych przygotowań. Von Meerbach zdecydował, że potrzebuje drugiego pilota, aby obsłużyć hordy rozwrzeszczanych dzieci ustawiających się w kolejce do odbycia lotu. Gotów był przewieźć starszych gości, lecz nie palił się zbytnio do wożenia dziatwy. Wspomniał Ewie, tak by Leon słyszał, że woli dzieci raczej z powodu ich uroczego ducha niż niezgrabnego, hałaśliwego ciała.

- Courtney, obiecałem, że nauczę cię pilotażu - rzekł pewnego dnia, zupełnie zaskakując Leona. Po raz pierwszy od

332

polowania na bawoły wspomniał o lekcjach latania, o czym wcześniej raczej wygodnie zapomnieć. -
Chodźmy na lotnisko, Courtney! Dziś nauczę cię latać!

!"

Leon usiadł obok von Meerbacha w kokpicie Trzmiela, słuchając uważnie, jak ten opisuje rolę i działanie każdego z przyrządów i instrumentów pokładowych - kurków i przełączników, dźwigni i lewarków. Mimo złożoności maszyneryi Leon zdobył już pewną praktyczną wiedzę na temat urządzeń pokładowych i umiał mechanicznie naśladować czynności Niemca. Graf Otto wysłuchał, jak Leon powtórzył wszystko, czego się nauczył, a następnie skinął głową i zachichotał.

- Ja! Widzę, że obserwowałeś, jak pilotuję maszynę. Bystry
jesteś, Courtney. To dobrze!

Ponieważ nie spodziewał się, że von Meerbach będzie dobrym instruktorem, mile zaskoczyła go drobiazgowość i cierpliwość Niemca. Zaczęli od włączania i wyłączania silnika, a następnie przeszli do nauki kołowania. Jechali bokiem do wiatru, z wiatrem i pod wiatr. Leon zaczął wyczuwać przyrządy i poznawać sposób, w jaki reaguje na nie wielka maszyna jak koń na lejce i ostrogi. Mimo to był zaskoczony, gdy Otto podał mu skórzaną pilotkę.

- Włóż to! - Kiedy podkołowali na koniec pasa, von

Meerbach zawołał, przekrzykując huk silników: - Ustaw nos pod wiatr! - Leon skręcił ster w prawo i zwiększył obroty silników na lewym skrzydle. Wiedział już, jak wykorzystywać silniki do sterowania maszyną. Trzymiel wykonał zgrabny zwrot, kierując nos w stronę wiatru. - Chciałeś latać? To leć! - krzyknął mu do ucha von Meerbach.

Leon spojrział na niego przerażony, nie mogąc uwierzyć własnym uszom. Nie był gotowy. Potrzebował jeszcze trochę czasu.

- Gott in Himmel! - ryknął von Meerbach. - Na co czekasz?! Leć!

333

Courtney wzięła głęboki oddech, a następnie sięgnęła do rzędu przepustnic. Otwierała je stopniowo, wsłuchując się w huk silników i próbując zsynchronizować ich działanie. Jak starsza pani biegnąca do autobusu, Trzymiel zaczął wolno dreptać, a następnie przeszedł do galopu, by zakończyć sprintem. Leon poczuł, że drążek ożył w jego rękach. Czuł lekkość lotu koniuszkami palców, stopami opartymi na orczyku i duszą. Ogarnęło go wrażenie całkowitej władzy i kontroli. Jego serce zaczęło śpiewać do akompaniamentu wyjącego wiatru. Dziób lekko się odwrócił, lecz Leon skorygował jego położenie lekkim dotknięciem drążka. Czuł, jak Trzymiel delikatnie się kołysze. Maszyna pragnęła wzbić się w niebo. Oboje chcieli szybować w przestworzach!

Graf wykonał ledwie dostrzegalny gest, lecz Leon od razu pojął, o co chodzi. Drążek zadrżał, gdy pchnął go lekko do przodu. Z trawiastego pasa uniósł się masywny ogon. Trzymiel zareagował z gracją na zmniejszenie oporu. Leon poczuł, że maszyna przyspiesza, i gdy graf dał kolejny znak, już ciągnął drążek do tyłu. Koła raz lub dwa uderzyły o ziemię i aeroplan wznosił się w powietrze. Leon podniósł nos maszyny, spoglądając na horyzont. Zaczęli się wznosić. Wyrzwał z kokpitu i stwierdził, że ziemia się oddala. Leciał. Tylko on trzymał drążek, tylko jego dłonie spoczywały na sterze. Naprawdę leciał. Ostro wzbił się w niebo.

Von Meerbach kiwnął aprobująco głową, a następnie dał znak, by wyrównał pułap. Leon wykonał lekki zwrot na lewe i prawe skrzydło, manewrując drążkiem i orczykiem Trzymiela. Maszyna posłusznie zareagowała.

Graf z aprobatą skinął głową i podniósł głos, tak by Leon mógł go usłyszeć:

- Niektórzy urodzili się z wiatrem we włosach i błyskiem gwiazd w oczach. Myślę, że możesz być jednym z

nas, Courtney!

Wykonując polecenia von Meerbacha, Leon zatoczył szerokie koło, a następnie ustawił maszynę na linii pasa sta-

334

rtowego. Nie wiedział jeszcze, jak zmniejszyć prędkość, jednocześnie tracąc wysokość. Powinien był podnieść nos i pozwolić, aby samolot wytracił prędkość, opadając pod własnym ciężarem. Zamiast tego obniżył nos i zanurkował. Trzmiel uderzył o ziemię z łoskotem i odbił się od trawiastego pasa. Leon musiał ponownie otworzyć przepustnice i wykonać koło. Graf zaśmiał się tubalnie.

- Musisz się jeszcze sporo nauczyć, Courtney! Spróbuj

ponownie!

Następne podejście było nieco lepsze. Duża powierzchnia skrzydeł powodowała, że Trzmiel mógł osiągnąć niską prędkość. Przeleciał nad siatką otaczającą boisko do gry w polo na wysokości dwudziestu stóp z prędkością czterdziestu węzłów. Leon uniósł nos maszyny i pozwolił, by aeroplan opadł na ziemię. Samolot gwałtownie uderzył o pas, powodując, że pilot szczęknął zębami, lecz tym razem maszyna się nie odbiła.

- Dobrze! Znacznie lepiej! - zaśmiał się graf Otto. -

Jeszcze raz!

Leon szybko zrozumiał, o co chodzi. Każde z trzech kolejnych lądowań wychodziło mu lepiej. Za czwartym razem posadził maszynę na trzech kołach, które dotknęły ziemi w tej samej chwili.

- Znakomicie! - krzyknął von Meerbach. - Podkołuj

maszynę do hangaru!

Sukces uderzył Leonowi do głowy. Pierwszy dzień lekcji zakończył się triumfem. Wiedział, że w ciągu kolejnych zrobi dalsze postępy.

Kiedy Trzmiel stanął przed hangarem, wyciągnął rękę, aby zamknąć dopływ paliwa i wyłączyć silniki, lecz graf Otto powiedział:

— Ja wysiadam, ty zostajesz!

— Nie rozumiem! - odparł zdumiony. - Co mam zrobić?

— Obiecałem, że nauczę cię latać, i dotrzymałem słowa.

Polecisz sam albo się zabijesz. Jeśli o mnie chodzi, to bez

różnicy, Courtney! - Graf Otto von Meerbach zszedł na ziemię

335

i zniknął, pozostawiając Leona, by po wspaniałej trzygodzinnej lekcji odbył pierwszy samotny lot.

Musiał użyć całej siły woli, aby zmusić umysł i ciało do otworzenia przepustnicy. W głowie mu wirowało. Zapomniał wszystko, czego się przed chwilą nauczył. Ruszył po pasie, mając wiatr od ogona. Trzmiel kołował bez końca, nabierając prędkości tak wolno, że oderwał się od ziemi w ostatniej chwili; jeszcze kilka sekund i uderzyłby w siatkę. Minął ją zaledwie o trzy stopy, lecz zdołał wzbić się w powietrze. Spojrzał przez ramię. Graf stał przed hangarem, opierając pięści na biodrach. Niemiec odrzucił głowę do tyłu i śmiał się tak gwałtownie, że jego ciałem wstrząsały konwulsje.

- Wspaniałe poczucie humoru, von Meerbach. Celowo

ranisz kilka bawołów, a później wysyłasz nowicjusza, aby się

zabił. To rzeczywiście powód do śmiechu! - Na szczęście po

chwili Leonowi złość przeszła. Leciał sam.

Niebo było jasne i czyste, jeśli nie liczyć pojedynczej srebrnej chmury. Zaczął zwiększać pułap, wzbijając się ku niej. Wydawała się stała jak ziemia. Przeleciał w niewielkiej odległości ponad nią. Następnie wykonał skręt i zawrócił, tym razem dotykając srebrnego wierzchołka końcami kół, jakby miał zamiar wylądować na obłoku.

- Bawię się z chmurami! - wykrzyknął. - Czy właśnie

tak spędzają czas bogowie i aniołowie?

Wleciał w obłok i przez kilka sekund nie widział niczego prócz srebrzystej mgiełki. Po chwili wyleciał na słońce, śmiejąc się z radości. Zanurkował. Wielka brązowa ziemia zaczęła pędzić na jego spotkanie. Wyrównał maszynę, przelatując nad wierzchołkami drzew. Otwarty się przed nim szerokie połacie równiny Athi. Zszedł jeszcze niżej. Leciał nad bezdrzewną równiną na wysokości trzydziestu stóp z prędkością stu mil na godzinę. Stada dzikich zwierząt rozbiegały się w popłochu. Był tak nisko, że musiał unieść lewe skrzydło, aby uniknąć zderzenia z wyciągniętą szyją uciekającej żyrafy.

Ponownie zwiększył pułap i skierował maszynę w stronę

336

wzgórz Ngong. Z odległości dwóch mil dostrzegł kryte strzechą chaty Tandali. Przeleciał tak nisko, że mógł rozpoznać twarze pracowników, którzy spoglądali na niego ze zdumieniem. Rozpoznał Manyoro i

Loikota. Wychylił się z kokpiru i pomachał im. Zaczęli tańczyć i podskakiwać, dziko wymachując rękami z radości.

Szukał w tłumie białej twarzy - nie pierwszej lepszej, lecz szczególnej. Poczł ukłucie rozczarowania, gdy jej nie zobaczył. Zawrócił w kierunku lądowiska. Dostrzegł konia Ewy, gdy przelatywał nad wierzchołkami wzgórz Ngong. Na linii horyzontu na wprost niego stała siwa klacz. Później zauważył kobietę. Miała na sobie jasnożółtą bluzkę i słomkowy kapelusz z szerokim rondem. Podniosła głowę na widok nadlatującego samolotu, lecz nie okazała większego zainteresowania.

Pewnie nie wie, że to ja. Myśli, że maszynę pilotuje Otto. Zdjął okulary i wychylił się z kokpiru. Był tak blisko, że dostrzegł chwilę, w której go rozpoznała. Odrzuciła głowę do tyłu i roześmiała się, odsłaniając lśniąco zęby. Zerwała kapelusz i pomachała, kiedy przeleciał z hukiem nad jej głową tak blisko, że klacz wierzněła i poruszyła głową. Pomyślał, że dostrzegł nawet kolor oczu Ewy.

Kiedy wzniósł się wyżej, odwrócił się w fotelu, by na nią spojrzeć. Nadal machała ku niemu. Żałował, że nie siedzi w kok-picie. Pragnął wyciągnąć rękę i jej dotknąć, a następnie przypomniał sobie o notatniku sygnałowym w schowku obok fotela. Graf Otto użył jednej z kartek do wyjaśnienia mu czegoś. Do notatnika był przytwierdzony ołówek na szpagacie. Leon umieścił bloczek między kolanami i szybko skreślił kilka słów, trzymając ster lewą ręką. "Poleć ze mną na górę Lonsonyo, Ratel". Wydarł kartkę i złożył w mały kwadrat. W schowku, w którym znajdował się notatnik, dostrzegł czerwone wstęgi sygnałowe długości sześciu stóp. Wyjął jedną z nich. Koniec taśmy był obciążony ołowianą kulką wielkości pocisku do muszkietu. Na drugim znajdowała się mała zapinana kieszonka. Wsunął do środka złożoną karteczkę i zapiął guzik, a następnie zawrócił Trzmiela.

337

Nadal była na wzgórzu, lecz tym razem dosiadła siwej klaczy. Ujrzała nadlatującego Trzmiela i stanęła w strzemiionach. Pospiesznie ocenił wysokość i prędkość maszyny, a następnie wyrzucił z kokpitu wstęgę sygnałową. Rozwinęła się w strumieniu zaśmigłowym i pomknęła w dół.

Ewa zawróciła klacz i popędziła w stronę opadającej szkarłatnej taśmy. Zatoczył koło i ujrzał, jak Niemka zsiada z konia. Znalazła jego wiadomość, otworzyła kopertę, wyciągnęła liścik, przeczytała i pomachała rękami nad głową, kiwając energicznie głową. Białe zęby błysnęły w uśmiechu.

Piknik zorganizowany przez grafa von Meerbacha stopniowo urósł do takiej rangi, że przyćmił wszystkie wydarzenia w całej historii kolonii, między innymi przyjazd pierwszego pociągu z wybrzeża, a nawet wizytę byłego prezydenta Stanów Zjednoczonych, Theodore'a Roosevelta.

Jak zauważył jeden z bywalców klubu Muthaiga siedzący przy długim barze, pułkownik Teddy nie

proponował gościom darmowej przejażdżki aeroplanem.

Wyznaczonego dnia boisko polo otoczyło małe miasteczko namiotów. W większości mieszkały rodziny osadników, którzy przybyli z głębi kraju, w innych podawano piwo i lemoniadę dostarczone przez lorda Delamere'a oraz czekoladowe ciasteczka i placki z jabłkami upieczone przez członkinie Instytutu Kobiet.

Szef kuchni hotelu Norfolk osobiście doglądał pieczenia wołów na rożnach. Orkiestra KSA stroiła instrumenty, przygotowując się na przybycie gubernatora. Grupki małych chłopców i bezpańskich psów wałęsały się wszędzie, szukając smakowitych kąsków. Zakładano się, że piwa nie wystarczy do końca dnia. Mechanicy Gustawa Kilmera mieli pełne ręce roboty, regulując silniki samolotów i napełniając baki. Rozgorączkowane dzieci ustawiały się w kolejce, czekając na obiecany lot i piszcząc z podniecenia za każdym razem, gdy ryknęły silniki.

338

Do tego czasu Leon wylatał już dwanaście godzin za sterami Trzmiela, więc graf Otto zapewnił podenerwowanych rodziców, że ich dziatwa będzie bezpieczna pod opieką tak wytrawnego pilota. Ewa wzięła na siebie obowiązek zapanowania nad dziatwą, biorąc do pomocy ich matki i członków komitetu Klubu Polo. Wszyscy znali trochę niemiecki lub francuski i rozumieli się w wystarczającym stopniu. Tego dnia, zawsze gdy Leon na nią spojrział, trzymała na rękach małe dziecko, a pół tuzina berbeci uczepiło się jej rąk i sukienki.

Ujrzał nowe oblicze pięknej i tajemniczej towarzyszkii grafa. Przebudzony instynkt macierzyński spowodował, że jej twarz promieniała, a oczy lśniły. Śmiała się głośno i niepowstrzymanie, pomagając maluchom wsiąść do kokpitu Trzmiela, gdzie Leon i Hennie du Rand przypinali je pasami do foteli. Kiedy kabina była pełna małych ludzi, Leon uruchamiał silniki, a dzieci zaczynały piszczeć z radości. Stojąca z boku orkiestra KSA wygrywała rytmicznego wojskowego marsza. Trzmiel kołował na koniec pasa, a jego śladem podążał pilotowany przez grafa Motyl z bardziej dystyngowanymi i znakomitymi pasażerami. Obie maszyny wzbijały się w powietrze w zwartej formacji i zataczały krąg nad miastem, aby powrócić na lądowisko. Po wylądowaniu Ewa stawała przy drabinie Trzmiela, pomagając dzieciom zejść na ziemię, a Hennie i Max Rosenthal wręczali każdemu mały model samolotu, a następnie brali na pokład kolejną grupę.

Leon był oczarowany nowym obliczem Ewy. Uchyliła zasłony, ukazując serdeczność i kobiece ciepło. Dzieci to wyczuły i lgnęły do niej jak pszczoły do miodu. Czasami odnosił wrażenie, że sama stała się dzieckiem, idealnie szczęśliwa i naturalna. W miarę upływu dnia, gdy okazało się, że kolejka dzieci nie ulega skróceniu, większość jej pomocniczek słabła z gorąca, lecz ona była niezmordowana. Patrzył, jak się pochyla, by umyć małą dziewczynkę cierpiącą na chorobę powietrzną. Spoczone włosy zasłaniały Ewie twarz tak, że musiała zdmuchiwać je z oczu. Choć miała zakurzone buty, a na spódnicy

339

widać było ślady brudnych palców, jej twarz błyszczała od potu i szczęścia.

Rozejrzał się wokół. Graf Otto wystartował Motylem w kolejny rejs nad miastem z generałem brygady Penrodem Ballan-tyne'em i dyrektorem banku Barclays. Gustaw Kilmer był w hangarze. Odwrócił się do nich plecami i wykręcał korek z kolejnej beczki paliwa. Przez chwilę nikt na nich nie patrzył.

- Ewo! - zawołał.

Oddała dzieci czekającym matkom i stanęła obok samolotu, udając, że zajmuje się kolejną grupką oczekujących.

— Widzę, że lubisz niebezpieczeństwo, Ratelku - powie
działa, nie patrząc mu w oczy. - Nie powinniśmy rozmawiać
ze sobą publicznie.

— Chciałem skorzystać z okazji, że jesteś sama.

— Co mi chciałeś powiedzieć? - spytała. Jej twarz złagod
niała, lecz szybko odwróciła wzrok.

— Widzę, że świetnie sobie radzisz z dziećmi - powie
dział. - Nie spodziewałem się tego po takiej damie.

Spojrzała na niego z uśmiechem. Jej oczy były jasne i szczerze.

— Nie znasz mnie dobrze, jeśli sądzisz, że jestem wielką
damą.

— Myślę, że wiesz, co do ciebie czuję.

— Tak, Ratelku. Wiem. Nie potrafisz zachować niczego
w sekrecie. - Zaśmiała się.

— Czy nie ma sposobu, abyśmy mogli być sami? Mam ci
tyle do powiedzenia.

— Gustaw nas obserwuje. Już rozmawiamy za długo. Mu
szą iść.

Po południu kolejka dzieci niemal się skończyła, podobnie jak siły Leona. Przestał już liczyć starty i lądowania. Choć nie były idealne, nie wyrządziły widocznej szkody Trzmielowi, nie słyszał też skarg z ust małych pasażerów. Spojrzał na kolejkę znużonym wzrokiem.

Nagle coś zwróciło jego uwagę. Jakiś mężczyzna machał do niego zza ogrodzenia. Po krótkiej chwili rozpoznał twarz.

340

Łogłoby mu to zająć trochę więcej czasu, gdyby nie kilka małych ziewczynek w jasnych strojach do safari, które stały za nim.

- A niech mnie! - ożywił się. - Toż to wielmożny
ioolam Vilab-dzi i jego cherubinki! -Zauważył, że najmniej
sza dziewczynka płacze, a pozostałe wyglądają tak, jakby za
chwile serce miało im pęknąć. Stanął w kokpicie i przywołał je
jo siebie skinieniem ręki. Ruszyły do bramy w zwartej grupie,
lecz członek Klubu Polo, pełniący funkcję porządkowego, dbał

"to, by na miejsce pikniku nie przedostał się żaden niepożądany element. Był to duży, muskularny
mężczyzna z brzuchem wzdętym od piwa, o zaczerwienionej, spieczonej słońcem twa-Leon rozpoznał
nowego osadnika, który przyjechał ze starego kraju, aby objąć w posiadanie darmowe cztery tysiące
rów ziemi. Najwyraźniej skorzystał również z darmowego jiwa lorda Delamere'a. Zastąpił drogę panu
Vilab-dzi, potrząsając głową. Rozpacz na twarzach dzieci była poruszająca.

Leon wyskoczył z kokpitu i ruszył ku bramie, lecz było za jóżno. Ewa go wyprzedziła. Dopadła
porządkowego niczym jrier szczura. Mężczyzna wycofał się w pośpiechu w obliczu ;j ataku. Fraulein von
Wellberg ujęła za ręce dwie dziewczynki jana Vilab-dzi, a Leon podbiegł po następne.

— Kiedy będziemy mogli spotkać się sami? - spytał ponad
ich głowami.

— Proszę, bądź cierpliwy, Ratelku. Koniec rozmów na dziś.

Gustaw znowu na nas patrzy. - Wepchnęła ostatnie dziecko
do kokpitu i podeszła do zaniepokojonego pana Vilab-dzi, który
stał przy bramie. Kiedy Leon wylądował po odbyciu lotu, nadał

prowadziła z nim ożywioną rozmowę.

Fascynuje ją każdy mieszkaniec kolonii, a ja jestem na samym końcu kolejki, pomyślał, zaskoczony siłą swojej zazdrości.

Wieczór dla dam zorganizowany w kantine oficerskiej regimentu KSA okazał się kolejnym sukcesem wszystkich z wyjątkiem Leona. Stał przy barze, obserwując, jak Penrod

341

tańczy walca z Ewą. Wuj prezentował się znakomicie w mundurze galowym, a na dodatek był świetnym tancerzem. Ewa poruszała się lekko i z gracją, lśniące czarne włosy opadały na nagie ramiona. Włożyła delikatną fioletową suknię, która podkreślała barwę jej oczu i aksamitną skórę decollete. Jej piersi były pełne i kształtne, ramiona długie i smukłe. Skóra błyszczała, a policzki lekko płonęły, gdy śmiała się z jakiegoś żartu Penroda. Leon podsłuchiwał fragment rozmowy, którą prowadzili, wirując po parkiecie. Mówili po francusku, a Penrod zachowywał się w sposób niezwykle czarujący i szarmancki.

Stary drań, pomyślał z goryczą Leon. Ma tyle lat, że mógłby być jej ojcem, lecz z nim nigdy nic nie wiadomo. Kiedy spojrzała na generała, dostrzegł iskierkę w jej oczach i doskonałą biel zębów. Nie była lepsza od Penroda. Czy musi się uśmiechać do każdego mężczyzny, który stanie jej na drodze?

Bankiet ciągnął się w nieskończoność. Dowcipy dawnych kolegów były oklepane, rozmowa nużyła, a muzyka wydawała się głośnie i pozbawiona melodii. Nawet whisky miała cierpki smak. Gorąca noc powodowała, że w sali panowała duchota. Poczul się jak w klatce. Dziewczyna podpierająca ścianę, z którą zatańczył z poczucia obowiązku, miała przykry oddech, więc zwrócił ją tęgiej, patrzącej na niego z nadzieją matce, by wyjść na zewnątrz i ukryć się w mroku nocy.

Powietrze przenikała słodka woń, niebo było czyste, na niebie lśniły gwiazdy. Spozrzegł skorpiona z uniesionym kolcem, gotowego do ataku. Wsunął dłoń do kieszeni i zaczął snuć się posępnie po placu do musztry. Wykonawszy pełne koło, zawrócił do kantyny. W oddali dostrzegł małą grupkę gości, stojących na werandzie i palących cygara. Rozpoznał tubalny głos, któremu niemal natychmiast zawtórował drugi, boleśnie drażniący nerwy. To Żaba Snell i ten wazeliniarz, Eddy Roberts, pomyślał. Wystarczyło, bym lepiej się poczuł, a spotykam ludzi, których wolałbym nie oglądać.

Na szczęście sala balowa miała tylne wejście, więc przeszedł cicho wzdłuż ściany budynku pokrytej gęsto milinem.

342

Za rogiem dostrzegł płomień zapałki i parę ukrytą za zasłoną z liści i kwiatów. Kobieta stała odwrócona plecami. Zapaliła zapałkę i podała ogień mężczyźnie, który przysunął cygaro. W świetle zapałki rozpoznał Penroda. Żadne z nich nie wiedziało o jego obecności.

- Dziękuję, moja droga - rzekł Penrod po angielsku. W tej samej chwili dostrzegł Leona i wyraz jego twarzy uległ zmianie. - To Leon! - wykrzyknął.

Dziwne powitanie, pomyślał Leon. Słowa wuja brzmiały raczej jak ostrzeżenie niż przyjacielskie powitanie. Kobieta odwróciła się, nie wypuszczając zapalki. Chwilę później przydeptała ją butem, lecz Leon dostrzegł jej twarz. Zachowywali się jak para konspiratorów.

— Monsieur Courtney, wystraszył mnie pan. Nie usłyszałam, jak pan nadchodzi - powiedziała po francusku. Czemu to zrobiła, przecież przed chwilą Penrod zwracał się do niej po angielsku?

— Wybaczcie, nie chciałem przeszkadzać.

— Nie przeszkadzasz - zaprzeczył Penrod. - W sali nie da się oddychać. Te małe wiatraki są całkiem bezużyteczne.

Fraulein von Wellberg źle się poczuła, musieliśmy zaczerpnąć świeżego powietrza. Przyznam, że miałem ochotę zapalić. -

Po tych słowach zwrócił się do Ewy po francusku: - Powie działem Leonowi, że zrobiło się pani słabo od gorąca i stęchłego powietrza.

— Już mi lepiej - odpowiedziała w tym samym języku.

Chociaż Leon nie widział twarzy Niemki, jej głos stał się ponownie opanowany.

— Rozmawialiśmy o naszej orkiestrze i muzycznym repertuarze - powiedział Penrod. - Fraulein von Wellberg uważa, że wykonują walce Straussa niczym wojenny taniec plemienny.

Woli, jak grają polkę.

Mam wrażenie, że zbyt wiele mówisz, pomyślał z nutką goryczy. Wyczuł, że między tymi dwójkiem działo się coś dziwnego. Przez chwilę prowadził z nimi błahą rozmowę, a następnie uklonił się Ewie i powiedział:

— Wybacz, Fraulein, lecz nie mam tyle siły co wy. Muszę wracać do domu i zdrzemnąć się nieco. Czy po bankiecie wróci pani z grafem do Tandali, czy spędzi noc w hotelu Norfolk?

— Słyszałam, że Gustaw ma nas odwiedzić do obozu samo chodem myśliwskim - odparła.

— Znakomicie. Wydam polecenie, aby wszystko było przygotowane na wasz powrót. Pewnie jutro graf będzie spał do późna. Podamy śniadanie, gdy państwo poproszą. - Skłonił się Penrodowi. - Chociaż obowiązek wzywa, ciało jest słabe, wuju. Zatańczę jeszcze tylko raz lub dwa i zniknę w obłoku kurzu.

— Wspomnę o tobie po ojcowsku podczas odprawy, chłopcze. Dzielnie stawałeś w obronie honoru regimentu. Miło było patrzeć, jak tańczyłeś polkę z córką Charliego Warboysa.

Doskonała równowaga, nie brakowało niczego.

— Jesteś niezwykle uprzejmy, wuju. - Skinął głową i odszedł, lecz gdy dotarł do drzwi klubu oficerskiego, spojrzął za siebie. Chociaż w ciemności widać było jedynie zarysy postaci, w ich zachowaniu dawało się wyczuć napięcie, które upewniło go, że nie rozmawiali o interpretacji polki przez zespół wojskowy, lecz o czymś znacznie ważniejszym.

Ciekawe, o czym tak debatujecie. Kim jesteś, Ewo von Wellberg? Im bardziej cię poznaję, tym bardziej ulotna się stajesz. Im więcej o tobie wiem, w tym większej pozostaję niewiedzy.

Przebudził go warkot myśliwskiego meerbacha i ryk Ottona, który śpiewał z całych sił niemiecką pieśń

Moje serce zostało w Heidelbergu. Leon usiadł na łóżku i zapalił zapałkę, aby sprawdzić godzinę na srebrnym zegarku Percy'ego, który leżał na stoliku. Było sześć minut po czwartej. Samochód stanął. Usłyszał trzask drzwiczek, tubalny głos grafa, życzącego dobrej nocy Gustawowi, i śmiech Ewy. Poczł ukłucie zazdrości i mruknął do siebie:

344

- Sądząc po głosie, jesteś kompletnie zalany. Powinieneś zachować większą ostrożność, pijąc z Delamere'em. Mam nadzieję, że rano będziesz miał tęgiego kaca. Zasłużyłeś sobie na to, draniu.

Czekało go kolejne rozczarowanie. Następnego ranka, tuż po ósmej, von Meerbach stanął w wejściu do kantyny radosny i wypoczęty. Białka jego oczu był czyste i jasne jak u niemowlęcia. Zawołał na Izmaela, by przyniósł mu kawy, a gdy ta znalazła się na stole, wlał do kubka kieliszek koniaku.

— Alkohol sprawia, że czuję wielki głód. Temu zwariowa nemu Anglikowi, Delamere'owi, nad ranem skończyła się lista ludzi, za których można wznosić toasty, więc wypiliśmy zdrowie jego ulubionego konia i psa myśliwskiego. Facet jest stuknięty, to pewne. Powinni go zamknąć dla jego własnego dobra i dobra społeczeństwa.

— O ile pamiętam, to nie lord Delamere stanął na głowie pośrodku parkietu i wypił w tej pozycji kieliszek koniaku.

— Przyszuję, że to ja - przytaknął graf Otto. - Lecz to Delamere rzucił wyzwanie. Nie miałem wyboru. Czy wiesz, że gdy był młodszy, został pokąsany przez lwa? Dlatego kuleje.

— Wszyscy w kolonii znają tę historię.

— Próbował zabić go nożem. - Von Meerbach potrząsnął

ponuro głową. - Wariat! Naprawdę powinni go zamknąć.

— Czy równym szaleństwem nie jest wyruszenie na lwa z assegail

— Nein! Absolutnie nie! Nóż to idiotyczna broń, lecz dzida chyba będzie dobra! - Von Meerbach wypił kawę i grzmotnął kubkiem w stół. - Dziękuję, że mi przypomniałeś, Courtney.

Mam dość tych dzieciaków, jak ich nazywa Delamere. Wypiłem toast za zdrowie wszystkich i zatańczyłem z każdą grubą angielską matroną. Na dodatek przewiozłem ich bachory moimi pięknymi maszynami. Krótko mówiąc, wypełniłem wszystkie towarzyskie obowiązki wobec gubernatora i obywateli tej kolonii. Teraz chcę wyruszyć w dżicę na prawdziwe łowy.

345

— Rad to słyszę. Podobnie jak pan mam na jakiś czas dość Nairobi.

— Znakomicie! Możesz wyruszyć od razu. Wezwij tych swoich wysokich dzikusów i poleć Trzmielem na tereny myśliwskie. Powiadom mieszkańców wszystkich wiosek na obszarze ryftu, że szukam najpotężniejszego lwa, jaki kiedykolwiek żył na ziemiach Masajów. W nagrodę dam dwadzieścia krów naczelnikowi wioski, której mieszkańcy go dla mnie wytropią. Tylko pamiętaj, Courtney, musi być potężny i mieć grzywę czarną jak ogar z piekła rodem.

— Wyruszę natychmiast. Mógłbym tylko dopić filiżankę

kawy?

— Kolejny angielski dowcip. Ja, całkiem zabawny. Zaraz usłyszysz dobry żart niemiecki. Znajdź mi tego lwa, w przeciwnym razie dam ci takiego kopa, że będziesz utykał gorzej do Delamere'a. Śmieszne, co?

Kiedy godzinę później Ewa weszła do namiotu kantyny, graf Otto siedział samotnie przy długim stole, przeglądając dokumenty. Studiował właśnie pismo z czarnym orłem, godłem niemieckiego Ministerstwa Wojny, notując coś w kajecie. Odłożył list i spojrzał na nią, gdy stanęła w wejściu do namiotu, oświetlona od tyłu słońcem. Miała na sobie sandały i jasną letnią suknię w kwiatowe wzory, która sprawiała, że wyglądała ujmująco niczym uczennica. Niedawno umyte i rozczesane włosy spadały na plecy jak czarne sobole. Nie pomalowała ust. Stanęła za nim, kładąc dłoń na jego ramieniu. Ujął jej rękę, otworzył palce i ucałował wewnątrz dłoni.

— Jak możesz być taka piękna? - spytał. - Nie czujesz się winna, że w porównaniu z tobą każda kobieta wygląda szaro i ponuro?

— Nie czujesz się winny, że tak łatwo i przekonująco kłamiesz? - Pocałowała go w usta i zachichotała, gdy wyciągnął rękę, by dotknąć jej piersi. - Musisz mnie najpierw nakarmić, kochanie.

346

Izmael czekał na jej przybycie. Miał na sobie najlepszy czerwony fez z czarnym chwastem. Jego kanza, starannie wyprana i odprasowana, lśniła jak świeży śnieg. Uśmiechnął się, odsłaniając błyszczące białe zęby.

— Dzień dobry, memsahib. Niech twój dzień wypełni woń róż i słodycz takich owoców, jak te - rzekł po francusku, kładąc na stole półmisek z pokrojonymi owocami mango,

bananami i papajami.

— Merci beaucoup, Izmaelu. Gdzie nauczyłeś się tak dobrze mówić po francusku?

— Przez wiele lat pracowałem u konsula w Mombasie, mem sahib - odrzekł rozpromieniony. Fraulein von Wellberg oczarowała swoim urokiem wszystkich pracowników obozu Tandala.

— Zmiataj, ty przewrotny poganinie - przerwał mu graf. - Kawa mi ostygła, przynieś nowy dzbanek. - Kiedy Izmael wyszedł z namiotu, zmienił ton na chłodny i rzeczowy. - Musiałem się pozbyć Courtneya. Wysłałem go na tereny łowieckie, aby znalazł mi lwa, o którym rozmawialiśmy. Będzie daleko stąd, gdy trzeba będzie dopilnować najważniejszych spraw.

Chociaż jest czarujący i bezpośredni, nie ufam mu. Jest zbyt bystry, jak na mój gust. Wczoraj wieczorem wystąpił w mundurze. Pomyślałem, że musi być rezerwistą armii brytyjskiej.

Dowiedziałem się od Delamere'a, że generał brygady Ballantyne to jego wuj. Jest silnie związany z angielskim wojskiem. W przyszłości musimy być ostrożniejsi w jego obecności.

— Oczywiście, Ottonie. - Usiadła obok, patrząc na półmisek z owocami.

— Wczoraj przyszedł telegram z Berlina. Siedemnastego mam się spotkać z von Lettowem - ciągnął. - Czekam na długi lot do Arushy, lecz nie mogę sobie pozwolić na dłuższą nieobecność. Zbyt wielu ludzi nas obserwuje. Spakuj kilka ładnych ciuchów, Ewo. Chcę się tobą pochwalić.

— Naprawdę będę ci potrzebna? To męskie sprawy, zanudzę się. Wolałabym zostać w obozie i malować. - Wzięła do ust kawałek dojrzałego mango.

347

W ciągu ich długiej znajomości nauczyła się wyrażać brak zainteresowania jego sprawami. Przynosiło to lepsze rezultaty niż próby wyciągnięcia z niego informacji. I tym razem cierpliwość opłaciła się z nawiązką. Po raz pierwszy od wyjazdu z Wieskirche wspomniał o von Lettowie Vorbecku. Wiedziała, że spotkanie z nim było prawdziwym celem ich afrykańskiej ekspedycji.

— Tak, Liebling. Przecież wiesz, że zawsze cię potrzebuję.

— Będzie tam ktoś oprócz von Lettowa? Jakież kobiety?

— Wątpię. Von Lettow jest kawalerem. Być może w spotkaniu weźmie udział gubernator Schnee. On i von Lettow nie przepadają za sobą, tak mi się przynajmniej zdaje. Nie będzie to spotkanie towarzyskie. Najważniejszym uczestnikiem rozmów będzie Bur, Koos de la Rey. To od niego wszystko zależy.

— Może jestem głupią dziewczyną, jak często powtarzasz, lecz po co tyle zachodu? Czy nie byłoby łatwiej zaprosić tego burskiego generała do Berlina? Albo mogliśmy popłynąć do Kapsztadu na pokładzie wygodnego liniowca, takiego jak SS Admirał.

— W Afryce Południowej de la Rey jest zbyt dobrze znany. To jeden z przywódców Burów, którzy walczyli zjadł z Brytyjczykami. Od czasu zawieszenia broni nie kryje swojej niechęci do Anglii. Takie spotkanie postawiłoby Anglików w stan najwyższego pogotowia. Trzeba było zorganizować spotkanie poza granicami jego kraju. Dziesięć dni temu został w największym

sekretnie zabrany przez jeden z naszych okrętów podwodnych u wybrzeży Afryki Południowej i przewieziony do Dar es-Salaam. Po rozmowach wróci tą samą drogą.

— W tym czasie urządzicie wielkie safari w sąsiednim kraju.

Nikt nie będzie podejrzewał, że się spotkaliście. Bardzo sprytnie posunięcie.

— Cieszę się, że to aprobujesz. - Uśmiechnął się sarkastycznie.

— Musi to być naprawdę ważna sprawa, jeśli rezygnujesz z polowania.

348

- Bo i jest. - Skinął poważnie głową. - Uwierz mi. Instynkt podpowiedział jej, że zapuściła się zbyt daleko.

— Bardzo ważna i nudna - mruknęła, głęboko wzdychając. - Czy jeśli z tobą pojedę, kupisz mi ładny prezent, gdy wrócimy do Niemiec? - Zrobiła nadąsaną miną, trzepocząc długimi czarnymi rzęsami i spoglądając zalotnie. Pasowało to lepiej do postaci, którą odgrywała, aby go zadowolić. Oczekiwał od niej płytkich reakcji tego rodzaju. Wspólnie spędzony czas nauczył ją, jak radzić sobie w każdej sytuacji i najlepiej spełniać jego oczekiwania. Dobrze wiedziała, po co jest mu potrzebna. Nie chciał towarzyski, która dostarczałaby mu

intelektualnej podniety - mógł ją otrzymać od wielu innych. Pragnął, by odgrywała rolę ozdoby, nieskomplikowanej, uległej piękności, która mogłaby wzbudzić, a następnie zaspokoić jego zwierzęce namiętności. Pragnął, żeby była jego własnością, dostarczała mu przyjemności, a jednocześnie budziła zazdrość i podziw innych mężczyzn i kobiet. Tak piękna kobieta podkreślałaby jego władzę i pozycję społeczną. Kiedy tylko mu się znudzi, pozbędzie się jej jak pary uwierających butów. Zdawała sobie sprawę, że wiele innych pięknych kobiet byłoby szczęśliwych, mogąc zająć jej miejsce. Tylko wielkie umiejętności kurtyzany sprawiły, że trzymał ją tak długo u swojego boku.

— Ofiaruję ci najpiękniejszy prezent, jaki będzie można zdobyć w Berlinie - przystał ochoczo.

— Czy mam zabrać suknię Jeana Patou, którą mi kupiłeś w Paryżu? Myślisz, że spodoba się pułkownikowi von Lettow Vorbeckowi?

— Gdyby ujrzał cię w tej sukni, każde cywilizowane społeczeństwo musiałooby go umieścić za kratkami - zachichotał graf Otto, a następnie podniósł głos i zawołał: - Izmaelu! - Kiedy kucharz stanął w wejściu do namiotu, polecił: - Sprowadź mi tu bwana Henniego! Chcę go natychmiast widzieć.

Kilka minut później Hennie du Rand stanął w kantynie.

Wyraz malujący się na jego brązowej, ogorzałej twarzy zdradzał zaniepokojenie. W brudnych od smaru palcach miał kapelusz przyciśnięty do piersi.

Wejdz, Hennie. Nie stój w przejściu Graf Otto powitał go z przyjacielskim uśmiechem, a następnie spojrzał na Ewę. Wybacz, Liehling. Wiesz, że Hennie nie zna niemieckiego. Redę musiał z nim rozmawiać po angielsku.

Nie przejmuj się mną, kochanie. Zabrałam atlas ptaków i okulary. Poczytam sobie. Wstała, by go pocałować, i wyszła na zewnątrz, gdzie miała dobry widok na poidelko i karmnik dla ptaków, które Leon kazał zbudować dla jej rozrywki. Wokół karmnika zebrała się gromada ptaków: amarantki, astryluy, wikłacze i dzikie kanarki.

Chociaż znajdowali się w zasięgu jej słuchu, ignorowała rozmowę mężczyzny, koncentrując uwagę na oddaniu kształtów i barw przypominających klejnoty ptaków.

Graf Otto niemal natychmiast zapomniał o obecności Ewy, obdarzając Henniego pełną uwagą.

Czy dobrze znasz Aruszę i jej okolicę. Hennie?

Pracowałem tam dwa lata w firmie handlującej drewnem. Prowadzili wyrąb lasu na niskich zboczach góry Mclu. Świetnie znam ten rejon.

Jest tam fort wojskowy nad rzeką Usa, ja?

Ja, to charakterystyczny punkt. Miejscowi nazywają go Lukrowanym Zamkiem. Ma białe mury z wieżyczkami i parapetami. Wygląda jak zamek z bajki dla dzieci.

Polecimy tam. Dostrzeżesz go z powietrza?

Nigdy me latałem aeroplanem, lecz z odległości pięćdziesięciu mil zauważy go nawet ślepiec.

Świetnie Wyruszmy jutro o świcie Przygotuj się.

Trudno mi uwierzyć, że polecę jedną z pańskich ma-szyn odparł z uśmiechem. Mogę pomoc w obsłudze i napełnieniu baków.

350

- Nie myśl o tym, Gustaw zatroszczy się o szczegóły. Nie po to cię zabieram. Chcę, abyś mnie przedstawił staremu przyjacielowi.

Motyl wystartował przed wschodem słońca. Pęd nocnego powietrza sprawił, że ogarnął ich chłód. Ludzie siedzący w kokpicie otulili się szynelami. Graf Otto skierował maszynę na południe, lecąc na wysokości trzech tysięcy stop nad ziemią. Kiedy minęli krawędź Wielkiego Rowu Wschodniego, nad linią horyzontu pojawiło się słońce, oświetlając górski bastion Kilimandżaro, który, choć oddalony o sto mil. dominował nad południowym horyzontem.

Ewa siedziała na tylnym fotelu, poza zasięgiem wzroku pochylonego nad przyrządami von Meerbacha. Skuliła się za szybą, opatulona ciężkim płaszczem z lodenu. Włosy ukryła pod pilotką, a oczy zasłoniła przyciemnionymi okularami. Siedzący z przodu Gustaw i Hennie obserwowali równinę. Nikt na nią nie patrzył. Poczła się dziwnie, przywykła do ludzkiej uwagi. Choć raz mogła tłąć upust emocjom, które cały czas trzymała na w odzy.

Wyrzała z kokpitu na rozległą brunatną przestrzeń ryftu. Ogromna przestrzeń spotęgowała uczucie osamotnienia. Pomyślała o swoim położeniu i w jej oczach błysnęły Izy Zapłakała po raz pierwszy od tamtego zimnego listopadowego dnia sześć długich lat temu. kiedy stała nad grobem i patrzyła, jak opuszczają do dołu trumnę z ciałem jej ojca. Od tego czasu była sama. Uznała, że trwa to zbyt długo.

Szlochała ukradkiem, osłonięta pilotką. Przeraziła ją ta nagła oznaka słabości. Przez wszystkie te lata żyła nadzieją i rozczarowaniem, uganiała się za cieniami i mirażami, lecz nigdy nie dała się ponieść takiemu uczuciu. Zawsze była silna. Znała swój obowiązek i była zdecydowana go wypełnić Teraz coś

się zmieniło, lecz sama nie wiedziała co.

Nagle maszyna przechyliła się na skrzydło i przed jej oczami wyrosła ogromna góra. Pogrążyła się tak głęboko w myślach,

351

I

że początkowo uznała, iż umysł płata jej figle. Góra wydawała się eteryczna, unosiła się na srebrzystym obłoku. Wiedziała, że nie może być prawdziwa. Czy była latarnią nadziei pośrodku otchłani smutku? Czy była jej niebem, w którym mogła się schronić przed watahami ścigających wilków? Przez jej głowę przesunął się korowód ulotnych, fantazyjnych wyobrażeń.

Później zdała sobie sprawę, że góra jest realna. Byli nad Lonsonyo. Obłoki, na których wydawała się żeglować, były srebrzystą mgiełką otaczającą jej podstawę. Po chwili mgiełka zaczęła się rozpraszać, ogrzana promieniami wschodzącego słońca. Jej oczom ukazał się masyw Lonsonyo.

Poczła, że rozpacz opuszcza jej duszę, jakby zrzucała starą skórę, a w jej miejsce pojawia się nowa siła. Zrozumiała, co ją tak nagle przytłoczyło. Zawsze sądziła, że wytrwa o własnych siłach, lecz przed chwilą odkryła, że kierowała nią rezygnacja. Nie miała innego wyboru. Teraz sytuacja uległa zmianie.

Przytłoczyła ją nie rozpacz, lecz nadzieja. Nadzieja tak silna, że mogła wszystko pokonać.

To nadzieja wypływająca z miłości, szepnęła do siebie. Nigdy wcześniej nie umiała pokochać mężczyzny. Nie potrafiła żadnemu zaufać, wpuścić go do sekretnego, pilnie strzeżonego miejsca. Właśnie dlatego czuła się taka samotna i dlatego od razu nie zrozumiała, o co chodzi. Teraz poznała mężczyznę, który sprawił, że odważyła się mieć nadzieję. Do tej pory mu się opierała, bo w zasadzie się nie znali. W końcu jednak opór osłabł. Wpuściła go do środka i wbrew sobie uległa. Po raz pierwszy w życiu obdarzyła kogoś zaufaniem i bezwarunkową miłością.

Poczuła, jak nowa nadzieja osusza łzy i nadaje jej postanowieniu twardość stali. Ach, Ratelku! Zdawała sobie sprawę, że czeka ich długa i ciężka droga pełna pułapek. Żywiła jednak przekonanie, że wspólnie dotrą na szczyt.

ne

Graf Otto szybował powietrznymi kanionami, mijając wiecz-śniegi i lśniąca lodowce Kilimandżaro, rzucającej na nich

352

swój złowrogi cień. Motylem miały gwałtowne wiatry, wirujące wokół trzech wierzchołków wygasłych wulkanów. Kiedy uwolnili się spod działania Kilimandżaro, pożeglowali w przestrzeń wypełnioną słońcem. Przed nimi wyrósł masyw Meru, jakże inny od tego, który przed chwilą minęli. Ewa pomyślała, że Kilimandżaro to mężczyzna, a Meru - kobieta. Meru była niższa i miała łagodniejsze zbocza, które pokrywał gęsty las zamiast surowej skały i lodu.

Hennie du Rand wskazał von Meerbachowi nowy kierunek. Niemiec przeleciał nad niższymi zboczami Meru, kierując się w stronę Arushy skulonej u stóp góry. Po chwili Bur ponownie wyciągnął rękę, pokazując błyszczące w promieniach słońca zwieńczone blankami białe mury fortu nad rzeką Usą. Wkrótce ujrzeli flagę zatknietą na centralnej wieżyczce, łopoczącą na lekkim wietrze - flagę z niemieckim dwugłowym cesarskim orłem na czerwono-żółto-czarnym polu.

Graf przeleciał nisko ponad białymi ścianami, a postacie w mundurach podniosły głowy, bacznie im się przypatrując. Przez bramę wyjechał samochód i kierował się w stronę placu nad brzegiem Usy, ciągnąc za sobą jasny obłok pyłu. Von Meerbach z zadowoleniem skinął głową na widok najnowszego

samochodu produkowanego w Wieskirche. Z tyłu wozu siedziało dwóch mężczyzn.

Zgodnie z życzeniem grafa oczyszczono teren nad rzeką, urządzając na nim prowizoryczne lądowisko. Ziemia była roz-orana niczym pole, wzdłuż pasa leżały rozrzucone drzewa. Na przeciwległym końcu umieszczono wysoki maszt z rękawem powietrznym łopoczącym na wietrze. Lotnisko zbudowano zgodnie z planem, który przesłał telegraficznie pułkownikowi von Lettowowi Vorbeckowi. Graf Otto lekko posadził Motyla i podkołował do samochodu. Niemiecki oficer w mundurze stał obok otwartych przednich drzwiczek pojazdu, opierając nogę na stopniu.

Na widok von Meerbacha schodzącego po drabince podszedł, aby się przywitać. Był wysokim, barczystym mężczyzną w sza-

353

rym mundurze polowym i filcowym hełmie tropikalnym. Na kołnierzyku miał czerwone i złote naszywki oficerskie, pod szyją Żelazny Krzyż pierwszej klasy. Przycięte wąsy były lekko posiwiałe, spojrzenie bezpośrednie i przenikliwe.

— Hrabia Otto von Meerbach? - spytał, salutując ener-

gicznie. - Pułkownik Paul von Lettow Vorbeck. - Jego głos

był ostry i pełen werwy, nawykły do wydawania rozkazów.

— Tak, pułkowniku. Jestem rad, że mogę wreszcie poznać

pana osobiście. - Uścisnął wyciągniętą dłoń i przyjrzał się

uważnie pułkownikowi. Przed wyjazdem z Berlina złożył wizytę

w kwaterze głównej niemieckiej armii przy Unter den Linden,

gdzie pozwolono mu przejrzeć akta von Lettowa Vorbecka.

Jego teczka wywarła na nim duże wrażenie. W całej armii nie

było równie zasłużonego pułkownika. Brał udział w tłumieniu

powstania bokserów w Chinach, w Niemieckiej Afryce Połu-

dniowo-Zachodniej walczył pod von Trothem, dokonując bez

litosnej pacyfikacji Hererów. Bez skrupułów wymordowano

wówczas sześćdziesiąt tysięcy mężczyzn, kobiet i dzieci, ponad

połowę całego plemienia. Później von Lettow Vorbeck dowodził

Schutztruppe * w Kamerunie, aby w końcu objąć służbę w Niemieckiej Afryce Wschodniej.

— Pułkowniku, mógłbym przedstawić panu Fraulein von Wellberg?

— Jestem oczarowany, Fraulein. - Von Lettow Vorbeck
zasalutował ponownie, strzelił obcasami, a następnie skłębnił się i otworzył drzwiczki, aby Ewa mogła zająć miejsce na tylnym fotelu. Zostawili Gustawa i Henniego, aby zabezpieczyli aeroplan, i ruszyli do fortu.

Graf Otto od razu przeszedł do rzeczy. Wiedział, że pułkownik ceni szczerą i otwartą postawę.

* Niemieckie wojska kolonialne stacjonujące w afrykańskich koloniach od 1898 do 1918 roku.

- Czy nasz gość z południa bezpiecznie dotarł na miejsce, pułkowniku?

— Oczekuje na pana w forcie.

— Co pan o nim sądzi? Jest godzien swojej sławy?

— Trudno powiedzieć. Nie zna niemieckiego ani angielskiego, posługuje się jedynie językiem Afrykanerów. Miałem kłopot, by się z nim porozumieć.

— Zadbalem o to. Jeden z moich ludzi jest Burem. Walczył z Brytyjczykami pod de la Reyem w Afryce Południowej. Mówi płynnie po angielsku, podobnie jak pan, pułkowniku. Nie będziemy mieli problemu, by nawiązać z nim kontakt.

— Świetnie! Z pewnością ułatwi nam to zadanie. - Von Lettow Vorbeck skinął głową, gdy wjeżdżali przez bramę na

wewnętrzny dziedziniec. - Domyślam się, że po podróży pan i Fraulein von Wellberg chcielibyście wziąć kąpiel i nieco odpocząć. Kapitan Reitz zaprowadzi was na kwatery. Za dwie godziny, o czwartej, wróci, by zabrać pana na spotkanie z de la Reyem.

Zgodnie z obietnicą von Lettowa Vorbecka Reitz zapukał do drzwi gościnnego apartamentu punktualnie o czwartej. Graf Otto spojrzął na zegarek.

— Przyszedł o czasie, jesteś gotowa? - Von Meerbach oczekiwał punktualności od wszystkich, także od niej. Spojrzął na swoją towarzyszkę, lustrując ją od czubka pięknej głowy po małe kształtne stopy. Zadbła o swój wygląd i wiedziała, że prezentuje się wspaniale.

— Tak, Ottonie, jestem gotowa.

— Widzę, że sukienka od Patou świetnie się na tobie prezentuje. - Zaprosił do środka kapitana Reitza, który zaszalutował z najwyższym szacunkiem. Za nim w otwartych drzwiach stanął Hennie du Rand. Miał na sobie świeżą koszulę, ogolił się i wypomadował włosy.

— Przystojnie wyglądasz, Hennie - powiedziała Ewa. Znał niemiecki na tyle, aby ją zrozumieć i by ogorzała twarz za płonęła rumieńcem.

— Jeśli jest pan gotowy, proszę za mną. - Reitz ruszył przodem, a oni podążyli za nim wyłożonym kamiennymi pły-

tami korytarzem, a następnie krętymi schodami wiodącymi do górnych kondygnacji fortu. Pułkownik von Lettow Vorbeck oczekiwał ich na tarasie pod rozwieszoną markizą. Siedział przy masywnym tekowym stole, na którym ustawiono napoje i owoce.

Z drugiej strony czekał wysoki mężczyzna w czarnym surducie. Stał tyłem, z dłońmi splecionymi na plecach. Patrzył za rzekę, na górę Meru mającą w oddali przez mgłę.

Von Lettow Vorbeck wstał, aby ich powitać, i zapytał, czy ich pokoje są wygodne, a następnie z zaciekawieniem spojrzął na Henniego.

- To du Rand, człowiek, o którym panu wspominałem - przedstawił go graf Otto. - - Walczył w oddziale de la Reya. - Mężczyzna w czarnym surducie odwrócił się ku nim, słysząc dźwięk swojego nazwiska. Miał ponad sześćdziesiąt lat. Siwe włosy przerzedziły się, odsłaniając wysokie, sklepione czoło. Skóra była jasna i gładka w miejscach, gdzie kapelusz chronił ją przed słońcem. Nieliczne kosmyki opadały na ramiona, znacząc czerń surduta kropeczkami łupieżu. Brodę miał gęstą, bujną i nieokiełznaną. Nos wydatny, linię ust posępną i nieugiętą. Głęboko osadzone oczy spoglądały fanatycznie i przenikliwie niczym oczy biblijnego proroka. Jakby na potwierdzenie tego, trzymał w prawej dłoni małą Biblię, którą wetknął do kieszeni surduta, podchodząc do grafa Ottona.

- General Jacobus Herculaas de la Rey - - przedstawił gościa von Lettow Vorbeck, lecz zanim Bur zdążył podejść. Hennie podbiegł do niego i przyklęknął na kolano.

- Generale Koos! Błagam o błogosławieństwo.

De la Rey podszedł bliżej i spojrzął na niego.

- Nie klękaj przede mną. Nie jestem księdzem ani generałem. Prosty ze mnie rolnik. Wstań człowieku! Przyjął

mu się bliżej. -- Pamiętam twoją twarz, lecz zapomniałem nazwiska.

- Du Rand, generale. Hennie du Rand. - Twarz Henniego rozpromieniła się na wieść, że dowódca go zapamiętał. -

356

Walczyłem z panem pod Nooitgedacht i Ysterspruit. - W miejscach tych Burowie roznieśli w puch Anglików. W Ysterspruit lotna brygada de la Reya zdobyła duże brytyjskie magazyny, których zawartość umożliwiła Burom walkę przez kolejny rok.

- Ja, pamiętam cię. Byłeś jednym z tych, którzy doprowadzili nas do brodu po potyczce pod Langlaagte, gdy otoczyli Bas Brytyjczycy. Tamtej nocy uratowałeś cały oddział. Co tu robisz, człowieku?

- Przybyłem, aby uścisnąć pańską dłoń, generale.

- Uczynię to z przyjemnością! - odparł de la Rey, chwytając dłoń Henniego w potężnym uścisku. Nic było wątpliwości, dlaczego żołnierze darzyli go takim podziwem i poważaniem. - Czemu opuściłeś republikę, Wolne Państwo Orania, Hennie?

- Ponieważ Orania nic już nie jest republiką i przestała być wolna. Stała się częścią brytyjskiego imperium - - odparł du Rand.

- Czy wrócisz ze mną, kiedy stanie się ponownie republiką? -
Potrzebuję takich dobrych żołnierzy jak ty.

Zanim Hennie zdążył odpowiedzieć, graf Otto podszedł do nich i powiedział:

- Proszę powiedzieć generałowi, że czuję się głęboko zaszczycony, mogąc poznać wielkiego żołnierza i patriotę. -

Hennie szybko wcielił się w rolę tłumacza, przedstawiając zebranych, a następnie stanął rozpromieniony u boku dawnego dowódcy.

Początkowo von Lettow Vorbeck i generał czuli się skrępowani obecnością Ewy siedzącej przy stole konferencyjnym.

- Mam nadzieję, że obecność Fraulein von Wellberg podczas naszych rozmów nie będzie panom przeszkadzała - rzekł von Meerbach. Ręczę za nią. Nikt się nie dowie o czym radziliśmy. Fraulein jest mistrzem dyskrecji. Za pozwoleniem, panowie, dla upamiętnienia tego historycznego spotkania pozwoliłem sobie poprosić ją, aby naszkicowała panów portrety, gdy będziemy rozmawiali. - Von Lettow i de la Rey skinęli

357

głowami. Ewa podziękowała im uśmiechem, położyła na stole szkicownik i ołówek, a następnie przystąpiła do pracy. Von Meerbach zwrócił się do de la Reya.

- Hennie du Rand będzie pana tłumaczem, generale. Pułkownik von Lettow Vorbeck i ja znamy angielski, więc w tym języku będziemy prowadzili rozmowę. Mam nadzieję, że wyraża pan zgodę? - Kiedy Hennie przetłumaczył jego słowa, a de la Rey skinął głową, graf ciągnął: - Po pierwsze, chciałbym przekazać panu listy uwierzytelniające z Ministerstwa Spraw Zagranicznych w Berlinie. - Mówiąc to, podał dokumenty nad stołem.

Hennie odczytał je na głos. De la Rey wysłuchał go uważnie, a następnie odparł:

— Nie zdecydowałbym się na tak uciążliwą podwodną podróż, gdybym nie wiedział, kim pan jest, von Meerbach.

Niemcy zawsze były wiernym sojusznikiem i dobrym przyjacie

lem mojego ludu podczas wojny z Brytyjczykami. Nigdy tego nie zapomnę. Do dziś traktują was jak przyjaciół i sojuszników.

— Dziękuję, generale. To wielki honor dla mnie i mojego kraju.

— Jestem prostym człowiekiem, grafie. Lubię otwartą i szczerą mowę. Proszę wyjaśnić, po co mnie pan zaprosił.

— Mimo ogromnej odwagi i determinacji, z jaką walczyliście, Afrykanerzy ponieśli klęskę i doznali wielkiego upokorzenia. - De la Rey nie odrzekł ani słowa, lecz jego spojrzenie stało się mroczne i ponure. Von Meerbach zamilkł, ale po chwili kontynuował: - Brytyjczycy to wojowniczy, pazerny naród. Chociaż zagarnęli dla siebie większą część świata, ich apetyt na podboje pozostał niezaspokojony. My, Niemcy, jesteśmy pokojowo nastawionym ludem, choć nieobca nam duma, i jesteśmy gotowi bronić się przed agresją.

De la Rey wysłuchał przekładu i skinął głową.

- Wiele nas łączy. My również byliśmy gotowi stawić czoło tyranii. Choć zapłaciliśmy wysoką cenę, wielu, podobnie jak ja, tego nie żałuje.

358

— Nadchodzi czas, gdy będziecie musieli ponownie podjąć decyzję: walczyć o honor czy ogłosić haniebną kapitulację.

Niemcy staną przed równie trudnym wyborem.

— Chociaż los naszych narodów wydaje się ze sobą zwią

zany, Brytania jest strasznym przeciwnikiem. Ma najpotężniejszą flotę na świecie. Jak zamierzacie się jej przeciwstawić? Czy kajzer wyśle wojska, aby obronić wasze kolonie w Afryce? - spytał de la Rey.

— Zdania w tej kwestii są podzielone. W Niemczech dominuje pogląd, że naszych kolonii trzeba bronić na Morzu Północnym, nie zaś na ich terytorium.

— Podziela pan ten pogląd, grafie? Zostawiłby pan na pastwę Anglików afrykańskie kolonie, waszych dawnych sojuszników?

— Zanim odpowiem, chciałbym pokrótce przedstawić fakty. Niemcy mają dwie kolonie w subsaharyjskiej Afryce, na południe od równika: jedną na wybrzeżu południowo-zachodnim, drugą na wschodzie. Obie są oddalone o tysiące mil od Niemiec i siebie nawzajem. W chwili obecnej siły, które ich bronią, są mizerne. Na terenie niemieckiej kolonii na południowym zachodzie stacjonuje około trzech tysięcy żołnierzy Schutztruppe. Jest też siedem tysięcy osadników, których większość znajduje się na liście rezerwistów lub otrzymała przeszkolenie wojskowe. Siły stacjonujące w Niemieckiej Afryce Wschodniej są podobne. - Graf Otto spojrzął na von Lettowa Vorbecka. - Mam słuszność, pułkowniku?

— Tak, mam pod komendą dwustu sześćdziesięciu białych oficerów oraz dwa i pół tysiąca askari. Oprócz tego jest żandarmeria w sile czterdziestu pięciu białych i niewiele ponad dwa tysiące policjantów askari, którzy pomogą bronić kolonii,

gdy zajdzie potrzeba.

— To mała garstka do obrony tak rozległego terytorium -
zauważył graf. - Brytyjska marynarka wojenna strzegąca mórz
wokół kontynentu uniemożliwi znaczące wzmocnienie tych sił.

— Przykra perspektywa - przyznał von Lettow Vor-
beck. - Bylibyśmy zmuszeni przyjąć taktykę wojny partyzan-

359

ckiej, podobną do tej, którą Burowie z takim powodzeniem stosowali w Afryce Południowej.

— Sytuacja zmieniłaby się radykalnie, gdyby Afryka Połu-
dniowa przystąpiła do wojny po stronie Niemiec - rzekł
spokojnie graf Otto. On i von Lettow Vorbeck spojrzeli twardym
wzrokiem na de la Reya.

— Nie jest to dla mnie żadna nowina. Dużo o tym myślałem,
radziłem się wielu dawnych towarzyszy broni - odrzekł de
la Rey, gładząc brodę w zamyśleniu. - Niestety, Smuts i Botha
zapredali się Brytyjczykom ciałem i duszą. To oni sprawują
władzę. Rządzą twardą ręką, choć można ją skrócić. Duża
część obywateli Afryki Południowej ma brytyjskie pochodzenie,
kochają Brytanię i są jej oddani.

— W jakim stanie znajduje się południowoafrykańska
armia? - spytał graf. - Jak liczne są jej siły i kto dowodzi?

— Wszyscy starsi oficerowie są Afrykanerami, którzy wal-
czyli z Anglikami - odparł de la Rey. - Dotyczy to również
Smutsa i Bothy, którzy przeszli na stronę Brytyjczyków. Wielu

nie poszło jednak za ich przykładem.

— Wojna skończyła się prawie czternaście lat temu -
przypomniał von Lettow Vorbeck. - Od tego czasu wiele się
zmieniło. Cztery dawne republiki przekształciły się w Związek
Południowej Afryki. Burowie dysponują siłą i wpływami dwu
krotnie przewyższającymi dawne. Zadowolą się tym czy zary
zykują wszystko, aby stanąć po stronie Niemiec? Czy Burowie
są zmęczeni wojną? Czy stanowią część imperium brytyjskiego?
Czy Smutsowi i Bocie uda się zwrócić starych towarzyszy
broni przeciwko Niemcom? - spytał von Lettow, a graf po
czekał na odpowiedź starego Bura.

— Może ma pan rację - odrzekł w końcu. - Może czas
zaleczył rany afrykanerskiego Volku, lecz blizny pozostały.
Zagalopowałem się. Zastanówmy się, jaką siłą dysponuje Af
ryka Południowa, jakie są siły obronne związku, jak obecnie
nazywa się armię. To potężna formacja licząca sześćdziesiąt
tysięcy dobrze uzbrojonych ludzi. Siła zdolna kontrolować

360

obszar całej Afryki Południowej od Nairobi i Windhuku po Przylądek Dobrej Nadziei. Rząd, który będzie
nią dowodził, zdobędzie kontrolę na szlakami morskimi i zatokami południowej części kontynentu. Pod
jego władzą znajdują się ogromne zagłębia wydobywcze Witwatersrandu z bogatymi złożami złota,
kopalnie diamentów Kimberley oraz nowe stalownie i fabryki broni w Transwalu. Jeśli Afryka Południowa
sprzymierzy się z Niemcami, Wielka Brytania znajdzie się w bardzo trudnym położeniu. Będzie zmuszona
presunąć do Afryki znaczne siły, by odzyskać kontrolę, a Marynarka Królewska będzie musiała się
wytężyć, aby zapewnić ochronę i zaopatrzenie. Od Afryki Południowej może zależeć wynik całej wojny.

— Jeśli zdecyduje się pan wystąpić ponownie przeciw Ang
likom, czy dawni towarzysze broni pójdą za panem? Wiemy,

że Smuts i Botha poprą Wielką Brytanię. Jak się zachowają inni dowódcy? Po której stronie opowiedzą się de Wet, Maritz, Kemp i Beyers? Pójdą za panem czy za Bothą?

— Dobrze znam tych ludzi - odrzekł spokojnie de la Rey. - Walczyliśmy ramię w ramię, poznałem ich serca. Choć wojna skończyła się dawno temu, nie zapomnieli o strasznych rzeczach, które wyrządzili nam Anglicy. Nie zapomnieli, jak potraktowali kobiety i dzieci, co zrobili z ziemią, którą kochamy. Wiem, że staną u mojego boku do walki z wrogiem, a jest nim nadal Wielka Brytania.

— Właśnie to miałem nadzieję usłyszeć, generale. Otrzymałem upoważnienie od cesarza i naszego rządu, aby obiecać wam zaopatrzenie, broń i pieniądze.

— Będziemy potrzebowali wszystkiego. - De la Rey skinął głową. - Szczególnie w początkowym okresie, zanim odbierzemy władzę Bocie i przejmemy magazyny wojskowe oraz bank rezerw w Pretorii, gdzie trzymają państwowe pieniądze.

— Proszę mi powiedzieć, czego będzie pan potrzebował, generale. Zadbam, aby przekazano wam to z Berlina.

— Nie będziemy potrzebowali żywności ani mundurów.

361

Jesteśmy farmerami, którzy uprawiają ziemię. Zdołamy się wyżywić. Walczyć będziemy jak kiedyś, w codziennym przyodziewku. Zbędna jest również broń lekka. Każdy Bur ma własnego mauzera.

— Co w takim razie się przyda? - dociekał graf, nie dając

za wygraną.

— Na początek sto pięćdziesiąt ciężkich karabinów maszynowych i pięćdziesiąt moździerzy wraz z amunicją. Powiedzmy milion naboju do karabinów maszynowych i pięćset granatów moździerzowych. Potrzebne będą również lekarstwa... - Von Meerbach zapisywał liczby w notatniku, podczas gdy de la Rey przedstawiał swoje potrzeby.

— A ciężkie działa? - spytał von Lettow Vorbeck.

— Nie, powodzenie pierwszych operacji będzie zależało od szybkości i zaskoczenia. Jeśli nam się uda, przejmemy rządowe arsenały i ciężka artyleria znajdzie się w naszych rękach.

— Czy potrzebne będzie coś jeszcze?

— Pieniądze - odrzekł zwyczajnie de la Rey.

— Ile?

— Dwa miliony funtów w złotych suwerenach.

Przez chwilę milczeli, przygniecenii wymienioną sumą.

— Dużo - rzekł w końcu von Meerbach.

— Taka jest cena za najbogatszą ziemię na południowej półkuli oraz armię złożoną z sześćdziesięciu tysięcy świetnie wyszkolonych, zaprawionych w boju żołnierzy. Taka jest cena za zwycięstwo nad Brytyjczykami. Naprawdę sądzi pan, że cena jest zbyt wysoka, von Meerbach?

— Nie! - Graf Otto potrząsnął stanowczo głową. - Skoro

stawia pan sprawę w taki sposób, cena jest uczciwa. Dostanie pan dwa miliony. Osobiście tego dopilnuję.

— Pieniądze i broń na nic się nie zdadzą, dopóki nie zostaną dostarczone do naszych baz w Afryce Południowej.

— Jak mamy je przewieźć?

— Nie będzie można przeszmuglować ładunku żadną z głównych zatok, odpada również Kapsztad i Durban. Kontrola

362

celna jest zbyt surowa. Afryka Południowa graniczy od południowego zachodu z naszą kolonią. Oba terytoria łączy dobra linia kolejowa. Zarząd i pracownicy południowoafrykańskiej kolei to niemal bez wyjątku Afrykanerzy. Będą sprzyjali naszej sprawie. Inna droga prowadzi z Niemieckiej Afryki Wschodniej, drogą wodną, przez jezioro Tanganika do Pasa Miedziowego w Rodezji, a stamtąd na południe, ponownie koleją. Von Lettow Vorbeck spojrzał na niego z zaskokiem.

— Dostarczenie zaopatrzenia tymi szlakami zajęłoby tygo dni, a nawet miesiące. W każdej chwili ładunek mógłby zostać odkryty i przejęty przez nieprzyjaciela. To zbyt ryzykowne. -

Obaj spojrzeli na grafa, mając nadzieję, że przedstawi inny plan.

— W jaki sposób dostarczyłby pan taką przesyłkę? - spytał de la Rey. Zamilkli, czekając na odpowiedź.

Ewa szkicowała portrety z niewzruszonym spokojem. Choć nie rozumiała ani słowa, graf Otto spojrzał na nią ukradkiem, a następnie popatrzył na Henniego i lekko zmarszczył brwi. Milczał dłużej niż zwykle, bębniąc palcami o blat stołu, pogrążony w głębokiej zadumie. Podjął decyzję.

- Zadanie jest wykonalne. Zajmę się tym osobiście. Daję panu moje słowo, generale. Dostarczę w dowolne miejsce to,

0 co pan prosił. Od tej pory wszystko musi pozostać w najgłębszej tajemnicy. Powiadomię o szczegółach jedynie pana

1 pułkownika von Lettowa, gdy zbliży się czas dostawy. W chwili

li obecnej muszę poprosić, aby panowie mi zaufali.

De la Rey spojrział na niego oczami fanatyka. Graf Otto spokojnie odwrócił wzrok. Bur podniósł kartkę papieru z godłem orła, która leżała na stole.

- To gwarancja kajzera i pańskiego rządu. Nie jest to wystarczająca zachęta, aby mnie przekonać, bym ponownie urządził krwawą łaźnię mojemu Volkowi.

Graf Otto i von Lettow Vorbeck patrzyli na niego bez słowa. Można było odnieść wrażenie, że za chwilę cały misternie obmyślony plan legnie w gruzach.

- Dał mi pan jeszcze jedną gwarancję, grafie. Własne

363

słowo. Wiem, że jest pan człowiekiem zdolnym przenosić góry. Pana dokonania obrosły legendą. Wiem, że nie przyzna się pan nawet do możliwości porażki. - Przerwał ponownie, aby zebrać myśli. - Jestem prostym farmerem, lecz jedną rzeczą się chlubię. Umiem ocenić wartość konia i człowieka. Dał mi pan słowo, więc dam panu własne. Kiedy Afrykę ponownie ogarnie pożoga wojny, będę czekał z armią liczącą sześćdziesiąt tysięcy żołnierzy. Uściśnijmy sobie dłonie, od tej pory jesteśmy sojusznikami na śmierć i życie.

Leon Courtney od czterech dni latał Trzmielcem ponad wierzchołkami drzew nad szeroką sawanną. Manyoro i Loikot siedzieli w przedniej części kokpitu, czujni jak sępy, obserwując i badając równinę. Widzieli wiele lwów, przypuszczalnie ponad dwieście. Były wśród nich samice i kocięta, młode samce i bezzębni samotnicy. Kichwa Muzuru powiedział im jednak: "Musi być potężny i mieć grzywę tak czarną, jak ogar z piekła rodem". Do tej pory nie udało im się znaleźć zwierzęcia odpowiadającego temu opisowi.

Czwartego dnia Manyoro chciał zaniechać poszukiwań na ziemiach Masajów i polecieć nad Pomocnym Okręgiem Przygranicznym ku dzikim rejonom rozciągającym się między jeziorami Turkana i Marsabit.

- Znajdziemy tam lwy pod każdym drzewem akacji. Zwie rzęta tak potężne i dzikie, że nawet Kichwa Muzuru będzie szczęśliwy.

Loikot uparcie się temu sprzeciwiał. Opowiadał Leonowi o parze legendarnych lwów, które rządziły na ogromnym terytorium pomiędzy jeziorem Natron i zachodnią ścianą ryftu.

- Dobrze znam. Widywałem je wiele razy, gdy pasłem bydło mojego ojca. To bliźniaki. Bracia urodzeni jednego dnia

z tej samej lwicy. Przyszli na świat w czasie plagi szarańczy, jedenaście lat temu, gdy byłem dzieckiem. Rok po roku obserwowałem, jak dorastają, nabierają siły i odwagi. Teraz są

364

w kwiecie wieku. W całym kraju nie ma lwa, który odważyłby się im sprzeciwić. Zabiły sto sztuk bydła, może więcej - oznajmił. - Zabiły również osiemnastu morani, którzy wyruszyli, by na nie zapolować. Żaden człowiek nie odważył się wystąpić przeciwko nim, tak są gwałtowne i przebiegłe. Niektórzy morani powiadają, że to duchy lwów, które ścigane przez wojowników mogą się zamienić w gazelę lub ptaka.

Manyoro wyduł drwiąco wargi, przewrócił oczami i popukał się palcem w głowę, by pokazać, co myśli o Loikocie. Leon opowiedział się jednak po stronie młodszego Masaja. Przez ostatnie dni przeczesywali szerokie sawanny pokryte brązową trawą. Widzieli ogromne stada bawołów i mnóstwo mniejszej zwierzyny, lecz napotkane lwy były zbyt młode lub za stare.

Kiedy wieczorem zasiedli przy ognisku, Loikot próbował podsycić ich słabnący entuzjazm.

- Mówię ci, M'bogo, te dwa to wodzowie wszystkich lwów w dolinie. Nie ma większych, bardziej gwałtownych i przebiegłych zwierząt. Kichwa Muzuru posłał nas, abyśmy wytropili właśnie takie.

Manyoro odchrząknął i splunął w ognisko. Przez chwilę przyglądał się ślinie, która w żarze zaczęła się gotować.

- Od wielu dni słucham twoich opowieści, Loikocie - odrzekł w końcu. - Jestem skłonny uwierzyć, że lwy, o których mówisz, mogą zamienić się w ptaki. Musiały tego dokonać. Musiały zamienić się w małe wróble i odlecieć. Myślę, że powinniśmy zostawić w spokoju te skrzydlate potwory i polecić w rejon jeziora Marsabit, aby znaleźć prawdziwe lwy.

Urażony Loikot skrzyżował ręce na piersi i spojrzał wyniośle na Manyoro.

- Powtarzam, widziałem je na własne oczy. Są tam. Znajdę

je, jeśli poszukamy dłużej. - Spojrzeli na Leona, czekając na

jego decyzję.

Zastanawiał się nad odpowiedzią, pijąc kawę i wrzucając kawałki ziaren do ogniska. Zbiorniki Trzmiela były prawie puste. Paliwa wystarczy tylko na dzień lub dwa. Gdyby polecili

365

dalej na południe, trzeba by dostarczyć benzynę samochodem. Zająłoby to wiele dni, a graf Otto nie należał do ludzi cierpliwych.

- Masz jeden dzień, Loikocie - rzekł w końcu. - Jeśli nie znajdziemy ich jutro, polecimy nad jezioro Marsabit.

Wystartowali przed wschodem słońca i rozpoczęli poszukiwania w miejscu, w którym zakończyli poprzedniego wieczoru. Godzinę później, w odległości ponad dwudziestu mil od lądowiska w Obozie Percy'ego, Leon wypatrzył ogromne stado bawołów, które ciągnęło się aż od wodopoju nad brzegiem jeziora. Potężne samce podążały przodem, a krowy, cielęta i młódzież szły za nimi na długości niemal mili. Skręcił w ich stronę. Wiedział, że lwy często podążają śladem stada, wypatrując słabych sztuk i maruderów.

Nagle zauważył, że Loikot daje mu gwałtowne znaki ręką. Wychylił się z kabiny, aby sprawdzić, co tak go poruszyło. Dwa bawoły oddzieliły się od głównego stada, podążając za nim w odległości ćwierć mili. Zwierzęta szły obok siebie przez wysoką złocistą trawę. Widzieli jedynie grzbiety. Leon przyjrzał się im uważnie i ocenił, że były to rosłe młode samce o ciężkim czarnym ciele. Nie miał pojęcia, co tak zaalarmowało Loikota.

Kiedy zwierzęta wyszły z wysokiej trawy, zamarł z wrażenia. Nie były to bawoły, lecz lwy. Nigdy wcześniej nie widział samców takiej barwy i wielkości. Promienie słońca oświetlały od tyłu kroczące dostojnie zwierzęta. Ich grzywy miały głęboki odcień czerni, były gęste jak stóg siana. Falowały w podmuchach porannego wiatru, gdy zwierzęta stanęły, aby przyjrzeć się nadlatującemu aeroplanowi.

Leon zmniejszył prędkość i obniżył pułap. Trzmiel leciał tak nisko, że koła omal ocierały się o ziemię. Widząc nadlatującą maszynę, zwierzęta nastroszyły grzywy i zaczęły uderzać o boki długimi zakończonymi czarnymi pędzlami ogonami, okazując coraz większe rozdrażnienie. Jeden położył się w niskiej trawie, a drugi ruszył dostojnym, rozkołysanym krokiem w kierunku gęstych zarośli. Leon przeleciał nisko nad przyczajonym zwie-

rzęciem, spoglądając w dół w nieprzejezdne żółte ślepia. Lew ryknął ponownie. Słyszając silniki samolotu, skoczył przed siebie, wyciągając przednie łapy, jego pełny brzuch kołysał się na boki. Ponownie odwrócił wielki, otoczony grzywą łeb i ryknął, widząc przelatującego Leona.

Delikatnie zwiększył pułap i zawrócił w stronę pasa nieopodal obozu. Chociaż mieli przed sobą dwadzieścia minut lotu, chciał jak najszybciej wylądować, aby omówić plan działania z dwoma Masajami. Manyoro najwyraźniej zapomniał o swoich niedawnych sprzeciwach, bo tupął i śmiał się równie dziko jak Loikot.

- Te lwy to dobry powód do szalonej radości. Grafie Ottonie von Meerbach, lepiej naostrz swoją assegai. Będzie ci potrzebna! - zaśmiał się. Czuł ogromną pokusę, by zawrócić i jeszcze raz spojrzeć na te wspaniałe zwierzęta. Wiedział jednak, że nie byłoby rozsądnie ponownie je niepokoić. Jeśli były tak chytre i przebiegłe, jak utrzymywał Loikot, mógł łatwo lwy wypłoszyć z trawiastego stepu do lasu rozciągającego się na skarpie, a wówczas trudniej byłoby je wyśledzić.

Niech się uspokoją i poczekają, aż sprowadzę tego szaleńca von Meerbacha, aby się nimi zajął.

Kiedy wylądował i podkołował Trzmiela do Obozu Per-cy'ego, dwaj Masajowie nadal świętowali swoje odkrycie.

— A nie mówiłem?! - zawołał radośnie Loikot, gdy ucichły silniki. - Powiedziałem ci! - odpowiedział na własne pytanie. - Czy mi uwierzyłeś, Manyoro? Nie, nie dałeś wiary! Który z nas dwóch jest głupi i uparty? Ja? Nie, Manyoro! Który z nas jest większym myśliwym i tropicielem lwów? Ty, Manyoro? Nie, większym myśliwym jestem ja, Loikot! - Przybrał dostojną, bohaterską pozę, a Manyoro zasłonił twarz, udając wielkie zawstydzenie.

— Jesteś największym tropicielem Afryki, o najwspanialszy Loikocie! - przerwał mu Leon. - Dlatego mam dla ciebie robotę. Wrócisz do swoich lwów i pozostaniesz z nimi, dopóki nie sprowadzę Kichwa Muzuru na łowy. Musisz podążać ich śladem,

lecz nie zbliżać się za blisko, aby się nie wystraszyły i nie uciekły.

367

— Znam je, nie umkną mi - przyrzekł solennie Loikot. -

Mam na nie oko.

— Kiedy wrócę, usłyszysz huk silników. Wówczas rozpalisz dymiące ognisko. W ten sposób cię odnajdę.

— Będę miał te lwy na oku, a dźwięk twoich silników w uchu - zapewnił dumnie Loikot.

— Kto jest naczelnikiem wioski, na której terenie znaleźliście my lwy? - spytał Leon Manyoro.

— Zwie się Massana, jego manyatta to Tembu Kikuu, Miej sce Wielkiego Słonia.

— Musisz mu złożyć wizytę, Manyoro. Powiedz, że za każdego lwa otrzyma w darze dwadzieścia krów. Powiedz też, że przyprowadzimy mzungu, który zapoluje na nie w tradycyjny sposób. Massana musi skrzyknąć na łowy pięćdziesięciu morani, lecz zwierzęta zabije Kichwa Muzuru.

— Rozumiem, M'bogo, lecz nie sądzę, by Massana to pojął. Mzungu polujący na lwa z assegail Nigdy o tym nie słyszano.

Massana pomyśli, że Kichwa Muzuru zwariował.

— Manyoro, obaj wiemy, że Kichwa Muzuru jest obłąkany jak antylopa gnu, której robaki przeżarły mózg. Powiedz mu, aby nie myślał o polowaniu, lecz o dwudziestu sztukach bydła.

Co sądzisz, Manyoro? Czy Massana pomoże nam w polowaniu?

— Za dwadzieścia krów Massana sprzedałby swoich pięć naście żon wraz z córkami. Może nawet własną matkę. Oczywiście cie, że pomoże.

— Czy obok jego manyatty jest miejsce, w którym moglibyśmy wylądować? - zapytał Leon.

Manyoro pogładził nos w zamyśleniu, zanim udzielił odpowiedzi.

— W pobliżu wioski jest solna łąka. To płaski teren bez drzew.

— Pokaż mi - rozkazał. Kiedy wystartowali, Manyoro naprowadził go na miejsce. Była to ogromna płaska przestrzeń bielejąca w promieniach słońca, widoczna z odległości wielu mil. Kiedy się do niej zbliżyli, solną łąką przebiegło małe

368

stado oryksów. Leon z ulgą spostrzegł, że kopyta zwierząt nie przebiły białej skorupy. Niektóre miejsca tego rodzaju stanowiły śmiertelną pułapkę - były wypełnione głębokim błotem, miękkim jak owsianka i lepkiem niczym klej, ukrytym tuż pod kruchą zaschniętą powierzchnią. Ostrożnie obniżył pułap, lekko dotykając ziemi kołami, gotowy w każdej chwili podnieść maszynę, gdyby błoto zaczęło oblepiać podwozie. Kiedy powierzchnia wytrzymała ciężar maszyny, wylądował, podkołował do krawędzi solnej łąki i odwrócił aeroplan.

— Daleko stąd do manyatty! - krzyknął do Manyoro, nie wyłączając silników.

— Nie! - Masaj wskazał przed siebie. - Ludzie z wioski już nadchodzą. - Zauważył, że przez las biegnie ku nim mała grupka kobiet i dzieci.

— A do naszych lwów, wielki łowco? - zapytał Loikota.

Ten nakreślił dzidą mały łuk na niebie odpowiadający drodze,

którą słońce pokona w ciągu dwóch godzin. - Skoro macie stąd bliżej do manyatty i lwów, zostawię was tutaj. Czekajcie na mój powrót. Przywiozę ze sobą Kichwa Muzuru.

Wysadził dwóch Masajów na solnej łąsce i wystartował. Zatoczył nad nią koło i ruszył w stronę Nairobi. Masajowie pomachali mu i rozeszli się w dwóch kierunkach - Loikot, by odnaleźć ślady lwów, a Manyoro - na spotkanie kobiet z wioski Massany.

Zbliżając się do pasa na boisku polo, rozglądał się niespokojnie w poszukiwaniu Motyla. Martwił się, że graf Otto wyruszył w kolejny ze swych tajemniczych, nieprzewidywalnych wypadów i wróci dopiero za kilka dni. W tym czasie Loikot mógł stracić z oczu tropioną zdobycz.

- Bogu dzięki! - wyszeptał, widząc czerwono-czarną szachownicę zdobijącą kadłub Motyla stojącego przed hangarem na drugim końcu pola. Gustaw i jego mechanicy pracowali przy silnikach. Ponieważ nie dostrzegł samochodu myśliw-

369

skiego, zatoczył koło nad Tandalą. Okazało się, że pojazd stał obok namiotu von Meerbacha. Kiedy po raz drugi przeleciał nad obozem, graf wyszedł, wkładając koszulę.

Leon poczuł przyływ niechęci zmieszanej z zazdrością. Pewnie Ewa jest z nim, pomyślał. Musiała zapracować na swój chleb. Na samą myśl o tym zrobiło mu się niedobrze. Von Meerbach pomachał mu zdawkowo i ruszył do samochodu. Zawrócił maszynę w stronę pasa, czując w ustach gorzki smak gniewu i zazdrości.

Weź się w garść, Courtney! Przecież wiedziałeś, że Ewa von Wellberg nie jest westalką. Śpi z nim pod tą samą moskitierą od dnia, gdy przyjechali, powiedział sobie, nadlatując na pas. Kiedy posadził Trzmiela za drucianą siatką, serce zabiło mu żywiej. Dostrzegł Ewę siedzącą przy sztalugach w cieniu pokrytego szachownicą skrzydła Motyla. Wcześniej zastaniał ją kadłub maszyny. Choć mogło się to wydać dziwne, poczuł ulgę na myśl, że graf Otto był sam.

Po wylądowaniu podkołował do hangaru. Ewa wstała od sztalug i ruszyła na jego spotkanie. Z oddali ujrzał jej radosny uśmiech. Po chwili zdała sobie sprawę, że von Meerbach ich obserwuje, i zaczęła iść nieco wolniej. Cofnęła się, gdy oparł drabinkę o kadłub i zaczął schodzić. Spojrzał na nią ponad głowami pozostałych i zauważył, że jest podenerwowana i niespokojna. Zwykle była chłodna i opanowana, lecz teraz zachowywała się jak gazela, która wyczuła zapach skradającego się lamparta. Chociaż jej poruszenie mu się udzieliło, zdołał ukryć swoje uczucia i skinął głową od niechcenia.

— Witam, Fraulein - rzekł uprzejmie, a następnie zwrócił

się do Gustawa. - Drugi prawy silnik ciężko pracuje i dymi.

— Zaraz sprawdzę - odpowiedział Niemiec, przywołując pomocników.

Kiedy głowa Gustawa zniknęła za pokrywą silnika, zostali chwilę sami.

- Co się stało? - spytał. - Coś się zmieniło, jesteś inna - powiedział cicho.

370

— Spozregawczy jesteś. Zmieniło się wszystko.

— Co takiego? Jakież problemy z grafem?

— Nie chodzi o niego, lecz o nas.

— Jakież kłopoty? - spytał, patrząc jej w oczy.

— Nie, wprost przeciwnie. Podjęłam decyzję. - Jej głos stał się niski i chropawy. Uśmiechnęła się.

Jej uśmiech był najpiękniejszą rzeczą, jaką widział.

— Nie rozumiem.

— Ja również, Ratelku.

Tego było dla niego za wiele. Zrobił krok do przodu, próbując chwycić ją za rękę. Cofnęła się gwałtownie.

— Nie, nie dotykaj mnie. Mogę zrobić coś głupiego. -

Wskazała obłok pyłu ciągnący się za samochodem myśliwskim. - Otto zaraz tu będzie, musimy uważać.

— Długo tego nie zniosę - ostrzegł ją.

— Ani ja, teraz jednak musimy się trzymać z daleka. Otto nie jest głupcem. Zauważy, że coś między nami zaszło. -

Odwróciła się i podeszła do Gustawa balansującego na skrzydle i zaglądnącego do wnętrza silnika.

— Wróciłeś, Courtney! - zawołał von Meerbach, wjeżdżając za ogrodzenie. - Długo cię nie było! Dokąd poleciałeś?

Do Kapsztadu? A może do Kairu?

Krótką rozmowa z Ewą wprowadziła go w ożywiony, zuchwały nastrój.

- Nie. Szukałem pańskich cholernych lwów.

Widząc wojowniczą postawę Leona, twarz von Meerbacha pojaśniała, a blizna po pojedynku zaróżowiła się od oczekiwania. Wskoczył z samochodu, zatraskując za sobą drzwiczki.

— Znalazłeś je?

— Tak, w przeciwnym razie by mnie tu nie było.

— Duży jest?

— To największy lew, jakiego widziałem, a drugi jest jeszcze potężniejszy.

— Nie rozumiem, ile w końcu ich jest?

— Dwa - odrzekł Leon. - Dwa ogromne samce.

371

— Kiedy wyruszymy?

— Gdy tylko Gustaw sprawdzi silnik Trzmiela.

— Nie mogę się doczekać. Motyl ma pełne zbiorniki. Cały sprzęt jest na pokładzie. Ruszajmy od razu! Natychmiast!

Graf Otto siedział za sterami Motyla, gdy startowali z pasa obok Obozu Percy'ego, gdzie zatrzymali się, by napełnić zbiorniki po locie z Nairobi. Szybowali na południe w kierunku manyatty Massany. Ewa siedziała obok niego, Izmael przykucnął z tyłu, trzymając zawiniątko z drogocennymi kuchennymi sprzętami, a Leon, Gustaw i Hennie stali w przedniej części kokpitu.

Lecieli ponad dwadzieścia pięć minut, gdy Leon dostrzegł obłok dymu po lewej stronie, unoszący się pionowo w nieruchomym, ciężkim powietrzu południa.

- Loikot! - Leon wiedział, że to jego tropiciel, zanim

dostrzegł smukłą postać stojącą obok dymnego ogniska. Masaj zamachał shuką, aby upewnić się, że go dostrzegą, a następnie wskazał dzidą postrzępiony zarys małego pagórka, dając do zrozumienia, gdzie przebywa zdobycz.

Leon szybko ocenił sytuację. Bogowie łowów wyraźnie im sprzyjali. Pod ich nieobecność lwy musiały wyruszyć w stronę wioski Massany. Były teraz wiele mil bliżej niż wtedy, gdy je spostrzegli. Spojrzał na dalekie urwisko ryftu, aby zorientować się w położeniu, a następnie odnalazł upiorny kształt solnej łąchy, gdzie zaledwie trzy dni temu zostawił dwóch Masajów. Nie mogło być lepiej, pomyślał uradowany, przysuwając się do von Meerbacha.

— Loikot pokazał, że lwy wylegają się wśród skał na tym pagórku! - zawołał, przekrzykując silniki.

— Gdzie mogę wylądować?

— Widzi pan tę solną łąchę? - spytał, wskazując ją Niemowi. - Jeśli na niej pan wyląduje, będziemy blisko zdobyczy i wioski, w której morani zgromadzili się na łowy.

372

Manyatta Massany była większa od innych wiosek w dolinie. Zagrodę dla bydła otaczała szerokim kręgiem setka chat. Graf Otto okrążył osadę i obniżył pułap. W środkowej zagrodzie zebrał się duży tłum Masajów. Choć Leon nie mógł rozpoznać Manyoro wśród odzianych w shuki postaci, wiedział, że tropiciel wykonał swoje zadanie. Przekonał Massanę, aby skrzyknęła morani na wielkie łowy. Rad, że wszystko jest przygotowane, Leon poprosił von Meerbacha, by posadził Motyla na solnej łąsce. Po wylądowaniu podkołowali do linii drzew rosnących wzdłuż zachodniego skraju pola, a następnie wyłączyli silniki.

- Zabawimy tu jakiś czas - wyjaśnił mu Leon. - Przygotujmy się, zanim nadejdą morani. - Cały sprzęt znajdował się w lukach bagażowych Motyla. Szybko go wylądowali i rozstawili namioty w cieniu skrzydeł. Izmael urządził kuchnię i palenisko w bezpiecznej odległości od maszyny, aby zaparzyć

kawę i upiec imbirowe ciasteczka.

Leon wypił kawę i spojrzął w niebo, by ocenić czas.

- Loikot nadejdzie lada chwila - powiedział grafowi.

Ledwie skończył, a Masaj wybiegł spośród drzew.

Leon wyszedł z cienia na słońce, aby go powitać. Chciał jak najszybciej usłyszeć, co ma do powiedzenia, wiedział jednak, że młodzieńca nie można poganiać. Im ważniejsze ma wiadomości, tym dłużej będzie zwlekał, by je oznajmić. Masaj zażył tabaki, stając na jednej nodze i opierając się na włóczni. Później uzgodnili, że od ich rozstania minęły trzy dni. Szmata czasu. Było gorąco jak na tę porę roku. Przed zachodem słońca pewnie spadnie deszcz. To dobrze dla pastwisk.

- Powiedz mi, co z twoimi lwami, o wielki łowco i tropi

cielu, Loikocie. Nadal masz je na oku?

Loikot smętnie potrząsnął głową.

— Zgubiłeś je? - spytał gniewnie Leon. - Pozwoliłeś im uciec?

— Nie! Co prawda mniejszy zniknął, lecz nadal mam oko na większego. Widziałem go niecałe dwie godziny temu. Jest sam. Leży w cieniu, na pagórku, który ci pokazałem.

373

— Nie powinniśmy rozpaczać z powodu straty tamtego - pocieszył go Leon. - Z jednym łatwiej sobie poradzimy. Dwa mogłyby stanowić zbyt duże wyzwanie.

— Gdzie Manyoro? - spytał Loikot.

— Po naszym spotkaniu polecieliśmy do manyatty Massany.

Zebrali się w niej morani. Pewnie wyszli nam naprzeciw.

Manyatta jest niedaleko stąd. Wkrótce się tu zjawia.

— Wróćę obserwować mojego lwa - zaproponował Loi

kot. - Po zmroku może pokonać dużą odległość. Przyjdę jutro

z samego rana.

Dwie godziny przed zachodem słońca usłyszeli śpiewy i ujrzeli ludzi zbliżających się od strony lasu do obozowiska na solnej łąsce. Manyoro szedł na czele długiego korowodu uzbrojonych morani. Wojownicy mieli na sobie stroje myśliwskie, nieśli tarcze i assegai.

Za nimi ciągnęły setki mężczyzn, kobiet i dzieci. Przybyli ze wszystkich okolicznych manyatt w promieniu pięćdziesięciu mil. Za wolnymi morani podążały niezamężne dziewczęta niczym stadko wspaniałych nektarników. Gdy słońce zaczęło zachodzić, wszyscy rozłożyli się obozem wokół Motyla. Nocne powietrze było wonne, pachniało dymem kuchennych palenisk. Podniecenie osiągnęło punkt krytyczny. Młodzi śpiewali i śmiali się wesoło całą noc.

Następnego ranka, przed świtem, do obozu wrócił Loikot z misji zwiadowczej. Powiedział, że w świetle księżycy lew upolował młodą antylopę kudu i nadal żeruje.

- Nie zostawi zdobyczy - rzekł z przekonaniem.

Myśliwi z rosnącym napięciem oczekiwali wschodu. Siedzieli

przy ogniskach, szykując się i układając włosy, ostrząc assegai i napinając skórę na tarczach. Kiedy zza krawędzi urwiska wyrzały pierwsze promienie słońca, prowadzący łowy zadął w róg, dając sygnał do wymarszu. Wojownicy podnieśli się z mat i uformowali szyk na solnej łąsce. Zaczęli tańczyć i śpiewać, stopniowo poddając się narastającemu dzikiemu podnieceniu.

374

Młode dziewczęta otoczyły ich kołem. Zaczęły zawodzić, przestępować z nogi na nogę i poruszać biodrami, klaskać w dłonie i kiwać głowami. Poruszały piersiami i kołysały' krągłymi pośladkami, próbując zwrócić na siebie uwagę mężczyzn. Ciało tańczących morani zaczął pokrywać pot. Ich oczy drżały z żądy krwi i podniecenia.

Nagle z namiotu wzniesionego pod skrzydłem Motyla wyłonił się graf Otto i ruszył ku nim po solnej łąsce. Na jego widok morani wydali szmer zadowolenia. Niemiec miał na sobie czerwoną plemienną shukę. Opasał się nią wokół bioder, zarzucając koniec na ramię. Górna część tułowia i kończyny były odsłonięte, białe jak skrzydła czapli. Włosy pokrywające klatkę piersiową i przedramiona przypominały miedziany drut. Von Meerbach był barczysty, pierś miał szeroką, a członki twarde i umięśnione, lecz brzuch lekko się zaokrąglił i zmiękł z powodu wieku i dostatniego życia, jakie prowadził.

Młode dziewczęta zapiszczały, obejmując się z rozbawienia. Nie przyszło im do głowy, że biały mzungu nałoży strój plemienny. Otoczyły go zbitą gromadką, nie przestając chichotać. Dotykały jego

mlecznobiałej skóry, ze zdumieniem gładziły złocistoczerwone włosy. Von Meerbach zaczął tańczyć. Dziewczęta cofnęły się i przestały chichotać. Rytmicznie klaskały w dłonie, dopingując go piskiem i podnieconymi okrzykami.

Graf Otto tańczył ze zdumiewającą gracją jak na tak potężnie zbudowanego mężczyznę. Podskakiwał wysoko, wykonywał zwroty i dźgał powietrze trzymaną w prawej dłoni assegai. Wykonywał zawijasy obciągniętą skórą tarczą, którą trzymał na lewym ramieniu. Co ładniejsze i odważniejsze panny wychodziły do przodu i tańczyły z nim twarzą w twarz. Wyciągały długie szyje podobne do szyi żurawia, pobrząkując naszyjnikami z paciorków, które je zdobiły. Ich piersi, pokryte tłuszczem i czerwoną ochrą, kołysały się w rytm skoków. Uderzenia bosych stóp podniosły tumany kurzu przenikniętego piżmową wonią potu, żądzą krwi, śmiercią i zmysłowością.

Leon oparł się o kadłub Motyla, jakby był bez reszty po-

375

chłonięty tym pierwotnym widowiskiem. W odległości wyciągniętej ręki od niego, na przedniej krawędzi skrzydła Motyla, przysiadła Ewa i kołysała nogami. Ze swojego miejsca mógł się jej przyglądać, udając, że robi coś innego. Nie okazywała żadnych emocji prócz lekkiego rozbawienia. Ponownie zdumiało go, jak ona umiejętnie maskuje uczucia.

Graf Otto był jej mężczyzną, a ona jego kobietą, a jednak Niemiec uczestniczył w rytualnym, zmysłowym tańcu wraz z tuzinem ponętnych, półnagich i oszalałych młodych dziewcząt. Jeśli czuła się poniżona i znieważona jego prostackim zachowaniem, nie dała tego po sobie poznać. Leon aż kipiał z wściekłości.

Spojrzała na niego, jakby wyczuła jego wzrok. Była spokojna, a jej twarz nie zdradzała żadnych uczuć. Kiedy ich spojrzenia się spotkały, pozwoliła mu wejrzeć w tajemne, pilnie strzeżone miejsca swojej duszy. W jej błękitnych oczach ujrzął tak wielką miłość, że wstrzymał oddech. W jednej chwili zrozumiał, jak głęboka przemiana się w nich dokonała. Należeli do siebie niezależnie od tego, co było wcześniej. Oprócz nich nie liczył się nikt i nic.

Przerwał im dźwięk rogu i donośny okrzyk morani. Wojownicy uformowali kolumnę. Loikot zajął miejsce na czele i prowadził ich do zdobyczy. Morani biegli za nim, nie przestając nucić pieśni lwa, wijąc się niczym wąż pomiędzy drzewami. Wśród nich błysnęło blade ciało von Meerbacha. Widzowie ruszyli za nimi. Gustaw i Hennie zostali wciągnięci przez tłum i podążyli wraz z nim.

Leon i Ewa zostali sami. Podszedł do skrzydła, na którym siedziała.

— Jeśli mamy to zobaczyć, musimy się pospieszyć.

— Pomóż mi zejść. - Wyciągnęła ramiona i pochyliła się

ku niemu. Objął rękoma wąską kibić i na krótką chwilę przy

ciągnął Ewę do siebie, stawiając na ziemi. Pachniała znajomymi perfumami, czuł na sobie ciepło jej ciała. Zrozumiała jego spojrzenie i zdała sobie sprawę z męskości sztywniejącej pod ubraniami. - Wiem, Ratelku. Wiem, co czujesz. Czuję podob-

376

nie. Musimy okazać jeszcze trochę cierpliwości. Obiecuję ci, że już wkrótce będziemy razem.

- Boże! -jęknął. - Chciałbym... Otto i lew... gdyby tak...

W jej oczach błysnął lęk.

— Nie, nie mów tego! - Położyła palec na jego wargach. - Nie wypowiadaj takiego życzenia. Przyniosłoby nam to ogromne nieszczęście. - Kiedy cofnęła rękę od jego twarzy, zauważył, że Manyoro podszedł cicho i stanął za nim. W jednej ręce trzymał hollanda, w drugiej bandolier.

— Dziękuję, bracie - powiedział Leon, odbierając broń.

— Von Meerbach polecił, aby nie używać broni palnej podczas polowania - przypomniała mu Ewa.

— Wyobrażasz sobie, co by się stało, gdyby ranił lwa, a zwierzę wpadłoby między ludzi? - spytał ponuro Leon. -

Graf może mieć pakt z diabłem, lecz nie pozwolę, by elementem umowy było życie kilkunastu kobiet i dzieci. - Otworzył sztucer, wsuwając do komory dwa duże naboje w mosiężnej łusce. - Możesz biec w tej sukience i butach?

— Tak.

— Przekonajmy się. - Chwytał ją za rękę i pobiegli za

kolumną morani, która szybko oddalała się od podążającej za nimi hałasty.

Jej szybkość go zdumiała. Ewa podniosła drugie poły sukni z gabardyny i biegła z gracją i lekkością młodej łani. Ujął ją za ramię na nierównej ścieżce i pomógł wspiąć się na stromą krawędź wąwozu. Wyprzedzili maruderów i dopędzili główną grupę morani. Gdy prowadzący polowanie ponownie zadał w róg, znajdowali się niedaleko pierwszego rzędu wojowników. Morani zwinnie utworzyli bitewną formację.

— Osaczyli lwa - wysapał ze zmęczenia.

— Skąd wiesz? Widziałeś? - spytała zdyszana.

— Stąd go nie widać, lecz oni go dojrżeli. Sądząc po sposobie, w jaki się poruszają, musi leżeć w gęstych zaroślach u podnóża pagórka. - Mówiąc to, wskazał rozrzucone skały i krzaki o srebrzystych liściach.

377

— Gdzie jest Otto? - Wzięła głęboki oddech, ponownie opierając się o niego. Czoło miała wilgotne i lśniące od potu. Czuł jej ciepły, kobiecy zapach.

— Jest wśród nich. A gdzie się go spodziewałaś? - Leon wskazał bladą postać stojącą w pierwszym szeregu czarno skórych wojowników otaczających skalisty pagórek niczym zaciskająca się pięść.

— Widzisz lwa? - spytała ze strachem.

— Nie, musimy podejść bliżej. - Ujął ją za ramię i ponownie ruszyli. Kiedy od pierwszego szeregu morani dzieliło ich

nie więcej niż sto pięćdziesiąt kroków, Leon nagle przystanął.

— Dobry Boże, to on! Widzę go! Widzę lwa! - Mówiąc to, wskazał przed siebie.

— Gdzie? Nie mogę go zobaczyć.

— Tam, wyżej. - Ujął ją za ramiona i odwrócił tak, by stanęła twarzą do niego. - Widzisz ogromne czarne cielsko na wierzchołku najwyższej skały? To on! Posłuchaj! Morani go przyzywają.

— Nie widzę... - Przerwała, wydając stłumiony okrzyk, gdy lew podniósł się i nastroszył grzywę. - Cały czas na niego patrzyłam. Nie sądziłam, że jest taki ogromny. Myślałam, że to olbrzymi gład.

Lew zakołysał ogromnym łbem, patrząc na chmurę nieprzyjaciół. Z oddali ujrzeli błysk jego pazurów i usłyszeli ryk wściekłości. Zwierzę opuściło głowę i położyło uszy po sobie, wbijając ślepią w bladego niczym księżyc Ottona von Meer-bacha, stojącego pośrodku Masajów. Ogarnięty furią zwierzę upatrzył sobie ofiarę. Nie potrzebował dodatkowej zachęty oprócz widoku obcego ciała. Ryknął powtórnie i skoczył do ataku, zbiegając z pagórka wprost na grafa.

Morani wydali bojowy okrzyk, uderzając w tarcze i drażniąc lwa. Dotarłszy do podstawy pagórka, bestia rozpląszczyła się przy ziemi i sunęła w tej pozycji, wzbijając obłoki pyłu potężnymi pazurami i wydając groźny ryk z każdym susem.

Von Meerbach bez chwili wahania uniósł tarczę i ruszył na

378

spotkanie wielkiej bestii. Leon i Ewa podeszli bliżej i z poczuciem nieuchronności obserwowali bieg zdarzeń. Chwyliła jego dłoń tak mocno, że poczuł paznokcie wbijające się w skórę, raniące aż do krwi.

- Zabije go - wyszeptała, lecz graf Otto w ostatniej chwili wykonał manewr godny doskonałego atlety. Przyklęknął na jedno kolano, zasłaniając się skórzaną tarczą, a jednocześnie

skierowując assegai na pędzącego lwa. Lew skoczył na klatkę piersiową grafa, przygniatając go swoim cielskiem, tak że prawa ręka, w której Otto trzymał włócznię, zniknęła w szorstkiej, czarnej grzywie. Ostrze przeszło serce. Zwierzę otworzyło pysk, by wydać ostatni ryk, lecz trysnęła z niego krew, oblewając głowę i ramiona von Meerbacha. Lew potoczył się w tył z assegai w sercu, zrobił koło na chwiejnych łapach i upadł na trawę w konwulsjach. Idealne trafienie.

Niemiec cisnął tarczę i skoczył na równe nogi, rycząc triumfalnie i wirując niczym derwisz, z twarzą wykrzywioną i umazaną krwią. Kilkunastu morani podbiegło, by zatopić dzidy w martwym cielsku. Graf zastąpił im drogę, władczo pokrzykując i odpędzając wojowników od zdobyczy. Wyrwał assegai z cielska lwa i potrząsnął nią groźnie, zastępując drogę wojownikom. Krzyczał im w twarz, jak oszalały waląc pięściami w klatkę piersiową. Masajowie odpowiedzieli gniewnym rykiem, uderzając ostrzami dzid o tarcze. Domagali się udziału w chwale, prawa do zanurzenia assegai we krwi lwa. Otto dźgnął jednego z morani, lecz ten był na tyle szybki, by odparować cios tarczą. Von Meerbach wydał okrzyk wściekłości i cisnął w niego assegai niczym oszczepem. Wojownik uniósł tarczę, lecz ostrze przecięło skórę i zraniło go w nadgarstek. Masajowie wydali okrzyk furii.

— Boże! On oszalał! - zawołała zdyszonym głosem. -

Któryś zginie. On albo Masaj. Muszę go powstrzymać! -

Ruszyła przed siebie.

— Nie rób tego. Zaślepiła ich żądza krwi. Nie zdołasz ich powstrzymać. Stanie ci się krzywda! - krzyknął, chwytając ją za ramię.

379

Szarpnęła się.

— Wcześniej udawało mi się go uspokoić. Posłuchaj... -

Szarpnęła się ponownie, lecz Leon otoczył jej tułów lewym ramieniem, unosząc sztucer w prawej dłoni. Chociaż była silna,

nie mogła się uwolnić z jego uścisku.

— Za późno - syknął jej do ucha, unosząc w górę ciężki sztucer niczym pistolet i wskazując lufą miejsce ponad głową grafa Ottona i rannego morani. - Spójrz tam, na szczyt pagórka.

Odwróciła głowę i ujrzała drugiego samca. Stał na wierzchołku pagórka. Ogromna bestia, większa od tej, którą zabił graf. Lew nastroszył grzywę z wściekłości, co sprawiło, że wydawał się dwukrotnie większy. Wygiął grzbiet, rozwarł paszczę i ryknął głęboko, opuszczając łeb. Jego głos wstrząsnął ziemią. Gapie, Otto i pogrążeni w bitewnym szale wojownicy zamarli w śmiertelnej ciszy. Wszystkie głowy zwróciły się ku grani, na której stała bestia.

Lwy rozdzieliły się trzy dni wcześniej, gdy jeden uległ nieodpartemu zapachowi, który przyniósł przed wschodem słońca chłodny poranny powiew. Wyczuł lwicę w rui. Porzucił młodszego brata bliźniaka, aby odpowiedzieć na zaproszenie przyniesione przez wiatr.

Gdy godzinę po wschodzie słońca odnalazł lwicę, był z nią inny lew - młodszy zalotnik. Zwarli się w zażartej walce, rycząc i kalecząc się wzajemnie kłami i pazurami. Starszy lew został ranny. Rywal odpędził go od samicy, głęboko rozorał mu bok, pozostawiając na barku otwartą ranę sięgającą kości. Pokonany wrócił do brata, utykając z bólu i cierpiąc z powodu doznanego upokorzenia. Spotkały się tuż po wschodzie księżyca. Ranny pożywił się antylopą kudu zabita przez bliźniaka, a następnie wycofał na skalną półkę po drugiej stronie wzgórza, gdzie legł, odpoczywając i liżąc rany.

Był zbyt obolały i zeszywniały, aby stawić czoło morani, lecz gniewny ryk brata i jęk agonii wywabily go z kryjówek. Teraz spoglądał w dół na pole walki, gdzie leżało ciało brata.

380

Obce mu były takie ludzkie uczucia, jak smutek czy żal z powodu straty, wiedział jednak, czym jest wściekłość - okrutna wściekłość na cały świat, a szczególnie na te żalosne stworzenia, które stały naprzeciw niego. Graf Otto był najbliżej, a jego blade ciało niczym soczewka skupiło na sobie gniew samca. Lew skoczył naprzód, szarżując z boczem pagórka. Kobiety jęknęły z przerażenia i rozpierzchnęły się jak stado kur na widok nadlatującego sokoła. Morani byli całkiem zaskoczeni -jeszcze przed chwilą walczyli z von Meerbachem, aż tu nagle, niczym za sprawą czarów, pojawił się drugi lew.

Kiedy zwarli szeregi, aby odpowiedzieć na nowy atak, bestia pokonała już połowę drogi dzielącą ją od grafa.

- Zostań tutaj! Nie zbliżaj się! -krzyknął Leon, puszczając Ewę i biegnąc przed siebie, by chronić klienta. Niestety, on i morani przybyli za późno.

W ostatniej chwili von Meerbach wyrzucił przed siebie ramiona, daremnie próbując się zasłonić, lecz lew przygniótł go swoim masywnym cielskiem. Graf runął w tył powalony przez rozwścieczone zwierzę. Lew objął go w miażdżącym uścisku przednich łap, raniąc plecy pazurami niczym rzeźnickim hakiem. W tej samej chwili tylne łapy rozorały dolną część tułowia, otwierając jamę brzuszną i uda. Zwierzę przykucnęło na leżącym, chcąc dobrać się do twarzy i gardła, lecz graf wsunął przedramię w rozwarte szczęki. Lew zacisnął paszczę. Nadbiegający Leon usłyszał chrzęst miażdżonych kości. Bestia ugryzła ponownie, tym razem gruchocząc prawe ramię Ottona. Tylne łapy cały czas pracowały, jak u kotka bawiącego się motkiem wełny, rozorując długimi żółtymi pazurami uda i brzuch.

Leon odbezpieczył sztucer, wycelował w ucho bestii i pociągnął oba spusty. Kule rozwały czaszkę i wyleciały z drugiej strony, wyrzucając na zewnątrz większą część mózgu. Lew przewrócił się na bok i stoczył z von Meerbacha.

Leon stanął nad Niemcem, nadal słysząc głośny huk w uszach. Z niewiarą i przerażeniem spojrzął na rany, które zwierzę zdołało zadać w ciągu zaledwie kilku sekund. Przez

381

chwilę nie mógł się przemóc, by dotknąć zakrwawionego ciała. Krew buchała z potwornie rozerwanej ręki i ramienia, tryskała z głębokich ran ud i brzucha.

— Żyje? - Ewa podbiegła, ignorując jego polecenie. -

Żyje czy nie?

— Tak i nie - odparł ponuro, lecz jej głos wyrwał go

z otępienia wywołanego szokiem. Podał sztucer Manyoro i przy

klęknął obok ciała swojego klienta. Wyciągnął nóż myśliwski

z pochwy i zaczął rozcinać zakrwawioną shukę.

— Dobry Boże, zmasakrował go. Będę potrzebował twojej pomocy. Znasz się na udzielaniu pierwszej pomocy? - spytał

Ewę.

— Tak - odparła, klękając obok niego. - Przeszłam szko

lenie. - Jej głos był spokojny i rzeczowy. - Najpierw trzeba

zatarować krwawienie.

Leon zdjął ostatni skrawek rozdartej shuki i pociął tkaninę na pasy mające spełniać funkcję bandażu. Następnie założył opaski uciskowe na rozoranym ramieniu i udach. Później opatrzyli inne głębokie rany zadane pazurami.

Obserwował zręczną i staranną pracę jej dłoni. Nie okazywała odrazy, choć umazała się krwią po łokcie.

— Wiesz, co robić. Gdzie się tego nauczyłaś?

— Mogłabym spytać cię o to samo - odrzekła.

— Odyłem podstawowe szkolenie w armii - odpowie

dział.

— Podobnie jak ja.

Spojrzał na nią ze zdumieniem.

— Służyłaś w armii niemieckiej?

— Pewnego dnia opowiem ci historię mojego życia, lecz teraz nie ma na to czasu. - Otarła zakrwawione dłonie o sukienkę, spojrzała na ich robotę i potrząsnęła głową. - Mógłby się wylizać z ran, bo jest silniejszy niż większość ludzi, lecz infekcja i gangrena go zabiją - oceniła.

— Masz słuszność. Pazury i kły lwa są bardziej śmiertelne od zatrutych strzał. Mnóstwo na nich zgniętego ciała

382

i wyschniętej krwi, to wylęgarnia zarasków, małych przyjaciół doktora Josepha Listera. Trzeba go jak najszybciej przewieźć do Nairobi, aby doktor Thompson przygotował mu gorącą kąpiel w jodynie.

— Nie można go przenieść, dopóki nie opatrzymy ran brzucha. Jeśli go podniesiemy, wnętrzności mogą wypłynąć. Mógł

byś go zszyć? - spytała.

— Nie wiedziałbym, od czego zacząć - odpowiedział. -

To robota dla chirurga. Musimy go obwiązać i liczyć na szczęście. - Owinęli jego brzuch shuki. Leon patrzył na Ewę, oczekując, że okaże jakieś emocje. Nie zdradzała żadnego smutku. Czy ona cokolwiek czuje? Pracowała z dystansem zawodowca, unikając jego wzroku, więc nie potrafił udzielić sobie odpowiedzi.

W końcu podnieśli von Meerbacha na jego wojennej tarczy. Szczęściu morani uniosło ciało i ruszyło pędem w kierunku solnej łąchy, do czekającego Motyla.

Pod okiem Manyoro wstawili prowizoryczne nosze do kok-piru. Kiedy Leon przymocował je do stalowych pierścieni w podłodze, podniósł głowę i spojrzał na Ewę. Przykucnęła naprzeciw niego, blada i potargana. Jej sukienka była uwalana ziemią i krwią.

— Nie przeżyje, Ewo. Stracił zbyt dużo krwi. Ale doktor Thompson może dokonać kolejnego cudu, jeśli zdołamy do starczyć go na czas do Nairobi.

— Nie polecę z tobą - rzekła cicho.

Spojrzał na nią zdumiony. Nie chodziło o wiadomość, lecz o język, w jakim ją wypowiedziała.

— Mówisz po angielsku, poznaję akcent z okolic New-castle - powiedział. Liryczna kadencja jej głosu zabrzmiała słodko w jego uszach.

— Tak, pochodzę z Northumberland - odparła ze smutnym uśmiechem.

— Nie rozumiem...

Odgarnęła włosy z czoła i potrząsnęła głową.

— Wiem, Ratelku, nie możesz tego zrozumieć. Nie wiesz o mnie wielu rzeczy, a ja nie mogę ci powiedzieć... przynajmniej na razie...

— Powiedz mi tylko jedno. Co naprawdę czujesz do Ottona von Meerbacha? Kochasz go?

Wytrzeszczyła oczy, patrząc na niego z przerażeniem.

— Jego? - zaśmiała się krótko z goryczą. - Nie, nie kocham go. Nienawidzę go z całego serca.

— W takim razie czemu z nim jesteś? Po co cała ta gra?

— Jestem żołnierzem podobnie jak ty. Wiem, co to obowiązek i patriotyzm. - Odetchnęła głęboko. - Mam już tego dosyć. Nie mogę ciągnąć tego dłużej. Nie polecę z tobą do Nairobi. Jeśli to uczynię, nigdy nie zdołam się od nich uwolnić.

— Przed kim chcesz uciec?

— Przed tymi, którzy posiadli moją duszę.

— Dokąd pójdziesz?

— Nie wiem. Ukryję się gdzieś, gdzie mnie nie znajdą. -

Ujęła jego dłoń. - Ufam ci, Leonie. Mam nadzieję, że znasz dobrą kryjówkę. Miejsce, w którym oboje moglibyśmy się schronić.

— Co z nim? - Wskazał na zakrwawione ciało leżące w kokpicie. - Nie możemy tak go zostawić. Umrze, jeśli szybko czegoś nie zrobimy.

— Masz rację - przytaknęła. - Nie możemy go zostawić mimo tego, co do niego czuję. Znajdź mi kryjówkę i wróć jak

najszybciej. Tylko w ten sposób mogę odzyskać wolność.

— Wolność? Czy teraz nie jesteś wolna?

— Nie, jestem niewolnikiem okoliczności. Chyba nie uwierzyysz, że wybrałam sobie obecne życie? Że chciałam zostać tym, kim jestem?

— A kim jesteś? Kim się stałaś?

— Dziwką i oszustką. Wpadłam w szpony potwora. Kiedyś byłam taka jak ty, dobra, szczerą i niewinna. I znowu chcę taka być. Chcę być jak ty. Czy mnie przyjmiesz? Zbrukaną i poharńbioną? Zechcesz mnie?

384

— Na Boga, niczego bardziej nie pragnę. Kocham cię od pierwszej chwili, gdy cię ujrzałem.

— W takim razie nie pytaj więcej. Błagam cię. Ukryj mnie na tym pustkowiu i zabierz Ottona do Nairobi. Jeśli ktoś będzie o mnie pytał, ktokolwiek, nie mów, gdzie jestem. Powiedz, że po prostu zniknęłam. Zostaw Ottona w szpitalu. Jeśli przeżyje, odeślą go do Niemiec. Wróć do mnie jak najszybciej. Wtedy ci wszystko wyjaśnię. Zrobisz to? Czy zaufasz mi wbrew wszystkiemu?

— Wiesz, że tak - odrzekł cicho. - Manyoro! Loikot! - zawołał. Masajowie czekali w pobliżu. Potrzebował minuty, aby wydać im krótkie, rzeczowe polecenia. - Pójdiesz z nimi - zwrócił się do Ewy. - Mów, co ci każą. Możesz im

zaufać.

— Wiem. Dokąd mnie zabiorą?

— Na górę Lonsonyo, do Lusimy - odpowiedział i ujrzał,
jak zmartwienie znika z jej oczu.

— Na naszą górę? - spytała. - Od początku wiedziałam,
że Lonsonyo będzie miała dla nas szczególne znaczenie.

Kiedy rozmawiali, Manyoro znalazł torbę podróżną, w której Ewa trzymała swoje rzeczy osobiste. Wyciągnął ją z luku bagażowego w tylnej części kokpitu i rzucił Loikotowi, który stał obok kadłuba. Na chwilę zostali sami. Popatrzyli na siebie bez słowa. Wyciągnął ręce, by ją objąć, a ona rzuciła mu się w ramiona. Tulili się do siebie tak mocno, jakby chcieli stopić się w jedno. Jej wargi zadrżały przy jego policzku.

- Pocałuj mnie, kochany. Tak długo na to czekałam. Pocałuj
mnie teraz.

Ich wargi zetknęły się tak lekko jak dwa motyle dotykające się w locie. Po chwili złączyły się silniej i głębiej, tak że poczuł smak i ciepło jej języka, różową wilgoć ust. Chociaż pierwszy pocałunek trwał zaledwie chwilę, wydawał się wiecznością. Z trudem się rozłączyli i spojrzeli na siebie ze zdumieniem.

- Czułem, że cię kocham, lecz dopiero teraz dowiedziałem
się jak bardzo - powiedział cicho.

385

— Wiem - odparła. - Do tej pory nie wiedziałam, co to
znaczy bezgranicznie kogoś kochać i całkowicie mu ufać.

— Muszę iść - powiedział. - Jeśli zostanę choćby chwilę
dłużej, nie pozwolę ci odejść.

Odwróciła oczy i spojrzała na solną łąkę, którą morani i mieszkańcy wioski szli w ich stronę. Mężczyźni nieśli na tyczkach ciała dwóch lwów ze zwisającymi bezwładnie głowami.

- Idą Gustaw i Hennie - powiedziała. - Nie powinni
zobaczyć, że odchodzę ani dokąd idę. - Pocałowali się ponow

nie i odsunęli od siebie. - Będę na ciebie czekała. Każda sekunda rozłąki przyniesie mi cierpienie. - Zaszleściła suknią i zeskoczyła z kokpitu, by zniknąć między drzewami z Manyoro i Loikotem, zasłonięta przed oczami Gustawa i Henniego kadłubem aeroplanu. Kiedy dotarli do linii drzew, odwróciła się i pomachała mu. Był zdumiony smutkiem, który ogarnął go, gdy odeszła. Z wysiłkiem otrząsnął się z przygnębienia i odwrócił do Gustawa gramolącego się do kokpitu.

Mężczyzna padł na kolana obok ciała grafa.

— Boże! Dobry Boże! -jęknął. - Zabił go! - Po jego spieczonych słońcem policzkach zaczęły płynąć łzy. - Boże, błagam, oszczędź go! Był mi bliższy niż ojciec. - Najwyraźniej całkiem zapomniał o istnieniu Ewy von Wellberg.

— Nie umarł, lecz z pewnością umrze, jeśli nie uruchomisz silników - powiedział mu szorstko Leon. - Trzeba go jak najszybciej zawieźć do lekarza. - Gustaw i Hennie zabrali się do roboty. Po kilku minutach cztery silniki ryknęły i zaczęły się grzać, wydmuchując siny dym zalatujący olejem rycynowym. Leon ustawił nos Motyla pod wiatr i zaczekał, aż wszystkie cztery silniki zaczną równo pracować, a następnie zawołał do Gustawa i Henniego, by przytrzymali nosze.

Przykucnęli nad prowizorycznymi noszami, na których ułożono von Meerbacha, chwytając z całych sił ich krawędzie. Leon otworzył przepustnice. Maszyna ryknęła i zaczęła się toczyć po pasie. Przeleciał nad drzewami, wypatrując Ewy.

Zobaczył ją. Kawalkada posuwała się w szybkim tempie ćwierć mili od krawędzi solnej łąchy. Ewa biegła w niewielkiej odległości za Masajami. Przystanęła i spojrzała w górę, machając kapeluszem. Włosy opadły jej na ramiona. Śmiała się. Wiedział, że chce mu w ten sposób dodać odwagi. Serce mu się ścisnęło na widok jej odwagi i hartu ducha, lecz nie odważył się odpowiedzieć pozdrowieniem, by Gustaw nie dostrzegł małej postaci w dole. Motyl wzbijał się coraz wyżej ku szczytom Wielkich Rowów.

Na boisku do polo niedaleko Nairobi wylądowali późnym popołudniem, słońce zaczęło już zachodzić. Lądowisko było opustoszałe, bo nikt ich nie oczekiwał. Leon podkołował do hangaru, stanął obok samochodu myśliwskiego i wyłączył silniki. Wynieśli nosze z kokpitu i ułożyli je na ziemi.

Leon obejrzał von Meerbacha. Nie wyczuł oddechu. Skóra Niemca była blada, wilgotna i chłodna. Nie dawał żadnych oznak życia. Leon odetchnął z ulgą i poczuciem winy, że jego pragnienie tak szybko się spełniło. Kiedy jednak dotknął karku grafa poniżej ucha, wyczuł drżące i nieregularne pulsowanie tętnicy szyjnej. Przyłożył ucho do warg mężczyzny i usłyszał słaby świst powietrza dostającego się do płuc i wydobywającego z nich.

Zwykły człowiek umarłby dawno temu, lecz ten drań jest twardy jak skóra na zadzie słonia, pomyślał z goryczą.

- Podjedź samochodem - polecił Gustawowi. Umieścili nosze na tylnym siedzeniu. Gustaw i Hennie trzymali je przez całą drogę do szpitala, którą pokonali w wolnym tempie, omijając koleiny i wyboje.

Szpital w Nairobi był małym, krytym strzechą budynkiem z glinianej cegły, stojącym naprzeciw nowego kościoła anglikańskiego. Składał się z kliniki, prymitywnej sali operacyjnej i dwóch pustych oddziałów. Ponieważ w budynku nie było nikogo, Leon popędził do domku, który znajdował się na tyłach.

387

Doktor Thompson i jego żona zasiedli do obiadu, lecz zostawili jedzenie i w pośpiechu udali się za Leonem do szpitala. Pani Thompson była jedyną dyplomowaną pielęgniarką w całej kolonii, więc natychmiast objęła dowodzenie. Pod jej okiem Gustaw i Hennie wnieśli grafa do kliniki i położyli na stole. Kiedy doktor zdejmował prowizoryczne bandażę, przynieśli ocynkowaną żelazną miednicę i napełnili ją ciepłą wodą, do której pani Thompson wlała ćwierć butelki stężonego roztworu jodku potasu w jodynie. Unieśli poranione ciało Ottona i włożyli je do parującego roztworu.

Ból był tak straszny, że graf drgnął, budząc się z mrocznej śpiączki i próbując wygramolić się z balii żrącego aseptycznego roztworu. Trzymali go bez litości, aby płyn przeniknął do wnętrza strasznych ran. Mimo niechęci, którą do niego czuł, Leon był poruszony jego wielkim cierpieniem. Wymknął się niepostrzeżenie na zewnątrz, by poczuć delikatne wieczorne powietrze.

Zanim dotarł do boiska polo, słońce już zaszło. Paulus i Ludwig, dwaj mechanicy Gustawa, usłyszeli huk łądzącego Motyla i przyjechali, aby ustalić, co się dzieje. Leon złożył im krótką relację o tym, co spotkało grafa, a następnie oznajmił:

— Muszę wracać. Nie wiem, co się stało z Fraulein von Wellberg. Została sama. Może jej grozić niebezpieczeństwo.

Zbiorniki Motyla są prawie puste. Co z Trzmielcem?

— Zatankowaliśmy samolot zaraz po pana przylocie - poinformował go Ludwig.

— Pomóżcie mi uruchomić silniki - rzekł Leon, idąc w kierunku maszyny.

— Nie może pan lecieć w ciemności! - zaprotestował Ludwig.

— Za dwa dni będzie pełnia księżyca. Księżyc wzejdzie w ciągu godziny. Będzie jasno jak w dzień.

— A jeśli na niebie pojawią się chmury?

— Nie o tej porze roku - uspokoił go Leon. - Przestań się spierać i pomóż mi ją uruchomić. - Wspiął się do kokpitu

388

i przystąpił do wykonywania rutynowych czynności. W połowie procedury zatrzymał się i przechylił głowę. Usłyszał tętent kopyt dolatujący od strony miasta. - Niech to szlag! - mruknął. - Miałem nadzieję, że uda mi się wyjechać niepostrzeżenie. Ciekawe któż to taki? - Przechylił się i obserwował ciemny kształt konia i jeźdźca wynurzający się z mroku. Odetchnął z ulgą, rozpoznając wysoką korpulentną postać, chociaż twarz tamtego była niewidoczna.

— Wuju Penrodzie! - zawołał.

Jeździec zatrzymał konia.

— To ty, Leonie?

— Tak - odpowiedział, próbując ukryć niezadowolenie.

- Co się dzieje? - spytał Penrod. - Jadłem obiad z Hugh Delamere'em w klubie Muthaiga, kiedy usłyszeliśmy dźwięk

nadlatującego samolotu. W barze natychmiast zaczęły krążyć plotki. Ktoś widział von Meerbacha niesionego na noszach. Powiadają, że uległ wypadkowi, że został pogryziony przez lwa, a Fraulein von Wellberg zaginęła lub nie żyje. Poszedłem do szpitala, lecz okazało się, że doktor Thompson operuje, nie mogłem więc z nim pomówić. Później przypomniałem sobie, że tylko dwie osoby w tej kolonii potrafią pilotować samolot. Ponieważ von Meerbach chwilowo nie jest do tego zdolny, uznałem, że za sterami siedziałeś ty. Przyjechałem, aby zamienić z tobą słówko.

Leon zaśmiał się ponuro. Trudno było przechytryć generała Ballantyne'a.

— Wuju, jesteś cholernym geniuszem.

— Wszyscy mi to powtarzają. Słuchaj, chłopcze, chcę, abyś sporządził obszerny raport z tego wydarzenia. Na Boga, co masz zamiar zrobić? Co się przydarzyło von Meerbachowi? Gdzie urocza Fraulein?

— Niektóre z plotek są prawdziwe. Przed chwilą przywiozłem von Meerbacha. Został ciężko poraniony przez lwa. Zo stawiałem go pod opieką doktora. Nie sądzę, by przeżył. Odniósł poważne rany.

389

— Jak mogłeś do tego dopuścić, Leonie? - Głos Penroda zdradzał wściekłość. - Na Boga, cała moja ciężka praca poszła na marne.

— Uparł się, by zapolować na lwa z assegai, sposobem Masajów, a ten dopadł go, zanim zdążyłem zareagować.

— Ten człowiek to skończony głupiec - prychnął Penrod. - Ty jesteś niewiele lepszy. Nie powinieneś do tego dopuścić. Wiesz, jaki był dla nas ważny, ile mogliśmy się od niego dowiedzieć. Niech to szlag! Trzeba było go powstrzymać.

Powinieneś opiekować się nim jak niemowlęciem.

— To duże złe dziecko, które ma własne zdanie. Niełatwo takiego upilnować - odrzekł z gniewem.

Penrod szybko zmienił taktykę.

- Gdzie von Wellberg? Mam nadzieję, że nie rzuciłeś jej lwom na pożarcie.

Szyderstwo doprowadziło Leona do wściekłości, o co właśnie chodziło Penrodowi. Z trudem powstrzymał się przed powiedzeniem prawdy. W uszach zabrzmiało mu jej ostrzeżenie: "Jeśli ktoś będzie o mnie pytał, ktokolwiek, nie mów, gdzie jestem. Powiedz, że zniknęłam".

"Ktokolwiek". Czyżby ostrzegała go także przed Penrodem? Zaczął gorączkowo myśleć. Przypomniał sobie incydent podczas uroczystego bankietu w kantine oficerskiej regimentu, kiedy przytapał ich w ogrodzie. Jego podejrzenia okazały się słuszne. Ewa nigdy nie otworzyłaby się przed Ballantyne'em, gdyby nie łączyło ich jakieś porozumienie. Później przypomniał sobie jej niejasną wzmiankę o wojsku. Wuj był dowódcą wojsk angielskich stacjonujących w kolonii. Wszystko zaczynało nabierać sensu. Znalazłam się w szponach potwora. Czy tym potworem był Penrod? Odetchnął głęboko i odpowiedział stanowczo:

- Zniknęła.

Błyskawiczna, ostra reakcja potwierdziła jego przypuszczenia. Penrod był uwikłany w ponurą intrygę.

Jestem żołnierzem podobnie jak ty, Ratelku. Wiem, co to obowiązek i patriotyzm.

390

Tak, był żołnierzem, a teraz okłamywał oficera wyższego stopniem. Już raz uznano go za winnego nieposłuszeństwa, niewykonania rozkazu przełożonego i zaniedbania obowiązków. Teraz dopuszczał się

tego samego przestępstwa rozmyślnie. Podobnie jak Ewa znalazł się w szponach potwora.

— Daj spokój, chłopcze. Wyduś to z siebie. Co to znaczy

"zniknęła"? Ludzie nie znikają ot tak po prostu.

— Kiedy von Meerbacha zaatakował lew, próbowałem go
bronić. To jemu groziło niebezpieczeństwo, a nie damie... -

Mało brakowało, a powiedziała by "Ewie". - Kazałem jej trzy
mać się z tyłu i pobiegłem naprzód z Masajami. W zamieszaniu
straciłem ją z oczu. Kiedy lew powalił von Meerbacha i zaczął
go szarpać, myślałem tylko o tym, jak go opatrzyć i dostarczyć
do doktora Thompsona. Przypomniałem sobie o Fraulein von
Wellberg dopiero w powietrzu. Wtedy było za późno, aby po
nią wrócić. Pomyślałem, że Manyoro i Loikot ją odnajdą. Mam
nadzieję, że zapewnią jej bezpieczeństwo. Zamierzam odbyć
nocny lot do doliny, aby się upewnić, że nic jej nie grozi.

Penrod podjechał do kadłuba maszyny i spojrzał groźnie na Leona. Młodzieniec był rad, że ciemności
skrywają go przed badawczym wzrokiem wuja, bo bez wątplenia winę miał wypisaną na twarzy.

— Posłuchaj mnie, Leonie Courtney! Odpowiesz przede
mną, jeśli cokolwiek się jej stanie. Oto moje rozkazy, dobrze
je zapamiętaj! Wrócisz do buszu, tam gdzie zostawiłeś Ewę
von Wellberg, i sprowadzisz ją tutaj. Do mnie. Powtarzam, do
mnie i do nikogo innego. Czy wyraziłem się jasno?

— Tak jest.

— Jeśli mnie zawiedziesz, nauczę cię, co to "ból" i "cier
pienie". To, czego doświadczyłeś z ręki Freddiego Snella, wyda
ci się poklepaniem po plecach. Ostrzegam cię.

— Tak jest. Byłbyś, wuju, teraz łaskaw odsunąć się od śmi

gieł? Zamierzam czym prędzej wyruszyć, aby wykonać rozkazy.

Ludwig ustawił wielką ciężarówkę von Meerbacha na drugim końcu boiska, tak by reflektory oświetlały pas startowy. Roz-

391

pędzając maszynę, Leon widział zgarbioną sylwetkę Penroda w świetle samochodu. Niemal czuł palący gniew wuja.

Kiedy przeleciał nad wierzchołkami eukaliptusów, skierował maszynę w stronę Obozu Percy'ego. Wzbił się wyżej i ujrzał tarczę księżyca wznoszącego się nad czarnym horyzontem, by wskazywać mu drogę. Oddalone o piętnaście mil wzgórze oświetlał księżyc, wskazując mu ostatni odcinek drogi. Aby zwrócić uwagę Maksa Rosenthala, trzykrotnie okrążył obozowisko, na przemian zwiększając i zmniejszając obroty silników. Podczas ostatniego okrążenia zauważył przed sobą światła samochodu. Max zrozumiał, czego od niego oczekuje, i ustawił pojazd w taki sposób, aby wskazać mu lądowisko.

Kiedy tylko zatrzymał Trzmiela, wyciągnął torbę z luku bagażowego oraz hollanda i bandolier ze schowka, w którym pozostawił go Manyoro. Zeskoczył na ziemię i ruszył w kierunku samochodu.

— Max, przygotuj mi cztery najlepsze konie. Pojedzie ze mną jeden ze stajennych. Każdy z nas będzie prowadził luzaka.

— Jawohl, szefie. Co pan zamierza? Kiedy chce pan wyjechać?

— Nie martw się o to, dokąd jadę! Wyruszę natychmiast!

— Himmel! Jest jedenasta w nocy. Nie może pan poczekać do rana?

— Spieszę się, Max!

— Ja, widzę.

Pobiegł do namiotu i pospiesznie spakował kilka podstawowych rzeczy, a następnie udał się do zagrody, gdzie czekały wierzchowce. Było ich pięć, a nie cztery, jak kazał. Rozpogodził gniewne oblicze, gdy rozpoznał postać siedzącą na czarnym mule.

- Niech ci prorok błogosławi! - powitał Izmaela.

Zęby kucharza błysnęły w świetle księżyca.

- Wiem, że beze mnie umarłbyś z głodu, efendi.

Jechali przez całą noc, co jakiś czas zmieniając konie. O świcie ujrzali mglisty siny kształt góry Lonsonyo rysujący się na

392

horyzoncie. W południe góra przysłoniła połowę wschodniego nieba. Po raz pierwszy oglądał ją z tej strony - zawsze zbliżał się do niej inną drogą. Teraz zwracała się ku niemu surowym północnym zboczem - tym, które oglądał z Ewą i von Meer-bachem podczas lotu Motylem.

Jechali już trzynaście godzin od opuszczenia Obozu Per-cy'ego. Chociaż niecierpliwił się na myśl o spotkaniu z Ewą, wiedział, że nie może oczekiwać więcej od zwierząt i ludzi. Musieli przystanąć, aby odpocząć i napoić konie. Zatrzymali się przy małym wodopoju na popas i rozsiadali zwierzęta.

W tym czasie Izmael zaparzył kawę, a następnie pokroił w plastry mięso antylopy i marynowaną cebulę, którą podał z kawałkami praśnego chleba. Po posiłku Leon spał aż do zmroku. Po zachodzie słońca osiadłali konie i ruszyli dalej. Chłodne powietrze sprawiało, że konie poruszały się energicznie, więc o świcie stanęli u podnóża góry. Leon spojrzął z podziwem na urwiste ściany pokryte barwnymi porostami. Zauważył srebrzyste strumienie wody spływające jednym z licznych wąwozów. Chociaż stąd nie było widać okrągłego czarnego jeziora, pomyślał, że musi to być wodospad, który wspólnie z Ewą oglądali z powietrza.

Od Loikota wiedział o ścieżce przy wodospadzie, biegnącej ponad urwiskiem na sam szczyt. Właśnie tędy zamierzał zaprowadzić Ewę do Lusimy. Nadal był zbyt daleko, aby ją dostrzec, nawet przez lornetkę. Zamiast tego skoncentrował się na oszacowaniu odległości i określeniu kierunku, z którego mogli nadchodzić, gdyż chciał przeciąć im drogę, zanim rozpoczną wspinaczkę. Pomyślał, że przypuszczalnie go wyprzedzili.

Świadomość, że Ewa jest w pobliżu, dodała mu otuchy. Izmael i stajenny nie mogli za nim nadążyć, gdy przynaglił wierzchowca do galopu. Po godzinie jazdy zatrzymał konia, zeskoczył z siodła i przykucnął obok licznych śladów zwierzyny wędrującej przez sawannę. W pyle wyraźnie odcisnęły się ślady pozostawione przez trzech ludzi. Manyoro szedł pierwszy -

393

Leon wszędzie rozpoznalby charakterystyczny ślad utykającego Masaja. Nie sposób było nie zauważyć palca ciągniętego po ziemi. Za nim szedł Loikot, stawiał długie, sprężyste kroki. Na końcu podążała Ewa.

- Kochana, nawet ślady twoich małych stóp są urocze! -

mruknął do siebie, dotykając wąskiego odcisku.

Tropy prowadziły w stronę Lonsonyo. Skoczył na konia i ruszył cwałem. Ścieżka pięła się w górę i z każdym krokiem stawała się coraz bardziej stroma. Pionowa ściana przysłoniła niebo, a żeglujące obłoki sprawiały wrażenie, jakby za chwilę miały go przygnieść.

Wkrótce musiał zsiąść z konia i iść pieszo, prowadząc zwierzę za sobą. Co jakiś czas przystawał, oglądał ślady Ewy i dalej energicznie się wspinał. Pochyłość zbocza powodowała, że widział tylko krótki odcinek drogi przed sobą, lecz szedł naprzód sprężystym krokiem. Jego towarzysze wlekli się w tyle, z każdą chwilą coraz bardziej się od niego oddalając. Dotarł do skalnej półki i stanął jak wryty.

Przed nim rozpościerało się okrągłe jezioro. Z aeroplanu wydawało się sporo mniejsze i niemal znikło na tle majestatycznej ściany i huczącego białego wodospadu. Masy wody były tak ogromne, że powodowały zawirowanie chłodnego powietrza wewnątrz skalnego kotła.

Usłyszał wołanie, słabe, niemal zagłuszone przez huk spadającej kaskadami wody. Rozpoznał głos i serce zabiło mu żywiej. Badawczo przyjrzał się skałom po obu stronach jeziora. Echo bywało zwodnicze. Nie wiedział, z której strony dolatuje dźwięk.

— Ewa! - krzyknął w kierunku skały. Słabnące echo od

powiedziało szyderczo.

— Leon! Kochany! - Tym razem rozpoznał kierunek, skąd

dobiegał głos. Spojrzał w lewo i uniósł głowę. Dostrzegł ruch

w górze i zrozumiał, że Ewa stoi na skalnej półce. Zaczęła

schodzić w jego stronę. Biegła zdradziecką ścieżką z szybkością

i zwinnością góralka.

—

394

— Ewa! - krzyknął. - Idą do ciebie! - Rzucił lejce

i zaczął biec skalną ścieżką na jej spotkanie. Za ukochaną ujrzał dwóch Masajów. Ze zdumieniem obserwowali niezwykłą sceną. Niemal równocześnie dotarli do krawędzi półki. On był poniżej krawędzi, ona na niej, sześć stóp nad jego głową.

— Złap mnie, Ratelku! - zawołała, skacząc w dół, ufna w jego siłę. Chwycił ją, lecz ciężar i siła rozpędu sprawiły, że upadł na kolana. Pochylił się nad nią, przyciskając opiekuńczo do piersi. Wybuchnęli śmiechem.

— Kocham cię, zwariowana dziewczyno!

— Obyś mnie więcej nie zawiódł! - powiedziała, całując go.

- Nigdy! - obiecał, odpowiadając na pocałunek.

Kiedy spróbowali złapać oddech, spostrzegł, że Manyoro

i Loikot ruszyli śladem Ewy i przykucnęli na półce ponad ich głowami, przypatrując się im z uśmiechem zadowolenia.

— Idźcie się naprzykrzać komu innemu! - zawołał w ich stronę. - Nic tu po was! Weźcie mojego konia i zejdźcie do Izmaela. Powiedzcie, aby rozbił obozowisko u podnóża góry.

Zaczekajcie na nas. Spędzimy tam dzisiejszą noc.

— Ndio, bwana - odparł Manyoro.

— Przestańcie chichotać.

— Ndio, bwana!

Rozbawiony głos Manyoro przycichł. Starszy Masaj zaczął schodzić w dół, lecz Loikot pozostał na półce. Nagle pisnął falsetem w kierunku Manyoro, naśladując głos Ewy:

- Śłap mnie, Lafelku! - Po tych słowach skoczył z półki, jak Ewa. Spadł na Manyoro z taką siłą, że powalił go na ziemię.

Potoczyli się w dół zbocza, obejmując wzajemnie. - Śłap

mnie! - wołali. - Słap mnie, Lafelku!

Oboje wybuchnęli śmiechem, nie mogąc się opanować. W końcu Leon odzyskał głos:

- Idźcie już, idioci! - rozkazał. - Zejdźcie mi z oczu!

Nie pokazujcie mi się długo, bardzo długo!

Masajowie zaczęli schodzić ścieżką, zataczając się ze śmiechu i obejmując wesoło.

395

— Słap mnie, Lafelku! - zawył Manyoro.

— Kofam cię, zfariofana dziefcyno! - Loikot poklepał się po policzku i potrząsnął głową. - Kofam cię - powtórzył, skacząc wysoko w powietrze

— Bez wątpienia był to najzabawniejszy incydent w całej historii Masajów. Trafimy do ich plemiennej mitologii - powiedział Leon, gdy mężczyźni zniknęli za zakrętem. Podniósł ją, a ona objęła go za szyję. Zaniósł Ewę na płaską półkę nad jeziorem i posadził sobie na kolanach. - Nawet nie wiesz, jak o tym marzyłem - wyszeptał.

- Ja marzyłam o tym całe życie - odparła.

Pogłodził jej twarz, przesuważąc czubkami palców po hakach

brwi i zatapiając ręce w gęstych włosach, napełniając dłonie jej grubymi, lśniącyimi lokami, sycąc się każdą cząstką jej piękna jak skąpiec z dumą oglądający uciufane złote monety. Była tak krucha i delikatna, toteż obawiał się, że może ją zranić, przestraszyć lub onieśmielić. Jej piękno go oczarowało. Była inna niż kobiety, które znał. Czuł się jej niegodny.

Zrozumiała jego rozterkę. Nieśmiałość Leona na nowo obudziła w niej czułość, której nie doznała już od tak dawna, lecz pragnęła go tak rozpaczliwie, że nie mogła czekać. Wiedziwała, że musi przejąć inicjatywę.

Poczuł, że rozpina mu koszulę. Jej dłoń wkradła się do środka

1 zaczęła pieścić umięśnioną pierś. Zadrzał z rozkoszy.

— Jesteś taki twardy i mocny - zamruczała.

— A ty taka miękka i delikatna.

Odsunęła się odrobinę, aby spojrzeć mu w oczy.

— Nie potłukę się, Ratelku. Jestem z ciała i krwi, podobnie jak ty. Pragnę tego samego. - Chwyliła zębami koniuszek jego ucha i lekko pociągnęła. Poczuł, że dostaje gęziej skórki na szyi. Kiedy wsunęła język głębiej, zadrżał z podniecenia.

— Mam wrażliwe miejsca, tak jak ty. - Położyła jego dłoń na piersi. - Jeśli zaczniesz mnie pieścić tutaj i tutaj, sam się przekonasz.

Wyczuł palcami guziki bluzki i rozpiął górny. Zrobił to

396

nieśmiało, oczekując nagany, lecz ona wygięła się do tyłu, wysuwając piersi na spotkanie jego dłoni.

- Sprytny chłopiec! Bez pomocy odnalazłeś jedno z moich czułych miejsc.

Słowa i ton, którym je wypowiedziała, sprawiły, że nie mógł się pohamować. Odsunął na bok wszelkie wątpliwości i ostrożność. Rozpiął bluzkę i sięgnął do środka. Jej piersi były gorące i delikatne jak jedwab. Poczuł, jak brodawki twardnieją pod jego palcami.

- Są twoje - wyszeptala, oddychając coraz szybciej. -

Wszystko, co mam, należy do ciebie.

Przysunęła się lekko, dotykając piersiami jego twarzy. Zrzuciła bluzkę i krótką jedwabną halkę. Była półnaga. Ponownie dotknęła go piersiami. Westchnęła, układając się w kotysce jego ramion, a następnie chwyciła ukochanego za włosy i przysunęła jego usta do drugiej piersi.

- Wybacz, najdroższy, nie mogę dłużej czekać - powie
działa niemal rozpaczliwym tonem, zeskakując z jego kolan
i klękając przed nim. Nagie ciężkie piersi ocierały się o jego

twarz, gdy rozpinęła mu pasek. Gdy rozpięła spodnie, podniósł się lekko, aby się zsunęły. Podwinęła długą spódnicę. Pod spodem nie miała niczego - jej talia i wypukłe biodra przy pomiędzy kształtem szyjkę greckiej wazy. Skóra brzucha była perłowa i nieskazitelna. Uda mocne i kształtne. Między nimi dostrzegł ciemne, gęste i bujne włosy. Uniosła kolano i dosiadła go jak konia. Kiedy rozchyliła uda, za gęstą czarną zasłoną ujrzał jej kobiecość. Była rozwarta i wilgotna z podniecenia. Jednym zręcznym ruchem bioder wprowadziła go w siebie. Krzyknęli z rozkoszy.

Ich zbliżenie było tak szybkie i intensywne, że obojgu odebrało mowę. Ledwie mogli się poruszyć, przywarli do siebie jak ludzie, którzy wyszli cało z trzęsienia ziemi lub tajfunu. Potrzebowali trochę czasu, aby powrócić do rzeczywistości.

- Nie wyobrażałam sobie, że będzie tak wspaniale -
przemówiła, kładąc głowę na jego piersi i nasłuchując bicia

397

serca. Zamknęła oczy, gdy pogładził jej włosy. Zasnęli. Obudziło ich poszczekiwanie zgrai pawianów na wysokiej skale. Ściany odbiły echem głosy małp. Usiadła i odgarnęła włosy z twarzy. Była nadal wilgotna od potu, a jej policzki płonęły.

— Jak długo spaliśmy? - spytała, mrugając.

— Czy to ważne?

— Tak, bardzo. Nie chcę tracić na sen ani jednej naszej wspólnej chwili.

— Mamy przed sobą całe życie.

— Modłę się, aby tak było, lecz ten świat jest okrutny. -

Spojrzała na niego ponuro. - Proszę, nigdy mnie nie opuszczaj.

— Przrzekam - odrzekł stanowczo. Uśmiechnęła się,
a w jej oczach pojawił się fiołkowy błysk.

— Masz rację, Ratelku. Będziemy wiecznie szczęśliwi. Nie
chcę się smucić w taki cudowny dzień. Świat nas nie odnaj
dzie. - Skoczyła na równe nogi i wykręciła piruet na skalnej
półce. - Ten dzień będzie trwał wiecznie - zanuciła. Tańcząc,
zdejmowała resztki ubrania i rozrzucała je na skale.

— Co robisz, bezwstydna latawico? - spytał ze śmiechem,
patrząc z rozkoszą, jak tańczy dla niego nago w promieniach
słońca. Jej ciało było piękne i młode, a ruchy gibkie i wdzięczne.

— Popływamy w magicznym jeziorze! - zawołała. -
Zrzuć te zakurzone stare ubrania i chodź ze mną. - Stanęła,
obserwując z uwagą, jak skacze najednej nodze, zdejmując buty.

— Wszystko ci podskakuje, gdy to robisz - zauważyła.

— Tobie też.

— Moje walory nie są tak ładne i użyteczne jak twoje.

— Zapewniam cię, że się mylisz. - Odrzucił bryczesy
i skoczył za nią. - Zaraz ci pokażę. - Pисnęła, udając prze
rażenie, i przystanęła na końcu półki, aby upewnić się, że za
nią biegnie. Następnie złączyła dłonie ponad głowę i skoczyła
do jeziora. Przeszyła gładką tafłę jak strzała. Idealne ułożenie
ciała sprawiło, że niemal nie wzburzyła wody. Zanurkowała
głęboko. Jej postać zamigotała pod zmarszczkami wody, a na
stępnie wystrzeliła ponad powierzchnię tak szybko, że białe

ciało wysunęło się do pępka. Chwilę później zanurzyła się ponownie z włosami oblepiającymi ramiona jak skóra wydry. - Zimna! Założę się, że taki maminsynek nie odważy się w niej zanurzyć!

— Przegrałaś zakład! Idę po nagrodę.

— Najpierw musisz mnie złapać. - Roześmiała się i zaczęła

płynąć na przeciwległy koniec jeziora.

Skoczył do wody i po chwili płynął szybko w jej stronę. Złapał ją od tyłu, gdy była w połowie drogi.

- Moja nagroda! - zawołał.

Odwróciła się, objęła go za szyję i pocałowała. Zanurkowali głęboko pod powierzchnię, by po chwili wynurzyć się ponownie, rozchlapując wodę, krztusząc się i śmiejąc. Oplotła jego biodra długimi nogami, nie puszczając szyi. Wynurzyła się z wody i wykorzystała ciężar ciała, aby wepchnąć mu głowę pod wodę, a następnie wywinęła się mu i odpłynęła. Obejrzała się za siebie dopiero wtedy, gdy dotarła do przeciwległego brzegu. Masy wody opadały dwoma oddzielnymi strumieniami, między którymi znajdowała się gładka tafla. Pośrodku tej spokojnej przystani ponad powierzchnię wystawała samotna skała, czarna i gładka, wypolerowana przez wodę. Podciągnęła się na nią i usiadła, machając nogami w wodzie. Odrzuciła włosy z oczu, rozglądając się za Leonem. Początkowo się śmiała, lecz zaniepokoiła się, gdy go nie dostrzegła.

- Ratelku! Leonie! Gdzie jesteś?! - krzyknęła.

Był tuż za nią, lecz gdy podpłynęła do czarnej skały, wziął głęboki oddech i zanurkował. Kiedy znalazł się pod powierzchnią, zaczął płynąć w dół. Sądził, że jezioro nie ma dna, bo woda nigdy nie zalewała brzegów, gdzieś musiał znajdować się odpływ. Kiedy zanurkował głębiej, pojawiło się dno. Mimo sporej głębokości woda była przejrzysta. Dostrzegł na nim skały, które musiały odpaść od zbocza.

Bębenki zaczęły go boleć od ciśnienia, więc zatrzymał się, by je odetkać, chwytając nos palcami i wdmuchując powietrze do trąbek Eustachiusza. Gdy ból ustał, zaczął ponownie płynąć

399

w dół. Dotknął dna i odkrył, że między skałami znajduje się dziwna kolekcja artefaktów Masajów, dostrzegł prastare assegai i topory, kopce rozbitych glinianych naczyń, naszyjniki i bransolety z paciorków, małe rzeźby z twardego drewna i kości słoniowej, prymitywną biżuterię oraz inne przedmioty tak stare i zniszczone, że trudno je było rozpoznać. Pomyślał, że to ofiary, które Masajowie od wieków składali swoim plemiennym bóstwom.

Ponieważ powietrze mu się kończyło, rozejrzał się wokół ostatni raz. Znalazł rozwiązanie zagadki tajemniczego odpływu. W ścianie pod wodospadem znajdowało się kilka poziomych tuneli, które bardzo

dawno temu musiała wydrążyć wrząca lawa i gaz wydobywające się z wulkanu pod górą. To przez to mroczne, złowrogie przejście odpływała woda, utrzymując stały poziom tafli jeziora. Zaczął płynąć w kierunku powierzchni, by zaczerpnąć powietrza. Kiedy światło stało się mocniejsze, ujrzał w górze parę długich, kształtnych nóg dyndających w wodzie. Podpłynął, chwycił je za kostki i pociągnął. Wypłynęli na powierzchnię, obejmując się i gwałtownie dysząc.

Pierwsza odzyskała głos.

- Jesteś bezduszny! Myślałam, że utonąłeś lub zostałeś
pożarty przez krokodyla. Jak możesz płatać mi takie figle?

Popłynęli razem do skały, na której zostawili ubrania.

- Nie chcę, abyś zamarzła z zimna - powiedział, wycie
rając jej ciało swoją koszulą.

Uniosła ręce nad głowę, pozwalając mu sięgnąć do trudniej dostępnych miejsc.

— Czemu tak wybałuszasz oczy? Więcej patrzysz, niż wy
cierasz! Tak jak twój jednooki przyjaciel u dołu. Powinam
zawiązać wam obu przepaskę - powiedziała, odwracając się
ku niemu.

— I kto jest teraz bezduszny? - spytał.

— Nie ja! - zawołała. - Udowodnię ci, jakie mam dobre
serce. - Chwyciła jego przyjaciela stanowczo i czule. Ogarnęło
ich nienasycone, boskie szaleństwo.

400

Było prawie ciemno, gdy trzymając się za dłonie, zaczęli schodzić ścieżką. Kiedy weszli na wzniesienie zasłaniające jezioro, ujrzeni płomienie pobliskiego obozowiska. Przy ogniu leżała kłoda drewna, która miała służyć za ławkę. Izmael przyniósł im dwa kubki aromatycznej, czarnej kawy z mlekiem w proszku.

Wciągnęła zapach.

- Cóż to za cudowna woń, Izmaelu?

Nie okazał zdumienia, chociaż po raz pierwszy zwróciła się do niego po angielsku zamiast po niemiecku

lub francusku.

— To duszony treron.

— Raczej niebiańska wersja tego ostatniego przyrządzona przez Izmaela - dodał Leon. - Powinno się go jadać na klęczkach, z obnażoną głową.

— Jestem taka głodna, że mogę klęknąć. Widać pływanie lub to drugie tak pobudza apetyt - powiedziała.

— Vivat To drugie! - odpowiedział ze śmiechem.

Po posiłku ogarnęło ich rozkoszne znużenie. Manyoro i Loikot zbudowali im mały kryty strzechą szałas z dala od ich legowiska, a Izmael przygotował materac ze świeżej trawy, którą przykrył pledami. Nad nim rozwiesił moskitierę Leona. Zdjęli ubrania, a Leon zdmuchnął świeczkę, zanim weszli pod moskitierę.

— Tak tu bezpiecznie, ciepło i przytulnie - szepnęła, kiedy położył się za jej plecami i ją objął. Przyłgnęła ciepłymi pośladkami do jego brzucha. Ich ciała pasowały do siebie jak para tyżek. Cienie ogniska tańczyły na siatce ponad ich głowami. Pohukiwanie dwóch sów siedzących na gałęziach było tęskne i usypiające. - Nigdy w życiu nie byłam tak przyjemnie wyczerpana - mruknęła.

— Zbyt wyczerpana?

— Nie to miałam na myśli, głuptasie.

Kiedy się obudziła następnego ranka, odkryła, że Leon siedzi obok i patrzy na nią.

401

— Obserwowałaś mnie! - powiedziała oskarżycielsko.

— Przyznaję się do winy. Myślałem, że nigdy się nie obudzisz. Wstawaj!

— Jest środek nocy, Ratelku! - zaprotestowała.

— Widzisz tę wielką, błyszczącą tarczę przebijającą przez szczeliny w gęstwinie? To słońce.

— Co chcesz robić o tak dziwnej porze?

— Popływać w zaklętym jeziorze.

— Czemu od razu nie powiedziałaś? - spytała, odrzucając plec.

Chłodna woda pokrywała ich ciała jak jedwab. Po kąpeli usiedli nago w promieniach wczesnego słońca, aby wyschnąć. Kiedy ciepło przeniknęło pod skórę i ogrzało krew, kochali się ponownie.

— Myślałam, że nie może być lepiej niż wczoraj, lecz się myliłam - rzekła poważnie.

— Chcę podarować ci coś, co będzie ci przypominać, jak szczęśliwi byliśmy tego dnia - powiedział, wstając i skacząc do wody.

Patrzyła, jak jego ciało staje się coraz mniejsze i niknie w głębinie. Nie było go tak długo, że zaczęła się niepokoić. Odetchnęła z ulgą, widząc, jak wypływa na powierzchnię. Wynurzył się z wody i potrząsnął głową, odgarniając mokre włosy. Podpłynął do brzegu, do miejsca, gdzie siedziała, i podciągnął się na skałę. Pokazał jej naszyjnik z paciorków z kości słoniowej nawleczonych na skórzany rzemień.

— Piękny! - zawołała, klaszcząc w dłonie z zachwytem.

— Dwa tysiące lat temu, gdy przechodziła tędy królowa

Saby, ofiarowała go bogom tego jeziora. - Oplótł paciorkami

jej szyję, zawiązując rzemień na karku.

Spojrzała na paciorki zwisające między piersiami i pogłaskała je, jakby były żywą istotą.

- Czy królowa Saby naprawdę tędy przechodziła? - spytała.

402

— Nie sądzę - odrzekł z uśmiechem. - Ale byłaby to

piękna historia.

— Są wspaniałe, takie gładkie i delikatne. - Obróciła

paciorki w palcach. - Szkoda, że nie mam lustra.

Zaprowadził ją do krawędzi półki i stanął za nią, oplatając rękami jej talię.

— Popatrz - powiedział. W milczącym skupieniu spojrzeli

na swoje nagie postacie odbite w lustrzanej tafli wody. - Kim

jest dziewczyna, którą widzę? - spytał cicho. - Jak się

nazywa? Czy to Ewa von Wellberg? - Jej twarz stała się

ponura, w oczach błysnęły łzy. - Przepraszam, obiecałem, że

cię nie zasmucę.

— Nie! - Potrząsnęła głową. - Dobrze zrobiłeś. Przeży

liśmy wspólnie krótki sen, teraz pora wrócić do rzeczywistości.

- Odwróciła się od swojego odbicia i spojrzała mu

w oczy. - Masz rację, Leonie. Nie jestem Ewą von Wellberg.

Von Wellberg to panięskie nazwisko mojej matki. Nazywam

się Eva Barry. - Wzięła go za rękę. - Chodź. Usiądźmy,

powiem ci wszystko, co chcesz wiedzieć o Evie Barry. -

Zaprowadziła go na krawędź półki. Usiedli po turecku, zwrócen

twarzami. - Muszę cię ostrzec, że to prozaiczna i smutna

historia. Niewiele w niej rzeczy, z których mogłabym być

dumna, niewiele też dostarczy ci pociechy, postaram się jednak

przedstawić ją w sposób najmniej bolesny dla nas obojga. -

Westchnęła głęboko i mówiła dalej. - Urodziłam się dwadzieś

cia dwa lata temu w małej wiosce Kirkby Lonsdale w hrabstwie

Yorkshire. Mój ojciec był Anglikiem, a matka Niemką. Nau

czyłam się niemieckiego na jej kolanach. Kiedy miałam dwanaś
cie lat, mój niemiecki był prawie tak dobry jak angielski.

Właśnie wtedy mama zmarła na straszną chorobę. Lekarze
nazywali ją porażeniem dziecięcym, chorobą Heinego-Medina.

Sparaliżowała jej płuca i mama się udusiła. Kilka dni po jej
śmierci zachorował ojciec. Choroba poraziła mu nogi. Do końca
życia poruszał się na wózku inwalidzkim.

Początkowo mówiła z namysłem, lecz później zaczęła wy-

403

rzucać z siebie słowa w krótkich, pospiesznych westchnieniach. Ponownie zaczęła płakać. Wziął ją w
ramiona i przytulił. Oparła policzek na jego piersi tak, że poczuł ciepłe łzy. Pogadził ją po głowie.

— Nie chciałem, abyś cierpiała. Nie musisz mi tego opo
wiadać. Uspokój się. Wszystko już dobrze, kochanie.

— Muszę ci opowiedzieć, Ratelku. Muszę ci powiedzieć
o wszystkim. Proszę, przytul mnie mocno, gdy będę mówiła.

Podniósł ją i przeniósł w cień, z dala od wodospadu, aby szum wody nie zagłuszał jej słów. Posadził ją
sobie na kolanach.

— Jeśli musisz, opowiadaj - zachęcił.

— Tata miał na imię Peter, lecz wszyscy nazywali go Curly *,
bo nie miał ani jednego włoska na głowie. - Uśmiechnęła się
przez łzy. - Był najwspanialszym człowiekiem na świecie,
choć był łysy i poruszał się na wózku inwalidzkim. Kochałam
go tak bardzo, że nie pozwoliłabym nikomu się nim opiekować.
Robiłam przy nim wszystko. Byłam inteligentnym dzieckiem.

Ojciec chciał, abym rozpoczęła naukę na uniwersytecie w Edynburgu, rozwinęła swoje naturalne uzdolnienia. Uparłam się, że go nie opuszczę. Chociaż choroba zniszczyła jego ciało, miał wspaniały umysł. Był genialnym inżynierem. Siedząc na wózku inwalidzkim, obmyślał rewolucyjne konstrukcje mechaniczne. Założył małą firmę i zatrudnił dwóch mechaników, aby pomogli mu zbudować maszyny, które zaprojektował. Ledwie wystarczało mu pieniędzy, aby nas wyżywić po zapłaceniu pracownikom i uregulowaniu rachunków za zakupione materiały. Bez pieniędzy jego patenty były bezużyteczne. Gdyby je miał, można by je przekształcić w coś przedstawiającego rzeczywistą wartość.

Ponownie przerwała, zanosząc się szlochem, a następnie otarła nos o jego pierś. Jej dziecinny gest głęboko go wzruszył. Pocałował ją w czubek głowy i przytulił.

- Nie musisz tego ciągnąć - powiedział.

Ang. kędzierzawy.

!

- Muszę. Jeśli mam dla ciebie coś znaczyć, powinieneś wiedzieć. Nie chcę niczego przed tobą ukrywać. - Wzięła głęboki oddech. - Pewnego dnia do warsztatu ojca przyszedł potajemnie jakiś człowiek. Powiedział, że jest prawnikiem i reprezentuje niezwykle zamożnego człowieka, finansistę, który ma fabrykę silników parowych, wagonów kolejowych, samochodów i aeroplanów. Jego klient widział projekty ojca w londyńskim biurze patentowym. Zaproponował mu spółkę. Curly miał wnieść swoje patenty, on pieniądze. Tata podpisał umowę. Finansista był Niemcem, więc umowa została sporządzona w tym języku. Chociaż mama była Niemką, ojciec rozumiał tylko kilka słów po niemiecku. Był delikatnym, łatwowiernym geniuszem, a nie biznesmenem. Miałam wtedy szesnaście lat. Tata wspomniał o umowie dopiero po jej podpisaniu. Zrobił to, bo wiedział, że byłabym przeciwna. Ponieważ zajmowałam się

finansami naszej rodziny, trochę się znałam na interesach. Może przeczuwał, że gdybym zapoznała się wcześniej z treścią umowy, próbowałabym mu ją wyperswadować. Curly nienawidził kłótni. Zawsze wybierał łatwiejsze rozwiązanie, w tym wypadku oznaczało to zbycie sprawy milczeniem. - Ponownie przerwała, głęboko wzdychając. Z wyraźnym trudem podjęła swoją opowieść. - Nowym współnikiem ojca okazał się graf Otto von Meerbach. Sęk w tym, że nie był współnikiem, lecz jedynym właścicielem. Nie minęło wiele czasu, a tata dowiedział się, że sprzedał firmę i wszystkie patenty firmie Meerbach Motoren Werke za śmiesznie niską cenę. Jeden z projektów ojca umożliwił skonstruowanie silnika obrotowego Meerbach. Nowoczesna konstrukcja mechanizmu różnicowego pozwoliła wyprodukować potężne ciężarówki. Tatuś próbował znaleźć prawnika, który pomógłby mu odzyskać to, co prawnie mu się należało, lecz umowa Meerbacha była nie do podważenia. Żaden prawnik nie chciał się podjąć tej sprawy. Pieniądze ze sprzedaży firmy nie starczyły na długo. Chociaż oszczędzałam na czym się dało, koszty leczenia wszystko pochłonęły. Lekarze i lekarstwa... nie miałam pojęcia, że to tyle kosztuje. Oprócz

405

tego trzeba było zapłacić czynsz, uregulować rachunek za gaz i kupić tacie ciepłe ubrania. Miał fatalne krążenie, stale marzył z zimna, a węgiel był bardzo drogi. Zimą zawsze chorował. Przez kilka miesięcy pracował w fabryce, lecz tak często niedomagał, że musieli go zwolnić. Nie mógł znaleźć innej pracy, a rachunki ciągle napływały.

Dwa dni po moich szesnastych urodzinach Curly dostał ataku. Pobiełam po lekarza. Chociaż byliśmy mu winni ponad dwadzieścia funtów, doktor Symmonds nigdy nie odmówił pomocy, gdy ojciec go potrzebował. Kiedy weszliśmy do jego pokoiku, okazało się, że tata zastrzelił się ze starej dubeltówki. Wiele razy próbowałam ją sprzedać, aby kupić jedzenie, lecz on nie chciał się z nią rozstać. Dopiero gdy stanęłam nad jego ciałem, zrozumiałam, dlaczego tak się upierał, by ją zatrzymać. Jego wspianiały mózg obryzgał ścianę za wózkim. Kiedy przedsiębiorca pogrzebowy zabrał ciało, musiałam ją umyć.

Jej ciałem wstrząsnął bezgłośny szloch. Leon nie potrafił znaleźć słów, aby ją pocieszyć. Przywarł wargami do czubka jej głowy, dopóki się nie uspokoiła.

— Wystarczy, Ewo, daj już spokój.

— Nie, Ratelku. To oczyszczające doświadczenie. Tłumiłam

to w sobie zbyt długo. Teraz mam kogoś, z kim mogę się

wszystkim podzielić. Już czuję się lepiej, to mnie zatruwa

ło. - Podniosła głowę i ujrzała ból w jego oczach. - Prze

praszam, byłam samolubna. Nie wiedziałam, jakie to dla ciebie

bolesne. Przeszanę opowiadać.

— Nie, wyrzuć z siebie wszystko, jeśli to ci pomoże. Mów dalej. To trudne dla nas obojga, lecz tylko w ten sposób będę mógł cię zrozumieć.

— Jesteś moją opoką.

— Mów dalej.

— Niewiele już pozostało. Byłam sama, a koszty pogrzebu pochłonęły wszystkie oszczędności. Nie miałam na czynsz. Nie wiedziałam, co robić. Podjęłam pracę w fabryce za dwa szylingi dziennie. Curly miał przyjaciela, z którym grywał w szachy.

406

i jego żona mnie przygarnęli. Płaciłam im, ile mogłam, pomagałam jego żonie w opiece nad dziećmi. Pewnego dnia odwiedziła mnie nieznaną kobietą. Była jardo elegancka i piękna. Powiedziała, że w dzieciństwie rzyżniła się z moją matką, lecz później straciła z nią kontakt, kiedy poznała moją tragiczną historię, postanowiła mnie od-ileżyć i wziąć pod opiekę przez wzgląd na moją matkę. Była ak życzliwa i przyjazna, że poszłam z nią bez pytania.

Nazywała się Ryan i miała wspaniały dom w Londynie.)ostałam własny pokój i nowe ubrania. Miałam nauczyciela : brałam lekcje tańca. Dwa razy w tygodniu przychodziła jakaś kobieta, aby uczyć mnie dobrych manier. Miałam konia, małą dacz o imieniu Hyperion, i uczyłam się na niej jeździć. Naj-ziwniejsze było to, jak wielką wagę pani Ryan przywiązywała do lekcji niemieckiego. Była bezwzględna. Miałam kilku nauczycieli niemieckiego, z którymi pracowałam po dwie godziny dziennie, sześć dni w tygodniu. Czytałam na głos niemieckie gazety i rozmawiałam o nich z niemieckimi guwernerami. Czytałam o historii narodu niemieckiego od czasów Świętego Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego do chwili obecnej. Poznawałam książki Sebastiana Branta, Johanna von Goethego i Nietzschego. Po roku intensywnej nauki mogłam uchodzić za wykształconą rodowitą Niemkę.

Pani Ryan była dla mnie jak matka. Wiedziała bardzo wiele o mnie i mojej rodzinie. Opowiadała mi rzeczy, których nawet ja nie znałam. Wiedziała, że von Meerbach oszukał tatę, i opowiedziała mi o nim. Często rozmawiałyśmy o Ottonie. Powiedziała, że przyczynił się do śmierci Curly'ego niemal tak samo, jakby pociągnął za spust. Chociaż nigdy go nie widziałam, zaczęłam go nienawidzić z całego serca. Pani Ryan subtelnie podsyciała płomień mojej pogardy. Wspomniała, że wykonuje ważną pracę dla rządu. Mimo że dopiero później dowiedziałam się, na czym polega, często powtarzała, jakim przywilejem jest to, że mamy dobrego władcę, że jesteśmy obywatelami najpotężniejszego i najrozleglejszego imperium świata. Powtarzała,

że powinniśmy korzystać z każdej okazji, aby służyć królowi i ojczyźnie. Powinniśmy się uczyć, aby móc wykonać każde zadanie, które nam powierzają.

Brałam sobie jej słowa głęboko do serca i pracowałam jeszcze ciężiej, niż oczekiwała. Nie widywałam mężczyzn z wyjątkiem służących i nauczycieli, więc nie zdawałam sobie sprawy, jaka jestem piękna. Nie wiedziałam, że mężczyźni nie potrafią mi się oprzeć. - Przerwała, smutno kręcąc głową. - Kochany, wybacz mi. Wiem, że to brzmi nieskromnie.

— Skądże, powiedziałas prawdę. Jesteś niewypowiedzianie piękna. Mów dalej.

— Piękno i brzydota to sprawa przypadku. Różni je jedynie to, że piękno gaśnie i przybiera inną postać brzydoty. W od różnieniu od innych nie przywiązywałam większej wagi do swojej urody. Okazało się, że była jednym z trzech powodów, dla których mnie wybrali. Drugim była inteligencja.

— A trzecim?

— Przeżyłam tragiczne doświadczenia i pragnęłam zemsty.

— To intrygujące, choć czuję, że cierpie mi skóra.

— Na dziewiętnaste urodziny krawcowa uszyła mi wspaniałą suknię balową. Pani Ryan stała obok mnie, gdy jąprzymierzałam.

Obie wpatrywałyśmy się w moje odbicie w dużym lustrze. "Jesteś bardzo piękna - powiedziała. - Spełniłaś wszystkie moje oczekiwania". W sposobie, w jaki wypowiedziała te słowa, było coś smutnego, pełnego żalu. Wówczas się nad tym nie zastana wiałam, bo nie miałam pojęcia, co planują. Pani Ryan uśmiechnę ła się do mnie i smutek znikł. "Jutro wieczorem wydaję przyjęcie urodzinowe na twoją cześć", oznajmiła. - Ewa się roześmia

ła. - Dziwne to były urodziny. Pani Ryan i ja pojechałyśmy dorożką do Whitehallu. Do jednego z budynków rządowych. Oczekiwało nas czterech mężczyzn. Myślałam, że przyjdzie wiele młodych osób, a tam czekało na mnie czterech starszych panów. Najmłodszy miał co najmniej czterdzieści lat. Nosili wspaniałe mundury wojskowe. Po lśniących ozdobach, gwiazdach i odznaczeniach domyśliłam się, że musieli być wyższymi

408

oficerami. Czwarty był szczupły i patrzył na mnie surowym wzrokiem. Pani Ryan przedstawiła go jako pana Browna. Był jedynym cywilem w tym gronie. Miał na sobie czarny surdut.

Usiedliśmy przy okrągłym stole pośrodku dużej sali. Z sufitu zwisały masywne kondelabry. Obite drewnem ściany zdobiły ogromne obrazy ze scenami bitew. Na jednym z nich przedstawiono śmierć Nelsona na pokładzie Victory w bitwie pod Trafalgarem. Na innym był Wellington i jego oficerowie na skrzyżowaniu Quatre Bras, przyglądający się szarzy huzarów Napoleona. Na galerii grała mała orkiestra. Oficerowie tańczyli ze mną po kolei. W trakcie tańca przepytawali mnie, jakbym była na ławie oskarżonych.

Nie pamiętam, co jedliśmy. Ogarnęło mnie takie zdenerwowanie, że zupełnie straciłam apetyt. Służący nalał mi szampana, lecz pani Ryan ostrzegła mnie, abym nie piła. Pod koniec posiłku mężczyźni zaczęli się naradzać przyciszonym głosem, tak abym ich nie usłyszała. W końcu doszli do porozumienia i skinęli głowami, wyraźnie zadowoleni z siebie. Wieczór zakończyła mowa pana Browna o obywatelskim obowiązku i konieczności ponoszenia ofiar. Moje urodzinowe przyjęcie dobiegło końca.

Dwa dni później ponownie spotkałam pana Browna, tym razem w mniej przyjemnych okolicznościach. Siedzieliśmy w jego zatęchłym gabinecie pełnym teczek ze starymi dokumentami, w innym gmachu Whitehallu. Był uprzejmy i dobroduszny. Powiedział mi, że zostałam wybrana do niezwykle delikatnego zadania, które ma ogromne znaczenie dla bezpieczeństwa mojej ukochanej Brytanii. Oznajmił, że nad Europą zbierają się ciemne chmury wojny i że wkrótce cały kraj stanie w płomieniach. Nie wiedziałam, jaki to ma związek z moją osobą. Słuchałam go jak otępieła, dopóki nie wspomniał o grafie Ottonie von Meerbachu. Natychmiast się przebudziłam. Brown zasugerował, że mogę oddać ogromną przysługę królowi i imperium, a jednocześnie wyrzucić zemstą za straszne zło, które graf wyrządził mojemu ojcu. Musiałam jedynie wydobyć z niego informacje wojskowe ważne dla armii brytyjskiej.

409

Zaśmiała się ponownie, tym razem autentycznie rozbawiona.

- Wyobrażasz sobie, Ratelku? Byłam tak naiwną i niewinną dziewczyną, że nie miałam pojęcia, co będę musiała zrobić, aby wyciągnąć z niego te sekrety. Kiedy spytałam o to Browna, popatrzył na mnie tajemniczo i wymienił spojrzenie z panią Ryan. "Nauczmy cię wszystkiego, jeśli zgodzisz się zrobić to, o co prosimy" powiedział. Dokładnie pamiętam, co mu odparłam. "Zgadzam się, musicie mi jedynie powiedzieć jak". - Przerwała, prostując się i patrząc na niego. - Rok po zawarciu paktu z diabłem byłam doskonale przygotowana do roli, którą mi wyznaczono. Wiedziałam o grafie wszystko, nie znałam tylko sekretów, które miałam z niego wydobyć. Wiedziałam, że od dziesięciu lat żyje w separacji z żoną, że są dobrymi katolikami i nie mogą wziąć rozwodu. Nie było mowy o tym, abym zmusiła go do małżeństwa, gdy ulegnie mojemu fatalnemu urokowi. - Zaśmiała się ponuro. - Pan Brown i pani Ryan doprowadzili do mojego spotkania z grafem von Meerbachem. Za pośrednictwem jednego z attache wojskowych brytyjskiej ambasady w Berlinie zaproszono mnie do jego rezydencji myśliwskiej w Wieskirche. Nauczono mnie, na czym polega mój obowiązek, i wykonałam go - powiedziała bez namiętnie, lecz na rzęsie błysnęła łza. - Kiedy poznałam Ottona von Meerbacha, byłam dziewicą. W umyśle i duchu pozostałam nią aż do wczoraj. Nie chcę się wdawać w szczegóły. Wolałbyś tego nie słuchać.

Przez chwilę milczeli.

- Nie pogardzasz mną teraz, gdy ci o tym powiedzia-

łam? - spytała, nie mogąc się dłużej powstrzymać.

Wypowiedziała te słowa przyciszonym głosem, z udręczoną miną. Ujął twarz ukochanej w dłoń i spojrzał jej w oczy.

- Nic, co zrobiłaś lub zrobisz, nie sprawi, że tobą wzgardzę.

Otworzyłaś przede mną swoją duszę. Dostrzegłem w niej je-
dynie dobro i piękno. Pamiętaj, że nie masz przed sobą świętego.

Powiedziałaś, że oboje jesteśmy żołnierzami. W imię obowiązku
zabijałem ludzi i podobnie jak ty robiłem rzeczy, których się

410

wstydzę. To bez znaczenia. Liczy się jedynie to, że jesteśmy razem i kochamy się. - Delikatnie otarł jej łzę kciukiem.

W końcu się uśmiechnęła.

- Masz rację. Kochamy się i jesteśmy razem. Tylko to się liczy.

Orszak pogrzebowy rozciągał się na całej długości Unter den Linden. Czoło pochodu sięgało Pałacu Brandenburskiego, koniec zaś nikał w oddali, na początku bulwaru. Był wilgotny, szary dzień. Żałobnicy stali po obu stronach ulicy, przypatrując się ponuremu korowodowi. Mimo mżawki tłum gapiów miał szerokość dziesięciu rzędów. Mężczyźni stali w milczeniu, kobiety popłakiwały. Dobosz wygrywał rytm marsza żałobnego. Na czele orszaku jechał szwadron kawalerii. Końskie kopyta stukały o bruk, w dobytých ostrzach szabel lśniły blade promienie słońca. Ewa stała w pierwszym rzędzie żałobników. Założyła długie czarne skórzane rękawiczki i kapelusz z czarnym strusim piórem. Czarny welon zasłaniał oczy i górną połowę jej twarzy.

Cesarz Wilhelm jechał na czarnym koniu przed armatnią lawetą, na której położono trumnę. Jego głowę przykrywała lśniąca pikielhauba przytrzymywana pod brodą złotym paskiem. Czarna peleryna sphywała na grzbiet wierzchowca. Minę miał groźną i tragiczną. Lawetę ciągnęło kilka wspaniałych czarnych koni. Trumna była masywna, wykonana z przezroczystego kryształu, aby pogrążeni w żałobie obywatele mogli ujrzeć ciało Ottona von Meerbacha. Zmarły miał na sobie cesarski strój i wieniec laurowy na głowie. W owłosionych potężnych dłoniach trzymał skrzyżowane na piersi assegai. Między zęby wetknięto mu osobiwie wyglądające kubańskie cygaro.

Ogarnęła ją ogromna radość i wielkie poczucie ulgi. Otto nie żył. Koszmar się skończył, mogła wrócić do Leona. Leżący w kryształowej trumnie nieboszczyk otworzył jedno oko, spojrzął na nią i wydmuchnął idealny pierścień dymu. Wybuchła

411

niepowstrzymanym śmiechem. Na Unter den Linden rozległy się dźwięki przypominające bicie dzwonów.

Cesarz Wilhelm odwrócił się w siodle i spojrzął na nią, a następnie spiął konia, by pochylić się i ją upomnieć.

— Obudź się, Ewo! - powiedział surowym głosem. -

Obudź się. Ty śpisz!

— Otto umarł! - odparła. - Teraz wszystko będzie dobrze.

Pozwolą mi odejść. Będę wolna. Już po wszystkim.

— Obudź się, kochanie - powtórzył kajzer, pochylając się w siodle i potrząsając ją energicznie za ramię. Fakt, że był cesarzem Niemiec i że została mu przedstawiona, nie usprawiedliwiał tak poufałego zachowania. Poczła się urażona. Jak śmie mówić do niej "kochanie"?!

— Jestem ukochaną Leona, a nie twoją! - rzekła gniewnie i usiadła. Leon zapalił świeczkę, toteż w chatce na górze Lonsonyo było wystarczająco jasno, aby rozpoznała jego za niepokojoną twarz. - Otto nie żyje - oznajmiła.

— Miałaś sen, Ewo.

— Widziałam go, kochanie. Naprawdę nie żyje. - Przerwała, zastanawiając się nad swoimi słowami. - Nawet jeśli był to tylko sen, nawet jeśli gdzieś tam jest, żyje. i oddycha, dla mnie umarł. Nic już dla mnie nie znaczy. Przestałam go nawet nienawidzić. Teraz, gdy cię pokochałam, w moim

sercu nie ma miejsca na tak jałowe uczucia jak nienawiść

i zemsta.

Przytuliła się do niego, a on przycisnął ją do piersi.

— Wspólnie zmienimy tę smutną historię w coś pięknego.

— Zaprowadź mnie do Lusimy Mamy - wyszeptała. -

Poczułam, że ją znam, kiedy tylko o niej wspomniałeś. Mam dziwne wrażenie, że jesteśmy ze sobą duchowo związane, że ona trzyma klucze do naszego szczęścia.

Manyoro i Loikot ostrzegli Leona, że ostatni odcinek drogi jak zbyt stromy i wąski dla koni, więc wysłał na dół Izmaela

412

i stajennego, aby poprowadzili zwierzęta na szczyt południowym zboczem i znaną drogą.

Kiedy zniknęli, Leon, Ewa i dwaj Masajowie zaczęli iść w górę ścieżką obok wodospadu. Z każdym krokiem wspinaczka stawała się coraz trudniejsza. W niektórych miejscach musieli pokonywać szlak biegnący po skalnych półkach, które mogły pomieścić tylko jedną osobę. Chociaż przez większą część drogi wodospad zasłaniała skalna ściana, dwukrotnie ujrzeli widok zapierający dech w piersi. Masy wody jakby wirowały wokół nich niczym srebrzysta tafla, oszukując zmysły. Skalne ściany i półka pod stopami były wilgotne i śliskie od glonów. Droga w górę była coraz bardziej mozolna.

Dotarli na płaski szczyt, gdy słońce zbliżało się do zenitu. Manyoro i Loikot rozłożyli się w cieniu jednego z drzew, aby odpocząć i uciąć sobie krótką drzemkę. Leon ujął Ewę za rękę i zaprowadził na krawędź urwiska. Usiedli na skale, machając nogami ponad przepaścią. Podniósł kamień wielkości pięści i rzucił w otchłań. Z zafascynowaniem patrzyli, jak spada trzysta stóp, aż uderzył w taflę wody. Milczeli. Cudowny widok sprawiał, że słowa były zbędne. Kiedy usłyszeli wołanie Manyoro, wstali z ociąganiem, odsuwając się od urwiska.

— Daleko stąd do manyatty Lusimy Mamy? - spytał.

— Nie, dotrzemy do wioski przed zachodem słońca -

odrzekł Loikot.

— Zwykły spacer, nie więcej niż dwadzieścia mil -

powiedział, uśmiechając się. Dwaj Masajowie nieomylnie wy

patrzyli zarośniętą ścieżkę i ruszyli naprzód swobodnym krokiem. Ponieważ nie musieli się spieszyć, Leon i Ewa podziwiali krajobraz całkiem odmienny od występującego na dnie ryftu. Ewa nie była tu nigdy wcześniej, więc oczarowały ją piękne widoki i bujna roślinność. Z rozkoszą przyglądała się kwitnącym storczykom zwisającym girlandami z wysokich drzew lasu deszczowego. Śmiała się z wygłupów gerez abisyńskich, które pokrzykiwały na ich widok. W pewnym momencie przystanęli, słuchając ciężkiego stąpania kopyt w zaroślach.

413

- Bawół - odpowiedział na jej milczące pytanie. - Nie które są bardzo niebezpieczne.

Zeszli do głębokiego wąwozu, aby wspiąć się po przeciwległym zboczu na szeroki bezdrzewny płaskowyż przypominający boisko do polo. Z jednej strony zbocze opadało gwałtownie kilkaset stóp. Po przeciwnej stronie polany, na granicy lasu, stała para dużych czerwonych antylop. Wzdłuż ich tułowia biegły kremowe pasy. Duże uszy miały rurkowaty kształt.

— Piękne! - krzyknęła Ewa. Słyszac jej głos, uciekły do lasu, nie poruszając ani jednego listka w gęstych zaroślach. -

Co to za zwierzęta? \

— Bongo - wyjaśnił Leon. - To najrzadsze i najbardziej płochliwe ze wszystkich zwierząt.

— Nie miałam pojęcia, że tak pięknie jest w tej twojej krainie.

— Kiedy to zauważyłaś? - spytał ze śmiechem, rozbawiony jej entuzjazmem.

— Wtedy gdy odkryłam, że cię kocham. - Roześmiała

się. - Chcę pozostać w tym kraju. Możemy tu zamieszkać na
zawsze, Ratelku?

— Świetny pomysł - odparł, choć coś odwróciło jego
uwagę.

— Na co patrzysz? - spytała.

— Popatrz! - Zatoczył krąg ramieniem, wskazując polanę.

Przeszedł ją wzdłuż, licząc kroki i sprawdzając twardość gruntu
pod stopami. Zauważyła, że zarośla w żadnym miejscu nie
sięgają mu wyżej kolan. Nagle ogarnęła ją fala gorąca i poczuła
się zmęczona. Znalazła pień i usiadła na nim z wdzięcznością,
ocierając twarz chustką. Po drugiej stronie polany Leon i dwaj
Masajowie prowadzili ożywioną dyskusję. Nie miała wątpliwoś
ci, że rozmawiali o niezwykłej polanie. Po chwili Leon wrócił.

— Co znalazłeś? - spytała zaczepnie. - Złoto czy dia
menty?

— Loikot powiedział, że w czasach jego dziadka Mkuba
Mkuba, wielki bóg Masajów, był tak wzburzony, że spuścił

414

z nieba ognisty pocisk, aby ostrzec plemię przed swoim gniewem. Od tego czasu nie rosną tu drzewa ani
żadne większe rośliny.

— Wierzysz w to? - zapytała wyzywająco.

— Pewnie, że nie - odpowiedział - lecz Loikot jest o tym
święcie przekonany i tylko to się liczy.

— Dlaczego tak cię fascynuje ta jałowa przestrzeń?

— To naturalny pas startowy, Ewo. Gdybym wykonał ślizg

boczny między tymi wysokimi drzewami na końcu polany,
mógłbym wylądować tu Trzmiel z taką łatwością, z jaką
smaruje się grzankę łyżeczką miodu.

— Czemu miałbyś to robić, kochany?

— Jednej rzeczy nie lubię w lataniu - odparł. - Za każdym
razem, gdy startujesz, musisz myśleć o tym, gdzie wylądujesz.

Wyrobiłem sobie nawyk zapamiętywania wszystkich natural
nych lądowisk, które napotykam w buszu. Może tego nigdy
nie będę potrzebował, ale gdyby zmusiły mnie okoliczności,
posadziłbym tu maszynę.

— Lądować na szczycie góry? Czy poszukiwania nie za
wiodły cię zbyt daleko? Dam ci całusa, jeśli wymienisz choć
jeden dobry powód, dla którego miałbyś tutaj wylądować.

— Całus? Intrygujesz mnie. - Zdjął kapelusz i podrapał
się w głowę w zamyśleniu. - Eureka! Już wiem! - wykrzyk
nął. - Może przywiozę cię tu na piknik z szampanem podczas
naszego miesiąca miodowego.

— Choć po swojego całusa, spryciarzu!

Kiedy opuszczali polanę, zaczęło padać, lecz krople deszczu były tak ciepłe jak krew, więc nie zadali sobie
trudu, by poszukać schronienia. Godzinę później równie nieoczekiwanie deszcz ustał i pojawiło się
słońce. Z oddali doleciało ich bicie bębnow.

- Cóż za niezwykły dźwięk - powiedziała, przechylając
głowę, aby lepiej słyszeć. - Przypomina bicie serca Afryki.

Czemu uderzają w bębny w środku dnia?

Leon zamienił kilka słów z Loikotem i odpowiedział:

— Witają nas.

— Skąd wiedzą, że się zbliżamy?

415

— Lusima wie.

— To kolejny z twoich żartów? - spytała.

— Mówię serio. Zawsze wie, gdy się zbliżamy, nawet jeśli

my nie mamy o tym jeszcze pojęcia.

Dźwięk bębnow przyzywał ich, powodując, że przyspieszyli kroku. Kiedy wyszli z lasu, niewyraźna czerwona tarcza słońca stała nisko nad horyzontem. Poczuli zapach dymu i bydła. Później doleciały ich ludzkie głosy i porykiwanie krów. Na koniec ujrzeli okrągłe dachy chat manyatty i gromadę postaci w czerwonych shukach, idącą na ich spotkanie i śpiewającą powitalną pieśń.

Mieszkańcy wioski otoczyli ich i poprowadzili w strony chat, śmiejąc się i śpiewając. Kiedy podeszli do dużego domostwa w środku osady, cofnęli się, pozostawiając Leona i Ewę samych.

— Tutaj mieszka? - spytała szeptem Ewa.

— Tak. - Ujął ją zaborczo za ramię. - Ukaże się dostojnie, potrymawszy nas chwilę w niepewności. Lusima lubi teatralne gesty.

Kiedy mówił, Masajka stanęła w drzwiach wielkiej chaty.

— Jest taka młoda i piękna - westchnęła Ewa, patrząc na nią ze zdumieniem. - Sądziłam, że to stara brzydka wiedźma.

— Witam cię, Mamo - pozdrowił ją Leon.

— Witam cię, M'bogo, mój synu - odparła, patrząc na Ewę hipnotyzująco czarnymi oczami. Po chwili ruszyła ku niej z królewskim dostojeństwem. Ewa stała nieruchomo, patrząc, jak Lusima zatrzymuje się przed nią.

— Twoje oczy mają barwę kwiatu - oznajmiła. - Nazwę cię Maua, "Kwiat". - Spojrzała na Leona. - Tak, M'bo-

go. - Skinęła głową. - To ta, o której ci mówiłam. Znalazłeś ją. To twoja kobieta. Przetłumacz jej, co powiedziałam.

Kiedy mówił, twarz Ewy się rozpromieniła.

- Ratelku, powiedz, że przyszłam po jej błogosławieństwo.

Przetłumaczył jej słowa.

- Otrzymasz je - obiecała Lusima. - Dziecko, widzę, że nie masz matki. Odeszła z powodu strasznej choroby.

Twarz Ewy posmutniała.

416

- Wiedziała o mojej matce? - szepnęła do Leona. - Teraz wierzę w to, co mi o niej mówiłeś.

Lusima ujęła w gładkie różowe dłonie twarz Ewy.

— M'bogo to mój syn. Ty będziesz mi córką. Zajmę miejsce twojej matki, która odeszła do swoich przodków. Teraz udzie lę ci matczynego błogosławieństwa. Życzę ci, abyś znalazła szczęście, którego tak długo daremnie szukałaś.

— Jesteś moją matką. Czy mogę cię pocałować jak córka? - zapytała Ewa.

Lusima Mama uśmiechnęła się tak uroczo, że jej oblicze niemal rozświetliło zapadające ciemności.

— Nie jest to zwyczajem naszego ludu, lecz wiem, że mzungu okazują w ten sposób miłość i szacunek. Tak, córko, możesz mnie pocałować, a ja ucałuję ciebie. - Ewa objęła ją nieśmiało. - Pachniesz jak kwiat - zauważyła Lusima.

— A ty jak żyzna ziemia po deszczu - odparła Ewa, dając

Leonowi czas na przetłumaczenie jej słów.

— Twoja dusza jest pełna poezji - rzekła Lusima - lecz

jesteś do głębi zraniona i umęczona. Musisz odpocząć w chacie,

którą dla ciebie zbudowaliśmy. Może twoje rany zaleczą się

na górze Lonsonyo i ponownie odzyskasz siły.

Chatka, do której zaprowadziły ich służące Lusimy, została niedawno wzniesiona. Pachniała dymem ziół, którym ją okadzono, i świeżym krowim łajnem pokrywającym drzwi. W naczyniach czekał na nich duszony kurczak, pieczone warzywa i tapioka. Później panny zaprowadziły ich do łóżka zasłanego skórą zwierząt, z rzeźbionym drewnianym zagłówkiem.

- Wy pierwsi w nim zaśniecie. Niech nasza radość z wa

szego przybycia udzieli się i wam - powiedziały, zostawiając

ich samych.

Rano dziewczęta przyszły po Ewę, aby zabrać ją do sadzawki nieopodal strumienia, zarezerwowanej wyłącznie dla kobiet. Kiedy się wykąpała, ozdobiły jej włosy kwiatami. Później

417

przyniosły jej nową czerwoną shuką, by zastąpiła nią podarte, zakurzone ubranie. Chichocząc i głaszcząc ją jak urocze dziecko, pokazały, jak nałożyć i udrapować shuką, niczym rzymską togę. Gdy skończyły, udały się boso pod wielkie drzewa narad, gdzie czekała na nią Lusima. Leon już tam był. W trójkę zjedli śniadanie złożone ze zsiadłego mleka i owsianki z sorgo.

Po posiłku rozmawiali cały ranek. Ewa i Lusima siedziały jedna przy drugiej, patrzyły sobie w oczy i co jakiś czas brały się za ręce. Rozumiały się tak doskonale, na poziomie głębszym od słów, że tłumaczenie Leona wydawało się zbędne.

— Bardzo długo byłaś sama - powiedziała Lusima,.

— Tak, zbyt długo - przytaknęła Ewa, spoglądając na

Leona i dotykając jego ręki. - Ale już nie jestem.

— Samotność drażni duszę jak woda skałę. - Lusima skinęła

głową.

— Czy ponownie będę sama?

— Chcesz poznać przyszłość, Maua?

Ewa skinęła głową.

— Twój syn, M'bogo, mówi, że widzisz przyszłość.

— Jest mężczyzną, a mężczyźni lubią upraszczać sprawy.

Przyszłość nie jest prosta. Spójrz tam! - Ewa posłusznie podniosła głowę i popatrzyła w niebo. - Co widzisz, mój kwiatku?

— Obłoki.

— Jaki mają kształt i barwę?

— Przybierają wiele kształtów i odcieni, zmieniają się, gdy je obserwuję.

— Podobnie jest z przyszłością. Ma wiele postaci i zmienia się pod wpływem wiatru poruszającego naszym życiem.

— Nie możesz przepowiedzieć przyszłości mnie i M'bogo? - Rozczarowanie Ewy było tak dziecinne, że Lusima się roześmiała.

— Nie to chciałam powiedzieć. Czasami mroczne zasłony się otwierają i mogę rzucić jedynie przelotne spojrzenie na to, co nas czeka. Nie widzę jednak wszystkiego.

418

— Odstoń moją przyszłość, proszę, Mamo. Powiedz, czy znajdę na ziemi odrobinę szczęścia - poprosiła żarliwie.

— Jesteśmy ze sobą bardzo krótko. Odrobinę cię poznałam.

Kiedy zajrzę głębiej w twoją duszę, może zdołam przeniknąć twoją przyszłość.

— Och, Mamo! Byłabym taka szczęśliwa.

— Tak sądzisz? Może tak bardzo cię pokocham, że nie zechcę powiedzieć, co ujrzałam.

— Nie rozumiem.

— Przyszłość nie zawsze bywa pomyślna. Czy jeśli zobaczę coś, co uczyni cię smutną i nieszczęśliwą, będziesz chciała to usłyszeć?

— Chcę tylko, abyś mi powiedziała, że M'bogo i ja zawsze będziemy razem.

— Co zrobisz, jeśli powiem, że tak się nie stanie?

— Umrę - odparła Ewa.

— Nie chcę, abyś umarła. Jesteś zbyt piękna i dobra. Czy jeśli ujrzę, że wasze drogi się rozejdą, mam cię okłamać, abyś nie umarła?

— Niepotrzebnie wszystko komplikujesz, Mamo.

— Życie jest trudne. Nie ma w nim nic pewnego. Musimy jak najlepiej przeżyć dni, które zostały nam dane. - Widząc ból na twarzy Ewy, Lusimie zrobiło się jej żal. - Mogę ci powiedzieć, że dopóki będziecie razem, ty i M'bogo zakosz tujecie prawdziwego szczęścia. Wasze serca są ze sobą splecione jak te dwie rośliny. - Mówiąc to, położyła dłoń na starej winorośli oplatającej pień drzewa narad niczym pyton. - Wino

rośl stała się częścią drzewa. Widzisz, jak jedno wspiera drugie?

Nie można ich rozdzielić. Podobnie jest z wami.

— Czy ostrzeżesz nas przed niebezpieczeństwem, Mamo?

Błagam cię.

Lusima wzruszyła ramionami.

- Może, jeśli uznam, że wam to pomoże. Słońce doszło do zenitu. Przegadaliśmy cały ranek. Idźcie już, dzieci. Wykorzystajcie resztę dnia. Bądźcie szczęśliwi. Jutro pomówimy ponownie.

419

W miarę upływu dni lęki i obawy Ewy stopniowo słabły pod wpływem delikatnego postępowania Lusimy. Osiągnęła szczęście i zadowolenie, o jakim nie marzyła.

- Wiedziałam, że musimy tu przyjść, lecz dopiero teraz zrozumiałam dlaczego. Dni spędzone na górze Lonsonyo są dla mnie cenniejsze od diamentów. Niezależnie od tego, co się stanie, na zawsze je zapamiętamy - powiedziała Leonowi.

Pięć dni później Izmael przyprowadził konie południowym szlakiem wiodącym z doliny u podnóża góry. Tyle czasu Vajęto mu okrążenie Lonsonyo. Przeraził się na widok Ewy chodzącej boso i ubranej w shukę.

— Wielka i piękna dama nie powinna się ubierać jak te niewierne dzikusy - zganiał ją surowo po francusku.

— Ta shuka jest bardzo wygodna, a poza tym moje stare ubranie jest w strzępach - odparła.

Spojrzał na nią zrozpaczony.

- Przynajmniej przyrządzą wam jadło cywilizowanych ludzi zamiast tych pomyj, które jadają Masajowie.

Mijające dni zlewały się ze sobą jak sen, powodując, że stracili rachubę czasu. Jak dzieci błąkali się po zaczarowanych lasach góry Lonsonyo, trzymając się za ręce. Każdy najdrobniejszy cud natury, jaki ujrzeli - mały, jaskrawo upierzony nektarnik lub ogromny chrząszcz goliat - powodował, że coraz bardziej zapominali o troskach tego świata. Kiedy Leon ją poznał, ukrywała swoją prawdziwą naturę pod maską powagi. Rzadko się uśmiechała i prawie nigdy nie wybuchała śmiechem. Teraz, gdy byli sami, poczuła się

bezpiecznie i zdjęła maskę, ukazując swoje prawdziwe oblicze. Radość i zadowolenie sprawiły, że wydała się mu po stokroć piękniejsza. Spędzali ze sobą wszystkie chwile. Nawet najkrótsza rozłąka powodowała nieznośne cierpienie. Każdego ranka budziła się z myślą, że Otto nie żyje i że nikt nie wie o ich kryjówce. Byli bezpieczni i nic nie mogło ich rozłączyć.

420

Kiedy Izmael powiadomił ich ostrożnie, że zapasy kawy są na wyczerpaniu, ze śmiechem przyjęli tę tragiczną wiadomość.

- To nie twoja wina, umiłowany synu proroka. Nie zapiszą

tego w złotej księdze jako grzechu - pocieszył go Leon, lecz

Izmael odszedł, mrużąc smętnie pod nosem.

Mieszkańcy wioski obserwowali ich z życzliwą serdecznością, witali uśmiechem i przynosili Ewie drobne podarki - żdźbła trzciny cukrowej, bukiety dzikich storczyków, wachlarze z pięknych piór lub naszyjniki z paciorków. Lusima cieszyła się ich miłością niemal tak, jak oni sami. Przesiadywała z nimi codziennie godzinami, dzieląc się swoją mądrością i zrozumieniem życia.

Kiedy nastawała pora "małych deszczy", leżeli nocą objęci, przysłuchując się dudnieniu kropel o dach chatki, szepcząc i śmiejąc się, ogrzani i bezpieczni w swojej miłości. Deszcze w końcu ustały i Leon zdał sobie sprawę, że minęły prawie dwa miesiące od czasu, gdy weszli na szczyt ścieżką wiodącą obok wodospadu. Kiedy jej o tym powiedział, uśmiechnęła się spokojnie.

— Czemu mi o tym mówisz, Ratelku? Dopóki jesteśmy

razem, czas się nie liczy. Co będziemy dzisiaj robić?

— Loikot zna miejsca lęgowe orłów na przeciwległym zbo

czu, niedaleko wodospadów Saby. Wielkie ptaki zakładają tam

gniazda od pokoleń, odkąd ludzie sięgają pamięcią. O tej porze

roku w gniazdach będą pisklęta. Chcesz tam pójść i zobaczyć

młode?

— Tak, zabierz mnie tam! - Klasnęła w dłonie, uradowana

jak dziecko, któremu obiecano urodzinowe przyjęcie. - W dro

dze powrotnej obejrzymy wodospad i jeszcze raz popływamy

w jego zaczarowanych wodach.

— To długa wyprawa, nie będzie nas w wiosce kilka dni.

— Mamy mnóstwo czasu.

Dotarli do przeciwległego końca góry po trzech dniach spokojnego marszu. Musieli pokonać głębokie urwiste wąwozy i gęste lasy, w których na każdym kroku czekało ich coś

421

uroczego i nowego. W końcu usiedli na krawędzi przepaści, obserwując parę orłów żeglujących w dole. Ptaki zataczały kręgi nad gniazdem, nawołując się i przynosząc w szponach góralki i zające, małpy i ptaki łowne, aby nakarmić młode.

Ewa była rozczarowana, bo gniazdo zasłaniała skalna półka, na której siedzieli.

- Chcę zobaczyć pisklęta - powiedziała. - Jestem pewna, że Loikot zna miejsce, z którego będzie widoczne. Mógłbyś go poprosić, aby je nam pokazał, Ratelku? - Z niecierpliwością przysłuchiwała się długiej rozmowie w języku maa, z którego nie rozumiała ani słowa.

W końcu Leon wrócił do niej i pokręcił głową.

— Mówi, że zna ścieżkę prowadzącą w dół zbocza, lecz jest bardzo trudna i niebezpieczna.

— Powiedz, żeby nas tam zaprowadził. Przebyliśmy długą drogę, bo obiecał, że zobaczymy pisklęta. Musimy go trzymać za słowo. - Masaj poprowadził ich wzdłuż krawędzi urwiska do szczeliny w skale. Odłożył assegai i wpełzł do środka. Leon ledwie zmieścił się w przejściu. Oparł hollanda o pień drzewa i zszedł na dół. Ewa owinęła długie nogi połamami shuki i ruszyła za nim.

Schodzili w półmroku niemal pionowym naturalnym szybem oświetlonym słabymi promieniami słońca wpadającymi z góry, które jednak wystarczały, by znaleźć oparcie dla stóp i dłoni. Pomału światło

stawało się coraz silniejsze, gdyż dostawało się do środka również przez otwór w dole. W końcu wypęzli na zewnątrz wąską szczeliną prowadzącą na kolejną skalną półkę. Szyb wiódł poniżej skalnego nawisu, na którym niedawno siedzieli. Mimo to nadal nie było widać gniazda. Orły zauważyły ich obecność, zaniepokojone pokrzykiwały i podlatywały, aby spojrzeć na nich gniewnie żółtymi oczami.

Półka była wąska. Posuwali się naprzód, plecami przy skale. Po chwili skalny występ się rozszerzył. Loikot rozciągnął się na ziemi i wyrztał na drugą stronę, a następnie uśmiechnął się do Ewy, dając znak, by poszła za jego przykładem. Ostrożnie podpełzła i spojrzała w dół.

422

- Są tam! - zawołała podniecona. - Ratelku, chodź tutaj!

Musisz je zobaczyć!

Położył się obok, obejmując ją ramieniem. Orle gniazdo było tuż pod nimi, nie dalej niż trzydzieści stóp. W skalnej szczelinie orły zbudowały dużą platformę z suchych gałęzi. Gniazdo było wymoszczone zielonymi liśćmi i trzcina. Pośrodku wgłębienia na chwiejnych nogach przycupnęło dwoje orląt, tak młodych, że ledwie utrzymywały prosto głowę. Ogromny dziób nie pasował do tułowia pokrytego szarym puchem. Ich dzioby miały jeszcze haczykowane zakończenie, którym przebiły grubą skorupkę, aby wydostać się na świat.

— Co za urocze brzydactwa! Spójrz na te wielkie mleczone oczy! - zaśmiała się Ewa, by po chwili cofnąć się ze strachu, gdy poczuła powiew powietrza i łopot ogromnych skrzydeł. Samiec i samica zanurkowały w dół, wysuwając groźnie szpony, gotowe bronić gniazda i młodych.

— Pochyl głowę - ostrzegł Leon - bo cię jej pozbawią.

Zachowaj spokój. Nie ruszaj się. - Przywarli do skalnej półki.

Stopniowo wściekłość ptaków osłabła, kiedy zrozumiały, że intruzi nie stanowią zagrożenia dla ich potomstwa. W końcu samica wróciła do gniazda i usiadła na nim, składając skrzydła.

Stanąła nad pisklętami, zastaniając je opiekuńczo, by po chwili ukryć je pod własnym ciałem. Leżeli cierpliwie, bez najmniej

szego ruchu. Ptaki uspokoiły się jeszcze bardziej. W końcu przestały zwracać uwagę na ich obecność i zaczęły się normalnie zachowywać.

Przebywanie tak blisko tych wspaniałych zwierząt i obserwowanie, jak opiekują się i karmią młode, było niezwykłym przeżyciem. Spędzili resztę dnia na skalnej półce. Kiedy słońce zaczęło zachodzić i trzeba było wracać, niechętnie opuścili stanowisko. Przykryli się jednym pledem w prowizorycznym szałasie, który przygotował dla nich Loikot.

— Nigdy nie zapomnę tego dnia - szepnęła Ewa.

— Każdy dzień, który ze sobą spędziliśmy, był niezapomniany.

423

— Nigdy nie zabierzesz mnie z Afryki, prawda?

— To nasz dom. - Skinął głową.

— Miałam dziwne uczucie, obserwując te zabawne małe pisklęta.

— To powszechna kobieca przypadłość nazywana melancholią - zażartował.

— Będziemy mieli dzieci, prawda, Ratelku?

— Mamy się o to postarać w tej chwili?

— Sama nie wiem - wyznała. - Może powinniśmy spróbować. Co o tym sądzisz?

— Jesteś geniuszem, kobieto. Nie traćmy czasu na jałowe pogaduszki.

Przybycie do wioski Lusimy przypominało szczęśliwy powrót do domu. Pastuszkowie wypatrzyli ich z oddali i krzykiem powiadomili mieszkańców manyatty, a ci wyszli im na spotkanie, śmiejąc się i śpiewając. Lusima czekała na nich pod drzewem narad. Przytuliła Ewę i wskazała, by usiadła z prawej strony. Leon zajął miejsce na stołku naprzeciw niej i tłumaczył, gdy intuicyjne zrozumienie nie

wystarczało. Nagle przerwał w środku zdania, uniósł głowę i wciągnął nosem powietrze.

— Cóż to za cudowny aromat? - spytał, nie zwracając się do nikogo konkretnego.

— Kawa! - zawołała Ewa. - Cudowna, przepyszna kawa! - Izmael nadchodził z dwoma kubkami parującej kawy w jednej i czajnikiem w drugiej dłoni. Uśmiechał się triumfująco. - Jesteś cudotwórcą! - przywitała go po francusku. - Tylko tego mi brakowało do pełni szczęścia.

— Przywiozłem wiele pięknych ubrań i butów, aby pani nie musiała nosić strojów tych niewiernych. - Mówiąc to, wskazał jej shukę z grymasem wyrażającym najgłębszą odrazę i dezaprobatę.

— Izmaelu! - zawołał z przerażeniem Leon. - Czy pod

424

naszą nieobecność poszedłeś do Obozu Percy'ego, aby przywieźć kawę i ubrania memsahibi

— Ndio, bwana - odrzekł, uśmiechając się dumnie. -

Jechałem bez wytchnienia na moim mule i wróciłem po czterech dniach.

— Czy ktoś cię widział? Kto był w obozie?

— Tylko bwana Hennie.

— Powiedziałeś mi, gdzie jesteśmy? - spytał Leon.

— Tak, wypytywał mnie - odparł Izmael. Spochmurniał, widząc wyraz twarzy Leona. - Zrobiłem coś złego, efendil

Leon odwrócił głowę, próbując stłumić gniew i przerażenie, które go ogarnęły. Spojrzał na niego spokojnie.

- Zrobiłeś to, co uważałeś za słuszne, Izmaelu. Kawa jest wyborna, tak dobra jak zawsze. - Izmael znał go zbyt dobrze, aby dać się zwieść gładkim słowom. Zrozumiał, na czym polegał jego błąd. Wrócił do kuchni z winą wypisaną na twarzy.

Ewa obserwowała Leona. Jej twarz pobladła, zacisnęła dłonie na kolanach.

— Stało się coś złego, prawda? - Chociaż jej głos był cichy i spokojny, oczy pociemniały ze strachu.

— Nie możemy zostać tu dłużej - rzekł ponuro i spojrzął na zachód, gdzie słońce zniknęło za horyzontem. - Powinniśmy natychmiast opuścić to miejsce, lecz jest już za późno. Wyruszymy jutro skoro świt.

— Co się stało, Ratelku? - zapytała, ujmując jego rękę.

— Kiedy oglądaliśmy orle gniazda, Izmael poszedł do obozu, aby uzupełnić zapasy. Zastał Henniego du Randa. Powiedział mu, gdzie jesteście.

— Czy to źle? Hennie to przyjaciel, prawda? Nie skrzywdziłby nas?

— Nie zrobiłby tego celowo, lecz nie zdaje sobie sprawy, w jak delikatnej sytuacji się znajdujemy. Nie możemy ryzykować, Ewo. Jeśli graf Otto żyje, przyjdzie tu, by cię odnaleźć.

— On umarł, kochany.

— Wiem, że miałaś sen, lecz nie możemy mieć pewności.

425

Oprócz tego są twoi przełożeni z Whitehaflu. Jeśli dowiedzą się, gdzie jesteś, nie pozwolą ci odejść. Musimy uciekać.

— Dokąd?

— Jeśli dotrzemy do jednej z maszyn, przelecimy nad granicą niemiecką do Dar es-Salaam, a następnie popłyniemy statkiem do Afryki Południowej lub Australii. Kiedy dotrzemy na miejsce, zmienimy nazwiska i znikniemy.

— Nie mamy pieniędzy - przypomniała mu.

— Percy zostawił mi ich dość. Pojedziesz ze mną?

— Oczywiście - odpowiedziała bez chwili wahania. -

Pojadę tam, gdzie ty.

— Mamo, musimy wyjechać - rzekł do Lusimy.

— Tak - przytaknęła. - Wiedziałam o tym, lecz nie chciałam wam mówić.

Ewa zrozumiała jej słowa.

- Udało ci się zajrzeć za kurtynę, Mamo? - spytała z przejęciem.

Lusima skinęła głową.

— Powiesz nam, co widziałaś?

— Widziałam niewiele i nie to, co chciałabyś usłyszeć, mój kwiatuszku.

— Mimo to chcę wiedzieć. Możesz wiedzieć o czymś, co nas ocali.

Lusima westchnęła.

- Jak sobie życzysz, lecz pamiętaj, że cię ostrzegałam. -

Klasnęła w dłonie i po chwili dwie dziewczyny przykucnęły obok niej. Kiedy wydała im polecenia, pobiegły do jej chaty.

Gdy słońce już zaszło, a krótki zmierzch ustąpił miejsca nocy, wrócili z rekwizytami, których używała do przepowiadania przyszłości. Służki położyły przedmioty w pobliżu Lusimy i rozпалиły małe ognisko. Masajka otworzyła małe skórzane woreczki i wyjęła z nich po garści suszonych ziół. Mrucząc zaklęcia, wsypała je do ognia, z którego buchnął gryzący dym. Jedna z dziewcząt zawiesiła nad ogniem glinianą miskę wypełnioną po brzegi płynem odbijającym płomienie jak zwierciadło.

426

— Usiądźcie obok mnie. - Lusima skinęła w stronę Ewy i Leona. Usiedli dookoła misy. Masajka zanurzyła w niej kielich ze zwierzęcego rogu i podała obojgu. Kiedy przetknęli łyk gorzkiego naparu, wypita resztę.

— Spójrzcie w zwierciadło - rozkazała. Na powierzchni falowały ich odbicia, lecz żadne nie dostrzegło niczego więcej. Kiedy płyn zaczął wrzeć, Lusima rozpoczęła monotony śpiew, wpatrując się w kłęby pary. W końcu jej głos stał się surowy i napięty. - Widzę dwóch nieprzyjaciół, mężczyznę i kobietę. Próbują zniszczyć więź miłości, która was połączyła.

Ewa wydała cichy bolesny okrzyk i zamilkła.

— Widzę kobietę ze srebrnym paskiem na głowie.

— To pani Ryan w Londynie - szepnęła Ewa, kiedy Leon przetłumaczył jej słowa Lusimy. - Ma pasek siwych włosów na głowie.

— Mężczyzna jest jednoręki.

Spojrzeni na siebie ponad glinianym naczyniem.

- Nie mam pojęcia, o kogo chodzi. - Leon potrząsnął głową. - Lusimo Mamo, powiedz nam, czy naszym nieprzyjaciołom się powiedzie.

Lusima jęknęła boleśnie.

— Nie widzę nic więcej. Niebo zasnuł dym i płomień.

Świat płonie. To dziwne... nad płomieniami widzę wielką srebrzystą rybę niosącą nadzieję na miłość i pomyślność.

— Co to za ryba? - spytał Leon.

— Błagam, wyjaśnij nam swoje widzenie - poprosiła Ewa, lecz oczy Lusimy stały się ponownie jasne i skupione.

— Nie dostrzegłam nic więcej - rzekła z żalem. - Ostrzeżałam cię, że wolałabyś tego nie wiedzieć, kwiatuszku. - Wyciągnęła rękę i przewróciła gliniane naczynie, wylewając jego zawartość do ognia. Płomień zgasł z sykiem, a w powietrze uniósł się obłok pary. - Odpocznijcie teraz. Może być to wasza ostatnia noc na górze Lonsonyo na długi, długi czas.

427

Przed udaniem się do swojej chaty Leon wydał polecenia dwóm Masajom i Izmaelowi. Mieli osiodłać konie i przygotować wszystko tak, by mogli wyruszyć skoro świt.

Chociaż noc była cicha i spokojna, spali nerwowym snem, dotykając się instynktownie, ogarnięci niejasnym uczuciem przerażenia. Kiedy ptaki w okolicznym lesie powitały pierwsze promienie słońca chórem głosów, kochali się z rozpaczliwym zapamiętaniem, którego wcześniej nie znali. Burza namiętności ucichła, osiągnąwszy kulminację, a oni zaczęli drżeć objęci. Ich nagie ciała pokryły się potem, a oddech stał się szybki.

- Kochanie, pora się ubierać - szepnął Leon, kiedy w koń

cu się od siebie odsunęli.

Wstał i narzucił ubranie, a następnie podszedł do drzwi i otworzył je na oścież. Wyprostował się w przejściu, spoglądając na mroczny las, który ich otaczał. Gwiazda Poranna stała wysoko na niebie, lśniąca na ciemnofioletowym niebie. Światło było przyćmione, o barwie ołowiu. Ewa stanęła w drzwiach tuż za nim. Objął ją. Chciał coś powiedzieć, gdy wtem ujrzał mężczyzn. Przez chwilę sądził, że to jego ludzie prowadzący konie.

Czekali w ciemności na obrzeżu lasu. Teraz zaczęli iść w ich stronę, zbliżając się z każdym krokiem. Było ich siedmiu - pięciu askari i dwóch oficerów. Mieli na sobie miękkie kapelusze i mundury polowe. Askari nieśli karabiny przerzucone przez ramię, lecz oficerowi byli uzbrojeni jedynie w pistolety. Dowódca stanął przed nimi i zsalutował Ewie, ignorując Leona.

- Jak nas odnalazłeś, wuju Penrodzie? Czy ktoś obserwował

Obóz Percy'ego i śledził Izmaela aż tutaj?

Penrod skinął głową.

— Oczywiście. - Zwrócił się do Ewy i powiedział: -

Dzień dobry, moja droga. Mam dla ciebie wiadomość z Londynu

od pani Ryan i pana Browna.

— Nie! - zawołała, cofając się. - Otto nie żyje, wszystko

skończone.

— Graf Otto nie umarł, choć niewiele brakowało. Doktor

428

musiał amputować mu lewą rękę, bo wdała się gangrena. Inne rany dało się pozszywać. Graf przez długi czas był non compos mentis. Dopiero niedawno odzyskał zmysły. Jest twardy jak granit, wytrzymały jak skóra słońca. Nadal jest bardzo słaby, lecz pytał o ciebie. Wymyśliłem zręczną historyjkę, aby wytłumaczyć twoją nieobecność. Myślę, że naprawdę cię kocha. Odeślę cię do niego, abyś dokończyła misję. Leon stanął pomiędzy nimi.

— Nie wróci tam. Kochamy się i zamierzamy wziąć ślub,

gdy tylko powrócimy do cywilizacji.

— Poruczniku Courtney, przypominam, że jestem waszym

przełożonym. Proszę zwracać się do mnie "generale". A teraz usuń się pan.

— Nie mogę, generale. Nie pozwolę jej wrócić.

— Kapitanie! - warknął przez ramię Penrod, wzywając młodszego oficera.

— Tak, panie generale? - Leon rozpoznał jego głos, lecz rozpacz sprawiła, że upłynęła chwila, zanim zrozumiał, że ma przed sobą Eddy'ego Robertsa, oficera podlizującego się Froggy'emu Snellowi.

— Aresztujcie tego człowieka - rzekł ponuro Penrod. - Jeśli będzie stawiał opór, postrzelcie go w kolano.

— Tak jest! - zapał radośnie Roberts, wyciągając webleya z kabury. Leon ruszył w jego stronę. Eddy cofnął się, odbezpieczył broń i uniósł lufę, lecz zanim zdążył wycelować, Ewa zastąpiła mu drogę. Stanęła pomiędzy nimi, rozkładając ręce. Rewolwer Eddy'ego był wycelowany w jej pierś.

— Nie strzelaj - krzyknął Penrod. - Na Boga, nie zrań kobiety! - Kapitan niepewnie opuścił broń.

Ewa natychmiast przeniosła uwagę z Eddy'ego na Penroda.

— Czego pan ode mnie chce, generale? - zapytała chłodnym, opanowanym tonem, choć jej twarz pobleła.

— Chcę zamienić z tobą słówko na osobności, moja droga. - Penrod ujął ją pod ramię i odprowadził na bok.

— Nie idź z nim, Ewo! - krzyknął Leon. - Oszuka cię!

Odwróciła głowę. Zauważył, że jej oczy utraciły dawny blask. Poczuł, że skręca się w nim żołądek. Wróciła tam, dokąd nikt nie mógł za nią podążyć, nawet mężczyzna, który ją kochał.

- Ewo! - zawołał błagalnie. - Zostań ze mną, kochana!

Udała, że go nie słyszy, i pozwoliła, aby Penrod odprowadził

ją na bok. Poszli na krawędź urwiska, by Leon nie mógł usłyszeć ich rozmowy. Generał pochylił się nad nią, tak że ją w dużej mierze zastonił. Przy rosyjm mężczyźnie wyglądała jak dziecko. Patrzyła poważnie, słuchając jego słów. Położył dłonie na jej ramionach i delikatnie potrząsnął. Jego twarz miała poważny wyraz. Leon nie mógł się powstrzymać. Chciał Ewy bronić, objąć ją i otoczyć na zawsze troskliwą opieką.

- No, Courtney, zrób to! - powiedział Eddy Roberts

prowołującym tonem. - Daj mi powód. Ostatnim razem udało

ci się wywinąć, lecz teraz nie zdołasz. - Kurek rewolweru był

odbezpieczony, lufa skierowana w prawe kolano Leona. - Zrób

to, draniu! Daj mi powód, a rozwalę ci tę cholerną nogę.

Leon wiedział, że tamten nie żartuje. Zgrzytnął zębami i zacisnął pięści tak mocno, że paznokcie wbiły się w ciało. Ewa nadal wpatrywała się w twarz Penroda. Co jakiś czas kiwała beznamiętnie głową w czarujący i przekonujący sposób. W końcu zwiesiła ramiona i posłusznie skinęła głową. Penrod położył jej rękę na ramieniu w dobrodusznym, pełnym zatroskania geście i odprowadził do miejsca, gdzie Eddy trzymał Leona na muszce. Nie spojrzała na niego. Jej twarz była pozbawiona wyrazu.

— Kapitanie Roberts! - rzekł Penrod, nie patrząc na Leona.

— Tak, panie generale?

— Skujcie więźnia.

Eddy odpiął kajdanki od parcianego pasa i zatrzęsął je na nadgarstkach Leona.

- Zostaniesz tutaj! Nie zróbcie mu krzywdy, chyba że na

to zasłuży - polecił. - Zejdziecie z góry dopiero wtedy, gdy

otrzymacie mój rozkaz. Wtedy odprowadzicie go pod strażą

do Nairobi. Do mnie osobiście.

— Tak jest.

— Chodź z nami, moja droga - zwrócił się do Ewy. -

Czeka nas długa droga.

— Nie możesz iść, Ewo! - zawołał Leon, kiedy ruszyli

w stronę koni. - Nie możesz mnie zostawić! Błagam!

Przystanęła, spoglądając na niego matowymi, pozbawionymi nadziei oczami.

— Byliśmy jak dwójka naiwnych dzieciaków, które śnią na

jawie. Wszystko skończone. Muszę iść. Żegnaj, Leonie.

— Boże! -jęknął. - Nie kochasz mnie?

— Nie. Kocham jedynie swój obowiązek - skłamała. Nie

wiedział, że wypowiada te słowa z rozdartym sercem.

Kiedy Ewa i Penrod opuścili wioskę, Eddy Roberts kazał askari zaciągnąć Leona do jego chaty i tam posadził go na ziemi z nogami po obu stronach centralnego słupa wspierającego dach. Następnie rozpiął kajdanki skuwające nadgarstki i przełożył je na kostki.

- Nie zamierzam ryzykować, Courtney - zakomunikował z sadystycznym uśmiechem. Pozwolił, aby Izmael raz dziennie przynosił mu jedzenie i zabierał wiadro z fekaliami, a następnie obmywał go jak niemowlaka. Musiał tak siedzieć dwanaście dłużeńych się w nieskończoność, upokarzających dni, zanim na górskim szlaku pojawił się wystannik Penroda Ballantyne'a z rozkazem wypisanym na żółtej kartce. Eddy Roberts pozwolił mu wyjść z chatki, a askari podnieśli go i wsadzili na konia. Miał kostki tak opuchnięte i pokaleczone od kajdanek, że ledwie mógł się poruszać. Mimo to Eddy rozkazał swoim ludziom, aby związali mu nogi sznurem przeciągniętym pod brzuchem wierzchowca.

Podróż ryfem do torów kolei nie należała do przyjemności. Eddy zadbał o to - jechał za koniem Leona i zmuszał go do kłusu na wyboistym terenie. Ze skrupowanymi kostkami, Leon nie mógł dostosować się do rytmu wierzchowca i wytrząsł się niemiłosiernie.

Penrod wpadł w furję, kiedy dwaj askari wciągnęli Leona

431

do jego gabinetu w kwaterze głównej KSA w Nairobi. Wyszedł zza biurka i pomógł mu usiąść na krześle.

— Nie chciałem, aby tak cię potraktowali - powiedział

tonem zbliżonym do przepraszającego, którego Leon nigdy wcześniej u niego nie słyszał.

— Wszystko w porządku, generale. Sądzę, że nie miał pan wyboru. Musiał mnie pan spętać jak prosię.

— Sam się o to prosiłeś - przytaknął Penrod. - Masz cholerne szczęście, że nie kazałem cię zastrzelić. Przyznam, że przeszło mi to przez myśl.

— Gdzie jest Ewa, wuju?

— Pewnie w okolicach Kanału Sueskiego, w drodze do Berlina. Posłałem po ciebie dopiero wtedy, gdy liniowiec wypłynął z Mombasy. - Jego twarz złagodniała. - Wszyscy mieliśmy do wykonania przykry obowiązek. Myślę, że wy świadczyłem ci przysługę, umożliwiając powrót do zdrowych zmysłów i pozbycie się tej kobiety.

— Może i tak, choć nie mogę powiedzieć, abym czuł wdzięczność.

— Teraz może nie, lecz w przyszłości na pewno mi po dziękujesz. Jest szpiegiem, wiedziałeś? To wyrachowana, pozbawiona skrupułów niewiasta.

— Nie. To brytyjska agentka i piękna, odważna kobieta, która zrobiła dla pana i Wielkiej Brytanii więcej, niż wymagał tego patriotyczny obowiązek.

— Jest inne słowo na określenie takich jak ona.

— Jeśli pan je wypowie, nie odpowiadam za siebie. Tym razem będzie mnie pan musiał zastrzelić.

— Jesteś idiotą, Courtney. Beznadziejnie zakochanym dzie
ciakiem niezdolnym do racjonalnego myślenia. - Sięgnął po
bluzę munduru zawieszoną na oparciu krzesła.

Kiedy ją zapinał, Leon dostrzegł na epoletach trzy gwiazdy i skrzyżowane szable.

- Jeśli skończył mnie pan obrażać, proszę pozwolić, że
pogratuluję awansu na stanowisko generała dywizji.

432

Napięcie nieco opadło.

— Zapomnijmy o urazach - powiedział Penrod. - Każdy
z nas zrobił to, co musiał. Przyjmuję gratulacje, Leonie. Czy
wiesz, że gdy spędzałeś miesiąc miodowy na górze Lonsonyo,
jakiś serbski szaleniec zastrzelił arcyksięcia Franciszka Fer
dynanda? Podjęcie działań odwetowych przeciw temu krajowi
wywołało spiralę przemocy. Zgodnie z moimi przewidywaniami
połowa Europy pogrążyła się w wojennym chaosie. Za kilka
miesiący działania wojenne ogarną pół świata. - Wyjął z kie
szeni paczkę papersów i zapalił papierosa. - Podczas wojny
burskiej służyłem pod "Krwawym Bykiem" Allenbym. Teraz
Allenby jest dowódcą sił angielskich w Egipcie. Ma ruszyć do
Mezopotamii, chce, abym objął dowództwo nad jego kawalerią.
Za tydzień wypływam do Kairu. Twoja ciotka będzie rada,
mogąc gościć mnie w domu kilka dni.

— Proszę ją ode mnie pozdrowić. Kto przejmie dowództwo
nad siłami w Nairobi?

— Mam dla ciebie dobrą wiadomość. Żaba Snell dostał awans na pułkownika. Powierzono mu to zadanie. Na szczęście przed wyjazdem mogę ci wyświadczyć ostatnią przysługę. Hugh Delamere formuje lekki oddział kawalerii KSA złożony z ochotników. Przeniosłem cię z rezerwy pod jego komendę, abyś pełnił funkcję oficera łącznikowego. Delamere chce ci powierzyć rolę dowódcy zwiadu lotniczego. Wie o twoim zatargu ze Snellem i będzie cię przed nim chronił.

— To bardzo uprzejmie z jego strony, choć jest pewien problem. Nie mam samolotu, którym mógłbym odbywać loty zwiadowcze.

— W chwili gdy cesarz Wilhelm wypowie nam wojnę, będziesz miał aeroplan. Właściwie nawet dwa. Hugh Delamere wypożyczył pilota hydroplanu z bazy marynarki w Mombasie. Wysłał go do Obozu Percy'ego, aby sprowadził tu Trzmiela. Obie maszyny von Meerbacha stoją bezpieczne w hangarze obok boiska polo.

— Nie rozumiem. Nie zabrał ich ze sobą, wracając do kraju?

433

— Nie, zostawił maszyny pod opieką Gustawa Kilmera. Kiedy wybuchnie wojna, obie staną się własnością wroga. Umieścimy Kilmera w obozie koncentracyjnym i przejmemy samoloty.

— To dobra nowina. Stałem się uzależniony od latania,

trudno byłoby mi się pogodzić z myślą, że więcej nie usiądę za sterami. Kiedy mnie pan wypuści, pojadę do Tandali, aby sprawdzić, co pod moją nieobecność robili Max Rosenthal i Hennie du Rand. Później udam się na lotnisko, by skontrolować, czy Gustaw właściwie zabezpieczył maszyny.

— Du Randa nie ma w Tandali. Pojechał do Niemiec z von Meerbachem.

— Dobry Boże. - Leon był szczerze zdumiony. - Jak to się stało?

— Graf musiał mu przypaść do serca. Tak czy siak wyjechał, a ja wyjadę w następny piątek. Oczekuję, że zjawisz się na dworcu, aby mnie serdecznie pożegnać.

— Za żadne skarby nie przepuściłbym takiej okazji, generale.

— Zabrzmiało to nieco dwuznacznie, jak sądzę. - Penrod wstał z krzesła. - Jesteś wolny.

— Mogę zadać ostatnie pytanie?

— Wał śmiało, choć podejrzewam, że wiem, o co ci chodzi.

Nie obiecuję, że odpowiem.

— W jaki sposób dotrą do pana meldunki od Evy Barry, gdy będzie w Niemczech?

— A więc to tak się nazywa nasza młoda dama? Podejrzewałem, że von Wellberg to jej nome de guerre. Mam wrażenie, że wiesz o niej więcej ode mnie.

— Nie odpowiedział pan na moje pytanie, generale.

— Doprawdy? Rzeczywiście - odparł Penrod. - I niech

tak pozostanie.

Kiedy Leon przyjechał do Tandali i poszedł do namiotu Maksa Rosenthala, okazało się, że ten pakuje manatki.

434

— Opuuszczasz nas, Max? - zapytał.

— Miejscowi szykują nam krwawą łaźnię. Nie chcę spędzić wojny w brytyjskim obozie koncentracyjnym podobnym do tych, które Kitchener pozakładał w Afryce Południowej. Wracam do Niemiec.

— Mądra decyzja - powiedział Leon. - Sytuacja tutaj ulegnie zmianie. Jadę na lotnisko pomówić z Gustawem o samolotach. Jeśli zostaniesz do rana, podrzucę was obu na południe, do Arushy, gdzie będziecie bezpieczni.

Chociaż zapadał zmrok, w całym Nairobi wrzało. Musiał kluczyć między samochodami i wozami pełnymi osadników, którzy przybyli z głębi kraju. Powiadano, że von Lettow Vorbeck zgromadził siły na granicy i w każdej chwili może ruszyć na Nairobi, by splądrować i spalić farmy, które napotka po drodze. Żołnierze generała Ballantyne'a rozstawili namioty wojskowe na placu apelowym Królewskich Strzelców Afrykańskich, aby zapewnić schronienie uciekinierom. Kobiety i dzieci zaczęły się rozlokowywać, a ich mężowie stanęli w kolejce do biura poboru zorganizowanego w budynku banku Barclays, gdzie lord Delamere przyjmował ludzi do ochotniczego regimentu lekkiej kawalerii.

Kiedy Leon mijał gmach banku, słyszał ochotników zbitych się w małe gromadki, którzy z ożywieniem rozprawiali o wybuchu wojny i o tym, jak to wpłynie na sytuację w kolonii. Ich konie były osiodłane, wszyscy mieli na sobie myśliwskie ubrania. Większość była uzbrojona w sportowe karabinki, ale to nie przeszkodzi im ruszyć na spotkanie von Lettowa Vorbecka i jego krwiożerczych askari. Leon wiedział, że niewielu z nich odbyło przeszkolenie wojskowe. Uśmiechnął się współczująco. Biedni głupcy, myślą, że to polowanie na perliczki. Nie przyszło im do głowy, że Niemcy mogą odpowiedzieć ogniem.

Z biura telegrafu naprzeciw banku wybiegł mężczyzna, powiewając kartką nad głową.

- Najświeższe doniesienia z Londynu! Zaczęło się! -

krzyczał. - Kajzer wypowiedział wojnę Wielkiej Brytanii

i całemu Imperium Brytyjskiemu! Ruszajcie po chwałę, chłopaki!

Odpowiedział mu chór głośnych okrzyków. Butelki piwa powędrowały w górę, a z gardeł rozległ się krzyk:

- Do diabła z draniem!

W tłumie znajomych mężczyzn Leon spostrzegł Bobby'ego Sampsona. Już miał zsiąść z konia, aby się do nich przyłączyć, gdy przez głowę przemknęła mu niepokojąca myśl. Jak zareaguje Gustaw na wieść o wypowiedzeniu wojny? Jakie rozkazy zostawił mu graf Otto na tę okoliczność?

Spiął wierzchowca i ruszył galopem w stronę boiska polo.

Kiedy do niego dotarł, zapadły ciemności. Ściągnął wodze, gdy zbliżał się do hangaru. Tego dnia padał deszcz, więc ziemia była mokra. Wilgotna trawa tłumiała odgłos kopyt. Przez brezentowe ściany dostrzegł światło w hangarze. Początkowo sądził, że ktoś chodzi w środku z latarnią, lecz po chwili zauważył, że światło jest czerwone i migocze.

Pożar!

Złe przeczucie się sprawdziło. Wyszarpnął stopy ze strzemion i zeskoczył na ziemię. Cicho podbiegł do drzwi i przystanął, aby ocenić sytuację. Światło okazało się płomieniem zapalonej pochodni, którą Gustaw uniósł wysoko nad głowę. W jej świetle zauważył, że samoloty stoją po przeciwnych stronach hangaru, zwrócone do siebie ogonami. Hangar miał dwoje wrót, dzięki czemu można było każdy samolot wprowadzić bez przesuwania drugiego.

Gustaw porąbał większość drewnianych skrzyń, w których przywieziono samoloty z Niemiec, i ułożył stos pod kadłubem Motyla. Był tak zajęty przygotowaniami do spalania samolotów, że nie zauważył Leona stojącego w drzwiach hangaru. W prawej ręce trzymał płonąca głownię, a w lewej odkorkowaną butelkę wódki. Był w połowie pijackiej mowy pożegnalnej skierowanej do samolotów.

- To najtrudniejsza rzecz, o jaką mnie poproszono. Jesteście

dziełem mojego umysłu i dłoni. Obmyśliłem każdą linię wa-

szego pięknego kadłuba, zbudowałem was własnymi rękami. Trudziłem się dniami i nocami. Jesteście pomnikiem moich umiejętności i geniuszu. - Zaszlochał, pociągnął dwa tęgie tyki, i beknął, opuszczając butelkę. - A teraz muszę was zniszczyć. Wraz z wami umrze częśćka mnie. Żałuję, że nie mam dość odwagi, aby rzucić się na ten stos, bo gdy znikniecie, moje życie stanie się nic niewarte. - Mówiąc to, rzucił pochodnię w kierunku drewnianego stosu. Wypity alkohol przytępił jego zmysły i pochodnia przeleciała nad maszyną, wlokąc za sobą ogon iskier. Uderzyła w lewy silnik, odbiła się, upadła na ziemię i potoczyła pod stopy Gustawa. Niemiec zaklął, schylając się po płonące polano.

Leon skoczył ku niemu. Runął na Gustawa, gdy jego palce zacisnęły się na drzewcu pochodni. Zwalił go z nóg. Butelka upadła na ziemię, rozbijając się w kawałki. Jakimś cudem Gustaw zdołał utrzymać płonącą głownię.

Z niezwykłą zwinnością, jak na tak potężnie zbudowanego mężczyznę, przekręcił się na kolana i spojrzał na Leona.

- Zabiję, jeśli spróbujesz mnie powstrzymać! - Rzucił ponownie pochodnię i tym razem wylądowała na stosie. Leon zastanawiał się, czy Gustaw polał drewno benzyną, jednak płomień nadal się tlił, nie powodując eksplozji. Ruszył przed siebie, próbując chwycić pochodnię, zanim płomień ogarnie deski.

Gustaw dźwignął się na nogi, zastępując mu drogę. Pochylił się i opuścił głowę, rozkładając ramiona, aby go zatrzymać. Leon biegł prosto na niego, zanim jednak Gustaw zdążył go złapać, kopnął go w krocze. Stopa wprawdzie nie sięgnęła czułego miejsca, lecz kółko ostrogi zatopiło się w miękkim ciele między udami. Niemiec jęknął z bólu i runął w tył, chwytając się za genitalia.

Leon odrzucił go na bok i dobiegł do stosu drewna. Chwycił pochodnię i cisnął nią w kierunku drzwi. Jedna z desek zdążyła zająć się ogniem. Wyciągnął ją i próbował zdeptać płomień.

Nie spodziewał się, że Gustaw skoczy mu na plecy i oplecie

437

szyję muskularnym ramieniem. Niemiec owinął nogami tułów Leona, dosiadając go jak konia. Kiedy mocniej nacisnął ramieniem, Leon zaczął się krztusić.

Przez załzawione oczy spostrzegł tuż przed sobą, na wysokości głowy, jedno ze śmigieł potężnego obrotowego silnika Meerbach. Wykonano je z pokrytego laminatem drewna, lecz przednia krawędź została obita metalem i przypominała ostrze noża. Wykonał szybki piruet, ustawiając Gustawa na linii ostrza, a następnie rzucił się w tył. Śmigło uderzyło w potylicę Niemca, rozcinając czaszkę i pozbawiając go równowagi. Uścisk zelżał i Leon strząsnął z pleców napastnika. Niemiec zataczał się chwiejnie, ociekając krwią. Leon uderzył Gustawa w szczękę, powalając go na plecy.

Rozejrzał się wokół, ciężko dysząc. Pochodnia leżała w drzwiach hangaru, tam gdzie ją rzucił. Paliła się, lecz w pobliżu nie było niczego, co mogłoby się zająć ogniem. Większe zagrożenie stanowiła deska, której

nie zdołał ugasić, zanim Gustaw na niego skoczył. Leon chwycił polano i podbiegł do drzwi. Wyrzucił płonąca szczapę, a następnie ruszył po pochodnię. Kiedy się schylił, aby ją podnieść, usłyszał za sobą łoskot i w ostatniej chwili uskoczył w bok. Coś przeleciało obok jego prawego ucha. Odwrócił się.

Gustaw stał naprzeciw niego, uzbrojony w ośmioletowy młot dwuręczny, który wziął ze stołu warsztatowego przy ścianie. Ruszył na niego, zaciskając obie dłonie na długim trzonku i celując w głowę. Gdyby Leon się nie uchylił, młot roztrzaskałby mu czaszkę. Siła zamachu wytrącił Gustawa z równowagi, zanim jednak zdołał ją odzyskać, Leon chwycił go za ramiona. Zawierowali w śmiertelnym tańcu, przenosili ciężar z nogi na nogę, próbując zachować równowagę, podciąć lub unieść drugiego.

Chociaż Leon był wyższy o cztery cale, Niemiec dorównywał mu masą, a dzięki ciężkiej pracy fizycznej miał wyrobione mięśnie. Kopnięcie w krocze obezwładniłoby słabszego przeciwnika, lecz odporność Gustawa była niesamowita. Siła Niem-

438

ca chyba wzrastała pod wpływem adrenaliny, która osłabiła ból. Zaczął spychać Leona w kierunku drzwi, gdzie leżała płonąca głownia. Poczuł jej żar na nogach. Nagle Gustaw wykonał zwrot, odpychając go biodrem. Leon na ułamek sekundy stracił równowagę, lecz to wystarczyło, by Niemiec kopnął pochodnię. Odbiła się od ziemi i poszybowała w kierunku stosu drewna. Hangar wypełnił dym i zapach spalenizny.

Leon odkrył w sobie ukryte zapasy siły, przypominał teraz wściekłego lamparta. Obrócił się, podstawił Niemcowi nogę i pchnął go do tyłu. Gustaw upadł na plecy, przygnieciony jego ciężarem. Wypuścił powietrze z płuc z głośnym świstem. Leon wyrwał się, skoczył na równe nogi jak gimnastyk i pobiegł po pochodnię płonąca na stosie. Dwa kawałki drewna już się zajęły, lecz miał dość czasu, aby odciągnąć je na bok i cisnąć za siebie, zanim Gustaw skoczył na niego ponownie. Zamachnął się potężnie, celując młotem w twarz, i Leon musiał się cofnąć. Niemiec ze świstem wciągał powietrze. Tył koszuli i głowę miał mokre od krwi, lecz nie odczuwał bólu. Młot krążył w powietrzu jak metronom, tam i z powrotem. Leon musiał uskakiwać, by uniknąć uderzenia ciężkim obuchem.

Tamten osaczył go w kącie hangaru, odcinając drogę ucieczki. Niemiec uniósł młot, mierząc w jego głowę. Leon czuł, że nie zdoła uniknąć ciosu, było za mało miejsca. Patrzył w oczy tamtego, próbując odgadnąć jego intencje, sparaliżować go spojrzeniem, lecz wypity alkohol i ból zamieniły Gustawa w bezrozumne zwierzę. W jego oczach nie było ani śladu rozsądku czy litości.

Nagle wyraz twarzy Niemca uległ nieznacznej zmianie. Z oczu zniknęła dzika wściekłość, a jej miejsce zajęło zdumienie. Otworzył usta, by coś powiedzieć, lecz zamiast tego na jego wargach pojawiła się jasna krew. Wypuścił młot, który upadł z brzękiem na podłogę hangaru, i spojrzął na swoje ciało.

W odległości trzech szerokości dłoni od środka klatki piersiowej sterczało ostrze assegai. Niemiec potrząsnął głową, jakby nie mógł uwierzyć własnym oczom. Zachwiał się na nogach.

439

Manyoro, który stał tuż za nim, wyciągnął ostrze z osuwającego się ciała. Serce Gustawa ciągle biło, bo z otwartej rany sączyła się mała drżąca strużka. Po chwili skonął.

Leon spojrział na Manyoro. Jego myśli dziko wirowały. Ostatni raz widział Manyoro tydzień temu na górze Lonsonyo. Jakim cudem zdołał przybyć w tak szczęśliwym momencie? Później zauważył Loikota. Zanim zdążył go powstrzymać, Masaj zatopił swoje assegai w nieruchomym ciele.

Leona ogarnął strach. Niezależnie od okoliczności zdarzenia jego przyjaciele zabili białego człowieka. Czekala ich szubienica. Administracja kolonii nie mogła tolerować tak ohydnej zbrodni w kraju, gdzie na jednego białego przypadało pięćdziesięciu krajowców.

— Skąd się tu wzięliście? - spytał Masajów.

— Poszliśmy za tobą, gdy żołnierze zabrali cię z Lonsonyo.

— Zawdzięczam wam życie. Bulą Matari byłby mnie zabił.

Wiecie, co się stanie, gdy złapie was policja?

— To bez znaczenia - odrzekł z godnością Manyoro. -

Mogą ze mną zrobić, co zechcą. Jesteś moim bratem. Nie mogłem beczynnie patrzeć, jak cię morduje.

— Czy ktoś wie, że jesteście w Nairobi? - Potrząsnęli

głowami. - Na Boga, trzeba działać szybko.

Owinęli ciało Gustawa w brezent z magazynu i obciążyli stopy wałem korbowym. Obwiązali pakunek liną z konopi i umieścili w luku bombowym Motyla. Następnie zabrali resztę skrzyń i ustawili je za budynkiem klubu polo. Później zasypali plamy krwi świeżą ziemią i polali olejem silnikowym, aby je zamaskować. Gdyby ktoś spytał o Gustawa, mogliby odpowiedzieć, że uciekł, aby uniknąć aresztowania i osadzenia w obozie koncentracyjnym.

Kiedy usunęli większość obciążających dowodów, wytoczyli Motyla z hangaru. Leon wspiął się do kokpitu i rozpoczął procedurę startową. Dwaj Masajowie stanęli przy maszynie, gotowi zakręcić śmigłami. Nagle zamarli, słysząc tęten galopującego konia.

440

- Czy to policja? - mruknął Leon. - Mam na pokła

dzie zwłoki zamordowanego człowieka, a to oznacza spore

kłopoty.

Wstrzymał oddech, lecz po chwili się rozluźnił, widząc Maksa Rosenthala zsiadającego z konia. Mężczyzna miał na ramieniu duży plecak. Podbiegł do Motyla.

— Powiedział pan, że mi pomoże! - zawołał, patrząc na niego z przerażeniem. - Przed chwilą na placu apelowym zastrzelono trzech Niemców oskarżonych o szpiegostwo. Panie Courtney, przecież pan wie, że nie jestem szpiegiem!

— Nie martw się, Max. Zabiorę cię stąd - uspokoił go

Leon. - Wskakuj do środka!

Kiedy silniki zaczęły pracować, dwa Masajowie zajęli miejsce w kokpicie. Drogę oświetlał im księżyc. Leon skierował maszynę na południe, w stronę granicy z Niemiecką Afryką Wschodnią. Po trzech godzinach lotu ujrzeni przed sobą srebrzystą tafłę jeziora Natron; jak zwierciadło odbijała światło księżyca. Leon obniżył lot, sunąc nisko nad powierzchnią. Kiedy znaleźli się na środku, pociągnął dźwignię otwierającą luk bombowy i wyrzucił z kokpitu - owinięte brezentem ciało wpadło z pluskiem do wody bogatej w sodę. Na powierzchni ukazała się biała piana. Zatoczył koło, aby sprawdzić, czy zwłoki zatoneły. Na szczęście metalowy balast pociągnął ciało w głąb, wywołując jedynie lekką zmarszczkę wody.

Zawrócił w stronę wschodniego brzegu. Jezioro Natron leżało na granicy terytoriów niemieckiego i brytyjskiego. Podczas pory suchej plaża była szeroka, a ponieważ woda zawierała dużo sody, lśniła bielą. Leon mógł bezpiecznie posadzić Motyla na twardej powierzchni, trudność polegała jedynie na wyborze odpowiedniego miejsca. Przeleciał nad pasem plaży, który sprawiał wrażenie twardego, i delikatnie dotknął ziemi kołami. Motyl wylądował i zaczął zwalniać. Nagle Leon się wystraszył, gdy usłyszał, jak opony kruszą zewnętrzną warstwę i pogrążają się w miękkim błocie. Maszyna stanęła gwałtownie. Poczuli szarpnięcie, ale na szczęście byli przypięci pasami.

441

Leon wyłączył silniki i zeskoczył na plażę. Pobieżna lustracja nie wykazała żadnego uszkodzenia podwozia i kadłuba, lecz koła tkwiły po osie w błocie. Obszedł Motyla, sprawdzając okolicę. Wylądowali pechowo w małym błotnistym oczku. W odległości piętnastu jardów przed nimi znajdowała się twarda powierzchnia, lecz nie było mowy o tym, by czterej ludzie mogli przeciągnąć ciężką maszynę tak daleko.

- Gdzie jesteśmy, Manyoro?

Masajowie zaczęli dyskutować, zanim udzielili odpowiedzi.

- To ziemia Bulą Matari, jesteśmy w odległości pół dnia

drogi od granicy.

- Czy Niemcy są niedaleko?

Manyoro potrząsnął głową.

— Najbliższy posterunek jest w Longino - rzekł, wskazując na południowy wschód. - Żołnierze potrzebowaliby półtora dnia, aby tu dotrzeć.

— Czy w pobliżu są wioski, w których moglibyśmy znaleźć pomoc?

— Ndio, M'bogo. Nie dalej jak godzinę drogi stąd jest duża wioska rybacka.

— Mają woły?

Manyoro naradzał się chwilę z Loikotem, po czym obaj skinęli głowami.

— Tak, to duża wioska. Jej naczelnik jest bogatym czło-
wiekiem. Ma wiele wołów.

— Pobiegnijcie do niego ile sił w nogach. Powiedzcie, aby przyprowadził woły i wyciągnął nas z błota, a uczynię go jeszcze bogatszym. Niech zabiorą ze sobą liny.

Leon i Max usiedli w kokpicie, czekając na pomoc, lecz krążące nad głowami chmary komarów nie dały im zasnąć aż do świtu. W końcu usłyszeli porykiwanie dobiegające od strony, gdzie zniknęli Manyoro i Loikot. Po chwili ukazał się korowód ludzi i zwierząt sunący plażą w ich stronę. Manyoro szedł przodem, lekko utykając.

Leon wyskoczył z kabiny i popędził na jego spotkanie.

442

— Przyprowadziłem woły - oznajmił Masaj, uśmiechając się z zadowoleniem.

— Chwała ci, Manyoro. Ogromnie nam pomogłeś. Zabrali

liny? - spytał.

Manyoro posmutniał.

— Mieli jedynie krótkie skórzane pasy, które nie dosięgną do Motyla. - Próbował zrobić przygnębioną minę, lecz Leon dostrzegł błysk w jego oczach.

— Taki mądry człowiek jak ty musiał obmyślić inny plan - powiedział.

Masaj rozpromienił się uśmiechem.

— Co przyniosłeś, bracie?

— Sieci rybackie! - zawołał, wybuchając śmiechem.

— Dobry żart - odparł Leon. - A teraz mów prawdę!

— To prawda. - Manyoro potknął się nieznacznie z rozbawienia. - Przekonasz się, M'bogo. Będziesz mnie wychwalał jeszcze bardziej.

Kilkuset rybaków prowadziło brzegiem trzydzieści sześć wołów. Za nimi podążał tłum kobiet i dzieci. Na grzbiecie każdego wołu znajdowała się ogromna brązowa paka bliżej nieokreślonego materiału. Pod surowym okiem Manyoro i Loi-kota zdjęto je ze zwierząt i ułożono na piasku. Po rozwinięciu okazały się ręcznie tkaną siecią długości dwustu stóp. Oka były nieduże, a węzły mocne. Leon umieścił kawałek sieci na ramionach i napiął ręce z całej siły, aby sprawdzić ich wytrzymałość. Wieśniacy tańczyli i gwizdali, gdy poczerwieniał na twarzy od daremnego wysiłku.

- Spójrzcie na jego oblicze! - mówili do siebie. - Ma barwę indyjskich koralii! Nasze sieci są najlepsze i najmocniejsze w całym kraju. Nie zdoła ich rozedrzeć nawet największy krokodyl.

Po rozłożeniu sieci połączyli je ze sobą, a następnie ostrożnie zwinęli w długą, grubą cumę o średnicy dwóch, trzech stóp. Była grubsza i cięższa od cumy oceanicznego liniowca. Gromada wieśniaków zaniósł jeden koniec do miejsca, w którym

stał żałośnie przechylony Motyl. Leon owinął liną podwozie, zabezpieczając je skórzanymi powrozami, które Masajowie przynieśli razem z sieciami. W tym czasie inni zaprowadzili woły do krawędzi błotnistej oki i przyczepili do nich drugi koniec liny. Leon, Max i dwaj Masajowie stanęli przy obu skrzydłach, aby zapobiec niebezpiecznemu kołysaniu, które mogłoby spowodować, że utknęłyby w błocie. Woły ruszyły przy wtórze dopingujących okrzyków i trzasku batów. Cuma uniosła się z błota i napięła. Przez minutę maszyna ani drgnęła, lecz później z błota zaczęły się stopniowo wyłaniać koła i Motyl wy dostał się na twardej teren.

Kiedy okrzyki radości i zadowolenia ucichły, Leon wręczył wodzowi wioski hojny dar, za który mógł kupić kilka dodatkowych wołów. Na koniec pożegnał się Maksym i patrzył, jak idzie różnym krokiem w stronę niemieckiego posterunku w Lon-gino z plecakiem na grzbiecie. Kiedy Rosenthal zniknął w buszu, uruchomili silniki. Masajowie weszli do kokpitu i Leon wystartował, kierując się na pomoc, w stronę Nairobi.

Kolejne dni były pełne zajęć. Leon zameldował się u lorda Delamere'a, by pełnić funkcję oficera łącznikowego. Mimo licznych obowiązków ani na chwilę nie zapomniał o Ewie. Jej obraz nawiedzał go w najbardziej nieoczekiwanych momentach.

Gdy Penrod wyruszył, aby objąć nowe stanowisko w Egipcie, Leon przyszedł na dworzec, żeby się z nim pożegnać. Od czasu wyjazdu Ewy ich stosunki uległy wyraźnemu ochłodzeniu. W ostatniej chwili, po gwizdki konduktora, Leon nie wytrzymał. Ponownie spytał wujka, jak mógłby się skontaktować z Ewą teraz, gdy Niemcy i Wielka Brytania znalazły się w stanie wojny i normalne kanały przepływu informacji zostały zerwane.

- Powinieneś zapomnieć o tej młodej damie. Już raz wybawiłem cię z oparów i nie chciałbym robić tego ponownie. Będziesz miał z jej powodu same kłopoty - odparł Penrod,

444

wspinając się po schodkach wagonu. - Przekażę ciotce twoje pozdrowienia. Będzie uradowana.

Tydzień później, gdy opuszczał biuro Delamere'a w budynku banku Barclays, poczuł w swojej dłoni małą ciepłą rączkę. Odwrócił głowę i ujrzał ogromne ciemne oczy jednego z che-rubinków Goolama Vilab-dzi.

— Latika! Witaj, ślicznotko! - przywitał dziewczynkę.

— Pamiętasz, jak mam na imię! - krzyknęła uradowana.

— Oczywiście, przecież jesteśmy przyjaciółmi, prawda?

Dopiero wtedy przypomniała sobie, co miała zrobić, i wsunęła

do jego ręki małą złożoną karteczkę.

- Tatuś powiedział, żebym ci to przekazała.

Rozwinął kartkę i przebiegł wzrokiem tekst. "Musimy pomówić, kiedy tylko będziesz, pan, mógł. Latika zaprowadzi pana do mojego sklepu. Wielmożny Goolam Vilab-dži".

Pociągnęła go za rękę. Pozwolił, aby zaprowadziła go do jego wierzchowca, którego uwiązał do poręczy. Wsiadł na konia, podniósł dziewczynkę i posadził ją za sobą. Objęła go rączkami i ruszyli przed siebie. Laika przez całą drogę piszczała i wierciła się z podekscytowania.

Kiedy przybyli do sklepu Goolama Vilab-dži, okazało się, że przybyło trochę nowych pamiątek. Były tam zdjęcia Leona na tle aeroplanu i artykuły prasowe opisujące przebieg pikniku na boisku polo.

Vilab-dži wybiegł z kantorku za sklepem, by go powitać, a jego żona przyniosła tacę z aromatyczną arabską kawą i słodyczami. Za panią Vilab-dži podążyły wszystkie córki, zanim jednak zdążyły się rozgościć, ojciec wygnał je czule z pokoju.

- Zmiatajcie stąd, wy nikczemne, niesforne dziewczęta! -

zawołał i zatrasnął za nimi drzwi, by po chwili wrócić do

Leona. - Mam pilną sprawę, chciałbym się ciebie poradzić.

Leon pociągnął łyk kawy, czekając na to, co nastąpi.

- Wiesz pewnie, panie Leonie, że twój wuj, czcigodny sahib generał Ballantyne, prosił mnie, abym odbierał listy od

445

uroczej memsahib von Wellberg i przesyłał pod właściwy adres. - Przerwał, patrząc pytająco na Leona.

Ten już miał zaprzeczyć, kiedy pomyślał, że byłoby to błędem z jego strony.

— Oczywiście - przytaknął, a Vilab-dži odetchnął z ul

gą. - Generał wybrał mnie, ponieważ mam bratanicę, która

mieszka z mężem w Altnau, małym mieście w Szwajcarii nad

Jeziosem Bodeńskim. Pod drugiej stronie jeziora leży bawarskie

miasto Wieskirche. W Wieskirche stoi zamek niemieckiego

gra, znajduje się tam również fabryka Meerbach Motoren Werke. W mieście tym mieszka memsahib von Wellberg. - Vilab-dzi starannie wymówił jej nazwisko. - Bratanica pracuje w szwajcarskiej firmie telegraficznej. Jej mąż ma na jeziorze małą łódź. Ponieważ Niemcy nie pilnują granicy, bratanica bez trudu może się przeprawić do Wieskirche i przekazać wiadomość, a następnie wrócić do domu i powiadomić mnie drogą telegraficzną. Przed odjazdem generał powiedział, abym do starczył wiadomości człowiekowi, który zajmie jego miejsce w kwaterze głównej KSA.

— Tak, pułkownikowi Snellowi - przytaknął spokojnie Leon, chociaż serce drżało mu na myśl, że otrzyma wiadomość od Ewy.

— Wiem, że te fakty są panu znane. Stało się jednak coś strasznego. - Vilab-dzi przerwał i dramatycznie przewrócił oczami.

Leona przeszedł zimny dreszcz.

— Czy memsahib von Wellberg przydarzyło się coś złego? - spytał.

— Nie, nie chodzi o memsahib, lecz o mnie. Po wyjeździe generała chciałem przekazać pułkownikowi pierwszą wiadomość. Dowiedziałem się ponad wszelką wątpliwość, że ten człowiek jest wrogiem generała. Teraz, gdy pan Ballantyne wyjechał do Egiptu, Snell nie będzie wspierał żadnych operacji zainicjowanych przez pańskiego czcigodnego i dobrotliwego

wuja. Nie chciałby, aby w razie powodzenia chwała przypadła

—

446

generałowi zamiast jemu. Snell wie również, że jesteśmy zaprzyjaźnieni, i uważa pana za wroga. Wiedział, że sprawiłby panu przykrość, gdyby mnie znieważył i podał w wątpliwość moją prawdomówność. - Vilab-dzi przerwał na chwilę. Leon nie miał wątpliwości, że Snell głęboko go zranił. - Nazwał mnie "czarnuchem oddającym cześć diabłu" i kazał, abym w przyszłości nie zwracał mu głowy jakimiś tajnymi wiadomościami. - W czarnych oczach wielmożnego Vilab-dzi błysnęły łzy. - Nie wiem, co robić. Potrzebuję pańskiej rady.

Leon potarł głowę w zamyśleniu, czując, jak myśli szaleńczo wirują mu w głowie. Wiedział, że jeśli chce ponownie ujrzeć Ewę, musi mieć w Goolamie Vilab-dzi sojusznika.

— Pan i ja jesteśmy lojalnymi poddanymi króla Jerzego,

czy tak? - rzekł, starannie dobierając słowa.

— Oczywiście, sahib.

— Ten drań Snell może być zdrajcą, lecz my nimi nie jesteśmy.

— Nie! Boże uchwaj! Jesteśmy wiernymi obywatelami Wielkiej Brytanii.

— W imieniu naszego króla musimy przejąć sprawy z rąk Snella i doprowadzić je do zwycięskiego końca - zasugerował w kwiecistym stylu wielmożnego Goolama Vilab-dzi.

— Jestem rad, słysząc takie słowa, sahib\ Miałem nadzieję, że pan to powie.

— Po pierwsze, muszę się zapoznać z listem, którego nie chciał przyjąć Snell. Ma go pan tutaj?

Vilab-dzi zerwał się z krzesła i podszedł do sejfu w ścianie. Otworzył dużą księgę handlową oprawną w czerwonej skórze. Za tylną okładką znajdowała się koperta. Wręczył ją Leonowi. Była zapieczętowana.

— Nie otworzył jej pan?

— Oczywiście, że nie. To nie moje sprawy.

— Teraz już tak - wyjaśnił Leon, zrywając pieczęć.

Wyciągnął złożoną szarą kartkę i drżącymi z podniecenia palcami rozłożył na biurku. Spojrzał na nią i westchnął z roz-

447

czarowaniem. Przed jego oczami ukazały się rzędy i kolumny cyfr. Żadnych słów.

- Niech to szlag! Jest zaszyfrowana -jęknął. - Zna pan szyfr?

Vilab-dzi potrząsnął głową.

— Będzie pan wiedział, jak przesać odpowiedź, prawda?

— Oczywiście. Mam kontakt z memsahib za pośrednictwem bratanicy.

Ewa zbiegła lekko po okazałych marmurowych schodach zamku. Jej buty do konnej jazdy nie wydawały żadnego dźwięku na wyłożonej dywanem podłodze. Na obitych drewnianymi panelami ścianach wisały obrazy przedstawiające przodków Ottona. Na wszystkich podestach stały zbroje. Początkowo architektura zamku i ciężkie meble wpędzały ją w przygnębienie, lecz teraz przestała zwracać na nie uwagę. Kiedy dotarła do ostatniego podestu, usłyszała dobiegające z dołu głosy. Przystanęła, nasłuchując.

Otto rozmawiał z dwoma mężczyznami. Rozpoznała głos Alfreda Lutza, dowódcy floty sterowców, i Hansa Rittera, starszego nawigatora, który chyba spierał się z grafem.

Otto przemawiał donośnym, napastliwym tonem. Od czasu wypadku na polowaniu stał się jeszcze bardziej apodyktyczny. Pomyślała, że Ritter powinien o tym wiedzieć i go nie prowokować.

- Wystartujemy z Wieskirche, a następnie przelecimy nad Bułgarią i Turcją. Później polecimy do Mezopotamii. Nasze wojska zajęły już północną część tego kraju. Wylądujemy, uzupełnimy paliwo, olej i wodę, i wyruszymy do Damaszku. Następnie przelecimy nad Morzem Czerwonym, kierując się nad dolinę Nilu, a stamtąd ruszymy do Chartumu.

Wyglądało na to, że Otto pokazuje trasę Lutowi i Ritterowi na dużej rozwijanej mapie wiszącej na przeciwległej ścianie biblioteki.

- Z Sudanu polecimy ponad Wielkimi Jeziorami i ryfem do Arushy, gdzie Schnee i von Lettow Vorbeck przygotowali dla nas zapas oleju i paliwa. Stamtąd udamy się w stronę jeziora Niasa i Rodezji. Będziemy zachowywali absolutną ciszę radiową, dopóki nie znajdziemy się nad środkową częścią pustyni Kalahari. Dopiero wtedy skontaktujemy się przez radio z Koosem de la Reyem, prosząc, aby udał się do Walvis Bay na wybrzeżu Afryki Zachodniej.

Poczuła zadowolenie. Była to ważna informacja, której wcześniej nie znała. Teraz dokładnie wiedziała, jak Otto planował przekazać broń i amunicję południowoafrykańskim rebeliantom. Penrod sądził, że ładunek zostanie wysłany okrętem podwodnym i wyladowany na jakimś bezludnym odcinku wybrzeża Afryki Południowej. Nikt nie wpadł na pomysł, że użyją sterowca. Teraz znała plan, a nawet dokładną trasę, którą Otto zamierzał dotrzeć do Afryki. Ta informacja powinna w zupełności wystarczyć Ballantyne'owi. Nie wiedzieli jedynie, kiedy tamci zamierzają rozpocząć operację.

Drzwi biblioteki otworzyły się po chwili, a głosy stały się głośniejsze i wyraźniejsze. Dźwięk kroków ostrzegł ją, że Otto i jego lotnicy idą do holu. Nie powinni jej przyłapać na podsłuchiwanie. Zbiegła ostatni odcinek schodów, starając się nie tłumić odgłosu kroków. Mężczyźni stali na środku korytarza. Wojskowi zaszalutowali jej z szacunkiem, a twarz Ottona pojaśniała z zadowolenia.

— Wybierasz się na konną przejażdżkę? - spytał.

— Powiedziałam kucharzowi, że pojadę do Friedrichshafen, aby sprawdzić, czy ta stara przekupka ma czarne trufle na obiad. Wiem, że za nimi przepadasz. Nie masz nic przeciwko temu, że opuszczę cię na kilka godzin? W drodze powrotnej chciałabym stanąć chwilę i narysować jezioro.

— Nie, kochanie. Jadę do fabryki z Lutzem i Ritterem, aby sprawdzić, jak postępują prace nad nowym statkiem powietrznym. Nie będzie mnie dobrych kilka godzin. Przypuszczalnie

zjem lunch z komandorem Lutzem w stołówce dla dyrekcji. Nie planuj żadnych zajęć na następny tydzień.

— Sterowiec będzie gotowy? - klasnęła w dłonie, udając podniecenie.

— Może tak, a może nie - zażartował. - Chciałbym, żebyś była przy tym, jak wyprowadzimy go z hangaru na dziewiczy rejs. Myślę, że uznasz to za niezwykle ekscytujące. - Podniósł lewe ramię i rozwarł metalowy kciuk i palec protezy umocowanej na końcu kikuta. Umieścił kubańskie cygaro w metalowych szczypcach i przekręcił w bok nadgarstek. Następnie uniósł protezę i wetknął koniec cygara do ust. Lutz wyjął zapałkę i podał mu ogień, czekając, aż graf wydmuchnie obłok dymu.

Stłumiła dreszcz odrazy. Przeraziła ją sztuczna ręka Ottona. Inżynierowie wykonali ją według jego projektu. Była to niezwykła konstrukcja, a von Meerbach nauczył się nią posługiwać z niepokojącą zręcznością. Trzymając butelkę w stalowych palcach, potrafił nalać gościom wina, nie uroniwszy ani kropelki, umiał też zapiąć guziki płaszcza, wyczyścić zęby, rozdać karty lub zawiązać sznurówki.

Opracował kilka innych urządzeń mogących zastąpić metalowy palec i kciuk, między innymi zakończoną nożem protezę oraz uchwyt umożliwiający grę w polo. Obmyślił również podpórkę, by móc strzelać z typową dla siebie celnością. Za pomocą budzącej trwogę stalowej pałki Otto mógł roztrzaskać w drzazgi ciężki dębowy konar. Sama widziała, jak jednym uderzeniem roztrzaskał czaszkę koniowi, który złamał nogę, uwalniając go od cierpień.

Von Meerbach pocałował ją i wyprowadził gości frontowymi schodami. Zajęli miejsca w lśniącym czarnym meerbachu. Otto odprawił szofera i sam zajął miejsce za kierownicą; ruszyli w stronę fabryki. Ewa pomachała mu i odetchnęła z ulgą, gdy wóz zniknął za zakrętem. Pobiegnęła podjazdem w kierunku stajennego, który czekał z jej ulubioną kłaczą. Kiedy Schloss zniknął jej z oczu, spięta wierzchowca i ruszyła galopem ścieżką

prowadzącą nad jezioro. Te samotne wyprawy były jej jedyną ucieczką od ponurego zamczyska i towarzystwa grafa.

Od chwili, gdy poznała Leona, trudno jej było odgrywać starannie wyuczoną rolę wiernej i chętniej kochanki, zaspokajającej nienasycone żądze Ottona von Meerbacha. Kiedy czuła na sobie jego nagi umięśniony tułów, widziała krwawe blizny po lwich pazurach i twarz czerwoną z podniecenia, kiedy czuła na sobie jego pot, ledwie się powstrzymywała, by nie wydrapać IU zamglonych rozkoszą oczu i nie wyskoczyć z wielkiego łóża z baldachimem. Wiedziała, że długo tego nie wytrzyma, że popełni błąd i Otto odkryje podstęp. Jego zemsta będzie straszna. Bała się i tęskniła za ramionami Leona, w których była bezpieczna. Cały czas o nim myślała.

- Kocham cię, lecz wiem, że nie zobaczymy się już więcej - wyszeptła. Po jej policzku spłynęła łza z szybkością galopującej klaczy. W końcu dotarła do ulubionego miejsca, z którego rozciągał się widok na Jezioro Bodeńskie i dalekie, pokryte śniegiem wierzchołki Alp. Przystanęła na wzniesieniu, otarła łzy i spojrzała w siną toń jeziora. Chociaż na wodzie było wiele żagli, od razu spostrzegła maleńką rybacką łódź płynącą pod wiatr ze zrefowanym grotem i kliwrem. Sternik siedział na rufie, leniwie wsparty na rumplu. Dostrzegła czarnowłosą dziewczynę w jaskrawej sukience, siedzącą z przodu po turecku. Kobieta patrzyła na nią z nieskrywaną ciekawością. Chociaż spotykały się niejednokrotnie, nigdy nie zamieniły ze sobą ani słowa. Tym razem były najbliższe tego, co można by uznać za prawdziwe spotkanie. Ewa nie wiedziała nawet, jak tamta ma na imię. Skontaktowali je ze sobą Penrod Ballantyne i Goolam Vilab-dzi.

Dziewczyna odwróciła głowę i powiedziała coś do mężczyzny na rufie. Ten przesunął ster, kierując łódź w stronę brzegu.

Ewa odetchnęła z ulgą. Od kilku tygodni wyczekiwała odpowiedzi na ostatnią wiadomość przesłaną Penrodowi do Nairobi. Jego milczenie powodowało, że czuła się jeszcze bardziej bezbronna. Chociaż nadal była rozgoryczona tym, że rozdzielił

451

ją i Leona, nie miała innych sojuszników w tym nieprzyjaznym świecie. Ściągnęła wodze i ruszyła truchtem wzdłuż brzegu w kierunku Friedrichshafen. Znajdowała się ponad trzydzieści kilometrów od posiadłości Meerbachów.

W pewnym miejscu do brzegu dochodził młodnik. Obok drzew biegł mur graniczny. Dotarła do niego, zsiadła z konia i otworzyła bramę. Otto powiedział jej kiedyś z dumą, że masywny mur został wzniesiony przez legionistów Tyberiusza. Uwiązała klacz, wspięła się na kamienie i rozłożyła szkicownik na kolanach, udając, że podziwia krajobraz.

Kiedy upewniła się, że nikt nie patrzy, jakby od niechcienia uniosła omszały kamień. We wnęce leżała zwinięta cienka kartka papieru ryżowego. Ostrożnie odłożyła kamień na miejsce, a następnie rozwinęła

kartkę. Ze strachem zauważyła, że wiadomość nie jest zaszyfrowana. W pierwszej chwili pomyślała, że wpadła w pułapkę. Szybko przejrzała dwie linijki tekstu i krzyknęła ze zdumienia. "Wuj wyjechał. Stop. Jakim szyfrem się posługujesz? Ratel".

Poczuła przyływ radości.

- Ratelek! - zawołała. - Kochany Ratelku, odnalazłeś mnie! - Chociaż dzieliły ich tysiące kilometrów, nie czuła się już samotna. Wiadomość dodała jej sił. Wsunęła ryżową kartkę do ust, pogryzła i połknęła. Później zaczęła szkicować brzeg jeziora z wieżami Wieskirche w tle, próbując zapanować nad wzburzonymi emocjami. Uspokojona, że Otto nie wysłał nikogo, aby ją szpiegował, oderwała mały skrawek ostatniej kartki szkicownika i napisała schludnymi, dużymi literami: "SŁOWNIK JĘZYKA ANGIELSKIEGO MACMILLANA, WYDANIE Z LIPCA 1908 ROKU. STOP. PIERWSZA CYFRA, NUMER STRONY. STOP. DRUGA, NUMER KOLUMNY. STOP. OSTATNIA, KOLEJNE SŁOWO OD GÓRY. STOP". Przerwała, szukając określenia, które właściwie oddałoby jej uczucia. W końcu napisała: "POZOSTANIESZ W MOIM SERCU NA ZAWSZE". Nie podpisała wiadomości. Złożyła karteczkę i umieściła ją starannie we wnęce pod kamieniem na wierz-

452

chołku muru. Wiedziała, że dziewczyna z drugiej strony jeziora przyjdzie po nią o zmroku. Przekaze wiadomość panu Goolamowi Vilab-dzi, a jutro wieczorem Ratel przeczyta ją w Nairobi. Siedziała jakiś czas pochylona nad szkicownikiem, lecz tym razem jej emocje kipiały jak świeżo otwarta butelka szampana Dom Perignon.

- Nie pragnę niczego prócz powrotu do Afryki, do mężczyzny, którego kocham. Dobry Boże, zmiłuj się nade mną - wypowiedziała głośno modlitwę.

Leon spędził cały ranek na naradzie z Hugh Delamere'em i jego oficerami. Niewysoki mężczyzna oddał się bez reszty zadaniu utworzenia regimentu i wyszkolenia garstki żołnierzy. Udało mu się zwerbować ponad dwustu kawalerzystów. Z własnej kieszeni kupił im konie i wyposażył. Delamere był znany w całej kolonii z niespożytej energii i entuzjazmu. Trudno mu było dotrzymać kroku. Lord potrzebował niecałych dwóch tygodni, aby groźbą i pochlebstwem doprowadzić regiment do stanu gotowości bojowej. Teraz nie mógł się doczekać nadejścia nieprzyjaciela, pragnąc jak najszybciej stanąć do walki.

- Jesteś jedynym pilotem, którego mamy, Courtney - rzekł, zwracając się do Leona. - Nasza granica z Hunami jest długa, porośnięta gęstymi zaroślami. Uzgodniliśmy, że najlepszym sposobem obserwowania ruchów von Lettowa i jego askari będzie zwiad lotniczy. To twoje zadanie. Sądzę, że von Lettow będzie chciał dotrzeć do Nairobi forsownym marszem przez Wielkie Rowy, z głównej bazy niemieckiej w Arushy. Chciałbym, abyś codziennie odbywał loty rekonesansowe z Obozu Percy'ego. Wiem również, że masz informatorów, masajskich chungadzi, obserwujących słonie na tym terenie. Powiedz swoim chłopcom, że przez pewien czas będziemy się bardziej interesować Hunami niż kością słoniową.

Do południa połowę jego notatnika wypełniły szczegółowe instrukcje i polecenia lorda. Delamere ogłosił

przerwę na lunch,

453

ale kazał oficerom wrócić punktualnie o czternastej. Jego lordowska mość lubił rozkoszować się jedzeniem i sjestą, a dwie godziny wystarczały, żeby przekąsić coś w klubie i wrócić o ustalonej porze. Kiedy Leon wyszedł na ulicę, spostrzegł Latikę przed bankiem, czekającą na niego obok poręczy dla koni. Karmiła jego wierzchowca cukrem w kostkach, co najwyraźniej sprawiało przyjemność im obojgu.

— Cześć, ślicznotko. Przyszłaś zobaczyć się ze mną czy

z moim koniem?

— Tata kazał mi to dać. - Wyciągnęła zapieczętowaną płowozółtą kopertę. Czujnie obserwowała jego twarz, gdy ją otworzył i przeczytał depeszę. - Czy to list od kogoś, kto cię kocha? - spytała smutno.

— Skąd wiesz?

— Kochasz ją?

— Tak, bardzo.

— Pamiętaj, że ja też cię Kocham - szepnęła bliska łez.

- Nie pogniewasz się, jeśli odwiozę cię do domu?

Latika pociągnęła nosem, zapominając o rywalce. Usiadła za nim i trąkotła wesoło przez całą drogę do sklepu ojca.

Wielmożny Goolam Vilab-dži wyszedł na ulicę, aby ich powitać.

- Zapraszamy! Pani Vilab-dži przygotowała słynnego kurczaka curry i ryż z szafranem na lunch. Będzie zawiedziona, jeśli nie zje pan z nami posiłku.

Pani Vilab-dži i jej córki kończyły nakrywać do stołu, więc Leon podszedł do regału z książkami i przebiegł wzrokiem tytuły. Mruknął z zadowoleniem, biorąc z górnej półki Słownik języka angielskiego Macmillana.

- Mógłbym pożyczyć tę książkę? - spytał.

Pan Vilab-dzi potarł palcem czubek nosa i spojrzał na niego znacząco.

- Generał Ballantyne trzymał ją na biurku. Zawsze po nią sięgał, gdy dostawał telegraficzną wiadomość ze Szwajcarii.

Pewnie memsahib von Wellberg przesłała panu szyfr. - Nagle

454

przerwał, zasłaniając uszy dłońmi. - Nie chcę o tym słyszeć. Jestem jak małpa, która nie słyszy złego. Tajni agenci powinni być dyskretni.

Curry było znakomite, lecz Leon ledwie tknął jedzenie, bo pragnął jak najszybciej ułożyć odpowiedź. Kiedy dziewczęta przystąpiły do zbierania pustych naczyń, zamknął się w gabinecie pana Vilab-dzi i po dwudziestu minutach zaszyfrował wiadomość dla ukochanej. Zaczął od żarliwego opisu swoich uczuć, następnie wyjaśnił przyczynę nieobecności Penroda i ciągnął: "Wuj został przeniesiony do Kairu, nie mam o niczym pojęcia. Stop. Przekaż mi wszystkie informacje wywiadowcze, którymi dysponujesz. Stop. Zawsze będę cię kochał. Stop. Ratel".

Cztery dni później otrzymał odpowiedź. Siedział w kantorku pana Vilab-dzi, używając słownika do jej rozszyfrowania. Ewa przesłała mu informacje o planowanej wyprawie Ottona i Henniego du Randa do Niemieckiej Afryki Wschodniej na spotkanie z von Lettowem Vorbeckiem i Koosem de la Reyem. Opisała spisek mający na celu wzniecenie buntu w Afryce Południowej w pierwszych dniach wojny, wymieniała również listę uzbrojenia i amunicji, o które prosił Koos de la Rey, a które Otto obiecał dostarczyć. ' i ' |

- Pięć milionów niemieckich marek w złocie - gwizdnął cicho, zapoznawszy się z listą. - To niemal dwa miliony funtów szterlingów. Dość pieniędzy, aby kupić cały ten przeklęty kontynent, a to przecież jedynie napiwek. - Rozsiadł się wygodnie na krześle pana Vilab-dzi, dumając nad możliwością

powodzenia tak zuchwałej operacji. Przypomniat sobie o gniewie i rozgoryczeniu Henniego du Randa i pomyślał o setkach tysięcy innych Burów - wyszkolonych, zaprawionych w boju żołnierzy. Gdyby otrzymali niezbędne środki, w ciągu kilku dni opanowaliby cały kraj. Przerazający plan mógł się powieść.

Czy mogli mu zapobiec?

Pan Goolam Vilab-dži stanął w drzwiach.

- Właśnie nadeszła kolejna wiadomość. - Mówiąc to, położył przed Leonem kopertę.

455

Leon szybko zajrzał do słownika i odchylił się na krześle.

- Sterowiec! Nie prześlą ładunku statkiem, lecz cholernym, wielkim statkiem powietrznym. Moja ukochana odkryła, jakim szlakiem polecą. Gdyby tylko wiedziała kiedy.

Kiedy goście skończyli śniadanie, graf Otto poprowadził ich majestatycznymi schodami do pięciu ogromnych czarnych limuzyn wyprodukowanych w jego fabryce. Było to pięciu wysokich oficerów z Ministerstwa Wojny w Berlinie oraz ich małżonki. Kobiety ubrały się tak, jakby przyjechały oglądać wyścigi, z parasolkami i kapeluszami strojnymi w pióra. Mężczyźni mieli na sobie galowe mundury i przypięli szable, a ich piersi lśniły od medali i orderów wysadzanych diamentami. Tak starannie przestrzegano etykiety, że trzeba było sporo czasu, by zajęli miejsca bez pogwałcenia wojskowych zasad pierwszeństwa. Ewa znalazła się w trzecim samochodzie z admirałem i jego zwalistą żoną.

Po dwudziestu minutach jazdy do głównej fabryki Meerbacha graf dotarł pod bramę osadzoną w wysokim ogrodzeniu z drutem kolczastym na szczycie i zatrąbił. Brama drgnęła, a strażnicy wyprostowali się na baczność, gdy mijał ich konwój z dostojnymi gośćmi.

Była to pierwsza wizyta Ewy w cytadeli umieszczonej pośrodku inżynieryjnego imperium Meerbacha, rozciągającego się na obszarze niemal dwunastu kilometrów kwadratowych. Drogi były wyłożone kamiennymi płytami, a na placyku przed gmachem biura stała wspaniała marmurowa fontanna wyrzucająca wodę na wysokość piętnastu metrów. Trzy hangary, w których trzymano sterowce, znajdowały się w najdalszej części fabryki. Nie przypuszczała, że są tak ogromne. Wydawały się tak wysokie i szerokie jak gotyckie katedry.

Było ciepło i słonecznie; goście wysiedli przed masywnymi, przesuwanymi drzwiami środkowego

hangaru i skierowali się w stronę rzędu foteli ustawionych pod parasolami, na których

456

widniało godło rodu von Meerbachów. Po chwili zjawili się kelnerzy w białych marynarkach, niosąc srebrne tace z kryształowymi lampkami pełnymi szampana. Kiedy wszyscy trzymali już kieliszki, graf Otto wszedł na podium i wygłosił krótką mowę powitalną, roztaczając wizję roli, którą sterowce odegrają w nadchodzącej wojnie.

— Główną zaletą tych maszyn jest to, że w razie potrzeby długo pozostają w powietrzu. Można nimi przelecieć nad Atlantyką bez lądowania. Każdy ze sterowców może zabrać pasażerów lub sto dwadzieścia bomb, wystartować z Niemiec i za niecałe trzy dni pojawić się nad Nowym Jorkiem, a następnie wrócić bez tankowania. To niesamowite maszyny. Nasi obserwatorzy będą mogli tygodniami śledzić ruch na kanale La Manche, obserwować flotę wroga i drogą radiową przekazywać informacje do Berlina. - Von Meerbach był zbyt wytrawnym sprzedawcą, aby zanudzać publiczność szczegółami technicznymi, szczególnie że połowę obecnych stanowiły kobiety. Naszkicował szeroki obraz ciężkimi pociągnięciami pędzla i jaskrawymi farbami. Ewa wiedziała, że jego mowa ma trwać siedem minut, ponieważ von Meerbach był zdania, że przez tyle czasu przeciętny słuchacz uważa. Na złotym zegarku wysadzonym diamentami dyskretnie obserwowała, ile czasu mu zostało. Jeszcze czterdzieści sekund.

— Drodzy przyjaciele, znakomici goście - odwrócił się w stronę ogromnych drzwi hangaru i rozłożył ręce jak dyrygent pragnący przyciągnąć uwagę orkiestry - oto Assegail -

Potężne wrota rozwarły się z hukiem i oczom zebranych ukazał się majestatyczny widok. Zerwali się na nogi, bijąc brawo. Podnieśli głowy, spoglądając na mającego trzydzieści pięć metrów wysokości potwora wypełniającego hangar niemal od ściany do ściany. Na nosie sterowca czerwonymi, trzymetrowej wysokości literami wymalowano nazwę Assegai. Graf Otto wybrał ją, aby upamiętnić swoje polowanie na lwy. Statek powietrzny został starannie wyważony, tak by zbiorniki z wodorem stanowiły przeciwwagę dla siedemdziesięcotonowego

457

kadłuba. Widzowie wydali okrzyk zdumienia, gdy dziesięciu ludzi odcumowało sterowiec od pomostu biegnącego wzdłuż kilu. Przy tej machinie czuli się jak karły, jak mrówki spacerujące po ciele olbrzymiej meduzy.

Kiedy wolno wyprowadzili sterowiec na zewnątrz, od jego powłoki odbiły się promienie słońca. Stopniowo oczom zebranych ukazał się cały kadłub. Technicy przycumowali maszynę do solidnej wieżyczki na środku placu, przyczepiając linę do nosa maszyny. Sterowiec przypominał wieloryba wyrzuconego na plażę, od dziobu do rufy miał dwieście pięćdziesiąt metrów długości. W gondolach o kształcie łodzi, zawieszonych na stalowych ramionach pod kilem, zamontowano cztery ogromne silniki obrotowe Meerbach. Można było do nich dotrzeć z głównej kabiny po środkowej zejściówce biegnącej wzdłuż całej długości statku. Dwa silniki znajdowały się pod dziobem, dwa na rufie. Wzdłuż każdego stalowego ramienia biegła drabinka, którą mechanik dyżurny mógł zejść z pomostu, aby zająć stanowisko obok silnika i wykonać niezbędne czynności konserwatorskie lub zmienić moc w odpowiedzi na sygnały telegraficzne nadawane z głównego mostka. Sześć ciężkich śmigieł wykonano z laminowanego drewna obitego miedzianą blachą.

W kilu biegnącym wzdłuż kadłuba znajdowało się przejście dla członków załogi, można nim było również przesyłać paliwo, smar, wodór i wodę do miejsca, w którym były potrzebne. Podczas lotu ustawienie sterowca regulowało się przez przepompowywanie płynnego ładunku na dziób lub rufę.

Gondola pilotów znajdowała się z przodu, poniżej nosa. Z tego miejsca pilot i nawigator kierowali sterowcem. Pod częścią środkową umieszczono długi przedział pasażerski lub ładunkowy, w którym należało starannie rozłożyć przewożony ciężar.

Kiedy widzowie nacieszyli oczy maszyną, graf zaprosił ich na pokład. Goście zebrali się w luksusowym

salonie. Mężczyźni i kobiety podzielili się na trzy grupki i rozsiedli w skórzanych

458

fotelach, a stewardzi podali im kolejne lampki szampana. Po chwili Otto, Lutz i Ritter oprowadzili ich po wnętrzu maszyny, pokazując główne części i odpowiadając na pytania. Wszyscy powrócili do salonu na lunch złożony z ostryg, kawioru i wędzonego łososia, którego popito kolejną porcją szampana.

- Kto z państwa już latał? - spytał jowialnie graf Otto, gdy goście skończyli jeść.

Tylko Ewa podniosła rękę.

- Czas najwyższy to zmienić! - oznajmił ze śmiechem von Meerbach, spoglądając na Lutza. - Kapitanie, proszę zabrać naszych dostojnych gości w krótki rejs nad Jeziorem Bodeńskim. - Kiedy Lutz uruchomił silniki, mężczyźni i kobiety stłoczyli się przy oknach, trajkocząc i śmiejąc się jak dzieci. Assegai ożył i lekko zakołysał się na cumach. Po chwili delikatnie uniósł się i odrzucono linę.

Lutz poleciał do Friedrichshafen, a następnie poszybował na środek jeziora. Toń wody miała magiczny lazurowy odcień, w promieniach słońca błyszcząły śniegi i lodowce szwajcarskich Alp. Później sterowiec wrócił do fabryki w Wieskirche i zawisł w powietrzu dziewięćdziesiąt metrów nad ziemią. Graf Otto wrócił nieoczekiwanie z mostka do salonu. Goście spojrzeli na niego w osłupieniu. Von Meerbach miał na plecach duży plecak przypięty do tułowia skomplikowaną uprzężą.

— Panie i panowie, trzeba wam wiedzieć, że Assegai to statek powietrzny pełen dziwów i niespodzianek. Za chwilę

zobaczycie jeden z nich. Urządzenie, które mam na sobie, zostało zaprojektowane przez Leonarda da Vinci ponad czterysta lat temu. Wykorzystałem jego pomysł, umieszczając płótno w plecaku.

— Co to takiego? - spytała jedna z kobiet. - Wygląda na coś bardzo ciężkiego i niewygodnego.

— Nazywamy to Fallschirm. Francuzi i Brytyjczycy określają to urządzenie mianem spadochronu.

— Do czego służy?

— Tak jak sama nazwa wskazuje, do ochrony przed skutkami

459

upadku. - Odwrócił się do dwóch członków załogi i skinął głową. Mężczyźni odsunęli drzwi. Goście cofnęli się nerwowo.

- Żegnajcie, przyjaciele! Wspomnijcie o mnie, gdy odejdę. - Mówiąc to, Otto przebiegł kabinę i wyskoczył głową w dół. Kobiety pisnęły z przerażenia, zasłaniając usta. Goście pospieszyli do okien, patrząc z przerażeniem, jak ciało von Meerbacha znika w oddali. Nagle z obszernego plecaka wystrzelił długi biały parasol i postać grafa upodobniła się do monstrualnego grzyba. Śmiertelny skok Ottona został raptownie przerwany i graf zawisł w powietrzu, urągając prawom natury. Przerażenie ustąpiło miejsca zadziwieniu, krzyk rozpaczy - wiewatom i oklaskom. Goście patrzyli, jak mała figurka powoli opada na ziemię, a w ślad za nią białe płótno spadochronu. Graf Otto szybko wstał i pomachał im.

Lutz przykręcił zawór wodoru i sterowiec zaczął wolno opadać. Wylądował delikatnie, jak piórko z piersi szybującej po niebie gęsi. Maszyna oparła się na zderzakach poniżej kilu, a załoga naziemna pospieszyła, by zaczepić cumy do masztu.

Kiedy otwarto drzwi, graf stał na progu, witając gości na ziemi. Zebrali się wokół, aby uścisnąć mu dłoń i obsypać pochwałami. Po zakończeniu pokazów wsiedli do oczekujących pojazdów i wrócili do zamku. Las rozbrzmiewał salwami śmiechu i okrzykami zachwytu nad niezwykłym dokonaniem von Meerbacha.

Tego wieczoru wydano oficjalne przyjęcie w głównej jadalni zamku przy stole z orzecha, który po rozłożeniu mógłby pomieścić dwustu pięćdziesięciu gości. W wysokiej galerii zasiadła orkiestra. Ściany jadalni były wyłożone dębowymi panelami pokrytymi patyną wieków. Wisały na nich obrazy przedstawiające przodków von Meerbacha, sceny myśliwskie i trofea, między innymi poroża jeleni i kły

dzików.

Mężczyźni byli w galowych mundurach, z szablami i medalami na piersi. Damy wystąpiły w pięknych jedwabiach,

460

atłasach i olśniewającej biżuterii. Ewa von Wellberg przyćmiła inne panie elegancją i urodą, a Otto był wobec niej niezwykle szarmancki. Wielokrotnie zwracał się do niej przez stół, wspominając o niej w anegdocie, prosząc o opinię lub potwierdzenie jakiegoś faktu.

Gdy orkiestra zaczęła grać walca, tańczył tylko z nią. Jak na rosnącego mężczyznę, poruszał się z niezwykle lekkością dziwnie kontrastującą z ogromnym tułowiem przypominającym cielsko bawołu afrykańskiego. W jego ramionach czuła się szczupła i wiotka, gięła się i kołysała jak trzcina poruszana wiatrem nad brzegiem jeziora. Graf świetnie wiedział, jak niezwykle parę stanowili. Szmer, który wzbudzali, sprawiał mu wyraźną przyjemność.

Kiedy wieczór miał się ku końcowi, rozległ się dźwięk trąbki. Z jadalni wyszli służący i muzycy. Kamerdyner zamknął okiennice, a następnie opuścił salę i zniknął ją za sobą. Przy dźwiękoszczelnych drzwiach stanęli uzbrojeni wartownicy. Zostało tylko grono wybranych gości. Otto nie mógł się oprzeć pokusie ogłoszenia swojego zwycięstwa. Pragnął, aby w pełni poznali rozmiar jego sukcesu, żądny ich pochlebstw.

Dowódca najwyższy stopniem, wiceadmirał Ernst von Gall-witz, podniósł się, by podziękować gospodarzowi za okazaną gościnność, nie szczędząc pochwał dla cudów techniki, które ujrzął w Wieskirche. Później, staranie dobierając chwilę, oznajmił:

- Już wkrótce cały świat i nasi wrogowie będą mieli okazję poznać możliwości wspaniałych wynalazków grafa von Meer-bacha. Ponieważ jesteśmy wśród przyjaciół, mogę wam zdradzić, że miłościwie nam panujący cesarz Wilhelm Drugi od początku interesował się pracami nad tą niezwykle maszyną. Kiedy przebieraliśmy się do obiadu, poinformowałem go telefonicznie o tym, co dziś widziałem. Mogę z radością zakomunikować, że wyraził zgodę na przystąpienie do natychmiastowego wykonania śmiałego planu grafa, który wprawi w osłupienie naszych wrogów. - Mówiąc to, zwrócił się do von

461

Meerbacha siedzącego u szczytu stołu: - Panie i panowie, nie będzie przesadą, jeśli powiem, że od tego człowieka zależą przyszłe losy wojny. Niebawem wyruszy w heroiczną misję, której powodzenie sprawi, że cały kontynent przejdzie w nasze ręce, a wrogowie ogłupieją.

Graf wstał, by przyjąć owacyjne oklaski. Promieniował dumą, lecz podziękował wiceadmirałowi w kilku słowach i pomniejszył swoje zasługi. Podziwiali go za to jeszcze bardziej.

Kiedy przygotowywali się do snu na piętrze prywatnego skrzydła zamku, Ewa usłyszała, jak Otto śpiewa w łazience, co jakiś czas przerywając, by wybuchnąć śmiechem.

Aby dopasować się do jego nastroju, włożyła jedną ze swoich najładniejszych nocnych koszul. Rozpuściła włosy na ramiona, wiedząc, że to lubi, a następnie lekko podkreśliła rzęsy tuszem, zręcznie nadając twarzy udręczony, smutny wyraz. Robiąc makijaż, szepnęła do lustra:

- Jeszcze o tym nie wiesz, drogi Ottonie, lecz mam zamiar polecić razem z tobą do... Afryki i Ratelka.

Wyszedł z łazienki w nowej pidżamie, której nigdy nie widziała. Nie było w tym nic niezwykłego, ponieważ nad jego garderobą musiało sprawować pieczę aż czterech pokojowych. Graf nie nosił połowy rzeczy. Miał na sobie złocistopurpurowy szlafrok, którego poły sięgały niemal do ziemi. Nadal cieszył się osiągniętym sukcesem, zaszczytami i wyrazami podziwu, którymi go obsypano. Jak to często bywało, prowadziło to do zwiększonego pobudzenia, co rozpoznała po wypukłości pod jedwabną szatą, kiedy się do niej zbliżył.

Stała na środku pokoju ze smutno zwieszoną głową. Przez chwilę nie zauważył jej przygnębienia, lecz gdy ujął ją w ramiona i zaczął pieścić, wyczuł chłodną reakcję i przyjrzał się uważnie jej twarzy.

- Co cię gnębi, kochanie?

462

— Znowu wyjeżdżasz. Boję się, że stracę cię na zawsze.

Ostatnim razem omal nie zabił cię lew, później zostałam pojmana przez plemię tych dzikusów, Nandi. Czuję, że przydarzy

się coś strasznego. - W jej oczach błysnęły łzy. - Nie

zostawiaj mnie - zaszlochała. - Błagam! Nie wyjeżdżaj.

— Muszę. - Otto sprawiał wrażenie zaskoczonego i nie pewnego. - Przecież wiesz. To mój obowiązek, na dodatek dałem słowo.

— W takim razie weź mnie ze sobą. Nie zostawiaj mnie.

— Wziąć cię ze sobą? - Poczul się całkiem zagubiony.

Nigdy wcześniej o tym nie pomyślał.

— Tak! Proszę, Ottonie! Dlaczego miałabym z tobą nie polecieć?

— Nic nie rozumiesz. To ryzykowna misja - odparł. -
Bardzo niebezpieczna.

— Bywaliśmy już razem w niebezpieczeństwie - przypomniała. - Przy tobie nic mi nie grozi. Niebezpiecznie może być tutaj. Kto wie, czy Brytyjczycy niedługo nie zaczną bombardować.

— Nonsens! - zadrwił. - Tylko sterowiec może dolecieć tak daleko. Brytyjczycy nie mają sterowców. - Cofnął się, by zebrać myśli.

Nie wiedział, co odpowiedzieć. Nigdy nie zastanawiał się, czemu była z nim tak długo. Rzecz jasna korzystała na ich związku. Ale powód musiał być poważniejszy. Nigdy nie chciał go poznać, żeby nie została urażona jego męska duma. Spojrzał jej głęboko w oczy, zanim zadał pytanie, które nosił tak długo na końcu języka:

- Nigdy mi tego nie powiedziałaś, a ja nie odważyłem się zapytać... Powiedz, co naprawdę do mnie czujesz, Ewo? Dla czego ze mną jesteś?

Wiedziała, że kiedyś usłyszy to pytanie. Przygotowała się do niego i tak często powtarzała odpowiedź, że zabrzmiała szczerze i przekonująco.

- Ponieważ cię kocham. Będę przy tobie tak długo, jak mi
463

pozwole. - Po raz pierwszy wydał się jej bezbronny jak dziecko.

Westchnął cicho.

— Dziękuję ci, Ewo. Nie wiesz, ile dla mnie znaczą te słowa.

— Weźmiesz mnie ze sobą?

— Tak. - Skinął głową. - Nie ma powodu, dla którego mielibyśmy się rozdzielać, dopóki żyjemy. Ożeniłbym się z tobą, gdybym mógł. Wiesz o tym, prawda?

— Tak, Ottonie. Uzgodniliśmy, że nie będziemy o tym rozmawiali - przypomniała mu. Athala, matka dwóch synów Ottona, była jego żoną prawie od dwudziestu lat i nie chciała dać mu rozwodu. Bóg wie, że próbował ją do tego nakłonić. Uśmiechnął się i wyprostował, odzyskując dawną żywiołowość i pewność siebie.

— W takim razie możesz zacząć się pakować. Weź piękne stroje na naszą defiladę zwycięstwa - powiedział. - Wracamy do Afryki.

Podbiegła i stanęła na palcach, aby go pocałować. Tym razem nie zwracała nawet uwagi na woń cygara.

— Do Afryki? Ach, Ottonie! Kiedy wyruszymy?

— Niebawem. Dziś przekonałaś się, że sterowiec jest gotowy do bitwy. Załoga została przeszkolona i wie, czego się od niej oczekuje. Teraz wszystko zależy od fazy księżyca, pomyślnych wiatrów i prognozy pogody. Ritter będzie leciał dzień i noc, więc potrzebuje pełni księżyca. Ten dzień przypadnie dziewiątego września, musimy zatem wyruszyć nie wcześniej i nie później niż trzy dni od tej daty.

Przez większą część nocy nie mogła zasnąć, słuchając chrapania Ottona, który budził się co jakiś czas, by po chwili mruknąć i ponownie zapaść w sen. Była wdzięczna za ostatnią okazję przemyślenia tego, co powinna zrobić przed podróżą. Musiała przesłać wiadomość Leonowi, potwierdzając, że Otto wyleci Assegai do Afryki, wioząc pieniądze, broń i amunicję

dla burskich rebeliantów, i że niemal na pewno przeleci nad doliną Nilu i Wielkimi Rowami Afrykańskimi i skieruje się na południe. Kiedy poda mu datę wylotu Assegai, Leon zrobi wszystko, aby sterowiec nie dotarł na miejsce, w ostateczności nie cofając się przed atakiem. Nie wiedziała, czy powinna go uprzedzić, że będzie na pokładzie. Gdyby o tym wiedział, mógłby nie zaatakować z całą siłą. W najlepszym razie utrudniłoby mu to wykonanie obowiązku. Postanowiła, że o tym nie wspomni. Kiedy znajdą się na wysokim afrykańskim niebie, ponownie zdadzą się na los.

Wybuch wielkiej wojny nie został uprzedzony żadnym ruchem pióra ani złowróżbnym obwieszczeniem. Przypominał katastrofę kolejową, z wagonami wpadającymi jedno na drugie i tworzącymi ogromne zwałowisko. Zobowiązana traktatem o wzajemnej pomocy Austria wypowiedziała wojnę Serbii, a Niemcy Rosji i Francji. W końcu, czwartego sierpnia tysiąc dziewięćset czternastego roku, Wielka Brytania wypowiedziała wojnę Niemcom. Cały świat ogarnął ogień i dym, które przepowiedziała Lusima.

Mieszkańcy Związku Południowej Afryki ponownie się podzielili. Louis Botha, dowódca dawnej armii burskiej, i jego towarzysz broni, generał Jannie Smuts, który walczył u jego boku przeciw połączonym siłom imperium brytyjskiego, tym razem opowiedzieli się po stronie Anglii. Większość pozostałych dowódców burskich nienawidziła Brytyjczyków i zdecydowanie opowiadała się po stronie cesarza niemieckiego. Louis Botha zdołał z wielkim trudem przeforsować swoją wolę w parlamencie i przesłał do Londynu telegram informujący rząd brytyjski, że może wycofać wszystkie siły z Afryki Południowej, ponieważ on i jego wojska będą bronili południowej części kontynentu przed Niemcami. Londyn z wdzięcznością przyjął tę ofertę, a następnie spytał, czy Botha i jego armia mogą zaatakować sąsiednią Niemiecką Afrykę Wschodnią

465

i zniszczyć radiostacje w Luderitzbucht i Swakopmund, które bez przerwy przekazywały cenne informacje do Berlina, szczegółowo opisując ruchy marynarki wojennej na południowym Atlantyku. Botha wyraził zgodę, choć w tym samym czasie w jego szeregach dojrzewała rewolta.

Botha był jedynym z trzech dawnych burskich dowódców i bohaterów, których nazywano triumwirami. Drugim był Chris-tian Delamere Wet, a trzecim Herculaas "Koos" de la Rey. Delamere Wet już opowiedział się za Niemcami, a jego ludzie poszli za nim. Założyli umocnione obozowisko na skraju pustyni Kalahari, lecz Botha nie wysłał jeszcze oddziałów, by ich spacyfikować. Gdyby to zrobił, bunt mógłby się rozprzestrzenić i z klatki wydostałaby się żarłoczna bestia wojny domowej.

Chociaż de la Rey nie wystąpił otwarcie przeciw Bocie i Wielkiej Brytanii, wszyscy wiedzieli, że to jedynie kwestia czasu. Nie podejrzewali, że czeka na wiadomość z Niemiec w sprawie Assegai, który dostarczy mu pomoc. Wiadomość miała dotrzeć z Berlina za pośrednictwem silnej radiostacji w Swakopmund w Niemieckiej Afryce Wschodniej.

W Wieskirche kończono załadunek Assegai. Graf Otto von Meerbach i komandor Alfred Lutz przez całą noc zmagali się z listą ładunkową. Większość obliczeń opierała się na przypuszczeniach i instynkcie,

ponieważ nikt wcześniej nie leciał sterowcem nad Saharą, gdzie temperatura powietrza mogła się wahać od pięćdziesięciu pięciu stopni Celsjusza w południe do zera w nocy.

W zbiornikach sterowca znajdowało się ponad siedemset pięćdziesiąt tysięcy metrów sześciennych wodoru. Codziennie trzeba było pompować dużą ilość gazu, aby zrównoważyć ciężar spalonego paliwa, w przeciwnym razie sterowiec stałby się tak lekki, że załoga mogłaby stracić nad nim kontrolę. Mógłby wznieść się wyżej, gdzie groziła im śmierć z powodu zimna i braku tlenu. Główne zbiorniki były wypełnione po brzegi dwustu pięćdziesięcioma tonami paliwa, ponad dwoma tonami oleju i jedenastoma tonami wody, której używali jako balastu.

466

W skład załogi wchodziło dwudziestu dwóch mężczyzn i jedna kobieta. Rygorystyczne zalecenia ograniczały łączny bagaż osobisty do niecałych dwóch ton. Teoretycznie mogli zabrać na pokład ładunek o wadze ponad szesnastu ton, lecz graf zrezygnował z trzech ton pocisków moździerzowych, a zamiast nich zabierał dodatkowe złoto w sztabach, które w razie potrzeby przeważałoby szalę na ich korzyść.

Wszystkie monety zostały wybite z osiemnastokaratowego złota. Von Meerbach zabrał podobną ilość brytyjskich suwerek i niemieckich monet dziesięciomarkowych. Zapakowano je w małe półcienne woreczki, a następnie umieszczono w solidnych skrzynkach na amunicję i starannie zakręcono wieko. Skrzyń było dwieście dwadzieścia, a w każdej znajdowały się monety o wadze pięćdziesięciu kilogramów. Taki ładunek nosili zwykle afrykańscy tragarze podczas safari. Wartość złota szacowano w amerykańskich dolarach. Od dziesięcioleci wynosiła ona dwadzieścia jeden dolarów za uncję. Graf Otto znał się na rachunkach, więc szybko obliczył, że jego ładunek wart jest z grubsza dziewięć milionów dolarów, co mimo chaosu, który zapanował na rynkach finansowych po wybuchu wojny, stanowiło ekwiwalent dwóch milionów funtów szterlingów.

- Taka sumka wystarczy, aby Burowie przez długi czas słodko się do nas uśmiechali! - Von Meerbach osobiście nadzorował ładunek skrzynek ze złotem. Robotnicy ustawiali je w równych rzędach w głównym salonie Assegai i mocowali do okrągłych uchwytów w podłodze. Na wierzchu umieszczono skrzynie z amunicją i ciężkimi karabinami maszynowymi Maxim.

Kiedy zabezpieczono ostatnią skrzynkę, pozostało niewiele miejsca dla załogi, która przecież musiała wykonywać swoje obowiązki. W celu rozwiązania problemu graf Otto polecił usunąć koje oraz grodzie między kabinami. Załoga miała spać na drewnianym pokładzie. Polecił też zlikwidować kabinę nawigacyjną i radiową, przenosząc urządzenia do gondoli sterowniczej pod dziobem. Usunięto również trzy ubikacje, aby

467

zyskać więcej miejsca. Jedyna latryna miała wystarczyć dwudziestu trzem członkom załogi. Nie czyniono

różnicy między mężczyznami i kobietą, starszymi oficerami i hinduskim kucharzem. Zrezygnowano z pralni, dzięki czemu część gospodarcza powiększyła się o połowę. Mały piecyk elektryczny miał wystarczyć do zagotowania zupy i kawy oraz przygotowania porannej owsianki. Na tym miało się kończyć ciepłe jedzenie. Jako rezerwę zabrali mleko w proszku, kiełbasę, zamrożone mięso i suchary. Von Meerbach zakazał picia alkoholu na pokładzie. Sterowiec został ogołocoony z wszelkich dodatków - pozostały na nim jedynie rzeczy absolutnie niezbędne.

Obiad przed odlotem miał postać bankietu urządzonego w hangarze Assegai, w cieniu masywnego, srebrnego kadłuba. W ostatniej chwili jedna z limuzyn Meerbacha przywiozła Ewę z zamku. Fraulein von Wellberg miała na sobie lotniczy kombinezon, buty, rękawiczki i pilotkę z okularami. Szofer wniósł do hangaru jej walizkę. Nic więcej nie miała.

Załoga nie została uprzedzona, że z nimi poleci. Piękno i wdzięk uczyniły Fraulein ulubienicą wszystkich, więc zgotowano jej entuzjastyczne powitanie. Hennie du Rand nie widział jej od czasu rejsu z Mombasy na pokładzie SS Admirał. Surowy i niezgrabny farmer skłonił się i ucałował jej dłoń. Jego towarzysze zawyli z radości, a on zapłonął rumieńcem jak uczeń.

Ewa czuła się wzruszona, a jednocześnie winna, bo przecież go oszukała, udając, że nie rozumie, o czym rozmawiano podczas narady z burskim generałem.

Kiedy graf Otto przywołał ją do siebie, usiadła przy nim u szczytu stołu. Przedstawił ją zebrany jako maskotkę, która umili mu ekspedycję. Mężczyźni zaczęli klaskać i pokrzykiwać wesoło. Wszyscy byli szczęśliwi i podekscytowani, gotowi wyruszyć w rejs, który miał być przełomową powietrzną wyprawą.

Półmiski uginały się od bawarskich przysmaków. Na stole nie było jedynie alkoholu. Von Meerbach chciał, aby wszyscy

468

mieli jasne głowy i bystry wzrok, kiedy wystartują. Toasty wznoszono delikatnym pilsnerem o śladowej ilości alkoholu. Punktualnie o dwudziestej pierwszej graf Otto wstał od stołu i oznajmił:

- Pora na nas! Przyjaciele, wyruszamy do Afryki! - Kiedy ustały radosne wiwaty, załoga pospieszyła na pokład i zajęła swoje stanowiska. Sterowiec został starannie wyważony. W pro wizorycznym pomieszczeniu radiowym graf nawiązał ostatni kontakt z centralą w Berlinie. Odebrał osobiste życzenia od kajzera i usłyszał sakramentalne "z Bogiem". Po zakończeniu rozmowy odwrócił się od radiostacji i wydał rozkaz startu

komandorowi Lutzowi. Assegai rzucił cumy, uniósł się delikat

nie w świetle letniego wieczoru i wykonał zwrot o sto pięć

dziesiąt pięć stopni.

W ciągu ostatnich tygodni dokładnie omówili wszystkie szczegóły lotu, więc nie trzeba ich było powtarzać. Lutz dokładnie wiedział, czego graf Otto oczekuje od niego i załogi. Nie zapalając świateł, wznieśli się na maksymalną bezpieczną wysokość przelotową trzech tysięcy metrów i poszybowali nad Jeziorem Bodeńskim, kierując się na południe w stronę Morza Śródziemnego, aby dotrzeć do niego tuż po północy, kilka kilometrów na zachód od Savony. Lecieli dalej na południe, kierując się światłami włoskich miast nadmorskich, które migotały po lewej burcie.

Kiedy lecieli nad Sycylią, zaczął wiać silny wiatr od rufy, który przeniósł ich szybko ponad bezimiennymi połaciami jałowej Pustyni Libijskiej rozciągającymi się na zachód od Benghazi. O świcie Ewa stała w oknie salonu, obserwując ogromny cień sterowca przesuwający się po grzbietach wzgórz i wydmach brunatnej jałowej ziemi.

- Afryka! - zawołała bezgłośnie. - Czekaj na mnie,

kochany. Wracam do ciebie.

Zrobiło się potwornie gorąco. Promienie słońca odbijały się od skał, a potężne wiry krążyły wokół sterowca jak prądy wielkiego oceanu. Statek powietrzny był lżejszy, ponieważ

469

cztery potężne silniki Meerbach spaliły niemal trzy tony paliwa i oleju, a słońce ogrzało wodór w zbiornikach, co zwiększyło pułap lotu. Lutz musiał wypompować siedemdziesiąt tysięcy metrów sześciennych gazu, lecz sterowiec nie przestawał się wznosić. Na wysokości piętnastu tysięcy stóp załodze zaczął dawać się we znaki brak tlenu. W tym samym czasie temperatura gwałtownie wzrosła, sięgając pięćdziesięciu dwóch stopni Celsjusza w gondoli sterowniczej. Trzeba było wyłączyć silniki, aby ostygły, i wpompować świeży olej do układu.

Lecieli z prędkością stu węzłów, poruszani wiatrem, z dziobem pochylonym sześć stopni. Assegai przestał reagować na ster, a po chwili lewy przedni silnik gwałtownie zwiększył obroty i przestał działać. Nagła utrata mocy spowodowała, że maszyna utraciła sterowność i opadła na sześć tysięcy stóp, zanim odzyskała sterowność i wyrównała lot. W wyniku gwałtownej zmiany pułapu część głównego ładunku uległa przemieszczeniu.

Nawet graf Otto był zdenerwowany niestabilnym zachowaniem Assegai w rozgrzanym powietrzu i przystał na sugestię Lutza, że powinni wylądować i zakotwiczyć sterowiec na resztę dnia, by kontynuować podróż po zmroku. Komandor wybrał czarną skalną wychodnię na pustyni, do której można było zacumować statek, i zaczął zwalniać, wypompowując dużą ilość wodoru.

Byli zaledwie pięćdziesiąt stóp nad ziemią, kiedy spomiędzy skał wyskoczyła grupa jeźdźców w białych burnusach. Pędzili ku nim galopem korytem wadi, wymachując krótkimi mieczami i strzelając do Assegai z karabinków skałkowych o krótkiej lufie. Jedna z kul trafiła w okno, zasypując grafa odłamkami szkła. Zaklął poirytowany i stanął za maximem w przedniej części gondoli.

Przesunął dźwignię, wprowadzając pociski do komory i pochylając karabin, a następnie posłał krótką serię, która sprawiła, że pierwszy szereg atakujących się rozproszył. Trzy konie padły

470

na ziemię, ciągnąc za sobą jeźdźców. Von Meerbach przesunął karabin w prawo i strzelił ponownie, kładąc cztery kolejne konie, które runęły na piasek, konwulsyjnie wierzgając. Pozostali napastnicy rozpiezchli się w popłochu. Ewa policzyła zabitych i rannych. Na ziemi leżało siedmiu mężczyzn. Dwa konie zerwały się na nogi i ruszyły za uciekającymi.

- Nie sądzę, aby wrócili - rzekł niedbale von Meerbach. - Będziesz pełnił wartę do osiemnastej, Lutz. Gdy się ochłodzi, uruchomimy silniki i polecimy dalej.

Ostatnia depesza, którą wielmożny Goolam Vilab-dzi otrzymał od swojej bratanicy, zawierała tylko jedną grupę cyfr. Po rozszyfrowaniu okazało się, że była to data rozpoczęcia operacji - dzień, w którym Assegai miał wystartować z fabryki w Wieskirche. W poprzednich wiadomościach Ewa przekazała Leonowi nazwę, którą von Meerbach nadał sterowcowi, oraz jego numer seryjny. Assegai miał oznaczenie Mark ZL71. Wcześniej opisała trasę, którą Otto zamierzał dotrzeć do Afryki Południowej. Na jej podstawie Leon obliczył, kiedy sterowiec dotrze do Wielkiego Rowu Wschodniego. Musiał teraz zaplanować operację, która dawałaby choć nikłą szansę sprowadzenia na ziemię ogromnego statku powietrznego, wzięcia do niewoli załogi i przejęcia ładunku. Ponieważ Penrod wyjechał, a Frederic Snell mógł zablokować wszystkie jego działania, Leon był zdany wyłącznie na siebie.

Widział ryciny przedstawiające statek powietrzny, z którym miał się zmierzyć. Kiedy graf Otto wrócił pośpiesznie z Nairobi do Niemiec po tym, jak został raniony przez lwa, zostawił wiele książek i czasopism w swoich prywatnych kwaterach w Tandali. Były to niemal wyłącznie inżynierskie publikacje. Jedna z nich zawierała długi, ilustrowany artykuł poświęcony konstrukcji i działaniu dużych sterowców. Materiał zawierał rysunki różnych typów, między innymi statku oznaczonego symbolem Mark ZL71.

471

Artykuł dostarczył mu niewielkiej pomocy i inspiracji, a ilustracje i opisy całkiem go zniechęciły. Sterowiec był tak ogromny i dobrze chroniony, leciał tak szybko i wysoko, że udaremnienie jego misji wydawało się niemożliwe. Wyobraził sobie Motyla i tego behemota przestworzy - wyglądali jak mysz polna i lew o czarnej grzywie lub termit i pangolin.

Pomyślał o prorocztwie Lusimy, które wypowiedziała, gdy zaprowadził Ewę na górę Lonsonyo. Wspomniała coś o wielkiej srebrzystej rybie przestoniętej przez dym i płomień. Kiedy patrzył na ilustracje w książce grafa Ottona, na statek powietrzny o rybim kształcie, z potężnym sterem przypominającym rybi ogon, nie miał wątpliwości, że to właśnie o nim mówiła. Był ciekaw, czy mógłby dowiedzieć się od niej czegoś więcej, lecz uznał to za mało prawdopodobne. Lusima nigdy nie rozwijała raz przekazanej przepowiedni.

Czuł się samotny i porzucony. Ewa odeszła i wiedział, że przypuszczalnie już się więcej nie spotkają. Miał wrażenie, jakby utracił ważną część ciała. Na dodatek wyjechał także Penrod. Nigdy nie przeczuwał, że będzie mu brakowało wuja, lecz teraz boleśnie odczuwał jego nieobecność. Potrzebował rady i pomocy. Pozostała tylko jedna osoba, która mogła jej dostarczyć.

Wezwał do siebie Manyoro, Loikota i Izmaela.

- Pojedziemy na górę Lonsonyo - oznajmił.

Pół godziny później lecieli nad ryftem, kierując się w stronę Obozu Percy'ego.

Po wylądowaniu okazało się, że obozowisko jest w nieładzie. Hennie du Rand i Max Rosenthal wyjechali jakiś czas temu, a Leon był tak zaaferowany Ewą, że zapomniał o dopilnowaniu funkcjonowania obozu. Pozostawił w nim jedynie niewykwalifikowanych ludzi na dodatek pozbawionych nadzoru.

Nie był zbyt zmartwiony takim obrotem spraw. Przyszłość rysowała się niepewnie, było też mało prawdopodobne, aby przed ustaniem wojennej zawieruchy zjawili się tu jacyś goście.

472

Leon przeczuwał, że minie kilka dobrych lat, zanim nastanie pokój. Kiedy przygotowali konie i spakowali bagaże, wyruszyli w stronę ogromnego sinego kształtu góry rysującego się na zachodnim horyzoncie. Z każdą milą Leon nabierał nadziei.

Rozłożyli się obozem u stóp Lonsonyo. Leon siedział do późna nad tłącymi się węglami, wpatrując się w ciemny masyw na tle rozgwieżdżonego afrykańskiego nieba. Przyłapał się na tym, że patrzy na górę inaczej niż dotąd. Po raz pierwszy potraktował ją jako miejsce ewentualnego starcia z Van Meer-bachem - górę, nad którą maleńki Motyl mógł się zmierzyć z potężnym Assegai.

Martwiło go, że będzie musiał czekać, aż chungadzi Loikota wypatrzą nadlatujący sterowiec, i dopiero wtedy wzbije się w górę, by zastąpić mu drogę. Znajdował się w niekorzystnej sytuacji. Assegai leciał na wysokości dziesięciu tysięcy stóp, więc będzie musiał wzniesić się ponad masyw góry Lonsonyo na pełnej mocy silników, co oznaczało, że spali większość paliwa znajdującego się w zbiornikach Motyla. Jeśli wiatr, wilgotność powietrza i temperatura będą sprzyjały Assegai, sterowiec przeleci bezpiecznie nad jego głową, zanim Leon wzniesie aeroplan na wystarczającą wysokość.

Spoglądał gniewnym wzrokiem na Lonsonyo, zniechęcony i przygnębiony możliwością sromotnej

porażki. Nagle nad jeziorem Natron mignęła błyskawica, podświetlając górę. Masyw przypominał wał otaczający wrogi zamek, wielką przeszkodę, którą musi pokonać.

Ta dziwna gra światła podsunęła mu pewien pomysł. Skoczył na równe nogi, przewracając kubek z kawą na ziemię.

- Na Boga, co się ze mną dzieje?! - krzyknął w niebo. - Cały czas miałem to przed nosem. Lonsonyo nie jest przeszkodą, lecz zapewnia przewagę! - Przez głowę błyskawicznie przelatywały mu różnorodne pomysły. - Zapomniałem o płaskowyżu, który odkryliśmy razem z Ewą! Wiedziałem, że ma wielkie znaczenie, gdy tylko go ujrzałem. To

473

naturalny pas startowy w najwyższym punkcie Lonsonyo! Z pomocą pięćdziesięciu mężczyzn będę mógł w kilka dni wykarczować pole, tak by później dało się na nim wylądować i z niego wystartować. Nie będę musiał gonić Assegai. Poczekam, aż nadleci, i pozwolę mu się zbliżyć. Co ważniejsze, rozpocznę walkę, dysponując przewagą wysokości! Runę na sterowiec, zamiast mozolnie się wznosić, aby przeciąć mu kurs. - Był tak podniecony, że tej nocy spał zaledwie kilka godzin. Wyruszył na szczyt długo przed wschodem słońca.

Lusima Mama czekała na nich pod ulubionym drzewem obok ścieżki. Powitała swoich synów i poprosiła, aby usiedli obok niej.

- Straciłeś swój kwiat, M'bogo - powiedziała, jakby stwierdzała fakt, a nie pytała. - Pojechała do kraju na dalekiej północy.

- Kiedy wróci, Mamo? - spytał.

Uśmiechnęła się.

- Nie próbuj poznać tego, o czym nie dane nam wiedzieć.

Przybędzie, gdy czas się wypełni.

Leon wzruszył bezradnie ramionami.

— Zatem pomówmy o tym, o czym dane nam wiedzieć.

Chciałbym cię prosić o przysługę, Mamo.

— Pięćdziesięciu mężczyzn czeka na ciebie obok mojej chaty. Na szczęście Mkuba Mkuba oczyścił już znaczną część

poła uderzeniem pioruna. - Uśmiechnęła się do niego przebieg

le. - Nie wierzysz mi, prawda, synu?

Lusima udała się wraz z nimi na otwarty płaskowyż nad wodospadem. Usiadła w cieniu, obserwując pracujących mężczyzn. Leon domyślił się, po co z nimi poszła: pod jej okiem Masajowie pracowali jak opętani i w południe następnego dnia mógł wymierzyć krokami długość pasa, który wykarczowali. Na takiej wysokości powietrze było rozrzedzone, musiał więc utrzymać dużą prędkość podchodzenia, aby maszyna nie utraciła siły nośnej. Posadzenie Motyla na tak krótkim lądowisku to nie lada wyczyn. Byłoby to wręcz niemożliwe, gdyby nie lekkie

474

nachylenie i ukształtowanie terenu. Pas startowy znajdował się na krawędzi urwiska. Gdyby podchodził do lądowania od strony doliny, pas lekko by się wznosił. Pochyłość pomogłaby mu wyhamować maszynę. Z kolei podczas startu Motyl równie szybko osiągnąłby pełną prędkość przelotową. Po przelecień nad urwiskiem mógłby zanurkować, co dodatkowo zwiększyłoby prędkość.

- Czekam nas ciekawa rozgrywka - mruknął do siebie, choć nadal nie rozwiązał sedna problemu. Jeśli wszystko rozegra się zgodnie z jego przewidywaniami, Assegai nadleci ryfem od północy. Sterowiec będzie się znajdował na wysokości nie większej niż dziesięć tysięcy stóp. Nie polecą na wyższym pułapie, obawiając się braku tlenu.

Nie było możliwe, aby graf Otto zdołał dolecieć do środka doliny niewykryty przez sieć czujnych chungadzi. Leon zostałby w porę ostrzeżony i ruszyłby Motylem do ataku.

- I co dalej? - spytał samego siebie. - Dojdzie do wymiany ognia?

Zaśmiał się z tak niedorzecznego pomysłu. Z rysunków w książce grafa wynikało, że Assegai jest uzbrojony w co najmniej trzy lub cztery ciężkie karabiny maszynowe Maxim obsługiwane przez wyszkolonych strzelców siedzących na stabilnej platformie. Zaatakowanie ich przez Motyla z dwójką Masajów uzbrojonych w lekkie karabiny byłoby oryginalnym sposobem popełnienia samobójstwa.

Wybłągał dwa granaty ręczne od Hugh Delamere'a i myślał o tym, aby przelecieć nad Assegai, zrzucając jeden z nich na wierzchołek ogromnego sklepionego kadłuba. Znajdowało się w nim ponad dziewięćset tysięcy metrów sześciennych wybuchowego wodoru. Ognista kula, która powstałaby w wyniku eksplozji,

byłaby naprawdę efektywna. Niestety, granaty eksplodowałyby sześć sekund po zetknięciu z celem, a wówczas Motyl byłby nadal nad sterowcem.

- Musi istnieć lepszy pomysł od upieczenia się żywym - mruknął ponuro. - Muszę go odkryć na czas. Z ostat-

475

niej depeszy Ewy wynikało, że do wyruszenia statku powietrznego z Wieskirche pozostało zaledwie pięć dni. Nie mogli nawet wypróbować nowego lądowiska. Trzeba było natychmiast wyruszyć do Obozu Percy'ego, aby sprowadzić samolot.

Postanowił, że spędzi noc w chatce Lusimy i wyruszy następnego ranka skoro świt. Usiedli obok siebie przy ognisku, jedząc na obiad płatki z manioku. Lusima Mama była w wylewnym nastroju, co skłoniło Leona do porozmawiania o Ewie. Próbował wyciągnąć z Lusimy wszelkie informacje lub szczegóły, które mogłyby pomóc w czekającym go przedsięwzięciu. Szelmowski błysk jej czarnych oczu zdradził, że świetnie wie,

O czym myśli, lecz mimo to zadawał pytania tak delikatnie, jak potrafił. Mówili o Ewie. Przypomniał Lusimie o miłości, którą ją darzy.

— Twój mały kwiatek zasługuje na miłość - przytaknęła Lusima.

— A jednak odeszła ode mnie. Martwię się, że nigdy jej nie zobaczę.

— Nie martw się, M'bogo. Zawsze należy mieć nadzieję.

— Mamo, wspominałaś o wielkiej srebrzystej rybie na niebie, która przyniesie szczęście i miłość.

— Zestarzałam się, synu. Ostatnio często wygaduję głupstwa.

— Mamo, to pierwsze i jedyne głupstwo, które usłyszałem z twoich ust - powiedział Leon, uśmiechając się do niej. -

Mam wrażenie, że już niedługo ta ryba pojawi się na niebie.

— Wszystko możliwe, cóż ja o niej wiem?

— W swojej głupocie pomyślałem, że ty, moja matka, mogłabyś mi podpowiedzieć, jak schwytać rybę niosącą szczęście
1 miłość.

Milczała długą chwilę, a następnie potrząsnęła głową.

- Nie znam się na łowieniu ryb. Powinieneś spytać rybaków. Może nauczy cię tego ktoś znad jeziora Natron.

Przez chwilę patrzył na nią ze zdumieniem, a następnie walnął się w głowę.

476

- Ależ ze mnie głupiec! - krzyknął. - Mamo, twój syn jest idiotą! Jezioro Natron! Oczywiście! Rybackie sieci! Wiem, co chciałaś mi powiedzieć!

Zostawiwszy Loikota i Izmaela na górze, Leon i Manyoro wyruszyli czym prędzej do Obozu Percy'ego. Leon nie chciał zbytnio obciążać maszyny, aby łatwiej wylądować na płaskowyżu Lonsonyo.

Po dotarciu do obozu niemal natychmiast wyruszyli nad jezioro Natron. Tym razem Leon nie ryzykował lądowania na miękkim gruncie - posadził Motyla na twardej powierzchni sodowej łachy. Razem z Manyoro wytargowali u naczelnika wioski rybackiej cztery stare uszkodzone sieci długości około dwustu kroków każda. Chociaż dawno ich nie używano i wyschły na wiór, wystawiły na poważną próbę silniki Meerbach zamontowane w Motylu. Leon musiał wykonać cztery lądowania na prowizorycznym pasie startowym, by przewieźć sieci. Każde lądowanie stanowiło wyzwanie dla jego lotniczych umiejętności. Nadlatywał z dużą prędkością, aby maszyna nie utraciła siły nośnej, i ostro lądował, obciążając podwozie do granic możliwości.

Po południu drugiego dnia na płaskowyżu leżały cztery rozłożone sieci. Zszyli je parami, uzyskując dwie długości około czterystu kroków.

Nie mogli przeciwżyć składania i rozkładania sieci. Mogli ich użyć dopiero podczas ataku na Assegai. Leon miał nadzieję, że podczas pierwszego ataku uda mu się oplatać śmigła tylnych silników, co spowolni sterowiec na tyle, że on zdąży wrócić na górę Lonsonyo i zarzucić kolejną.

Jedną z wielu rzeczy, od których zależało powodzenie operacji, było takie spakowanie sieci, aby po otwarciu luku bombowego rozwinęła się za ogonem Motyla. Później, kiedy oplączy śmigła, będzie musiał ją odczepić i szybko odlecieć. Gdyby nie udało mu się uwolnić z sieci, samolot powłókłby się za

ogonem unieruchomionego sterowca, a skrzydła i kadłub pękłyby pod działaniem nietypowych sił. Duża liczba niewiadomych powodowała, że wszystko zależało od instynktu, pracy zespołowej, szybkiej reakcji na nieoczekiwany rozwój wydarzeń oraz mnóstwa starego, poczciwego szczęścia.

Czwartego dnia wieczorem Motyl stał na końcu krótkiego pasa, zwrócony nosem w dół zbocza. Pas startowy kończył się urwiskiem. Dwudziestu tragarzy czekało w pogotowiu, aby pchnąć aeroplan, żeby rozpędził się na zboczu.

O świcie i zmierzchu Loikot stawał na wyżynach Lonsonyo, porozumiewając się okrzykami z chungadzi rozszanymi po całym kraju Masajów. Leon miał wrażenie, że oczy każdego morani są zwrócone na pomoc. Wszyscy mieli nadzieję, że to oni pierwsi wypatrzą na niebie srebrzystego rybiego potwora.

Leon i jego załoga siedzieli pod kadłubem Motyla, ukryci za prymitywnym daszkiem z trzciny chroniącym przed promieniami słońca. Po otrzymaniu sygnału w ciągu kilku sekund mogli znaleźć się w kokpicie. Pozostało im jedynie czekać.

Wschodni horyzont przypominał ścianę wznoszącą się od brunatnej pustyni po mlecznobłękitne niebo. Ewa stała na mostku Assegai. Sterowiec zacumowano do skały, aby przeczekać dzień. Pełniła wartość podobnie jak inni oficerowie. Pozostali członkowie załogi, którzy nie mieli żadnych obowiązków, odpoczywali po nocnym locie. Graf Otto był w gondoli lewego silnika, którego mimo wielu godzin ciężkiej pracy nie udało się uruchomić. W końcu zdali sobie sprawę z rozmiarów uszkodzenia. Rozmontowali pokrywę, aby dotrzeć do źródła problemu.

Ewa wiedziała, że nie należy lekkomyślnie wszczynać alarmu. Zwlekła kilka minut, lecz po chwili wschodni horyzont przysłoniła żółta ściana, zbliżająca się ku nim ze zdumiewającą szybkością. Nie była już stałą powierzchnią, lecz wirowała i toczyła się jak gęsty obłok żółtego dymu. Nagle zrozumiała,

co widzi. Czytała o tym w książkach podróżników przemierzających pustynię. Było to jedno z najbardziej niebezpiecznych zjawisk naturalnych. Wyrzuciła z siebie jedno słowo - cham-sin - i skoczyła do głównego telegrafu. Pociągnęła dźwignię, a przenikliwy sygnał dzwonek alarmowych zagłuszył inne dźwięki.

Członkowie załogi śpiący w głównej kabinie zaczęli się budzić, patrząc zaspanymi oczami na nadciągającą burzę piaskową. Niektórzy zamarli w milczeniu, zaszokowani jej ogromem i gwałtownością, inni spojrzeli na siebie wystraszeni.

Graf Otto wbiegł do gondoli uszkodzonego silnika. Przez chwilę patrzył na nadciągającą burzę, a następnie objął dowodzenie. W kilka minut dwa z trzech sprawnych silników ożyły. Niemiec dał sygnał zespołowi cumującemu, aby odcepiono liny.

Trzeci silnik nadal milczał. Najwyraźniej inżynier nie mógł go uruchomić.

- Przejmij dowodzenie, Lutz! - krzyknął von Meer-bach. - Pójdę tam! - Zbiegł otwartym pomostem i zniknął na drabince prowadzącej do gondoli.

Lutz ruszył do pulpitu sterowniczego i otworzył osiem zaworów gazu. Wodór zaczął płynąć ze zbiorników Assegai tak gwałtownie, że sterowiec przechylił się do przodu. Ewa i mężczyźni, którzy nie trzymali się uchwytów, runęli na pokład. Sterowiec zaczął wzbijać się w powietrze z uniesionym nosem, dźwigany przez ponad sto pięćdziesiąt tysięcy metrów sześciennych lekkiego gazu.

Ciśnienie atmosferyczne spadło tak gwałtownie, że wskazówka barometru obróciła się w zawrotnym tempie wokół własnej osi. Lutz, który cierpiał na zapalenie zatok, jęknął z bólu, chwytając się za uszy. Cienka strużka krwi spłynęła po policzkach, gdy pękł jeden z bębenków. Mężczyzna zwinął się wpół i upadł na kolana. Na mostku nie było innego oficera, który mógłby przejąć dowodzenie, więc Ewa dźwignęła się na nogi i nie puszczając poręczy, podeszła do Lutza, zanim ten stracił przytomność z bólu.

479

— Co mam robić?! - zawołała.

— Wypuść gaz! - jęknął. - Wypuść gaz ze wszystkich zbiorników. Czerwone dźwignie! - Sięgnęła i pociągnęła z całej siły. Usłyszała gaz uchodzący głównym przewodem ponad kabiną. Sterowiec zadrżał i szarpnął do tyłu, lecz nie kontrolowane wznoszenie ustało, a wskazówka barometru zwołała obroty.

Von Meerbaeh zaczął się wspinać do kabiny po długich schodkach prowadzących do gondoli silnika. Utkwił na otwartym pomoście, uczepiony bocznej barierki, piętnaście metrów od niej. Przez gwałtowne manewry sterowca mógł polecieć w dół jak kamień.

- Dwie prawe przepustnice! - krzyknął. - Cała naprzód!

Posłuchała go instynktownie. Silniki ryknęły, obracając sterowiec w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara. Ustabilizowała maszynę na tyle, by von Meerbaeh zdążył wbiec na górę. Wpadł do środka, gdy Assegai zaczął się obracać w przeciwną stronę. Dotarł do Ewy i chwycił za dźwignie. Jego ruchy były szybkie i skoordynowane. Ujarzmił wielki statek jak znarowionego konia, lecz zanim zdążył go ustabilizować, maszyną targnął straszny podmuch wiatru wzniesiony przez burzę piaskową. Na szczęście główne uderzenie przesunęło się pod kadłubem. Assegai wzniósł się na wysokość czternastu tysięcy stóp, gdy uderzył w niego chamsin. Przedni lewy silnik był beznadziejnie uszkodzony, pękło też kilka

rozpór podtrzymujących zbiorniki z gazem. Sterowiec trzeszczał, lecz nadal szybował z prędkością ośmiu węzłów, a jego ładunek był solidnie przytwierdzony do podłogi.

W oddali na pustyni ukazała się kręta wstążka Nilu. Nagle radio zatrzeszczało. Graf spojrzął na nie ze zdumieniem. Był to pierwszy kontakt radiowy, jaki nawiązali po przelecie nad wybrzeżem Morza Śródziemnego.

- To radiostacja w Walvis Bay - powiedział operator, podnosząc głowę. - Chcą nawiązać kontakt z grafem von Meerbachem. Mają dla pana pilną poufną wiadomość.

480

Graf przekazał stery Thomasowi Buelerowi, pierwszemu oficerowi, i założył słuchawki. Ściszył dźwięk, aby tylko on mógł usłyszeć wiadomość. Słuchał uważnie, z ponurą, wściekłą miną. Zakończył rozmowę i podszedł do okna, patrząc na potężną rzekę przepływającą pod nimi.

W końcu podjął trudną decyzję.

- Za dziesięć minut chcę widzieć całą załogę w gondoli sterowniczej - rzekł szorstko do Buelera. - Posadź ich w dwóch rzędach, na środku pokładu, zwróconych twarzą do przodu. Mam do przekazania ważną informację. - Po tych słowach udał się do małej kabiny, którą dzielił wspólnie z Ewą.

Kiedy się pojawił, zadrżała ze strachu. Zamiast stalowego palca i kciuka miał złowrogą stalową maczugę zakończoną szpikulcem. Załoga utkwiała wzrok w dziwnej protezie, której nie starał się ukryć, gdy stawał przed dwoma rzędami mężczyzn. Patrzył na nich w milczeniu, aż zaczęli się pocić i drżeć ze strachu.

- Panowie, wśród nas jest zdrajca - oznajmił w końcu chłodnym twardym głosem. Przerwał, by zastanowili się nad jego słowami, a następnie kontynuował: - Wróg został uprzedzony o naszej misji. Wiedzą o planowanej trasie i zamierzonych posunięciach. Berlin nakazał przerwanie operacji.

Nagle uniósł protezę i uderzył w stół nawigacyjny, rozwalając go w kawałki.

- Nie mam zamiaru wracać! - warknął. - Wiem, kto jest zdrajcą! - Ruszył ku nim i stanął za Ewą. Poczwała, że kuli się w środku, przygotowana na najgorsze. - Nie jestem człowiekiem, który wybacz zradę. Zdrajca wkrótce się o tym dowie. - Miała ochotę krzyknąć, wybiec na pomost i rzucić się w dół. Zginęłaby czystą, szybką śmiercią zamiast zostać okaleczona przez stalową pięść. Poczwała, że delikatnie dotknął czubka jej głowy. - Ciekawi was pewnie, kto to taki - wyszeptał.

Chciała otworzyć usta, aby stawić mu czoło, sprowokować do zrobienia najgorszego. Poczwała, że podnosi rękę i idzie

481

dalej. Żółć napłynęła jej do gardła. Z trudem powstrzymała wymioty.

Graf doszedł do końca, zawrócił i zaczął ponownie iść w jej stronę. Czwała się tak, jakby jej wnętrzości wypełniła gorąca woda, którą musi z siebie wyrzucić. Kroki ucichły. Z drzeniem nabrała powietrza. Miała wrażenie, że von Meerbach stoi tuż za nią.

Usłyszała dźwięk uderzenia i omal nie krzyknęła. Nie był tak głośny i przenikliwy jak ten, który towarzyszył rozbiciu stołu z mapami. Był to raczej miękki odgłos i chrzęst, w którym rozpoznała dźwięk miażdżonej kości. Odwróciła się i ujrzała Henniego du Randa osuwającego się na podłogę. Graf Otto stanął nad nim i walił go stalową maczugą. Po chwili wyprostował się, ciężko dysząc. Na twarzy miał kropelki krwi.

- Wyrzućcie to ścierwo za burtę! - rozkazał nieco łagodniejszym tonem. - Zawsze zdradzają nas ludzie, którym najbardziej ufamy. Powtarzam, panowie, nie ma odwrotu. Nie możemy jednak pozwolić, aby nasz ładunek wpadł w ręce Brytyjczyków. Jeśli utrzymamy dotychczasową prędkość, jutro w południe dotrzemy bezpiecznie do Arushy w Niemieckiej Afryce Wschodniej. Wówczas najgorsze będzie za nami.

Po tych słowach wrócił wolno do swojej kabiny. Ewa zasłoniła oczy, gdy dwaj członkowie załogi podnieśli ciało Henniego i wywlekli je na pomost. Przełożyli je nad poręczą i cisnęli w dolinę Nilu. Płakała w milczeniu, choć każda łza parzyła jej oczy jak użądlenie pszczoły.

Księżyc był bliski pełni, kiedy przebudziła się i poszła do gondoli obserwacyjnej. Stał nisko nad urwiskiem, lśniąc niczym ogromna złota moneta. Patrzyła, jak znika za ciemnym horyzontem, otoczony girlandami

obłoków gnany przez monsunowe wiatry znad Oceanu Indyjskiego. Zanim jego tarcza całkowicie

482

zniknęła, pierwsze promienie wschodzącego słońca oświetliły srebrną kopułę sterowca. Z ciemności zaczęły się wyłaniać szczegóły krajobrazu. Serce zabiło jej gwałtownie na widok zarysu góry Lonsonyo. Zachowała w pamięci każdy jej szczegół. Rozpoznała skalne urwisko nad Jeziorem Królowej Saby i spienioną wodę rozbłyskującą w pierwszych promieniach poranka. Poczwała się tak, jakby Ratel ponownie z nią był. Oczy wyobraźni widziały każdy szczegół jego nagiego torsu, gdy stał pod kaskadami wody i śmiał się z niej, zapraszając, by do niego przyszła.

- Gdzie jesteś, kochany? - jęknęła bezgłośnie. - Czy się jeszcze zobaczymy?

Nagle jakby za sprawą cudu stanął przed jej oczami tak blisko, że wyciągnęła rękę, aby dotknąć jego pięknej, opalanej twarzy. Patrzył jej w oczy. Była to krótka chwila, lecz wiedziała, że ją rozpoznał. Później zniknął w mgnieniu oka, tak jak się pojawił.

Leon spał otulony pledem. Przez sen usłyszał nawołujących się w ciszy poranka chungadzi. Coś w ich głosie go zaalarmowało. Obudził się, czując na ramionach dłonie Loikota.

- M'bogo! - Głos Masąja był podniecony. - Nadpływa srebrzysta ryba! Chungadzi ją widzieli. Będzie tu, zanim słońce stanie nad horyzontem!

Skoczył na równe nogi, całkiem obudzony.

— Uruchom silniki! - krzyknął do Manyoro. - Pierwszy lewy! - Wsunął się pod niższe skrzydło Motyla, a następnie wskoczył do kokpitu.

— Ssanie! - zawołał, zalewając gaźnik. Samolot rwał się do walki podobnie jak on. Silniki odpaliły za drugim razem. Czekając, aż się rozgrzeją, spojrział w niebo. Ruch obłoków wskazywał na słabą bryzę wiejącą od strony oceanu, zgodnie z kierunkiem krótkiego pasa. Idealne warunki do startu. Pomyślał, że bogowie łowów mu sprzyjają.

483

Loikot i Manyoro wdrapali się do kokpitu. Kiedy Manyoro skulił się za jego plecami, pomyślał, że nie starczy dla nich miejsca. Delikatnie otworzył przepustnice i Motyl zaczął kołować. Gdy masażysty tragarze stojący u skrzydeł ustawili maszynę na osi pasa, otworzył do końca przepustnice. Mężczyźni pchnęli samolot z całej siły. Motyl szybko przyspieszył, lecz nie osiągnął wymaganej prędkości, gdy dotarli do końca urwiska. Instynkt nakazywał mu zahamować, aby ratować się przed upadkiem, lecz zignorował go. Silniki zawyły pełną mocą. W tej samej chwili poczuł na twarzy silny podmuch powietrza. Pojedynczy, niespodziewany prąd. Poczuł, jak dostaje się pod skrzydła Motyla i delikatnie unosi maszynę. Przez chwilę myślał, że nawet to nie wystarczy. Jedno ze skrzydeł zachwiało się niebezpiecznie i nos maszyny pochylił się. Leon poczuł, jak aeroplan wgrzyza się w wiatr i zaczyna szybować w powietrzu. Lecił w dół z prędkością dochodzącą do stu węzłów. Rozluźnił się za sterami. Maszyna dzielnie szybowała, lecz on nadal dyszał z przerażenia. Przed chwilą otarł się o śmierć.

Zapomniał o lęku i spojrzał przed siebie. Ujrzeni ją równocześnie - ogromną srebrzystą rybę lśniącą w promieniach wschodzącego słońca. Sądził, że jest przygotowany na jej widok, lecz się mylił. Rozmiary Assegai wprawiły go w osłupienie. Sterowiec był kilkaset stóp pod nimi, mało brakowało, a przeleciałby obok góry. Motyl znajdował się w idealnej pozycji - w górze, za rufą Assegai, niewidoczny. Leon zanurkował, rzucając maszynę do ataku. Kiedy się zbliżyli, wypełniła swym kadłubem całe pole widzenia. Zauważył, że jeden z silników nie działa. Śmigło stało nieruchomo jak człowiek pełniący wartę. Dwa tylne silniki umieszczono na rufie - w gondolach za kabiną pasażerską i ładunkową. Leon był tak zaintrygowany konstrukcją sterowca, że mało brakowało, a zapomniałby wydać załodze rozkaz zrzucenia sieci.

Wiedział, że jest to moment decydujący dla powodzenia operacji. Bardzo łatwo ogon lub podwozie Motyla mogłoby się zaplątać w zarzuconą sieć. Na szczęście wschodni monsunowy

484

wiatr zepchnął delikatnie jej ciężkie zwoje, które rozłożyły się idealnie czterysta stóp za ogonem Motyla. Przeleciał obok zbiornika z gazem i zaczął się wolno wznosić, zrównując się z kabiną obserwacyjną i mostkiem kapitańskim.

Ze zdumieniem zauważył ludzi za szklanymi oknami. Graf Otto von Meerbach stał zaledwie pięćdziesiąt stóp od niego. Spoglądał z wściekłością na Leona, wykrzykując przekleństwa zagłuszone przez ryk silników. Po chwili skoczył do stanowiska karabinu maszynowego w bocznej części mostka.

Leon zamarł na widok Ewy stojącej za Niemcem. Przez chwilę wpatrywał się w jej oczy patrzące na niego ze zdumieniem. Graf Otto odbezpieczył karabin i skierował ku niemu grubą lufę otoczoną chłodnicą wodną. Motyl wykonał zwrot i przeleciał nad mostkiem sterowca. Pociski smugowe poszybowały wysoko za jego ogonem.

Dwa tylne silniki Assegai zwiślały bezbrinnie za kilem. Spojrzał na długą sieć wlokącą się za ogonem Motyla, a następnie ocenił kąt i prędkość obu statków powietrznych, by chwilę później opleść nią

wirujące łopaty śmigieł. Sieci owinęły je ściśle, tworząc grube kule. Wszystko stało się tak szybko, że prawie dał się zaskoczyć.

- Odczep sieć! - krzyknął do Manyoro, który pociągnął oburącz dźwignię luku. Hak uwolnił linę, zanim ta zdążyła ściągnąć Motyla z nieba. Byli wolni. Leon wykonał zwrot i ustawił maszynę nad ogonem sterowca w martwym polu. Nie chciał popełnić błędu, żeby nie otrzymać serii z karabinu maszynowego.

Zauważył, że tylne silniki sterowca dymią. Sieć i ciężkie liny tak ściśle oplotły piasty śmigieł i inne ruchome części, że śmigła stanęły.

Assegai przestał reagować na stery. Jeden przedni silnik nie wystarczył, aby oprzeć się monsunowemu wiatrowi. Statek szybko tracił wysokość, dryfując w kierunku skalistego zbocza Lonsonyo. Pilot kierował Assegai na szeroko otwartej przepustnicy. Obciążenie silnika okazało się zbyt wielkie. Ostatnia turbina przegrzała się i zaczęła dymić.

485

Von Meerbach wbiegł do sterowni i odepchnął na bok pilota. Mężczyzna uderzył głową o szybę i runął na podłogę, krwawiąc ze złamanego nosa. Graf chwycił stery, wpatrując się w urwisko. Byli pół mili od skalnej ściany, tysiąc stóp poniżej szczytu. Jedynym sposobem uniknięcia zderzenia było całkowite opróżnienie pojemników z gazem, aby jak najszybciej zwiększyć pułap i przelecieć nad wierzchołkiem. Niemiec sięgnął po zawory i otworzył je na całą szerokość. Zamiast szumu wodoru przepływającego przewodami usłyszał jedynie słaby syk i chociaż sterowiec drgnął, wznosił się bardzo leniwie.

- Zbiorniki wodoru są puste! - krzyknął sfrustrowany. -

Wyrzuciliśmy cały gaz na pustyni, walcząc z chamsinem. Nie uda się. Uderzymy w zbocze. Trzeba skakać! Ritter, przygotuj spadochrony! Nie starczy dla wszystkich!

Oficer pobiegł do magazynu za mostkiem. Zaczęli je układać na środku podłogi. W oczach załogi pojawił się lęk. Graf Otto odepchnął ludzi, podniósł jeden ze spadochronów i podał Ewie.

— Załóż to.

— Nie umiem skakać ze spadochronem - zaprotestowała.

— Masz dwie minuty, aby się nauczyć - oznajmił ponuro, zakładając uprzęż na jej ramiona. - Kiedy wyskoczysz, policz do siedmiu i pociągnij za tę linkę. Resztę zrobi za ciebie spadochron. - Mocno zacisnął paski upręży opinającej

pierś. - Kiedy wylądujesz, otwórz te klamry i odczep spadochron. - Zapiął własny, chwycił mały plecak i pociągnął ją do drzwi zatarasowanych przez ludzi próbujących wydostać się na zewnątrz.

— Ottonie, nie dam rady! - zawołała, lecz von Meerbach nie zamierzał z nią dyskutować. Objął ją w talii i zaciągnął do drzwi. Potężnymi kopnięciami usunął z drogi dwóch mężczyzn, otworzył drzwi i wypchnął ją na zewnątrz.

— Policz do siedmiu i pociągnij linę! - krzyknął, patrząc, jak leci na spotkanie lasu deszczowego. Kiedy zdawało się, że

486

za chwilę roztrzaska się o gałęzie drzew, spadochron otworzył się tak gwałtownie, że szarpnęło nią niczym kukiełką. Nie czekał, aby zobaczyć, jak wyląduje, lecz wyskoczył na zewnątrz, nurkując w kierunku drzew.

Leon wykonał ostry zwrot nad urwiskiem i spojrzał w dół na ludzi wyskakujących ze sterowni Assegai. Dostrzegł przynajmniej trzy spadochrony i ludzi machających nogami i rękami, dopóki nie dotknęli wierzchołków drzew. Inni mieli więcej szczęścia, wiatr zepchnął ich i lądowali na zboczu góry. Ujrzał Ewę, mniejszą i bardziej smukłą od mężczyzn. Zagryzł wargi, czekając na otworzenie się spadochronu, a później krzyknął z ulgą, gdy nad jej głową zakwitła biała jedwabna kopa. Po kilku sekundach zniknęła w gęstej zielonej dżungli.

Assegai dryfował z wysoko uniesionym nosem, gnany przez wiatr. Sterowiec zawadził ogonem o drzewa i wykonał gwałtowny skręt. Jak schwytana meduza przewrócił się na bok i zaplątał o gałęzie drzew ogromnymi zbiornikami na gaz. Konary pękły z trzaskiem, gdy sterowiec opadł jak dziurawy balon. Leon przygotował się na nieuchronną eksplozję - wystarczyła jedna iskra z uszkodzonych generatorów - lecz nic się nie stało. Kiedy gaz ulotnił się na zewnątrz i rozproszył w powietrzu, sterowiec zamienił się w bezkształtną masę płótna i kawałków kadłuba rozrzuconych wśród wierzchołków drzew, kruszących swoją masą nawet najpotężniejsze konary.

Wykonał zwrot, przelatując kilkanaście stóp nad wrakiem. Obserwował las, daremnie szukając Ewy. Zatoczył jeszcze jedno koło nad sterowcem. Tym razem dostrzegł ciało zwisające bezwładnie na strzępach spadochronu. W konarach wysokiego drzewa zaplątały się kawałki jedwabiu. Był tak nisko, że zdołał rozpoznać grafa.

- Nie żyje! - zawołał. - W końcu skręcił cholerny kark! - Motyl znalazł się tuż nad von Meerbachem, skrzydło przysłoniło Leonowi widok.

487

Zawrócił, zwiększając pułap, aby wylądować na szczycie. Leciał wzdłuż skalnej ściany, nie chcąc stracić ani chwili. Pragnął wrócić jak najszybciej i odnaleźć Ewę. Gdy przelatywał nad białymi kaskadami wody, uważnie obserwował okolicę Jeziora Królowej Saby. Chociaż od wraku sterowca dzieliło go zaledwie kilka minut lotu, wiedział, że pokonanie tej drogi pieszo będzie nie lada wyczynem. Gdy wylądował i wyłączył silniki, sięgnął pod siedzenie i wyciągnął futerał ze sztucerem. Trzema szybkimi ruchami złożył broń, a następnie załadował ogromnego hollanda. Zeskoczył na ziemię, wykrzykując rozkazy tłumowi oczekujących morani, którzy ruszyli za nim.

- Szybko! Weźcie dzidy! Memsahib jest sama w lesie. Może być ranna. Musimy jak najszybciej ją odnaleźć. - Ruszył w dół, przeskakując niskie krzaki. Wojownicy biegli za nim, próbując nie stracić go z oczu wśród drzew.

Ewa kołysała się na spadochronie, patrząc, jak wierzchołki drzew mkną na jej spotkanie. Obijała się o gałęzie, z których część się połamała. Każde uderzenie zmniejszało jej prędkość. W końcu upadła na ziemię, na małej polanie u podnóża góry.

Zbocze było tak strome, że potoczyła się w dół i wylądowała w małym bagnie. Przypomniała sobie radę Ottona i odpięła klamry, aby odczepić spadochron. Wstała i sprawdziła, czy nie odniosła poważniejszych obrażeń. Miała kilka zadrapań na rękach i nogach oraz siniaka na pośladku. Później przypomniała sobie z przerażeniem, jak von Meerbach wypchnął ją ze sterowca. Miała szczęście, że wszystko tak się skończyło.

Wyprostowała ramiona i podniosła głowę.

- Jak cię odnaleźć, Ratelku? Nie mam pojęcia, skąd nadleciałeś, a później rozplynąłeś się w powietrzu. - Potrzebowała kilku sekund, aby odpowiedzieć na własne pytanie. - Jezioro! Z tego miejsca rozpocznie poszukiwania!

Świetnie znała okolicę, ponieważ błąkała się tu z Leonem podczas zaczarowanych miesięcy, które spędzili w manyatcie

488

;

Lusimy. Spojrzała na urwisko, aby określić swoją aktualną pozycję w stosunku do wodospadu.

- To tylko kilka mil na południe.

Ruszyła przed siebie tak, by mieć urwisko po prawej stronie. Nagle odwróciła się gwałtownie. Coś zaszeleściło w krzakach i z zarośli wyrzała potwornie zakrwawiona hiena, która trzymała w pysku strzęp świeżego mięsa. Ewa przeszkodziła jej w posiłku.

Podeszła ostrożnie i odnalazła leżące w zaroślach ciało pierwszego oficera Assegai, Thomasa Buelera. Rozpoznała go po mundurze, bo większa część twarzy zniknęła, najwyraźniej wygryziona przez hienę. Już miała ruszyć dalej, gdy zauważyła, że Bueler ma mały plecak na piersi. Najwyraźniej spadochron o niego zahaczył i dlatego się nie otworzył. Może znajdzie w nim coś, co pomoże jej przeżyć na górze.

Uklęka i otworzyła go, próbując nie patrzeć na okaleczoną twarz. W środku był mały zestaw pierwszej pomocy, kilka paczek suszonych owoców i wędzonego mięsa, pudełko zapalek oraz mauser w drewnianej kaburze z dwoma zapasowymi magazynkami. Takie rzeczy mogły się okazać bezcenne.

Rozpięła uprząż spadochronu, odrzuciła za siebie i ruszyła ścieżką wydeptaną przez zwierzęta. Pół mili dalej usłyszała Ottona wołającego rozpaczliwie o pomoc z małego wzniesienia na zboczu.

- Czy ktoś mnie słyszy? Ritter! Bueler! Chodźcie tutaj!

Potrzebuję pomocy!

Zeszła ze ścieżki, podążając ostrożnie za dźwiękiem. Kiedy zawołał ponownie, podniosła głowę i go zobaczyła. Wisiał wysoko wśród gałęzi, czasza spadochronu zaplątała się w grube konary. Graf kołysał się siedemdziesiąt stóp nad ziemią, próbując się uchwycić konarów. Najwyraźniej nie mógł się wychylić dość mocno, aby ich dosięgnąć.

Ostrożnie rozejrzała się wokół. Nie dostrzegła nikogo z załogi Assegai. Byli sami w lesie. Miała zamiar się wycofać i kontynuować ucieczkę, lecz ją zauważył.

489

- Ewa! Dzięki Bogu! - Stańta jak wryta. - Pomóż mi zejść. Jeśli otworzę klamry, spadnę i zabiję się. W plecaku mam cienką linkę. - Otworzył klapę i wyciągnął jutowy sznurek. - Rzucę ci koniec. Przyciągniesz mnie do gałęzi, abym mógł ją schwycić.

Nie drgnęła, patrząc na niego uporczywie. Teraz, gdy wiedział, że przeżyła, nie da jej odejść. Będzie ją śledził. Nie pozwoli uciec.

- Pospiesz się, kobieto! Nie stój jak wmurowana! Chwyć

koniec liny!

Po raz pierwszy w ciągu ich długiej znajomości miała nad nim pełną władzę. Ten człowiek zamordował jej ojca, upokarzał i torturował ją psychicznie i fizycznie. Nadeszła chwila zemsty. Gdyby go teraz zabiła, mogłaby wymazać wszystkie bolesne wspomnienia. Czułaby się ponownie czysta i pełna. Ruszyła w jego stronę jak lunatyk, sięgając do plecaka Buelera.

— Dobrze, Ewo! Wiedziałem, że mogę na tobie polegać!

Chwyć linkę! - Po raz pierwszy usłyszała w jego głosie

pochlebstwo. Poczła przyływ energii i podjęła niezłomne

postanowienie. Kolba mausera leżała idealnie w dłoni.

— Jestem mrocznym aniołem - wyszeptła, patrząc na

mężczyznę dyndającego bezradnie nad jej głową. - Aniołem

zemsty. - Wyciągnęła pistolet i odciągnęła suwadło. Usłyszeli

ostry metaliczny szcęk towarzyszący wsunięciu się pocisku

do komory.

— Co ty wyprawiasz?! - zawołał skonsternowany. - Odłóż

pistolet! Możesz kogoś zranić!

Powoli uniosła mausera i wycelowwała.

— Poczekaj! Na Boga, co robisz? - W jego głosie pojawił

się lęk.

— Zabiję cię - powiedziała cicho.

— Oszalałaś?! Postradałaś rozum?!

— Straciłam coś więcej prócz rozumu. Zabrałeś mi wszyst

ko. Teraz to odbiorę.

Strzeliła.

490

Nie sądziła, że wystrzał będzie tak głośny, a siła odrzutu tak duża. Mierzyła w jego czarne serce, lecz kula

musnęła lewe ramię powyżej łokcia. Poczuła na palcach krople krwi.

— Nie rób tego, Ewo! Błagam! Zrobię wszystko, o co poprosisz. - Strzeliła ponownie, lecz tym razem kula nawet go nie drasnęła. Nie wiedziała, że z takiej odległości oddanie celnego strzału jest bardzo trudne. Von Meerbach zaczął wić się w uprzęży, kołyszając i szarpiąc z boku na bok. Strzelała raz po raz, a on krzyczał z przerażenia. - Przestań, kochanie! Mówię, przestań! Wszystko ci wynagrodzę, obiecuję! Dostaniesz, co zechcesz! - Odetchnęła głęboko, próbując uspokoić oszalałe serce, celując ostatni raz. Zanim nacisnęła spust, chwyciła ją silne ramię i wykręciło nadgarstek. Lufa pistoletu powędrowała w dół, a kula utkwiała w ziemi między czubkami jej butów.

— Dzięki Bogu, Ritter! - ryknął graf Otto. - Nie puszczaj jej! Sam się zajmę tą fałszywą suką.

Ritter zabrał jej pistolet, a następnie przycisnął Ewę do ziemi, przygniatając kolanem. Unieruchomił jej ręce na plecach, a jeden z jego ludzi związał je kilkoma solidnymi węzłami. Ritter podał mu mausera.

— Zastrzel ją, jeśli będzie trzeba - rozkazał, a następnie pobiegł, by pomóc von Meerbachowi zejść na ziemię. Chwycił koniec zwisającej linki i pociągnął w bok. Graf Otto złapał się gałęzi i po chwili był już na niej. Odpiął uprzęż i rzucił w dół. Zsunął się po pniu zwinnie jak goryl. Zatrzymał się chwilę, by złapać oddech, a następnie podszedł wolno do Ewy.

— Podnieś ją! - rozkazał swojemu człowiekowi. - Trzymaj mocno! - Uśmiechnął się, pokazując stalową pięść. - To dla ciebie, kochanie! - Uderzył ją, starannie oceniając siłę. Nie chciał, by umarła zbyt szybko. - Dziwka! - powiedział,

chwytając ją za włosy i rzucając na kolana. - Podstępna suka!
To byłaś ty, a nie ten żaloszny Bur! - Wbił jej twarz w wilgotną
od deszczu ziemię i docisnął butem. - Nie wiem, jaka śmierć
byłaby dla ciebie najlepsza. Może powinienem utopić cię
w błocie? Powoli udusić? A może zamienić twoją piękną twarz
491

w krwawą miazgę? Trudna decyzja. - Podniósł jej głowę i spojrzał w oczy. Krew spływająca z rozbitego
nosa mieszała się z błotem i opadała na brodę. - Nie jesteś już taka piękna, bardziej przypominasz
brudną małą dziwkę, którą jesteś.

Cofnęła głowę i plunęła mu w twarz.

Otarł ją rękawem i roześmiał się.

- Będę miał niezłą zabawę. Każda chwila dostarczy mi
niewypowiedzianej radości.

Ritter zastąpił mu drogę, próbując interweniować.

— Nie. Nie może pan tego zrobić, to kobieta.

— Za chwilę przekona się pan, co mogę, komandorze. Proszę
popatrzeć. - Ponownie uniósł uzbrojone ramię, lecz gdy
pochylił się nad Ewą, ogłuszył ich potężny huk wystrzału. Graf
runął do tyłu, bezwładnie rozrzucając ramiona. Potężny pocisk
trafił w środek klatki piersiowej, eksplodując między łopatkami
i wyrzucając jasną fontannę krwi i zmiażdżonej tkanki.

— Mam jeszcze jedną kulę dla tego, kto chciałby coś po
wiedzieć w tej sprawie. Ręce do góry, panowie - rzekł po
niemiecku Leon, wychodząc z krzaków w towarzystwie Ma-
nyoro, Loikota i dwunastu masajskich morani uzbrojonych

w assegai.

— Manyoro, zwiąż tych ludzi jak kurczęta na targ. Niech morani zaprowadzą ich do fortu nad jeziorem Magadi i oddadzą w ręce żołnierzy! - zawołał i podbiegł do klęczącej w błocie Ewy. Ujął jej twarz w dłonie i przytulił do swojej.

— Mój nos - wyszeptała. Pocałował jej wargi umazane błotem i krwią.

— Jest złamany, lecz pozostała ci para uroczych oczu. Doktor Thompson poradzi sobie bez trudu, jeśli szybko zawiozę cię do Nairobi. - Uniósł ją i przycisnął do piersi. Ruszył ścieżką do oczekującego na górze Motyla. Ułożył ją delikatnie w kocyku i przykrył brezentem, bo dygotała z zimna.

Kiedy wstał, ujrzał Lusimę stojącą obok kadłuba.

- Zabieram ją do Nairobi - powiedział. - Możesz nam wyświadczyć wielką przysługę.

492

— Chętnie to uczynię, synu - odpowiedziała.

— Srebrzysta ryba leży rozbita u podnóża góry. Manyoro zaprowadzi do niej ciebie i morani. Powiem ci, co chcę, abyś zrobiła.

— Słucham cię, M'bogo. - Mówił szybko, a kiedy skończył, kiwnęła głową. - Zrobię to. A teraz zabierz swój uroczy kwiat tam, gdzie będzie bezpieczny, i pielęgnuj, dopóki nie wyzdrowieje.

Minęły prawie cztery lata, zanim wrócili do Jeziora Królowej Saby. Zostawili Lusimę, Manyoro, Izmaela i Loikota w starym obozowisku i ruszyli samotnie na górę. Leon podniósł ją z siodła i pocałował, zanim posadził sobie na kolanach.

- To dziwne - zauważył. - Jak to możliwe, że z każdym rokiem stajesz się coraz piękniejsza?

Roześmiała się, dotykając nosa.

— Jeśli nie wspomnieć o małej wypukłości tu i tam. -

Nawet doktor Thompson nie zdołał całkowicie wyprostować nosa.

— Nazywasz to małą wypukłością? - spytał, kładąc rękę na jej brzuchu.

Popatrzyła dumnie na swój brzuch.

— Spójrz, jak urósł.

— Umieram z niecierpliwości, pani Courtney. - Wziął ją za rękę i zaprowadził do znajomego miejsca na skalnej półce.

Usiedli obok siebie, spoglądając w ciemną toń.

— Założę się, że nigdy nie słyszałeś plotki o zaginionych milionach von Meerbacha - powiedziała.

— Pewnie, że słyszałem. - Jego twarz stała się zdecydowana i poważna. - To jedna z największych zagadek Afryki.

Dorównuje zaginionym kopalniom króla Salomona i milionom Krugera, które stary burski generał wywiózł w nieznanym kierunku z Pretorii, gdy wojska Kitchenera maszerowały na Pretorię.

— Myślisz, że w najbliższym czasie ktoś może ją rozwiązać?

— Może nawet dziś - odparł, wstając i rozpinając koszulę.

— Skarb leży tu niemal cztery lata. A jeśli ktoś go odnalazł? - spytała, tracąc dobry nastrój.

— To niemożliwe - zapewnił ją. - Lusima Mama rzuciła klątwę na to jezioro. Nikt nie odważy się tu zapuścić.

— A ty się nie obawiałeś? - spytała.

Uśmiechnął się, dotykając małego amuletu z kości słoniowej zawieszzonego na rzemieniu wokół szyi.

— Dostałem go od Lusimy, aby odwrócić klątwę.

— Sam to wymyśliłeś, Ratelku! - rzuciła oskarżycielsko.

— Mogę tego dowieść tylko w jeden sposób. - Podskoczył na jednej nodze, zrzucając spodnie, a następnie skoczył z półki do wody.

— Wracaj! - zawołała, zrywając się na równe nogi. -

Obawiam się, że znam odpowiedź! A jeśli wszystko zniknęło?

Wynurzył się na środku stawu.

- Ależ z ciebie pesymistka, kochanie. Za kilka minut usłyszysz najlepszą lub najgorszą nowinę. - Cztery razy głęboko odetchnął i zanurkował. Wiedziała, że wynurzy się dopiero za jakiś czas, więc wróciła myślami do czterech ostatnich lat.

Były pełne wrażeń i niebezpieczeństw, miłości i śmiechu.

Towarzyszyła mu podczas walk, które lekka jazda Delamere'a toczyła w buszu z tym przebiegłym draniem, von Lettowem Vorbeckiem. Leon nauczył ją pilotażu, aby mogła latać Trzmielcem jako obserwator i nawigator. Stali się sławną parą. Pewnego

razu wylądowała sama pod ciężkim niemieckim ostrzałem, aby zabrać czterech rannych askari. Lord Delamere zapisywał wszystko w swojej książce, a później dopilnował, aby otrzymała medal.

Teraz wojna dobiegła końca. Wygrali. Było mniej wrażeń i niebezpieczeństw, ale za to więcej miłości i śmiechu. Skoczyła, kiedy wynurzył się z wody z głośnym pluskiem.

- Masz złą wiadomość?! - zawołała.

Nie odpowiedział, lecz przyplłynął do półki, na której stała,

494

i uniósł prawą rękę. Rzucił coś do jej stóp. Mały ciężki woreczek otworzył się, uderzywszy o kamień. U jej stóp wysypały się złote monety, błyszcząc w promieniach słońca. Pisnęła z radości i padła na kolana. Zebrała monety w dłonie i spojrzała na niego z niemym pytaniem.

— Niektóre skrzynie pękły, pewnie wtedy, gdy morani Lusimy wrzucili je do jeziora. Wygląda na to, że niewiele zginęło. - Wyskoczył z wody jak wydra i przytulił się do niej.

— Nie musimy ich zwrócić? - szepnęła mu do ucha.

— Komu? Kajzerowi? Niedawno się wycofał z interesów.

— Czuję się winna, te pieniądze nie należą do nas.

— Pomyśl, że to zapłata Ottona von Meerbacha za patenty, które ukraść twojemu ojcu - zasugerował.

Cofnęła się, trzymając go w ramionach i spoglądając w oczy z rozbawieniem.

- Oczywiście! - Uśmiechnęła się. - Jeśli tak na to spojrzeć, to zupełnie inna sprawa! - W końcu zaczęła się śmiać. - Nie potrafię znaleźć błędu w twojej argumentacji, kochany Ratelku!

Polecamy powieści z sagi rodu Courtneyów

PŁONĄCY BRZEG

Trwa I wojna światowa. Michael Courtney dokonuje we Francji bohaterskich wyczynów jako pilot, walcząc w szeregach Brytyjczyków. Poznaje tam piękną dziewczynę, Centaine de Thiry. Wspólne plany zakochanych przerywa tragiczna śmierć Michaela w dniu planowanego ślubu. Straciwszy wszystkich bliskich, Centaine decyduje się wyruszyć do Afryki, gdzie mieszka Garrick Courtney, przybrany ojciec niedoszłego męża. Jej statek nie dociera do celu podróży - trafiony niemiecką torpedą, idzie na dno. Pozbawiona wody i żywności, krańcowo wyczerpana Centaine zostaje wyrzucona na piaszczysty brzeg Afryki Zachodniej - najbardziej nieprzyjaznej i wyludnionej pustyni na całym kontynencie. Tylko niezwykła wola przetrwania w imię nienarodzonego dziecka i dwoje starych Buszmenów, niedobitków afrykańskiego plemienia, ratują ją od pewnej śmierci. Tymczasem tropem zaginionej dziewczyny wyrusza pewien bardzo niebezpieczny człowiek, wynajęty przez Garricka...

WŁADZA MIECZA

Afryka, I połowa XX wieku. Dwaj synowie Centaine de Thiry, przyrodni bracia Manfred De La Rey i Shasa Courtney, wychowali się oddzielnie. Oprócz krwi płynącej w ich żyłach łączy ich tylko jedno - nienawiść, jaką do siebie czują. Dzieli praktycznie wszystko: wychowanie, charaktery, dziedzictwo, poglądy polityczne, przekonania rasowe. Manfred wierzy w wyższość białej rasy i aktywnie wspiera nazistów. Drogi życiowe obu młodych mężczyzn nieustannie się splatają. Uwikłani we własne emocje, toczą ze sobą bezpardonową walkę, zawsze stając po przeciwnych stronach barykady. Który z nich przechwyci miecz władzy w Afryce Południowej? Jak obie rodziny przetrwają wojenne piekło rozpętane w Europie?